



BRIAN FREEMAN  
**OSACZENI**

Świat Książki

Rewelacyjne połączenie  
doskonałego kryminału  
i powieści psychologicznej.  
„Chicago Tribune”

BRIAN FREEMAN

# OSACZENI

Z angielskiego przełożył

*Andrzej Leszczyński*



Świat Książki

Tytuł oryginału STALKED

Redaktor prowadzący

*Ewa Niepokólczycka*

Redakcja

*Hanna Smolińska*

Redakcja techniczna

*Agnieszka Gąsior*

Korekta

*Jacek Ring*

*Elżbieta Jaroszek*

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do zdarzeń, miejsc i osób (żywych czy zmarłych) jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © 2007 by Brian Freeman

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Leszczyński, 2010

Świat Książki Warszawa 2010

Świat Książki Sp, z o.o.

ul. Rosola 10

02-786 Warszawa

Skład i łamanie

*Piotr Trzebiecki*

Druk i oprawa:

Druk-Intro, Inowrocław

ISBN 978-83-247-1064-5 Nr 6356

*Dla Marcii*

Gdzie z dawnych lat sterty zgniłych liści,  
Gdzie zbrodni moc i uczynków złych,  
Zgubnych idei i chybionych myśli,  
Dla siebie grzech znajdę, pókim żyw.

Algernon Charles Swinburne,

*Triumf czasu*

## Prolog

Przez gęstą drucianą siatkę osłaniającą okna tylnej części wozu patrolowego więzień obrzucił podejrzliwym spojrzeniem skłębio-  
ne ciemne chmury burzowe. Zdawał sobie sprawę, że powinien się  
bać, ale był w środku jak gdyby wypalony. Jego serce przypomina-  
ło bryłkę węgla. Mógł tylko biernie obserwować, jak wiatr  
przybiera na sile, w głębi ducha licząc na to, że go porwie i uniesie  
w głąb wirującego coraz szybciej mrocznego leja. Pięć sekund  
później burza runęła na nich z pełną mocą.

- Och, Matko Przenajświętsza! - pisnęła policjantka prowadzą-  
ca samochód. Nowicjuszka, mocno zbudowana i otyła, kureczowo  
zaciskała serdelkowate palce na kierownicy auta. Pot spływał jej  
po policzkach spod obciętych po męsku gęstych czarnych włosów.  
Gwałtowny poryw wiatru aż poderwał w powietrze przednie koła  
rozpędzonego samochodu, a ściana deszczu z impetem spadła na  
szybę. Kobieta zrobiła jedyną rozsądną rzecz w tej sytuacji, zaczę-  
ła hamować, całkowicie straciwszy widoczność. Wóz zatańczył na  
śliskiej nawierzchni.

- Jedź dalej - rzucił jej partner.

- Odbiło ci? Nie zauważyłeś, durny sukinsynu, że wiatr zmie-  
nił kierunek i spycha burzę prosto na nas?

Zatrzymali się ukosem przez dwa pasy na odludnym odcinku

autostrady, dokoła rozciągały się tylko pola uprawne. Wszyscy mieszkańcy tych okolic zdążyli wyjechać, uciekli na północ, pozostawiając swoje domostwa na pastwę wichury i wody.

- Jesteśmy pięćdziesiąt kilometrów od Holman - odezwał się gliniarz. Głos miał nieprzyjemnie chrapliwy. - Musimy jak najszybciej wpakować ten worek gówna za kraty. Jedź dalej.

Kolejny poryw wiatru cisnął w szyby gradem śmieci, kamieni, kawałków gałęzi grubych jak przedramię, dachówek, martwych ptaków.

- Nic z tego, chłopie. Nie pojedę. Teraz to musimy jak najszybciej znaleźć jakieś schronienie.

- Szukanie ratunku pod dachem jest bez sensu - burknął policjant. Koledzy nazywali go Deet ze względu na wiecznie ciągnący się za nim słodkawy zapach środka odstraszającego natrętne komary z Alabamy. Ale poza tym nie miał w sobie za grosz słodyczy. Niski i szczupły, odznaczał się charakterem dzikiej bestii. Nosił podkute bucioro ze stalowymi noskami i uwielbiał łamać przeciwnikom piszczele szybkimi celnymi kopniakami.

- Niedawno mijaliśmy jakąś farmę. Cofnę do niej.

Wykręciła się na siedzeniu, żeby popatrzeć przez tylną szybę. Więzień śmiało zajrzał jej w oczy rozszerzonym zwierzęcym niepomowanym przerażeniem. Była tak spanikowana, że lada chwila mogła narobić w majtki. Bijąca od niej woń strachu obudziła w nim dobrze znane wrażenia razem z fizycznym podnieceniem.

Po ujechaniu kilkuset metrów pod kołami zachrzęścił żwir. Kobieta zatrzymała wóz.

- Widziałam dom! - zawołała z radością, gdy błyskawica na krótko wyłowiła z ciemności zabudowania farmy.

Deet wskazał kciukiem przez ramię i zapytał:

- A co z nim?

- Przecież nie zostawimy go tutaj w samym środku burzy.

- Ale nie możemy go też wypuścić na wolność - warknął.

Więzień pochylił się w przód, niemalże przyciskając nos do drucianej siatki, i odezwał się miękko do eskortujących go gliniarzy:

- Zostawcie mnie tu. Wszystko mi jedno.

Nie kłamał. Z jego punktu widzenia śmierć w wozie patrolowym była i tak lepsza od powrotu do Holman.

Przez wiele tygodni cieszył się z czekającej go podróży do Tuscaloosy, stęskniony bagiennych wyziewów unoszących się nad rzeką Black Warrior oraz widoku skąpo ubranych dziewczyn na ulicach. Prokurator nie mógł mu nic zaoferować w zamian za zeznania, gdyż odsiadywał karę dożywocia. Pragnął więc jedynie znów poczuć na języku smog rodzinnego miasta i nacieszyć się jego rytmem. Chciał złapać jeszcze ten ostatni kęs życia, z którego został okradziony przed dziesięcioma laty.

Minęło już dziesięć lat, lecz wciąż miał przed oczyma chytry uśmiezek na ustach tej suki siedzącej w ostatnim rzędzie widowni sali sądowej, gdy ogłaszano jego wyrok. Tropiła go po całym południu, aż w końcu zawiadomiła policję z Alabamy i oskarżyła go o morderstwo konkurenta, zniszczyła mu życie z powodu kogoś, kto w pełni zasłużył sobie na swój los, sprzedając towary po cenach dumpingowych. Najbardziej żałował, że nie miał okazji choćby na półgodzinne spotkanie z nią na osobności i nie zdążył zetrzeć tego pieprzonego uśmiezku z jej twarzy, nim zatrzasnęła się za nim więzienna brama.

Nawet krótka wizyta w normalnym świecie obudziła w nim skrajną niechęć do powrotu. Wystarczyło tych parę minut na sali sądowej, w garniturze, bez kajdanek i łańcuchów pętających nogi w kostkach, by odebrał je jak wykwinny posiłek przed wykonaniem wyroku śmierci. Uświadomił sobie, że czekające go lata w prześmiardniętej celi o gołych betonowych ścianach za masywnymi kratami są perspektywą nie do zniesienia. Właśnie dlatego



uznał, że porwanie przez trąbę powietrzną byłoby dla niego błogosławieństwem.

- A dokąd miałby uciec, do cholery?! - wrzasnęła policjantka do Deeta. - Nie wyglupiaj się. Naprawdę musimy stąd wiać!

Tamten zaklął pod nosem i otworzył drzwi auta. Wiatr wyrwał mu je z ręki i szarpnął ku przodowi, aż jęknęły zawiasy. Huk przybierającej na sile burzy przypominał odgłos zbliżającego się pociągu. Deet wyciągnął rewolwer i wymierzył w głowę więźnia.

- Jak sprawisz mi choćby najmniejszy kłopot, będziesz trumpe! - krzyknął, sięgając do klamki tylnych drzwi.

Więzień przesunął skute nogi, wystawił je na zewnątrz, lecz gdy próbował stanąć, wiatr zwałił go twarzą na ziemię. Poczul żelazny uścisk Deeta na swoim karku i szybko dzwignął się na nogi, po czym splunął błotem, które dostało mu się do ust.

- Chodźcie! - krzyknęła kobieta, zatrzasnąwszy klapę bagażnika. W rękę trzymała alarmową krótkofalówkę.

Ruszyli przez ścianę deszczu, który natarł na twarz skutego więźnia niczym tysiące drobnych spadających sopli. Ledwie zdołał utrzymać równowagę, posuwając się drobnymi kroczkami po zwirowanym podejździe przypominającym teraz dno rwącego strumienia. Gdy się potknął i zaplątał w łańcuchy krępujące mu nogi, od razu poczuł na karku lufę rewolweru Deeta, w ten sposób gliniarz go ponaglał. Kiedy dotarli do ganku dużego piętrowego domu ranczerskiego, okazało się, że drzwi są zabite arkuszem grubej pilśni. Policjantka położyła krótkofalówkę na werandzie i chwyciwszy za krawędź płyty, zaczęła ją szarpać, próbując oderwać, lecz tylko pokaleczyła sobie palce.

Zaciekawiło go, jak daleko mógłby uciec w czasie tej nawałnicy, lecz Deet, jakby czytając w jego myślach, zmierzył go podejrzliwym wzrokiem i unosząc wyżej broń, zapytał:

- Co, chciałbyś zwiać? Śmiało. W ten sposób tylko zaoszczędzisz...

Umilkł nagle w pół słowa. Kiedy więzień otarł wodę z oczu mi popatrzył w jego kierunku, dostrzegł ze zdumieniem, że Deet nie ma już głowy, a z wiszącej ukośnie tuż nad nim żółtej drogowej tablicy informacyjnej skapują krople krwi. Umieszczona na krańcu werandy i zerwana przez wiatr, zadziałała jak gilotyna, gdy runęła w dół i obróciła się na jednej śrubie. Kątem oka złowił też coś w rodzaju piłki, która potoczyła się w głąb werandy i po chwili zniknęła mu z oczu. Była to właśnie oderwana głowa policjanta.

Jednocześnie złowił mrozący krew w żyłach skowyt, z jakim odebrała to przerażona kobieta. Jeszcze zanim ciało Deeta zważyło się bezwładnie na deski, niczym czerwoną farbą zachlapując rozwodnioną deszczem krwią schody przed frontowymi drzwiami domu, a on zdążył się schylić po rewolwer dowódcy patrolu, nie spodziewanie szybko, jak na osobę tak otyłą, rzuciła się ku niemu. Kopniakiem zważyła go na ziemię, rozpinając jednocześnie kaburę. Dopiero wyciągnąwszy swój rewolwer, chwyciła broń partnera i wetknęła ją za pasek spodni, ani na chwilę nie spuszczać z oczu więźnia wyciągniętego na czerwonym od krwi błocie, po czym wyprężyła pierś nad znieruchomiałymi zwłokami Deeta.

- Wstawaj! - krzyknęła, dłonią ocierając twarz z deszczu.

Chwilę później zdołała oderwać pilśniową płytę, otworzyła drzwi i szybkim ruchem broni wskazała mu drogę do środka. Dźwignął się ociężale, symulując uraz nogi. Gdy wrócił na ganek, cały dom zadygotał pod naporem wiatru niczym szopa sklecona byle jak z arkuszy falistej blachy, a deski pod jego stopami zadygotały, jak gdyby lada chwila miały się zerwać z uwięzi gwoździ mocujących je do legarów werandy. W domu zalegał gęsty mrok. Policjantka najpierw włączyła krótkofalówkę, dopiero później zapaliła latarkę. Donośny szum elektrostatyki z trzaskami wyładowań atmosferycznych wypełnił przestrzeń rozcinaną rytmicznymi błyskami czerwonego alarmowego światła policyjnej latarki.

- Na dół! - poleciła stanowczo, wskazując otwarte drzwi piwnicy naprzeciwko frontowego wejścia.

- Rozkuj mnie.

- Wybij to sobie ze łba!

- Nie dam rady zejść po schodach, skrupowany łańcuchami - rzekł, starając się zamaskować błyski nadziei w spojrzeniu. Jednocześnie zaczął w myślach powtarzać: „No, śmiało! Zrób to!”.

- Nic z tego.

- Skręcę sobie kark, ty głupia krowo! W dodatku nic nie widać w tych ciemnościach!

- Jazda!

- Zastrzel mnie, jeśli taka twoja wola, ale nie ruszę się na krok.

Zakłęła pod nosem, lecz zaraz rzuciła mu pod nogi pęk kluczy. Usiłując zachować poważną minę, uwolnił się od krępujących go łańcuchów, wyprostował się i zaczął teatralnie rozciągać zdrętwiałe nogi. Dopiero po chwili obrzucił uważnym spojrzeniem policjantkę, która mierzyła do niego z rewolweru zaciśniętego w wyraźnie roztrzęsionych palcach. Przemoknięty od deszczu mundur oblepił jej pulchną sylwetkę, z posklejanych włosów kapała woda. Niecierpliwie przestąpiła z nogi na nogę.

- Na dół! - powtórzyła łamiącym się głosem.

Szczeble z gołych desek zaskrzypiały pod jego ciężarem, gdy uważnie stawał na nich stopy. Kobieta zbliżyła się na tyle, że aż dźgnęła go lufą rewolweru w plecy, co świadczyło wyraźnie o braku doświadczenia. Była zdecydowanie za blisko. Kiedy się potknął, omal nie podskoczyła. A gdy sięgnął do tyłu, bez trudu złapał ją za rękę i robiąc półobrót, przerzucił ją przez ramię w głąb piwnicy. Z wraskiem zwała się w dół i nie tylko złamała sobie nogę, ale chyba również doznała przerwania rdzenia kręgowego, gdyż legła bezładnie w nienaturalnej pozycji u podstawy schodów. Alarmowa krótkofalówka roztrzaskała się na setki kawałków.

Błyskawicznie stanął nad nią, odebrał jej oba rewolwery i złapałszy za mundur na piersi, przeciągnął ją na środek piwnicy.

Jęknęła załóżnie, a po chwili plując krwią, wycedziła:

- Ty łajdaku!

Doleciał go jej strach. Na widok bezbronnej i zdesperowanej ofiary leżącej bezwładnie u jego stóp poczuł się jak prehistoryczny gad wyłazący ze starej, za ciasnej skóry. Jak gdyby urodził się na nowo po dziesięciu latach spędzonych w piekle.

Rozległ się trzask, odłamki szkła z zamkniętego okienka posypały się na betonową posadzkę, a za nimi do środka wdarł się szeroki strumień wody. Powietrze wypełniło się smrodem błota i zgnilizny. Policjantka wrzasnęła głośniej, kiedy mętna woda zaczęła się szybko pod nią zbierać.

- Jezu... Rzeka przerwała wały... Musimy stąd uciekać!

Zaśmiał się krótko.

- My?

- Chyba mnie tu nie zostawisz, na miłość boską? Nie mogę się ruszyć!

Pod nią zebrało się już dziesięć centymetrów wody, a jej poziom podnosił się błyskawicznie. Patrzył obojętnie, jak kobieta z grymasem bólu na twarzy próbuje się dźwignąć z posadzki, lecz zaraz zwała się z powrotem, jakby nie była jeszcze świadoma, że ma złamaną nogę. Panicznie zatrzepotała rękoma i szarpnęła się ku górze z krzykiem o pomoc, lecz jej głos ugrzązł w murach opuszczonego domostwa, stłumiony przez huk szalejącej burzy.

- Proszę... - jęknęła. - Błagam...

Jej szamotanina tylko bardziej go podnieciła, aż potarł genitalia przez spodnie, nasłuchując dalszych odgłosów desperackiej walki o życie. Policjantka pierwszy raz na krótko zniknęła pod powierzchnią, gdy woda podeszła mu do kolan. Wynurzyła się zaraz, kaszłąc i odpluwając, lecz po chwili znów się zachłysnęła i

zniknęła pod wodą. Kiedy wynurzyła się po raz drugi, obrzuciła go stekiem najgorszych przekleństw, jakby chciała go podjudzić, uznawszy, że jej los jest teraz w jego rękach, że to on stał się nagle panem życia i śmierci zdolnym ją jeszcze uratować. Ale dla niej nie było już przyszłości.

Przed jego oczyma zaszła nagle dziwna metamorfoza. Patrząc na walczącą o życie kobietę, dostrzegł na jej miejscu tę sukę, której chytry uśmieszek prześladował go od dziesięciu lat. Dotarło nagle do niego, że w tej sytuacji i dla tamtej nie będzie już żadnej przyszłości.

- Powodzie mają jedną wspaniałą zaletę - odezwał się, gdy policjantka po raz kolejny wynurzyła się z mętnej wody. - Zmywają z duszy człowieka wszystkie wcześniejsze grzechy.

Część pierwsza

WIEM, KTO TO JEST

# 1.

Maggie wybudziła się gwałtownie z uroczego snu o seksie. Przemknęło jej przez głowę, że huk wystrzału nie mógł być elementem tego snu.

Leżała w skotłowanej czarnej pościeli, pokryta cienką warstwą potu. Zamrugała szybko, chcąc się w ten sposób otrząsnąć z resztek snu, ale ten wciąż trzymał ją w swych okowach. Oczy miała szeroko otwarte, lecz nadal nic nie widziała. Miała wrażenie, że silne męskie dłonie wciąż ją przyciskają do łóżka, nie pozwalając się ocknąć. W nos uderzył ją silny nieprzyjemny odór psujących się ryb, ale ust też nie mogła otworzyć, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Uniosła ręce i natarła pięściami na pierś pochylającego się nad nią mężczyzny, lecz z takim samym skutkiem, jakby była muchą tłukącą się o szybę w bezowocnych próbach wydostania się na zewnątrz. Aż zaśmiał się z jej wysiłków i zrobił to z nieskrywaną satysfakcją. Krzyknęła na cały głos.

Zdołała nagle otworzyć szeroko oczy. I obudzić się. Ale w rzeczywistości nadal śniła.

Na brzegu jej łóżka siedział Stride. Usłyszała własny głos: „Cześć, szefie”. Zabrzmiało to wyraźnie kusząco, chociaż nie miała takiego zamiaru. Uśmiechał się do niej ze wzrokiem uderzająco tajemniczym i ironicznym. Rozrzuciła szeroko ramiona,

chcąc go przytulić do siebie, lecz gdy rozchyliła usta do pocałunku, rozpląnął się w jej objęciach niczym woskowa kukła.

I wtedy ponownie z jej pamięci wypłynął wyraźny, choć odległy odgłos wystrzału.

Usiadła w łóżku, oddychając szybkimi drobnymi haustami powietrza. Spojrzała na budzik stojący na nocnej szafce. Minęła trzecia nad ranem. Przespała jedynie dwie godziny, choć w zasadzie nawet nie był to sen, a tylko pijacka utrata świadomości wypełniona dziwnymi majakami. To wszystko przypominało jeden wielki senny majak.

Zaniepokoił ją tylko występujący w nim huk wystrzału. Coś ją musiało obudzić. Możliwe, że to Eric krążący bez przerwy po domu. A może porywisty wiatr, pod którego naporem aż pojękiwały belki. Zastygła bez ruchu, zamieniając się w słuch. Zaczął padać śnieg, dopiero szelest śniegowych płatków ciskanych wiatrem o szybę zmusił ją, by spojrzeć za okno. Próbowała wyłowić dobiegające z dołu kroki, ale w domu panowała cisza.

Przypomniała sobie nagle, co jej powtarzał Stride. Nigdy nie należy się przejmować zmartwieniami, które spadają na człowieka w środku nocy.

Uświadomiła sobie, że jest jej zimno. W sypialni czuła przeciąg, a była lekko spocona. Nawet w styczniu sypiała w samych majtkach, gdyż w pościeli nie lubiła czuć się skrępowana ubraniem, ale przez to często budziła się zmarznięta. Wstała z łóżka, podeszła do termostatu i przestawiła go o kilka stopni. Gdzieś w głębi domostwa ożył piec gazowy i po chwili do pokoju zaczęło płynąć cieplejsze powietrze.

Podeszła do szafy, żeby wyjąć szlafrok. Kiedy stanęła przed wpuszczonym w drzwi wysokim lustrem, popatrzyła na swoje odbicie w półmroku zalegającym sypialnię. Poświęciła wiele lat na wyszukiwanie kolejnych niedoskonałości swego ciała. Przede wszystkim była za niska, bo miała zaledwie sto pięćdziesiąt



centymetrów, i za chuda, bo jej ręce i nogi przypominały patyki, a piersi ledwie się uwypuklały na żebrach. Wyglądała jak trzydziestoletnia lalka. Czarne proste włosy nosiła obcięte zawsze tak samo, z grzywką zakrywającą czoło. Wszyscy jej powtarzali, że jest ładna, ale ona tego nie widziała. Nos miała drobny i nieco zadarty, a do tego policzki zbytnio zaokrąglone. Lekko ukośne oczy Azjatki były bardzo ciemne, niemal czarne, ale odznaczały się kilkoma żółtymi, nieregularnie rozmieszczonymi plamkami. W ogóle rysy twarzy wydawały jej się zanadto symetryczne. Potrafiła robić zdumiewające miny, rozciągać zaciśnięte usta w długą wąską linię w wyrazie skrajnej ironii albo też układać wiśniowoczerwone wargi w malutki ryjek, niczym ryba wyciągnięta z wody. Z jej punktu widzenia nie były to elementy pozwalające określić ją jako ładną.

Uniosła rękę do oczu. Przedramię o miodowym odcieniu było pokryte gęsią skórką. Przytknęła dłoń do nagiego płaskiego brzucha i nadal patrząc w lustro, zaczęła się wolno pocierać kolistymi ruchami. Po chwili oczy jej zasły mgłą, gdy napłynęły do nich łzy. Pospiesznie otworzyła drzwi szafy, żeby już nie patrzeć w lustro, i zdjęła z wieszaka jedwabny szlafrok. Włożyła go na siebie i ciasno zawiązała pasek.

Odwróciła się, pociągnęła nosem i wytarła oczy. Czuła się jak karlica w tej przestronnej sypialni z ciężkimi mahoniowymi meblami. Pod przeciwną ścianą stała bordowa komódka, wyższa od niej, bo musiała się wspinać na palce, by zajrzeć do górnej szuflady. W czterech rogach wielkiego łoża królewskich rozmiarów stały ręcznie rzeźbione drążki do umocowania baldachimu. To łóżko było zdecydowanie za duże, gdy sypiała w nim sama, co trwało nieprzerwanie już od wielu tygodni. Wolałaby się nawet do niego nie zbliżać.

Ledwie zrobiła parę kroków, zakręciło jej się w głowie. Wciąż jeszcze odczuwała skutki wina, które wypija w parku. Aż oparła

się na chwilę ręką o nocną szafkę. Kiedy jej wzrok padł na leżącą tam policyjną odznakę, znów ogarnęły ją ambiwalentne uczucia, jakie towarzyszyły jej przez całe dziesięć lat służby. Nie musiała teraz pracować, ale z kilku powodów nie mogła się rozstać z Wydziałem Dochodzeniowym, a właściwie z detektywem Stride'em. Zaważyło głównie to, że przez ostatni rok stopniowo jej życie prywatne stało się prawdziwym koszmarem i służbę policyjną traktowała jako sposób na zapomnienie o nim.

Spojrzała jeszcze raz na odznakę i dziwne mrowienie w dołku podpowiedziało jej, że coś jest nie w porządku. Sięgnęła pamięcią do wydarzeń ostatniego wieczoru, mając nadzieję, że pod wpływem alkoholu po prostu popełniła jakiś błąd. Ale nie. Jak zwykle przyszła na górę, położyła na szafce przy budziku swój portfel, odznakę, rewolwer i kluczyki od samochodu.

Tyle że teraz rewolweru tam nie było.

W ten środowy wieczór pogoda jeszcze bardziej się popsowała, choć i tak było pieszko zimno, jak zwykle w styczniu. Eric do dziesiątej nie wrócił do domu. Maggie z pomocą dżinu zbierała w sobie odwagę, żeby się wreszcie z nim rozmówić, ale stopniowo zaczęła się na niego po prostu wściekać. Stał się małomówny i zamknięty w sobie na tydzień przed świętami. Nawet nie mogła go za to winić. Już od wielu tygodni byli dla siebie jak obcy, bez przerwy się kłócili. Głównie przez nią. Bo to ona odwróciła się do niego plecami, odgradziła murem, tylko dlatego, że nie umiała sobie sama poradzić z tym, co ją spotykało. W końcu znudziło jej się czekanie i wyszła z domu, zabierając butelkę chardonnaya i korkociąg. Opatuliła się szczelnie futerkiem z rosyjskich soboli, które nosiła bardzo rzadko, chociaż dostała je w prezencie ślubnym, a było tak miłe i ciepłe, że czuła się w nim jak prawdziwa królowa. Jeszcze nie padało, a ulice były dość puste. Dojechała do śródmieścia,

wciąż jeszcze świątecznie udekorowanego, po czym skręciła na północ, w nadbrzeżną promenadę, którą dotarła aż do końca drogi nad jeziorem. Nikogo tu nie było. Zaparkowała wóz i otworzyła wino. Kiedy wysiadła, w twarz uderzył ją mroźny porywisty wiatr, lecz nie bacząc na to, ruszyła ośnieżoną alejką w stronę ciemnej sfalowanej toni Jeziora Górnego. Niebo było wspaniale ugwieżdżone, a tutaj roziskrzonych gwiazd nie tłumił poblask miasta leżącego na południu. Ośnieżone gałęzie świerków zwieszały się nisko ku ziemi. Nogi zapadały jej się w zaspę. Futerko sięgało tylko powyżej kolan, toteż mroźny wiatr dawał jej się we znaki na gołej skórze tydek.

Jezioro nawet przy samym brzegu nie było zamrożone, gdyż płynął tu silny nurt. Tylko w najmroźniejsze zimy zdarzało się, że mróz zwyciężał i pokrywał tu powierzchnię tafłą rozciągającą się na kilkaset metrów od lądu. Teraz jednak wzburzone wody kotłowały się przy brzegu, a spienione fale rozbijały na kamieniach. W poświacie księżycy sfalowane jezioro wyglądało tak, jakby jakieś morskie potwory bezskutecznie próbowały się wydostać z głębin na brzeg.

Maggie uniosła butelkę do ust i pociągnęła spory łyk wina. Było dobrze schłodzone i bardzo wytrawne. Nie jadła obiadu, toteż już po pierwszym łyku alkohol uderzył jej do głowy. Jak zwykle miała ochotę poużalać się nad sobą, lecz z każdą porcją wina to pragnienie odpływało w niebyt. Postąpiła nad jeziorem przez godzinę, dopóki nie opróżniła butelki. Ręce i nogi niemal całkiem jej zdrętwiały. W końcu wzięła duży zamach i cisnęła fiaszkę w spienione fale. Miała ochotę ułożyć się w zaspie i już nigdy z niej nie wstać.

A wcześniej rozebrać się do naga. Żeby szybciej zamarznąć na śmierć.

Nie zrobiła tego jednak. Mimo że nie miała po co wracać do domu, zmusiła się do wyruszenia w drogę powrotną. Chwiejnym

krokiem dotarła na parking i jakiś czas siedziała jeszcze w samochodzie, żeby odtajać. Wargi ją szczypały. Twarz miała pobladłą, a włosy przyprószone śniegiem. Czują się jak Blaszyński Drwal, zardzewiały, wymagający naoliwienia.

Jechała przez miasto powoli, odczuwając skutki wypitego wina. O pierwszej w nocy dotarła na tonącą w ciemności opustoszałą ulicę. We wszystkich domach światła były pogaszone, należało się domyślać, że mieszkańcy leżą w łóżkach, szczelnie opatuleni kołdrami. Kiedy otworzyła garaż, zauważyła, że Eric także jest już w domu. Prawdopodobnie spał w swoim gabinecie. Przyszło jej na myśl, żeby go obudzić i rozmówić się, jak planowała, ale zaraz postanowiła poczekać z tym do rana.

Nie zapalając światła, zdjęła futerko w holu. Pod lustrem w mosiężnej ramie znajdowała się zabytkowa komódka. Zwróciła uwagę, że na lakierowanym blacie coś stoi. Eric musiał to zostawić po powrocie do domu. Była to czarna fajansowa filiżanka do kawy, pod nią leżała złożona na czworo kartka z jej imieniem wypisanym ręcznie przez Erica. Na dnie filiżanki dostrzegła jeszcze fusy po kawie.

Wyciągnęła kartkę i rozłożyła ją. Nawet w półmroku bez trudu zdołała odczytać wypisane na niej jedno zdanie: „Wiem, kto to jest”.

Jak urzeczona zapatrzyła się na tę wiadomość. Była to ta sama stara piosenka, te same oklepane podejrzenia. Wściekało ją, że nadal jej nie wierzył. Ze złością zgmiotła kartkę, wepchnęła ją do kieszeni i poszła na górę do sypialni.

Gdzie się podział jej rewolwer?

Do głowy przychodziło jej tylko jedno wyjaśnienie. Musiał go wziąć Eric. Przyszedł do sypialni i zabrał broń z nocnej szafki. Zatem huk wystrzału chyba wcale jej się nie przyśnił. Tyle że

nie miało to żadnego sensu. Eric nie był typem samobójcy. Uwielbiał życie, był pełen zapału i energii, przepracowywał się. I od niej wymagał tego samego.

Nagle podłogę sypialni rozciął stożek białego światła. Maggie instynktownie przykucnęła, a następnie podkrađła się do szerokiego okna wychodzącego na jezioro. Podniosła się przy ścianie i ostrożnie wyjrzała zza rogu. Była przekonana, że ciemność w pokoju skutecznie ją ukryje. Ujrzała zapalone światła samochodu stojącego pięćdziesiąt metrów dalej, przy ulicy. Niemal w tej samej chwili wóz ruszył od krawężnika, szybko zawrócił, aż koła złapały poślizg na ośnieżonym asfalcie, i odjechał. Nie zdążyła nawet spostrzec koloru ani rozpoznać marki.

Stała jeszcze przez chwilę, wyglądając na ulicę. Nadal padało, niesione wiatrem duże płatki śniegu obijały się o szybę. Kiedy spuściła wzrok, zauważyła wyraźne ślady na śniegu prowadzące podjazdem od drzwi domu do ulicy. Błyskawicznie zniknęły pod świeżym opadem.

Podbiegła do wyjścia z sypialni. Zawahała się jeszcze na chwilę z ręką na klamce, ale zaraz szarpnięciem otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz wypełniony głębokimi cieniami. Podjęła ryzyko i zawołała cicho:

- Eric?!

Chwilę później powtórzyła głośniejsze:

- Eric!

Odpowiedziała jej przytłaczająca cisza. Wciągnęła nosem powietrze przepelnione zapachem befsztyków, które zrobiła na obiad, a których nikt nie tknął. Idąc tuż przy ścianie, zeszła na palcach po schodach. Zerknęła do salonu, potem do sypialni, ale nikogo tam nie było. Terakota wydawała jej się bardzo zimna pod bosymi stopami, owinęła się szlafrokiem jeszcze szczelniej. Kierując się do gabinetu Erica, pożałowała, że nie ma swojego rewolweru.

Pod drzwiami usłyszała powolne i miarowe kapanie. Krople cieczy spadały w kałużę rozlanego płynu. Żołądek podszedł jej do gardła. Uchyliła drzwi, wsunęła rękę do środka, wymacała kontakt na ścianie i zapaliła światło. Na chwilę odruchowo zmrużyła oczy. Odgłos monotonnego kapania przybrał na sile. Poza tym w nozdrza uderzył ją charakterystyczny zapach, doskonale jej znany ze służby w policji.

Weszła do gabinetu. Eric leżał na sofie z szeroko rozrzuconymi rękoma. Krew spływała mu po boku głowy i skapywała do kałuży na podłodze. Wyciekała z rany po kuli czerniejącej na czole. Maggie nawet nie podbiegła do męża. Nie było już po co. Na pewno nie żył. W jej świadomości dołączył do dziesiątków trupów, jakie widziała przez lata służby. Za to instynktownie powiodła wzrokiem po całym pokoju, wypatrując śladów zostawionych przez zabójcę. Nie zauważyła ich jednak, pomijając jedną wielką tajemnicę. Otóż jej rewolwer, który położyła na nocnej szafce w sypialni, kładąc się spać, teraz leżał na podłodze pośrodku gabinetu. Przez żelazisty odór świeżej krwi przebijał się jeszcze smród prochu.

Nie potrafiła nawet zapłakać, chociaż miała ochotę osunąć się na posadzkę i przez łzy zapytać Boga, jak mogło do tego dojść. Ale w głębi serca nie umiała odnaleźć nawet odrobiny żalu. Przygryzła tylko wargi i zapatrzyła się na mężczyznę, którego kiedyś kochała, rozmyślając o tym, że jej życie, tak marne i żalosne od roku, teraz stało się jeszcze bardziej godne pożałowania.

## 2.

Nie widać żadnych śladów na śniegu, pomyślał Jonathan Stride, a więc mamy już pierwszy problem.

Doskonale wiedział, jak szybko zacierają się ślady w taką pogodę. Spoglądając na frontowy trawnik, mógł ocenić, jak błyskawicznie wiatr i świeży śnieg maskują jego ślady, zostawione zaledwie przed kilkunastoma sekundami. Mimo wszystko czułby się o wiele lepiej, gdyby mógł aparatem wbudowanym w telefon komórkowy sfotografować choćby najmniej wyraźne ślady, żeby mieć dowód, że takowe w ogóle tu były.

Ślady zabójcy. Na pewno nie Maggie.

Obrzydzeniem napawała go myśl, że już wie, jak potoczy się śledztwo. Maggie również to wiedziała, gdy ze szczegółami opisywała mu przez telefon, co się stało. To ona musiała zostać główną podejrzaną. Wspólnie rozwiązywali zagadki morderstw od ponad dziesięciu lat i ta reguła była tak niezmienna, jak przepisy prawa. Jeśli gospodarz ginął we własnym domu, winę ponosiła jego żona. I odwrotnie. W żadnym stopniu się nie liczyło, czy chodzi o kaznodzieję, chrześcijanina, polityka, czy też człowieka bez reszty oddanego swojej rodzinie. Tak samo podejrzany byłby święty, jak i gliniarz. Potrzebne byłyby niezbite dowody, żeby się uwolnić od zarzutu zabicia współmałżonka.

Strząsnął śnieg z grubej czarnej skórzanej kurtki oraz džinsów. Był szczupły i wysoki, miał sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Nerwowo przeciągnął dłonią po mokrych kręconych czarnych włosach, w których pojawiały się pierwsze ślady siwizny. Nawet nie musiał naciskać dzwonka, drzwi się otworzyły, ledwie wkroczył na ganek. Maggie w czerwonym jedwabnym szlafroku wyglądała jak nastolatka. Zajrzał jej w twarz, wypatrując śladów łez, ale ich nie dostrzegł.

- Cześć, szefie - powiedziała.

Przez chwilę tylko patrzył na nią, gdyż zabrakło mu słów.

- Chyba lepiej zostawię buty przed drzwiami - odezwał się w końcu. Zdjął je szybko, a po chwili ściągnął także kurtkę, którą

rzucił na krzesło stojące na werandzie. Jak tylko przekroczył próg, przykucnął, żeby dokładnie przyjrzeć się zamkowi w drzwiach.

- Nie było włamania - uprzedziła Maggie. - Już sprawdzałam.

- Nawet nie próbuj prowadzić śledztwa na własną rękę, Mags.

- Przecież potrafię rozpoznać, czy zamek był otwierany wytrychem - odparła ostro. Zaraz jednak przygryzła dolną wargę, a chwilę później, jakby w ramach przeprosin, uściskała go serdecznie. Była drobna, ale silna. I dość długo nie wypuszczała go z objęć. - Przepraszam - mruknęła. - Dzięki, że przyjechałeś.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś pod dziewięćset jedenaście? - spytał, zawstydzony oskarżycielskim brzmieniem własnego głosu.

Odsunęła się i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Bo wiem, co mnie czeka. Najpierw tabun glińiarzy przetrząśnie cały dom, potem godzinami będę musiała odpowiadać na pytania. Zlecają się dziennikarze, zjadą ekipy telewizyjne. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby stawić czoło temu wszystkiemu.

- Przecież popełniono morderstwo. W dochodzeniu liczy się każda minuta.

Skrzywiła się z niesmakiem.

- W dochodzeniu? To będzie raczej polowanie na czarownice. Między sobą nie musimy niczego owijać w bawełnę. Jestem w olbrzymich kłopotach.

Trudno się było z tym nie zgodzić.

- Sprawdziłaś cały dom? - zapytał.

- Nie.

- W porządku, więc ja się tym zajmę.

- Już ci mówiłam, że on uciekł.

- On?

- Oczywiście tylko zakładałam, że to był mężczyzna. Ale ponieważ chodzi o zabójstwo Erica, nie powinnam niczego zakładać, prawda? - Zaśmiała się gorzko. Stride zmarszczył brwi.



- Poradzę ci coś jak przyjaciel, Mags, a nie jak glina. Nie powinnaś w ogóle odzywać się tym tonem. Jasne? Najlepiej trzymaj gębę na kłódkę.

Spuściła głowę i czubkiem stopy zgarnęła z podłogi nieistniejący pyłek.

- Zgadza się. Tyle że nie chcę trzymać gęby na kłódkę. Mam ochotę wpaść w szal i nakrzyczeć na kogoś.

- To ci w niczym nie pomoże.

- Czyżby? Według mnie powinno mi ulżyć. - Spojrzała mu w oczy i natychmiast dodała miękko: - Tak, wiem. Masz rację. Rozumiem też, że nie powinno cię tu być. Jeśli zechcesz od razu odejść, nie będę miała ci tego za złe.

Nie odpowiedział, bo nie było o czym mówić. Rzeczywiście stąpał po kruchym lodzie, gdyż nie mogło mu przypaść w udziale właśnie to dochodzenie. Byli z Maggie nie tylko partnerami, ale także przyjaciółmi od dziesięciu lat, zatem nie było co marzyć, by pozwolono mu mieć cokolwiek wspólnego ze śledztwem w jej sprawie. Miał stopień porucznika i kierował wydziałem dochodzeniowym komendy w Duluth, na południowo-zachodnim krańcu Jeziora Górnego, gdzie mocno zwężone wrzynało się niczym nożem w kierunku serca miasta. Duluth było jednak na tyle małe, żeby Stride grał główną rolę niemal we wszystkich poważnych śledztwach. Ale tym musiał pokierować któryś z zastępujących go sierżantów.

Dobrze wiedział, że właśnie z tego powodu Maggie chciała się z nim zobaczyć przed przyjazdem ekipy dochodzeniowej. Pragnęła go zapoznać z miejscem zbrodni i wtajemniczyć w jej okoliczności, by na gorąco zapoznać się z jego zdaniem, jak gdyby włączając go tym samym do własnego indywidualnego zespołu śledczego.

- Zaparz nam obojgu porządną kawę, dobrze? Ja sprawdzę resztę domu.

Skrzywiła się po raz drugi.

- Przecież wiesz, że nie piję kawy.

- Teraz się napijesz - odparł stanowczo. Po chwili dodał: - Pozułem od ciebie alkohol, kiedy otworzyłaś mi drzwi.

Odwróciła się bez słowa i poszła do kuchni.

Zaczął od gabinetu Erica, ale tylko zajrzał do środka, nie chcąc wchodzić dalej. Z daleka popatrzył na ranę od kuli na czole zabitego, mocno zbudowanego mężczyzny leżącego na bordowej skórzanej sofie, do pasa okrytego białym kocem, powyżej którego widać było jego obnażoną bezwłosą pierś. Głowa otoczona długimi blond włosami spoczywała na poduszce, w jej zagłębieniu krew zgromadziła się jak w wazie do ponczu. Rewolwer leżał na podłodze na środku pokoju, dobre trzy metry od ciała, a więc za daleko, by można to uznać za samobójstwo. Stride rozejrzał się szybko po terakocie, wypatrując gdzieś śladów brudnej wody, jaka mogłaby zostać po zaśnieżonych butach, lecz sprawca był ostrożny. Pewnie tak jak wszyscy, zdjął buty w przedsionku czy nawet przed drzwiami, po czym wszedł do środka w samych skarpetach.

Oczywiście zakładając, że faktycznie był tu ktoś obcy.

Serce nie zabiło mu mocniej na widok trupa Erica. Już przed laty wyrobił w sobie obojętność na tego rodzaju emocje. Faktu nie zmieniało nawet to, że osobiście znał zabitego. Eric i Maggie byli małżeństwem ponad trzy lata, a on wiele razy był gościem w ich domu. I zawsze czuł się tu niezręcznie. On i jego partnerka mieli za sobą długą przeszłość, zanim jeszcze Eric w ogóle pojawił się na scenie. Przez lata Maggie w skrytości podkochiwała się w nim, a on nie umiał jeszcze ocenić, czy to uczucie do końca wygasło. Eric musiał zdawać sobie z tego sprawę.

Ruszył dalej energicznym krokiem, zaglądając kolejno do wszystkich pomieszczeń na wszystkich trzech kondygnacjach. Zajęło mu to prawie pół godziny. Wielki dom - zdecydowanie za duży dla bezdzietnego małżeństwa - pełen był komórek i schowków o spadzistych dachach oraz zakamarków, w których hulał wiatr przedzierający się szparami do środka. Stał na osiedlu równie cennych posiadłości rozmieszczonych w bok od Dwudziestej Czwartej Alei, kilkaset metrów na zachód od biegnącej z północy na południe autostrady. Kiedyś mieszkali tu głównie potomkowie starych bogatych rodzin, teraz dominowali wyżsi rangą urzędnicy i drobni przedsiębiorcy. Eric wszedł w posiadanie tego domu ponad dziesięć lat wcześniej. Był olimpijskim pływakim, który wzbogacił się na własnej firmie dostarczającej sprzęt sportowy z całego świata, przeznaczony głównie dla zawodowców z dyscyplin zimowych. Dom tak bardzo przypominał stary europejski zameczek, jakby aspirował do rangi autentycznego zabytku. Dwuspadowy fronton z jasnoczerwonej cegły wyglądał od ulicy jak przód olśniewającego potwora. Maggie go nienawdziła. Gdy Eric wyruszał w swoje podróże służbowe do Norwegii czy Niemiec, czasami przyjeżdżała nad jezioro, żeby pomieszkać razem z nim i Sereną.

Kiedy wrócił na dół, zastał ją w kuchni, gapiącą się tępo w filiżankę z kawą. Biał z lazuruowego marmuru był wymyty do czysta.

- Niczego nie znalazłem - powiedział.

Pokiwała głową, dając mu znać, że to żadna nowość.

- Opowiedz mi wszystko jeszcze raz. Tak samo, jak przez telefon. Co się stało?

Maggie monotonnym głosem ponownie zrelacjonowała mu wydarzenia minionego wieczoru. Zaakcentowała to, że obudził ją huk wystrzału, potem zauważyła odjeżdżający ulicą samochód, wreszcie odnalazła na dole trupa Erica. Nawet słowem nie

wspomniała o tym, że była pijana, zaczął się więc zastanawiać, czy na pewno nie ukrywa przed nim niczego więcej.

- Jak zabójca dostał się do środka? - zapytał.

- Wiele nad tym myślałam. Mógł się przyczaić za domem i wśliznąć do garażu, kiedy wstawałam samochód. Nigdy nie zamykaliśmy drzwi łączących garaż z resztą domu.

- A twój rewolwer?

- Powiedzmy, że mógłby bez kłopotu zakraść się do sypialni, żeby zabrać moją służbową broń z nocnej szafki, nie budząc mnie przy tym.

- Czy Eric nie miał ostatnio żadnych poważniejszych kłopotów?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Jak szły jego interesy?

- Z tego, co wiem, doskonale.

- Z tego, co wiesz?

- Nigdy go o nic nie pytałam. Nie mam nawet pojęcia, ile forsy miał na koncie. W każdym razie wszystkie rachunki były terminowo płacone. Śmiało można przyjąć, że zarabiał dużo więcej ode mnie, biorąc pod uwagę nędzne policyjne pensje.

Uśmiechnął się krzywo.

- Wiesz, gdzie dzisiaj był?

- Nie mam pojęcia. Weekend spędził w Saint Paul i Minneapolis. Wrócił w poniedziałek, ale widzieliśmy się tylko przelotnie. A wczoraj wieczorem nie zjawił się w domu na obiedzie.

- Jak się ostatnio układało między wami?

Maggie wzruszyła ramionami.

- W porządku - burknęła, ale bez przekonania.

Stride odczekał jeszcze chwilę, licząc na dalsze wyjaśnienia, ale nie padły.

- Czy jest coś jeszcze, co chciałabyś mi powiedzieć? - zapytał.
- Nie.
- Podejrzewasz, kto mógłby chcieć go zabić?
- Nie licząc mnie, prawda? - odrzekła ostro. - Ale ja go nie zabiłam. I muszę mieć pewność, że mi wierzysz.
- Wierzę.
- Doprawdy? - zagadnęła chytrze. Nie dało się ukryć, że miała wiele wątpliwości.
- Od dłuższego czasu nie byłaś sobą - rzekł. - Z jakiego powodu?

Maggie aż poczerwieniała ze złości.

- To nie ma nic wspólnego ze sprawą zabójstwa.
- Na pewno?
- Daj spokój, szefie. To nie twoja sprawa.
- Sądziłem, że nie będziemy mieć nawzajem przed sobą tajemnic.
- Przestań traktować mnie jak dziecko. - Wstała tak gwałtownie, że szlafrok zsunął jej się z ramienia i Stride zobaczył nieco więcej, niż powinien. Ale Maggie nawet się nie zmieszała. Rzuciła tylko: - Chyba powinnam się ubrać. Lepiej spuścić już psy z łańcucha.

- Pewnie się domyślasz, o co będą cię rozpytywać.

Skinęła głową.

- Owszem. Dlaczego Eric nie spał razem ze mną w sypialni.

- No więc?

Wbiła obie dłonie głęboko w kieszenie szlafroka.

- Eric miał kłopoty ze spaniem. Często po nocach schodził na dół, żeby popracować, a kiedy się zmęczył, ucinał sobie krótką drzemkę na sofie.

Sposób, w jaki unikała jego spojrzenia, gdy wychodziła z pokoju, odpowiedział mu, że kłamie.

### 3.

Został przed domem w swoim fordzie bronco, obserwując krzątanię ekipy dochodzeniowej. Palił papierosa, pochylony w stronę opuszczonej do końca szyby. Pozwalał sobie tylko na jednego dziennie, najwyżej dwa. Ale ten był już trzeci. Śnieg nadal padał, a jego mokre płatki nie tylko oblepiały przednią szybę auta, ale wpadały także do środka, gnane wiatrem. I były na tyle zmrożone, że gdy osiadały na jego policzkach, odczuwał to jak ukąszenia komarów.

Nie znosił, gdy cokolwiek wyłączało go z głównego nurtu policyjnej działalności, ale w tej sytuacji sam się wycofał. Zatem gdy jacyś gliniarze podchodzili w oczekiwaniu rozkazów, wzruszał tylko ramionami, wskazywał im dom Maggie i kazał szukać Abela Teitschera. Wszyscy z niedowierzaniem przyjmowali informację, że to właśnie Teitscher prowadzi śledztwo. On także nadal nie mógł w to uwierzyć.

Zadzwonił jego telefon komórkowy. Fragment ludowej melodii, który zaprogramował jako sygnał wywołania, rozbrzmiał niczym zachęta do skocznego tańca. Wcześniej sygnałem w jego aparacie był początek piosenki *Restless* Sary Evans. Zaprogramował go, gdy był poza Duluth, podczas krótkiego i niezwykłego pobytu w Las Vegas. Zaraz po powrocie nigdzie nie mógł zagrać miejsca i nie bardzo rozumiał przyczyny tego stanu. Dlatego też wybrał za sygnał telefoniczny melodię *I'm in a hurry*. Jeśli wierzyć jej słowom, niczego więcej nie potrzebował, jak umrzeć po przeżyciu swojego czasu.

Dzwoniła Serena, z którą dzielił nie tylko łóżko, ale cały dom, chociaż ostatnimi dniami spędzali razem tyle czasu z Maggie, że można by uznać ich związek za przedziwny trójkąt.

- I jak się przedstawia sytuacja? - zapytała Serena.
- Maggie coś ukrywa - odparł wprost.
- Ale nie podejrzewasz, że to ona zabiła, prawda?
- Nie, lecz czuję, że nie jest ze mną całkiem szczerą. I pewnie przyjdzie jej za to zapłacić.
- Kto poprowadzi dochodzenie?
- Rozmawiałem z K-2 - odparł, wykorzystując powszechnie znaną w wydziale ksywkę jego zastępcy, Kyle'a Kinnicka. - Przekazał sprawę Teitscherowi.
- Cholera.
- Masz rację. Ja wybrałbym kogoś innego.
- Możesz jej jakoś pomóc?
- Nie bardzo. Jestem między młotem a kowadłem.
- Ale ja nie - oznajmiła Serena.
- To prawda. Ty masz całkiem wolną rękę.
- Tylko informuj mnie na bieżąco.

Stride złożył telefon.

Był przeświadczony, że dostał drugą szansę po tym, jak pięć lat temu zmarła jego żona Cindy. Serena także była wcześniej śledczą, tyle że w Las Vegas, a prowadzone przez nich wspólnie dochodzenie zaowocowało tym, że skończyli jako kochankowie. Kiedy śledztwo dobiegło końca, pojechał za nią do Las Vegas, ale już po kilku miesiącach przekonał się dobitnie, że czuje się tam jak ryba wyciągnięta z wody. Gdy tylko pojawiła się szansa odzyskania wcześniejszego stanowiska na komendzie w Duluth, przyjął ją bez wahania, po czym poprosił Serenę, żeby pojechała razem z nim. Nie chciała się jeszcze z nim wiązać i niczego nie obiecywała, pełna obaw, że poczuje się tak samo nie na miejscu w Duluth, jak on w Las Vegas. Ale została z nim i byli razem już ponad półtora roku.

Obejrzał się na ganek domu Maggie, gdy na kamiennych schodach pojawił się Abel Teitscher, który ruszył w jego stronę. Co

dziwne, właśnie Teitscherowi zawdzięczał sposobność powrotu na wcześniejsze stanowisko w Duluth. Kiedy wyjechał z miasta, to właśnie on wystąpił o awans na stanowisko kierownika wydziału dochodzeniowego i wygrał konkurs.

Był rzetelnym detektywem, upartym i skrupulatnym, mającym do tego stosowne doświadczenie. Dobiegał sześćdziesiątki i był prawie dziesięć lat starszy od Stride'a, lecz stanowił wyjątkowy przykład upartego samotnika, który nie znosi nad sobą żadnych przełożonych. Niemniej cały zespół wydziału dochodzeniowego już po paru miesiącach rządów Teitschera ogłosił gotowość do rebelii, toteż K-2 był zmuszony zrewidować swoją decyzję o promocji detektywa, no i w porę wykorzystał nadarzącą się sposobność ściągnięcia Stride'a z powrotem z Las Vegas.

Teitscher do dzisiaj nie mógł mu tego zapomnieć.

Teraz obszedł maskę forda, otworzył prawe przednie drzwi, bez zaproszenia wsiadł do samochodu i wyciągnął przed siebie długie nogi. Przez chwilę obaj mierzyli się taksującymi spojrzeniami.

- Witaj, Abel - odezwał się Stride.

Teitscher skinął głową.

- Poruczniku...

Z jego twarzy można było wyczytać wszystkie bolesne doświadczenia minionych lat. Też był wysoki i szczupły, ale odznaczał się drobnymi siateczkami zmarszczek w kącikach oczu i na zapadniętych policzkach. Włosy miał całkiem siwe, po wojskowemu króciutko przycięte, tak samo jak wąskie szczeciniaste wąsy w stylu Hitlera. Był obsesyjnym zwolennikiem joggingu, zatem pod skórą nie miał ani grama zbytecznego tłuszczu, ale przez to wyglądał na śmiertelnie wychudzonego. Raziły zwłaszcza odstające kości policzkowe i daleko wysunięta szpiczasta broda. Do tego nosił zdecydowanie za duże do swojej twarzy okulary w drucianej oprawie.

- Stracił pan nagle zdrowy rozsądek, poruczniku? - zapytał.



- To znaczy?

- Zatarł pan ślady na miejscu zbrodni.

Stride pokręcił głową.

- Nic takiego nie zrobiłem.

- Spędził pan godzinę przy zwłokach, w towarzystwie podejrzanej, i nie zawiadomił pan policji.

- Przecież sam służę w policji - przypomniał mu.

- Ale nie w tym wypadku. Doskonale pan wie, że K-2 będzie musiał wyeliminować pana z dochodzenia. Więc czym się pan kierował, do cholery?!

- Przecież mówimy właściwie o Maggie. A ona tego nie zrobiła.

- Czyżby? Chyba nie chce pan dostrzec przekonujących dowodów, poruczniku.

Stride nie zamierzał się wdawać w kłótnię, na pewno nie teraz i nie w tym miejscu.

- Posłuchaj, Abel. Maggie zadzwoniła najpierw do mnie, ponieważ pracujemy ze sobą od dziesięciu lat. Dlatego przyjechałem, żeby z nią porozmawiać. Upewniłem się tylko, że nikogo oprócz nas nie ma w domu. Zaraz po tym zadzwoniłem po ekipę dochodzeniową. To wszystko.

- Zatem od tej pory jest pan świadkiem i będę musiał pana przesłuchać.

- Śmiało.

Teitscher pokręcił głową.

- Nie teraz. Poproszę jednak o raport, w którym opisze pan szczegółowo wszystko, co się zdarzyło podczas pańskiego pobytu w tym domu. I ma to być raport oficjalny.

- Jasne - odparł Stride.

- Chcę go mieć do południa.

Teitscher otworzył bagażnik auta, lecz Stride szybko położył mu dłoń na ramieniu.

- Jesteś dobrym gliną, Abel, lecz czasami tak bardzo się

koncentrujesz na tym, co masz pod nosem, że przez drzewa nie widzisz lasu.

- Jak mam to rozumieć?

- Powinieneś lepiej znać Maggie. Skoro mówi, że tego nie zrobiła, to traktuj to jak prawdę objawioną. Wydarzyło się tu coś innego.

Teitscher pochylił się w jego stronę, aż Stride'a owionął intensywny zapach jego wody kolońskiej.

- Ja ci powiem, co tu się wydarzyło. Zastaję w domu samotną kobietę, jej mąż już nie żyje, a rewolwer leży na podłodze na środku pokoju. A ona w dodatku próbuje mnie okłamywać. Myślisz, że nie potrafisz tego wyczuć?

- Jeśli cokolwiek ukrywa przed tobą, na pewno nie ma to nic wspólnego z zabójstwem.

- Szkoda, że nie może pan sam siebie posłuchać, poruczniku - odparł Teitscher pogardliwym tonem. - Gdyby chodziło o kogoś innego, już by go pan wyprowadzał z domu skutego kajdankami.

Zgadza się, miał rację. Ale jednocześnie działał pod wpływem własnych uprzedzeń.

- Czy mówimy tu o Maggie, czy o kimś innym, na przykład Nicole?

Sierżant zaczerwienił się nagle.

- To było wiele lat temu.

- Owszem, wiele lat temu. Lecz także chodziło o twoją partnerkę, której męża znaleziono martwego na podłodze w rodzinnym domu. Zaufałeś wtedy Nicole i to był twój błąd. Dlatego teraz jesteś wrogo nastawiony do Maggie.

- Szkoda, że nie dostał pan takiej samej lekcji jak ja - warknął Teitscher. Otworzył drzwi, obrócił się, wystawił nogi na zewnątrz, po czym pchnął ich śladem głowę oraz ramiona i wyprostował się. Jego zeszytniały płaszcz przeciwdeszczowy, niedostosowany do zimowych mrozów, uniósł się za nim jak karykaturalna peleryna.

- Nikomu nie należy ufać, Stride. Zamiast w ciemno kryć Maggie, może powinien pan zapytać sam siebie, czy naprawdę aż tak dobrze ją pan zna.

Ostatnie słowa sierżanta kołatały się Stride'owi w głowie przez całą drogę powrotną do domu. Czy naprawdę znał Maggie aż tak dobrze? Ale na to pytanie mógł sobie odpowiedzieć tylko w jeden sposób: „Lepiej niż kogokolwiek innego na tej ziemi”.

W niczym nie przypominała tej małomówniej zastraszonej Chińczki, którą poznał dziesięć lat temu. Wychowywała się w Szanghaju, w wieku osiemnastu lat podjęła studia kryminalistyczne na Uniwersytecie Stanowym w Minnesocie. Kiedy została wplątana w działalność polityczną po zajściach na Placu Tiananmen i znalazła się w gronie przeciwników chińskich władz, zdecydowała, że po uzyskaniu dyplomu zostanie w Minnesocie, gdyż powrót do kraju mogłaby przypłacić wtrąceniem do więzienia.

Stride bez namysłu wciągnął ją na służbę za fotograficzną pamięć oraz niezwykły dar krytycznego oceniania każdego miejsca zbrodni. Ponadto była mądrzejsza od większości gliniarzy, z którymi dotąd przyszło mu pracować, lecz typowo po chińsku bywała uparta i nieprzejednana. Nie dbała o modne stroje czy makijaż i nie rozpowszechniała na lewo i prawo głupich dowcipów. Do tego prawie zawsze miała kamienny wyraz twarzy. Ilekroć próbował ją podrywać, szybko dochodził do wniosku, że popełnił jakiś kardynalny błąd.

Czasy się jednak zmieniały, a wraz z nimi Maggie.

Dziesięć lat służby w amerykańskiej policji wyraźnie ją odmieniło. Była teraz modniwą z szafą pełną stylowych skórzanych ciuchów oraz butów na wysokich obcasach. Najczęściej, ze względu na swój wzrost, robiła zakupy w działach młodzieżowych, może dlatego miała takie samo podejście do mody jak współczesne nastolatki. Mimo że przekroczyła trzydziestkę,

wciąż wyglądała na dwudziestoparolatkę i robiła wszystko, aby jeszcze powiększyć ten rozdźwięk. Ale kłóciła się z tym staromodna fryzura z grzywką równo przyciętą nad brwiami, jak też ślepe przywiązanie do jej chińskich korzeni. Przyciągała jednak wzrok chłopaków na ulicy, ku czemu wydatnie przyczynił się diamentowy kolczyk, jaki przed rokiem kazała sobie założyć na skrzydełku nosa. Według jej zeznań, bolało jak cholera, ale z wyraźną dumą odbierała błyski prawdziwego klejnotu na twarzy.

Wyrosła na bardzo seksowną kobietę, jednakże Stride zawsze traktował ją jak własną córkę, z której był z jednej strony dumny, a z drugiej podchodził z typowo ojcowską nadopiekuńczością. Być może zaważyło na tym, że poznali się wtedy, gdy ona dopiero wkraczała w dorosłość, a on był ledwie w początkowej fazie szczęśliwego małżeństwa z Cindy. Dlatego wziął Maggie pod swoje skrzydła i obserwował z satysfakcją, jak rozkwita, dopóki nie wyczuł, że się w nim podkochuje. Cindy ostrzegала go przed emocjonalną katastrofą, jaką może przynieść związek z Maggie, wołał jednak udawać, że nie jest nią zainteresowany, w końcu Maggie przyjęła tę samą postawę. Niemniej wciąż między nimi tkwiło coś, niby niewidzialnego, lecz na tyle wyczuwalnego, że wciąż mieli tego świadomość.

Teraz Maggie w niczym nie przypominała tamtej nieśmiałej dziewczyny sprzed lat. Była pełna życia, zabawna, ale też pełna ironii. Odnaczała się ciętym językiem i oszalałającą bezpośredniością. Musiały minąć lata, nim ostre kany jej charakteru zdążyły się wygładzić i zaokrąglić. Wcześniej przypominała skomplikowaną maszynę wolną od jakichkolwiek emocji, ponieważ wychodziła z założenia, że policjantce nie przystaje ich okazywać. I chyba tylko on wiedział, jakie emocje są jej potrzebne, żeby dalej skutecznie pełnić trudną policyjną służbę. Nikt nie jest zdolny całkiem wyzwolić się od własnych uczuć, ale policjant nie mógł dopuścić, żeby uczucia nad nim zapanowały. Trzeba było znaleźć

kruchą równowagę między tymi postawami.

Wciąż pamiętał tamto dochodzenie, w którym Maggie dała się poznać z najlepszej strony, choć była jeszcze niedoświadczoną nowicjuską. A było to śledztwo z rodzaju tych, których detektywi nienawidzą, bo prześladuje ich latami. Maggie wtedy jeszcze tego nie rozumiała, była nastawiona wyłącznie na rozwikłanie sprawy. Nabrała po nim przeświadczenia, że jest na tyle mądra, że jeśli tylko wystarczająco dokładnie pozna szczegóły i odpowiednio je zinterpretuje, w każdej sprawie będzie potrafiła dotrzeć do prawdy. I zazwyczaj się nie myliła. Bywały jednak wyjątki.

Wspólnie ponad rok pracowali nad sprawą dotyczącą zwłok dziewczyny odnalezionych pewnego sierpniowego ranka na pokrytych rosą trawiastych terenach pola golfowego w sąsiedztwie Enger Park. Znaleziono ją nagą, już wstępne badania wykazały, że przed śmiercią została zgwałcona. Odciętej głowy oraz dłoni nigdy nie odnaleziono. Mogli się opierać wyłącznie na wnioskach koronera, który ocenił wiek dziewczyny na siedemnaście lat, a na podstawie śladów na szyi orzekł, że zmarła wskutek uduszenia. Identyfikację zwłok mogli oprzeć wyłącznie na podstawie imponującej gamy tatuaży zawierającej głównie symbole zespołów rockowych i gier wideo, takich jak Bon Jovi, Mortal Kombat, Aerosmith czy Virtual Fighter.

Brali pod uwagę rozmaite hipotezy, lecz w efekcie nie zdołali nawet ustalić, kim była zabita dziewczyna. Przejrzeli tysiące zgłoszeń o zaginięciu z całego Środkowego Zachodu. Przeprowadzili badania DNA na podstawie próbek nasienia pobranego ze zwłok, także bez rezultatu. Wspólnie z miejscowym psychiatrą opracowali profil domniemanego mordercy, który też na nic się nie zdał. Kontaktowali się z setkami gabinetów, gdzie wykonywano tatuaże. Rozpytywali we wszystkich klubach miłośników gier wideo. Nawigowali nawet łączność z agentami poszczególnych zespołów

rockowych. Upłynęły im na tym miesiące, aż wreszcie sprawa została odesłana do archiwum.

Ofiara do końca pozostała „dziewczyną z Enger Park” i tak już miało być na zawsze.

Przypomniał sobie, jak zastał Maggie krążącą nerwowo po sali konferencyjnej w komendzie jakiś miesiąc po tym, jak znaleziono zwłoki dziewczyny. Przeglądała od początku wszelkie zebrane materiały, podejrzewając, że coś przeoczyli, że na ich podstawie można określić jeszcze jeden trop do dalszych poszukiwań. Kiedy wreszcie się opanowała, popatrzyła na niego z zatroskaną miną i zapytała poważnie, jak zamierza prowadzić dalej dochodzenie. Poczul się wtedy tak, jakby celowo zatajał przed nią pewne fakty.

Musiał jej powiedzieć prawdę. Dopóki nie zdobędą jakichś nowych informacji, sprawa pozostanie nierozwiązana. Zatem morderca miał pozostać na wolności. Nie można było nikogo obwinie za śmierć dziewczyny. Niestety, czasami zdarzało się i tak.

Odniósł wrażenie, jakby Maggie nigdy wcześniej nie brała pod uwagę takiej możliwości.

Kłapnęła ciężko na krzesło, gapiąc się na niego w osłupieniu, a po chwili wydeła policzki z frustracji i oznajmiła ze stoickim spokojem, bez śladu obcego akcentu:

- To naprawdę wkurwiające, szefie.

W tamtej chwili Stride zdał sobie sprawę, że jego partnerka stała się prawdziwą Amerykanką. I policjantką.

## 4.

Stride mieszkał z Sereną w części Duluth określanej jako Park Point, na wąskiej mierzei oddzielającej wzburzone wody Jeziora Górnego od zespołu portowego, gdzie prawie na okrągło

przeładowywano na wielkie barki węgla, takonit czy zboże. Dom pochodzący z końca dziewiętnastego wieku stał na jeziorze, zaledwie kilkadziesiąt metrów od plaży. Kiedy wrócił w czwartek przed świtem, nocny mrok wypełniał ryk wściekłych fal, który można by wziąć za odgłos całej armii szturmującej przybrzeżną wydmy. Ruszył ośnieżoną ścieżką na tyłach domu, wspiął się na szczyt wydmy i popatrzył na spienione fale wdzierające się w głąb piaszczystej plaży. Niemal całkiem zniknęła pod wodą, a oblodzony wąski pas u podnóża wydmy bardziej przypominał zбитy z desek pomost niż piasek plaży. Porastające wydmy drzewa były całkiem pozbawione liści, wiatr pozrywał z nich ostatnie uschnięte resztki.

Długie żdźbła zycicy porastającej wydmy przypominały falujący dywan barwy żółto-brązowej. Śnieg topniejący wokół jego butów tworzył z ciemnożółtym piaskiem coś, co przypominało karmelową polewę rozpluwającą się na górcze czekoladowych lodów. Wciągnął głęboko w płuca mroźne rześkie powietrze. Na zachodzie światła Duluth, rozmyte jak we mgle, wznosiły się ostro po zboczach wzgórz górujących nad jeziorem. Na prawo mierzeja ciągnęła się jeszcze prawie dwa kilometry, a dalej, za szerokim pasem otwartych wód, mętnie połyskiwały światła pierwszych zabudowań na wybrzeżu Wisconsin. Blisko już było do świtu, lecz powłoka ciemnych chmur nad miastem była tak gruba, że pozostało tylko wziąć na wiarę, iż kiedyś przebiję się przez nią słońce i ogrzeje ten skrawek ziemi.

Wciąż nie mógł się uwolnić od poczucia zagubienia i osamotnienia, ilekroć tu przychodził. Wszyscy liczący się ludzie z jego przeszłości już odeszli. Dorastał na północnym brzegu jeziora i dopiero po stracie rodziców, a następnie żony, przed dwudziestu laty przeprowadził się tutaj. Dopóki Cindy żyła, nigdy nie nalegał, żeby mieli dzieci, teraz jednak często żałował, że nie zostawił po sobie niczego poza blaknącymi wspomnieniami. Spoglądając na

spienione fale, wrócił myślami do swojego ojca, który oddał życie tym wzburzonym wodom, gdy on miał kilkanaście lat. Często wyobrażał sobie barkę ojca, zanurzoną aż po krawędzie burt i płynącą przez te ciemne nieprzyjazne odmęty, z dala od lądu. W tych szerokościach nigdy nie było wiadomo, czy jakaś zdradliwa fala nie wyniesie się ponad inne i nie przewali przez burzę, zmywając ze sobą ludzi z pokładu. Ciała jego ojca nigdy nie odnaleziono.

Zarazem przemknęło mu przez myśl, że to chyba nieprawda, że nie da się wrócić do utraconej rodziny. Bo przecież to właśnie próbował przez lata zrobić. Zamieszkał na Park Point po ślubie z Cindy, ale z drugą żoną wyprowadził się stąd i zawsze tego żałował. To małżeństwo przetrwało zaledwie trzy lata, od początku było nieporozumieniem, co uświadomił sobie wtedy, gdy poznał Serenę i zakochał się w niej. Kiedy przed rokiem wróciła razem z nim z Las Vegas, odkupili z powrotem stary dom na Park Point, wrócił zatem do miejsca, w którym spędził większość swojego życia. Poczul się zupełnie innym człowiekiem, nie dawała mu jednak spokoju perspektywa zbyt wielu godzin poświęconych na wspomnianie dawnych lat.

Usłyszał za sobą chrzęst śniegu pod czyimiś butami i odwrócił się. Serena jego śladem wspinała się na szczyt wydmy. Czarne włosy miała rozpuszczone i rozczochrane. Poruszała się z wdziękiem i gracją, chociaż była opatulona w grube palto i prawie po kolana zapadała się w zaspach. Bez słowa stanęła przy nim i przez pewien czas oboje wpatrywali się w toń jeziora, jak gdyby stęsknieni porannej bryzy uderzającej im w twarz. Lodowaty wiatr szybko jednak sprawił, że jej policzki się zaróżowiły. Nie była umalowana.

- Wiem, że nie chcesz tego słuchać - odezwała się w końcu cicho - ale Maggie naprawdę mogła popełnić to morderstwo.

Zagryzł wargi, spuścił głowę i pogrzebał czubkiem buta w zmrożonym piasku.



- Nie wierzę.

- Nie twierdzę, że to zrobiła, ale już od roku jechała na emocjonalnym wagoniku górskiej kolejki. Każdy musi kiedyś pęknąć...

- Dobrze o tym wiem, ale powiedziała mi, że jest niewinna.

- Co o tym sądzi Abel?

- Teitscher? Zachowuje się tak, jakby już zdołał przypiąć tarczę strzelniczą do jej piersi. Martwię się, co odkryje, jak tylko zacznie głębiej kopać.

- A co może odkryć?

- Sądzę, że Maggie i Eric mieli poważne kłopoty.

Serena nawet się nie zdziwiła.

- W końcu trzy razy poroniła w ciągu osiemnastu miesięcy, Jonny. Nie uważasz, że to mogło fatalnie się odbić na jej stanie psychicznym?

- Na pewno się odbiło, ale miałem na myśli kłopoty małżeńskie, które mogłyby stać się motywem zabójstwa. Zwłaszcza ze względu na majątek Erica. Abel jest przeświadczony, że Maggie coś przed nim ukrywa, a mnie się zdaje, że ma rację.

- Wiesz, co to może być?

- Nie.

Serena wsunęła mu rękę pod ramię.

- Posłuchaj, kilka miesięcy temu Maggie zwróciła się do mnie z pewną prośbą. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie...

- Z jaką prośbą?

Zawahała się.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Nie chciałabym, abyś nabrał przekonania, że masz obowiązek przekazać to wszystko Teitscherowi. I tak posuwamy się chyba za daleko.

Stride skrzywił się z niechęcią. Jak tylko wyruszył do domu Maggie w środku nocy, uświadomił sobie, że wjeżdża w etyczną szarą strefę, w której nie ma żadnych wytyczonych dróg.

Wiedział, że będzie zmuszony nagiąć swoje życiowe zasady do granic wytrzymałości, lecz mimo to miał obawy, iż nie wytrzyma ją tego napięcia.

- Mów.

- Zapytała, czy my razem zrobiliśmy kiedykolwiek coś dziwnego.

Stride obejrzał się, marszcząc czoło.

- Pod względem seksualnym - dodała Serena.

- I powiedziałaś jej o wężu ogrodowym?

Trąciła go łokciem.

- Mówię poważnie. Odniosłam wrażenie, że Eric nakłania ją do jakichś dziwnych zachowań.

- Na przykład?

Serena wzruszyła ramionami.

- Tego mi nie powiedziała.

Przygryzł wargi i odwrócił głowę, nie odpowiedziawszy. Nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

- Ale oficjalnie nic nie wiesz na ten temat, jasne? - zagadnęła Serena. - Maggie na pewno nie życzyłaby sobie, żebyś o tym wiedział.

Skinął głową.

- Mogłaby skorzystać z twojej pomocy, Sereno. Będzie teraz bardzo potrzebowała kogoś, kto pociągnie śledztwo z jej punktu widzenia, a ja nie mogę tego wziąć na siebie. Nie mogę dopuścić, by ktokolwiek nabrał podejrzeń, że traktujemy ją wyjątkowo.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Serena nie wstąpiła do służby w tutejszej policji. Stride nadzorował wszystkich miejscowych śledczych, a prawnicy władz miejskich krzywili się na jakiegokolwiek wzmianki o nepotyzmie. Dlatego wyrobiła sobie stanową licencję prywatnego detektywa i otworzyła własny interes, to znaczy podjęła walkę o każdego klienta. Jak dotąd zajmowała się głównie analizami publikacji prasy

handlowej i uczestnictwem we wszystkich zjazdach ludzi biznesu w celu wysondowania miejscowego rynku dla potrzeb ludzi wkraczających dopiero na pole własnej działalności. Doskonale wiedział, jak bardzo nudzi ją ta praca. Serena miała duszę policjantki, która nie mogła pełnić czynnej służby.

- Spotkałam się dzisiaj z nowym klientem - powiedziała.

- Tak?

- Dan Erickson chce mnie zatrudnić.

- Dan? - zdziwił się Stride. - A niby do czego miałabyś mu służyć?

Serena uniosła wysoko brwi, jakby chciała okazać, że czuje się urażona.

- Słucham?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Powiedział, że moja przeszłość w policji to tylko dodatkowy plus.

- Ale minusem jest to, że mieszkasz ze mną. Nie sądzę, żeby Dan mógł przejść nad tym do porządku dziennego.

Erickson był prokuratorem okręgowym i najważniejszym prawnikiem w tym rejonie. Oskarżał Stride'a za prasowe oddźwięki spartaczonego dochodzenia, które kosztowały go niemal pewną pozycję w wyścigu do stanowiska stanowego prokuratora generalnego. Teraz zaś był z grubsza postrzegany za głównego mąciwodę wśród polityków Minnesoty i publiczną tajemnicą było to, że za wszelką cenę usiłuje sobie wyrąbać drogę odwrotu poprzez dzikie knieje otaczające Duluth.

- Powinnaś się dobrze zastanowić nad przyjęciem jego zlecenia - rzekł ostrzegawczym tonem.

- Nie mogę odmówić. To dla mnie wielka sprawa.

Złowił w jej głosie nuty desperacji i domyślił się, że już podjęła decyzję.

- To człowiek mało wiarygodny.

Serena wzruszyła ramionami.

- Ale mi otworzy drzwi prowadzące na cały stan - odparła. -  
Poza tym z założenia nie ufam swoim klientom.

- Wiesz, czego naprawdę chce?

- Nie, bo nie chciał ujawnić żadnych szczegółów przez telefon.  
W dodatku prosił, bym nie mówiła ci o tej rozmowie.

- A mimo to mi mówisz?

- Określonych reguł gry się nie łamie.

I bez tego nie potrafił się przedrzeć przez sieć sekretów, jaką oboje tworzyli, nie mnożąc przy tym zawodowych i osobistych problemów dla nich obojga. Bo w rzeczywistości potrzebowali siebie nawzajem. Jemu zależało na jej opiniach w sprawie konkretnych dochodzeń, gdyż uważał ją za najbardziej doświadczonego detektywa spoza miasta, lecz doskonale wiedział, że te opinie muszą pozostać nieoficjalne i poufne. Serenie z kolei zależało na jego wkładzie w jej zlecenia, przy czym nie musiała się martwić, że cokolwiek z wyjawionych mu tajemnic znajdzie odzwierciedlenie w aktach policyjnych. W ten sposób ustalili własne reguły gry. Ilekroć zachodziła potrzeba prywatnej wymiany informacji, musiało to podlegać ściśle wyznaczonym z góry regułom.

- Będzie chciał cię wykorzystać - zauważył Stride z uśmiechem.

- On wszystkich wykorzystuje.

- Cały Dan...

- Jak Lauren może to znosić? Przecież to ona za wszystko płaci.

- Dana i Lauren wiąże wspólny pęd do władzy, seks nie ma nic do rzeczy. Gdyby Lauren choć trochę przejmowała się romansami Dana, już dawno puściłaby go z torbami.

- Typowo męski punkt widzenia - mruknęła Serena. - Więc czego, według ciebie, Dan chce ode mnie?

- Pewnie próbuje znaleźć haka na któregoś z miejscowych politycznych przeciwników.

- Pomyślałam to samo. Niedługo zbiera się zgromadzenie stanowe.

- Postaraj się tylko, żeby nie wywiesił cię na sznurze jak świeżo wyprane gacie - rzekł Stride. - Dla Dana nie ma ludzi, których nie dałoby się poświęcić na drodze do wyznaczonego celu. Już to przerabiałem.

- Potrafię zatroszczyć się o siebie. - Serena zamknęła oczy i uniosła nieco wyżej brodę, wystawiając twarz na uderzenia lodowego wiatru. Kiedy przyjmowała tego typu postawę, po prostu nie sposób było się z nią spierać.

Przecież wiedział, jak długo była zależna tylko od siebie, przez co wołała podejmować decyzje bez jego pomocy. On zaś wołał nie ostrzegać jej po raz kolejny, że Duluth może być dla niej równie wrogim środowiskiem, jak Las Vegas. Tutaj trzeba było tylko zapatrzeć się na północ, na bezkresną otchłań jeziora, żeby uzmysłwić sobie, jak mało każdy człowiek znaczy w tej części świata. Bo tu nie wystarczyło być bardzo silnym, skoro na każdym kroku spotykało się rzeczy znacznie silniejsze od człowieka.

## 5.

Serena z ociąganiem weszła po schodach, zmierzając na spotkanie z Danem Ericksonem, gdyż we znaki dawały jej się te same uczucia, które dręczyły ją od paru tygodni. Dziwny niepokój powodował, że zatrzymała się w pół kroku. W szarości poranka odebrała go jak krzykliwe hasło jaskrawego neonu migoczącego w jej głowie i w kółko wyświetlającego to jedno słowo: zagrożenie.

Stała na szczycie schodów, odwróciła się tyłem do gmachu sądu i obrzuciła spojrzeniem ruchliwy Government Plaza. Górujący nad nią kamienny posąg centuriona strzegącego trzech zabytkowych budowli okalających niewielki park zdawał się lustrować

plac podobnie uważnym spojrzeniem. Po lewej stał ratusz, gdzie mieściła się też komenda policji. To tam pracował Jonny. Po prawej, naprzeciwko niego, miały swoją siedzibę instytucje federalne. Wszystkie trzy rządowe gmachy o surowym wyglądzie pochodziły z lat dwudziestych i były wzniesione z granitowych bloków barwy piaskowej. Stłoczone auta stały w rozjeżdżonej śniegowej brei wzdłuż szerokiego półkolistego podjazdu, a ludzie w grubych paltach niemal biegali chodnikami, osłaniając twarze przed lodowatym wiatrem. Nikt nawet nie spojrzał w jej kierunku. Powiodła uważnym spojrzeniem po oknach stojącego naprzeciwko gmachu mediów publicznych, a następnie przyjrzała się kolejno parkującym w dole samochodom. Uwagę przykuwał telewizyjny wóz transmisyjny z anteną satelitarną na dachu, obok niego stała czerwona furgonetka z firmy obsługującej sieci komputerowe, dalej firmowy samochód z „Twin Ports Catering”, wreszcie policyjny radiowóz.

Nic niezwykłego.

Otrząsnęła się z nieprzyjemnego przeczucia, zrzucając winę za nie na paskudną styczniową pogodę. Po przeprowadzce do Duluth szybko się przekonała, że najtrudniej jest się oswoić wcale nie z zimowymi mrozami, lecz z odrażającą szarością, jaka o tej porze roku spada na miasto. Mijały już nie dni, ale całe tygodnie pod taką samą nieprzeniknioną powłoką ciemnych chmur. Tutejsza zima przypominała prawie niekończący się ponury zmierzch, w którym zasepione ludzkie twarze zdawały się upodabniać do złowieszczego nieba. Właśnie w takie dni najbardziej tęskniła za tętniącą życiem pustynią skąpaną w słońcu.

Ale poza tym Duluth nawet jej się podobało.

Jej rodzinne strony były jałowe w porównaniu z tutejszym, stale zmieniającym się krajobrazem. Nie za gorące lato było po prostu cudowne. Jesień z jej przebogatą paletą czerwieni i żółci w ciągnących się kilometrami lasach budziła w człowieku dziwnie

podniosły smutek na widok istnego gradu spadających suchych liści. Nawet zima miała swoje uroki, a surowość skutej mrozem ziemi i zachmurzonego nieba kazała się zwracać ku duchowym wartościom życia.

Serena wyróżniała się wśród mieszkańców miasta i odbierała to z dumą. Była wysoka i atletycznie zbudowana, odznaczała się bardzo gęstymi i długimi, kruczoczarnymi włosami. W Las Vegas uchodziła za aktorkę z występów w kasynach, jednakże tam podobnych do niej piękności było na pęczki. Ale nie w Duluth. Bawiły ją powłóczyście spojrzenia mężczyzn. Uwielbiała sytuację, gdy tracili dla niej poczucie rzeczywistości. Dzięki temu nabierała pewności siebie, a jednocześnie zyskiwała przekonanie, że będzie mogła sprostać wszelkim nowym wyzwaniom, a tym samym ułożyć sobie życie na nowo w odległej części świata.

No i bardzo cieszyła się z tego, jak powrót w te okolice odbiera Jonny. Tylko tutaj, w chłodnym klimacie i cieniu gigantycznego jeziora czuł się jak w domu. Przez ostatni rok jej miłość do niego nie tylko się pogłębiła, ale jeszcze dojrzała, gdy zyskała okazję, by go poznać od najbardziej intymnej strony. Na początku pociągał ją tylko pod względem fizycznym, niemal po zwierzęcemu magnetycznie, lecz im dłużej z nim mieszkała, tym większy szacunek żywiła do jego szeroko pojętego uznania dla człowieczeństwa. Poza tym nieodmiennie podniecała ją świadomość, że jest uważana za jedną z grona najlepszych detektywów tego świata.

Teraz jednak nie mogła się uwolnić od dziwnego niepokoju, który ścisnął jej żołądek. Miała wrażenie, że ktoś pochyla się nad mikroskopem, pod którym została umieszczona.

Zagrożenie.

Nauczyła się ufać swojej intuicji. W Vegas to samo uczucie prześladowało ją tygodniami, i wtedy też przeczuwała, że coś jest nie tak, że musi dzielić się swoim życiem z tajemniczym

podglądaczem. Później okazało się, że faktycznie na okrągło obserwowwał ją prawdziwy potwór, niejaki Tommy Luck. Ledwie udało jej się wymknąć z jego łap.

Ale tutaj chodziło o coś innego. Tommy nie mógł już jej zagrażać. Tamta historia należała do przeszłości.

Może chodziło tylko o to, że nie da się tak szybko uwolnić od prześladowających człowieka demonów. Wciąż dokuczały jej wspomnienia z okresu dorastania w Phoenix, sprzed ucieczki do Las Vegas. Jej matka pogrążyła się w zabójcze uzależnienie od kokainy i sprowadziła do mieszkania sadystycznego handlarza narkotyków o pseudonimie Niebieski Pies, który zaczął wykorzystywać Serenę jak osobistą dziwkę. Długo zmagала się ze sobą, by uciec od przemożnego poczucia bezradności z tamtego okresu, i nadal co miesiąc odwiedzała psychiatrę, który pomagał jej wrócić do normalnego życia. Tamten okres też miała za sobą, lecz nigdy do końca od niego się nie uwolniła. Wystarczyło nawet mało sprecyzowane i ulotne poczucie niebezpieczeństwa, żeby obudzić w niej dawną, śmiertelnie przerażoną dziewczynę.

Tyle że nie mam już piętnastu lat, tłumaczyła sobie w duchu.

Ruszyła dalej przez park i weszła do gmachu sądu. Zabytkową windą wjechała na ostatnie piętro, gdzie znajdowało się biuro prokuratora okręgowego Dana Ericksona. Z okien rozciągał się piękny widok na jezioro. Przedstawiła się recepcjonistce, po czym zdjęła płaszcz i usiadła na kremowej sofie. Miała na sobie czarne spodnie, szpilki, bordową bluzkę i czarną kamizelkę ze złotymi guzikami. Niemniej, nawet ten klasyczny ubiór nie mógł ukryć jej oszałamiającej figury. Kiedy złowiła taksujące spojrzenie recepcjonistki, przyszło jej do głowy, że dziewczyna w wyobraźni już umieściła ją w długiej kolejce potencjalnych zdobyczy swojego szefa.

Drzwi prowadzące do gabinetu prokuratora otworzyły się prawie natychmiast.



Stała w nich kobieta po czterdziestce, która posłała znaczące spojrzenie recepcjonistce, a ta odparła na nie ledwie zauważalnym wydęciem warg. Kobieta miała długie pszeniczne włosy ciasno zebrane z tyłu głowy i tylko kilka drobnych niesfornych pasemek niby przypadkiem opadało jej na czoło. Była drobnej budowy, zadbana, szczupła i odznaczała się tak wzorowo wyprężoną postawą, że na pewno byłaby z niej dumna każda zakonnica ze szkoły katolickiej. Miała na sobie popielatą spódnicę do kolan i kremowy zakiet z tak grubo wywatowanymi ramionami, by z daleka świadczyły o zajmowanej przez nią wysokiej pozycji w społecznej hierarchii. Na trzycentymetrowych złotych łańcuszkach kolczyków bujały się prawdziwe perły, a sznur identycznych dyskretnie podkreślał linię jej dekoltu. Kiedy spojrzenie jej błękitnych oczu spoczęło na Serenie siedzącej w poczekalni, brwi uniosły się wysoko, tworząc typowy zarys dwóch bliźniaczych wysokogórskich szczytów. Podeszła i lekko przekrzywiła głowę na ramię.

- Pani Serena Dial? - zapytała.

- Zgadza się.

Powtórnie zmierzyła ją uważnym spojrzeniem od stóp do czubka głowy.

- No cóż, szczęściarz z tego Stride'a. Nie miałam pojęcia, że jest pani tak oszałamiającym stworzeniem.

- Przepraszam, kim pani jest? - zapytała.

- Lauren Erickson. Żona Dana.

- Ach, tak, oczywiście. Proszę wybaczyć, ale nie miałyśmy jeszcze okazji się poznać.

Dopiero teraz Serena ją rozpoznała. Zdjęcia Lauren regularnie pojawiały się w gazetach ze względu na jej ciągłe spory z radą miejską co do nieprecyzyjnie wyznaczonych granic jej posiadłości ziemskich. Rzadko przegrywała, wielką pomocą było dla niej prominentne stanowisko męża, jak również pokaźny majątek,

dla którego łapówki nie stanowiły żadnego uszczerbku. To ona finansowała i organizowała polityczną karierę Dana.

- Przyjechała pani z Las Vegas, prawda? - zapytała Lauren.

- Owszem.

Tamta cmoknęła znacząco, jakby Las Vegas leżało w jakimś odległym układzie planetarnym.

- Domyślam się więc, że Duluth bardzo panią rozczarowało. Nie ma tu naśladowców Elvise ani chórków scenicznych występujących topless.

Serena wstała. Była o dobre trzydzieści centymetrów wyższa od rozmówczynie, toteż Lauren aż zacisnęła wargi z irytacją, zmuszona do tego, by zadrzeć głowę, żeby nadal patrzeć jej w oczy.

- Zawsze byłam miłośniczką muzeum Liberace'a - odparła z uśmiechem.

Recepcjonistka nie zdołała się powstrzymać i głośno prychnęła. Lauren uciszyła ją piorunującym spojrzeniem i poprawiła na ramieniu piekielnie drogą torebkę.

- Wszyscy mówią tylko o zabójstwie Erica - powiedziała. - Jak przyleciałam dzisiaj rannym samolotem z Waszyngtonu, jeszcze na lotnisku odebrałam telefon od Dana z elektryzującą nowiną. - Przysunęła się nieco bliżej i dodała szeptem: - Ma się rozumieć, zawsze byłam przekonana, że któregoś dnia Maggie wpakuje mi kulkę w łeb.

- Dlaczego? - zdziwiła się Serena.

- To małe miasto. A ludzie plotkują.

- Na jaki temat?

- Och, proszę... Obie doskonale wiemy, jaką reputacją cieszył się Eric.

- Podobną, jak większość mężczyzn - odrzekła Serena, gryząc się w język, by nie podać przykładu Dana.

- Możliwe, ale jestem właścicielką salonu mody i wiem od

jego kierownika, że Eric należał do stałych klientów.

- I co z tego?

- Nie wszystkie rzeczy kupował w najmniejszych rozmiarach.

- Puściła do niej oko. - Rozumiemy się?

Serena nie odpowiedziała.

- Jaką ma pani sprawę do Dana? - spytała Lauren, zaszczycając ją lodowatym uśmiechem.

- Nie wiem.

- Rozumiem, co znaczy tajemnica zawodowa, ale mnie możesz powiedzieć. Dan i ja nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

- Nie wątpię, ale naprawdę jeszcze nie wiem, czego pani mąż ode mnie chce.

Lauren na kilka sekund utkwiała badawczy wzrok w jej twarzy, ale ostatecznie uznała chyba, że mówi prawdę. Niemniej Serena nabrała podejrzeń, że Dan już przedstawił żonie jakąś bajeczkę, a pytanie miało służyć jedynie sprawdzeniu, czy usłyszy w odpowiedzi tę samą historię.

- Tak się składa, że wybierał się właśnie do Stride'a - rzuciła Lauren.

- Naprawdę?

- Tak, chodzi o jedną z moich pracownic, która zniknęła.

- Przykro mi.

- No cóż, to pewnie nic takiego, ale ona jest trochę niestabilna emocjonalnie.

Serena znów nie odpowiedziała.

- Zatem zostawię cię dla Dana - oznajmiła Lauren i zachichotała krótko. - To prawie jakbyśmy brali udział w zamianie żon, prawda?

- Słucham?

- Ja będę z twoim narzeczonym, podczas gdy ty z moim mężem. To prawie jak historia rodem z Vegas, co nie?

- Dla mnie ani trochę - odparła Serena.
- Cieszę się, że to powiedziałaś - odrzekła Lauren. - Takie zabawy nie są i w moim stylu.

Kiedy Lauren wyszła z biura, Dan Erickson zaprosił Serenę do swego gabinetu.

Zaciekawiło ją, ile czasu będzie potrzebował, żeby jej dotknąć. Okazało się, że wystarczyły trzy sekundy. Wskazawszy stojącą pod oknem czerwoną skórzaną sofę, położył jej rękę na ramieniu i przytrzymał zdecydowanie za długo.

- Przepraszam, że musiałaś czekać - zaczął. - Zwariowany dzień. Telefony się urywają.

- Nic nie szkodzi.

- Napijesz się kawy?

Pokręciła głową.

- Ja jestem od niej uzależniony. Wypijam dwa dzbanki dziennie.

Nalał sobie kawy do kubeczka i usiadł na sofie, denerwując blisko. Odsunęła się natychmiast, żeby mieć więcej swobody. Zwrócił na to uwagę i uśmiechnął się lekko. Serenie przemknęło przez myśl, że chyba jeszcze nigdy i u nikogo nie widziała aż tak białych zębów. Doszła do wniosku, że pewnie szorował je po całych nocach, żeby uzyskać taki efekt.

Dan należał do tych mężczyzn, którzy w każdym calu byli tak przystojni, za jakich się uważali. Niemalże fizycznie czuła ego bijące od gospodarza niczym zapach wody kolońskiej. Blond włosy były obficie spryskane lakierem, żeby ani jeden kosmyk nie wysunął się ze swojego miejsca, a gładką cerę wyraźnie przyciemniał sztuczną opalenizną. Czoło stopniowo mu się wydłużało, toteż nietrudno było sobie wyobrazić, z jakim zapałem stosuje rogowinę w celu ograniczenia ubytków. Był ubrany w połyskliwy

granatowy garnitur, na przegubie miał złotego roleksa, a na serdecznym palcu grubą obrączkę. Nie był zbyt wysoki, mógł mieć najwyżej sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, choć bez wątpienia większość kobiet musiała go uznawać za pociągającego. Serena przez lata w Las Vegas miała okazję obserwować podobne typy: bezwzględnych drapieźników o charakterze jastrzębi, zapatrzonych w siebie i uzależnionych od seksu.

- Co u Stride'a? - zapytał. - Na pewno bardzo martwi się o Maggie.

- Oczywiście.

- Większość ludzi w moim biurze jest przekonana, że to jej sprawka.

- Nie za bardzo uprzedza pan ustalenia śledztwa?

Wzruszył ramionami.

- Już rozmawiałem z Teitscherem. Nie wygląda to dobrze.

- Stride twierdzi, że jest niewinna - oznajmiła Serena.

- A cóż mógłby powiedzieć innego? Trudno oczekiwać od niego obiektywizmu w sprawach dotyczących Maggie.

- A od pana? Wiem, że przed kilkoma laty łączył was romans.

- Jeśli nawet, oznacza to tylko, że znam ją lepiej od Stride'a. Kiedy nasz krótki związek miał się ku końcowi, przekonałem się dobitnie o jej temperamencie.

Serena zmarszczyła brwi.

- Może jednak porozmawiajmy o przyczynie, dla której chciał się pan ze mną widzieć.

- Oczywiście. - Dan wstał i ruszył przez pokój wyłożony grubą szarą wykładziną. Sprawdził, czy drzwi są zamknięte, po czym odwrócił się i zmierzył ją uważnym spojrzeniem. - Nim zaczniemy, chcę zaznaczyć, że wszystko musi pozostać w tajemnicy przed Stride'em, jasne? To nie jest sprawa dla policji i nie mogę dopuścić, aby się taką stała.

Serena przytaknęła ruchem głowy.

- Bez obrazy, lecz skoro tak panu zależy, by Jonny o niczym nie wiedział, to dlaczego postanowił pan zaangażować właśnie mnie?

- Wszyscy twierdzą, że jesteś dobra.

- Jestem, ale można znaleźć innych, równie dobrych detektywów, którzy nie sypiają ze znenawidzonym przez pana człowiekiem.

Dan podszedł do sofy i znów usiadł, jeszcze bliżej niż poprzednio.

- Sądzisz, że nienawidzę Stride'a?

- A to nieprawda?

- Przez lata wiele nas dzieliło, ale to przecież normalne sprawy. Tymczasem chodzi o sprawy dużo większej wagi.

- W porządku - mruknęła Serena, ani trochę nieprzekonana.

- Jaka jest twoja stawka godzinowa? - zapytał Dan.

Wymieniła sumę.

- Zapłacę ci o dwadzieścia procent więcej.

Odniosła wrażenie, że w jej głowie włączyły się dzwonki alarmowe.

- Z jakiego powodu chce mi pan zapłacić więcej?

Dan rozsiadł się wygodnie, odchylił do tyłu i zaczął obracać w dłoniach kubeczek z kawą.

- Ponieważ z dochodzeniem może się wiązać pewne ryzyko.

- Doprawdy?

- To kolejny powód, dla którego twoja policyjna przeszłość ma dla mnie olbrzymie znaczenie. Wielokrotnie znajdowałaś się w niebezpiecznych sytuacjach.

- Wolałabym najpierw poznać przedmiot dochodzenia - ucięła Serena.

Przytaknął powoli.

- Jestem szantażowany.

- Więc powinien pan zawiadomić policję.  
- Wykluczone. - Pokręcił głową. - Nie mogę dopuścić, żeby ta wiadomość wyszła na światło dzienne.

- Jeżeli ktoś ośmiela się szantażować prokuratora okręgowego, musi mieć ku temu bardzo ważne podstawy. Na pewno zdaje pan sobie z tego sprawę. Powinien pan rozmawiać ze Stride'em.

- Może i tak, ale w tym wypadku to nie wchodzi w rachubę.

- Co szantażysta ma na pana? - zapytała wprost.

- Tego nie musisz wiedzieć.

- Ale w ten sposób trudno mi będzie panu pomóc. Nie lubię działać po omacku.

- Może wystarczy ci informacja, że chodzi o sprawy natury seksualnej. W porządku?

Z pamięci Sereny natychmiast wypłynęło pytanie, które zadała jej Maggie: „Czy kiedykolwiek zabawialiście się... trochę dziwnie?”.

- Romans?

- Nie jesteś już śledczą, więc nie zadawaj pytań, jakbyś prowadziła przesłuchanie. Nieważne, co zrobiłem. Dość, że byłem wystarczająco głupi, żeby zrobić coś, czego nie powinienem.

- Czy Lauren wie o tym?

Dan prychnął pogardliwie.

- Nie. I nie mów jej o niczym, dobrze?

- Co pan jej powiedział?

- Powiedziałem, że chodzi o sprawy polityczne, o rozmaite brudne zagrywki. Kupiła to.

- Jak się domyślam, chciałby pan, żebym wyjaśniła, kim jest szantażysta. - Równocześnie przeszło jej przez myśl, że on właśnie fantazjuje na temat jej obecności w swoim łóżku.

- Nie, to mnie nie obchodzi. Nie chcę tego wiedzieć. Pragnę

się tylko uwolnić z kłopotliwej sytuacji i chcę, żebyś wzięła na siebie rolę pośredniczki. Ten człowiek już podał swoją cenę, pieniądze mam przygotowane, w gotówce.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki grubą kopertę i położył ją na kawiarnianym stoliku stojącym przed sofą.

- Zadzwoń do mnie w ciągu kilku najbliższych dni i poda warunki przekazania okupu - dodał. - Chciałbym, żebyś w moim imieniu dostarczyła mu tę forszę.

- Dlaczego nie zrobi pan tego sam?

- Miałbym podjąć ryzyko, że na miejscu sfotografują mnie jakiś reporterzy? Nic z tego. Wolę się trzymać jak najdalej. Ty mi wystarczysz. Nie chcę nikogo innego.

- Mamy do czynienia z szantażystą. Na pewno nie zadowolę się jednorazowym okupem. Upomni się o więcej.

- Podejmę to ryzyko.

Serena westchnęła głośno.

- Naprawdę chce pan usłyszeć ode mnie, że to bardzo kiepski pomysł?

- Kiepski czy nie, gotów jestem dobrze ci zapłacić za to, że załatwisz tę sprawę w moim imieniu.

- Wie pan, że nie ma czegoś takiego, jak zawodowa tajemnica prywatnych detektywów. Jeśli sprawą zainteresuje się policja, będę musiała powiedzieć wszystko, co wiem.

- I właśnie dlatego nie chcę mieszać w tę sprawę policji.

To jej się nie podobało. Śmierdziało z daleka.

- Ma pan podejrzenia co do tożsamości szantażysty?

- Nie. Jego głos przez telefon nie brzmiał znajomo.

- Jak mógł zdobyć poufne informacje na pański temat?

- Tego też nie wiem. Domyślam się, ale nie ma to większego znaczenia.

- Ale jest pan pewien, że to nie błąd?

- Przedstawił mi w rozmowie telefonicznej parę szczegółów, toteż wiem, że nie blefuje.



Serena się zawahała. W głębi serca chciała odpowiedzieć, że nie przyjmie tego zlecenia, lecz nie mogła zapanować nad uderzeniem adrenaliny. Trafiła jej się zlecenie, na jakim najbardziej jej zależało w roli prywatnego detektywa, bo mogła się przez nie znowu poczuć jak śledcza z wydziału dochodzeniowego policji. A i zapłata była nie do pogardzenia.

- Moja normalna stawka plus trzydzieści procent - wycedziła.

- I kto tu jest szantażystą? - odrzekł z uśmiechem Dan. Położył jej rękę na kolanie i lekko ścisnął palcami.

- Zatem umowa stoi? - zapytała.

- Tak. Stoi.

- Świetnie. - Bez ceregieli zdjęła jego dłoń z kolana i tak go ścisnęła w nadgarstku, że uśmiech w jednej chwili zniknął mu z warg. - Jeszcze jedno - oznajmiła przymilnym tonem. - Jeśli jeszcze raz mnie pan dotknie, połamię panu palce z taką łatwością, jakbym strącała sopele z rynny na krawędzi dachu.

Puściła go.

- Stride chyba nie ma z tobą łatwego życia - burknął, masując obolałą rękę.

- Proszę zadzwonić, jak będzie pan znał warunki przekazania okupu - powiedziała rzeczowo, po czym wzięła ze stołu wypchaną kopertę, schowała do torebki i wyszła z gabinetu.

Przed wyjściem z parku zatrzymała się ponownie obok posągu centuriona. Coś w nieodgadzionym wyrazie jego granitowych oczu nappełniło ją niepokojem i znów poczuła na barkach przemożny ciężar ciemnych burzowych chmur wiszących nisko nad ziemią. Po raz kolejny próbowała sobie wmówić, że to nic takiego, ale nieprzyjemne przecucie nie opuszczało jej ani na chwilę.

To samo wrażenie dawało jej się we znaki już od kilku tygodni.

Była obserwowana.

## 6.

Zdawał sobie sprawę, że ona może wyczuwać jego wzrok, jak antylopa wyczuwa utkwione w sobie spojrzenie tygrysa czającego się w pobliskich krzakach, niewidocznego, lecz śmiertelnie groźnego.

Kiedy uniósł lornetkę do oczu, a jej sylwetka wypełniła całe jego pole widzenia, poczuł się tak, jakby stał tuż obok niej i mógł jej szeptać na ucho. Zauważył, że wstrząsnął nią dreszcz. Obejrzała się w jego kierunku, a chociaż patrzył przez lornetkę i jego przeszył dreszcz emocji wywołany tym, że ich spojrzenia się zetknęły. Natychmiast poczuł, jak członek napina materiał spodni, wydłuża się, nabrzmiewa i sztywnieje.

- O kurwa... - syknął pod nosem, z lubością witając te odczucia. Cieszyły go tym bardziej, że przez ostatnie dziesięć lat mógł tylko biernie obserwować, jak jego męskość stopniowo zanika. Strażnicy uprzedzali, że pobyt w więzieniu każdego faceta przemienia w solonego śledzia, ale dopiero teraz mógł się przekonać, że mieli rację. Im dłużej siedział za kratkami, tym bardziej kurczył się jego penis. Nic już nie mogło go podniecić. Niekiedy po nocach onanizował się w celi, lecz coraz częściej zdarzało się tylko, że po jakimś czasie wzwód zaczynał zanikać. Próbował pobudzić się różnymi sposobami, lecz jego członek stawał się tak mały, że zazwyczaj ledwie mógł go już wymacać pod brzuchem.

Nabrzmiął normalnie dopiero tamtego wieczoru w Alabamie, podczas huraganu. Kiedy przyglądał się policjantce tonącej w zalanej wodą piwnicy, krew spłynęła mu w krocze. Była to erekcja całkiem spontaniczna, a jej efekt bardzo go ucieszył.

Cztery miesiące minęły od chwili, gdy śmigłowiec Gwardii Narodowej zabrał go z dachu domu. Miał na sobie ubranie, które znalazł w sypialni na piętrze, toteż szybko pozbył się więziennego

kombinezonu, zepchnąwszy go między śmieci niesione prądem wezbranej rzeki. Zanim burza ucichła, dom znalazł się jak gdyby pośrodku rozległego jeziora. Wóz patrolowy zniknął bez śladu, podobnie jak zwłoki Deeta. Bez trudu mógł więc uchodzić za uwięzionego przez powódź farmera, który nie zdążył się ewakuować.

Wraz z setkami innych uchodźców trafił do schroniska w Birmingham, ale uciekł stamtąd jeszcze tej samej nocy i kradzionym samochodem wyruszył na północ. Wolał nie podejmować najmniejszego ryzyka, że zostanie rozpoznany albo że ktoś z Holman dojdzie do wniosku, iż zdołał odzyskać wolność. Jak się okazało, nie musiał się tym martwić. Po pewnym czasie ukradł też laptopa i wykorzystując jego bezprzewodowe łącze sieciowe, przejrzał zapisy w Internecie. Kilka dni po jego ucieczce ze schroniska lokalna gazeta z Montgomery opisała skutki tragicznego wypadku. Radiowóz został odnaleziony na drzewie jakieś dziesięć mil od zabudowań farmy, a bezgłowe ciało Deeta jeszcze pięć mil dalej, w innym kierunku. Uznano, że wszystkie trzy osoby jadące samochodem zginęły w czasie burzy.

Tak więc stał się nikim. Człowiekiem bez tożsamości. I bez przeszłości.

Mógł jechać gdziekolwiek, ale najpierw musiał rozładować wściekłość, która ścisnęła mu serce. Musiał sobie zrekompensować dziesięć straconych lat.

- Czujesz moją obecność, prawda? - szepnął. - Wiesz, że tu jestem.

Od chwili przyjazdu do Duluth układał w myślach plan rozliczenia się z Sereną. Obserwował ją. Zakradał się jak do zwierzyzny. Mógł ją schwytać w każdej chwili, ale chciał jak najdłużej rozkoszować się tym uczuciem. Jak wytrawny myśliwy dobrze wiedział, że nie skręca się od razu karku zwierzęciu schwytanemu w potrzask. Ofiara i tak należała już do niego, mógł zatem jeszcze trochę się z nią pobawić.

Tymczasem chciał się rozprawić z innymi ofiarami. Ludźmi takimi jak Dan. Jak Mitch. Albo Tanjy. No i z babolami. Z tymi, co mają brudne sekrety i desperacko próbują je ukrywać przed całym światem.

Wciąż pamiętał, co ten mały lizus z Holman tłumaczył mu w kwestii szantażu. Jeśli znało się czyjś sekret, można było zrobić człowiekowi dosłownie wszystko, i to bez obawy, że zawiadomi policję. Istniało tylko niebezpieczeństwo przypadkowego wsadzenia kija w mrowisko, co mogło się skończyć bardzo kiepsko. Teraz też chętnie pobawiłby się znacznie dłużej, ale zdarzyło się coś nieprzewidzianego, spadło na niego jak grom z jasnego nieba, musiał więc skorygować swoje plany.

Zabójstwo diametralnie odmieniło sytuację.

Dlatego przyszła od razu kolej na Serenę. Musiał mocno zaciśnąć jej pętlę na szyi.

Popatrzył przez lornetkę, jak próbując opanować dreszcz grozy, rusza dalej schodami w kierunku swojego samochodu stojącego na parkingu. Domyślał się, o czym teraz myśli. Z pewnością próbowała sobie wytłumaczyć, że ciarki chodzące po plecach są jedynie efektem działania jej wyobraźni. Myliła się. Z rozkoszą pomyślał, że gdy dopnie swego, będzie go błagała, by ją zabił.

## 7.

W gmachu ratusza, starym i zapuszczonym, pomieszczenia były bardzo wysokie, toteż ciepło gromadziło się pod sufitem, a od marmurowych posadzek biło chłodem. Przez nieszczelne okna mróz wdzierał się do środka i osiadał od wewnątrz na szybach. Stride opierał się ramieniem o futrynę i przez okno w swoim gabinecie spoglądał w zamyśleniu na samochody jeżdżące położoną dole First Street. Ręce miał skrzyżowane na piersi. Głębokie

zmarszczki na czole przypominały maleńkie kaniony. W końcu zdał sobie sprawę, że mimowolnie napina mięśnie aż do bólu.

Włożył garnitur i krawat, bo obawiał się, że jak tylko rozejdzie się wieść o Maggie, będzie musiał rozmawiać z wieloma politykami i dziennikarzami. Na co dzień chodził w strojach sportowych, gdyż większość czasu spędzał na dworze. Nie wytrzymałby w takiej pracy, w której byłby na stałe przykuty do biurka. Swoją papierkową robotę odwałał po godzinach, kiedy budynek świecił już pustkami. Zdecydowanie wolał działać na miejscu przestępstwa i zajmować się konkretami, choć zazwyczaj bywało ciężko.

Myślał idealistycznie tylko na samym początku kariery, a więc na tyle dawno, żeby nie warto było już tego wspominać. Podobnie jak teraz Maggie, z determinacją pragnął wyjaśnić każdą sprawę i zamknąć każdego przestępcę. Bardzo szybko uświadomił sobie, że zawsze będą ofiary w rodzaju dziewczyny z Enger Park, na których korzyść nikt nie zechce zeznawać i nie znajdą się dowody pozwalające na identyfikację zbrodniarza. Po takich sprawach pozostawał jedynie osad goryczy. Na każde zabójstwo w tym mieście musiał poświęcić jakąś część swego ducha i nawet gdy udało się postawić sprawcę przed sądem, a ława przysięgłych uznawała go za winnego, i tak na zawsze pozostawała w jego psychice bliźna.

To był jeden z powodów, dla których zamieszkał nad samym jeziorem. Niewielu osobom zwierzał się z tego, że odczuwa owe uszczerbki duszy. Musiało nawet minąć parę miesięcy, zanim powiedział Serenie. Starał się uchodzić za twardo stąpającego po ziemi realistę, któremu brak czasu na jakąkolwiek mistykę, jednakże jezioro odmieniało tę sytuację. Ilekroć stawał nocą na brzegu, często miał wrażenie, że otaczają go same trupy, jakby to właśnie w wodach jeziora szukały ukojenia przed rozpląnięciem się w parę i mgłę. Wyraźnie czuł tu obecność ojca, który w jeziorze

znalazł swój grób, i jakby za jego pośrednictwem stawał się członkiem wspólnoty zmarłych mieszkańców miasta.

Rozległo się pukanie. Za marszczoną szybą w drzwiach dostrzegł czyjąś ciemną sylwetkę.

- Proszę! - zawołał, nie ruszając się od okna.

Ciężkie dębowe drzwi otworzyły się szybko i zatrzasnęły z hukiem. Popatrzył ze zdumieniem na gościa.

- Lauren?

- Witaj, Jonathanie.

Odniósł wrażenie, że razem z nią do pokoju wpadł powiew mroźnego powietrza.

- Świetnie wyglądasz.

Uniosła oczy do nieba. Jej ubranie, biżuteria, blond włosy będące wytworem jakiegoś specjalistycznego laboratorium świadczyły z daleka o statusie majątkowym, a cera była tak gładka, jak tylko chirurgia plastyczna i makijaż mogły to zapewnić. Była bardzo atrakcyjną kobietą i nie kryła nawet przez chwilę, że osobisty urok Stride'a w żadnej mierze nie może się równać z jej urokiem. Łączyła ich dość nieprzyjemna historia. Lauren była jedynaczką, a jej ojciec dorobił się milionów na handlu nieruchomościami w całej północnej Minnesocie. Na początku swojej kariery w wydziale dochodzeniowym Stride wpadł na trop wielkiej afery łapówkarskiej w radzie miejskiej związanej z planowaną budową nowego wielkiego centrum handlowego. W jej efekcie ojciec Lauren poszedł do więzienia, gdzie pół roku później zmarł na wylew. Ona odziedziczyła po nim wszystko, nie wyłączając urazy do wścibskiego detektywa.

Ruchem ręki wskazał jej krzesło stojące przed biurkiem. Usiadła, założyła nogę na nogę, splótła dłonie na brzegu spódnicy, po czym zmierzyła go świdrującym spojrzeniem inteligentnych niebieskich oczu.

- Przykro mi z powodu Maggie - zaczęła.
- Nie wątpię.
- Właśnie rozmawiałam z Sereną w gabinecie Dana - wyjaśniła uszczypliwie. - Czym ona się zajmowała, kiedy my chodziliśmy do szkoły? Ćwiczyła malowanie palcami?
- Zignorował tę zaczepkę.
- Nie sądziłem, że się do mnie odezwiesz, Lauren.
- Co było, minęło - rzuciła lekceważąco. - Trzeba żyć terazniejszością.
- Poważnie? W ubiegłym roku wyznawałaś chyba inną zasadę - odrzekł, wiedząc dobrze, że to właśnie Lauren wszczęła całą kampanię w radzie miejskiej, by zablokować przedłużenie jego kontraktu przez komendanta policji.
- Teraz mam dużo ważniejsze sprawy na głowie.
- Czyżby?
- Najwyraźniej nie oglądałeś dziś rano wiadomości.
- Co mi umknęło?
- Przenosimy się z Danem do Waszyngtonu - oznajmiła.
- Na stałe?
- Przytaknęła ruchem głowy.
- Dan ma zostać specjalnym doradcą w dużej kancelarii zajmującej się przestępstwami gospodarczymi. Właśnie wróciłam z Waszyngtonu, przez kilka dni oglądałam przeznaczone do sprzedaży domy w Georgetown.
- A więc w końcu Dan zostanie czynnym obrońcą. Od dawna podejrzewałem, że w tej roli czułby się najlepiej. Łatwiej będzie mu zmieniać koalicje.
- Ach, tak, byłabym zapomniała, że ciebie interesuje tylko prawda i sprawiedliwość, Jonathanie. Daj mi znać, gdy wreszcie je odnajdziesz.
- Uśmiechnął się, usłyszawszy po raz kolejny tę zgodną z prawdą opinię. Niemniej ucieszyła go wiadomość o rezygnacji Dana ze

stanowiska prokuratora okręgowego. Nie w smak była mu sytuacja, kiedy miał osobistego wroga w tej ważnej instytucji.

- Moje gratulacje. To prawie jak przewrót pałacowy - odparł.

- Już od jakiegoś czasu pociągałam za odpowiednie sznurki - przyznała. - Poza tym Dan nie lubi Duluth, usiedliśmy tutaj tylko z powodu rysującej się dla niego perspektywy ważnej posady federalnej, tyle że skutecznie zlikwidowałeś mu tę perspektywę, prawda?

- Zdaje mi się, że jeszcze wyborcy mieli coś do powiedzenia w tej sprawie. Kiedy dojdzie do tej wielkiej przeprowadzki?

- W przyszłym miesiącu.

- Właśnie z tego powodu mnie odwiedziłaś? Żeby się pożegnać?

Lauren pokręciła głową.

- Chwila mojego triumfu to tylko bonus. Szczerze mówiąc, muszę zgłosić przestępstwo. A raczej ewentualne przestępstwo. Nie jestem tego pewna.

Stride w jednej chwili zapomniał o rywalizacji.

- O co chodzi?

- Na pewno wiesz, że jestem właścicielką „Silk”, salonu odzieżowego przy Superior.

Przytaknął ruchem głowy. Ten salon był jedną z wielu jej inwestycji służących niemal wyłącznie do migania się od płacenia podatków.

- Otóż zaginęła jedna z moich pracownic.

- Jak się nazywa?

Lauren uśmiechnęła się ironicznie.

- Och, doskonale ją znasz, Jonathanie. Chodzi o Tanjy Powell.

Nie chciał przeklinać na głos, ale wyrwało mu się to razem z wydechaniem powietrzem:



- Jasna cholera!
- Wiedziałaś, że się ucieszysz.

Ani trochę go to nie ucieszyło.

- Dlaczego uważasz, że zginęła?

- Wyszła ze sklepu w poniedziałek po południu, jeszcze przed zamknięciem. Sprawiała wrażenie czymś zaniepokojonej. Jeśli wierzyć Sonnie, kierowniczce salonu, Tanjy nie pojawiła się ani we wtorek, ani w środę. I nie dzwoniła. A telefonu w jej mieszkaniu nikt nie odbiera.

- Czym była zaniepokojona, gdy wychodziła z pracy?

- Nie mam pojęcia.

- Czy kiedykolwiek wcześniej zdarzało się jej zniknąć bez śladu?

- Sonnie twierdzi, że nie.

- Ma tu najbliższą rodzinę?

Lauren znowu pokręciła głową.

- Jej rodzice nie żyją. Tanjy zajmuje parter starego wiktoriańskiego domu w East Hillside. Pomyślałam, że mógłbyś to sprawdzić, zanim jakiś ohydny smród zacznie się rozchodzić od tej sprawy. Zresztą właśnie takie historie cię nakręcają, prawda?

- Odpuść sobie, Lauren - burknął. - W pierwszej chwili pomyślałem, że Tanjy znów postanowiła zabawić się z nami w kota i myszkę.

- Czemu? Dlatego, że ostatnio zrobiła z ciebie idiotę?

- Sfabrykowała zarzuty dotyczące gwałtu. Całe miasto postawiła na nogi.

Lauren westchnęła głośno.

- Nie będę udawała, że rozumiem, co się dzieje w jej małej pokręconej główce. Przyszłam tylko z wiadomością o jej zaginięciu.

- Mam nadzieję, że znów czegoś nie wymyśliła - odparł Stride.

- Nie oskarżyliśmy jej tylko dlatego, że Dan i komendant nie

chcieli, byśmy wyszli na takich, co nękają samotną kobietę z problemami natury psychologicznej.

- To przeze mnie. Ja ich prosiłam, żeby puścili tę sprawę w niepamięć.

- Ty? I tak się dziwię, że natychmiast nie wylałaś jej z pracy.

- Bo prześladowuję tylko tych ludzi, którzy wchodzą mi w drogę, Jonathanie. Powinieneś o tym pamiętać.

- Mam rozumieć, że wołałaś uniknąć rozprawy o bezzasadne zwolnienie?

- Masz rozumieć, że było mi jej po prostu żal.

Jakoś nie mógł wierzyć, żeby Lauren w ogóle potrafiła kogokolwiek pozałować, ale teraz nie miało to większego znaczenia.

- Zajmę się tym.

- Jest coś jeszcze - dodała.

- Co?

- W poniedziałek wieczorem Tanjy dzwoniła do nas do domu.

- Po tym, jak wcześniej wyszła z salonu? Dlaczego dzwoniła?

- Chciała rozmawiać z Danem, ale on był akurat w Saint Paul.

- Czego chciała? - zapytał ostrzej.

- Nie wiem. Dzwoniłam do Dana z Waszyngtonu we wtorek po południu, ale powiedział, że gdy próbował się z nią skontaktować, nikt nie odbierał telefonu w jej mieszkaniu. Całkiem zapomnieliśmy o tej sprawie. Dopiero dzisiaj, gdy wróciłam, dowiedziałam się od Sonnie, że Tanjy zniknęła.

- Nie zostawiła żadnej wiadomości, kiedy dzwoniła do ciebie w poniedziałek?

- Owszem, zostawiła wiadomość dla Dana, ale on nie wie, o co mogło jej chodzić.

- Co to za wiadomość?

Lauren wzruszyła ramionami.

- Prosiła, żebym mu powtórzyła: „Wiem, kto to jest”.

## 8.

Abel Teitscher wrócił do domu we wtorek wczesnym popołudniem po dziesięciu godzinach spędzonych na miejscu zabójstwa Erica Sorensona. Wsypał trochę pokarmu do wielkiego morskiego akwarium wypełnionego wielobarwną kolekcją skalarów, kolcobrzuchów, lir, żałobniczek i babek. Rzadko bywał wieczorami w domu, lecz jeśli tak już się zdarzało, nalewał sobie kieliszek brandy, gasił światło w pokoju, siadał w fotelu i długo obserwował swoje rybki pływające w podświetlonym akwarium. Dużo lepiej czuł się w ich towarzystwie niż wśród ludzi.

Mieszkał sam w dosyć nowym domu przy Ninth Street, na północ od centrum. Przez dwadzieścia siedem lat był żonaty. Pewnego wtorkowego popołudnia niespodziewanie zjawił się wcześniej w domu i zastał swoją pięćdziesięciodwuletnią żonę obsługiwaną przez dwudziestoczteroletniego bezrobotnego syna sąsiada. Najwyraźniej za dużo naoglądała się *Gotowych na wszystko*. Rozwiedli się pół roku później i teraz ona mieszkała w wynajętym mieszkaniu w Minneapolis. Za jedyny profit tego małżeństwa uważał córkę Anne, która obecnie studiowała biologię morską w San Diego. Z satysfakcją przypisywał jej wybór długim godzinom, jakie w dzieciństwie spędzała u boku ojca na obserwacji rybek w tym akwarium.

Jeszcze kilka lat temu cała noc na służbie, jak teraz po zabójstwie Sorensona, dałaby mu się tak we znaki, że dochodziłby do siebie przez parę dni, ale obecnie był w lepszej kondycji niż przez ostatnie dziesięć lat. Po rozwodzie zaczęła regularnie ćwiczyć,

latem był stałym bywalcem trasy biegowej w kampusie uniwersyteckim, zimą trenował na elektrycznej bieżni stojącej w kącie sypialni. Stracił na wadze ponad dziesięć kilo i obecnie szykował się do biegu maratońskiego. W ratuszu zaczęto go nazywać chudzielcem i szkieletem, co przyprawiało go o wściekłość, ponieważ nikt nie umiał docenić efektów jego pracy nad własnym ciałem.

Wyciągnął się na sofie przy akwarium i zapadł w półgodzinną drzemkę, co wystarczyło, żeby odzyskał siły. Następną godzinę spędził na bieżni. Monotonne burczenie elektrycznego silnika i rytmiczny odgłos kroków pozwalały mu skutecznie oczyścić umysł. Stride zarzucał mu, że nie stara się patrzeć całościowo na miejsce zbrodni, lecz jego argumenty były do kitu. Abel już na początku każdego dochodzenia zostawiał sobie dużo czasu na myślenie. Różnica polegała na tym, że Stride usiłował się oderwać od faktów i rozszyfrować sposób myślenia zarówno ofiary, jak i sprawcy. Dla Abla to „całościowe patrzanie” oznaczało układanie pozostawionych na miejscu kawałków puzzli. Dla niego liczyły się tylko dowody rzeczowe i zeznania świadków, a więc rzeczy namacalne, które można dokładnie obejrzeć i powąchać.

A w tej sprawie „całościowe patrzanie” prowadziło go tylko w jednym kierunku. Do Maggie.

Świetnie wiedział, że brak dowodów obecności w domu trzeciej osoby nie oznacza jeszcze, że nikogo więcej tam nie było, ale wiedział też, że logiczne, nasuwające się automatycznie wnioski są w większości wypadków słuszne. Trzeba było odłożyć na bok wszelkie teorie spiskowe, zostawić je adwokatom. Żelaznym faktem było to, że Oswald zabił Kennedy'ego. W pojedynkę. Należało się z tym pogodzić.

Gotów był nawet zaglądać pod każdy kamień. Nie miał nic przeciwko Maggie i wcale nie pragnął oskarżyć jej o tę zbrodnię, ale zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że prawie na pewno to

ona pociągnęła za spust. Tak zazwyczaj bywało w podobnych sytuacjach.

Jak choćby z Nicole. Nauczył się na jej przykładzie, że nigdy nie wiadomo, do czego zdolny jest człowiek. Nawet dobra policjantka. Długo nie mógł uwierzyć w to, że jego partnerka mogła popełnić morderstwo, dlatego lekcewazył dowody rzeczowe, których wymowa była jednoznaczna. Nicole miała bardzo kruchą strukturę psychiczną. Ledwie wróciła z przymusowego urlopu po zabiciu chorego psychicznie mężczyzny na moście Błatnika. Kiedy się dowiedziała o romansie męża, zagroziła mu śmiercią, jeśli nie zerwie tamtej znajomości. No i w mieszkaniu, w którym odkryto nagie zwłoki jej męża i jego kochanki, zastrzelonych z jego pistoletu, znaleziono dwa włosy Nicole. Był to wystarczająco mocny dowód, żeby ją skazać za podwójne zabójstwo.

Dopiero gdy ława przysięgłych rozstrzygnęła o jej winie, Abel ostatecznie pogodził się ze świadomością, że to właśnie Nicole popełniła to, do czego dotychczas byli zdolni jedynie podejrzani w prowadzonych przez niego sprawach. Jego zaś okłamywała, chcąc ratować swoją skórę. Teraz Stride musiał dostać taką samą naukę.

Inspektor uważał zapewne, że kieruje nim żal za to, że nie dostał upragnionego awansu do stopnia porucznika. Rzeczywiście, Abel był z tego powodu rozgoryczony, ale w głębi duszy nawet nie żałował. Komendant miał rację. Naprawdę nie znosił kierowania ludźmi i przydzielania im zadań. Nie był przygotowany na to, żeby tracić czas na motywowanie policjantów, których wcale nie tak łatwo było zachęcić do roboty. Wszyscy brzydzili się zwierzchnikami zza biurka, zagrzebanymi w papierkowej robocie służbistami, wiecznie szukającymi wsparcia przełożonych, kiedy trzeba było podjąć natychmiastową decyzję. Doskonale o tym wiedział. Sam wyznawał takie poglądy. Ale zawsze starał się być

elastyczny i różne sprawy załatwiać po swojemu, toteż gdyby został szefem sekcji, ustawiłby jej pracę na swój sposób. Tyle że nikt by go nie słuchał.

W gruncie rzeczy nie potrzebował dodatkowych zmartwień. I tak spokoju nie dawało mu głównie to, że wszyscy w wydziale uwielbiają Stride'a, podczas gdy jego zaledwie tolerują. Zdawał sobie sprawę, że jest opryskliwym samotnikiem, zgorzkniałym i zamkniętym w sobie, ale nikt nawet nie próbował tego zmienić, w żadnej mierze nie traktował go tak, jak Stride'a.

A przecież inspektor był tylko człowiekiem. I popełniał błędy. Mylił się właśnie w tej sprawie, gdyż po prostu jeszcze nie rozumiał, że został zdradzony. Nigdy się nie natknął na swoją żonę siedzącą „na jeźdźca” okrakiem na dwukrotnie od niej młodszym mężczyźnie. Do diabła, Abel nie miał nawet pojęcia, że właśnie tak się nazywa ta pozycja, dopóki jego adwokat nie opisał jej w papierach rozwodowych. Nie przypominał sobie, by żona kiedykolwiek chciała jego tak dosiąść w czasie wieloletniego pożycia małżeńskiego.

Dopiero po tym, jak zastał żonę w łóżku z innym mężczyzną, zrozumiał, że każdy człowiek jest zdolny przekroczyć taką czy inną granicę. Podobnie jak Nicole. A teraz Maggie. Wtedy sam wyciągnął rewolwer i wymierzył do pary w łóżku, gotów strzelać. Jedyną rzeczą, dzięki której oprzytomniał, był wyraźnie słyszalny w zapadłej nagle martwej ciszy, kiedy wszyscy mierzyli się nawzajem przerażonymi spojrzeniami, bulgot napowietrzanej wody w akwariium stojącym w saloniku. Właśnie ten dźwięk kazał mu się opanować. Uświadomił sobie, że strata ukochanych rybek byłaby dla niego dużo gorsza od utraty żony. Tylko dlatego schował broń i nazajutrz zajął się poszukiwaniem dobrego adwokata.

Można było tylko żałować, że Maggie nie hodowała rybek akwariowych.

\*

Po zakończeniu rundy na bieżni ogolił się, wziął prysznic, po czym obficie spryskał twarz wodą kolońską. To był kolejny powód narzekań kolegów z wydziału, którzy wytykali mu, że pachnie jak podrzędny żigolak. Ale w końcu nie było to żadne przestępstwo. Ubrał się w stary brązowy garnitur, i dodatkowo wbił się w gruby płaszcz. Poprzedni był zdecydowanie za cienki jak na styczniowe mrozy, ale od kiedy zaczął regularnie uprawiać jogging, zauważył, że w dużo mniejszym stopniu odczuwa chłód.

Nadeszła pora zaglądania pod kamienie.

Zaczął od gabinetu Erica. Sorenson kierował firmą o nazwie „MedalSports”, mającą siedzibę w ponurej przemysłowej części miasta, przy bocznej uliczce niedaleko lotniska. Sąsiadowała z magazynami sprzętu medycznego, części samolotowych, urządzeń nawigacyjnych oraz mrożonek. Kiedy Abel wjeżdżał na parking, tuż nad jego autem przeleciała lądująca awionetka. Przed parterowym barakiem pomalowanym na ciemnobrązowo ciągnęła się rampa załadownicza z szeregiem stanowisk, przy których stało kilka dużych ciężarówek dostawczych. Pozostała część parkingu także była ciasno zastawiona.

Po krótkim czasie odnalazł szklane drzwi prowadzące do części biurowej budynku. Siedząca za kontuarem recepcjonistka rozmawiała przez telefon, przed nią na biurku piętrzył się stos pomiętych papierowych chusteczek. Oczy miała błyszczące i zaczerwienione. Była bardzo pulchna, dobrze po pięćdziesiątce, z dyndającymi na piersi wąskimi okularami na łańcuszku i całkiem siwymi włosami wyłazącymi spod czapeczki baseballowej. W środku było zimno, toteż miała na sobie grubą czerwoną pikowaną kamizelkę. Powitała go smutnym uśmiechem, zasłoniła dłonią mikrofon i poprosiła, żeby chwilę zaczekał.

Ciasna poczekalnia była nastawiona na funkcjonalność, stała w niej tania wiklinowa sofa, na regaliku pod ścianą zwracał uwagę biały ekspres do kawy, obok piętrzyła się kolumna styropianowych kubeczków, a nieco dalej stał tani stolik kawiarniany z fornirowanym blatem, zavalony ilustrowanymi pismami sportowymi. Zza drzwi prowadzących w głąb hali dolatywały charakterystyczne miarowe odgłosy pracujących urządzeń.

Powiódł spojrzeniem po szeregu oprawionych fotografii wiszących na ścianie, przedstawiających Erica sprzed piętnastu lat, na zawodach olimpijskich, w obcisłym kostiumie, z brązowym medalem na szyi. Odznaczał się imponującą sylwetką, miał ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, atletycznie szerokie bary, nagą pierś oraz zmierzwione kręcone włosy, tak jasne, że niemal całkiem białe. Na innych, późniejszych zdjęciach, pozował głównie z medalistami zimowych igrzysk olimpijskich, przede wszystkim z narciarzami zjazdowymi i specjalistami od slalomów oraz członkami drużyn bobslejowych. Wszyscy wystawiali do obiektywu sprzęt firmowany przez „MedalSports”. Abel zwrócił uwagę, że Eric utrzymywał godną pozazdroszczenia sprawność fizyczną i na wszystkich zdjęciach prezentował w uśmiechu tak samo idealnie białe zęby. W ostatnim okresie zapuścił długie włosy, które zaczesywał w formie obfitej falującej grzywy do tyłu głowy.

- Był bardzo przystojny, prawda? - zagadnęła recepcjonistka, odkładając słuchawkę.

Abel tylko mruknął gardłowo.

- Chyba nie jest pan dziennikarzem?

Pokręcił głową i szybko się przedstawił. Recepcjonistka z ociąganiem ujawniła, że ma na imię Elaine.

- Czy to prawda, że zastrzeliła go żona? - spytała. - Tak przynajmniej słyszałam w telewizji.



- Wciąż próbujemy ustalić, co się naprawdę stało - odparł. - Dlatego chciałbym, żeby odpowiedziała pani na kilka pytań.

Elaine chlipnęła raz i drugi. Wyłuskała z pudełka kolejną papierową chusteczkę, mocno wydeła policzki i wydmuchała w nią nos.

- Oczywiście. Słucham.

- Jak długo pracuje pani w firmie pana Sorensona?

- Od chwili jej powstania. To wspomniały człowiek. Traktował nas wszystkich jak jedną wielką rodzinę.

Abel westchnął głośno. Niemal każdy po śmierci zaczynał być postrzegany jak prawdziwy święty.

- Dla mnie to zbyt uładzona opinia. Nikt nie jest doskonały.

- No cóż, przykro mi, ale my wszyscy naprawdę go szczerze podziwialiśmy - odparła nieco podniesionym tonem, jakby poczuła się o coś oskarżana.

- A co z jego firmą? Jak jej się powodzi?

- Wyjątkowo dobrze. Wszyscy pracownicy dostali sowite premie na koniec roku. Pan Sorenson wiedział, jak dzielić zyski. Nie był samolubny.

Abel pokiwał głową.

- Niemniej to trudny kawałek chleba. Konkurencja daje się we znaki. Zwłaszcza tania siła robocza za granicą. No i dochodzą jeszcze inne rzeczy, prawda?

- Nic podobnego - odparła Elaine, energicznie kręcąc głową. - „MedalSports” przeznaczają swoje produkty dla bardzo szczególnej klienteli. Wszystkie wyroby są ręcznie wykańczane. Nawet nie próbujemy rywalizować z producentami masowych serii rynkowych. Sprzedajemy nasze produkty wyłącznie uczestnikom zawodów olimpijskich.

- I naprawdę starcza wam zamówień, żeby spokojnie egzystować? - zapytał powątpiewającym tonem. - Zimowe igrzyska olimpijskie są rozgrywane tylko raz na cztery lata.

- To prawda, ale sportowcy muszą stale trenować. Poza tym lekkoatleci są zaangażowani w wiele regionalnych i światowych turniejów o randze mistrzowskiej. Tylko najlepszy sprzęt daje im szanse na zwycięstwo, a my odrębnie kontrolujemy wszystkie półprodukty.

- Czy pan Sorenson był jedynym właścicielem firmy?

- Tak. Założył ją krótko po tym, jak sam został medalistą olimpijskim. Powinien pan wiedzieć, że zdobył brązowy medal w pływaniu stylem motylkowym.

- Dużo miał długów?

- Cóż, nie jestem księgową. Firma korzystała z otwartego kredytu w banku Range. Nigdy nie słyszałam jednak od pana Sorensona ani jednego słowa troski o kapitał zakładowy czy możliwość niewypłacalności. W ubiegłym roku przechodziliśmy szczegółową kontrolę skarbową.

- Mimo to poproszę o nazwiska księgowego oraz radcy prawnego firmy pana Sorensona. Zna je pani?

Elaine skinęła głową.

- Oczywiście.

Zapisała je na kartce, którą Abel schował do kieszeni.

- Bardzo szybko uznaliście, że to żona musiała go zabić. Dlaczego?

Recepcjonistka zmarszczyła brwi.

- Powtarzałam tylko to, co słyszałam w telewizji. Nie znam żadnych szczegółów.

Abel zmierzył ją surowym wzrokiem.

- No i jak mam rozwiązać zagadkę morderstwa, kiedy raczej mnie pani takimi bzdetami? Jeszcze nie spotkałem sekretarki, która by nie znała na wylot codziennych małżeńskich problemów jej szefa.

- Nie lubię powtarzać plotek - odparła z dumą, wyraźnie się czerwieniąc.

- Tu nie chodzi o powtarzanie plotek. Pani szef został zamordowany.

Elaine zamyśliła się na chwilę, uznała jednak, że coś niecoś może zdradzić.

- Pan Sorenson i jego żona mieli za sobą trudny rok - przyznała konspiracyjnym szeptem. - Często słyszałam, jak się kłócili.

- Na przykład kiedy?

- Najgorsza awantura wybuchła kilka miesięcy temu, w listopadzie.

- I o co poszło?

Elaine pokręciła głową.

- Tego nie wiem.

- Przecież musiała pani coś słyszeć. Bez żartów, ale tutejsze ściany nie mają po pół metra grubości.

- Miało to coś wspólnego z seksem - odparła recepcjonistka jeszcze ciszej, zniżając głos do szeptu przy słowie „seks”.

- Skąd pani to wie?

- Słyszałam przez drzwi, jak pani Sorenson wykrzykiwała coś na ten temat.

- A co dokładnie?

Elaine zaczerwieniła się ze wstydu.

- To bardzo krępująca sytuacja...

- Proszę powiedzieć.

- Niech pan zrozumie, że ja nie używam tego rodzaju słownictwa. Pani Sorenson nazwała go... no cóż, wyraziła się, że jest zwyczajnym osiłkowatym żółtogłowym kutasem.

Abel ledwie się powstrzymał, żeby nie parsknąć śmiechem.

- I co jeszcze powiedziała?

- Nic więcej nie słyszałam. Nie mam w naturze podsłuchiwania...

Ależ skąd, pomyślał Abel.

- Może był wtedy gotów ją rzucić?

- Och, nie, skądże - wycodziła Elaine. - Bardzo ją kochał. Naprawdę.

- Tyle że miłość do żony nie musi iść w parze z małżeńską wiernością, prawda?

Kobieta zaczęła nerwowo skubać paznokcie.

- Niby skąd miałabym to wiedzieć?

- Przecież to pani ustalała jego harmonogram dnia i odbierała telefony. Musiała pani wiedzieć, czy naprawdę zdradzał żonę.

- Pan Sorenson był bardzo atrakcyjnym mężczyzną - odparła ostrożnie. - Dawniej, jeszcze przed ślubem, umawiał się z wieloma kobietami. Wspaniałymi. Także z modelkami.

- A po ślubie?

Elaine zrobiła taką minę, jakby chciała dać do zrozumienia, że to nie jego sprawa.

- Wokół mężczyzny tego pokroju zawsze się kręcą jakieś kobiety.

- Kto? Potrzebne mi nazwiska.

- Nie znam nazwisk. Pan Sorenson utrzymywał w tajemnicy swoje prywatne sprawy. A ja nie pytałam...

- Mam jednak wrażenie, że coś przede mną ukrywasz, Elaine.

- Niczego nie ukrywam. Pan Sorenson był bardzo dyskretny.

Abel westchnął głośno.

- Czy w jego biurze odwiedzały go inne kobiety?

Elaine zawahała się na moment.

- Czasami.

- Kto to był?

- Już mówiłam, że nie wiem. Jest pewna kobieta, która zjawiała się regularnie co kilka tygodni. Wysoka, rudowłosa, nieco starsza, już pod pięćdziesiątkę. Oboje traktowali się nawzajem... ze

szczególną poufałością.

- I nigdy nie zapytała pani, kto to jest?

- No cóż, gdy się zjawiła pewnego razu, pan Sorenson rozmawiał przez telefon. Zapytałam ją więc o nazwisko, a ona odparła: „Proszę mu powiedzieć, że przyszła dziewczyna alfa”. Sądziła chyba, że to bardzo zabawne.

- Co to miało znaczyć, do pioruna?

- Nie mam pojęcia.

- Oprócz niej bywały tu jeszcze inne kobiety?

Elaine skrzywiła się z niesmakiem.

- Owszem.

- Czy jego żona wiedziała o tych spotkaniach?

- Proszę ją o to zapytać. Naprawdę nie jestem pewna, ile wiedziała. Pan Sorenson często wyjeżdżał służbowo, a pani Sorenson wtedy wydzwaniała, próbując dociec, gdzie jest. No i dopytywała się, z kim wyjechał.

- Czy ostatnio wyjeżdżał w sprawach osobistych?

Skinęła głową.

- Zgadza się, podczas weekendu był w Saint Paul.

- Co tam robił?

- O tym nigdy ze mną nie rozmawiał. W każdym razie załatwiałam mu rezerwację w hotelu w Saint Paul. Nie było go przez cały weekend, wrócił dopiero w poniedziałek po południu. I sprawiał wrażenie błądzącego myślami w chmurach.

- Z jakiego powodu?

- Nie wiem. Wspomniał coś o nowym przedstawieniu w Ordway, lecz ani słowem nie nawiązał do swojej podróży.

- Co się stało po jego powrocie, w poniedziałek?

- Spędził w biurze zaledwie kilka minut, po czym znowu wyszedł. Później był w pracy we wtorek i w środę, ale prawie bez przerwy siedział za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu.

- A wczoraj nie rozmawiał z żoną?
  - Nic o tym nie wiem.
  - Co z jego terminarzem? Jakie czekały go spotkania?
  - W ciągu dnia nie miał żadnego spotkania w interesach, poprosił jednak, bym go umówiła na wczorajszy wieczór.
  - Spotkał się z kimś wczoraj wieczorem? Po godzinach?
- Elaine przytaknęła ruchem głowy.
- Z kobietą?
  - Nie. Z psychiatrą, niejakim Tonym Wellsem.
  - Z Tonym? - powtórzył mimowolnie zaskoczony Abel.

Dobrze znał Tony'ego Wellsa, który w wydziale był specjalistą od tworzenia profili psychologicznych sprawców zbrodni na tle seksualnym. Poza tym udzielał porad w zakresie traumatycznych przeżyć policjantom z całego okręgu i ofiarom przestępstw.

- Czy pan Sorenson spotkał się z Tonym w sprawach służbowych? - zapytał.

- Skądże, pan Sorenson nie chciał słyszeć o terapii. Wydawał się twardy jak skała. Chodziło o jego żonę. Zdradził mi któregoś dnia, że jego żona już od wielu miesięcy korzysta ze specjalistycznych konsultacji psychologicznych.

## 9.

Stride przypalił papierosa na ganku przed drzwiami mieszkania Tanjy Powell. Dopiero pierwszego tego dnia, a było już późne popołudnie. Porywisty wiatr lodowatymi palcami rozczesywał jego szpakowate włosy. Spojrzał w niebo, które przypominało przedziwny kolaż nieregularnych brunatnych i niebieskich plam. Wiatr niósł falami nieprzyjemną drobną mżawkę. Po kilku sekundach obrócił się plecami do żółtych drzwi, załomotał w nie pięścią i nastawił ucha. Ale ze środka nie doleciał nawet najłżejszy szmer.

Jeśli miał wierzyć Lauren Erickson, Tanjy nie pojawiła się w pracy od chwili wcześniejszego wyjścia ze sklepu w poniedziałek po południu. Ale w domu także jej nie było.

Zszedł z ganku i obrzucił uważnym spojrzeniem stary wiktoriański dom. Okna były zasłonięte żaluzjami, nikt nie zerkał na niego ukradkiem. Dom przypominał istny zabytek, na gwałt domagał się malowania i wymiany gontów. Całe Duluth było miastem o starej architekturze, pełnym chylących się ku ruinie piękności w rodzaju tego budynku, co świadczyło wyraźnie o minionej świetności pochodzącej z czasów, kiedy takonit płynął szerokim strumieniem do wszystkich hut regionu północnego. Rzeka wywożonego surowca zamieniła się w wąski strumyk i doskonale było to widać po domach. W przeciwieństwie do leżących na południu „Bliźniaczych Miast”, gdzie wciąż wyrastały nowe podmiejskie dzielnice ze starannie wypielegnowanymi ogródkami, Duluth musiało się zadowolić swoją podupadającą świetnością. Ale Stride nawet to lubił. Nie przeszkadzały mu ani skrzypiące podłogi, ani drzwi zwieszające się ukośnie na wytartych zawiasach. Wolał to od współczesnych domków jak spod sztancy.

Ruszył ścieżką wiodącą wokół budynku i znalazł się na tylnym podwórku wielkości znaczka pocztowego. Za nim biegła wąska zapuszczona uliczka, a za nią ciągnęły się tylne podwórka posiadłości przy sąsiedniej ulicy. Wszystkie były w równie kiepskim stanie. Większość domów w tej okolicy została podzielona na odrębne mniejsze lokale przeznaczone na wynajem dla studentów czy pielęgniarek. W zaspie pod płotem stał na poły zasypany śniegiem wiklinowy fotelik. Obok rdzewiał stary grill. W śniegu widać było ślady zwierząt. Dwa małe okienka w ścianie ciasnego garażu były wybite. Podeszedł do niego i zajrzał do środka. Odłamki szyb w futrynach były pokryte grubą warstwą brudu. Wewnątrz nie stał żaden samochód.

Cofnął się do kuchennych drzwi, załomotał w nie pięścią i zawołał:

- Tanjy!

Napał ramieniem na drzwi, ale były zamknięte na zasuwkę. Próbował zajrzeć do środka przez szparę między białymi żaluzjami, ale były szczelnie zasunięte.

Głośne „miau!” kazało mu spojrzeć w dół. O jego nogawkę ocierał się szary kot o długiej sierści, zmierzwionej, brudnej i posklejanej śniegiem. Stride kucnął i pogłaskał go po łebku, na co kot odpowiedział głośnym mruzeniem. Zaraz jednak zeskoczył ze schodów, podszedł do rogu i wskoczył do środka przez znajdujące się tam okno. Stride ruszył jego śladem, wciągając rękawiczki. W szybie była wybita dziura, na tyle duża, żeby bez trudu wsadzić przez nią rękę i otworzyć zamek. Zrobił to, pchnął okno i przecisnął się do wnętrza budynku. Znalazł się w ciemnym wąskim korytarzyku prowadzącym do kuchni. Pod ścianą stały dwie kocie miseczki, obie puste.

- Policja! - zawołał. - Jest tu ktoś?

Odpowiedziała mu martwa cisza.

W mieszkaniu stało zatęchłe powietrze, jakby nikt tu nie wietrzył od kilku dni. Stride zajrzał do kuchni, w której unosił się jeszcze zapach gotowanych potraw. Zlew był pusty. Wycofał się na korytarz i ruszył dalej, do saloniku. W przejściu stanął jak wmurowany, ujrawszy półmetrowej wysokości krucyfiks wiszący na przeciwległej białej ścianie. Pod nim stało poobijane pianino, a na nim piętrzyły się stosy zeszytów nutowych z pieśniami chrześcijańskimi.

W kącie pokoju, na stoliku o szklanym blacie na brunatnej żelaznej ramie, stało zdjęcie Tanjy z rodzicami. Oboje zginęli poprzedniej zimy na moście Bong Bridge w Wisconsin, kiedy to niespodziewanie pojawiła się gęsta mgła i stała się przyczyną wielu tragicznych wypadków. Stride podniósł zdjęcie i przyjrzał mu



się z bliska. Tanjy była na nim przed trzydziestką, zgrabna i szczupła, z długimi czarnymi włosami. Jej ojciec był biały, a matka czarna, skóra ich córki w odcieniu kawy mokki z odrobiną mleka zdawała się idealnie odzwierciedlać proporcje genów obojga rodziców. Tanjy odznaczała się wąskimi, wygiętymi w ciasny łuk brwiami, które nadawały jej wyraz złośliwej wiedźmy. Przy każdym uśmiechu w kącikach ust pojawiały się wyraźne dołeczki, a w piwnych oczach tliły się błyski sugerujące, że podchodzi do życia z lekką ironią. Mężczyźni traktowali ją tak, jakby stanowiła erotyczną łamigłówkę, którą każdy był zobligowany rozwiązać. Kiedy po raz pierwszy zjawiła się w ratuszu, nawet doświadczeni detektywi z wydziału dochodzeniowego oniemieli na jej widok, jakby stali się wstydliwymi nastolatkami.

Tanjy przedstawiła mu bulwersującą relację. Opowiedziała, jak to w środowy wieczór na początku listopada została porwana z pogrążonej w ciemności zatoczki przy Michigan Street. Jakiś mężczyzna zakneblował ją, zawiązał oczy, po czym zawiózł do parku Grassy Point, niewielkiego, zapomnianego przez Boga skrawka zieleni na cyplu wychodzącym w głąb zatoki Saint Louis, a więc będącym w cieniu mostu Bong Bridge, na którym zginęli jej rodzice. Przywiązał jej nogi i ręce do drucianej siatki ogrodzenia oddzielającego park od torowisk linii kolejowych prowadzących do portu. Kiedy zdjął jej opaskę z oczu, ujrzała przed sobą pokryte wielobarwnym graffiti wagony towarowe oraz piętrzące się za nimi hałdy węgla. Rozciął i zdarł z niej wszystkie ubrania, po czym zgwałcił od tyłu, wystawioną nago na porywy lodowatego wiatru. Gdy skończył, zostawił ją tam, obok jej samochodu. Musiał to wszystko wcześniej zaplanować, jak twierdziła, gdyż na skraju parku wcześniej zaparkował swoje auto. Nie widziała go, nie mogła więc podać opisu gwałciciela. Po jakimś czasie zdołała zębami porozrywać krępującą ją taśmę samoprzylepną i uwolniła się z więzów.

Wydarzyło się to w środowy wieczór, jak twierdziła. Tymczasem na komendzie z doniesieniem o gwałcie zjawiła się dopiero w piątek. Była wykąpana i elegancko ubrana. Nie płakała, nie mówiła histerycznie piskliwym głosem, w ogóle nie okazywała żadnych emocji, na zimno relacjonując wydarzenia. Odmówiła poddania się badaniu ginekologicznemu, powiedziała, że już to zrobiła w swojej przychodni. Zachowywała się tak, jakby mówiła o czymś, co przytrafiło się komuś obcemu.

Gdyby wtedy zdecydował się odwiedzić ją w mieszkaniu, na pewno zwróciłby uwagę na wyeksponowaną symbolikę religijną i od razu by skojarzył to przywiązanie do siatki ogrodzenia z ukrzyżowanym Chrystusem. Na pewno dałoby mu to do myślenia i nasunęło wniosek, że coś w tej sprawie jest nie w porządku.

Domniemany gwałt odbił się szerokim echem w miejscowych mediach. W Duluth rzadko atakowali gwałciciele, toteż bulwersujący wypadek zelektryzował całe miasto. Jednakże dwa dni później codzienna gazeta opublikowała wywiad z Mitchellem Brandtem, młodym maklerem, byłym narzeczonym Tanjy. Opisał z drastycznymi szczegółami jej obsesję na punkcie gwałtu. Utrzymywał, że ilekroć szli do łóżka, domagała się, by udawał gwałciciela. Codziennie masturbowała się pod prysznicem, wyobrażając sobie, że jest ofiarą gwałtu. Zamieszczała na portalach internetowych erotyczne opowiadania oraz wiersze mówiące o gwałcie.

W krótkim czasie Tanjy stała się znaną osobą, bo historia poszła w świat. Żartował z niej Jay Leno w swoim programie *Saturday Night Live* transmitowanym przez wiele telewizji kablowych, pojawiły się o niej złośliwe filmiki na portalu YouTube oraz wpisy na licznych blogach. Jednocześnie straciła w mieście wszelką sympatię. Kiedy po tygodniu spotkali się przypadkiem w kawiarni, przyznała otwarcie w rozmowie ze Stride'em to, czego już

się domyślał. Wymyśliła sobie całą historyjkę. Nie doszło do żadnego gwałtu. Był to jedynie produkt jej wyobraźni.

Chciał nawet wnieść przeciwko niej oskarżenie o złożenie fałszywego doniesienia, ustąpił jednak pod naciskiem komendanta oraz Dana. Zainteresowanie szybko wygasło, a Tanjy jakby zapadła się pod ziemię.

Zadzwoił do niej kilka tygodni później. Wciąż był na nią wściekły, obawiał się jednak, że mogła popaść w załamanie nerwowe po tym, jak została przedstawiona w mediach. Jedwabistym głosem uprzejmie podziękowała mu za troskę, lecz odrzuciła ofertę specjalistycznej pomocy. Na swój sposób nawet się z tego ucieszył. Ta krótka rozmowa nie wniosła niczego nowego. Dziewczyna była tak samo opanowana i wyzbyta wszelkich emocji jak zawsze. Erotyczna enigma.

A teraz zniknęła bez śladu.

W mieszkaniu panował idealny porządek. Nie było żadnych śladów walki. Obawiał się, że dziewczyna mogła popełnić samobójstwo, w pierwszej kolejności zaczął się więc rozglądać za listem pożegnalnym. Ale Tanjy przed wyjazdem nie zostawiła żadnej wiadomości. Niewiele też ze sobą zabrała. Ubrania wisiały na wieszakach w szafie, bielizna była poukładana w szufladach komódki. Zresztą walizka także stała w szafie. Nie natknął się jedynie na torebkę, portmonetkę i kluczyki od samochodu.

Przysiadł na brzegu łóżka zakrytego starannie wygładzoną czerwoną kapą, na której leżały dobrane kolorem i obszyte frędzlami poduszki. Powiódł spojrzeniem po grzbietach książek w regale. Oprócz modlitewników, tanich romansideł i zbiorów z przepisami kuchni wegetariańskiej były tam również psychologiczne podręczniki dotyczące gwałtu. I oczywiście *Kod Leonarda da Vinci*. U wezglowia typowego tapczanu wisiał na ścianie obraz przedstawiający Jezusa. Przypomniał sobie, co Tanjy wyprawiała pod tym obrazem, marząc o tym, że jest ofiarą gwałciiciela, i

przyszło mu na myśl, że mogła czerpać dodatkową satysfakcję, pławiąc się w tej dziwnej mieszance dewocji i świętokradztwa.

Przejrzał dokładnie biurko w poszukiwaniu terminarza bądź też palmtopa, ale niczego takiego nie znalazł. Na biurku także panował idealny porządek, w szarym skoroszytcie zebrano zapłacone rachunki, w jaskrawoczerwonym segregatorze instrukcje od laptopa, dalej piętrzyły się równiutko poustawiane pudełka z kompaktami zawierającymi programy komputerowe, wreszcie leżał stosik ilustrowanych czasopism, głównie „Elle” i „Vogue’a”. To do niej pasowało. Tanjy pracowała przecież w modnym salonie odzieżowym i starała się dobierać sobie ubrania tak, by upodabniać się do modelek.

Zapalił lampkę na biurku i ustawił pod nią skośnie cienki bloczek notesowy, mając nadzieję, że znajdzie odcisnięty na papierze zapis z poprzedniej kartki. Bez trudu odczytał numer telefonu. Kiedy jednak wybrał go w swoim aparacie komórkowym, połączył się z pobliskim wysyłkowym sklepem spożywczym.

Uruchomił stojący na biurku komputer. Spozstrzegł ze zdumieniem, że Tanjy nie korzystała z programu Outlook, co oznaczało, że prawdopodobnie wysyłała i odbierała pocztę elektroniczną bezpośrednio w którymś portalu sieciowym, zatem trudno byłoby dotrzeć do jej korespondencji. W komputerowym terminarzu nie było żadnych wpisów. Zajrzał do spisu ostatnio odwiedzanych adresów internetowych i aż pokręcił głową, ujrawszy niezwykle mieszaninę stron chrześcijańskich oraz pornograficznych, nierzadko publikujących zdjęcia kobiet skrupowanych, upokarzanych i gwałconych.

Zajrzał do edytora tekstów i kliknął pierwszy od góry tytuł w spisie ostatnio otwieranych dokumentów. Był to plik o nazwie *Wyspa*. Na ekranie wyświetlił się tekst:

Tubylcy przywiązali Ellen z szeroko rozstawionymi nogami do stelaża ustawionego w błocie. Kolejno, jeden po drugim, rozmiękczeni ją językami, w których nosili kolczyki. Błagała ich o litość: „Nie! Nie! - wołała - dosyć! Nie róbcie tego więcej!” - ale oni byli głusi na jej histeryczne krzyki. Wbrew swej woli czuła, jak w głębi jej trzewi wzbiera niezwykle intensywny orgazm...

Zamknął ten tekst i wczytał następne, ale miały podobny charakter. Po raz kolejny zdziwił go kontrast między tą spokojną, małomówną dziewczyną, którą widział w swoim gabinecie, a jaskrawymi fantazjami dotyczącymi skrajnej uległości, jakie wypełniały jej umysł.

Wyłączył komputer. Nie było w nim żadnej wskazówki co do ewentualnej przyczyny zniknięcia Tanjy ani klucza do rozstrzygnięcia, czy faktycznie zniknęła. Trudno się przecież było dopatrywać czegoś niezwykłego w tym, że wsiadła do własnego auta i wyjechała z domu. Wszyscy tak robili. A niektórzy podejmowali decyzję, żeby nigdy nie wracać.

Gdzieś w głębi domu rozległo się nagle głuchoe tąpnięcie. Wstał z łóżka, podkraśl się na palcach do drzwi sypialni i nadstawił ucha. Od razu zidentyfikował niezbyt umiejętnie maskowane stąpania w okolicy drzwi kuchennych, albo raczej pod oknem, którym i on dostał się do środka.

- Hej, frajerze! - rozległ się gromki męski głos. - Co tu robisz? Wiem, że tu jesteś.

Stride wyszedł na korytarz i stanął oko w oko z dwudziestolatkiem nerwowo zaciskającym palce na uchwycie kija golfowego. Młodzieniec aż podskoczył na miejscu, kiedy go zobaczył.

- Już dzwoniłem na policję! Będą tu lada chwila!

- Mylisz się. Policja już tu jest - odparł spokojnie, pokazując swoją odznakę. - Kim jesteś?

- O cholera... No... przepraszam. - Miał na sobie szare spodnie

od dresu, wypuszczoną na wierzch flanelową koszulę, duże sportowe niezawiązane buty oraz wielką futrzaną czapkę ze zwisającymi luźno po bokach nausznikami oraz podwiniętą wysoko ku górze i pomarszczoną przednią częścią, co upodobniało go do basseta.

Mieszkam w ojczyźnie idiotycznych nakryć głowy, pomyślał Stride.

- Jak się nazywasz? - ponowił pytanie.

- Przepraszam. Jestem Duke. Duke Andrews.

Nawet imię miał trochę psie.

- Co tu robisz?

Poprawił na nosie okulary w grubej ciemnej oprawce, które zjeżdżały mu na czubek nosa. Chyba próbował zapuścić bródkę, gdyż miał smuzkę ciemnego zarostu, lecz kontrastował on z wyraźnymi resztkami młodzieńczego trądziku na policzkach.

- Mieszkam po sąsiedzku. Okna mojej sypialni wychodzą na tylne podwórko. Zauważyłem, jak wchodził pan do środka, i pomyślałem, że... tego... może pan być włamywaczem.

- W takim razie posłuchaj przyjacielskiej rady, Duke. Nigdy nie próbuj na własną rękę zatrzymywać włamywacza. Zostaw to policji.

- Tak, jasne, oczywiście. Zachowałem się jak idiota. - W złości poskubał załążek przyszłej bródki.

- Poza tym kij golfowy niewiele znaczy w konfrontacji z bronią palną.

- Nawet nie grywam w golfa. Tym bardziej się wygłupiłem.

- Wiesz, kto tu mieszka?

Duke energicznie pokiwał głową, po czym zagryzł paznokcieć palca wskazującego.

- Tak, jasne... Ta dziewczyna, o której tyle mówili w wiadomościach... No, wie pan... W sprawie tego niby gwałtu. Tanjy. To

chyba zdrobnienie od Tangerine, co nie? Dziwaczne imię... Ale co tam...

- Kiedy widziałeś ją ostatnio?

- Parę dni temu.

- Pamiętasz dokładnie, kiedy to było?

Nawet nie musiał się namyślać.

- W poniedziałek wieczorem. Widziałem, jak wsiadła do samochodu i odjechała około dziesiątej.

- Mam wrażenie, że bacznie ją obserwowałeś.

- Słucham? - Duke nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

Stride był od niego wyższy, a gdy podszedł nieco bliżej, chłopak jak gdyby jeszcze się skurczył.

- Ciekawe, co bym zobaczył, gdybym teraz poszedł z tobą do twojego domu. Teleskop wymierzony w okno sypialni Tanjy? To znacznie lepsze od lornetki do podglądania sąsiadki, prawda? Nie trzeba go trzymać w rękach.

- Rety, chwila... Co pan sugeruje? Nic takiego... - Chłopak obejrzał się w kierunku drzwi, jakby miał ochotę rzucić się do ucieczki.

- Posłuchaj, lepiej od tej pory trzymaj teleskop wycelowany w gwiazdy, dobra? Nie mam ochoty zajmować się skargami na wścibskiego podglądacza. Teraz jednak chciałbym usłyszeć, co udało ci się podejrzeć w sypialni Tanjy.

Przez wargi Duke'a przemknął uśmiezek triumfu. Wytrzeł dłonie o nogawki dresowych spodni.

- Rety... To niesamowite. Na pewno pan w to nie uwierzy.

- Zobaczymy.

- Ta dziewczyna zachowuje się jak gwiazdka porno. Sypia całkiem nago. A codziennie przed snem musi zaliczyć numerek. Mógłbym sprzedawać bilety, wystarczyłoby mi nie tylko na opłacenie czynszu.

- Często miewa gości?

- Do sypialni nikogo nie wpuszczała, przynajmniej od czasu, kiedy zacząłem ją obserwować.

- To znaczy od kiedy?

- Wynająłem to mieszkanie na początku grudnia. Bardzo szybko się zorientowałem, jak ciekawe widoki roztaczają się z okna sypialni.

- Nie masz pojęcia, dokąd mogła pojechać w poniedziałek wieczorem?

Duke ściągnął futrzaną czapkę i poskrobał się po głowie. Czarne włosy miał zmierzwione i posklejane.

- Nie mam pojęcia. Tylko patrzyłem. Właściwie się nie znamy.

- Była sama?

- Kiedy odjeżdżała? Tak.

- Widziałeś ją kiedykolwiek w jakimś towarzystwie?

- Chodzi o facetów? Tak, pewien gość kręcił się pod jej domem koło świąt Bożego Narodzenia. Raz widziałem, jak rozmawiali na ganku przed drzwiami. Nawet niedawno widziałem go parę razy w tej okolicy. Zakładam, że to jej narzeczony. Szczęściarz, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Miałem nadzieję, że uchwycę choćby fragment akcji w sypialni, ale myślę, że jeśli ze sobą sypiają, to na pewno gdzie indziej, na przykład u niego.

- Jak wygląda ten mężczyzna? - zapytał Stride.

- Duży facet. Nawet większy od pana. Dość typowy osiłek, jakiego należałoby się spodziewać u boku takiej dziewczyny. Takie ślicznotki nie zadają się z cherlakami jak ja. Boją się niewłaściwego zestawu genów. Choć na przykład niektóre modelki powychodziły za mąż za prawdziwych brzydali, co nie? Zatem trzeba mieć nadzieję. Najwyżej wszyscy będą się użalali nad ich dziećmi. Bo wychodzi na to, że dzieciaki zawsze dziedziczą po rodzicach te gorsze połówki...

- Powiedz mi coś więcej o tym facecie, którego tu widziałeś -



przerwał mu inspektor, pełen najgorszych przeczuć.

- Nie ma o czym mówić - odparł Duke. - Kupa muskułów. Do tego śmieszne ciuchy. Aha, i jeszcze długie blond włosy. Dłuższe niż u wielu dziewczyn.

- I właśnie tego faceta widziałeś w towarzystwie Tanjy?

- Tak, jego.

Stride ledwie się powstrzymał, żeby nie zakląć na głos, ponieważ chłopak opisał mu właśnie męża Maggie, Erica.

## 10.

Maggie była boso, siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę. Czarne włosy miała tłuste i pozlepiane. Skulona w wielkim przepaścistym fotelu sprawiała wrażenie jeszcze drobniejszej niż w rzeczywistości. Żółte płomienie ognia płonącego w kominku odbijały się w jej oczach, dziwnie błyszczących, jakby zapatrzonych w niezbadaną dal.

- Pewnie nadal czujesz to w powietrzu, prawda? - zapytała, kilkakrotnie pociągając nosem.

Serena nie czuła żadnego szczególnego zapachu.

- Co miałabym czuć?

- Odór potu wszystkich gliniarzy. I smród kleju z folii do zdejmowania odcisków palców. Minęły już dwa dni, a ja go wciąż czuję.

Serenie przemknęło przez myśl, że Maggie daje się ponosić wyobraźni. Ale nie powiedziała tego na głos.

- Nie jesteś głodna? - zapytała.

- Nie bardzo.

- Mam w bagażniku wędzonego pstrąga.

Maggie skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Ohyda.

- Ohyda? Przecież sama uczyłaś mnie, jak wybierać najsmaczniejsze kawałki.

- Ale ostatnio nie brałam go do ust.

Serena usadowiła się wygodnie na sofie w saloniku domu przyjaciółki. Był urządzony typowo po męsku, wyłożony orzechową boazerią, z wypchanym łbem jelenia wiszącym nad kominem i spoglądającym w dół szklistymi oczami. Meble obito czarną skórą. Z głębokiego cienia w kącie dolatywało miarowe tykanie stojącego wahadłowego zegara. Wokół kominka zalegało półkolem nagrzane powietrze. Serena siedziała tu już prawie od godziny, a ledwie zdążyły zamienić ze sobą parę słów.

- Jonny bardzo żałował, że nie może przyjechać - powiedziała.

- Rozumiem. Teraz jestem trędowata - odparła Maggie. - Może i ty nie powinnaś się zanedo zblizać, żeby się czymś nie zarazić.

- Gdyby jednak mógł coś dla ciebie zrobić nieoficjalnie, zrobi to z przyjemnością - dodała Serena.

- A co on może? Tym przedstawieniem zawiaduje Abel Teitscher.

Niestety, miała rację.

- Czy Abel już z tobą rozmawiał?

- No pewnie. Wczoraj, przez trzy godziny. Traktował mnie tak, jakbym była odrażającą handlarką narkotyków. Zależy mu na tym, żeby zobaczyć moją głowę w galerii swoich trofeów, wypchaną jak tamten Bambi. Martwą i wypatroszoną. Pewnie wiesz, że dla Abła to jak *déjà vu*. Jego była partnerka Nicole zastrzeliła męża, więc pewnie nawet sobie nie wyobraża, żeby ze mną mogło być inaczej.

- Coś mi się zdaje, że w ogóle nie powinnaś z nim rozmawiać - zauważyła Serena.

- Pewnie tak, tylko co byś sama pomyślała o podejrzanej, która w ogóle nie chce składać wyjaśnień, za to od razu szuka sobie dobrego adwokata?

- Że jest winna.

- Otóż to. Ja nie zabiłam Erica, więc prawda nie może mnie boleć, co nie? Tylko dlatego zgodziłam się odpowiedzieć na pytania Abla. Chociaż wiedziałam od początku, że postępuję jak idiotka. Dopiero dzisiaj zadzwoniłam do Archiego Gale'a i usłyszałam od niego dokładnie to samo, dlatego teraz bez udziału adwokata nie powiem już ani jednego słowa.

- Pewnie wiesz, że Abel ma składać meldunki bezpośrednio Danowi.

- Cudownie. Masz więcej takich wspaniałych wiadomości? Szykuje się rewelacyjny prezent pożegnalny dla Dana i Lauren. Moja głowa na srebrnej tacy.

- Dobrze wiesz, że gdybyś chciała, by ktoś sprawdził dla ciebie jakieś poszlaki, zawsze możesz na mnie liczyć.

Maggie uśmiechnęła się smutno i zagwizdała temat z *Aniołków Charliego*.

- Cha, cha - zareagowała Serena.

- Gdybyś miała zostać jednym z aniołków, wolałabyś rolę Kate, Jaclyn czy Farry? - zaciękała się Maggie.

- Jaclyn. Zimna jak lód.

- Ja wolałabym Farę.

- No tak, jako wystrzałowa blondynka. Całkiem pasuje.

Maggie wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu.

- Całkiem poważnie, na pewno nie powinnam się niczemu przyjrzeć z bliska? - zapytała Serena.

- Porozmawiam z Archiem i dam ci znać. Pewnie nawet nie zdajesz sobie sprawy, że gdy lądujesz po przeciwnej stronie śledztwa, trafiasz do zupełnie innego świata. Wszystko, co dotyczy Erica, może mieć dla mnie znaczenie.

- Jasne. A twoje sprawy?
- Nie rozumiem.
- Mam na myśli stare śledztwa i zbirów, których wpakowałaś za kratki. Żaden z nich nie mógłby się teraz mścić?

Maggie zmarszczyła nos.

- Nie sądzę, by któryś z nich potraktował to w kategorii osobistych porachunków ze mną.

- Może nie z tobą, ale z nim.

- Słyszałaś kiedykolwiek plotki, że jakiś bandyta się na ciebie uwziął?

Serena skinęła głową.

- Nawet parę razy. Może zabójcy z Las Vegas są bardziej skłonni do odwetu. To pewnie wpływ tamtejszej mafii. Był taki worek gówna, którego wpakowałam do więzienia za próbę zabójstwa, bo pociął nożem swoją dziewczynę. Nazywał się Tommy Luck. Wspaniałe nazwisko jak na Vegas, prawda? I kiedy Tommy wyszedł na wolność, próbował mi się odwdziżyć.

- Zaatakował cię?

- Nie zdążył. Śledził mnie, ale nim zdążył cokolwiek zrobić, został zamknięty za wymuszanie haraczy za ochronę na rzecz któregoś z tamtejszych gangów. Chłopcy znaleźli w jego mieszkaniu masę moich zdjęć. Prawie na wszystkich powycinał oczy. I to czubkiem noża. A resztę mojej sylwetki upaękał czerwoną farbą.

- Co się z nim stało?

- Dalej gnije w więzieniu.

- Nie sądzę, żeby w mojej przeszłości znalazł się jakiś Tommy Luck - powiedziała Maggie.

- W takim razie ktoś inny musiał mieć motyw, żeby zabić Erica.

- Cieszę się, że tak myślisz. Większość ludzi uważa, że tylko ja miałam ku temu powody i zabiłam go albo dla pieniędzy, albo dlatego, że ciągle mnie zdradzał, a może dlatego, że sama

znalazłam sobie kogoś. - Zwiesiła głowę na piersi i zgarnęła włosy z twarzy do tyłu.

Serena nie wiedziała, jakim jeszcze sposobem mogłaby ją skłonić do mówienia.

- No wiesz, nie potrzeba było jasnowidza, by nabrać przekonania, że macie poważne kłopoty małżeńskie.

- Nie mogę o nich rozmawiać. Mój adwokat by mnie zamordował.

- Przecież wiesz, że nigdy nie było tej rozmowy. Coś cię gnębiło już od dłuższego czasu. Chodziło o Erica? Związał się z inną kobietą?

Maggie uniosła oczy do nieba.

- Traktował kobiety jak frytki ziemniaczane. Po prostu nie mógł sypiać tylko z jedną.

- A ty? Nie miałaś żadnego romansu?

Oparła brodę na kolanach, przekrzywiła ją nieco i spojrzała na Serenę z ukosa.

- Eric był przekonany, że miałam.

- Poważnie?

- Cały czas wierzył, że sypiam ze Stride'em.

Między nimi to był bardzo grząski grunt.

- Dobrze wiem, co czułaś do Jonny'ego - zaczęła miękko Serena.

- A ja wiem, co on czuje do ciebie - przerwała jej Maggie z nutą goryczy. Niby się przyjaźniły, lecz Serena zdawała sobie sprawę, jak bardzo Maggie żałuje tego, że Jonny tak szybko zdecydował się być z nią. Po śmierci pierwszej żony miał mnóstwo czasu na to, żeby związać się z Maggie, a jednak tego nie zrobił.

Jednocześnie Serena była zazdrosna. Kiedy spotykali się we trójkę, niekiedy czuła się jak piąte koło u wozu, ponieważ Maggie zachowywała się u boku Stride'a nadzwyczaj swobodnie, zapewne z powodu wielu wspólnych przeżyć.

- Nie powinnam ci tego mówić - dodała Maggie - bo jeśli Eric posądzał mnie o romans, to daje kolejny motyw, dla którego mogłabym go sprzątnąć.

- Ale nie miałaś romansu?

- Nie, lecz skoro on w to wierzył, mógł podjąć decyzję o odejściu ode mnie, prawda? Mógł mnie zostawić bez dachu nad głową i bez pieniędzy. W każdym razie na pewno Teitscher by tak pomyślał.

- Nie wiesz, czy Eric planował odejść? Czy to był zasadniczy problem między wami?

Maggie prychnęła pogardliwie.

- Nie, i na tym polega ironia mojej sytuacji. Eric postanowił zrobić wszystko, żeby uzdrowić nasz związek. Kochał mnie i szczerze żałował swoich wyskoków. Chciał dochować mi wierności i siłą utrzymać spodnie na tyłku. Urocze, nie sądzisz?

- Ale...?

- To ja chciałam od niego odejść. Co nie znaczy, że myślałam o zabójstwie. Zamierzałam się rozwieść z tym łobuzem. Miałam mu o tym powiedzieć właśnie tamtego wieczoru.

- Odważysz się wyznać dlaczego?

- Powiedzmy, że sytuacja stała się dla mnie nie do zniesienia - odparła wymijająco Maggie.

- To znaczy?

Pokręciła głową.

- Nic więcej nie powiem.

- Kilka miesięcy temu - rzekła z naciskiem Serena - pytałaś mnie o seks. Nabrałam wtedy przeświadczenia, że Eric domaga się od ciebie czegoś, na co nie masz ochoty.

- Zostawmy ten temat, dobrze? Proszę - syknęła Maggie.

- Przepraszam. - Urwała na chwilę, po czym zapytała: - Otrzymujesz jakąś pomoc?

- Co skłania cię do wniosku, że potrzebuję pomocy?

- Nie żartuj, Maggie.

Znowu pokręciła głową.

- Nie, nawet nie rozmawiałam z Tonym od święta Dziękczynienia.

- Dlaczego?

- Wtedy jeszcze serce mi się ścisnęło z powodu poronienia. Ale teraz mam to już za sobą, nie boleję nad tym, co się stało.

Serenę ogarnęła złość.

- Niczego nie masz za sobą. Byłaś na coś aż tak rozżalona, że chciałaś zażądać rozwodu, tyle że ktoś zastrzelił twój męża.

- Masz rację, pogadaj z moją psychoterapeutką - odparła Maggie z ironicznym uśmiechem. - To ci sporo wyjaśni. Na pewno zyskasz kolejny motyw. Taki, że jestem stuknięta. Zresztą może mogłabym wystąpić o uniewinnienie z powodu zaburzeń psychicznych?

- Nie o to mi chodziło.

- Wiem. - Maggie uniosła obie ręce w obronnym geście. - Przykro mi, że sprawiłam ci zawód. Zobaczą się znowu z Tonym, gdy będę na to gotowa. Obiecuję. Ale na razie mam na głowie ważniejsze sprawy.

## 11.

W sobotę rano Stride wprowadził swojego forda bronco na wolne miejsce parkingowe przed całodobowym klubem fitness przy Miller Hill. Od ulicy pawilon miał witryny od ziemi do sufitu, toteż zanim jeszcze wysiadł, obrzucił spojrzeniem kilka dwudziestolatek w sportowych strojach, ze słuchawkami na uszach, trenujących na taśmach do joggingu stojących pod oknem. Kiedy wszedł do środka, jak obuchem zwałił się na niego donośny rytmiczny hałas urządzeń elektrycznych. Piersi dziewcząt unosiły się w przyspieszonym tempie, w powietrzu wisiał kwaśny odór potu. Powiódł

wzrokiem po zaczerwienionych twarzach klientów, wypatrując Mitchella Brandta, który w centrum Duluth prowadził firmę inwestycyjną i pomnażał pieniądze swoich klientów, grając na giełdzie jak na loterii. Zarazem był to były narzeczony Tanjy Powell, ten sam, który po złożeniu przez nią doniesienia o rzekomym gwałcie ujawnił mediom tajemnice jej upodobań seksualnych.

Jeśli Tanjy miała romans z Erikiem Sorensonem, chciał się dowiedzieć o niej czegoś więcej, gdyż nabrał podejrzeń, że zniknięcie Tanjy mogło mieć coś wspólnego ze śmiercią Erica. A był przekonany, że nikt tak jak Brandt nie zna sekretów dziewczyny.

Dostrzegł maklera wyciągniętego na leżance do wyciskania sztangi stojącej w końcu pomieszczenia i między rozstawionymi ciasno urządzeniami zaczął się przeciskać w tamtym kierunku.

- Mitchell Brandt?

Mężczyzna nie zareagował, nawet nie spojrzął na niego, tylko czarne ołowiane ciężary na sztandze zakołysały się nieco mocniej. Miał na sobie szary podkoszulek z emblematem drużyny Minnesota Twins oraz czerwone nylonowe spodenki. Pod skórą ramion rysowały się okazałe mięśnie. Na czole perliły się krople potu, a podkoszulek na piersi znaczyła trójkątna wilgotna plama.

- Tak. A kto pyta? - odezwał się w końcu, odłożywszy sztangę na wsporniki.

- Nazywam się Stride. Jestem z miejscowej policji. Poznaliśmy się kilka miesięcy temu.

Brandt usiadł, zasapany. Wziął biały ręcznik, otarł twarz z potu i zarzucił go sobie na ramiona. Miał koło trzydziestki, krótko przystrzyżone kręcone ciemnoblond włosy, a masywną kwadratową szczękę gładko wygoloną. Jego oczy odznaczały się ciepłym orzechowym odcieniem. Obrzucił Stride'a taksującym wzrokiem.

- Tak, pamiętam. Czym mogę służyć?

- Chciałbym zadać panu kilka pytań.



Tamten skrzywił się z niesmakiem.

- Na jaki temat?

- Tanjy Powell.

- Aha. - Brandt rozluźnił się natychmiast i wzruszył ramionami. - Interesują was odgrzewane stare wiadomości?

- Ona zaginęła.

- Zaginęła? I tak nie wiem, w czym mógłbym pomóc. Nie widziałem się z Tanjy od dawna.

- Więc to nie potrwa długo.

Brandt odciągnął palcem przeпоcony brzeg podkoszulka na piersi i poruszał szczęką. Miał w ustach gumę do żucia.

- W porządku. Po sąsiedzku jest kawiarnia. Niech mi pan da dziesięć minut na kąpiel, tam porozmawiamy spokojnie.

- Będę wdzięczny.

Brandt zsunął nogi na podłogę, wstał z leżanki i ruszył w stronę męskiej szatni. Był wysoki i dobrze zbudowany, sprawiał wrażenie zblazowanego, obojętnego na wszystko macho, co zapewne bardzo przyciągało kobiety. Stride zwrócił uwagę, że kilka dziewcząt ćwiczących pod oknem odprowadziło go przeciągłymi spojrzzeniami.

W kawiarni zamówił filiżankę czarnej kawy, wziął ze stojaka gazetę i usiadł przy stoliku w rogu. Notatka o zniknięciu Tanjy znajdowała się na pierwszej stronie, była jednak krótka i ogólnikowa. Dołączono jednak jego prośbę o kontakt, jeśli ktokolwiek widział ją czy z nią rozmawiał w minionym tygodniu. Nikomu, nawet Ablowi, nie wspomniał jeszcze, że zniknięcie Tanjy może mieć związek ze śmiercią Erica. Przynajmniej na jakiś czas chciał sobie zostawić tę tylną furtkę do śledztwa w sprawie zabójstwa Sorensona.

Mitchell Brandt zjawił się dopiero po dwudziestu minutach. Miał na sobie czarną jedwabną koszulę i ciężki złoty łańcuch na szyi, do tego letnie spodnie za kolana oraz czarne półbuty.

Zamówił dużą latte z podwójnego espresso z odtłuszczonym mleczkiem. Poza łańcuchem nosił wystarczająco dużo biżuterii, między innymi zegarek marki Omega i duży złoty sygnet z szafirem, żeby automatycznie nasuwać wrażenie, że jest bogaty. Zanim usiadł przy stoliku, mocno uściśnął dłoń Stride'a i zaszczyił go szerokim przyjacielskim uśmiechem.

- Jak tam pańskie inwestycje, poruczniku? - zapytał. - Mam na oku parę ciekawych, szybko rozwijających się firm.

- Prawie wszystkie oszczędności lokuję w policyjnym funduszu emerytalnym.

- Cóż, gdyby jednak zechciał pan zarobić jakieś porządne pieniądze, proszę dać mi znać. Wśród moich klientów jest bardzo wielu prawników oraz urzędników władz miejskich. I wszyscy są bardzo zadowoleni z efektów naszych wspólnych inwestycji. Ostatnio poleciłem przyjaciółom kilka popularnych spółek z branży techniki medycznej.

- Na czym polega tajemnica pańskiego sukcesu? - zapytał Stride.

- Na pilnym śledzeniu wiadomości. Jakiś czas temu nawiązałem współpracę z młodzieżą z klubu Byte Patrol, która pomogła mi stworzyć indywidualną wyszukiwarkę sieciową. Dzięki temu łatwo mogę dotrzeć do każdej potrzebnej informacji biznesowej, zarówno dobrej, jak i złej czy wręcz paskudnej. Wydaje mi się, że o niektórych firmach wiem więcej, niż zatrudnieni w nich ludzie średniego szczebla administracji.

- Postaram się o tym pamiętać.

Brandt pociągnął łyk kawy.

- Więc Tanjy naprawdę zaginęła? Co jej się mogło stać? Wjechała samochodem do jeziora czy co?

- Dlaczego przyszedł panu do głowy właśnie taki wypadek?

- Bo ona nie jest stabilna emocjonalnie. Przypomina mi grzeczną dziewczynkę ze szkółki niedzielnej umieszczoną w samym środku akcji powieści Stephena Kinga.

- To znaczy? - zaciekawil się Stride.

Brandt pochylił się w jego stronę i wyjaśnił ciszej:

- Niech pan nie żartuje, poruczniku. Przecież czytał pan wtedy gazety. Ta dziewczyna nalegała, żebym codziennie wieczorem chodził z nią do kościoła, a potem przywiązywał jej ręce i nogi do łóżka, po czym przystawiał nóż do gardła, kiedy będziemy się kochać. To przecież nie jest normalne, prawda?

- Więc dlaczego pan się z nią umawiał?

Brandt zachichotał i powachlował sobie przed twarzą dodatkowym sportowym leżącym na stoliku gazety.

- Pan żartuje? Umówiłbym się z nią i teraz, niechby tylko pojawiła się w tym lokalu. To skrzyżowanie Kleopatry z Grace Kelly, nawet jeśli miała niezwykle wymagania co do seksu, to była jednak wspaniała w łóżku. Nigdy wcześniej nie spotkałem dziewczyny, która by tak przeżywała orgazmy. Pewnie pan widział w kinie tę słynną scenę, w której Meg Ryan udaje orgazm, co nie? Proszę to dziesięciokrotnie wzmocnić. Tanjy potrafiła wstrząsnąć murami budynku.

Stride dopił swoją kawę. Była bardzo mocna i przepalona, a wraz z ostatnim łykiem połknął też sporo fusów. Na widok samczych błysków w oczach Brandta zaczęła go ogarniać bezpodstawna irytacja.

- Skoro był pan pewien, że zmyśliła całą tę historyjkę o gwałcie, powinien pan to zgłosić na policji, zamiast informować dziennikarzy - rzekł lodowatym tonem.

Makler poderwał ku górze obie ręce.

- Ktoś panu niewłaściwie przedstawił tę sprawę. To dziennikarze poprosili mnie o wywiad. Wiedzieli, że jestem związany z Tanjy, jeszcze zanim zdążyłem otworzyć usta. Przysięgam.

- Skąd mogli to wiedzieć? Przechwalał się pan tą znajomością?

- Trochę tak, ale nie sędzę, by któryś z moich przyjaciół mnie

wydał. Miałem wrażenie, że dziennikarze dowiedzieli się o mnie od samej Tanjy. To byłoby do niej podobne, bo w każdej sytuacji wolała sama podejmować decyzje. To chyba jeden z głównych elementów ciągłego pozowania na ofiarę. Jak tylko usłyszałem o tym domniemanym gwałcie, byłem pewien, że Tanjy wszystko zmyśliła. Dla mnie brzmiało to niemal jak opis naszego życia erotycznego. W końcu nakłoniła mnie, żebym ją przeleciał właśnie tam, przy ogrodzeniu na końcu parku Grassy Point. Z tego, co wiem, zaciągała tam kolejno wszystkich swoich partnerów. Tyle że nie chciałem psuć jej zabawy. Jedynym powodem, dla którego zgodziłem się rozmawiać z dziennikarzami, była świadomość, że oni i tak opiszą nasz związek po swojemu, a nie chciałem uchodzić za gwałciciela. Byłbym skończony w moim biznesie. Pomyślałem więc, że skoro i tak ma się z tego zrobić sensacja, lepiej będzie się zatroszczyć, żeby wszyscy zyskali pewność, że był to wyłącznie pomysł Tanjy, a nie mój.

Stride nie mógł sobie jakoś wyobrazić, żeby Tanjy zgłosiła się na policję z fikcyjnym zgłoszeniem gwałtu, a zaraz potem nakierowała dziennikarzy na tego człowieka, by ją zdemaskował.

- Jak się poznaliście?
- Sonia przedstawiła nas sobie w salonie mody.
- Jaka Sonia?
- Sonia Bezac. Kierowniczka sklepu.

Stride poczuł dreszcz na plecach.

- Sonia Bezac prowadzi salon mody należący do Lauren?
- Oczywiście. Zna ją pan?

Odegnął od siebie wspomnienia o charakterze erotycznym.

- Owszem, znam.
- Tylko proszę mi nie mówić, że należy pan... - Brandt urwał nagle.

- Do czego?

Tamten pokręcił głową.

- Nic. Nieważne.

- A skąd pan znalazł Sonię? - zapytał inspektor.

- Ona i jej mąż są moimi klientami. Zdarza się, że wpadam do sklepu, żeby porozmawiać o inwestycjach. To zresztą zaledwie parę kroków od mojego biura. Tam właśnie poznałem Tanjy zaraz po tym, jak Sonia ją zatrudniła. Dość szybko zaczęliśmy się spotykać.

- Ona też była pańską klientką?

- Tanjy nie ma pieniędzy do zainwestowania. Jej ojciec był pastorem, matka prowadziła dom. Po ich śmierci odziedziczyła niewielką sumę, ale przeznaczyła ją na opłacenie studiów. Nigdy nie miała przy sobie większych pieniędzy. Ale z jej wyglądem to bez znaczenia. Faceci byli gotowi kupować jej wszystko, o co poprosiła.

- Jak długo byliście ze sobą?

- Pięć, może sześć miesięcy. Rozstaliśmy się na początku lata, a więc z pół roku przed tym, jak zrobił się szum wokół sprawy jej gwałtu.

- Dlaczego pan z nią zerwał? Za dużo pana kosztowała?

Brandt zrobił zdziwioną minę.

- Ja z nią zerwałem? Nic podobnego. To ona mnie rzuciła. Uprawiałem z nią najlepszy seks swojego życia, poruczniku. Jak już powiedziałem, gdyby dzisiaj do mnie zadzwoniła, zjawiłbym się u jej boku jeszcze tego samego popołudnia.

- W porządku. Zatem dlaczego pana rzuciła? - poprawił się Stride.

- Przynajmniej formalnie z tego powodu, że nie chciałem się z nią ożenić.

- A dlaczego pan nie chciał? Podobno był pan nią zauroczony.

- Byłem, ale nie na zawsze. Nie wyobrażam sobie różanego ogródka, dzieciaków, rodzinnych wyjazdów odrapanym minivanem. Byłem z nią szczęśliwy, dopóki ze sobą sypialiśmy. Ale

małżeństwo? Nie, dziękuję. Nie miałem ochoty obudzić się któregoś dnia i zobaczyć ją pochyloną z tasakiem nad moimi genitaliami.

- Tanjy była niebezpieczna?

- Nie słuchał pan, poruczniku? Całe jej życie kręciło się wokół przemocy. Nawet seks musiał być dla niej elementem przemocy. Tylko w ten sposób mogła się nim w pełni cieszyć. Naprawdę miała nierówno pod sufitem. Nie uśmiechało mi się być pod ręką, gdy kiedyś szatan nakaże jej poszatkować własnego męża na plasterki.

- Powiedział pan, że się rozstaliście, bo nie chciał się pan z nią ożenić, ale to był tylko formalny powód - przypomniał mu Stride.

- Mam rozumieć, że prawdziwym powodem było co innego?

Brandt pokiwał głową.

- Tak, jasne. Nigdy wcześniej nie rzuciła mnie żadna dziewczyna, więc poczułem się cholernie urażony, rozumie pan? A już tym bardziej się nie zdarzyło, by któraś zrezygnowała ze mnie dla kogoś innego.

- Więc Tanjy zaczęła się spotykać z kimś innym?

- Owszem. Najpierw zaczęła odwoływać niektóre nasze spotkania. Potem dowiedziałem się od Soni, że bierze coraz dłuższe przerwy na lunch, nawet dwugodzinne. Doszedłem więc do wniosku, że znalazła sobie niezłą górę złota. Kogoś bogatszego ode mnie.

- Zapytał ją pan, z kim się spotyka?

- Nie. Nawet nie chciałem tego wiedzieć. Bałem się, że przegram rywalizację z jakimś grubym i łysiejącym sześćdziesięciolatkiem, rozumie pan? Wziąłem za dobrą monetę wymówkę, że się rozstajemy, bo nie chcę się z nią ożenić, chociaż dobrze wiedziałem, że to tylko wymówka.

- Jest pan tego pewien? - zapytał inspektor.

- No cóż, od tamtego czasu jakoś nikt nie włożył jej obrączki na palec, prawda? Poza tym stosowane przez nią wybiegi nasunęły mi oczywisty wniosek. Człowiek, z którym zaczęła się spotykać, był już żonaty.

Jak Eric, pomyślał Stride.

Kiedy detektyw wyszedł z kawiarni, Mitchell Brandt odprowadził go wzrokiem i popatrzył, jak na parkingu wsiada do starego forda bronco. Miewał już do czynienia z gliniarzami i znał się co nieco na ich sztuczkiach. Wiedział, że potrafią rozmawiać o jednym, podczas gdy naprawdę polują na informacje o czymś innym. Próbowali zapędzić pytanego człowieka w pułapkę, gdzie mógłby popełnić jakieś głupstwo. Czasami, kiedy łapało się ich uważne spojrzenie w chwili, gdy myśleli, że są bezpieczni, można było dostrzec przebłyśki prawdy w ich oczach.

Ale Stride odjechał, ani razu nie obejrząwszy się w stronę kawiarni.

Więc może faktycznie chodziło mu tylko o Tanjy i o nic innego. Niemniej Brandtowi i tak się nie podobało, że musiał rozmawiać z policjantem właśnie w takim momencie, kiedy czekał na bardzo ważny telefon, od którego mogło zależeć jego życie.

Wyjął z kieszeni komórkę i pośpiesznie wybrał numer.

Rozległ się kobiecy głos:

- Słucham. Tu Kathy.

- Cześć, witaj dziewczynko - odezwał się makler.

Przed oczyma stanęła mu Kathy Lassiter, zimna i opanowana, w wysokich szpilkach, zapewne miażdżąca jaja swoich podwładnych w firmie Brooks Brothers i maskująca elegancką szarą garsonką własne skłonności do bycia złą dziewczynką. Bardzo mu się podobała ich cicha walka o przejęcie kontroli nad sytuacją.

- Witaj. Ale „cześć” zachowaj dla siebie - odparła zaczepnie.

Wyobraził sobie lekki ironiczny uśmiezek wypływający na jej wargi, gdy równocześnie sutki zamieniały się w twarde różowe guziczki.

- Nie tęsknisz za naszym spotkaniem w przyszłym tygodniu? - zapytał.

- Dobrze wiesz, że tak. Masz ochotę być pierwszy?

- Może tym razem się wstrzymam, żeby trochę popatrzeć.

- To mi się podoba.

Uśmiechnął się.

- Posłuchaj, co do Inffloronu...

- Nie przez telefon!

- Tak, wiem... Rozumiem. Przepraszam. Ciekaw jestem tylko, czy nikt się tą sprawą nie interesował, nie rozpytywał...

Na linii zapadła przedłużająca się cisza, ale Brandt wyraźnie odbierał w słuchawce szmer oddechu rozmówczynie.

- Oczywiście że nie. Dlaczego pytasz?

- Chciałem tylko sprawdzić, czy nic nam nie zagraża.

- Ktoś cię zaczepił w tej sprawie? - Erotyczne akcenty w jej głosie zniknęły bez śladu. Znowu była tylko zimną prawniczką z bogatej spółki.

Brandt się zawahał.

- Nie.

- Więc lepiej się nie wychylaj.

- Zrozum, że gdyby ktoś wpadł na trop naszej korespondencji, trafiłby do mnie, a nie do ciebie.

- I co z tego? - zapytała lodowatym tonem.

- Mnie się to po prostu nie podoba.

- W takim razie musisz mi zaufać - odparła.

- No tak, masz rację.

- Zobaczymy się w przyszłym tygodniu, będziesz miał okazję wyładować swoją frustrację. Tymczasem postaraj się nie zrobić niczego głupiego, dobra?

- Jasne - rzucił i przerwał połączenie.



Na próżno starał się dociec, czy Kathy Lassiter go nie okłamuje. Wykorzystywali się nawzajem w różnych sprawach, nie tylko łózkowych, ale on wciąż jej nie ufał. Ani trochę. W tej sytuacji nie stać go było na to, żeby komukolwiek zaufać. I uważał to za rzecz normalną, skoro już dał się złapać na haczyk szantażysty.

## 12.

Podstarzały dozorca, Meksykanin, wprowadził Abła Teitschera do solarium na tyłach posiadłości Dana Ericksona przy London Road. Na srebrnej tacy czekała już na niego parująca kawa oraz rogaliki i pokrojony w kostkę ser pleśniowy. Zakłopotany, nalał sobie kawy do filiżanki i zaczął w nią dmuchać, żeby prędzej wystudzić. W pośpiechu zjadł kawałek sera, nie korzystając z talerzyka, po czym wytarł zatłuszczone palce w papierową serwetkę, którą zgniół w ciasną kulkę i wepchnął do kieszeni. Czuł się jak idiota, próbując utrzymać ciężką filiżankę tylko w dwóch palcach, bo chwiała się na wszystkie strony, co groziło tym, że wyśliznie mu się z rąk i spadnie na podłogę z białej terakoty, przez co narobi straszego bałaganu.

Przez wytarte podeszwy skórzanych półbutów czuł chłód bijący od posadzki. Przeszklona ściana, podzielona na geometryczne części, wychodziła na szeroki pas ośnieżonego trawnika, opadającego ku brzegowi jeziora. Dworek przy nadbrzeżnej drodze był staroświecki i kosztowny, oddalony od szosy i ukryty za ciężką kutą żelazną bramą, otoczony rozległym odkrytym terenem przynoszącym tyle pożytku, ile trzeba było zapłacić od niego podatku od nieruchomości. Abel szybko doszedł do wniosku, że ów teren, nawet porośnięty chwastami, był wart dużo więcej niż sam dworek. Ale został kupiony za pieniądze Lauren, a nie Dana.

Dostrzegł przesuwaną się cień w romboidalnym okienku i odwrócił się szybko w stronę gospodarza wkraczającego do solarium z głównego budynku. Prokurator okręgowy poprosił go o aktualny raport w sprawie postępów w śledztwie dotyczącym zabójstwa Erica Sorensona.

- Cholera, zimno tu jak w psiarni - syknął Dan. - Poczęstowałeś się kawą, Abel? Nie trzeba jej podgrzać?

- Dziękuję. Jest wystarczająco ciepła.

Dan nalał kawy do filiżanki. Miał na sobie granatowy jedwabny szlafrok narzucony na białą piżamę oraz czarne pluszowe bambosze na nogach, ponad którymi widać było gołe kostki. Blond włosy, normalnie posklejane połową opakowania lakieru w aerozolu, były zmierzwiłone i sterczały na wszystkie strony. Nie ogolił się i dolną część twarzy pokrywała mu żółtawa szczecina zarostu.

- Przepraszam za spóźnienie - rzekł. - Aż do drugiej w nocy rozmawiałem przez telefon w sprawie swojej nowej pracy. Już nie mogę się doczekać przeprowadzki do Waszyngtonu. Nie mam nic przeciwko Duluth, ale pochodzę z Chicago, dlatego z przyjemnością odbieram perspektywę powrotu do wielkiego miasta, gdzie ochota na chińskie danie nie zmusza człowieka do stania w kolejce przed obskurnym barkiem przy Potsticker Palace.

Abel aż jęknął mimowolnie. Regularnie co poniedziałek zamawiał dostawy chińskich potraw z Potsticker Palace i uważał je za wyśmienite.

Dan nałożył sobie na talerzyk rogalika i dwa kawałki sera.

- Nie lubisz takich luźnych gadek, prawda? To dlatego niektórzy uważają cię za nadętego kutasa, Abel. Zastanów się nad tym. Wyglądasz na jeszcze chudsze niż podczas naszego ostatniego spotkania. Nie chorujesz na raka albo coś w tym rodzaju?

Teitscher poczuł, że się czerwieni.

- Dużo biegam, co nie? Wszyscy w tym mieście szprycują się tłustym żarciem, żeby łatwiej przetrwać zimę, tymczasem u mnie

poziom cholesterolu nie przekracza stu siedemdziesięciu jednostek, a nigdy nie brałem cholernego lipitoru.

Dan zaśmiał się krótko.

- Zatem komendant ma rację. Dostałeś świra na punkcie swojego zdrowia.

Gospodarz świadomie starał się go sprowokować, lecz Abel nie zamierzał sprawić mu satysfakcji. Miał nadzieję, że Dan w swojej ulubionej chińskiej restauracji w Waszyngtonie zakrzutusi się kawałkiem zapieczonego na sztynno brokuła.

- Proszę wybaczyć, ale w jakim celu mnie pan wezwał? - zapytał zniecierpliwiony. - Zazwyczaj chce pan z nami rozmawiać dopiero wtedy, gdy zwracamy się o przygotowanie nakazu aresztowania.

- A teraz jeszcze go nie potrzebujecie?

- Nie. Musimy poczekać na sprawozdanie z sekcji zwłok, a ono będzie gotowe dopiero za kilka tygodni.

- W porządku, powiedz mi więc, co nowego odkryliście od czasu naszej ostatniej rozmowy. - Dan usiadł i odgryzł rożek rogalika.

- Kazałem sprawdzić finanse Sorensona. Wartość netto jego majątku opisywana jest liczbą siedmiocyfrową, a strumień dochodów ani trochę nie maleje. Świetnie inwestował pieniądze, a firma nie ma żadnych obciążeń sądowych. Przez ostatnie dwa lata nie zwolnił ani jednego pracownika. W jego życiu zawodowym nie znaleźliśmy niczego podejrzanego.

- I teraz cały jego majątek przypadnie Maggie? - zaciekawiał się Dan.

- Większa część. Widziałem testament, w którym są pewne zapisy na cele dobroczynne oraz drobne datki dla jego dwóch sióstr oraz gromadki siostrzeńców i siostrzenic. Ale w sumie to raptem jakieś sto tysięcy dolarów. Lwia część majątku ma przejść w ręce wdowy po nim.

- Piękne gniazdko jak na policjantkę. A co ze szczęśliwym małżeństwem?

- Wcale nie takim szczęśliwym.

- Maggie powiedziała coś na temat ich pożycia?

- Twierdzi, że żyli w zgodzie, ale kłamie. Mam doniesienia o kłótniach i awanturach. On od pewnego czasu nie sypiał z nią w jednym łóżku. Moim zdaniem zapowiadał się rychły rozwód.

- Da się to udowodnić? - zapytał prokurator.

- Na tym etapie nie. Wiem jednak, że Maggie uczęszczała na regularne spotkania z psychoterapeutą. Z Tonym Wellsem. Sorenson rozmawiał z nim tego wieczoru, kiedy został zamordowany.

- Wiadomo, o czym rozmawiał?

- Dzwoniłem do niego, ale Tony zasłonił się tajemnicą lekarską. Nic nie powie, dopóki nie uzyska na to jednoznacznej zgody Maggie.

- Jest mało prawdopodobne, byśmy ją uzyskali.

- Niemniej Tony uważa, że Maggie jest niewinna, choć zdaje sobie sprawę, że jego zdanie mało znaczy.

- Owszem, nie jest warte funta kłaków. A co ze związkami pozamałżeńskimi?

- Sekretarka Sorensona twierdzi, że spotykał się z kimś na boku, ale jak dotąd nie poznaliśmy jeszcze żadnych nazwisk.

- A Maggie? Nie robiła żadnych skoków w bok?

- Rozpytywałem na ten temat w naszym wydziale, lecz nikt nie chce w ogóle o niej rozmawiać.

- Macie ją pod obserwacją?

- Oczywiście, to standardowa procedura, lecz ona doskonale o niej wie. Nie jest głupia.

- Mimo to obserwujcie nadal, przez okrągłą dobę. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek nam zarzucił, że traktowaliśmy podejrzaną policjantkę na specjalnych warunkach.

- Komendant zalecił mi już to samo.

- Jeśli dalej będziesz rozpytywał o jej ewentualne romanse, nie zapominaj, że zawsze miała słabość do Stride'a - przypomniał mu Dan.

- Ale wszyscy wiedzą, że było to uczucie platoniczne.

- Czyżby? Nie byłbym taki pewien.

Abel popatrzył na niego spod przymrużonych powiek.

- Czyżby znał pan jakąś tajemnicę?

- Mówię tylko, że pół życia spędzili razem, dlatego warto to sprawdzić.

- Skoro pan tak mówi... - Abel nadal nie był przekonany. Nie przepadał za Stride'em i niezbyt lubił Maggie, nie oznaczało to jednak, że jest gotów posądzić ich o romans. Ale z drugiej strony zawsze uważał też, że żona jest mu wierna.

- Tak więc mąż ją zdradzał, a mimo to ma po nim odziedziczyć milionową fortunę - rzekł Dan. - Zatem motyw jest oczywisty.

- Jak wiele innych rzeczy. Strzały padły z jej rewolweru. Nikogo poza nimi nie było w domu. Tylko ona mogła to zrobić.

- Wygląda na to, że jesteś przekonany o jej winie. A co ze śladami prochu na jej palcach?

- Nie znaleźliśmy. Ale przecież mamy do czynienia z policjantką, która wie, jak się ich pozbyć.

- Nie znaleźliście też żadnych śladów krwi na jej ubraniach?

Abel pokręcił głową.

- Badania jeszcze trwają, ale dotąd bez rezultatu. Była we własnym domu, zdążyłaby wyprać ubrania, zanim nas zawiadomiła. Zresztą mogła do niego strzelać nago, a potem wziąć prysznic. Kazałem jej zrobić badanie krwi. Niby piła kawę, ale czułem od niej alkohol.

- I co wykazały badania?

- Poziom alkoholu w jej krwi wynosił zero siedem promila. Nawet jeśli przestała pić kilka godzin wcześniej, to i tak był

dość wysoki. Musiała więc być wstawiona, kiedy sięgała po broń.

- Przez co Archie Gale będzie mógł wystąpić tylko o nieumyślne zabójstwo.

- I to zasadnie - dodał Abel. - Bo jak dotąd nic nie wskazuje, żeby zabiła z premedytacją.

- No właśnie, rewolwer jakimś cudem sam znalazł się na dole, a Maggie tylko poszła za nim, żeby się przekonać, co zamierza. - Dan włożył do ust duży kawałek rogalika z serem i oblizal za tłuszczone wargi. Po chwili dodał: - A co z teorią spiskową? Nikt nie wyszedł ostatnio z więzienia, kto mógłby się mścić na Maggie za to, że wpakowała go za kratki? Obrońcy procesowi w rodzaju Archiego Gale'a uwielbiają się rozpytywać nad takimi poszlakami.

Abel prychnął szyderczo.

- Nie znajdzie niczego podobnego. Moi ludzie jeszcze sprawdzają jej dawne sprawy, lecz jak dotąd wszyscy zamknięci przez nią albo jeszcze siedzą, albo już nie żyją. Wręcz trudno sobie wyobrazić prostszą sprawę od tej. Stride dopatruje się w niej jeszcze jakiejś tajemnicy, ale tylko dlatego, że nie może pogodzić się z faktem, że to Maggie zabiła męża.

Dan pochylił się w jego stronę.

- Stride próbuje ingerować w dochodzenie?

- Pierwszy zjawiał się na miejscu zbrodni. Mnie się to nie podoba, ale osobiście uważam, że niczego nie dotykał ani nie pomagał partnerce w zacieraniu śladów.

- Jeśli będzie się zanadto rozpytywał i pakował nos w nieswoje sprawy, natychmiast daj mi znać.

- Panu osobiście?

- Ma się rozumieć. Pewnie wiesz, że byłem przeciwny powołaniu go na szefa wydziału. Według mnie komendant powinien ciebie awansować na to stanowisko, tyle że Stride trzyma sztamę z komendantem. Gdyby zrobił cokolwiek w celu utrudnienia śledztwa, osobiście się zatroszczę, żeby natychmiast został wykopany

z gabinetu inspektora.

Abel nie wiedział, jak na to zareagować.

- Nie chciałbym po nim tego stanowiska, nawet gdyby komendant mi to zaproponował, a przecież tego nie zrobi.

- Nigdy nic nie wiadomo.

Teitscherowi tym bardziej nie podobały się takie rozgrywki. Nie chciał być pionkiem na czyjejs planszy. Dobrze wiedział, że Stride figuruje na samym szczycie listy wrogów Dana z powodu przegranych przez niego wyborów, lecz jeśli adwokat wciąż myślał o zemście przed wyjazdem do stolicy, niech to załatwia we własnym zakresie.

Rozległ się stłumiony sygnał telefonu komórkowego gospodarza. Dan sięgnął do kieszeni szlafroka i wyciągnął aparat.

- Słucham, Erickson - rzucił do mikrofonu.

Abel spojrział z zaciekawieniem, jak oczy adwokata wykonują nerwowy taniec. Chwilę później Dan strzelił palcami i wskazał mu drzwi. Detektyw z przyjemnością ruszył do wyjścia. Nie miał złudzeń co do tego, że gospodarz odbierał złe wiadomości.

- Cześć, Dan. Wiesz, kto mówi?

Przez chwilę na linii panowała martwa cisza, jakby adwokat miał kłopoty z przestawieniem się z jednej rzeczywistości do drugiej. Wszystkie ofiary reagowały podobnie.

- Tak - odparł w końcu spiętym głosem.

- Dzisiaj upływa termin. Czy Serena jest gotowa dostarczyć pieniądze?

- Tak.

- To dobrze. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że to dopiero zaliczka, prawda?

- Nie tak się umawialiśmy.

- Masz rację, ale sytuacja się zmieniła. Sporo się wydarzyło w

tym tygodniu, Dan. Myślisz, że nie czytam gazet? Cena musiała pójść w górę.

- To nie do przyjęcia...

Zachichotał głośno.

- Uwielbiam prawników zawsze gotowych do negocjacji. Masz rację, Dan, więc może lepiej zapomnijmy o naszej umowie. Przekaż od razu telefon temu gliniarzowi, który jest z tobą, żebym mógł go wprowadzić we wszystko, co się naprawdę dzieje.

Urwał, żeby dać rozmówcy czas do namysłu. Ofiary w rodzaju Dana należały do najłatwiejszych. Byłyby gotowe żreć tłuczone szkło, byle tylko uniknąć ryzyka ujawnienia kompromitujących informacji. Albo nawet pobytu w więzieniu.

- Co ci chodzi po głowie? - zapytał wreszcie adwokat.

Tamten uśmiechnął się szeroko.

- Najpierw dobijmy tego pierwszego targu, potem dam ci znać, co będzie dalej. Naprawdę nie chciałbym ci zrujnować tej cudownej przeprowadzki do Waszyngtonu.

- Chcę poznać szczegóły - rzucił ostrzej Dan.

- Wezwij Serenę - polecił. - Każ jej się stawić na cmentarzu Park Hill przy Vermillion Road dzisiaj o północy. Oczywiście samej. Z pieniędzmi.

- Dlaczego właśnie tam?

- Powiedzmy, że bardzo lubię towarzystwo umarlaków. - Przypomniał sobie fetor unoszący się nad wezbranymi w czasie powodzi wodami rzek w Alabamie i dodał: - Prawdę mówiąc, Dan, sam jestem duchem.

## 13.

Stride'owi zrobiło się żal chłopaka z organizacji Byte Patrol, który siedział przed komputerem w należącem do Lauren Erickson



salonie odzieżowym „Silk”. Kierowniczka sklepu Sonia Bezac pomachała mu niebezpiecznie blisko oczu palcami o ostrych jak szpony paznokciach, jakby chciała dać do zrozumienia, że bez namysłu jest gotowa mu je wyłupić. Technik był nadzwyczaj szeroki w barach, przez co jego fioletowy T-shirt sprawiał wrażenie, jakby skurczył się w praniu, lecz równocześnie Sonia zachowywała się tak, jakby miała na sobie obcisły skórzany kostium, a w rękę trzymała rzemienny bicz.

- To już trzeci raz w tym miesiącu muszę was prosić o interwencję - rzuciła ostro. - Ilekroć słyszę od kogoś z was, że wszystko w porządku, zaraz ten pieprzony złom znowu się zawiesz.

Technik wzruszył masywnymi ramionami, przez co na chwilę jego szyja całkiem zniknęła.

- Próbowала go pani rebootować?

Sonia wyrzuciła obie ręce ku niebu. Była wysoka, bardzo szczupła, odznaczała się pociągłą twarzą, wysuniętą szpiczastą brodą i lekko haczykowatym nosem. Z rękoma wzniesionymi nad głowę i puszystymi rudymi włosami jaśniejącymi jak słońce w zenicie sprawiała takie wrażenie, jakby była gotowa zamienić się w żywą pochodnię.

- Rebootować? Czy ja wyglądam na idiotkę? Myślisz, że mogłabym wyłączać ten złom i włączać go ponownie dwadzieścia razy, nim zdecydowałam się do was zadzwonić?

- Tylko zapytałam - bąknął niepewnie chłopak.

- Więc lepiej nie pytaj więcej, tylko bierz się do roboty. Potrzebny mi dostęp do moich plików.

Odwróciła się na pięcie i westchnęła tak głośno, jakby chciała wypluć niejadalny kawałek steku. Technik pochwycił zaciekawione spojrzenie Stride'a i zmarszczył nos.

Sonia zamarła w pół kroku, kiedy spostrzegła, że inspektor stoi na środku sklepu i bacznie ją obserwuje. Jak większość mężczyzn,

czuł się nieswojo wśród stojaków zawieszonych eleganckimi sukniami wieczorowymi i połyskliwymi kreacjami koktajlowymi. Widział swoje odbicia w dziesiątkach luster. Miał poważne wątpliwości co do tego, jak powinno wyglądać jego spotkanie z Sonią po latach, lecz ona je tylko nasiliła, gdy podbiegła do niego, zawadiacko przekrzywiła głowę na ramię i pocałowała go w usta.

- Słodkie usteczka - powiedziała. - Nawet po trzydziestu latach pamiętam ich smak.

Ściśle biorąc, umówił się z Sonią tylko raz, w pierwszej klasie szkoły średniej. Był wtedy pogrążony w żałobie po śmierci ojca, a ona kierowała się pragnieniem pozbawienia dziewictwa tylu szkolnych kolegów, ile tylko się da. Wykradła wtedy butelkę stołicznej z barku rodziców i przesiedzieli trzy godziny w samochodzie zaparkowanym przed Gooseberry Falls, racząc się wódką, dopóki nie uderzyła im do głowy. W upojeniu rozebrali się oboje do naga, lecz zamiast seksu skończyło się to wspólnym wymiotowaniem w rowie przy autostradzie, po którym żadne nie miało ochoty nawet na pocałunek.

Jakiś miesiąc później Stride poznał Cindy i już nigdy więcej nie umówił się z Sonią. Niemniej przez trzy dziesięciolecia od czasu do czasu wpadał na nią w gmachu ratusza. Dziewczyna ostatecznie wyszła za urologa Delmara Bezaca. Doskonale pamiętał, jak Cindy zażartowała wówczas, że nie wiadomo, które z nich po ślubie będzie oglądało więcej penisów.

- Mnie już pamięć zawodzi, Soniu - odparł. - Jedyne, co pamiętam, to że noc była zimna, a wódka ciepła. A może odwrotnie? To wódka była zimna, a noc ciepła?

Sonia musnęła palcem wargi, jakby sprawdzała, czy nie rozmazała sobie szminki podczas tego pocałunku na przywitanie.

- Mogę się założyć, że pamiętasz więcej, tylko nie chcesz się przyznać.

- Zostawię to bez komentarza.

- Wiem, że zostałeś gliniarzem. Twoje nazwisko ciągle pojawia się w gazetach. Zatem na pewno wiesz, dlaczego w powszechnym mniemaniu gliniarze noszą spluwy z długimi lufami.

Stride zignorował tę zaczepkę.

- Mnie zaskoczyło, że pracujesz dla Lauren.

- Masz coś przeciwko związkom bogatych suk ze zdzirami?

- Niczego takiego nie powiedziałem.

- Mniejsza o to, i tak wiem, co myślałeś. Ten salon to dla Lauren tylko pretekst do odpisów podatkowych. To ja go prowadzę.

- Jak się miewa Delmar? - zapytał. - Słyszałem, że to prawdziwy geniusz od zakładania kateterów.

Sonia zachichotała.

- Zawsze byłeś cholernie zabawny.

- W ten sam sposób rozmawiasz ze wszystkimi klientami? Matki przyszłych panien młodych lubią kogoś takiego, kto klnie jak szewc i odznacza się temperamentem miny przeciwpiechotnej?

Sonia pospiesznie odgarnęła puszyste rude włosy do tyłu.

- Dzięki za troskę, ale przy klientach potrafię się kontrolować. Wyjątkiem są dzisiejsze smarkule. Te przyszłe panny młode to urocze niewiniątka tylko w towarzystwie swoich matek. Powinny posłuchać, co mówią z dala od nich.

- Masz dzieci?

- Dwóch chłopaków, dzięki Bogu. Obaj są już poza domem, uczą się w college'u.

Stride powiódł spojrzeniem po strojach zdobiących białe plastikowe manekiny. Sonia miała na sobie błyszczącą liliową elastyczną sukienkę, doskonale prezentującą jej wspaniałą figurę. Ta kreacja nadawałaby się nawet na bal. Makijażem umiejętnie maskowała zmarszczki w kącikach oczu i ust. Na szpilkach niemalże dorównywała wzrostem inspektorowi. Pochwyciła jego zaciekawione spojrzenie, gdyż rozrzuciła szeroko ręce i obróciła się na jednej nodze. Głęboko wycięta suknia odsłaniała białe krągłości

jej drobnych piersi i widok ten przywołał z jego pamięci żywe wspomnienia z chwili, gdy miał okazję położyć dłonie na jej obnażonym dziewczęcym biuście. Jej skóra nie miała już tej świeżości i elastyczności co dawniej, lecz Sonia wciąż była bardzo atrakcyjna, zwłaszcza gdy nie okazywała w pełni swojego temperamentu.

- Nadal nieźle wyglądam, prawda? - zagadnęła, jakby czytała w jego myślach. - Zwłaszcza jak na dziewczynę pochodzącą z niewłaściwej strony boiska.

- Nawet nie umiałbym sobie wyobrazić ciebie na boisku, Soniu.

- Dlatego, że na moich szkolnych sukienkach nigdy nie było plam ze świeżej trawy?

- To też zostawię bez komentarza.

- Skoro już tu jesteś, pozwól, że cię oprowadzę. - Wzięła go pod ramię i pociągnęła w głąb sklepu, którego posadzka była zakryta kosztowną granatową wykładziną, wpuszczono w nią lampki podświetlające od dołu stojaki z ubraniami. Pośrodku sali zwieszał się spod sufitu połyskliwy szklany żyrandol. Sonia zaczęła wymieniać nazwiska włoskich projektantów mody, o których Stride wcześniej nawet nie słyszał, i kazała mu dotykać tkanin spływających po jego skórze niczym błyskawicznie topiące się kawałki lodu. Zauważył, że zostały mu na skórze błyszczące drobiny brokatu.

Salon „Silk” mieścił się przy Superior Street w samym środku długiego ciągu ceglanych śródmiejskich kamienic. Otaczały go sklepy z wymyślnymi podarunkami i suwenirami oraz modne kawiarnie, oferujące na przykład wróżenie z kart tarota, mające zwabić turystów z Canal Park czy znudzonych studentów z kampusu uniwersyteckiego. Były tu także salony jubilerskie oraz biura maklerów nastawionych na obsługę prawników, urzędników czy pracowników banków. Tu, w samym centrum Duluth, tak duży

sklep odzieżowy mógł się utrzymać wyłącznie z promocji i sprzedaży strojów ślubnych. Ale był to zarazem jedyny salon w mieście, w którym kobiety z tutejszych wyższych sfer oraz bogate samotne modnisie mogły obejrzeć projekty znanych kreatorów, bez płacenia za nie z góry bajońskich sum.

- Lauren planuje utrzymać ten sklep po tym, jak razem z Danem wyjadą do Waszyngtonu? - zapytał.

Sonia pokręciła głową.

- Namawiam Delmara, żeby go dla mnie wykupił.

- Dobry pomysł.

- Owszem, gdyby jeszcze Lauren nie próbowała mnie oszwa-  
bić na cenie. To pieprzona zimnokrwista suka.

- Tego nie musisz mi mówić - odparł Stride.

- No, tak. Pamiętam jeszcze te nagłówki w gazetach sprzed roku. Pewnie była gotowa cię zarznąć tęym nożem. Powinieneś się chyba cieszyć, że jeszcze żyjesz.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, ale nie odpowiedział.

- Przypuszczam jednak, że nie wpadłeś tu, żeby powspominać dawne dobre czasy - zagadnęła Sonia.

Pokręcił głową.

- Chodzi o Tanjy.

- Jasne. Wciąż nie mam od niej żadnej wiadomości.

- Opowiedz mi o niej - poprosił.

- Pewnie wiesz już więcej ode mnie. Choćby przez ten sfin-  
gowany gwałt z listopada.

- Ale tamta historia wcale nie pozwoliła mi jej poznać - od-  
rzekł. - To ty ją zatrudniłaś?

- Tak, wydawała mi się idealną kandydatką na sprzedawczy-  
nię. Miała wspaniale kawową cerę i cudowne oczy do prezento-  
wania strojów.

- Wiedziałaś coś o jej życiu seksualnym?

- Pytasz dlatego, że seks to moja specjalność? - Sonia

wyszczrzyła zęby w szerokim uśmiechu, który nasunął mu myśl, że nadal ostro rywalizuje z Delmarem o pierwszeństwo dostępu do intymnych części ciała męskiej populacji Duluth. - Przecież nie ma nic złego w popełnianiu od czasu do czasu drobnego grzeszku, prawda, Jon? Może sam chciałbyś się przespacerować po dzikiej stronie boiska?

„Czy kiedykolwiek zabawialiście się... trochę dziwnie?”.

- To znaczy? - zapytał.

- Tylko tyle, że nie każdy jest usatysfakcjonowany jednym zbliżeniem na tydzień w obowiązkowej pozycji misjonarskiej, no nie? Może i jestem po czterdziestce, ale bywam tak samo napalona, jak kiedyś.

- Aż strach pomyśleć.

- Nie masz ochoty na wspólny obiad? Opowiedziałabym ci przy nim, co dokładnie mam na myśli.

- Pas - rzucił.

- Tylko nie miej pretensji, że ci to zaproponowałam.

- Lepiej wróćmy do Tanjy. Wiedziałaś o jej fantazjach dotyczących gwałtu?

- Nie. Przy mnie zawsze zachowywała się bez zarzutu, niemalże jak świętoszka. Kto wie, możliwe, że cierpiała na rozdwojenie osobowości. Nie chcę przez to oceniać jej zachowań w sypialni, ale ja na pewno nie chciałabym zobaczyć w gazetach szczegółowego opisu własnych upodobań seksualnych.

- Wygląda na to, że miała facetów na kiwnięcie palcem.

- Och, Boże, jak najbardziej. Nawet byłam trochę zazdrosna. Zrozum, ja też miałam wielu partnerów i żaden z nich nigdy się nie skarżył, no nie? Ale mnie nikt nie zaproponował, że mi ozłoci cipkę.

- Ładne - mruknął Stride.

- Chcę tylko powiedzieć, że Tanjy była po prostu nie z tej półki.

- Rozmawiałem niedawno z Mitchellem Brandtem. To chyba twój przyjaciel, zgadza się?

- Można tak powiedzieć - odparła Sonia z tajemniczym uśmiechem.

- Poznałaś ich ze sobą?

- To było tak, że gdy Mitch zobaczył Tanjy w sklepie, nie opuścił, dopóki nie podprowadziłam go do niej za fiuta.

- Czy opowiadał ci o jej skłonnościach do udawania gwałtu, kiedy się spotykali?

- Oszczędzał mi wszelkich szczegółów. Raz tylko bąknął, że w łóżku jest z niej prawdziwe zwierzę. Przyjęłam to wtedy z niedowierzaniem.

- Mitch twierdzi, że Tanjy rzuciła go dla kogoś innego.

Sonia uśmiechnęła się szerzej.

- Biedny Mitch. Nigdzie nie potrafi dłużej zagrać miejsca.

- Nie wiesz, z kim Tanjy zaczęła się spotykać po rozstaniu z nim?

- Nie. Było oczywiste, że wdała się w jakiś gorący romans, ale trzymała go w tajemnicy. Kilka razy ją nawet pytałam, ale bez skutku.

- Nie wiesz dlaczego?

- Doszłam do wniosku, że to żonaty facet.

- Było to przed czy po zgłoszeniu przez nią fikcyjnego gwałtu? - zapytał Stride.

- Przed.

- A co się stało po tym, jak prasa ujawniła, że Tanjy wymyśliła sobie tę historię?

Sonia w zamyśleniu musnęła policzek czubkami palców.

- Wydaje mi się, że afera z fikcyjnym gwałtem zabiła jej romans. Przestała wychodzić na tajemnicze długie lunchy. Mam wrażenie, że facet doszedł do wniosku, że spotyka się z wariatką, i zaczął się bać, że ich związek wyjdzie na jaw.

- Więc ostatnio już się nie spotykali?

- W każdym razie nic o tym nie wiem.  
To go zaskoczyło.
- Nigdy nie widziałaś, żeby jakiś facet kręcił się koło niej w sklepie?  
Sonia pokręciła głową.
- Niewielu facetów tu zagłada. Zazwyczaj są to mężowie, którzy siadają w fotelu i pogrążają się w lekturze „Esquire” w oczekiwaniu, aż ich żony skończą przymierzać sukienki. Większość nie należy do tej klasy, która zwróciłaby uwagę na dziewczynę w rodzaju Tanji.
- Nigdy nie wspominała, że ktoś ją obserwuje albo śledzi?
- Mnie nie.
- Czy znałaś Erica Sorensona?  
Popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek.
- Jasne. Czemu pytasz?
- Widziałas go kiedykolwiek w towarzystwie Tanji?
- Nie.
- Czy to on mógł być tym jej tajemniczym mężczyzną? Tym, dla którego rzuciła Mitcha Brandta?
- Nie - oznajmiła pewnym głosem Sonia, skubiąc palcami ramiączko sukienki.
- Powiedziałaś to tak kategorycznie...
- Po prostu wiedziałabym, gdyby chodziło o niego.
- Jakim sposobem?
- Sonia wzruszyła ramionami, ale nie odpowiedziała.
- A skąd znałaś Erica? - zaciekał się.
- Z przyjęć.
- Miałas z nim romans?
- To nie twoja sprawa - syknęła ze złością, aż gruby kosmyk rudych włosów opadł jej na bok głowy. - Kim w końcu jesteś, gliniarzem czy przeklętym łowcą sensacji dla brukowców?
- Myślisz, że czerpię przyjemność z zadawania tego rodzaju pytań?



Obróciła się na pięcie, odeszła i zajęła posturę w witrynie sklepu, ostentacyjnie krzyżując ręce na piersiach.

- Nie masz pojęcia, kim teraz jestem, Jon. Przez te trzydzieści lat widywaliśmy się tylko przelotnie. Więc jak śmiesz przychodzić tutaj i osądzać moje życie osobiste? Nic o mnie nie wiesz.

- Tu nie chodzi o twoje życie osobiste - zaczął.

- Ale właśnie tak to zabrzmiało.

- Posłuchaj, zależy mi tylko na dwóch rzeczach. Chcę się dowiedzieć, gdzie jest Tanjy Powell i co ją spotkało. Chciałbym też wyjaśnić zagadkę zabójstwa Erica Sorensona.

- Nie mam ci nic do powiedzenia na temat Erica.

Zaklął pod nosem.

- W takim razie powiedz mi coś więcej o Tanjy.

Obróciła się gwałtownie w jego stronę.

- Na przykład co?

- Powiedziałaś Lauren, że w poniedziałek wyszła wcześniej z pracy.

Sonia ponownie odgarnęła włosy do tyłu.

- Zgadza się.

- Nie tłumaczyła, dlaczego wychodzi wcześniej?

- Nie.

Próba uzyskania od niej teraz jakichkolwiek wyjaśnień przypominała wytrząsanie ostatnich kropli wina z butelki.

- Co się wtedy dokładnie stało? - zapytał.

- Wzięła sobie przerwę około trzeciej. Kiedy wróciła, była wzburzona.

- Z jakiego powodu?

- Nie mam pojęcia.

- Nic nie powiedziała?

- Nie.

Stride czuł narastającą irytację.

- Ile czasu była jeszcze w sklepie?

- Może z pół godziny.
  - Nie wiesz, gdzie była w czasie przerwy?
- Sonia wzruszyła ramionami.
- Kiedy wróciła, przyniosła ze sobą kubek kawy z pobliskiej cukierni Katriny. Z lokalu Java Jelly.
  - Cukiernia Katriny?
  - Katriny Kuli. Tak się nazywa właścicielka. Chyba powinienś rozmawiać z nią, a nie ze mną. Może ona wie, co się wtedy stało, do cholery.

## 14.

Java Jelly, gdzie Tanjy poszła na kawę w poniedziałek po południu przed zniknięciem, także znajdowała się przy Superior Street, trzy przecznice od salonu „Silk”. Była to typowa studencka spelunka, przystań dla muzyków folkowych zarabiających tylko w weekendy, z podłogą z surowych sosnowych desek, poobijanymi stolikami oraz ciągiem rozwieszonych na ścianach czarno-białych zdjęć rozmaitych gwiazd i osobistości. Sufit był nisko zawieszony, a między belkami stropowymi wisiały poczerńiałe ze starości pajęczyny. W sali było tylko paru studentów, w większości zajętych wystukiwaniem SMS-ów w komórkach i popijających wystygłą kawę. W powietrzu zapach duszonej fasoli mieszał się ze smrodem przepoconych skarpet. Kobieta pracująca za barem była bardzo okazała, ważyła co najmniej sto kilogramów. Ciemnoblonde włosy zebrała za uszami w dwa kucyki. Miała na sobie nierówno ufarbowaną koszulę, która kończyła się dobre dwadzieścia centymetrów powyżej paska dżinsów, przez co w oczy rzucał się obfity wałek tłuszczu na jej brzuchu i tkwiący w pępku kolczyk, identyczny z tym, jaki zdobił górną wargę. Efekt zdobniczy dopełniał tatuaż w formie drutu kolczastego biegnącego wokół szyi.

- Podać coś? - zapytała niby uprzejmym, ale lodowatym tonem. Mogła mieć najwyżej trzydziestkę, ale wyglądała na starszą. Jak każde miasteczko uniwersyteckie, także Duluth miało swój zastęp byłych studentów, którzy nigdy nie wyrosli z etapu hipisowskiego.

- Chciałbym zadać pani kilka pytań.

- Pytania lepiej brzmią znad babeczki owocowej, nie sądzi pan? - zapytała, przecierając ścierką kontuar przed nim.

- Przykro mi, ale nie jestem głodny - odparł Stride. Po chwili dodał z ociąganiem: - Jestem z policji.

- I co z tego? Czyżbyście mieli jakiś przepis zabraniający jedzenia babeczek na służbie?

- W porządku. Niech będzie z jagodami.

- Jaaasne, z jagooodaaami, sztaaandarowym produktem stanu Minneesooota. - Wzięła talerzyk i dużymi szczypcami z wysokiego stojaka położyła na nim babeczkę.

Stride odliczył należność.

- Pani nazywa się Katrina?

Skinęła głową.

- Katrina Kuli. Jestem właścicielką tego przybytku, sprzedawczynią, menedżerką występujących tu zespołów, a zajmuję się nawet czyszczeniem stolików, gdy nie zjawią się studenci, którzy zwykle pracują na pół etatu.

- Niezła fucha.

- A pan wygląda na eksperta od takich fuch - rzuciła, cmoknąwszy znacząco. - Jak się pan nazywa? Joe Piątek? Bob Czwartek? A może Tom Poniedziałek?

- Nie. Jonathan Stride.

- No proszę... - Katrina splotła ręce na wybujałym biuście. - We własnej osobie. Tak, nie inaczej.

- Nie rozumiem.

- Maggie Sorenson jest moją przyjaciółką - wyjaśniła. - Miałam okazję wysłuchać setek opowieści o panu.

- Nie jestem pewien, czy powinienem to uznać za powód do dumy.

- To pewnie się pan zdziwi - syknęła Katrina, marszcząc brwi, jakby wyęczała pamięć. - Co u Maggie?

- Nie najlepiej.

- Słyszałam, że została zawieszona.

- Dostała płatny urlop do czasu zakończenia śledztwa w jej sprawie.

- Nie chce mi się wierzyć, żeby była zdolna do popełnienia morderstwa.

Stride zapragnął jak najszybciej zmienić temat.

- Jak się poznałyście?

- Na zajęciach aerobiku jakiś rok temu.

Słynął z umiejętności zachowania kamiennej miny, ale tym razem nie zdołał zapanować nad mimowolnym grymasem, który Katrina bezbłędnie wychwyciła.

- A co, sądzi pan, że duże dziewczęta nie potrafią tańczyć? - spytała zaczepnie.

- Nic podobnego.

- Pozwolę sobie dodać, że duże dziewczęta robią absolutnie wszystko, nie wyłączając cennych lekcji dla badylowatych piękności z ilustrowanych czasopism dla smarkul. Tyle że w tym zakresie efekty nie są warte żadnego wysiłku.

Uniósł obie ręce w obronnym geście.

- Wygrała pani. Możemy teraz porozmawiać?

- Tak, jasne. - Katrina skinęła ręką na chudzielca z przetłuszczonymi czarnymi włosami, który siedział w foteliku przed kominkiem, pogrążony w lekturze wyświechtanego kieszonkowego wydania *Ulissesa*.

- Billy, zastąp mnie na parę minut, dobra?

Chłopak mruknął gardłowo, nie podnosząc oczu znad książki. Katrina poprowadziła Stride'a na podwyższenie, które pełniło funkcję sceny dla występujących tu zespołów muzycznych.

Rozkładane krzeselka zaskrzypiały groźnie pod ich ciężarem, stolik zakotywał się na nierównych nogach, gdy Stride oparł na nim łokcie, by pochylić się w stronę właścicielki. Jej oddech pachniał herbatką z owoców leśnych. Dopiero z bliska zauważył, że grubszą warstwą makijażu próbowała zamaskować zaczerwienione pręgi na policzku i szyi, a brzydka blizna u nasady obojczyka wyzierała spod kołnierzyka bluzki jak paskudny robal.

- Co ci się stało? - zapytał.

Katrina wzruszyła ramionami.

- Nic.

- To nic wielkiego... - zaczął Stride.

- Pośliznęłam się na oblodzonym chodniku - przerwała mu. - Na szczęście moje wielkie cyce zamortyzowały upadek, bo inaczej byłabym w kiepskim stanie.

- I rozciąłeś sobie policzek podczas tego upadku?

- Tak, chyba nadziałam się na jakiś odłamek szkła. - W zakłopotaniu zakryła bliznę ręką.

- Wygląda to tak, jakby ktoś cię pobił.

- Mało mnie obchodzi, jak to wygląda.

- Nie chcę być wścibski, ale bardzo nie lubię, gdy jacyś faceci, mężowie czy nie, traktują swoje kobiety jak bokerskie worki treningowe.

- Na szczęście nie mam takiego faceta, jasne? Więc o co chodzi?

- Przysłała mnie tu Sonia Bezac z salonu odzieżowego.

W oczach Katriny pojawiły się błyski wściekłości.

- Niby co panu powiedziała na mój temat?

- Tylko tyle, że może znałaś dobrze Tanjy Powell.

- Aha. - Katrina w jednej chwili złagodniała.

- Więc znałaś Tanjy?

- Skoro już mowa o miłośniczkach lizaków... - mruknęła, lubieżnie oblizując czubkiem języka górną wargę.

- To znaczy: „tak”?

- Jasne. Często bywam w „Silk”, więc często ją widuję. Sonnie pomogła mi skompletować obsadę, gdy wybierałam się do Saint Paul na turniej tenisowy... - Pochwyciła zdumione spojrzenie inspektora i zagadnęła szybko: - A co? Mam panu jeszcze raz wygłosić od początku mowę o dużych dziewczynkach?

- Nie trzeba.

- Świetnie. Bo to wcale nie jest zabawne, jak ludzie traktują kogoś mojego rozmiaru. Nie chodzi nawet o mężczyzn, kobiety są jeszcze gorsze. A już dziewczyny w rodzaju Tanjy patrzą na mnie tak, jakby miały do czynienia z jakimś odmieńcem.

- I na pewno nie chodzi o kolczyk w pępku, drut kolczasty wokół szyi i inne tatuaże? - zapytał szybko.

- No, tak, te rzeczy mogą się wydawać dziwne. Lecz nawet jeśli jestem, do diabła, szurnięta, to traktuję to z dumą. Daj mi jednak krótką spódniczkę i wypuść na parkiet, a rozruszam tańcem całą salę. Niektóre kobiety spoglądają na mnie z niesmakiem, ale mam je gdzieś. Jestem, jaka jestem. Nie zamierzam przekradać się zaułkami tylko dlatego, że urodziłam się z genami otyłości i bardzo lubię jeść.

- Chyba już rozumiem, dlaczego tak dobrze się rozumiecie z Maggie - wtrącił Stride.

- Pewnie, o niej też wygadują różne bzdury. I to mi się podoba. W każdym razie ona nie należy do miłośniczek lizaków.

- A Tanjy?

Katrina mruknęła gardłowo.

- Zachowywała się jak typowa suka. Krążyła po całej sali, jakby uważała się za lepszą od całej reszty dziewcząt. Niby zawsze miała na podorzędziu gotowy cytat z Biblii, a potem się okazało, że lubiła, jak ją przywiązywali do łóżka i pastwili się nad nią. Pieprzona hipokrytka.

- Często tu zaglądała?

- Och, tak, prawie każdego dnia wpadała na kawę. I traktowała mnie jak sprzątaczkę. Za kogo się uważała, do cholery? W końcu sama była tylko zwykłą sprzedawczynią w sklepie z ciuchami.

- Kiedy widziałas ją po raz ostatni?

Katrina potrząsnęła głową i zagięła swoje kucyki ku górze.

- Zawsze tak robię, gdy muszę się namyślić - wyjaśniła. - To mi pomaga skupić fale mózgowie. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Chyba w poniedziałek.

- Była tu z kimś?

- Nie, wpadła sama. Wzięła kubek kawy na wynos i wybiegła.

- O której to było?

- Cholera, nie pamiętam. Jakoś wczesnym popołudniem.

- Jak wyglądała?

Katrina potarła czubek nosa wierzchem dłoni.

- Chyba tak samo, jak zawsze. Jak nadęta, gardząca innymi księżniczka.

- Nie była podenerwowana? Albo podniecona?

- Niczego takiego nie zauważyłam.

Stride w myślach pospiesznie obliczył czas. Tanjy wyszła z salonu na kawę, a gdy wróciła po upływie pół godziny, była wyraźnie poruszona. A tego samego wieczoru zniknęła. Co się mogło zdarzyć?

- Nie widziałas, dokąd poszła?

- Nie.

- Może z kimś rozmawiała?

- Nie widziałam.

- Znałś męża Maggie? - zmienił temat.

- Erica? Owszem.

- Czy kiedykolwiek widziałas go w towarzystwie Tanjy?

- Nie. - Katrina wsunęła czubek palca wskazującego do ust i zagryzła zęby na paznokciu.

- Wyglądasz na zdenerwowaną - zauważył.

Nie odpowiedziała.

- Coś się ostatnio działo z Erikiem?

- Skąd mam wiedzieć?

- To nie jest odpowiedź.

Katrina poruszyła się nerwowo na krześle.

- Nic mi nie wiadomo na temat Erica.

- Kiedy widziałś go po raz ostatni?

- Też był tu w poniedziałek.

Stride obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Przyszedł razem z Tanjy?

- Nie. - Musiała dostrzec niedowierzanie w jego oczach, gdyż szybko dodała: - Mówię prawdę. Nie byli razem. Eric zjawił się jakieś dziesięć minut po wyjściu Tanjy.

Po wyjściu z kawiarni Stride zajrzał do znajdującego się naprzeciwko oddziału banku Range i poprosił szefa ochrony o dostęp do zapisów wideo z kamery umieszczonej nad bankomatem z poniedziałkowego popołudnia. Zasiadł samotnie w pozbawionym okien pokoiku i zapatrzył się na niewyraźny ziarnisty obraz. Zapis był czarno-biały, lecz Duluth w styczniu i tak wyglądało jak stare dekoracje do czarno-białego filmu. Tkwił nieruchomo na drewnianym krzeselku i w mętnym blasku świetlówki spoglądał uważnie na strumień pieszych przechodzących ulicą.

Pięć minut po trzeciej zauważył Tanjy Powell znikającą w wejściu Java Jelly. Po trzech minutach pojawiła się z powrotem na ulicy z wysokim kubkiem kawy w ręku. Poczul się dziwnie, kiedy znów ujrzał ją żywą, jak zawsze chłodną i opanowaną. Kiedy uniosła kubek do ust, odniósł wrażenie, że poczul na wargach gorąco pitej przez nią kawy. Miała na sobie gruby czarny wełniany płaszcz sięgający aż do kostek i aksamitny toczek na głowie,



biały w tygrysie cętki, stanowiący komplet z grubym szalem. Kosmyki kruczoczarnych włosów wymykały się spod kapelusika i spadały na twarz niczym strumyki czekoladowej polewy spływającej po piance espresso.

Nagle widok przesłonił mu jakiś starszy mężczyzna, który stanął przed bankomatem. Jego twarz wypełniła niemal cały ekran. Stride zaklął pod nosem, usiłując dojrzeć cokolwiek ponad jego ramieniem. Po chwili mignęła mu sylwetka Tanjy, która ruszyła ulicą, ale w kierunku przeciwnym od salonu „Silk”. Miał ochotę wsadzić rękę do monitora i odsunąć staruszka na bok.

Dokąd ona poszła?

Minęły dobre dwie minuty, nim wreszcie mężczyzna zgarnął gotówkę i odszedł, a w polu widzenia kamery ukazała się przeciwna strona Superior Street. Stride wstrzymał oddech. Tanjy wciąż tam była, stała przy rogu budynku.

A przy niej stał Eric.

Miał na sobie ciemny garnitur, ale był bez płaszcza. Wiatr rozwiewał długie blond włosy. Para stała naprzeciwko siebie, tak blisko, jakby miała ochotę się pocałować. Eric tłumaczył coś z ożywieniem, lewą ręką trzymając dziewczynę za ramię. Ta w pewnej chwili odwróciła się gwałtownie i popatrzyła prosto w obiektyw kamery, jakby domyślała się obecności Stride'a obserwującego ich przez ulicę. Szybko uniosła obie ręce do ust w geście przerażenia.

Eric obrócił ją z powrotem do siebie i zaczął dalej coś mówić, lecz Tanjy energicznie pokręciła głową. Wyrwała się z jego uścisku i ruszyła szybko ulicą. Eric zawołał ją, raz i drugi, co łatwo dało się rozpoznać. Kiedy zniknęła mu z oczu, powstał jeszcze chwilę samotnie przed skrzyżowaniem, dumnie wyprostowany, niczym jakiś nordycki bożek. Wreszcie pokręcił głową do własnych myśli, skręcił za róg i zniknął w drzwiach kawiarni. On także wyszedł dość szybko z kubkiem kawy w rękę i z nisko

spuszczoną głową oraz włosami powiewającymi nad kołnierzem marynarki ruszył w przeciwnym kierunku. Chwilę później zniknął z pola widzenia kamery.

Stride nie zatrzymał odtwarzania. Znowu zapatrzył się na ludzi przechodzących ulicą. Poruszali się zwawo, chcąc jak najszybciej schronić się w jakimś ciepłym pomieszczeniu.

W końcu wyciągnął telefon komórkowy. Zawahał się jeszcze z palcem zawieszonym nad klawiaturą, lecz zaraz wybrał numer.

- Abel? Tu Stride. Musimy porozmawiać.

## 15.

Kwadrans przed północą Serena skręciła znad brzegu jeziora i ruszyła ulicą wiodącą stromo pod górę, wijącą się ciasno po zboczach niczym ogon chińskiego smoka. Jechała fordem bronco Stride'a, gdyż jego napęd na cztery koła lepiej się spisywał na śliskiej nawierzchni. Snopy reflektorów przesuwwały się po ogrodzeniach posiadłości. Tutaj, w wąskim zielonym pasie Congdon Park, przy tej jedynej odludnej uliczce odstraszałającej nieproszonych gości, stały najbogatsze rezydencje w mieście. Ogromne domiska wznoszące się w niebo wyskakiwały nagle z niebytu w światłach samochodu i zaraz zniknęły w ciemności niczym zjawy. Wszystkie bramy były pozamykane na głucho, działały systemy alarmowe, nigdzie nie paliły się światła.

W Duluth prawie nie było klasy średniej. Tutaj należało się albo do bogaczy, albo do biedoty, przy czym oba te światy nie miały ze sobą prawie żadnej styczności.

Jechała powoli, gdyż nie знаła dobrze tych rejonów, a mimo to omal nie przegapiła tablicy kierującej do cmentarza. Skręciła w Vermillion Road, która kilkaset metrów dalej zmieniła się w poryty koleinami bity trakt. Serena wyjechała na otwarty teren. Wzdłuż

drogi ciągnęły się tu szeregi jodeł, za nimi blask księżycy wylał z mroku wznoszące się lekko zbocza oraz rzędy stojących na nich nagrobków. Poczula się nagle zagubiona na tym odludziu, jakby zostawiła miasto daleko za sobą.

Zwolniła jeszcze bardziej. Kawałek dalej wypatrzyła słupek wystający ukośnie z zasy śniegu na prawym poboczu. Na jego szczycie była przywiązana biała szmata, która zwieszała się nieruchomo w stojącym powietrzu. Serena zjechała z drogi i wyłączyła silnik, po czym wysiadła i cicho zamknęła za sobą drzwi auta. Znieruchomiała, wyteżając słuch. Wokół panowała martwa cisza, tylko z portowego placu manewrowego w dole dobiegał stłumiony turkot przetaczanych wagonów. Chmury się rozwiały i teraz nad głową połyskiwały miriady gwiazd, błyszczał wąski sierp księżycy. Serena rozejrzała się pospiesznie dookoła. Na lewo od prowizorycznego parkingu zbocze wznosiło się dość stromo, lecz i tam między drzewami widać było groby. Po prawej ciągnęło się stare zardzewiałe siatkowe ogrodzenie ginące w zaspach, ale w części cmentarza znajdującej się za nim alejki były odsnieżone, ludzie mieli dostęp do grobów.

Serena ubrała się całkiem na czarno, w dżinsy i elastyczny golf sięgający jej aż pod brodę, na wierzch narzuciła powycieraną skórzaną kurtkę Stride'a, luźną i zbyt obszerną, ale bardzo ciepłą. Skutecznie zakrywała kaburę, w której pod lewą pachą spoczywał glock. Wołała nie podejmować żadnego ryzyka. Zwłaszcza w kontakcie z szantażystą. No i nie na odludnym starym cmentarzu o północy. Tym bardziej że w wewnętrznej kieszeni miała wypchaną kopertę zawierającą dziesięć tysięcy dolarów w używanych banknotach.

Śnieg był zbity i zmarznięty. Wdrapała się na szczyt zasy na poboczu i przeskoczyła przez dziurę w ogrodzeniu. Po drugiej stronie wylądowała w głębszym i bardziej puszystym śniegu, który dostał się do cholewek butów. Niemal od razu poczuła lodowatą

wilgoć przenikającą przez skarpetki. W kilku susach pokonała głęboki śnieg, wyskoczyła na oczyszczoną alejkę i stanęła. Drzewa majaczyły nad nią niczym gigantyczni cmentarni strażnicy. Przeważały iglaste, ale stały też między nimi bezlistne dęby. Sere-  
na ruszyła ostrożnie w głąb cmentarza, starając się stąpać na pal-  
cach. Wyjęła z kieszeni latarkę, zapaliła ją i snopem światła omio-  
tła kilka najbliższych pomników. Szybko odczytała nazwiska:  
Boe, Beckmann, Anderson. Nie była z natury podejrzliwa, ale  
szósty zmysł kazał jej się mieć na baczności. Ktoś oprócz niej był  
na tym cmentarzu.

- Zgaś latarkę! - usłyszała.

Coś w głosie mężczyzny sprawiło, że obleciał ją strach, jakby  
była nastolatką bojącą się duchów. Przemknęło jej przez myśl,  
żeby sięgnąć po broń, ale szybko odrzuciła ten pomysł i tylko  
przełknęła ślinę. W gardle jej zaschło. Zgasiła latarkę, przed  
oczyrna nawykłymi do ostrego światła rozlała się nieprzenikniona  
ciemność.

- Podejdź bliżej.

Postanowiła zaczekać jeszcze chwilę, aż wzrok przywyknie do  
ciemności, ale on się zniecierpliwił.

- Jazda!

Dojrzała mroczny zarys sylwetki pod pniem najbliższego dębu.  
Ruszyła w tamtym kierunku, zwracając uwagę na ciężar pistoletu  
w kaburze pod lewą pachą, który dodawał jej pewności siebie.  
Gdzieś w pobliżu pies zaskowyczał jak przeklęty upiór, a ten od-  
głos, choć sam w sobie nieprzyjemny, uświadomił jej z pełną mo-  
cą, że cywilizowany świat jest niezbyt daleko. Tyle że nikogo nie  
było wystarczająco blisko, by mógł zmienić wypadków, gdyby te  
wymknęły się spod kontroli.

Kilka razy zamrugała szybko, a następnie zmrużyła powieki,  
chcąc wyostrzyć wzrok. Stał u podnóża stromizny, w przepastnej  
futrzanej kurtce z obszernym kapturem, który całkowicie zakrywał

głowę i ocieniał twarz, wyprostowany, z rękoma zwieszonymi wzdłuż boków, sprawiającymi wrażenie nadzwyczaj długich, jak u małpy. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że w obu rękach trzyma jakieś przedmioty i to one nasilają złudzenie, że ręce ma do kolan. W końcu dostrzegła: w lewym ręku trzymał dużą i mocną latarkę, a w prawym karabin.

- Napatrzyłaś się? - zapytał.

Najwyraźniej chciał wiedzieć, czy spostrzegła, że jest uzbrojony.

Teraz to on zapalił latarkę i skierował strumień silnego światła na jej twarz. Aż zabołały ją oczy. Błyskawicznie zakryła je dłońmi i warknęła:

- Zgaś to, sukinsynu!

Zaśmiał się krótko, gardłowo, ale zgasił latarkę.

- Skończmy z tym wreszcie - powiedziała Serena. - Na pewno oboje chcielibyśmy wynieść się stąd jak najszybciej.

- Mam rozumieć, że tęsknisz za powrotem do łóżka u boku swego ukochanego gliniarza?

Serena pozwoliła, by kilka następnych sekund upłynęło w martwej ciszy.

- Jak rozumiem, dobrze mnie znasz. Czy to oznacza, że powinnam się ciebie bać?

- Sądzę, że już się boisz.

- Nieźle, jak na zwykłego szantażystę. To zazwyczaj tchórze. I dlatego nie pozwalasz mi dostrzec swojej twarzy. Kradniesz czyjeś sekrety i z tego powodu chcesz uchodzić za ważniaka. Ale w rzeczywistości kradzież ludzkich sekretów to broń z repertuaru małych dziewczynek.

On też nie odpowiedział od razu. Bąknął po chwili:

- Mogę ci opowiedzieć, jak traktuję małe dziewczynki.

- No, jak? Wciskasz się w ich sukienki?

- Uważaj, co mówisz! - syknął.

- Nie boję się żadnego zasranego szantażysty. Chcesz tę forse czy nie?

- Przeliczyłaś ją?

- Tak.

- Na pewno jest dziesięć tysięcy?

- Tak.

- Mam nadzieję, że nie zrobiłaś niczego głupiego w rodzaju oznakowania banknotów czy też spisania numerów seryjnych i nie mówiłaś o tym swojemu ukochanemu.

- Myślę, że i tak będziesz musiał podjąć ryzyko - odparła Serena.

- Tak samo, jak ty. Nie zapominaj o tym.

- Twoje ryzyko jest znacznie większe, ponieważ szantażujesz kogoś takiego jak Dan - przyznała wprost.

- Czyżby? Właśnie tacy jak Dan będą gotowi mi płacić, gdyż inną twarz pokazują światu, a zupełnie inną mają do brudnych rozgrywek, jakimi zabijają czas wolny, gdy sądzą, że nikt im się nie przygląda. Nie masz nawet bladego pojęcia, jakim głównym parają się najznakomitsze osobistości tego miasta. I ty, i twój ukochany gliniarz jesteście jak ślepcy.

- A więc nie chodzi tu tylko o Dana. Kogo jeszcze zamierzasz wziąć na warsztat?

- Jak powiedziałem, mnóstwo tutejszych oficjeli ma swoje brudne sekrety.

Serena sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Stój! - warknął, unosząc pospiesznie broń i mierząc w jej kierunku.

- Wyciągam twoje pieniądze.

Zaświecił jej w oczy strumieniem światła silnej latarki.

- Tylko powoli. Wyciągnij kopertę dwoma palcami. Żadnych sztuczek.

Serena wyjęła z kieszeni kopertę i wyciągnęła ją przed siebie.

- Widzisz?

- Połóż ją na nagrobku i cofnij się.

Płyta nagrobna u jej stóp była gęsto porośnięta mchem. Osunęła się też nieco ku tyłowi. Trudno było odczytać nazwisko, gdyż erozja zatarła litery, ale brzmiało chyba Burns. Serena położyła kopertę na szczycie nagrobka i powoli cofnęła się o kilka kroków.

- Wystarczy! - zawołał, gdy oddaliła się na pięć metrów. - Odwróć się. I uklęknij.

- Nic z tego.

- Klękaj!

- Nie zmusisz mnie, żebym odwróciła się do ciebie tyłem.

- Lepiej, żebyś sama się zmusiła.

Pokręciła nosem, lecz po chwili uklękła w zaspie przy grobie. Czowała, jak wilgoć przeciska się przez zwartą tkaninę dzinsów.

- Tylko się pospiesz!

Znowu zaświecił jej latarką w twarz, aż musiała zamknąć oczy, gdyż pojawiły się przed nimi oślepiające kręgi. Domyśliła się po odgłosach, że ruszył w dół zbocza. Śnieg zaskrzypiał mu pod stopami, gdy podszedł do niej. Palce zeszywniały jej od mrozu, toteż poruszała nimi szybko na wypadek, gdyby musiała sięgnąć po broń. Mężczyzna stanął u wezglowia nagrobka. Usłyszała, że pospiesznie przerzuca banknoty w kopercie. Czekwała cierpliwie. Spodziewała się dalszego odgłosu kroków w swoim kierunku.

- Do rychłego zobaczenia - rzucił niespodziewanie.

Jaskrawy blask latarki zgaśł jej przed oczyma. Otworzyła je, zamruwała szybko, ale jeszcze przez parę sekund nie mogła niczego dostrzec. Złowiła odgłos błyskawicznych, oddalających się kroków. Najwyraźniej ruszył truchtem w górę zbocza. Kiedy w końcu odzyskała wzrok, dostrzegła tylko rozmazaną sylwetkę znikającą w mroku zalegającym między drzewami.

Pozostała na cmentarzu sama.

Dźwignęła się na nogi i otrzepała spodnie ze śniegu. Dotarła ociężała do kawałka oderwanej i odchylonej siatki i przycisnęła się na skraj parkingu. Oddech miała płytki i przyspieszony, serce waliło jej jak młotem. Ford bronco Stride'a wydał jej się luksusową limuzyną.

Kiedy do niego podeszła, w oddali znów zaskowyczał pies. Aż ciarki przeszły jej po plecach. A może to nie był pies, tylko zabłąkany wilk? Woląła tego nie sprawdzać.

## 16.

Kiedy godzinę później wślizgiwała się pod kołdrę w sypialni, czuła się przemarznięta do szpiku kości. Na twarzy i odkrytych ramionach czuła podmuchy lodowatego powietrza wpadającego przez nieszczelne okno. Sypialnia była nieduża, podobnie jak wszystkie pomieszczenia w tym domu, który nie miał nawet fundamentów, a podłogi z cienkich desek ułożone na belkach sprężynowały przy każdym kroku niczym w wesołym miasteczku. Za to w sypialni unosił się specyficzny zapach starego drewna przesyconego wonią morskiej soli. Czasami budziła się w nocy i wciągając w nozdrza ten przyjemny zapach, nasłuchiwała wypełniających dom dziwnych odgłosów, jak gdyby duchy krążyły po wszystkich pokojach.

Przez cały miniony rok w sklepach z antykami rozrzuconymi wzdłuż północnego wybrzeża polowała na różne drobiazgi, komódkę z wiśniowego drewna, stare dywaniki czy historyczny sprzęt żeglarski. Nie mogła się nadziwić, jak wielką radość sprawia jej to mieszkanie, skrajnie odmienne od jej bliźniaka z Las Vegas, surowego i modernistycznego, urządzonego w czerni i bieli, ozdobionego jej własnymi zdjęciami polnych kwiatów bądź skalistych krajobrazów pustyni Mojave. Tamto mieszkanie było



wyzute z emocji, ale takie je właśnie lubiła przed paroma laty. Jednakże od kiedy poznała Jonny'ego, emocje zaczęły dominować w jej życiu i wraz z poprawą samopoczucia pozwalały jej uwolnić się od upiorów przeszłości, a przynajmniej lekceważyć je bez obawy, że znów przejmą nad nią kontrolę. To był jeden z głównych powodów, dla których tak bardzo polubiła ten stary dom i jego atmosferę. Znowu nabrała ochoty na obcowanie z przeszłością, czego przez lata pilnie się wystrzegala. Kiedy muskała palcami stojący zegar z początków dwudziestego wieku, niemalże czuła fizycznie, jak wiele osób robiło to przed nią.

Przytuliła się do Jonny'ego, który leżał wyciągnięty pod kołdrą. Od razu rozpoznała po rytmie jego oddechu, że nie śpi. Nie odezwał się ani słowem od chwili, kiedy weszła do sypialni, wnosząc ze sobą nocny chłód, po czym rozebrała się szybko i wśliznęła do łóżka. Gdy wsunęła dłoń między jego uda, wyraźnie przeszył go dreszcz.

- Masz pojęcie, jak lodowate są twoje palce? - zapytał.

- Przepraszam.

- To nie jest skarga.

Pocałowała go.

- Myślałam, że śpisz.

- Jak mógłbym spać, kiedy ty przed północą wyjeżdżasz z ważnym zadaniem?

- Wszystko w porządku.

- Zabrałaś ze sobą pistolet.

- Na wszelki wypadek.

- Nie chcesz powiedzieć nic więcej?

- Nie mogę - przyznała szczerze.

- Nawet mnie?

- Jeszcze nie teraz.

Obrócił się do niej i otworzył oczy. Był wyraźnie zaniepokojony.

- O co chodzi? - zapytała.

Podciągnął się w pościeli do pozycji półleżącej.

- Odkryłem, że Eric miał romans z Tanjy Powell. Musiałem powiadomić o tym Abela Teitschera.

- Więc i tę sprawę ci odbiorą?

Pokiwał smętnie głową.

- Abel powiedział ci coś na temat postępów w dochodzeniu?

- Udało mi się wyciągnąć z niego parę rzeczy - przyznał Stride.

- Jakich?

- Najbardziej zastanawiające jest to, że tego samego wieczoru przed śmiercią Eric pojechał na spotkanie z Tonym Wellsem.

Serena uniosła się na łokciu i odgarnęła włosy na tył głowy.

- Z Tonym? Dlaczego?

- Tego Tony nie chciał ujawnić, zasłaniając się tajemnicą zawodową.

- Eric chodził na jakąś terapię?

- Abel uważa, że to mało prawdopodobne.

- Ale Maggie korzystała z pomocy terapeuty.

- Zgadza się.

- Myślisz, że Tony wie coś na temat zabójstwa Erica? - mruknęła Serena.

- Tak mi się zdaje i sędzę, że chciałby nam pomóc, ale nie puści pary z ust, dopóki Maggie mu na to nie zezwoli.

- Byłby durniem, gdyby zatajone przez niego informacje mogły ją oczyścić z zarzutu popełnienia morderstwa.

- To tylko pozornie tak wygląda, bo zasadnicze pytanie brzmi: Co ukrywa Maggie? Bez wątplenia są rzeczy, które wołałaby zachować w tajemnicy.

- Jutro rano mam spotkanie z Tonym. Może zdołam wyciągnąć z niego coś więcej.

- Nie liczyłbym na to, zwłaszcza że chodzi o jego pacjenta.

- Powiedz mi coś więcej o Tanjy - poprosiła Serena.

- Z tego, co zdążyłem ustalić, zniknęła w poniedziałek późnym wieczorem. Wsiadła do samochodu, odjechała sprzed domu i nikt więcej jej nie widział.

- Nie odnaleźliście jej samochodu?

- Nie. Rozesłaliśmy listy po wszystkich pięciu stanach regionu i opublikowaliśmy je w mediach, ale jak dotąd bez rezultatu. Od poniedziałku nikt nie korzystał też z jej kart kredytowych ani nie podejmował w banku pieniędzy z konta. Jej telefon komórkowy także nie był używany. Ale w ostatnich tygodniach kilkakrotnie dzwoniła do Erica.

- Wiesz, co ich naprawdę łączyło?

- Abel uważa, że mieli romans.

- Czy Tanjy mogła zabić Erica?

- Też się nad tym zastanawiałem, ale nic nie wskazuje na to, by miała cokolwiek wspólnego z zabójstwem.

- Tyle że była niestabilna emocjonalnie - odrzekła Serena. - Mogła więc stać się agresywna.

- To dziwna dziewczyna. - Urwał na kilka sekund, po czym dodał: - Posłuchaj... tylko nie zrozum tego źle. Chciałbym jedynie dojść, jaka naprawdę była Tanjy, więc spróbuj mi pomóc. Czy kobiety naprawdę fantazjują o tym, że padają ofiarą gwałtu?

Serena zmarszczyła brwi i ułożyła się na wznak.

- To faktycznie dziwne pytanie.

- Tak, wiem. Przepraszam.

- Wiesz, że Niebieski Pies i moja matka wyżywali się na mnie w Phoenix.

- Owszem.

Odrzuciła kołdrę i wstała. Zimne powietrze sprawiło, że natychmiast dostała gęsiej skórki. Podeszła do okna, odchyliła zasłonę i popatrzyła na drzewa i krzewy rosnące na tyłach domu. Złowiła swoje niewyraźne odbicie w zmatowiałej szybie.

- W gwałcie nie ma niczego choćby zatrącającego o erotykę.

Nie rozumiem, jak którakolwiek kobieta mogłaby łączyć te dwie rzeczy.

- Jestem tego samego zdania, ale widziałem strony sieciowe, na których Tanjy umieszczała swoje opowiadania. Nie była w tym osamotniona.

Serena nie odpowiedziała. Jonny także wstał, podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach. Strąciła je niemalże instynktownie.

- Chyba nie podejrzewasz, iż kiedykolwiek chciałabym uprawiać seks z tym łajdakiem - powiedziała.

- Oczywiście, że nie.

- Pierwszy terapeuta, u którego szukałam pomocy, zapytał mnie o to kiedyś. Ciekaw był, czy choć raz przeżywałam orgazm w kontaktach z Niebieskim Psem.

- Sukinsyn.

- Gwoli ścisłości, odpowiedziałam, że nie. I już więcej do niego nie poszłam.

- Nie zamierzałem cię denerwować. Chciałbym tylko wiedzieć, co się działo w głowie Tanjy.

Serena odwróciła się do niego.

- Wcale nie jestem zdenerwowana.

- Nie jesteś?

- Nie, skoro mogę o tym rozmawiać. Jeszcze rok temu z pewnością nie byłabym do tego zdolna.

Objął ją. Była pewna, że chce w ten sposób powstrzymać jej łzy, ale jej wcale nie zbierało się na płacz. Była wściekła, bo chyba nie miała szans kiedykolwiek uwolnić się od tej wściekłości. Ale to, co ją spotkało w okresie dorastania, bezdyskusyjnie zaliczała już do przeszłości. Jej matka nie żyła. Podobnie jak Niebieski Pies. Zatem jej przeszłość była już wyłącznie zbiorem wspomnień, które do końca miały rzutować na to, jaka jest, ale nie były ważną częścią jej osobowości, a już na pewno nie była skłonna ulec tym wspomnieniom.

- Wracajmy do łóżka - powiedziała.

Odciągnęła go od okna i pod kołdrą wsunęła się na niego. Kochali się krótko, w całkowitej ciszy, dopóki zmęczenie nie nasiliło senności. Kiedy się już ułożyła obok niego i z wolna pogrążyła we śnie, Jonny przytulił się do niej i szepnął jej na ucho:

- Wrzuć chociaż jedno słowo do skrzynki.

Chodziło mu o Dana. O zadanie, które wykonywała dla niego o północy.

Zamyśliła się na chwilę, wreszcie - mając nadzieję, że nie odpędzi w ten sposób senności - odparła szeptem:

- Szantaż.

## 17.

Maggie znowu śniła.

Sześciu mężczyzn, nagich, w złotych maskach, otaczało jej łóżko, po dwóch z każdej strony. Mieli szkliste martwe oczy, które przypominały ślepka śniętych ryb wyrzuconych na brzeg, a do tego mlecznobiałą pomarszczoną skórę, wydatne brzuchy oraz zwiotczałe członki wiszące bezużytecznie między nogami. Zdawali się pożerać wzrokiem jej nagie ciało. Dwaj stojący u wezgłowia rozstąpili się nagle i między nimi pojawił się Eric z rewolwerem w ręku. Wymierzył jej w pierś.

- Przykro mi, Nicole - powiedział.

Z lufy strzelił jęzor ognia. Maggie spojrzała w dół, spodziewając się ujrzeć osmaloną zakrwawioną dziurę pośrodku klatki piersiowej, ale zobaczyła tylko swój obnażony biust. Uniosła rękę, żeby się obmacać, kiedy nagle uświadomiła sobie, że nie ma rąk, tylko ociekające krwią poszarpane kikuty, z których sterczały ostre końce porąbanych kości. W jednej chwili przeniosła wzrok na lustro znajdujące się nad łóżkiem i zauważyła ze strachem, iż

nie ma także głowy. Pozostał z niej tylko nieruchomy korpus. Nie mogła nawet krzyknąć z przerażenia.

Mimo to okrzyk wyrwał jej się z gardła i obudziła się gwałtownie.

Leżała wyprężona na wierzchu skotłowanej pościeli i niczym ryba wyciągnięta z wody spazmatycznie łapała powietrze szeroko rozwartymi ustami. Obrazy z jej sennego koszmaru szybko wyblakły i rozplynęły się w niebyt. Była w pokoju sama, rozejrzała się zdezorientowana.

Wstała z łóżka i podeszła do drzwi sypialni. Upewniła się, że oparcie masywnego krzesła jest dobrze zaklinowane pod klamką, po czym głośno odetchnęła z ulgą i przeciągnęła dłońmi po twarzy. Odwróciła się i oparła plecami o ścianę wyklejoną ciemnozieloną tapetą z wiktoriańskim kwiatowym deseniem, a następnie osunęła się po niej i usiadła na podłodze.

Miała wrażenie, że sama sobie staje się coraz bardziej obca, coraz częściej bierze na siebie rolę ofiary, coraz bardziej przytłaczają ją obawy.

Jako policjantka nie mogła się nawet przyznać do lęku przed ciemnością. Teoretycznie ciemność powinna traktować jak coś, z czym należy się zmierzyć i zwyciężyć. Jednakże od wielu tygodni ciemność była jej najgorszym wrogiem. Koszmary senne wybudzały ją co godzinę. Od czasu śmierci Erica barykadowała się w sypialni na piętrze.

Nie tak chciała spędzić resztę życia. Nie utożsamiała się z Nicole, była partnerką Abła, gdyż nie była winna śmierci męża, nie miała podstaw do tego, żeby wypłakiwać oczy czy wciskać się w najciemniejsze kąty.

- Do diabła z tym - mruknęła na głos.

Była wystarczająco zmotywowana, żeby podjąć walkę.

Dźwignęła się na nogi i szybkim ruchem wyciągnęła krzesło spod klamki sypialni, aż z głośnym stukotem upadło na podłogę. Gwałtownie otworzyła drzwi. W korytarzu i na schodach

prowadzących na parter zalegały nieprzeniknione ciemności. Nie zapalając światła, dumnie wypięła pierś do przodu, na szczycie schodów wymacała koniec poręczy i ruszyła na dół. Miała wrażenie, że strach otacza ją mglistym kokonem, ale otrząsnęła się z niego i wmaszerowała do kuchni. Gdy tylko zapaliła światło, nocne upiory czmychnęły w najdalsze kąty niczym gromada obrzydliwych karaluchów. W jasno oświetlonym pomieszczeniu wyłożonym białymi kafelkami poczuła się wreszcie bezpiecznie.

Zaparzyła kubek zielonej herbaty i włożyła solonego bajgla do tosterka. Usiadła w kąciku za blatem do siekania i w zamyśleniu zaczęła żuć spieczoną bułkę, popijając delikatnym gorącym napojem. Kiedy jej wzrok padł na zdjęcie przedstawiające ją u boku Erica, przymocowane magnesem do boku lodówki, poczuła się osamotniona. Na fotografii oboje się uśmiechali, marszcząc twarze zaczerwienione od palącego słońca. Zdjęcie zostało zrobione półtora roku temu w trakcie wyprawy do Maine, chyba ostatniej z okresu ich szczęśliwego pożycia, przypominającej jaskrawe pasmo uroczych wspomnień. Wtedy jeszcze się kochali, wspinali się na skały górujące nad plażą, trzymając się za ręce, opowiadali sobie wzajemnie pieprzne dowcipy w czasie uroczystych kolacji złożonych z homarów i szli na całość z seksem, tak energicznym i żywiołowym, że lokatorzy z sąsiedniego pokoju w hotelu bili im brawo, gdy osiąkali szczytowanie.

- Och, Ericu - mruknęła teraz pod nosem.

Poczuła wilgoć na policzkach, lecz dopiero gdy otarła je dłonią, uświadomiła sobie, że płacze.

Nie miała ochoty oglądać jego twarzy w wyobraźni, lecz ta pojawiała się mimo jej woli. Pragnęła zapomnieć jego tubalny śmiech, lecz ten raz za razem wypływał z pamięci, jakby Eric stał tuż przy niej. Miała wrażenie, że wciąż czuje muskularny uścisk jego ramion pływaka, kiedy ją przytulał. Jego duch, a raczej

ulotne wrażenie szczęścia z tego okresu, kiedy wszystko między nimi układało się idealnie, uświadamiało jej z pełną mocą, co straciła. I to nie tylko z jego śmiercią, ale już wcześniej, z pojawieniem się dzielącej ich przepaści.

Gdyby tylko mogli zostać w Maine i nigdy tu nie wracać. Gdyby miniony rok nigdy się nie wydarzył.

W czasie tamtej wyprawy zaszła w ciążę. Miała prawie trzydzieści trzy lata i gdy tylko uświadomiła sobie, że w jej łonie zaczyna rosnąć płód, zrozumiała, jak bardzo pragnie mieć dziecko. Była gotowa zostać matką. Eric także chciał tego dziecka. Przekonał ją, żeby rzuciła służbę w policji, co też uczyniła z radością. Stride był wtedy z Sereną w Las Vegas i nie bardzo jej się uśmiechało prowadzenie dochodzeń bez jego pomocy.

Ale z ciążą nastąpiły komplikacje i w trzecim miesiącu poroniła.

Lekarze przekonywali ją, że często się tak zdarza. Pewnie dlatego postanowiła jak najszybciej spróbować po raz drugi. Tymczasem Stride wrócił z Vegas i podjął na nowo służbę w wydziale, toteż i ona wróciła do policji. Jak gdyby odżyła, gdy znów zaczęli pracować razem. Kiedy zimą ponownie zaszła w ciążę, postanowiła, że tym razem nie zrezygnuje ze służby, a tylko weźmie urlop na czas porodu, po czym jak najszybciej wróci do wydziału.

Jednakże znowu poroniła, tym razem w drugim miesiącu.

Wtedy zaczęła poważnie wątpić w siebie, czuć się jak towar wybrakowany. Nie dawało jej spokoju tragiczne przeczucie, że nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. I ta myśl napawała ją przerażeniem. A jednocześnie tłumiała w niej wszelkie uczucia. Późną wiosną, kiedy znów zaszła w ciążę, po całych dniach gryzła się i rozpaczała. Poranne nudności dawały jej się we znaki jak nigdy. Była przeświadczona, że i tej ciąży nie donosi.

Znowu poroniła w trzecim miesiącu.



Wtedy coś w niej pękło. Wzięła miesiąc urlopu i przesiadywała godzinami w gabinecie Tony'ego Wellsa, wylewając przed nim swoje żale, sięgając do najstarszych wspomnień z dzieciństwa spędzonego w Chinach, a jednocześnie opowiadając o Ericu i Stridzie. Kiedy skończyła kurację, zaczęła po prostu udawać, że kryzys minął. Przynajmniej z pozoru pogodziła się z tym, że skoro nie może mieć dziecka, to musi jakoś z tym żyć. Zaprzestała dalszych prób zajścia w ciążę. Wróciła do tabletek antykoncepcyjnych, tłumacząc mężowi, że nie ma to żadnego znaczenia. Ale w rzeczywistości tylko się oszukiwała.

Tymczasem przepaść między nimi bardzo się pogłębiła. Ich związek był niestabilny od samego początku. Poznała Erica, gdy jeden z jego niezrównoważonych psychicznie pracowników wziął całą załogę jako zakładników. Kiedy już zdołała go namówić, żeby odłożył karabin, pokłóciła się z Edkiem, który uważał, że zbyt wiele ryzykowała. Maggie nazwała go wtedy nadętym bogatym sukinsynem. Ale jeszcze tego samego wieczoru poszli razem do łóżka. Pół roku później wzięli ślub, lecz kłócili się niemal stale, jeśli tylko nie byli w łóżku.

Wiedziała o jego romansach. O to także się kłócili. On zaś był zazdrosny o Stride'a i wciąż ją oskarżał, że potajemnie się w nim podkochuje. To też było jednym z ważniejszych powodów kłótni.

Po trzecim poronieniu i miesięcznej terapii z Tonym próbowała poukładać sobie od nowa stosunki z mężem, przede wszystkim przez intensyfikację kontaktów seksualnych. Wręcz sama nie mogła się nadziwić, do czego stała się zdolna w tym zakresie. Przeżywała okres wyjątkowej pobudliwości, hormony buzowały w jej organizmie, niczego już nie ryzykowała. Zatem nic jej nie powstrzymywało. Nawet gdy Eric zaproponował rzeczy, od których ciarki chodziły jej po plecach, zgodziła się przekroczyć razem z nim umowną granicę.

- Dobrze. Spróbujmy - orzekła.

Naprawdę wtedy jeszcze wierzyła, że nie ma nic do stracenia.

Od tego się właśnie zaczęło. To był prolog.

Zdarzyło się to na tydzień przed Świętem Dziękczynienia, kiedy Eric wrócił do miasta. Gdy powiedziała mu to kilka dni później, oszalał z radości. Ale na siłę chciał dodatkowo upiększyć tę przygodę, a kiedy ona kolejno odrzucała wszelkie propozycje zwariowanych gier wstępnych, wściekł się, zaczął wrzeszczeć i walić pięścią w ścianę. Znow doszło do awantury, która skończyła się tym, że spędził noc na kanapie w swoim gabinecie, a więc tak daleko od niej, jak tylko było to możliwe. Maggie zażyczyła sobie, aby już nigdy więcej jej nie dotykał.

I tak się stało.

Ale też przez to, że ktoś zakradł się do ich domu i go zabił. Z jej służbowego rewolweru.

Myśl jak gliniarz, nakazywała sobie w duchu. Musisz rozwikłać zagadkę tej zbrodni.

Teina zawarta w herbacie bardzo ją ożywiła. Nie miała już szans, żeby zasnąć, zresztą nawet nie chciała. Pragnęła rewanzu. Miała tę przewagę, że absolutnie nikt, nawet Stride, nie wiedział tyle, ile ona. A przede wszystkim tego, że jest niewinna. Wszyscy mieli jakieś wątpliwości. Policjanci z natury nie ufają ludziom, wierzą tylko w niezbite fakty. Bo fakty nie kłamią, niczego nie udają, nie próbują oszukiwać ani zwodzić, nie kombinują, nie wyprowadzają w pole i nie knują podstępów, do czego zdolni są ludzie. Ostatnio sama pozwalała sobie stosować te wszystkie wybiegi.

Musiała rozwikłać zagadkę.

Eric został zabity z jej rewolweru. Mimo że tamtego wieczoru opróżniła butelkę wina nad jeziorem, była pewna, że jak zawsze położyła broń z kaburą na nocnej szafce, gdy kładła się do łóżka. Tak więc zabójca musiał najpierw wejść do ich sypialni. Nie mógł być inaczej. Ale sprawca mordu nie mógł wiedzieć, że oni nie

sypiają już razem. Nikt o tym nie wiedział. Rewolwer stanowił po prostu podarunek od losu. Bo przecież zabójca i tak musiał być zdeterminowany do popełnienia zbrodni, pewnie miał własny pistolet czy chociażby nóż. Zatem wszedł do sypialni, spodziewając się zastać ich razem w łóżku. Ale ujrzał tylko pogrążoną we śnie Maggie, gdyż Erica nie było, za to rewolwer leżał w zasięgu ręki.

Morderca zabrał go, wrócił na parter, odnalazł Erica w gabinecie, zabił go i uciekł.

Następne pytanie: dlaczego nie zabił też jej? Zakładała, że morderca nie chciał ryzykować powrotu do sypialni po pierwszym wystrzale. Gdyby spali razem, prawdopodobnie zginęliby oboje, zatem ocaliło ją to, że Eric spał oddzielnie. Wynikało stąd jednak, że to on był celem, a nie ona. Zatem zrzućcie na nią odpowiedzialności za zbrodnię stanowiło jedynie efekt sprzyjających okoliczności. Nikt nie mógł włamać się do ich domu, licząc na takie okoliczności, które właśnie ją umieszczą na linii celownika Abła w roli głównej podejrzanej. To by wykluczało teorię Sereny, że zabójcą mógł być jakiś kryminalista, z którym zetknęła się w przeszłości, na przykład Tommy Luck z Vegas przyłapany na obserwacji kolejnego celu, który omal nie zabił Sereny, nim zdążyła go wpakować za kratki. Tu chodziło wyłącznie o Erica, to nie ulegało wątpliwości.

Następne pytanie: co było motywem zbrodni? W życiu Erica były ewidentnie różne rzeczy, o których ona nawet nie chciała wiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że powinna dokładnie prześledzić jego poczynania z kilku ostatnich dni. Zanotowała w pamięci, że trzeba będzie przejrzeć jego billingi telefoniczne oraz wyciągi operacji z użyciem kart kredytowych. Przynajmniej z trzech dni poprzedzających zabójstwo. Był wtedy w Saint Paul. Po co tam pojechał?

Następne pytanie: co łączyło Erica z Tanjy Powell i z jakiego powodu Tanjy nagle zniknęła? Maggie nie wierzyła, aby był to

zbieg okoliczności. Według relacji Stride'a, Eric spotkał się z Tanjy na ulicy w poniedziałek po południu, a kilka godzin później dziewczyna wsiadła do samochodu i odjechała w nieznanym kierunku. Dwa dni później Eric został zastrzelony. Zakładała, że jej mąż sypiał z Tanjy, chociaż przez większą część grudnia zaklinała się na swoje życie, że nie będzie już więcej romansował. Niemniej był z niego pies na baby, a Tanjy wciąż szukała sobie nowego partnera, więc może w tym właśnie kryło się wyjaśnienie zagadki. Mieli ze sobą romans, który także zakończył się dziką awanturą, i w efekcie Tanjy zabiła kochanka.

Nic innego na razie nie przychodziło jej do głowy.

Chyba że to Ericowi zależało na związku z Tanjy ze względu na upozorowany przez nią gwałt.

Maggie przypomniała sobie notatkę Erica, którą znalazła tamtej nocy, gdy został zabity. Przyszło jej do głowy, że mogła błędnie zinterpretować jej znaczenie. „Wiem, kto to jest”.

Ostatnie pytanie: po co Eric spotykał się z Tonym tamtego wieczoru, kiedy został zabity? Tony był jej terapeutą, Eric gardził psychiatrami z założenia. Czego więc mógł chcieć od Tony'ego? Aż do szaleństwa gorączkowo rozpatrywała różne możliwości, w końcu doszła do wniosku, że nie chce czekać do rana na wyjaśnienia. Wstała, odsunęła krzesło spod kłamki, chwyciła w korytarzu słuchawkę aparatu bezprzewodowego i z pamięci wybrała numer terapeuty.

Odebrał po szóstym sygnale.

- Słucham, doktor Wells.

- Cześć, Tony. Tu Maggie.

- Maggie... - powtórzył sennym głosem. - Jest bardzo późno.

- Tak, wiem. Przepraszam.

- Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest - odparła pewnym tonem. - Chciałam cię tylko o coś zapytać.

- Słucham.

- Po co Eric spotkał się z tobą w środę wieczorem?

Nie odpowiedział. Odniosła wrażenie, jakby jeszcze bardziej przygarbił się pod ciężarem tego pytania. Kiedy obcuje się na co dzień z gliniarzami, pedofilami czy ofiarami gwałtów, człowiek uwalnia się od stresu albo przez wisielczy humor, albo taszcząc brzemień swoich pacjentów niczym juczny muł. Tony wolał tę drugą metodę, ale i tak był w tym dobry.

- Naprawdę chcesz to wiedzieć już teraz? - zapytał po dłuższym czasie.

- Tak, chcę.

- Powiedziałem Ablowi, że nasza rozmowa jest objęta tajemnicą lekarską - dodał Tony. - Ale powiedziałem mu też, że jeśli uważa, że potrafiłabyś kogokolwiek zastrzelić z zimną krwią, z pewnością potrzebna mu pomoc psychoterapeuty.

- Dzięki.

- Więc nie masz żadnych wątpliwości, że chcesz znać prawdę?

- Czemu miałabym je mieć?

- To zależy, czy jesteś gotowa, żeby o tym porozmawiać. Eric powiedział mi o tobie coś, co... ewidentnie postanowiłaś przede mną ukryć. Powiem szczerze, naprawdę bym wolał, żebyś sama się do mnie z tym zgłosiła.

Maggie zacisnęła powieki.

- To kutas.

- Przykro mi. Chciałem do ciebie jutro zadzwonić.

- Więc o co mu chodziło?

Spięła się wewnątrz, powtarzając w myślach: Eric, coś ty najlepszego narobił, do cholery?!

- Chciał, żebym mu pomógł znaleźć sposób na identyfikację seksualnego drapieżcy. Miał się z kimś spotkać zaraz po naszej rozmowie.

- Z kim?

- Tego nie powiedział.

A kilka godzin później już nie żył. Maggie wiedziała już przynajmniej, z jakiego powodu.

„Wiem, kto to jest”.

## 18.

W niedzielny poranek Serena znalazła się wśród ośnieżonych pól w odludnej, północno-wschodniej części miasta. Gęsto zabudowane centrum Duluth zajmowało ledwie kilka kilometrów kwadratowych nad samym jeziorem, na tarasach utworzonych w stromym zboczu wzniesienia - miniaturowa replika pociętego karkołomnymi ulicami San Francisco umieszczonego w śniegowej kuli. Jednakże po wyjeździe na równinę górującą nad jeziorem teren szybko stawał się płaski, odludny i monotony. Drogi na wielokilometrowych odcinkach przecinały go prosto jak przy linijce. Zabudowania były rozrzucone bardzo rzadko, sąsiadów dzieliły setki hektarów uprawnej ziemi, łąk i lasów.

Odnosiła wrażenie, że mogłaby tędy dojechać aż do końca świata. Drobnym zmrożonym śniegiem tańczył na wietrze tuż ponad asfaltem niczym kropelki wody na silnie rozgrzanej patelni. Serenie ta wielka, z pozoru nieskończona równina wydawała się przerażająca. O ile pustynia przypominała żmiję, atakującą błyskawicznie, podstępna i tajemnicza, o tyle jeziora na północy były niczym niedźwiedzie, olbrzymie i powolne, porośnięte gęstym futrem i nadzwyczaj silne. Mieszkanie tutaj wiązało się z koniecznością wkroczenia na tereny zarezerwowane dla gigantów.

Skrzyła w lewo, w bitą polną drogę, przy której stał znak oznaczający brak przejazdu, i przejechała jeszcze dwa kilometry do gospodarstwa rozrzuconego wśród drzew, gdzie mieszkał Tony Wells. Był to dość typowy dom farmerski z lat siedemdziesiątych,

Maggie lubiła podkreślać, że ma taki sam brązowy odcień, jak skóra terapeuty. Należący do niego wóz terenowy, beżowy lexus LX, stał na końcu wysypanego żwirem podjazdu.

Zatrzymała wóz tuż za nim i wysiadła. Poranek był nieprzyjemny, temperatura wahała się około zera. Kiedy Serena wzięła głębszy oddech, z jej ust wydostał się duży obłok pary. Mimo chłodu jak zwykle powstała chwilę przed domem, nim ruszyła do drzwi. Z jednej strony powstrzymała ją świadomość, że mogłaby wszystkie swoje drobne zmartwienia zgnieść w kulę, niczym arkusz papieru, i wrzucić do bagażnika, żeby zająć się nimi później. Z drugiej, jak zawsze nie mogła się nadziwić spokojowi panującemu w tym uroczym zakątku. Na skraju lasu stały młode brzoźki poroździelane jakimiś krzakami i tworzące z nimi gęsto tkaną zasłonę kontrastującą z bielą śniegu. Niewiele tu było drzew iglastych ograniczających widoczność, toteż wzrok sięgał zdumiewająco daleko w leśny gąszcz. Zagłębiała się w niego wąska ścieżka do biegów narciarskich pokryta obecnie śniegiem. Drugi wyłom w linii drzew robił wąski kręty strumyk, teraz całkiem zamarznięty.

Ruszyła wzdłuż bocznej ściany domu. Tony zrobił na tyłach przybudówkę, w której urządził gabinet z wielkim panoramicznym oknem wychodzącym na las. Umieszczonymi z boku przybudówki drzwiami wchodziło się do pozbawionej okien poczekalniumeblowanej tanimi prostymi sprzętami z Ikei i pomalowanej w rozmyte pastelowe kolory, dopiero z niej wkraczało się do wspólnie wykończonego gabinetu z widokiem ciągnącym się pozornie w nieskończoność.

Nad drugimi drzwiami była umieszczona kamera wideo, dzięki której Tony mógł na ekranie komputera widzieć ludzi wchodzących do poczekalni. Serena pomachała ręką do obiektywu i usiadła. Zza drzwi gabinetu dolatywał dudniący rytm muzyki heavy-metalowej.

„Walk this way” - śpiewał Steven Tyler.

Zaśmiała się krótko. Podobnie jak Maggie, Tony był fanatykiem hard rocka, chociaż trudno by to było odgadnąć po jego wyglądzie. Należał do kolekcjonerów dziwacznych pamiątek i na aukcjach internetowych wciąż kupował rzeczy w rodzaju strzykawki po kokainie należącej do jednego z członków zespołu Mötley Crüe czy też raportu służb porządkowych wyszczególniającego zniszczenia w hali filadelfijskiej po koncercie Metalliki. Obie pamiątki, oprawione w ramki, wisiały nad sofą obok trzech dyplomów z uniwersytetu stanowego Minnesoty. Gromadził dane statystyczne na temat każdego albumu, występu czy trasy koncertowej grupy Aerosmith i przeznaczał dwa wakacyjne miesiące na to, żeby jeździć za muzykami po całym kraju. Za to przez resztę roku przyjmował pacjentów przez siedem dni w tygodniu. Było wśród nich wielu gliniarzy, ale też kobiety usiłujące sobie poradzić z traumą będącą wynikiem przemocy seksualnej, ludzie przyjeżdżali więc tutaj o bardzo różnych porach.

Wydawało się rzeczą niewykonalną, by wyprowadzić Tony'ego z równowagi, lecz Serena traktowała to jak poważne wyzwanie i podczas każdej wizyty próbowała czegoś nowego. Teraz też nie spodziewanie wstała z krzesła i odtąńczyła przed kamerą typowy dla wczesnych lat sześćdziesiątych oszalały taniec fanek bigbitu, szeroko rozrzucając ramiona i machając głową, żeby jej włosy kręciły młynka w powietrzu. Po dziesięciu sekundach muzyka ucichła i rozległ się cichy trzask elektrycznego zamka w drzwiach gabinetu.

Weszła do środka. Tony siedział za wielkim dębowym biurkiem stojącym przed panoramicznym oknem, pokazywał się więc na tle dzikiego krajobrazu północy. Pisał coś w notatniku o żółtych kartkach i nie podnosząc znad niego wzroku, zauważył:

- Bardzo zabawne.

Serena klapnęła na sofę ustawioną w przeciwległym końcu gabinetu.



- Też tak pomyślałam.

Terapeuta wyszedł zza biurka i zajął miejsce w obitym skórą fotelu obok sofy. Oczy miał zaczerwienione.

- Domyślałam się, że usłyszysz teraz kolejny wykład na temat George'a Straita oraz zespołu Diamond Rio.

- Trochę brzmień gitary o stalowych strunach nieźle by ci zrobiło, Tony.

Pokręcił nosem. Miał około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i odznaczał się dość pulchną sylwetką. Był w tym samym wieku co Serena, skończył trzydzieści pięć lat i zmierzał ku czterdziestce. Roztaczał wokół siebie aurę profesjonalisty, śmiertelnie poważnego i wiecznie zamyślonego, co tym bardziej kontrastowało z jego upodobaniami muzycznymi. Ale różnie to bywało, miała już okazję poznać babcie kolekcjonujące pornografię. Tego dnia był ubrany w luźne beżowe sztruksy, białą sportową koszulę oraz czekoladową kamizelkę, pasującą odcieniem do jego brody oraz wyraźnie rzadzącego wianuszka włosów.

- Wyglądasz na przemęczonego, Tony.

Mrugał zdecydowanie częściej niż zwykle, pod oczami wisiały mu wielkie wory.

- Odebrałem późnym wieczorem wezwanie telefoniczne - wyjaśnił.

- Przykro mi.

- Napijesz się kawy?

- Nie, dziękuję.

Podszedł do mahoniowego kredensu z wyposażonym w lustro barkiem. Ekspres do kawy był na stałe zamocowany przy bocznej ścianie barku. Starannie odmierzył z dzbanka nieco kawy do czarnego fajansowego kubka, rozerwał turystyczne opakowanie z cukrem, wsypał cukier i energicznie zamieszał łyżeczką.

- Dodajesz aż tyle cukru do tak małej ilości kawy? - zdziwiła się Serena.

- Tak. Lubię słodką.

- To po co w ogóle pijesz kawę? Kupuj słodkie gazowane napoje z kofeiną.

Tony usiadł i pociągnął łyk napoju z kubka. Po chwili z kieszonki na piersi wyjął srebrne pióro wieczne i zaczął je obracać w palcach.

- O czym chcesz dzisiaj rozmawiać?

- O fantazjach dotyczących gwałtu - odparła. Nie okazał ani zdumienia, ani dezaprobaty.

- To u ciebie całkowita nowość.

- Nie moja.

- Aha.

- Mówię o Tanjy Powell.

Zmarszczył brwi.

- Rozumiem.

- Pewnie wiesz, że zaginęła.

- Tak, wiem.

- Chciałabym pomóc Jonny'emu ustalić, co się z nią stało.

Tony skrzywił się z niesmakiem.

- Chętnie bym ci pomógł, ale nie tym razem.

- Dlaczego? - Serena zamysliła się na krótko, po czym dodała:

- Do cholery, czyżby Tanjy także była twoją pacjentką?

Westchnął głośno.

- Wiesz, że nie mogę tego zdradzić. Lecz mówiąc hipotetycznie, gdybyś szukała w tym mieście terapeuty specjalizującego się w zaburzeniach psychicznych będących wynikiem przemocy seksualnej, do kogo byś się udała?

- Oczywiście że do ciebie, Tony, do nikogo innego! - wycodziła i puściła do niego oko.

Na jakiś czas zapadło milczenie. Gdy przyjrzała się jego twarzy z gęstym zarostem, pomyślała, że przypomina usypiającego psa.

- Skoro już rozmawiamy hipotetycznie - podjęła – co mógłbyś mi powiedzieć o kobiecie, w której erotycznych fantazjach dominują sceny gwałtu?

- To by zależało od jej charakteru - odparł.

- Powiedzmy, że kobieta poza tym żyje dość skromnie i jest bardzo religijna. Czy te rzeczy się nie wykluczają?

- Hipotetycznie?

- Naturalnie. - Serena uśmiechnęła się szeroko.

- Nie, z psychologicznego punktu widzenia nawet by się uzupełniały. Fantazje obejmujące sceny gwałtu są dość powszechne u kobiet zmuszonych do tłumienia swojej seksualności, takich, którym wpajano, że seks jest złem oraz grzechem. Dlatego wyrażają swoją seksualność poprzez tego typu fantazje, gdyż dzięki nim czują się uwolnione od poczucia winy. Gwałt zdejmuje z nich obowiązek panowania nad sytuacją. Przez to, że są zmuszane do seksu, mogą czerpać z niego przyjemność.

- To dość pokrętne tłumaczenie.

- Nie bardzo. Wiele kobiet robiących karierę zawodową poprzez takie fantazje szuka ulgi w postawie uległości, skoro w pracy muszą cały czas odgrywać rolę władczych i panujących nad wszystkim. To może być skuteczny sposób na rozładowanie codziennego stresu. Oczywiście, biorąc pod uwagę twoją historię, w pełni rozumiem, dlaczego tobie takie podejście wydaje się nienaturalne.

- Nie chce mi się wierzyć, żeby facetów podniecały tego typu kobiety.

Tony zakręcił młynka piórem i pokiwał głową.

- Dla niektórych mężczyzn to jak zdobywanie dziewicy i dziwki jednocześnie. Takie kobiety bowiem potrafią być... nie zawsze są, ale potrafią być seksualnie wybuchowe. Najczęściej emanują nie tylko głębokim pragnieniem, ale wręcz głodem. Poza tym, chyba nie muszę ci mówić, że mężczyźni także miewają fantazje obejmujące gwałt.

- W porządku, rozumiem - odparła Serena, westchnąwszy głośno. - Słyszałam, że w środę wieczorem odwiedził cię Eric. O co mu chodziło?

- Jeszcze raz powtarzam, że chętnie bym o nim porozmawiał, lecz nie mogę.

- Ale? - podchwyciła, wyczuwając, że ma ochotę mówić.

- Ale chętnie uzyskałbym zgodę Maggie na to, żeby wyjawić policji cel wizyty Erica.

- Mogłoby to jej pomóc?

- Skoro nadal rozpatrujemy hipotetyczną sytuację, mogłoby to podsunąć policji zupełnie nowy motyw zbrodni, a tym samym powiększyć krąg podejrzanych i może uciąć wreszcie bezsensowne dyskusje o tym, czy Maggie dopuściła się mężobójstwa.

- Mam rozumieć, że Maggie z jakichś ważnych powodów ociąga się z wyrażeniem takiej zgody?

- Ociąga się to zbyt delikatne określenie.

- Porozmawiam z nią - oznajmiła Serena. - Ale dobrze znasz jej upór.

Tony w końcu się uśmiechnął. Oboje świetnie znali Maggie.

- Co ty o tym wszystkim myślisz, Sereno? - zapytał po przerwie.

- A dokładnie o czym?

- Ciekaw jestem, czy ta sprawa nie ożywiła złych wspomnień z twojej przeszłości.

Odchyliła się na oparcie sofy. Przyszło jej do głowy, że skoro i tak będzie musiała zapłacić za tę wizytę, to czemu nie spróbować wykorzystać jej choć w niewielkim stopniu dla siebie?

- Owszem. Kiedy Jonny mnie zapytał, czy ja też, tak jak Tanjy, miewam fantazje dotyczące gwałtu, omal nie wyszłam z siebie.

- Dlaczego?

- Byłam wściekła. Dla kobiet pokroju Tanjy gwałt to tylko

element gry. Dla mnie to element codzienności w Phoenix, z którą miałam do czynienia ponad rok. Niebieski Pies robił ze mną, co chciał, bo dosłownie stałam się jego niewolnicą, a moja kochana mamusia najczęściej przyglądała się temu z lubością, zaćpana w trupa.

- Czy razem ze wspomnieniami wróciły odczucia strachu i bezradności?

Serena cofnęła się myślą do swojego spotkania z szantażystą o północy na odludziu.

- Oczywiście.

- Jak sobie z nimi poradziłaś?

- Wypróbowałam metodę samouspokojenia, którą zalecałeś. Po prostu wytłumaczyłam sobie, że tamte odczucia należały do dziewczyny w okresie dorastania, a nie do kobiety, jaką jestem dzisiaj.

- I to pomogło?

- Tak. W każdym razie opanowałam strach.

- To dobrze.

- Chciałabym jeszcze na minutę wrócić do naszej hipotetycznej fantazjującej dziewczyny.

- Tak? - odrzekł z wyraźną rezerwą.

- Czy tego typu kobieta mogłaby mieć skłonności do agresji? Gdyby była zaangażowana w związek z mężczyzną i poczuła się upokorzona przez to, że on z nią zerwał, czy byłaby zdolna do szukania odwetu?

Tony potarł zaczerwienione oczy.

- Krótko mówiąc, chcesz wiedzieć, czy Tanjy byłaby zdolna zabić Erica?

- No właśnie.

W zamyśleniu wydał wargi, a po chwili pokręcił głową.

- Moim zdaniem jest bardzo mało prawdopodobne, żeby Tanjy mogła kogokolwiek zabić. Przykro mi. Uważam, że należy wykluczyć taką ewentualność.

- I nie wiesz, co było przyczyną jej zniknięcia?
- Nie mam pojęcia. Mówię szczerze. Oczywiście mam nadzieję, że ona żyje i nic się jej nie stało.
- To tak, jak ja - mruknęła Serena. - Bo Tanjy może być jedyną osobą, która wie, co naprawdę spotkało Erica.

## 19.

Sherry obrzuciła podejrzliwym wzrokiem „domek wędkarski”. Była to budka sklecona z desek i obita blachą aluminiową, nie większa od skrzyni furgonetki. Sherry stała u boku swego chłopaka, Joshua, jakieś sto metrów od brzegu pośrodku skupiska wielu podobnych „domków”. Oni przyszedli tu pieszo, lecz wielu wędkarzy podjeżdżało samochodami do samych budek. Wciąż nie mogła się oprzeć wrażeniu, że lada moment lód załama się pod jej ciężarem, a ku górze tryśnie fontanna lodowatej wody.

- Jesteś pewien, że to całkiem bezpieczne? - zapytała.
- Jasne. Masz pod stopami co najmniej pół metra lodu - zapewnił Josh.

Sherry powiodła wzrokiem po całej tej części Hell's Lake aż do miejsca, gdzie za drzewami rozpoczynała się rozległa otwarta przestrzeń.

- Co oznaczają tamte chorągiewki?
- Granicę, za którą zaczyna się cieńszy lód. Na każdym jeziorze są takie miejsca, gdzie nie jest za bardzo bezpiecznie. Albo płyną tam pod lodem silne prądy, albo gdzieś z brzegu wpływa ciepła woda, albo po prostu lód tam często pękał i znów zamarzał, więc jest potrzaskany i niezbyt pewny.
- Ale te budki nie zatoną, prawda?
- Bez obaw. Tu na pewno nie. Nie podjechałbym cadillakiem ojca bliżej chorągiewek, ale tutaj ani trochę się nie boję. Nic nam nie grozi. Obiecuję.

Sherry uniosła wzrok do nieba.

- W takim razie wejdźmy do środka.

Było bardzo zimno. Miała na sobie białą pikowaną kurtkę z bufiastymi rękawami, której nienawidziła, bo czuła się w niej podobna do ludzika z reklamy opon Michelin, ale było to jej jedyne zimowe okrycie. Zapinała ją tylko do połowy, żeby widać było modny różowy wełniany golf. Na głowie miała jedynie opaskę chroniącą uszy przed mrozem, gdyż nie lubiła ukrywać pod czapką długich blond włosów. Jej stroju dopełniały dzinsy z wyszytymi złotą nicią na tylnej kieszeni jej inicjałami oraz miękkie, podszyte futerkiem śniegowce.

Nie zdołała się przystosować do klimatu Minnesoty. Pochodziła z Kalifornii, urodziła się i wychowała w San Jose, toteż przeżyła straszne chwile, gdy jej ojciec dostał posadę głównego księgowego w zakładach wytwarzających samoloty w Duluth. Miała osiemnaście lat i nie doczekała nawet matury w swoim środowisku, gdyż los rzucił ją do tej gigantycznej lodówki, gdzie bezskutecznie usiłowała się wpasować w gromadę nieokrzęsanych wieśniaków.

Zaliczała do niej także Josha. Grał w szkolnej drużynie futbolowej, był wielki i powolny, ale miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i wyróżniał się urodą wikinga, uważała więc, że dobrze do siebie pasują.

Josh otworzył kłódkę, zdjął skobel i uchylił drzwi budki, której wewnątrz przypominało celę więzienia na Syberii. Nie było okna, w środku zalegała więc nieprzenikniona ciemność. Dopiero gdy Josh zapalił lampę naftową, jej blask wyłowił mocno zużytą i powycieraną kanapę oraz kilka składanych drewnianych krzeseł. Było tu niemal równie zimno, jak na dworze. Przez szpary między arkuszami blachy aluminiowej wiatr wpadał z takim impetem, jakby ich w ogóle nie było.

- Rety, da się tu zrobić trochę ciepłej?

- Zaraz uruchomię piecyk gazowy.

Sherry ściągnęła kurtkę.

- Już wiem. Chciałeś namierzyć moje sutki. - Podążyła za jego wzrokiem i spojrzała w dół. - Wygląda na to, że ci się udało. Reflektory zapalone.

Potarła energicznie ramiona i zatupała, stojąc pośrodku klaustrofobicznie ciasnej budki. Kłui ją w nozdrza obecny w powietrzu zapach ryb. Pośrodku „domku” był wycięty w lodzie duży przerębel. Zbliżyła się na krok i ostrożnie zajrzała w głąb. Jakies trzydzieści centymetrów poniżej krawędzi połyskiwała nieruchoma tafla ciemnej wody.

- Jak wycinacie takie dziury w grubym lodzie? - zaciekawiła się.

- Świdrem gazowym - odparł Josh, wskazując urządzenie, które wyglądało jak silnik od motorówki z wielką czarną półmetrową śrubą o zardzewiałych łopatkach.

- Jak w filmowym horrorze - mruknęła. - Chyba nie zamierzasz mnie tym pociąć, prawda?

- No, coś ty?!

Zachichotała.

- Żartowałam. Poza tym w filmach ofiara zawsze musi się rozebrać do naga, nim zostanie uśmiercona, a ja nie zamierzam się rozbierać na tym mrozie. - Pochwyciła zawiedzione spojrzenie Josha, toteż puściła do niego oko i dodała: - W każdym razie nie całkiem do naga.

Grzejnik gazowy dość szybko wypełnił ciasną przestrzeń przyjemnym ciepłem. Sherry obserwowała z uwagą, jak Josh szykuje wędkę, nadziewa przynętę na haczyk, odwija żyłkę z kołowrotka, wreszcie zanurza haczyk w przeręblu i opiera wędkę na rozkładanym krzeselku. Na koniec sięgnął do kieszeni, wyjął mały dzwoneczek i przywiązał go kawałkiem żyłki do czubka wędki.

- A to po co? - zapytała.

- Jak ryba weźmie przynętę, szarpnie żyłką, a wtedy rozlegnie



się dzwonek. - Stuknął w niego paznokciem i dzwoneczek zadźwięczał.

- Sprytne.

Josh rozpiął swój plecak, wyciągnął z niego iPod'a i zestaw miniaturowych głośniczków. Wcześniej przegrał do pamięci ostatni album grupy Black Eyed Peas i teraz Sherry zaczęła się kołysać w rytm piosenki wykonywanej przez Fergie. Josh natychmiast się rozpromienił i uśmiechnął, po czym wyjął z plecaka dwie oszronione puszkę piwa Miller Lite.

- Zaczynamy bal - rzucił.

Sherry pociągnęła spory łyk piwa z otwartej przez niego puszkę i odniosła wrażenie, że zamarzło jej gardło. Trzymając puszkę tylko w dwóch palcach, zaczęła śmieiej tańczyć, kołysząc biodrami i wodząc wolną ręką po swoim ciele. Im dłużej tańczyła, racząc się przy tym piwem, tym robiło jej się cieplej, a zarazem tym przystojniejszy wydawał jej się Josh.

W końcu pokiwała palcem, przywołując go bliżej kanapy. Gdy tylko usiedli, objął ją i zaczął wodzić dłońmi po jej plecach. Kiedy pocałował ją niezdarnie, odniosła wrażenie, że jego język jest grubym ślimakiem wędrującym wolno po jej podniebieniu. Po chwili ostrożnie przytknął dłoń do jej piersi, a gdy nie zaprotestowała, zacisnął ją w garści, jakby chciał oderwać od reszty ciała. Z jego gardła wydobył się cichy pomruk.

Odsunęła się od niego i powoli zadarła różowy golf, odsłaniając najpierw płaski brzuch, potem drobne piersi. Zabrakło jej jednak odwagi, żeby całkiem ściągnąć golf przez głowę. Joshowi na widok jej obnażonego biustu oczy tak się rozszerzyły, że omal nie wyszły z orbit. Sherry skupiła się więc na zapięciu paska jego spodni, a następnie na suwaku rozporka, spod którego wyrzała biała bawełna majtek. Sięgnęła pod nią i wydobyla jego członek na wierzch.

Aż zamknął oczy z rozkoszy. Był w siódmym niebie.

I wtedy zadźwięczał dzwonek.

Coś tak szarpnęło żyłką, że aż wędka spadła z krzeselka i potoczyła się po lodzie.

- Cholera. Zaczekaj - syknął chłopak, spuszczać nogi z karnapy.

- Chyba żartujesz? - wyjęczała.

- Pomóż mi - rzekł, mocując się niezdarnie z kołowrotkiem, ze spodniami zaplątanymi wokół kostek, wciąż gotów do zupełnie innego działania.

Sherry westchnęła głośno.

- Właśnie próbowałam to zrobić - mruknęła, a po chwili dodała: - Tylko postaraj się nie sflaczać, dobra?

Walka z ciężką rybą trwała kilka minut, wreszcie zdołał ją doholować pod powierzchnię.

- Trzymaj wędkę - rzucił. - I ciągnij do góry.

- Nie musiałbyś mi tego tłumaczyć... Och, mniejsza z tym. - Wzięła od niego wędkę i naprężyła żyłkę, podczas gdy Josh pośpiesznie wciągnął grube rękawice i wetknął rękę do wody w przeręblu.

- Nawin trochę żyłki na kołowrotek - rozkazał.

- Myślisz, że jestem supermanką? To jest diabelnie ciężkie.

Udało jej się jednak sięgnąć do kołowrotka i powoli zaczęła nawijać żyłkę. Miała wrażenie, jakby na drugim jej końcu była przytwierdzona kotwica od dużego jachtu.

- Już prawie ją mam - wysiekał Josh.

Nagle jak gdyby zachłysnął się powietrzem. Pisnął z przerażenia jak mała dziewczynka, odskoczył do tyłu i klapnął gołymi pośladkami na lodzie. Już nie miał erekcji. Odpychając się dłońmi od podłoża, odsunął się jeszcze dalej od przerębla i syknął:

- Cholera!...

Pośrodku wyciętego w lodzie otworu pojawiło się coś czarnego, niczym grzbiet królika wyłaniającego się z cylindra prestidigitatora. Zaciekawiona Sherry mocniej szarpnęła wędką i zakręciła

kołowrotkiem. Kiedy w końcu rozpoznała zdobywcę, i ona wrzasnęła histerycznie.

Rozkołysana woda wyrzuciła na brzeg przerębla posklejane czarne długie włosy. Smród, jaki wydobył się z głębin, sprawił, że dziewczyna błyskawicznie zakryła dłonią nos i usta. Przez rozczapierzone palce popatrzyła na wyłaniającą się z toni ludzką głowę o trupiobladej skórze, odrażająco rozdętą, obracającą się powoli w przeręblu skrywającym zapewne resztę ciała. Twarz topielca oblepiał muł i wodorosty. Szeroko rozwarte oczy były mętne, jakby wykute w marmurze. Lekko rozwarte usta wskutek falowania i pluskania wody nasilały złudzenie dziwacznej nieludzkiej mowy, jak gdyby człowiek jeszcze żył, choć przecież musiał być martwy i powtarzał w kółko: „Uwolnijcie mnie! Uwolnijcie mnie!...”.

Część druga

# DZIEWCZYNKI ALFA

## 20.

Helen Danning popatrzyła na swoje odbicie w szybie witryny sklepu z pamiątkami. Co kilka sekund jej zamazany wizerunek rozjaśniał się niczym rozświetlony błyskawicą, gdy światła reflektorów aut pokonujących zakręt autostrady prześlizgiwały się po oknie. Dla niej były to snopy szperaczy, które na podobieństwo białych tuneli rozcinały mrok zalegający na polu w poszukiwaniu właśnie jej. Kiedy któryś samochód wreszcie zwolnił i skręcił na parking przed sklepem, aż przeszył ją dreszcz. Popatrzyła jeszcze, jak na odbiciu białe plamy reflektorów powiększają się i przybliżają, gdy samochód podjeżdża pod sklep, wreszcie odsunęła krzesło i wstała. Zostawiła na stoliku o kutyh żelaznych nóżkach wypitą do połowy filiżankę herbaty oraz otwartego białego miniaturowego laptopa Maca i cofnęła się między dębowe regały zastawione kolorowymi świecami i zawalone różną tandetą.

Kiedy drzwi sklepu się otworzyły, fala mroźnego powietrza przyprawiła ją o dreszcze. Zerknęła w kąt, w głąb korytarzyka prowadzącego do magazynu Evelyn, skąd tylne drzwi wychodziły na zaśnieżone pola uprawne. Powstrzymała irracjonalną chęć rzucenia się do ucieczki, gdyż spostrzegła, że ze strony ludzi wkraczających do sklepu nic jej nie grozi. Mężczyzna w pstrokatej jarmarcznej flanelowej koszuli zamówił u stojącej za kontuarem

Evelyn dwie kawy, podczas gdy jego żona zaczęła myszkować w wyprzedawanych ozdobach choinkowych. Mimo to Helen wcisnęła głowę w ramiona, nie chcąc zdradzać swojej obecności.

Zaczekała do chwili, aż para wyjechała z powrotem na autostradę, dopiero wtedy wróciła do stolika i usiadła. Gdy uniosła filiżankę i pociągnęła łyżeczek mocno osłodzonej wystygłej herbaty, zauważyła, że ręce jej się trzęsą. Zamknęła oczy, wzięła kilka głębszych oddechów, po czym podjęła przerwana pracę polegającą na otwieraniu kolejnych wpisów na jej blogu i kasowaniu ich. Tylko na krótko zawiesiła palec nad klawiszem DELETE, przebiegając wzrokiem treść notatki dotyczącej przedstawienia *Miss Saigon*. Widziała je dziesiątki razy, podobnie jak większość musicali wystawianych w Ordway Center w Saint Paul. Pracowała tam jako portierka, codziennie oglądała więc kolejne spektakle, stąd też mogła wyławiać niuanse gry każdego aktora, każdej piosenki, każdego kostiumu czy inscenizacji. Żyła tymi spektaklami do tego stopnia, że byty dla niej bardziej realne od prawdziwego życia. Tak, jak niektórzy dostają obsesji na punkcie oper mydlanych, tak jej obsesją stały się *Phantom*, *Les Miz*, *Rent* i cała reszta przedstawień objazdowych trup przewijających się przez scenę ośrodka. I na swoim blogu dawała upust własnym przemyśleniom dotyczącym postaci z kolejnych musicali.

Nazwała ten blog *Dama ze mnie*. Tytuł zaczerpnęła z wydane-go przed laty albumu *Kobieta ze mnie* kanadyjskiej piosenkarki Shanii Twain, który kupiła tylko dlatego, że właśnie tytuł jej się spodobał. Ów zwrot stał się dla niej niczym prywatny hymn. Zdawał się obejmować wszystko to, co jej umknęło w college'u i czego z uporem poszukiwała przez całe życie. Kazała sobie nawet wytatuować litery DZM nad kostką nogi, żeby stale być blisko tego tajemniczego przekazu.

Nie podejrzewała nawet, jak wielki popełnia błąd. Nie sądziła, że komuś uda się ją zidentyfikować na podstawie miejsca pracy tylko poprzez uważne czytanie wszystkich jej wpisów na blogu. W ogóle nie przypuszczała, że ktokolwiek będzie chciał ją zidentyfikować.

Uniosła głowę znad klawiatury, gdy ucichła muzyka fortepiana i zapadła cisza.

- Pora się zwijać, skarbie - odezwała się Evelyn. Szykowała się do zamknięcia sklepu, czyściła właśnie ekspres do kawy i ścierała kontuar. Zawsze się wydawało, że zajmuje się pięcioma rzeczami naraz. Chyba nawet nie umiała chodzić spokojnie, wiecznie gorączkowo się krzątała.

Helen wyłączyła komputer i popadła w zadumę. Evelyn miała rację. Nadeszła pora, żeby się zwinąć, to właśnie robiła od pewnego czasu. Zwijała się przed kolejną ucieczką.

Niespodziewanie właścicielka sklepu usiadła na krześle naprzeciwko niej. Złała sobie resztki kawy znad fusów w dzbanku i teraz pociągnęła łyk, po czym szybkim ruchem odgarnęła z twarzy niesforne kosmyki kręconych włosów w odcieniu wiewiórczej kity. Pod stolikiem zrzuciła klapki na korkowej podeszwie i zaczęła energicznie poruszać palcami nóg.

- Nie poszłabyś do domu, żeby nakarmić Edgara? - zapytała.

- Jasne.

- Pewnie wiesz, że jesteś podobna do mojego kota - dodała, zwróciwszy uwagę na rozbiegane zielone oczy Helen. - Bardziej się boi ptaków niż one jego.

- Ilekroć ktoś tu wchodzi, ogarnia mnie strach, że to on - wyznała Helen.

- Rozumiem.

- Obiecuję, że nie będę ci siedziała zbyt długo na głowie.

Evelyn wzruszyła ramionami.

- Możesz zostać, jak długo zechcesz. W końcu nie tak często się widzimy, skarbie. Ile to już minęło? Na pewno parę lat? Przez tych kilka ostatnich dni znów czułam się jak w college'u, gdy zamawialiśmy pizzę i opróżnialiśmy flaszkę taniego wina. Dzięki temu miałam okazję zapomnieć o moich siwiejących włosach.

Evelyn nie tylko prowadziła sklep z pamiątkami, zajmowała się też malarstwem, pisała wiersze i pielęgnowała ogród. Mieszkała samotnie w starym wielkim domu na pięcioakrowej posesji nad Missisipi, niedaleko Little Falls w Minnesocie. Były serdecznymi przyjaciółkami od czasu nauki w college'u uniwersytetu stanowego, kiedy to mieszkały w jednym pokoju w akademiku. W ciągu minionych lat Evelyn kilkakrotnie zapraszała Helen, żeby odwiedziła ją w tym geograficznym środku Minnesoty, ta jednak bała się otwartych przestrzeni, pustka obszarów rolniczych przyprawiała ją o nerwowość. Dobrze się czuła tylko w zapewniających anonimowość dużych miastach, gdzie mogła się zagubić w tłumie i wieść cichutki żywot w samym środku wielkomiastowego zgiełku.

- Myślisz, że przesadzam, prawda? - zapytała.

Evelyn ściągnęła z kontuaru miseczkę z orzeszkami sojowymi w polewie wasabi i postawiła na środku stolika. Wzięła z niej zielonego orzeszka, wrzuciła do ust i rozgryzła.

- Owszem. Chyba przesadzasz. Tylko co z tego? To ty się spotkałaś z tym facetem, nie ja.

- Ma na imię Eric.

- Niech będzie Eric.

- Wyśledził mnie, a kilka dni później został zamordowany.

- To może być zwykły zbieg okoliczności.

Helen pokręciła głową.

- Wiedział, co mnie spotkało.

- I co z tego?



- Miał zamiar spotkać się z tym łajdakiem. Mówiłam ci to przecież.

Evelyn obrzuciła ją sceptycznym spojrzeniem.

- Czytałam w gazecie, że Erica zastrzeliła jego żona.

- Uważam, że policja się myli.

Evelyn westchnęła ciężko.

- Jeśli jesteś aż tak pewna swego, skarbie, to czemu nie zgłosisz się na policję?

Helen na krótko przygryzła czubek języka.

- Policja mi nie pomoże. Pamiętasz, jak było ostatnim razem?

- Owszem, kiepsko cię potraktowali.

- Powiedzieli, że jestem sama sobie winna. Nie mam ochoty przechodzić przez to jeszcze raz. Musiałabym wyciągać na światło dzienne wszystkie szczegóły, co i tak nic by nie dało. Uznaliby, że mi odbiło albo szukam zemsty.

Helen popatrzyła przez okno na autostradę. Evelyn sięgnęła przez stolik i ścisnęła jej dłoń.

- Naprawdę sądzisz, że jesteś w niebezpieczeństwie?

- Tak.

- W takim razie muszę ci coś powiedzieć - rzekła z naciskiem Evelyn. - A jeśli ten facet zacznie nachodzić kogoś innego? Chcesz dopuścić, żeby inną kobietę spotkało to samo, co ciebie?

- Nie.

- Zatem tylko ty możesz teraz powstrzymać tego szaleńca.

- Ale potrzebuję czasu - odparła Helen.

Właścicielka sklepu uśmiechnęła się i wstała.

- Nic cię nie pogania, skarbie. Chodź, wrócimy do domu, napalimy w kominku i otworzymy sobie butelkę yellowtaila.

Przede wszystkim musisz przestać się zamartwiać. Nikt cię tu nie odnajdzie. Jesteś bezpieczna.

## 21.

- To zwłoki Tanjy? - zapytał Stride.

Abel Teitscher przytaknął ruchem głowy. Brwi i wąsy miał pobielale od śniegu niesionego znad jeziora przez porywisty wiatr.

- Zmarznięte na kość.

- Co było przyczyną śmierci?

- Ktoś rozwalił jej czaszkę ciosem w tył głowy.

Stride zaklął pod nosem i ruszył w kierunku gromadki policjantów skupionych wokół wędkarskiego domku. Można było odnieść wrażenie, że na zamrzniętym jeziorze rozłożyli się obozem cyganie, wznosząc prowizoryczne szopy z dykty lub budki z desek i arkuszy aluminium, rozstawiając namioty, domki kampingowe bądź przyczepy mieszkalne. Na śniegu pokrywającym lód krzyżowały się dziesiątki śladów zarówno opon, jak i gąsienic. Wszędzie wałyły się śmieci, puste kartony, butelki po piwie, dziurawe rękawice, rybie łby i wnętrzności, wypalone do połowy cygara. Samo jezioro było ogromne, na podobieństwo wielkiego pająka wrzynające się w teren głębokimi i wąskimi odnóżami otaczającymi zalesione półwyspy. Z tego miejsca można było ogarnąć wzrokiem tylko nieduży jego fragment. Nazwano je Hell's Lake, czyli „Diabelskim jeziorem”, albo ze względu na wiele zdradliwych miejsc pokrywających się jedynie cienkim lodem z powodu silnych prądów pod powierzchnią, albo z powodu istnienia tuż pod dnem bąbla lawy, która mocno podgrzewała wodę. Tak czy inaczej, było niebezpieczne, łatwo się było na nim zgubić, kiedy nachodziła mgła, a więc łatwo się było zapuścić na kruchy i spękany lód, z dala od części uczęszczanych rejonów. Każdego roku powłoka załamywała się pod paroma nieostrożnymi wędrowcami, których większości nie dało się uratować.

Wiatr smagający zmarzniętą taflę był szczególnie dotkliwy. Z dala od drzew, które hamowały porywy, śmigał po otwartej przestrzeni z szybkością rozpędzonego bojera. Zwłoki Tanjy leżące na arkuszu folii rozciągniętym na lodzie przed domkiem wędkarskim wyglądały żałośnie. Pigmentacja skóry całkiem wyblakła. Trudno było ocenić, czy to prąd wody, czy zabójca zdarł z niej wszelką odzież. W każdym razie żal ścisnął serce Stride'a, gdy pomyślał, że dziewczyna, przez całe dorosłe życie mająca obsesję na punkcie gwałtu, w końcu faktycznie padła ofiarą przemocy. Odwrócił się do Teitschera.

- Powinieneś być natychmiast mnie zawiadomić.

Tamten jak gdyby zadygotał z zimna, choć na jego czerstwej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Przecież uzgodniliśmy, że ja przejmę to dochodzenie.

- Owszem, ale chciałbym być informowany na bieżąco.

- Czy to znaczy, że mam ci dostarczać kopię każdej swojej notatki? - warknął Teitscher. - Bo chyba nie chcesz łązić za mną krok w krok po miejscu zdarzenia. Najlepiej, żeby w ogóle cię tu nie było, poruczniku. Bo w chwili obecnej nawet nie wiem, po której jesteś stronie.

- Więc lepiej powiedz mi szybko o wszystkim, czego się dowiedziałeś - odparł Stride.

- Dan Erickson chce wiedzieć o każdym twoim ruchu w ramach tej sprawy - odrzekł Teitscher.

- Mam to potraktować jak pogrózkę?

- Nie, tylko lojalnie uprzedzam.

- Mam gdzieś Dana.

Teitscher wzruszył ramionami.

- Odnależliśmy samochód Tanjy. Ktoś porzucił go w lesie na końcu ślepej drogi.

- Gdzieś niedaleko?

- Jakiś kilometr stąd.

- Jak on wygląda?

- Znaleźliśmy krew w bagażniku. Utrwaliliśmy też dobrze zachowane ślady butów odcisnięte w śniegu na końcu ślepej drogi. Urywały się nagłe.

- Zatem dziewczyna nie została zamordowana tam, gdzie znaleźliście samochód.

- Nie. Wygląda na to, że sprawcy zabili ją gdzie indziej, potem wrzucili zwłoki do bagażnika i wywieźli samochodem na zamrożone jezioro. Znaleźli otwarty domek wędkarski, zepchnęli ciało do przerębla, a samochód porzucili w głębi lasu.

- Dlaczego mówisz w liczbie mnogiej?

- Bo uważam, że jedna osoba nie dałaby sobie rady z tym wszystkim. Skoro Tanja nie została zabita w miejscu porzucenia samochodu, sprawca musiał dysponować drugim autem, żeby się stamtąd wydostać. Zatem musiał być jeszcze ktoś, kto przyjechał tym drugim wozem.

- Jakiej wielkości są zabezpieczone ślady obuwia?

- Duże, co najmniej rozmiaru dwunastego. - Teitscher zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Eric Sorenson nosił taki rozmiar.

- Lepiej nie szukaj na siłę wyjaśnień.

Tamten wzruszył ramionami.

- Z tego, co mi wiadomo, należał do ludzi, którzy jako ostatni widzieli Tanję żywą.

- Kiedy zginęła? - zapytał Stride.

- Zwłoki przebywały w wodzie kilka dni. Chyba nigdy się nie dowiemy ile dokładnie. Archie Gale byłby szczęściarzem, gdyby udało się to stwierdzić.

- Ale nic nie pozwala wiązać Maggie z tym zabójstwem, prawda?

- Tylko tyle, że jej mąż romansował z Tanją, a on także nie żyje.

- Według mnie, za śmiercią Erica kryje się coś więcej, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka.

- Poważnie? Jesteś specem od szacowania teorii, poruczniku, więc spróbuj ocenić następującą. Doszło do awantury między Maggie i Tanjy na punkcie romansu tej ostatniej z Edkiem i zakończyła się ona śmiercią Tanjy. Maggie wezwała więc Erica, żeby pomógł jej pozbyć się zwłok, ale ten w przyptywie zdrowego rozsądku postanowił zawiadomić policję. Dlatego Maggie zabiła i jego.

- Nie masz cienia poszlaki na poparcie tej teorii.

- Rzeczywiście, jeszcze nie mam, ale chcę tylko udowodnić, że nie trzeba być geniuszem, żeby w prosty sposób powiązać ze sobą te sprawy.

Stride uprzytomnił sobie, że dalsza dyskusja do niczego nie doprowadzi.

- Zbadaliście ten domek wędkarski? Co tam jest?

- Zwłoki znalazła para nastolatków. Migdalili się w środku, gdy ciało Tanjy wypłynęło w przeręblu. Domek należy do ojca chłopaka, ale technicy z dochodzeniówki są przekonani, że ciało zabitej dziewczyny zostało wepchnięte pod lód gdzie indziej. Prąd mógł je tu przynieść prawie z dowolnego miejsca na jeziorze. Ludzie zostawiają te budki otwarte i nie zaglądną do nich całymi tygodniami.

- Na pewno nie uda ci się zdobyć nakazu przeszukania wszystkich domków na lodzie.

- Wiem o tym. Dlatego pozostaje nam pukać do drzwi i rozmawiać kolejno z ich właścicielami. Niewykluczone, że któryś coś zauważył.

Nie ulegało wątpliwości, że bez precyzyjnego określenia czasu zgonu i bez możliwości przeszukania miejsca zbrodni sprawa będzie w zasadzie nie do rozwikłania.

- Gdybym mógł w coś pomóc, zadzwoń. Mówię poważnie.

- Niech pan nie potraktuje tego źle, poruczniku, lecz jeśli naprawdę chce mi pan pomóc, proszę tylko schodzić mi z drogi.

Teitscher odwrócił się na pięcie, żeby odejść, ale pośliznął się i przykleknął na jedno kolano. Podnosząc się, wrzasnął ze złością na jednego z policjantów z patrolu. Nie uszło uwagi Stride'a, jak chłopak, rzetelny i uczciwy gliniarz, krzywi się z niesmakiem. Teitscher nie znał innego sposobu wydawania poleceń, jak krzyknąć na kogoś albo warknąć mu prosto w twarz. Trudno się z nim współpracowało, a co gorsza, nie było szans na zmianę tego stanu rzeczy.

Złowił cichą muzyczkę, lecz dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że to sygnał jego telefonu komórkowego. Wyciągnął go z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki. Równocześnie z jego pamięci wypłynęły słowa znanej piosenki z Alabamy: „Spiesz mi się, ale nie wiem dlaczego”.

Ruszył z powrotem do swego auta, włączając aparat.

- Stride. Słucham.

- Muszę się z tobą zobaczyć - powiedziała Maggie. - To pilne.

- Co się stało?

- Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon.

- Dokądkolwiek pojedziesz, będziesz miała towarzystwo, a nie możemy pozwolić, żeby widziano nas razem.

- Zostaw to mnie. Będę sama.

Nie potrafił jej odmówić.

- Spotkajmy się późno. Powiedzmy o jedenastej.

- Gdzie?

- Na parkingu za ogólniakiem. Tym na wzgórzu.

- Dzięki, szefie.

- Każesz mi decydować w ciemno - rzekł z naciskiem. - Ukrywasz coś przede mną.

- Tak, wiem. Przykro mi. - Przez parę sekund na linii panowała cisza. Wreszcie Maggie zapytała: - To prawda, co mówią o Tanjy? Znaleźliście jej zwłoki?

- Owszem.

Maggie westchnęła głośno, jakby wypuściła długo wstrzymywany oddech.

- Zatem musisz coś wiedzieć. Ale tylko ty, nie Teitscher.

- O co chodzi?

- Tanjy wcale nie kłamała w sprawie tamtego gwałtu - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- Co takiego?!

- Mówię, że naprawdę do niego doszło.

- Niemożliwe. - W jednej chwili przypomniał sobie wszystkie erotyczne fantazje, których echa odnalazł w komputerze dziewczyny, jak również pikantne szczegóły pożycia z relacji Mitchella Brandta. - Tanjy przyznała mi się otwarcie, że wszystko zmyśliła.

- Wiem, jak to brzmi, szefie, bo sama długo jej nie wierzyłam. Myliłam się jednak.

- Skąd masz taką pewność?

Tym razem martwa cisza trwała tak długo, że aż naszły go obawy, że połączenie zostało przerwane. Kiedy w końcu usłyszał ponownie głos Maggie, zabrzmiał dziwnie obco.

- Ponieważ mnie spotkało dokładnie to samo.

## 22.

Zostawił furgonetkę na pustym parkingu blisko końca mierzei i ruszył truchtem przez zalesione wydmy w stronę brzegu jeziora. Wkrótce ujrzał przed sobą wąski pas ośnieżonego lodu, a za nim wzburzone wody, rozświetlane przez mętny blask leżącego w oddali miasta. Za ledwie wyłonił się spomiędzy drzew, uderzył go w twarz porywisty nieprzyjemny wiatr. Ściągnął brzeg wełnianej czapki aż do brwi i popatrzył wzdłuż brzegu przez zmrużone powieki. W rękawicach i butach miał woreczki ogrzewające, żeby nie dopuścić do skostnienia palców i stóp. Brodę wsunął pod

nastawiony kołnierz i ruszył truchtem wzdłuż pasa lodu, nie zważając na to, że rozpryski fal nacierających z impetem na brzeg docierają aż do niego i moczą mu kurtkę.

Dokoła nie było żywej duszy. Dwukilometrowy dystans do domu Sereny nie tylko z powodu mrozu dał mu się we znaki. Noc była bezksiężycowa, naszyły go więc obawy, że nie zdoła się rozzeźnić wśród domów stojących obecnie pośród bezlistnych szkieleatów drzew. Ale gdy dojrzał dwie wyłowione z morza deski, które poprzedniego dnia zostawił skrzyżowane na skraju wydmy jako znak rozpoznawczy, odzyskał dobry nastrój. Skręcił w wąską ścieżkę prowadzącą zakosami przez poletko, a gdy znalazł się na granicy lasu, z radością ujrzał furtkę prowadzącą na tylne podwórze posiadłości. Ukrył się w gąszczu i wyteżył wzrok. Dom spowijały ciemności. Na wylanym betonem podjeździe prowadzącym do ulicy nie było żadnego samochodu.

Gdy tylko przedostał się do środka, ustawił sobie główny licznik wibracyjny i wsunął aparat do tylnej kieszeni spodni. Spojrzał najpierw na jedno okienko systemu monitoringowego, po czym zerknął na drugie, skupione na tylnych siatkowych drzwiach, niezamkniętych nawet na zasuwkę. Pospiesznie ściągnął buty i zostawił je na werandzie, gdzie aż roiło się od innych odcisków. W wełnianych skarpetach przeczłapał do tylnych drzwi i zaświecił ołówkową latarką w zamek. Wystarczyło mu parę sekund, żeby się włamać od środka.

Jej zapach był wszechobecny. Po raz pierwszy od bardzo dawna znalazł się na tyle blisko, żeby go wyczuć w powietrzu. Dlatego pozwolił sobie na chwilę zwłoki, żeby się nim nacieszyć. Z jego punktu widzenia ten zapach oznaczał tropikalny skwar, woń potu i rozgrzanych ciał. Przez niego poczuł się na nowo narodziły, pełen pierwotnej mocy.

W pierwszej kolejności zajrzał do saloniku. Wystarczyło mu ledwie pół minuty, żeby określić najlepszą lokalizację, zamaskować



pluskwę i ustalić najlepsze parametry transmisji. W drugiej kolejności zajrzał do sypialni. Miał nadzieję, że uda mu się tu zainstalować kamerę internetową, lecz nie znalazł dla niej dogodnej lokalizacji. Musiał się więc ograniczyć do drugiego mikrofonu, który przykleił za wezłowiec łóżka.

Był już z powrotem na zewnątrz, gdy rozległ się sygnał minutnika. Pospiesznie ogarnął wzrokiem tylne podwórze i szybko wybrał miejsce do zamocowania wzmacniacza sygnału radiowego na tyłach posiadłości, za rynną na tyłach domu, co pozwalało mu prowadzić skuteczny nasłuch z odległości co najmniej dwóch kilometrów.

Wycofał się w głąb zarośli, żeby poczekać na jej powrót. Było mu tak zimno, że od czasu do czasu przytupywał w miejscu. Na południu kraju nigdy nie bywało aż tak mroźno. Wręcz nie mógł zrozumieć, jak ludzie mogą mieszkać w takich warunkach. Zaczął nawet tęsknić za malaryczną, wysysającą z człowieka duszę parną duchotą Alabamy. Po jakimś czasie zdrętwiały mu palce u nóg, zanim wreszcie światła samochodu prześliznęły się po podjeździe i Serena zatrzymała wóz przed drzwiami garażu. Ze wzmąconą uwagą przyglądał się, jak wysiada i wchodzi do domu, nieświadoma jego bliskiej obecności. Wetknął słuchawkę do ucha i zasłuchał się w odgłosy zdejmowanego okrycia oraz butów w przed-sionku. Gdy znalazła się blisko umieszczonej przez niego pluskwy, złowił nawet szmer jej oddechu.

Ciekawiło go, czy wyczuje jego zapach w swoim domu, tak jak on czuł jej zapachy, a może nawet szóstym zmysłem odbierze jego obecność, jak gdyby pod wpływem żywych wspomnień wciąż była świadoma jego bliskości.

Po chwili wyszedł z zarośli i przekradł się w poblize samochodu, nie spuszczać z oczu okien domu. Gdy na parterze zapaliło się światło, musiał sobie tłumaczyć, że ona i tak nie może go dostrzec. Mimo to zamarł bez ruchu, gdy ujrzał jej sylwetkę w

jednym z okien. Miał nawet wrażenie że ich spojrzenia się spotkały, jak dawniej, ilekroć ją obserwował. Ale odwróciła się szybko i przeszła do drugiego pokoju.

Kucnął i przykleił pod podwoziem nadajnik GPS, po czym wstał i ruszył w stronę plaży, nie oglądając się za siebie. Nie wyjmował jednak słuchawki z ucha. Przez całą drogę powrotną do furgonetki nasłuchiwał odgłosów docierających z wnętrza domu. Szelest docierający z sypialni uzmysłowił mu, że Serena się rozbiera. Chwilę później usłyszał cichy brzęk zdejmowanego z szyi złotego łańcuszka. Następnie rozległ się szum wody płynącej z prysznicza. Oczyma wyobraźni widział ją nagą, niemalże czuł pod palcami dotyk jej skóry.

Niespodziewanie rozległ się sygnał jego telefonu komórkowego. Poirytowany, rozejrzał się błyskawicznie po plaży, aby sprawdzić, czy nadal w pobliżu nie ma żywej duszy. Wyciągnął aparat z kieszeni i z niechęcią spojrzął na numer rozmówcy, jaki pojawił się na ekraniku. Z ociąganiem włączył telefon i przytknął go do ucha.

- Czego? - syknął.

- Znaleźli zwłoki Tanjy.

- I co z tego?

- Mówiłeś, że potrwa to wiele miesięcy, może nawet lata.

Zwolnił kroku, wciąż posuwając się wzdłuż krawędzi zamrzniętej wody. Wzburzone jezioro niestrudzenie atakowało zamrzniętą taflę. Czuł się przez to zmrożony do szpiku kości.

- No więc źle się stało, że odnaleźli ją tak szybko, ale to niczego nie zmienia. Nie masz się czym przejmować, jesteś bezpieczny.

- Mówiłeś też, że wyjedziesz z miasta zaraz po wykonaniu zadania.

- I wyjadę.

- Więc co tu jeszcze robisz?

- Nie skończyłem zadania - warknął.

- Jakiego zadania?
  - Mojego własnego. To prywatna sprawa.
- Cisza, jaka zapadła na linii, zdawała się śmiercionośna.
- Czy ty w ogóle masz pojęcie, ile ja ryzykuję?
  - To już twoja sprawa.
  - Jakie inne zadania masz do wykonania? Gadaj.

Westchnął głęboko i zapatrzył się na obłok pary, który tuż przed jego oczyma rozplynął się w nicłość.

- Nie sądzę, byś chciał to wiedzieć.
- Co to ma znaczyć, do cholery?
- Tyle, że Tanjy nie była jedyna. Zdecydowałem się rozprawić także z innymi.

Czekał cierpliwie. Uważał, że to zabawne, jak skrajnie aroganckie i zimnokrwiste ego daje się przekłuć szpilką niczym nadęty balon.

- Jesteś potworem.
- Naprawę? W takim razie, kim ty jesteś? Nie zapominaj, że to był twój pomysł.
- O jakich innych dziewczynach wspomniałeś?
- To bez znaczenia. Dziewczynki nigdy nie zdradzają swoich sekretów - odparł i zachichotał.
- Masz natychmiast zniknąć. Jasne? Sowiec ci za to zapłaciłem.

- To ja zadecyduję, kiedy mam zniknąć, nie ty - rzucił ze złością, po czym przerwał połączenie i wyłączył telefon.

Równocześnie drugą ręką włączył ponownie odbiornik i poprawił tkwiącą w uchu słuchawkę. Był już przy furgonetce. Wskoczył do środka, włączył ogrzewanie na maksimum i ściągając z siebie ocieplaną kurtkę, zamienił się w słuch.

W domu Sereny ucichł już szum wody płynącej z prysznicza. Sądząc po odgłosach, wróciła do sypialni, toteż na nowo wyobraził ją sobie nagą, wykąpaną i świeżą. Z mokrymi długimi włosami. I nabrzmiałymi sutkami sterczącymi wśród połyskliwych kropelek

wilgoci. W kontaktach z każdą kobietą wyobrażał sobie, że jest z Sereną, że panuje nad nią i zmusza do uległości. W ten sposób chciał jej odplacić za te dziesięć lat życia, które mu ukradła.

W końcu nadeszła kolej na nią.

Już niedługo.

## 23.

Stride zaczynał się martwić. Dochodziła północ, Maggie się spóźniała.

Zaparkował samochód w dolnej części parkingu szkoły średniej, skąd roztaczał się widok na rozjaśnione światłami centrum miasta i leżącą za nim ciemność jeziora. Czekał na partnerkę, w nerwach wypalił aż dwa papierosy. Z ciemnych chmur spadały wielkie płatki śniegu, które wiatr przyganiał znad szczytu wzgórza i kręcił nimi wokół jego auta, jakby chciał się zamienić w tornado. Trudno było patrzeć wprost przed siebie. Dlatego mrużył oczy, a cała twarz go piekła od wiatru. Do tego miał wrażenie, że na brwiach tworzą się bryłki lodu. Pędzące w jego stronę płatki śniegu mogły być niegroźne, lecz w wielkiej masie przypominały nieustraszoną armię. A niesione wiatrem kłuły skórę niczym ostrza tysięcy noży. Mogły go oślepić, zmrozić na kość i pogrzebać w utworzonej natychmiast zaspie.

Na drodze biegnącej powyżej parkingu pojawił się blask reflektorów jakiegoś auta i po paru sekundach ujrzał należące do Maggie chevroleta avalanche. Podjechała bardzo szybko, aż wóz zabuksował na śliskim stromym podjeździe. Był zdecydowanie za duży jak na drobną kobietę, do tego stopnia, że musiała układać pod fotelem drewniane klocki, żeby sięgnąć do pedałów. W dodatku prowadziła bardzo nerwowo. Uważał, że jeździ tak w

dużym stopniu przez niego, gdyż miał wrażenie, że staje się bardziej nerwowa niż zwykle, ilekroć on zajmuje fotel z prawej strony auta.

Zaparkowała ukosem przy jego fordzie bronco i wysiadła. Miała na sobie czarny skórzany płaszcz do kostek oraz buty na wysokich, prostokątnych obcasach. Pospieszenie wetknęła ręce do kieszeni. Trąciła czubkiem buta pryzmę świeżego śniegu, idąc w jego stronę.

Nie widzieli się od tamtego wieczoru po zabójstwie jej męża, toteż uzmysłowił sobie nagle, jak bardzo za nią tęskni. Ruszył w jej kierunku, rozkładając ręce, żeby ją uściskać, ale powstrzymała go, wyciągając szybko rękę z kieszeni.

- Nie trzeba - rzuciła ostro. - Nie zniosę litości. Zwłaszcza od ciebie.

Poczuł się tak, jakby tych parę merów rozdzielającej ich przestrzeni miało szerokość kanionu.

- Daj spokój, Mags. Nikt nas nie obserwuje. A przede mną nie musisz udawać, jaka jesteś dzielna.

- Owszem, muszę, i to nawet bardziej niż zwykle - odparła, mierząc go uważnym spojrzeniem. - Nie przyszło ci do głowy, żeby poczekać w samochodzie? Wyglądasz jak cholerny bałwanek.

- Nie boję się mrozu.

- To znaczy nie chcesz, żeby Serena wyczuła zapach dymu papierosowego w twoim samochodzie.

- Zgadza się.

- No cóż, ja i tak nie zamierzam tu marznąć, więc lepiej wsiądźmy do mojego.

Podeszli do drzwi avalanche'a z przeciwnych stron. Stride strzepnął z siebie śnieg na tyle, na ile było to możliwe, nim wsiadł do środka. Wnętrze auta było rozgrzane, toteż natychmiast ściągnął rękawice. Maggie nawet na niego nie spojrziała. Usiadła za

kierownicą i zapatrzyła się przed siebie, jakby miała przed nosem niezwykłą panoramę. Uzmysłowił sobie nagle, jak dziwna jest świadomość, że ona jest starsza od niego. Jak gdyby dotąd nie widział drobnych zmarszczek w kącikach jej oczu czy też siwizny prześwitującej w kruczoczarnych włosach. Zawsze traktował ją jak dwudziestoletnią nowicjuszkę, pełną zapału do pracy, z głową nabitą ideami. Ale to, że postrzegał ją jak smarkulę, uważał za część własnego problemu. Mimo wszystko nie mógł się uwolnić od wspomnień, gdy z jego pamięci wypływały obrazy Maggie zagryzającej brzeg styropianowego kubeczka od kawy i powtarzającej z uporem, że coś uszło ich uwagi w sprawie zabójstwa dziewczyny z Enger Park, chociaż on był przeświadczony, że wziął pod uwagę wszelkie okoliczności. Od tamtej pory minęło jednak mnóstwo czasu. Czuł się tak, jakby umieścił Maggie w specjalnym schowku własnej świadomości, gdzie nie mogło jej się stać nic złego, tyle że ona z upływem czasu dojrzewała i wplątywała się w coraz to gorsze sytuacje.

- Kiedy to się stało? - zapytał.

Dobrze wiedziała, co ma na myśli. Podniosła rękę i kurczowo zacisnęła palce na kierownicy.

- Krótco przed Świętem Dziękczynienia. Eric był wtedy poza miastem.

Przypomniał sobie. Zadzwoiła wówczas z wiadomością, że złapała grypę, i nie było jej w pracy przez dwa tygodnie.

- Spałam. A on zbliżył się z nożem. - Odgarnęła włosy i wskazała pięciocentymetrową bliznę za uchem. - Odcięłam się od szczegółów tamtego zajścia. Po prostu go nie pamiętam.

- Jezu... - syknął Stride.

- Tłumaczyłam, że nie znoszę litości, szefie. Zwłaszcza od ciebie. Jasne?

Przemknęło mu przez myśl, że jej udawana odwaga jest tylko na pokaz.

- Wiesz, co wtedy zrobiłam w pierwszej kolejności? - zapytała. - To ci się spodoba. Wybuchnęłam śmiechem. Uważałam, że to po prostu komiczne. Jak cięty dowcip samego Boga. Wmówiłam sobie, że to tylko sen, że ubzdurałam sobie to wszystko, że nie podobnego nie mogło mi się przytrafić w rzeczywistości. Ale gdy się ocknęłam, leżałam na podłodze i wylałam z rozpacz. Podniosłam się, oparłam plecami o ścianę i płakałam jeszcze przez dwa dni.

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz zamknął je szybko. W rzeczywistości nie miał nic do powiedzenia.

- Wiesz, co potem zrobiłam? Wyrzuciłam wszystkie zapasy z lodówki. Szajba, no nie? Absolutnie wszystkie. Zostały puste półki, które następnie zmyłam lizolem. Użyłam go w każdym pokoju. Opróżniłam kilka opakowań. Jakbym nie chciała czuć żadnego innego zapachu. W całym domu cuchnęło jak w szpitalu.

Mimowolnie zacisnęła pięści. Zwróciła na to uwagę.

- Jeśli ten sukinsyn kiedykolwiek wpadnie mi w ręce, zabiję bydlaka.

- Wiem, szefie, że chciałbyś zostać bohaterem, ale to przytrafiło się mnie, a nie tobie. Mówię ci o tym tylko dlatego, że nie mam innego wyjścia.

- Dlaczego wtedy nie przyszedł z tym od razu do mnie?

Zapatrzyła się na niego. W jej oczach pojawiły się błyski dumy.

- Bo nie przydarzyło się to policjantce, tylko zwykłej kobiecie. Nie rozumiesz? Nie chciałam, abyś ty czy jakikolwiek inny mężczyzna się o tym dowiedział. Ani wtedy, ani kiedykolwiek. Wystarczy, że się zmusiłam, by powiedzieć Ericowi. Namawiał mnie, żebym zgłosiła się na policję, ale ja chciałam tylko jak najszybciej zapomnieć. Nadal tego pragnę.

- Powiedz przynajmniej, że uzyskałaś pomoc.

- Nie słuchałeś? Mówiłam przecież, że nie chciałam nikomu o

tym mówić. Nie masz pojęcia, ile mnie kosztowało, żeby teraz wyznać ci prawdę. Tak, wiem, to syndrom traumy będącej skutkiem gwałtu, że przeżywałam ostre załamanie, działałam ekspresywnie, nie panowałam nad sobą. Tylko wiesz co? To jeden wielki psychobelkot. Wszystko, co powtarzałam innym ofiarom gwałtów, to takie same brednie. Bo przeżyłam to sama. A skoro nigdy nie byłeś tam, gdzie ja, to nie masz bladego pojęcia, jak tam jest, do cholery!

Chciał powiedzieć coś łagodzącego atmosferę, ale wyszło odwrotnie.

- Nie rozumiem, dlaczego właśnie ty nie zgłosiłaś gwałtu.

- Sam widziałeś, co spotkało Tanjy. Była upokorzona. Zdruzgotana. Nie chciałam, żeby coś podobnego zważyło się na mnie.

- Z tobą byłoby zupełnie inaczej - odparł z naciskiem.

Pokręciła głową.

- Jesteś po prostu naiwny, szefie. Doskonały z ciebie gliniarz, ale niekiedy bywasz tak ślepy, że aż mam ochotę wyć. Myślisz, że ja nie mam żadnych tajemnic? Myślisz, że nie istnieją rzeczy, które chciałabym ukryć przed wszystkimi?

- Jakie rzeczy?

- To już nie twoja sprawa. Problem polega na tym, że nie zgłosiłam gwałtu, ponieważ nie chciałam zrujnować sobie do reszty życia.

- Więc jak mam rozwiązać tę sprawę, skoro nie chcesz być ze mną całkiem szczerą? - zapytał.

Maggie sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyjęła pomietą karteczkę. Rozprostowała ją i podała Stride'owi. Było na niej odręcznie wypisane jedno zdanie:

„Wiem, kto to jest”.

- Co to ma znaczyć, do diabła? - syknął.

- Eric zostawił mi tę wiadomość tamtego wieczoru, kiedy został zabity. Początkowo sądziłam, że znów mnie posądza o romans, ale jemu chodziło o coś zupełnie innego.



- Tanjy zostawiła identyczną wiadomość dla Dana Ericksona tamtego wieczoru, kiedy zginęła.

Maggie nawet się nie zdziwiła.

- Sądzę, że Eric odgadł, kto jest gwałcicielem. Kiedy odmówiłam zgłoszenia się na policję, zdaje się, że pojechał właśnie do Tanjy. I jakimś sposobem we dwójkę musieli dojść do wniosku, który naprowadził ich na trop gwałciciela. A ten następnie zamordował ich oboje.

Stride pospiesznie odtworzył w myślach chronologię wydarzeń. W poniedziałek po południu Eric spotkał się z Tanjy na ulicy, obok kawiarni Java Jelly, i powiedział jej coś, co ją bardzo wzburzyło. Dziewczyna wcześniej wyszła z pracy, a wieczorem zadzwoniła do Lauren z prośbą o przekazanie tajemniczej wiadomości: „Wiem, kto to jest”. Tylko nie miała już okazji komukolwiek tego powiedzieć. Ktoś ją zamordował, a zwłoki wepchnął pod lód na jeziorze. Dwa dni później Eric także został zamordowany we własnym domu.

W zamyśleniu opuścił szybę po swojej stronie auta. Wiatr sypnął mu garścią śniegu w twarz. Przypalił papierosa, zaciągnął się głęboko dymem, po czym wydmuchnął go za okno, gdzie natychmiast się rozwiął.

- Masz pojęcie, na kogo mogły paść podejrzenia Erica?

- Nie, ale zacznij od Tony'ego. Rozmawiał z nim tamtego wieczoru. Może on zdoła nam pomóc.

- Czyżby Eric doszedł do wniosku, że to właśnie Tony jest gwałcicielem? Obie z Tanjy byłyście jego pacjentkami.

- Owszem, już o tym myślałam, ale Tony twierdzi, że Eric prosił go o przedstawienie profilu psychologicznego domniemanego gwałciciela, co pasuje mi do tej teorii. Eric wiedział, że od lat współpracujemy z Tonyem przy wszystkich wypadkach związanych z przemocą na tle seksualnym.

- Porozmawiam z nim - oznajmił Stride. - I przejrzę jeszcze raz zeznania Tanjy dotyczące tamtego gwałtu. Jeśli wtedy mówiła

prawdę, mężczyzna, który ją zgwałcił, musiał wiedzieć, że lubi zabierać swoich kochanków do Grassy Point. W każdym razie Mitchell Brandt twierdzi, że jego tam zabrała.

- Słuszny wniosek.

- I tak coś jeszcze przede mną ukrywasz, Mags - rzekł łagodniejszym tonem. - Będę miał związane ręce, dopóki nie powiesz mi wszystkiego.

- Przykro mi, ale nie robię tego wyłącznie z pobudek osobistych. Mogłabym skrzywdzić innych ludzi, gdybym powiedziała ci o wszystkim.

- A nie krzywdzisz ich, ukrywając pewne informacje?

Spojrzał jej w oczy. Doskonale wiedziała, o co mu chodzi.

Gwałciciel wciąż był na wolności.

- Jeśli nie będzie innego wyjścia, powiem ci szczerze, dlaczego nie mogłam zgłosić gwałtu, ale na razie sędzę, że nie ma to nic wspólnego z zabójstwem Tanjy. W jej wypadku musiały odegrać rolę inne powiązania.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że powinienem zrelacjonować naszą rozmowę Teitscherowi. Ugania się za własnym ogonem. W ten sposób przestałby cię uważać za główną podejrzaną, Mags.

Położyła dłoń na jego rękę. Chyba po raz pierwszy zdobyła się na taki przejaw zażyłości. Często z niego drwiła i żartowała, drażniła go, nawet obrażała. Ale nigdy nie dotykała.

- Proszę, żebyś tego nie robił, Jonathanie. Nie chciał się z nią spierać.

- Skoro tak sobie życzysz... Na razie.

- Też próbuję odtworzyć ostatnie posunięcia Erica - wyznała. - Chcę wiedzieć, jak wpadł na trop tego łobuza.

- Co zdołałaś ustalić?

W oczach Maggie pojawiły się błyski profesjonalnego zapału.

- Na tydzień przed śmiercią Eric był służbowo w Saint Paul. Wrócił w poniedziałek i jeszcze tego samego dnia pojechał na

spotkanie z Tanjy. Od tego wszystko się zaczęło.

- Myślisz, że odkrył coś podczas tego wyjazdu? - podchwycił Stride.

- Tak właśnie myślę. Właśnie z tego powodu się spóźniłam. Rozmawiałam telefonicznie z obsługą hotelu Saint Paul, chcąc ustalić dokładnie, czym Eric się tam zajmował. Już wcześniej zdobyłam kopię jego rachunku za pobyt w hotelu oraz bankowy wyciąg operacji z użyciem karty kredytowej i wykaz połączeń z jego aparatu komórkowego.

- I co?

- Na sobotni wieczór zamówił przez telefon bilet na przedstawienie w Ordway Center. Ale jeden bilet, nie dwa.

- Ordway Center znajduje się naprzeciwko hotelu Saint Paul - wtęczył Stride. - Może po prostu chciał sobie zapewnić jakąś rozrywkę na sobotni wieczór.

- Też tak myślałam. Mimo to skontaktowałam się z kasą Ordway i zdobyłam kilka nazwisk posiadaczy karnetów, którzy siedzieli wtedy w pobliżu Erica.

- Zapamiętali go?

- Och, tak, nawet bardzo dobrze. Podobno omal nie został wyrzucony z sali w trakcie przedstawienia,

- Wyrzucony? Z jakiego powodu?

- Przeszkadzał bileterkom i ochroniarzom teatru. Zasypywał wszystkich pytaniami.

- O co się dopytywał?

- Właśnie tego bardzo bym się chciała dowiedzieć.

## 24.

W poniedziałek rano Serena wyruszyła z mierzei w kierunku Canal Park, posuwając się środkiem jezdni, którą pług oczyścił ze

śniegu i lodu. Mogła więc jak latem biec długimi rytmicznymi krokami. Miała na sobie elastyczny kostium sportowy, legginsy oraz kamizelkę, długie włosy zebrała w kucyki i włożyła nauszniaki. W ciągu pół godziny pokonała pięć kilometrów i dotarła do mostu zwodzonego, który wznosił się niemal pionowo niczym szare ostrze gilotyny. Przystanęła więc i pochyliła się, opierając dłonie na kolanach. Zaczepnęła kilka głębokich oddechów, wyprostowała się, zadarła głowę i popatrzyła w niebo. Podskakując, zaczęła robić wymachy to jedną nogą, to drugą, żeby rozluźnić mięśnie. W końcu wyciągnęła butelkę wody mineralnej z uchwytu w elastycznym pasie, jaki miała zapięty nad biodrami, i pociągnęła duży łyk lodowato zimnego płynu.

Kiedy most opuszczono, poszła chodnikiem na jego środek. Sezon przeładunkowy dobiegł końca i o tej porze most rzadko podnoszono. Basen portowy po lewej był zamrznięty, nawet w tym wąskim kanale prowadzącym na otwarte wody Jeziora Górnego lodołamacz nie skruszył grubej tafli. Serena wychyliła się za stalową barierkę i zapatrzyła w dal, na jezioro.

Była tu sama, lecz nadal nie mogła się uwolnić od wrażenia, że ktoś ją obserwuje. To nieprzyjemne wrażenie nie opuszczało jej nawet w domu, gdzie wydawało jej się, że musi dzielić swoje życie z jakimś duchem. Przypominało jej to ostatni okres w Las Vegas, kiedy śledził ją Tommy Luck. Nie mogła zapomnieć wizyty w jego mieszkaniu po tym, jak został aresztowany. Na ścianach wisiały setki zdjęć, jakie zrobił jej potajemnie. Przypominało to niemal wnętrze świątyni. Większość fotografii została zrobiona na ulicy. Ale były też ujęcia z samochodu. No i z sypialni, zrobione przez okno jej mieszkania z użyciem teleobiektywu. Na wszystkich była oszpecona i pokaleczona, jakby sprawca marzył tylko o tym, żeby naprawdę ją tak potraktować. Od tamtej pory miała oko na Tommy'ego i gdy tylko wyszedł na pierwszą przepustkę, poważnie się zastanawiała, czy go nie załatwić, szybko i po cichu,

zanim przypomni sobie o swojej obsesji. Policja z Vegas pewnie widziała to w zupełnie innym świetle, ale w końcu Tommy był nikim, doszła więc do wniosku, że woli nie mieć na sumieniu jego śmierci.

Nie po raz pierwszy walczyła w myślach z przemożną żądzą mordu. Kiedy jeszcze mieszkała w Phoenix, przez rok znosząc prawdziwe piekło przebywania pod wspólnym dachem z matką i Niebieskim Psem, prawie bez przerwy rozmyślała o sposobach zamordowania łobuza. Kładła się do łóżka, zbierając w sobie odwagę, żeby zejść do kuchni po nóż i poderznąć łobuzowi gardło w czasie snu, a później tak samo potraktować matkę. Z całego serca pragnęła zamordować ich oboje i zniknąć. Nikt by za nimi nie tęsknił, a więc nikt by jej nie szukał. Kilka razy posuwała się do tego, że z kuchennym nożem w ręku stawała na progu ich pokoju i długo się wpatrywała w śpiących, ale nigdy nie spełniła swojego marzenia. Za to uciekła do Las Vegas z mocnym postanowieniem odcięcia się od wcześniejszego życia.

Teraz zastanawiała się wielokrotnie, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby wtedy sprawy ułożyły się inaczej.

Gdyby jednak weszła z nożem w rękę do sypialni matki.

Albo gdyby wpakowała kulkę w głowę Tommy'ego Lucka.

Zadzwoił telefon komórkowy. Wyciągnęła go z kieszeni kamizelki i zerknęła na ekranik, ale wyświetlił się na nim nieznanym numer rozmówcy.

- Słucham. Serena Dial.

- Nazywam się Nicole Castro - rozległ się kobiecy głos. - Dostałam pani numer od Archiego Gale'a.

- Tak?

- Powiedział, że mamy ze sobą wiele wspólnego - rzuciła kobieta ironicznym, lekko spiętym tonem, jak kiepska aktorka, która za często powtarzała tę samą kwestię.

- To znaczy? - zapytała.
- Sypia pani z niejakim Jonathanem Stride'em, a tak się składa, że tenże Jonathan Stride był moim szefem.  
Nie potraktowała tego jak żart.
- Właściwie czego pani ode mnie chce, pani Castro?
- Proszę mi mówić Nicole. Chciałabym z panią porozmawiać o zabójstwie Erica Sorensona.
  - Powinna się pani raczej zgłosić na policję.  
Nicole prychnęła ironicznie.
  - Obie doskonale wiemy, że Abel zdążył już wbić zęby w nogę głównej podejrzaney. Proszę mi wierzyć, że nie zechce wysłuchać tego, co mam do powiedzenia.
    - A to dlaczego?
    - Ponieważ był moim partnerem.  
Serena wyprostowała się i otarła rękawem pot z czoła.
    - Jakimi informacjami chce się pani ze mną podzielić, Nicole?
    - Może jednak porozmawiamy o tym w cztery oczy?
    - Nie przypominam sobie, by Jonny kiedykolwiek o pani wspominał.
      - Jonny?
      - Stride.
      - Ach, tak. Podejrzewam, że już na dobre wyrzucił mnie z pa-  
mięci. Oni wszyscy pragnęli o mnie zapomnieć. Ale Archie mó-  
wił, że szuka pani pomocy w rozwiązaniu tej sprawy. Więc jak?  
Chce pani, żebym jej pomogła, czy nie?
        - Oczywiście że chcę, jeśli to znaczący trop w śledztwie.
        - W takim razie proszę się ze mną spotkać.
        - Możemy zjeść razem lunch w barze Grandma's - zapropono-  
wała Serena.
          - Uczyniłabym to z wielką przyjemnością, proszę mi wierzyć -  
wycedziła Nicole. - Niestety, nie mieszkam już w Duluth, lecz pod  
Saint Paul, w Shakopee.

- Rozumiem. I tak wybieram się jutro do Saint Paul. Gdzie mogłybyśmy się zatem spotkać?

- Będzie pani musiała przyjechać do mnie, gdyż jestem w więzieniu.

Serena westchnęła ciężko i popatrzyła na rozplywający się w powietrzu obłoczek pary, po czym rozejrzała się dokoła. Dopiero teraz poczuła, jak lodowata jest w dotyku żelazna poręcz mostu.

- Zdawało mi się, że mówiła pani o swojej służbie w policji.

- Zgadza się. Służyłam w wydziale dochodzeniowym w Duluth. Ale zostałam zapuszkowana pod zarzutem zabójstwa męża. Podobnie jak Maggie.

Park Grassy Point to wąski pas zieleni wbijający się niczym ostrze noża w jezioro zatoki Saint Louis. Prowadzi do niego ślepa ulica rozcinająca przemysłową część miasta, biegnąca wzdłuż torów kolejowych i nabrzeży do przeładunku rudy. Po lewej stronie Stride miał zamrożony port. Gdyby wykręcił na lód i pojechał wokół przylądka Wisconsin, znacznie skróciłby drogę do domu. Po prawej, tam, gdzie kończył się park, za drucianą siatką ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym wyłaniały się długie szeregi wagonów z Santa Fe wyładowanych kamieniami. Wiał zimny porywisty wiatr, a poranne niebo nad głową przypominało zwartą ciemnoszarą powłokę.

To właśnie tutaj miała zostać przywieziona Tanjy, przywiązana do ogrodzenia bocznicą przeładunkowej i zgwałcona.

Próbował wczuć się w jej położenie, wyobrażając sobie, że jest wczesnolistopadowy wieczór. Na północy musiały wtedy tak samo połyskiwać światła mostu nad odnogą jeziora. Do wody było stąd tak blisko, że dało się słyszeć szum fal rozbijających się o nabrzeże. Tanjy zapewne próbowała się bronić, ale gdy napastnik przytknął jej nóż do gardła, zamilkła. Wtedy pospiesznie ją

skrępował i zakneblował. Zardzewiała druciana siatka ogrodzenia musiała wrzynać się w skórę pleców.

Później, kiedy została już sama, upokorzona, też nie próbowała wzywać pomocy. Uwolniła się z więzów, pojechała do domu i wzięła kąpiel, zmywając z siebie nie tylko poczucie wstydu, ale i dowody przestępstwa.

Stride aż pokręcił głową. Parę elementów tej układanki nie pasowało do całości.

Już kiedy dziewczyna pierwszy raz składała zeznania, uderzył go pewien dziwny element. Po dokonaniu gwałtu napastnik zostawił na skraju parku samochód Tanjy i odjechał innym. Wtedy nie mógł się nadziwić, jak człowiek zawczasu zostawił swój wóz na tym odludziu, po czym wrócił pieszo przez park aż do miasta. Kiedy Tanjy przyznała, że zmyśliła tę historyjkę o gwałcie, on natychmiast zapomniał o tej nieścisłości. Ale teraz znów zaczął się nad nią głowić.

Podobne wątpliwości opadły go na miejscu zabójstwa dziewczyny. Jeśli morderca zawiózł zwłoki nad Hell's Lake w bagażniku auta Tanjy, które po wepchnięciu ciała pod lód zostawił na końcu ślepej drogi, w głębi lasu, to gdzie wcześniej zaparkował własny samochód? Było mało prawdopodobne, że wracał pieszo w tę mroźną i wietrzną pogodę. Ale nie mógł też równocześnie prowadzić dwóch samochodów. Więc jakim sposobem wy dostał się z leśnej głuszy, w której zostawił wóz Tanjy?

Odpowiedź nasuwała się sama. Ktoś inny musiał być w to zaangażowany. Ktoś, kto przyjechał na miejsce zdarzenia drugim samochodem.

Być może. Bo nie dało się wykluczyć, że zarówno on, jak i Abel poruszali się tylko tą ścieżką rozumowania, którą wytyczył dla nich zabójca.

Stride zacisnął palce obu dłoni na siatce ogrodzenia. Im dłużej wyobrażał sobie Tanjy gwałconą w tym miejscu, tym bardziej



był rozżalony i rozgoryczony z powodu gwałtu, którego ofiarą padła Maggie. Nie potrafił zapanować nad wściekłością na tyle, żeby ukierunkować ją niczym dawkę adrenaliny do krwiobiegu w celu pobudzenia do działania. W Las Vegas, gdzie jego partner zginął od kuli bandyty, odczuwał tę samą dziką wściekłość, która o mało nie sprawiła, że przestał nad sobą panować.

Z drugiej strony był także rozżłoszczony na Maggie, która przemilczała wiele spraw, zniszczyła dowody rzeczowe przestępstwa i nie zgłosiła go policji. Zdawał sobie sprawę, że łatwo mu oceniać jej postępowanie, skoro sam nie musiał nigdy przechodzić przez to samo, ale równocześnie był na nią wściekły za to, że wyeliminowała go ze swojego życia, nie godząc się na dzielenie z nim własnego bólu, a więc tym samym okazując mu brak zaufania. Miał wrażenie, że łącząca ich delikatna intymna więź ostatecznie pękła, chociaż nie czuł się uprawomocniony do oczekiwania czegokolwiek z jej strony.

Odwrócił się tyłem do ogrodzenia, gdy tylko złowił stłumioną kakofonię hałasów oraz dudniący bas odzywający się rykoszetem w jego piersi. Nagle ujrzał wyrwę w szeregu, w której ukazał się Tony. Na ekranie zobaczył wielkiego brązowego leksusa parkującego tuż przy jego fordzie bronco. Gdy umilkł warkot silnika, ucichła też orkiestra. Tony Wells wysiadł z auta, ściskając w ręku dwa styropianowe kubeczki z kawą. Upił parę łyków z jednego z nich, zanim zbliżył się do Stride'a. Miał na sobie kurtkę z obszytym futerkiem kapturem, a do tego spodnie od dresu oraz pantofle nienadające się do spacerów po ośnieżonych alejkach parkowych.

- Dzień dobry, poruczniku.

- Dzięki, że zechciałeś się tu ze mną spotkać, Tony. - Wskazał przez ramię palcem na jego samochód. - Znowu uczestniczysz w kastrowaniu wieprzy?

- Och, tak, wciąż jestem fanem muzyki country - odparł Tony

z ironicznym uśmiechem. - Powinieneś wiedzieć, że Smashing Pumpkins właśnie za tę piosenkę dostali nagrodę Grammy.

- Za co? Moim zdaniem ten utwór to odzwierciedlenie uczuć człowieka przeprowadzającego autopsję własnych zwłok.

Tony zsunął kaptur na tył głowy i przeciągnął dłonią po rzedających włosach.

- Czytałem ostatnio sprawozdanie z badań nad biedną laboratoryjną myszką, którą Toby Keith obserwował na okrągło przez cały miesiąc. I chyba zaraził się od niej nowotworem.

Stride zachichotał. Wolał jednak nie wracać do tej różnicy zdań, która dzieliła ich od lat.

Był prawdopodobnie jednym z nielicznych gliniarzy z Duluth, którzy ani razu nie widzieli Tony'ego Wellsa w jego występie scenicznym. Wierzył, że wynika to z jego pracy, że tylko dzięki ustawicznemu obcowaniu z krecimi norami nigdy nie nabrał ochoty do zasmakowania rzeczy całkowicie mu obcych, jak alkoholizm, pastwienie się nad żoną czy też trenowanie poślizgów na oblodzonej autostradzie. Tony widocznie miał wielką wprawę w powstrzymywaniu inwazji szczurów. Stride dotychczas tylko raz ujawnił potrzebę rozmowy z psychologiem, ale nigdy nie wyraził chęci rozmowy z policyjnym psychologiem. Jakoś nie czuł potrzeby dzielenia się zwierzeniami z człowiekiem, który zdążył już się zapoznać ze zwierzeniami jego kolegów. Po śmierci Cindy znalazł sobie terapeutę przyjmującego pięćdziesiąt kilometrów od Duluth, w Bliźniaczych Portach, do których jeździł regularnie raz w tygodniu przez pół roku, co i tak nie ustrzegło go przed przykrymi skutkami kiepskiego małżeństwa.

- Pewnie wiesz, że właśnie to miejsce wybrała Tanjy Powell na lokalizację własnego domniemanego gwałtu? - odezwał się Stride.

Popatrzył z uwagą, jak Tony lękliwie zerka na boki. Wszystkie parkingi były jednak puste, o tej porze roku wyzbyte wszelkiego ruchu.

- Zgadza się.

- I wiesz także, że naprawdę została wtedy zgwałcona, prawda? Wcale nie zmyśliła sobie całej tej historii.

Tony poruszał dolną szczęką, jakby coś utkwilo mu między zębami.

- Jestem w dość niezręcznej sytuacji, poruczniku - przyznał po chwili. - Chciałbym pomóc w dochodzeniu, nie wiem tylko, czy dam radę,

- Tanjy nie żyje - przypomniał mu Stride. - Zatem nie możesz już wyrządzić jej żadnej krzywdy, rozmawiając ze mną. Możesz jedynie dopomóc w ustaleniu, kto ją zamordował.

- Tanjy była bardzo zamknięta w sobie.

- Wiem o tym, dlatego potrzebuję twojej pomocy, Tony. Znamy się przecież od dawna. Szanuję twoją lojalność, ale mówimy o pacjentce, która nie żyje. Sądzę, że życzyłyby sobie, żebyś ze mną porozmawiał.

Po minie psychoterapeuty widać było, z jakim trudem przychodzi mu podjęcie decyzji. Jako stały współpracownik policji miewał do czynienia ze wszystkimi, a więc policjantami, ofiarami przemocy oraz sprawcami. Tymczasem nie istniał żaden przepis na skuteczne rozwiązywanie konfliktów etycznych.

- Dobra, w porządku - oznajmił w końcu. - Też chciałbym się przyczynić do schwytania zabójcy. Tanjy na to zasługuje.

- Dzięki.

- Więc co chciałbyś usłyszeć?

- Czy wiesz, z kim się spotykała przed śmiercią?

- Nie, nigdy nie wymieniała żadnych nazwisk. Była bardzo dyskretna. Czasami utrudniało to terapię, gdyż nie o wszystkich szczegółach swego życia chciała mówić. - Tony zawahał się wyraźnie.

- O co chodzi?

- Wydawało jej się, że jest śledzona. Mówiła ostatnio, że ktoś

ją obserwuje.

- Nie domyślała się, kto to może być?

- Nie. Mówiła zresztą, że to tylko przeczucie.

- Kiedy to było?

- Krótko przed gwałtem.

- Nie podała żadnych konkretów?

- Nie. Prawdę mówiąc, poruczniku, miałem poważne wątpliwości, czy rzeczywiście doszło do tego gwałtu. Wyznała mi, że tylko przed tobą w tajemnicy złożyła zeznania, gdyż bała się publicznego upokorzenia, ale właśnie to dało mi do myślenia. Przebieg opisanego przez nią gwałtu był zanadto podobny do wcześniejszych fantazji erotycznych. W życiu raczej coś takiego się nie zdarza.

- Chyba że dokładnie o to chodziło gwałcicielowi.

- Chcesz powiedzieć, że mogła zostać zaatakowana właśnie z powodu swoich niezwykłych fantazji? - zapytał Tony.

- W każdym razie biorę pod uwagę taką możliwość.

Terapeuta zamyślił się na krótko.

- Nie wiem, jak mogłoby do tego dojść. Nikomu nie mówiła o swoich fantazjach.

- Wiedział o nich jej narzeczony. Kiedy szli do łóżka, nakłaniała go, żeby udawał gwałciciela. Poza tym publikowała w Internecie różne opowieści o gwałcie.

Tony przekrzywił głowę na ramię.

- To prawda.

- Czy park Grassy Point miał dla niej jakieś szczególne znaczenie?

- Nawet bardzo.

- Wiesz, z jakiego powodu?

- Sądzę, że ze względu na rodziców. Widać stamtąd most, na którym jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. To, że

miejszem dla swoich fantazji erotycznych wybrała punkt, z którego widać most, jest bardzo znaczące. Podejrzewam, że podświadomie chciała okazać rodzicom swoją tłumioną wcześniej seksualność.

- Więc jeśli miewała innych partnerów, twoim zdaniem mogłaby ich zabierać właśnie tam?

- Owszem, to dość prawdopodobne.

- Wiesz, z kim jeszcze się spotykała, poza Mitchellem Brandtem?

Tony pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nie.

- W porządku. Porozmawiajmy więc o Ericu - rzekł Stride.

Psychoterapeuta pociągnął łyk kawy i wsunął lewą rękę do kieszeni. Przez zamarznięty port przetoczył się tak gwałtowny poryw wiatru, że obaj odruchowo wcisnęli głowy w ramiona.

- W tym zakresie poruszam się naprawdę po kruchym lodzie - powiedział Tony.

- Tak, wiem, ale nie zamierzam cię wypytywać o informacje objęte tajemnicą lekarską. Eric rozmawiał z tobą o rzeczach niemających żadnego związku z Maggie, prawda?

- Owszem.

- Co chciał wiedzieć?

- Pytał, czy są jakieś szczególne przejawy, na podstawie których można by ocenić, czy dana osoba ma skłonności do agresji na tle seksualnym.

- I co mu powiedziałeś?

- Niewiele. Przede wszystkim to, że trzeba być doświadczonym fachowcem i prowadzić pogłębiony wywiad psychologiczny z daną osobą, żeby podjąć się takiej oceny, a i w tym wypadku jej wyniki byłyby niepewne. Większość ludzi przejawiających agresję na tle seksualnym poświęca niemal całe życie na maskowanie swoich upodobań.

- Nie wspomniał, o kogo konkretnie mu chodzi?

- Nie.

Stride popatrzył na lekko zamglone oczy terapeuty.

- Może miał na myśli ciebie?

- Mnie? - zdziwił się Tony, obrzucając go twardym spojrzeniem.

- Z tego, co mi wiadomo, jesteś jedynym człowiekiem łączącym obie sprawy, Tanjy i Maggie. Może Eric podejrzewał, że to ty je zgwałciłeś.

- Ty także znałeś je obie, poruczniku - odparł Wells spokojnie.

- Mógł też podejrzewać ciebie.

- Mówię poważnie.

- Tak, wiem, że mówisz poważnie, dlatego odpowiem wprost.

Nie zgwałciłem tych kobiet. Jasne? Nie miałem się czego obawiać ze strony Erica.

- Wybacz, Tony, ale musiałem o to zapytać.

Terapeuta przytaknął ruchem głowy.

- Wiem, że musiałeś. Znam reguły tej gry. Gwoli ścisłości, zapytałem Maggie, kiedy dokładnie została zgwałcona, po czym zajrzałem do mojego terminarza z ubiegłego roku. Byłem wtedy na konferencji w Seattle i właśnie tego wieczoru wygłaszałem odczyt. Mogę ci podać wszelkie szczegóły, żebyś mógł sprawdzić, czy nie kłamię.

- A gwałt Tanjy?

- Tę datę również sprawdziłem w moim terminarzu. Tego wieczoru, gdy została napadnięta, prowadziłem spotkanie w ramach terapii grupowej.

- Dzięki. Chyba rozumiesz, że czasami muszę się wcielić w złego gliniarza.

- Tak, rozumiem.

- Ciekaw jestem, czy Eric mówił coś jeszcze. Nie nawiązywał do swojej wizyty w Ordway w czasie ostatniego weekendu?

- W Ordway? - zdziwił się Tony. - Nie. A cóż to ma wspólnego z prowadzonymi dochodzeniami?

- Jeszcze nie wiem. - Stride pokręcił głową. - Strzelam w ciemno, Tony. Postaraj się na chwilę zapomnieć o tym, że Tanjy i Maggie były twoimi pacjentkami. Skup się na gołych faktach dotyczących obu gwałtów i spróbuj na tej podstawie powiedzieć mi coś o ich sprawcy.

Terapeuta podrapał się po brodzie.

- Mam zdecydowanie za mało informacji.

- Tak samo jak ja, ale to ty jesteś specjalistą. Spróbuj mi jakoś pomóc.

- Dobra, ale potraktuj moją opinię bardzo ogólnikowo. Nie chciałbym, żeby źle cię pokierowała. Moim zdaniem, sprawca napaści jest człowiekiem bardzo inteligentnym, który starannie planuje każdy krok. Odznacza się gigantycznym ego, które każe mu sprawować absolutną kontrolę nad ofiarami. Zapewne lubi się też z nimi zabawić jak kot ze schwytaną myszą. Zaczyna od starannego rozpoznania. Kiedy wybierze ofiarę, obserwuje ją, poznaje zwyczaje, stara się dowiedzieć o niej jak najwięcej. Dopiero wtedy przystępuje do działania.

- Myślisz, że dochodziło do innych gwałtów, o których jeszcze nie wiemy?

- Niewykluczone. Sam powinieneś wiedzieć najlepiej, ilu wypadkach gwałtu nie zgłasza się policji. Mam wrażenie, że ten konkretny sprawca specjalnie wybiera ofiary szczególnie wrażliwe w sprawach seksu, co zwiększa prawdopodobieństwo, że nie zgłoszą napaści.

- Co rozumiesz przez: szczególnie wrażliwej w sprawach seksu?

Tony zmarszczył brwi.

- Na przykład takie kobiety jak Tanjy, mające erotyczne fantazje o gwałcie.

- Innymi słowy kobiety mające ściśle chronione tajemnice.

- Zgadza się.  
- Jakim cudem mógłby się dowiadywać o tych tajemnicach?  
- Nie wiem. Gdyby udało ci się to wyjaśnić, zapewne bez większego trudu zidentyfikowałbyś sprawcę.

- Czy on zna swoje przyszłe ofiary? Czy może mieć z nimi jakieś osobiste kontakty?

- Pewnie tak. To nie jest nieodłączny element profilu, lecz z faktu, że tak dużo wie o tych kobietach, wynikałby właśnie taki wniosek. Też stawiałbym na to, że miał jakieś bliższe kontakty ze swoimi ofiarami.

- Czy na pewno musi działać sam?

Wells uniósł wysoko brwi ze zdumienia.

- To dziwne pytanie. Gwałciciele zazwyczaj działają w pojedynkę.

Stride doskonale o tym wiedział, ale nie dawały mu spokoju poszlaki wskazujące na istnienie współnika.

- Należy się obawiać, że znów zaatakuje?

Terapeuta skinął głową.

- Gwałciciele nie mają powodów, żeby rezygnować, dopóki nie znajdą alternatywnych metod rozładowania swojego patologicznego napięcia albo innych sposobów na ukierunkowanie popędu seksualnego. Mam wrażenie, że w tym wypadku jest to mało prawdopodobne.

- Dlaczego?

- Za mało czasu upłynęło między obydwojma wypadkami. Wygląda na to, że sprawca działa bardzo szybko. Powiedziałbym wręcz, że to socjopata, który nie ma wyrzutów sumienia ani poczucia winy, dlatego wcale się nie waha. Wiele osób ze skłonnościami do agresji pragnie z tym zerwać i podejmuje wzmożoną walkę o zapanowanie nad swymi popędami. Udaje im się powstrzymać przez wiele miesięcy czy nawet lat, zanim ponownie ulegną. W tym wypadku jest inaczej. To człowiek, który czerpie olbrzymią satysfakcję ze swojej zabawy.



Prawdę powiedziawszy, orzekłbym, że teraz jest jeszcze groźniejszy niż do tej pory.

- Dlaczego? - zapytał Stride.

- Sam to powiedziałeś, poruczniku. Ten człowiek prawdopodobnie zamordował Tanjy i Erica. Zatem znacznie podwyższył stawkę. Nie chodzi mu już tylko o gwałt, rozsmakował się w zabójstwie. Może dojść do wniosku, że przez zabicie ofiary zyska dodatkowe wrażenia.

## 25.

Przecinając w śródmieściu First Street, Serena minęła obłok pary wydobywającej się z wylotu kanalizacji. Równocześnie zapaliło się żółte światło, przyspieszyła więc kroku, żeby zejść z jezdni, nim zniecierpliwieni kierowcy wracający po pracy do domów ruszą ze skrzyżowania z rykiem silników. Na rogu była pizzeria. Pchnęła szklane drzwi i weszła do środka. Stalowy piec do wypiekania pizzy znajdował się po lewej. Pomachała ręką stojącym za kontuarem mężczyznom w przepoconych T-shirtach i zajęła miejsce przy stoliku za przepierzeniem w głębi sali. Rozpięła kurtkę i poluzowała węzeł szalika pod szyją.

Po chwili wyjęła z futerału laptopa, włączyła go i czekała na połączenie z siecią bezprzewodową. Pozdrowiła ją młoda kelnerka i Serena zamówiła u niej dietetyczną colę. Wszyscy ją tu znali. Oboje ze Stride'em mieli słabość do pizzy i kilka razy w miesiącu odwiedzali ten lokal. Obsługa rozcinała placek na małe kwadraty, na jeden kęs, co jej się bardzo podobało, gdyż mogła się delektować kilkoma smakami.

Uruchomiła Internet Explorer. Sygnał był słaby. Jonny powiedział jej, że Eric na kilka dni przed śmiercią odwiedził Ordway, zaczęła więc przeszukiwać portale informacyjne w poszukiwaniu najnowszych notatek o ewentualnych wypadkach, do których

mogłoby dojść w parku Rice'a, sąsiadującym z teatrem. Interesowały ją głównie wiadomości o napaściach na tle seksualnym. Znalazła artykuły o remoncie ulicy, zimowym karnawale oraz musicalach z Broadwayu, nic jednak nie wskazywało na motyw działania Erica. Jedynym sposobem dotarcia do prawdy była osobista wizyta w Saint Paul, którą zaplanowała na jutro.

Znalazła dużo więcej informacji, gdy wpisała do wyszukiwarki „Nicole Castro”. Sprawozdania z procesu oskarżonej o zabójstwo byłej partnerki Abła przed sześciu laty wzbudzały powszechne zainteresowanie w Duluth. Trafiała też na zdjęcie Nicole, które przedstawiało osobę nieco podobną do niej, trzydziestoletnią, wysoką, atletycznie zbudowaną. Tyle że Castro była czarna. Gęste kręcone włosy tworzyły obfitą fryzurę. Do tego miała jasnorożowe grube wargi, szerokie nozdrza i czarne oczy, w których tliły się skry buntu. Inne zdjęcie, przedstawiające ją na schodach gmachu sądu w otoczeniu umundurowanych policjantów, ukazywało szeroko otwarte usta, jak gdyby krzyczała coś ze złością do dziennikarzy.

Nicole miała dwunastoletniego synka. Serena zamyśliła się na losem chłopca, którego ojciec został zamordowany, a matka odsiadywała dwudziestopięcioletni wyrok w więzieniu za zabójstwo. Do zdjęcia robił dzielną minę nieustraszonego śmiałka, ale po sposobie, w jaki tulił się do matki, widać było, że jest przerażony. Teraz miał już prawie dziewiętnaście lat.

Zadzwonił jej telefon komórkowy. Dzwoniła Maggie.

- Cześć.

- Witaj. - Maggie urwała na chwilę, po czym rzekła: - Stride pewnie już ci mówił, prawda?

- Zgadza się. Bardzo mi przykro.

- Nie mógł zrozumieć, czemu nie zgłosiłam tego na komendzie.

- Mężczyźni nie rozumieją takich spraw.

- Nawet teraz, gdy mu o tym mówiłam, czułam się cholernie zbrukana - przyznała półgłosem Maggie.

Serena świetnie ją rozumiała. Nie chodziło nawet o to, że Maggie musiała komuś powiedzieć prawdę. Pragnęła wygadać się przed Stride'em. Tym bardziej więc czuła się obnażona wobec niego.

- Może przyłączysz się do mnie w pizzerii Sammy'ego? Mogłybyśmy porozmawiać.

Obsługa najwyraźniej wsunęła do pieca pizzę pepperoni, gdyż sałę wypełnił charakterystyczny cierpki aromat papryki. Dopiero to uświadomiło Serenie, że jest głodna.

- Nie chcę teraz z nikim rozmawiać - odparła Maggie. - Zależy mi tylko na tym, żeby ten sukinsyn trafił za kraty.

- Wygląda na to, że wypłynęłaś na wody egipskiej rzeki o nazwie Zaprzeczenie.

Była przekonana, że usłyszy w odpowiedzi jakąś celną ripostę, lecz Maggie odezwała się łagodnie:

- Tak, wiem, lecz dawanie upustu złości i tak jest lepsze od zamykania się w sypialni. Zadzwoiłam, żeby ci powiedzieć, że odkryłam jeszcze więcej brudu związanego z wizytą Erica w Ordway.

- To znaczy?

- Dodzwoniłam się do zastępcy służb ochrony teatru. Otóż powodem, dla którego omal nie wyrzucono Erica z sali, były jego uparte próby skontaktowania się z kobietą, która podobno jest tam bileterką. Nie chciał jednak zdradzić, z jakiego powodu pragnie się z nią zobaczyć, dlatego ochroniarze byli bliscy wyrzucenia go na ulicę. Ostro nakazali mu wrócić na miejsce, jeśli nie chce się znaleźć na komisariacie policji.

- Nie wiesz, jak się nazywa ta kobieta?

- Nie. Eric nie znał jej nazwiska.

- Dobra, jutro to sprawdzę. Na pewno nie masz ochoty na pizzę?

- Nie, dzięki.

Przesz szybko Serena zobaczyła wysokiego mężczyznę w beżowym trenczu kierującego się przez ulicę w stronę pizzerii.

- W porządku. Za chwilę dołączy do mnie twoje przeznaczenie.

- To znaczy?

- Abel Teitscher.

- Po co się z nim spotykasz? Chyba mnie nie kablujesz, prawda?

- Chcę z nim porozmawiać o Nicole Castro.

- Ach, tak. Archie mówił mi, że dzwoniłaś. Według mnie to strata czasu. Nicole opowiada na lewo i prawo, że została wrobiona w morderstwo, ale mieliśmy przeciwko niej niezbite dowody.

- Takie same, jak w twoim wypadku?

- No... tak, dobra. Rozumiem, do czego zmierzasz.

- Skontaktuję się z tobą po powrocie. Zadzwoń do Tony'ego. Spotkaj się z nim.

- Czy ktoś ci już mówił, że jesteś nachalną suką?

- Wszyscy to powtarzają.

Serena przerwała połączenie i wyłączyła laptopa. Abel Teitscher wkroczył do lokalu i zaczął się rozglądać. Pomachała mu ręką. Skinął głową, gdy ją zauważył, ale nawet się nie uśmiechnął. Spotkali się kilka razy na komendzie w gabinecie Jonny'ego i ze względu na kiepskie stosunki, jakie łączyły tych dwóch, zwyczajnie było jej żal Abła. Słyszała o jego burzliwym rozwodzie i wiedziała, że izoluje się od wszystkich, jakby skrywał twarz za maską. Był inteligentny, ale samotny i zgorzkniały. Kiedyś i ona podobnie podchodziła do życia.

Uścisnęli sobie ręce. Miał szeroką dłoń o grubych palcach. Nie zdjął płaszcza, tylko gdy usiadł, wygładził jego poły na kolanach. Odebrała to jak sygnał, że nie zamierza z nią długo rozmawiać.

Najwyraźniej podejrzliwie traktował jej prośbę o spotkanie.

- Nie jesteś głodny? - zapytała. - Możemy coś zamówić.

Pokręcił głową. Serena westchnęła. Teraz z kolei doleciał ją intensywny zapach salami przypiekanego razem z pepperoni i ta smakowita mieszanka omal nie doprowadzała jej do szału.

- Regularnie biegasz, prawda? - zapytała.

Przytaknął ruchem głowy.

- To tak, jak ja. Od razu widać to po tobie.

Siliła się na uprzejmość, chociaż on nadal spoglądał na nią z nieprzeniknioną miną, mówiącą tyle samo co ubity piasek na pustyni w Dolinie Śmierci. Szpakowate włosy miał przystrzyżone na centymetr, nie próbował zakrywać nimi łysinki na czubku głowy. Sprawiał przez to wrażenie postarzałego, ale zarazem sprawnego fizycznie i pełnego energii.

- O czym chciałaś ze mną rozmawiać? - zapytał. - Jeśli o Maggie, to powinnaś wiedzieć, że i tak nie mogę ci nic powiedzieć.

- Nie, nie chodzi o Maggie.

- Tak? - Zrobił zdziwioną minę.

- Miałam nadzieję, że przybliżysz mi nieco sylwetkę Nicole Castro.

- Z jakiego powodu?

- Muszę jutro wyjechać do Saint Paul - wyjaśniła. - A Nicole prosiła, żebym ją odwiedziła.

- I pewnie ci powiedziała, że została wrobiona?

Serena skinęła głową.

- To bzdura.

- Mówisz tak, jakbyś żywił do niej urazę. Przecież była twoją partnerką.

- Właśnie dlatego mam do niej żal. Nie lubię, jak się mnie okłamuje. Poza tym rozpowiada na lewo i prawo, że to ja spreprowałem dowody przeciwko niej, a to brednie.

- Chciałabym znać tylko podstawowe fakty. Jeśli jej tłumaczenia to tylko wykręty, nie ma sprawy, wołałabym jednak być przygotowana na to, co usłyszę.

Abel odchylił się i oparł plecami o drewniane przepierzenie. Pogrzebał wykałaczką między zębami trzonowymi i zaczął:

- Nicole była porządną dziewczyną. Pracowaliśmy razem przez pięć lat. Była dużo młodsza ode mnie, ale jakoś nam się razem układało. Prawdę mówiąc, na początku nie byłem zadowolony z czarnej partnerki. Wiedziałem z doświadczenia, że czarne kobiety z góry zakładają, że nie będą szanowane, dlatego trzeba przy nich specjalnie uważać na to, co się mówi. Tymczasem ja nie jestem mistrzem w trzymaniu języka za zębami. Chyba już miałaś okazję się o tym przekonać.

Serena się uśmiechnęła.

- A Nicole dodatkowo irytowało to, że ma dużo starszego od siebie partnera. Od czasu do czasu wybuchały między nami kłótnie. Pewnie wiesz, że partner w policji jest jak drugi małżonek. Ale w sumie układało nam się nie najgorzej.

- Od czego zaczęły się jej kłopoty?

- Powinnaś jeszcze wiedzieć, że wyszła za prawdziwego sukinsyna. Należał do tych, co myślą, że wszystko im się od życia należy tylko z tego powodu, że są przystojni. Nicole zaprzeczała, ale i tak wiem, że kilka razy ją uderzył.

- I co się stało?

Abel zdjął okulary i zapatrzył się w sufit.

- Zdarzył się wypadek, miała pecha. Pewnego sobotniego wieczoru wracała z Superior mostem Błatnika. Już przy brzegu, po stronie Minnesoty, ujrzała faceta, który zatrzymał wóz na środku prawego pasa i biegał wkoło, opatulony w płaszcz. A był to lipiec. Nicole zatrzymała ruch na moście, wysiadła i zaczęła z nim rozmawiać. Powiedział jej, że jest obwiązany pasem z dynamitem i zamierza wysadzić się w powietrze razem z mostem.

- O cholera...

- Próbowała mu wyperswadować, żeby zrezygnował z tego pomysłu i poddał się, ale jej nie słuchał. Powtarzał w kółko, że zaraz to zrobi, że jest gotów zdetonować bombę. Kiedy w pewnej chwili rozpiął płaszcz i wsunął rękę za pazuchę, Nicole położyła go trupem dwoma strzałami w głowę.

Serena doskonale rozumiała, co Castro musiała przeżywać podczas tych paru sekund na moście. Sama znalazła się w podobnej sytuacji w Las Vegas, kiedy to pewien czubek postanowił zginać z ręki gliniarza i wymierzył z pistoletu do niej i Jonny'ego. I to ona pierwsza pociągnęła za spust.

- Wygląda na to, że była dobrym strzelcem - wtrąciła.

- Owszem, ale zaraz zrobił się szum. Okazało się, że facet był psychicznie chory i nie miał przy sobie żadnego dynamitu.

- Przecież nie mogła ryzykować, zakładając, że nie ma bomby.

- Oboje dobrze o tym wiemy, ale spróbuj to wytłumaczyć ludziom, którzy zebrali się wtedy na moście. To zresztą nie wszystko. Znalazło się kilku świadków, którzy twierdzili, że facet wykrzykiwał obelgi na Nicole. No i niektórzy politycy doszli do wniosku, że go zabiła za jawne okazywanie rasistowskich poglądów.

- Rewelacja.

- Wszczęto dochodzenie. Nicole poszła na przymusowy urlop. Minęło aż pół roku, nim została oczyszczona z zarzutów i mogła wrócić do służby. Wyobrażasz to sobie? Pół roku! Całkiem się rozsypała psychicznie, gdy siedziała w domu i obserwowała w telewizji, jak dziennikarze systematycznie kopią pod nią dołki. Przeszła załamanie nerwowe.

- A jak zareagował na to jej mąż?

- Sukinsyn zaczął romansować z kelnerką z nocnego lokalu, osiemnastolatką.

- I w takiej sytuacji Nicole wróciła do służby?

Abel pokiwał głową.

- Twierdziła, że już wszystko w porządku, ale była innym człowiekiem. Terapia niewiele jej pomogła. W dodatku nie specjalnie obciążano ją robotą, bo Stride się bał, że ją przemęczy. Więc dawał jej głównie stare, nierozwiązane sprawy. Okazało się, że miał rację. Było z nią coraz gorzej. Któregoś dnia słyszałem, jak rozmawiała z mężem przez telefon. Aż nie mogłem jej poznać. Reagowała jak furiatka. Na własne uszy słyszałem wtedy, jak zagroziła mu śmiercią. Powiedziała wprost, że go zabije, jak nie zerwie romansu.

- I co?

- Później sam odebrałem telefon. Ktoś zgłosił ohydny fetor wydobywający się z mieszkania na skraju parku Lincoln. Pojechałem pod wskazany adres i zastałem w środku dwa trupy, męża Nicole oraz tej smarkatej kelnerki. Oboje zginęli od kul. Nikt ich nie widział od dwóch dni. Nicole nawet nie zgłosiła zaginięcia męża.

- Strzały padły z jej broni?

- Nie, z rewolweru jej męża, co tylko pogarszało sytuację. Trzymał broń w schowku w swoim samochodzie, który stał zaparkowany przed budynkiem. Nicole zeznała, że w dzień zabójstwa była w domu i przez cały wieczór piła przed lustrem, zatem nikt nie może zapewnić jej alibi. Twierdziła też, że ostatnio jej mąż zniknął na całe dni, toteż nawet za bardzo się nie zdziwiła, gdy nie wrócił do domu. Wiedziała jednak, że spędza czas w towarzystwie innej kobiety. A w rozmowie ze mną przysięgała, powtarzam, przysięgała, że nigdy nie była w mieszkaniu tej dziewczyny. Tyle że znaleźliśmy świadka, który widział kilka razy, jak siedziała w samochodzie zaparkowanym przed domem. Jak gdyby go śledziła. A potem technicy znaleźli dwa jej włosy na podłodze w sypialni, gdzie odkryto ciała. Analiza DNA nie pozostawiała żadnych złudzeń.



Serena gwizdnęła cicho.

- To rzeczywiście niezbity dowód. Jak tłumaczyła to Nicole?

- Powtarzała z uporem, że to nie ona strzelała. Wierzyłem jej, dopóki nie znaleźliśmy tego świadka i nie dostaliśmy wyników analizy znalezionych włosów. Zrozumiałem wtedy, że jak każdy pospolity przestępca po prostu usiłuje się kryć za kłamstwami.

- Pewnie bardzo to przeżyłeś.

- Owszem, bardzo. Przyjmij moją radę, Sereno. Oszczędź sobie tej podróży.

Wzruszyła ramionami.

- I tak muszę wpaść do Saint Paul.

- Twoja decyzja. - Teitscher wstał i wyszedł z za przepierzenia. Wyciągnął z kieszeni płaszcza czarne skórzane rękawiczki i zaczął je powoli wkładać.

- Wiesz co, Abel? Być może ci to nie pasuje, ale Maggie to nie Nicole.

- Potrzebuję czegoś więcej poza przekonaniem, żeby w to uwierzyć.

Odwrócił się i wyszedł z pizzerii. Serena nerwowo zabębniła palcami po stole. Poczula się zniechęcona. Rzeczywiście, wizyta u Nicole Castro wyglądała na stratę czasu, ale już nie mogła jej odwołać, mimo że domyślała się przebiegu. Niechęcią napawała ją myśl, że będzie musiała się zetknąć z byłą policjantką, której zrujnowano życie. W tej profesji wszyscy poruszali się niebezpiecznie blisko krawędzi i jeśli komuś zdarzało się przejść na drugą stronę, można było tylko odwrócić głowę.

Kelnerka zatrzymała się przy jej stoliku. Bluzkę miała zaplamioną keczupem.

- Chce pani zamówić pizzę?

- Tak, oczywiście.

## 26.

Stride dostrzegł światło w głębi salonu „Silk”, wąską smugę złotawego blasku padającą zza uchylonych drzwi od zaplecza sklepu odzieżowego Lauren Erickson. Nacisnął dzwonek umieszczony przy drzwiach, ze środka doleciał stłumiony dźwięk gongu. Rozejrzał się po Superior Street, prawie całkiem już wyludnionej. Dochodziło wpół do ósmej wieczorem i sklepy były pozamykane. Światła ulicznych latarni mętnie połyskiwały na stertach topniejącej szarej śniegowej mazi, usypanych na chodnikach wzdłuż krawężników.

W salonie, w szerszej smudze blasku, pojawiła się drobna sylwetka Lauren w otwartych drzwiach. Właścicielka sklepu przeszła przez tonące w ciemności pomieszczenie i przekręciła klucz w zamku. Poczul się niezręcznie, wkraczając do środka. Miał na sobie przybrudzoną flanelową koszulę, dżinsy i ciężkie traperskie zabłocone buty. Cuchnął jak kominiarz z powodu wizyty w miejscu ugaszonego pożaru niedaleko lotniska, które badał ze względu na podejrzenie o podpalenie. Zdawał sobie sprawę, że w każdym załamku skóry zgromadziła mu się sadza. Lauren, jakby dla kontrastu, była ubrana w prążkowaną wieczorową bluzkę z wąskim dekoltem odsłaniającym złoty łańcuszek na szyi, beżowe spodnie z zaszewkami i szamerowanym paskiem oraz skórzane czółenka. Rozpuszczone jasnoblond włosy opadały kaskadami na ramiona.

- Ściągnij buty - poleciła.

Rozwiązał je szybko i zostawił na gumowej wycieracze pod drzwiami. Idąc w samych skarpetkach po grubej granatowej wykładzinie, miał wrażenie, że stąpa po gęstej i miękkiej trawie.

- Wybacz mój wygląd.

- Lepiej niczego nie dotykaj - rzuciła ostro.

Wprowadziła go do kantorku. Na podłodze stały pootwierane kartonowe pudła do przeprowadzki. Dolne szuflady regałów były powyciągane, w niektórych leżały jeszcze wypchane papierami segregatory. Na biurku stała otwarta butelka pinot noir i kryształowy kieliszek do połowy wypełniony winem.

Lauren podniosła butelkę, bez słowa proponując mu kieliszek, ale pokręcił głową.

- Wiem, że w to nie uwierzysz, ale będę tęskniła za Duluth - powiedziała, siadając w fotelu.

Stride wcisnął się w stare drewniane krzesło z poręczami dostosowane do wymiarów klientek salonu.

- Masz rację. Nie wierzę.

- Za młodu wyprawiałam się z ojcem na polowania i na ryby. Kiedyś położyłam ze sztucera ośmiopunktowego rogacza. Przez lata jego poroże wisiało na ścianie w mojej sypialni.

- Może na to jeszcze nie wyglądasz, ale łatwiej byłoby cię wziąć za urzędniczkę z biura.

Uśmiechnęła się smutno.

- Chcę tylko powiedzieć, że tu jest mój dom.

- W Georgetown też szybko się zadamowisz.

- Nie wątpię. - Zakręciła kieliszkiem z winem. - Kto wie, może uda mi się nawet znaleźć Danowi dobrą posadę po najbliższych wyborach. Na przykład w Departamencie Sprawiedliwości.

- Już dawno słyszałem, że miałby ochotę na stanowisko podsekretarza w tym departamencie.

Lauren tak energicznie odstawiła kieliszek na biurko, że aż nieco wina rozprysło się na blat. Zaraz jednak zaśmiała się, sięgnęła po papierową chusteczkę i starła szkarłatne krople trunku.

- Bardzo śmieszne. Masz niezłe poczucie humoru. Tyle że ani trochę nas nie rozumiesz.

- Ciebie wcale nie tak trudno rozgryźć. Byłabyś gotowa na wszystko dla zdobycia władzy.

- Masz coś przeciwko ambicji?  
- Jeśli ambicją nazywasz niszczenie ludzi, którzy wchodzą ci w drogę, to mam, i to dużo.

- Ludzie zazwyczaj otrzymują tylko to, na co zasługują. Pomyśl o Maggie.

- Ona nie zasługuje na to, co ją spotkało.

- Nie? Przecież nie powiesz mi, że jest aniołem. Wiedziałam o tym już w chwili, gdy zaczęła romansować z Danem.

- To było bardzo dawno temu. Poza tym zdawało mi się, że teraz patrzysz pod zupełnie innym kątem na romanse swojego męża.

- Najczęściej tak, ponieważ Dan świetnie wie, komu wszystko zawdzięcza. Mnie.

- Więc skąd u ciebie ta niechęć do Maggie?

- Bo prosiła Dana, żeby mnie rzucił. Poczułam się urażona.

- Ale to Dan ją wykorzystywał. To ona powinna być urażona.

- Biedactwo. Mam nadzieję, że utuliłeś ją w swoich potężnych ramionach.

Stride nie znosił Lauren właśnie za to, że zawsze doskonale wiedziała, w jaki czuły punkt uderzyć.

- Wiesz chyba, że w Waszyngtonie spotkasz znacznie większe rekiny od siebie. Nie jestem pewien, czy po jakimś czasie nie zamarzysz o powrocie do tego dobrze ci znanego bajorka.

- Podejmę ryzyko. Właściwie, po co przyszedłeś, Jonathanie? Mam mnóstwo roboty.

- Chciałem porozmawiać o Tanjy.

- Znowu?

- Potrzebne mi pewne informacje.

- Słyszałam, że tę sprawę też prowadzi Abel, a nie ty.

- Zgadza się, nie prowadzę sprawy zabójstwa Tanjy.

- A zatem?

- Chodzi o gwałt na niej.

- Jaki znowu gwałt? - zdziwiła się. - Przecież sam mówiłeś, że wszystko zmyśliła.

- Teraz jednak dochodzę do wniosku, że naprawdę została zgwałcona.

- Z jakiego powodu?

- Ponieważ ujawniła się druga ofiara - odparł. Lauren wyprostowała się nagle.

- Jesteś pewien?

Przytaknął ruchem głowy.

- Kto?

- Tego nie mogę powiedzieć, sądzę jednak, że Tanjy zginęła z rąk tego mężczyzny, który ją zgwałcił. I który zabił Erica.

Odchyliła się z powrotem na oparcie fotela.

- To okropne. Strasznie mi przykro.

- Nie wiesz, z kim Tanjy się spotykała po zerwaniu z Mitchem Brandtem? - zapytał. - Chciałbym porozmawiać z kimś, kto był z nią blisko w tamtym okresie.

Pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Nie byliśmy specjalnie zaprzyjaźnione.

- Nigdy nie wspominała przy tobie, że czuje się śledzona bądź obserwowana?

- Nie. Powinieneś raczej porozmawiać z Sonnie. Widywały się codziennie.

- Tanjy zeznała, że została napadnięta w drodze ze sklepu do samochodu stojącego na parkingu. Nie przypominasz sobie, czy w tamtym okresie widziałaś w sklepie albo w jego pobliżu jakiegoś podejrzanego mężczyznę? Może na parkingu?...

- W sklepie? Nie. To fakt, że tutaj, w centrum, widuje się różnych włóczęgów. Ale nie przypominam sobie nikogo, to by się rzucał w oczy.

- Wiedziałaś o tym, że Tanjy była zafascynowana gwałtem? Nigdy o tym nie mówiła przy tobie?

- Żartujesz? W żadnym wypadku.  
- A co z mężczyznami wchodzącymi do sklepu? Nie zwróciłaś uwagi, żeby którykolwiek z nich szczególnie przyglądał się Tanji?

Lauren wzruszyła ramionami.

- Wszyscy się na nią gapili.  
- Ale nikt nie wpadł ci w oko?

- Na pewno nikt, kto byłby tak nią zauroczony, żeby wydało mi się to dziwne.

- W porządku - mruknął Stride, usłyszawszy dokładnie takie odpowiedzi, jakich się spodziewał.

- Masz jakieś przypuszczenia, kim mógłby być ten gwałcieciel?  
- zaciekała się Lauren.

- Jeszcze nie.  
- Są tylko dwie ofiary?  
- Nie wiem.

Lauren zmarszczyła brwi i przygryzła dolną wargę. Widać było po jej minie, że chciałaby jeszcze coś dodać.

- O co chodzi? - zapytał Stride.

Zawahała się.

- O nic.

- Daj spokój, Lauren. Zapomnijmy o tym, co było między nami. To zupełnie inna sytuacja.

- Ale to pewnie nie ma znaczenia. Wydaje mi się tylko, że wiem, kim jest ta druga ofiara.

- Czyżby? - zapytał z niepokojem, obawiając się, że zaraz usłyszy nazwisko Maggie.

- Była tu kilka tygodni temu, rozmawiała z Sonnie. Wyglądała tak, jakby ktoś ją pobił.

Tym razem to on zmarszczył brwi.

- O kim mówisz?

- O tej pulchnej dziewczynie, która prowadzi nieopodal kawiarnię Java Jelly. Nazywa się Katrina Kuli.

## 27.

Serena zajęła przed więzienie stanowe Minnesoty w Shakopee wczesnym popołudniem. Był to jedyny zakład zamknięty w tym stanie mający blok dla dorosłych kobiet. Odsiadywało w nim kary około pięciuset skazanych za rozmaite przestępstwa, od oszustw po zabójstwa. Pora odwiedzin zaczynała się dopiero o wpół do czwartej, ale Stride w rozmowie ze znajomym strażnikiem załatwił jej możliwość spotkania na osobności z Nicole Castro o wcześniejszej godzinie. Mimo to i tak musiała przejść przez bramkę wykrywacza metali oraz poddać się kontroli osobistej w wykonaniu strażniczki, nim ostatecznie wpuszczono ją do sali odwiedzin.

Ilekróć odwiedzała w przeszłości analogiczne miejsca, takie sale były zwykle zatłoczone. Matki rozmawiały z synami, żony z mężami. Na wielu twarzach pojawiały się łzy, gdy w odwiedzinach uczestniczyły nieletnie dzieci wychowujące się bez udziału jednego z rodziców. Dzisiaj jednak sala była pusta, popatrzyła więc na nią przychylniejszym okiem, gdyż nie wyczuwało się tu bólu rozłąki i poczucia winy, które unosiły się w powietrzu niczym smugi dymu papierosowego nad stolikiem do pokera. Pomieszczenie było typowe dla wszystkich urzędów - ściany pomalowane na biało, pod sufitem jarzeniówki. Na powycieranej beżowej syntetycznej wykładzinie stały naprzeciwko siebie dwa rzędy szarych plastikowych fotelików. Więźniowie siadali w jednym, ich goście w drugim. Za grubą taflą pleksiglasu ciągnęły się stanowiska bezkontaktowe, na których więźniowie nie dopuszczeni do styczności z bliskimi mogli rozmawiać przez telefony, oddzieleni od nich oknami z pancernego szkła.

Już od wejścia zwróciła uwagę na półkolistą kopułkę pod sufitem, w której znajdowały się kamery wideo. Było to typowe „oko

na niebie”, jak w kasynach Las Vegas. Wszystko musiało być pod kontrolą, zarejestrowane i udokumentowane. Tu w ogóle nie istniało pojęcie prywatności.

Strażnik wskazał jej konkretne numerowane krzeselko, na którym musiała zaczekać. Uważała, że to przesada, gdyż oprócz niej nikogo w sali nie było, uznała jednak, że zarząd więzienia musi ściśle przestrzegać przepisów. A tutaj przepisy regulowały niemal wszystko, włącznie ze sposobem obcinania paznokci. Tak jak mury i kraty ograniczały więźniom swobodę, tak przepisy ograniczały dostęp anarchii i chaosu.

Upłynęło aż dziesięć minut, zanim inny strażnik wprowadził do sali Nicole. Ucisnęły sobie dłonie i Castro zajęła miejsce naprzeciwko. Miała na sobie kombinezon khaki oraz tenisówki. Nerwowo poruszyła się na krześle i potarła lewym kciukiem palce prawej dłoni, chyba z nawyku. Równocześnie zabębniła piętami o podłogę i obrzuciła Serenę ostrym przenikliwym spojrzeniem detektywa z wydziału dochodzeniowego.

- Kurde - mruknęła. - Niezła jesteś. Aż się dziwię, że nie poddali cię szczegółowemu badaniu naturalnych otworów ciała.

Przyjęła to bez uśmiechu.

- Co jest? - zapytała pośpiesznie Nicole. - Skazali mnie za morderstwo. Nie mogę mieć poczucia humoru?

- Sądziłam, że będziesz próbowała uzasadniać, że nie jesteś morderczynią.

- To wyłącznie kwestia retoryki. Więc jesteś teraz ze Stride'em?

- Tak.

- A to pies na baby. Ledwie umarła mu żona, a już się wyprawił na poszukiwanie kolejnej ślicznotki, i to aż do Vegas.

- Chrzań się - syknęła Serena i wstała, żeby wyjść.

Nicole także poderwała się z krzesła i zrobiła skruszoną minę.

- Zaraz, spokojnie. Przepraszam, dobra? Nie odchodź.



Usiadła z powrotem. Ledwie potrafiła rozpoznać Nicole na podstawie zdjęć, jakie znalazła w sieci. Pobyt w więzieniu bardzo ją postarzał. Gęste kręcone włosy były krótko obcięte i wyraźnie siwiejące. Wyraźnie schudła. Serena musiała sobie powtórzyć w myślach, że ledwie przekroczyła czterdziestkę, bo z wyglądu można było ją uznać za dużo starszą.

Nicole złowiła jej badawcze spojrzenie i mruknęła:

- No cóż, to nie jest kurort.

- Wiem.

- Mówiłam szczerze. Cieszę się, że jesteś ze Stride'em. Było mu bardzo ciężko po śmierci Cindy. Stanowili niemal wzorową parę.

- Tak, wiem. - Wolała nie dodawać, że ta świadomość czasami sprawia, że staje się zazdrosna.

- Pewnego razu zrobiłam mu niezłe przedstawienie. Mówił ci o tym? Byłam prosto po szkole policyjnej. Zgasił mnie jak kopącą świecę.

- Był żonaty.

- A jakże, a nie był tak samo żonaty, kiedy poznał ciebie? Bez żartów - rzuciła pospiesznie. - To nie znaczy, że oceniam twoje zachowanie. Ludzie w życiu postępują tak, jak postępują, co mnie do tego? Nigdy nie miałam szczęścia do mężczyzn. Mogę ci tylko zazdrościć.

- Nie mamy aż tyle czasu, Nicole. Więc może spróbuj powiedzieć mi wprost to, co masz do powiedzenia?

Wzruszyła ramionami.

- Łatwo mówić, jak się jest gliną. Bo wszystko można przedstawić jak sprawę służbową. Pozwól jednak, że cię zapytam: wpadłaś w gówna w Las Vegas tylko z powodu swojego wyglądu? Twoi przełożeni doszli do wniosku, że nie dasz rady wykonywać obowiązków służbowych, ponieważ wyglądasz jak dziewczynka z nocnego lokalu?

- Jasne.

- W takim razie spróbuj się wcielić w rolę czarnej dziewczyny detektywa działającej w białym Duluth. Tak ja się czułam.

- Ale nie wylądowałaś w więzieniu z tego powodu, że jesteś czarna - odparła szybko Serena.

- Nie? Zgarnij trochę tego makijażu z twarzy, przeżyj z rok w takich warunkach, w jakich ja żyłam, to pogadamy. Prawda jest taka, że od początku byłam traktowana inaczej. Wszyscy tylko czekali, aż mi się noga powinie. A kiedy wreszcie się powinęła, skoczyli na mnie jak kozy na pochyłe drzewo. Gdybym była biała, nie zastanawiałabyś się przynajmniej, dlaczego tak usilnie starali się dowieść mojej winy. Niestety, jestem czarna. A więc z założenia winna.

- Dobrze znam Jonny'ego. On myśli inaczej.

- Fakt, porucznik bardzo się starał, ale rasizm w miasteczkach pokroju Duluth łyka się z wodą pitną. To coś tak naturalnego, dziewczyno, jak powietrze, którym się oddycha. Wszyscy z tego korzystają, nim zdążysz się obejrzeć, że oddychasz tym samym powietrzem. Stride bardzo się starał, bez przerwy dopingował mnie do rzeczy, które biali gliniarze robili sami z siebie.

- To znaczy?

- Czasami spóźniałam się na służbę. Mój chłopak chorował. Biali sądzili, że to zwyczajna wymówka czarnej. Dla mnie to oni byli typowymi białymi leniuchami.

- Ale to nie wyjaśnia, jak twoje włosy znalazły się w sypialni, w której znaleziono zwłoki twojego zastrzelonego męża i jego kochanki.

- Chcę tylko powiedzieć, że powinnaś zrozumieć zaistniałą sytuację.

Serena pochyliła się nad stolikiem. Plastikowe krzeselko było niewygodne.

- Posłuchaj, czytałam reportaże w gazetach. Rozmawiałam też z Ablem. I z Jonnym. Jak rozumiem, przeszłaś trwające pół roku

piekło. Celnie strzelałaś na moście, ale zaraz po tym wszyscy wleźli ci na głowę. Codziennie wypytywano cię o tamten dzień, kiedy pociągnęłaś za spust. Możesz mi wierzyć, że doskonale rozumiem twoją sytuację. Sama przez to przechodziłam. A potem twój mąż nawiązał romans z tą małąletnią suką, ty zaś wylądowałaś na przymusowym urlopie, przepelniona poczuciem winy i wstydem, usiłując dalej wychowywać syna, chociaż pozornie cały świat sprzymierzył się przeciwko tobie. Czy dobrze rozumiem twoją sytuację?

Nicole nie odpowiedziała. Przygryzła tylko dolną wargę, a po chwili otarła oczy wierzchem dłoni.

- Tak, w porządku. Rzeczywiście tak było.

- Zatem czułaś się zagrożona.

- Owszem, chociaż z tym dawałam sobie radę. Miałam fachową pomoc. Bardzo się cieszyłam, że mogę wrócić do służby. Stride odesłał mnie do pracy z umorzonymi sprawami, ale chyba rzeczywiście nie byłam jeszcze gotowa, żeby wrócić na patrole. Tyle że mało mnie to obeszło. Jego zdaniem, nie byłam gotowa do służby patrolowej. Ale mnie się to nawet podobało. Cały czas, przez dziesięć godzin dziennie, miałam dostęp nie tylko do sieci, ale także do poczty elektronicznej, Dlatego udało mi się dokonać przełomu w kilku sprawach, które od wielu lat uważano za zamknięte. Dzięki temu odzyskałam pewność siebie. Wiedziałaś o tym?

- A co z twoim mężem?

- To był zwykły kutas. Trudno go nazwać inaczej. Chciałam go rzucić w cholere.

- Dlatego obserwowałaś go w trakcie spotkań z tą smarkułą?

- No, tak, zrobiłam to kilka razy. Wylegiwałam się w tym bajorze z rozkoszą. Wiesz, jak to jest? Najpierw człowiekowi żal samego siebie, ale szybko się od tego uwalnia. Nie chciałam przeżywać tego samego po raz kolejny, zwłaszcza tamtego wieczoru. To nie ja go zabiłam.

- Więc kto?
  - Nie wiem, do diabła. Ta gówniara ćpała. Pewnie także handlowała prochami. Ale śledczy nawet nie sprawdzili tego tropu.
  - Twierdziłaś, że nigdy nie byłaś w jej mieszkaniu.
  - Bo nie byłam.
  - Więc skąd się tam wzięły twoje włosy? Nicole wymierzyła w nią palec wskazujący.
  - Bo zostały podrzucone, ot co.
  - Jak sądzisz, kto mógł to zrobić?
  - Dokładnie wiem kto. Pieprzony Abel Teitscher, nikt inny. To on mnie wrobił.
  - Dlaczego miałby cię wrabiać?
  - Bo nigdy mu nie pasowałam jako partnerka, poza tym, był przekonany o mojej winie i tylko w ten sposób mógł pozytywnie zakończyć dochodzenie. Wiesz równie dobrze jak ja, że gliniarze nie są święci. Nigdy nie pomogłaś w doprowadzeniu sprawy do końca, kiedy byłaś pewna, że masz w garści sprawcę, tylko brakuje ci przekonujących dowodów?
  - Nie.
  - No cóż, to rzeczywiście godne i szlachetne, ale w prawdziwym świecie takie rzeczy się zdarzają.
- Serena westchnęła.
- Tylko co to wszystko ma wspólnego z Maggie?
  - Żartujesz? Dwie policjantki z tego samego biura dochodzeniowego oskarżone o zabójstwo swoich mężów? To ci nie cuchnie na odległość zdechłą rybą?
  - Od twojej rozprawy minęło sześć lat. To szmat czasu.
  - Możesz mi jednak wierzyć, że musi istnieć jakieś powiązanie. Tę sprawę także prowadzi Abel, no nie? Wtedy wziął mnie na tapetę, teraz wybrał sobie Maggie.
  - To jednak niepodobne do Abła - odparła Serena. - Fakt, że

jest mało sympatyczny, lecz nie wierzę, że mógłby prokurować dowody.

- Cóż, w jego samochodzie na pewno zostawiłam mnóstwo włosów, ale mogły się stamtąd dostać do mieszkania tej kelnerki tylko z czyjąś pomocą.

- Nie chcesz chyba zasugerować, że to Abel zabił najpierw twojego męża i jego kochankę, a teraz męża Maggie, prawda?

Nicole wzruszyła ramionami.

- Powtarzam, że wszystko jest możliwe. Może jest po prostu przeciwny służbie kobiet w policji?

- Daj spokój, Nicole.

- No, nie wiem. W każdym razie, gdy byłam detektywem, nie wierzyłam w zbiegi okoliczności. A ten aż kłuje w oczy. Dwie policjantki zabijają swoich mężów.

Serena wstała.

- Jeśli odkryję coś, co łączy te dwie sprawy, zadzwonię.

- Tak, pewnie.

Wyciągnęła rękę na pożegnanie i Nicole uściśniła jej dłoń z posępną miną.

- To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić - dodała Serena.

Tamta skrzyżowała ręce na piersiach.

- Wiesz o tym, że mój chłopak idzie już do college'u? Do nowego, bo to niedaleko domu jego babki w Tennessee. Przy odrobinie szczęścia zobaczę go kilka razy w roku. Ma już osiemnaście lat, prawie dziewiętnaście. Umknęło mi ostatnich sześć lat jego dorastania.

- Przykro mi.

- Ja tego nie zrobiłam. I on o tym wie.

- W porządku.

- Pozdrów ode mnie Stride'a.

Serena skinęła głową. Nicole odwróciła się i powlokła w kierunku drzwi prowadzących w głąb bloku. Szła z nisko spuszczoną

głową. Serena odprowadziła ją wzrokiem, po czym wyszła z więzienia, uradowana, że może się wreszcie uwolnić od dokuczliwego smrodu środków odkażających i przytłaczającej świadomości zamknięcia w grubych murach. Kiedy wsiadła do samochodu, uświadomiła sobie, że wszyscy mieli rację. Spotkanie z Nicole było zwykłą stratą czasu.

Miała nadzieję, że w Ordway pójdzie jej lepiej.

W ciągu minionego roku kilka razy była w Saint Paul. Od „Bliźniaczych Miast” dzieliło Duluth tylko dwie i pół godziny drogi autostradą 1-35, a wiele wykonywanych przez nią zleceń wiązało się z koniecznością wypraw do stolicy stanu. Minneapolis, większa z sąsiadujących ze sobą metropolii, pełna strzelistych drapaczy chmur ze szkła i stali oraz modnych restauracji, była siedzibą młodych i agresywnych ludzi biznesu i finansjery. W Saint Paul, mniejszym i cichszym, życie toczyło się wolniej, a garstka wieżowców w centrum w innych miastach wyglądałaby śmiesznie karłowato. W śródmiejskiej zabudowie dominowały kamienne gmachy z przełomu wieków. W większości zajmowała je rozbudowana administracja stanowa, a życie miasta zdawało się koncentrować wokół dwóch zwieńczonych kopułami budowli na wzgórzu, czyli Katedry oraz Kapitolu. Z „Bliźniaczych Miast” Serena zdecydowanie wołała Saint Paul.

Znalazła wolne płatne miejsce do parkowania w zatoczce na brzegu parku Rice'a. Właściwie nie był to park, tylko duży skwer zajmujący jeden kwartał, z umieszczoną centralnie fontanną otoczoną raczej przypadkową zbieraniną pomników, od Francisca Scotta Fitzgeralda do postaci z komiksu *Peanuts*. Saint Paul nie zapomniało o swoich najślawniejszych synach, zarówno wybitnych pisarzach, jak też rysownikach. Ordway Center znajdowało się zaledwie parę kroków dalej, otaczały je równie ciężkie i masywne budowle - gigantyczna biblioteka centralna, Landmark

Center z charakterystyczną wieżą zegarową i zielonymi lukarnami oraz sędziwy hotel Saint Paul.

Było późne popołudnie, zmierzchało, zapalały się uliczne latarnie. Jaskrawe białe odblaski między drzewami parku znały miejsca, gdzie stały fantazyjne lodowe rzeźby oczekujące na jutrzejszy doroczny karnawał zimowy. Serena szybkim krokiem przeszła do Ordway, które szykowało się do wieczornego przedstawienia *Producentów*. Drzwi otworzył jej portier w cylindrze i pelerynie. Do rozpoczęcia spektaklu było jeszcze sporo czasu, w lobby sprzątaczkę ścierały na mokro posadzkę, personel rozkładał na stolikach przeznaczone do sprzedaży plakaty i T-shirty, szykowało się na powitanie tłumu miłośników musicali.

Odszukała zastępcę służby ochrony. Był po pięćdziesiątce, niski i otyły, w białej koszuli bez krawata. Od razu przypominał sobie wczorajszą rozmowę telefoniczną z Maggie.

- Mam nadzieję, że o tej porze uda mi się spokojnie porozmawiać z bileterkami - powiedziała Serena.

- Proszę bardzo - rzekł uprzejmie. - Ale nie dłużej niż pół godziny. Jak tylko zaczną się zjeżdżać publiczność, wszyscy będziemy mieli ręce pełne roboty.

- Nie wie pan, kto pracował tydzień temu, w sobotę?

Ochroniarz wskazał jej dwudziestolatka siedzącego przy zagrodzonym aksamitnym sznurem przejściu do pomieszczeń orkiestry.

- Proszę zacząć od Dave'a.

Podziękowała serdecznie. Dave okazał się rozmownym chłopakiem ze wsi robiącym specjalizację z geologii na Uniwersytecie Stanowym Minnesoty i pracującym w teatrze jedynie po to, żeby oglądać wszystkie przedstawienia za darmo. Miał na sobie obcisły czarny smoking z szerokim pasem w tureckie wzory, a pod szyją muszkę, zgniecioną i zawiązaną tak ciasno, że przypominała leżącą stłuczoną klepsydrę, z której wysypał się cały piasek. Serena

nie mogła się powstrzymać, żeby go nie pochwalić za ten ubiór.

- Dzięki - odparł. Wyglądał na uszczęśliwionego tym, że znalazł się w niewidocznym kręgu wypełnionym zapachem kobiecych perfum. - Nie znoszę się wciskać w ten mały kostium, ale kierownik nalega.

- Nie żartuj, powinieneś wiedzieć, że kobiety nie potrafią się oprzeć przystojnemu mężczyźnie we fraku - powiedziała z uśmiechem.

Zaczerwienił się lekko.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

Kiedy zapytała go, czy pamięta Erica, który był tu przed tygodniem, energicznie pokiwał głową.

- Tego czubka? Jasne. Wyglądał jak kapitan załogi wikingów, który dopiero co zszedł ze statku. Albo jak postać z sagi wyłaniająca się z głębin fiordu.

- Rozmawiałeś z nim?

- Pewnie. Zasypywał mnie pytaniami przez dobre dziesięć minut. Czulem się trochę niezręcznie, bo przez niego zaniedbywałem obowiązki.

- Przykro mi, że dzisiaj spotyka cię to samo z mojej strony.

- Och, pani to zupełnie co innego.

- O co Eric się dopytywał?

Dave miał długie ciemnoblonde włosy, które teraz pospiesznie zgarnął do tyłu i wetknął za uszy.

- Mówił o jakimś blogu, który znalazł w sieci. Chciał zidentyfikować autorkę umieszczającą tam swoje wpisy.

- O blogu?

- Tak. Zdaje się, że znalazł go na stronie MySpace. Tam jest mnóstwo takich „Dam w czerwieni”, „Czarnych dam” albo „Dam do towarzystwa”. Ten jego blog też miał w tytule coś z damą.



- Nie wiesz, kto umieszczał swoje wpisy w tym blogu?  
- Nie. Ten wiking mówił, że to kobieta, prawdopodobnie pod czterdziestkę, ale wśród personelu teatru jest wiele takich kobiet. Zaczął je więc zaczepiać jedną po drugiej.

- Nie powiedział, z jakiego powodu chce ją zidentyfikować?

- Nie. W każdym razie stał się namolny, wśród bileterek zrobił się popłoch. No, wie pani, rozeszła się plotka, że to może być jakiś zboczeniec. W końcu sprawa trafiła do ochrony, która poprosiła go, żeby się uspokoił, albo zostanie wyproszony na ulicę.

- Poskutkowało?

Dave pokręcił głową.

- Nie bardzo. Widziałem, jak w czasie przerwy dalej zaczepiał bileterki. Prawdę mówiąc, większość traktowała go na luzie. W końcu nie był niegrzeczny, a dobrze ubrany, przystojny. Rozumie pani? W zasadzie tylko jedna zrobiła raban, jakby się naprawdę wystraszyła.

- Kto taki?

- Nie znam jej dobrze. Ma na imię Helen.

- Pracuje dzisiaj?

- Nie widziałem jej od kilku dni. Będzie pani musiała porozmawiać z kierownikiem, który ustala nasze zmiany. Chociaż w gruncie rzeczy nie mogła się aż tak bardzo przestraszyć, bo gdy wychodziłem z teatru po przedstawieniu, widziałem, jak rozmawiała z tym wikingiem na skraju parku po drugiej stronie ulicy.

- Widziałeś Helen i Erica razem?

Dave skinął głową.

- Miły z ciebie chłopak - powiedziała na pożegnanie.

Znów się zaczerwienił.

Serena po raz drugi podeszła do zastępcy szefa ochrony stojącego przy głównym wejściu. Zapytała go od Helen i dowiedziała się, że kobieta ma na nazwisko Danning, jest samotna, cicha

i spokojna, pod czterdziestkę.

- Kiedy będzie miała najbliższy dyżur?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Już nie będzie miała.

- Dlaczego?

- Zrezygnowała z pracy. Zadzwoiła w czwartek i powiedziała, że wyprowadza się z miasta. Nie podała ani przyczyny, ani nic.

- Nie wspomiała, dokąd się przenosi?

- Kierownik kadr nie wie nawet, dokąd jej wysłać czek z ostatnią pensją.

Serena zmarszczyła brwi.

- Nie wie pan, gdzie dotąd mieszkała?

- Zdaje się, że wynajmowała mieszkanie gdzieś w Lowertown, w pobliżu giełdy owocowo-warzywnej. Mówiła mi kiedyś, że z wielką przyjemnością w sobotnie ranki przechodzi przez ulicę, żeby kupić świeżo zerwane z krzaka pomidory.

- I jest pan pewien, że właśnie w czwartek zadzwoniła z wiadomością o nagłym wyjeździe? - zapytała Serena, chcąc się upewnić.

- Tak, pamiętam dobrze. Kierownik musiał na gwałt szukać kogoś na jej miejsce przed weekendowymi przedstawieniami.

Jeszcze raz podziękowała mu serdecznie. Wychodząc na ulicę, spojrzała na zegarek. Robiło się późno, a bardzo chciała przed nocą wrócić do Duluth. Mimo to postanowiła jednak zajrzeć do Lowertown. Wiele do myślenia dawał rysujący się wyraźnie ciąg zdarzeń. W sobotę po przedstawieniu widziano, jak Eric rozmawiał na skraju parku z Helen Danning.

W środę został zamordowany.

A w czwartek Helen w popłochu uciekła z miasta.

## 28.

Gdy tylko Katrina Kuli otworzyła drzwi, Stride natychmiast przypomniał sobie, że to właśnie ona podczas ich rozmowy w kawiarni Java Jelly miała ukryte pod grubym makijażem rozcięcia skóry i tylko wzruszyła ramionami, gdy ją zapytał o powód wielkiego siniaka na szyi. Żałował, że wcześniej nie skojarzył tych faktów. Teraz z dumnie zadartą brodą otworzyła szerzej drzwi, wpuszczając go do mieszkania.

- Cieszę się, że mnie pani wezwała - rzekł.

Katrina zamknęła drzwi i przekręciła zasuwkę.

- Nie zamierzam składać meldunku. Nie chcę, by ktokolwiek inny się o tym dowiedział.

Wskazała mu żółty futon stojący pod oknem, a gdy usiadł, sprawdziła jeszcze, czy zasłonki w oknach są szczelnie zaciągnięte, po czym ostrożnie zajęła miejsce w foteliku naprzeciwko. Zauważył, że po jej twarzy przemknął grymas bólu, gdy siadała.

- Nadal panią boli?

Wzruszyła ramionami.

- Mam kilka pękniętych żeber. Teraz lekarze nic z tym nie robią, każą tylko zagryzać zęby i cierpliwie czekać.

- A inne obrażeniami?

- Siniaki, stłuczenia, rozcięcia... Wyjdę z tego.

- Chcę się tylko upewnić, że jest pani pod właściwą opieką.

- Jestem.

- Myślała już pani o rozmowie z psychologiem?

- Tak. Zebrałam nawet kilka nazwisk. Ale jeszcze nie dzwoniłam. Doszłam do wniosku, że nie ma co reagować histerycznie. Prawdę mówiąc, nie odczuwam nawet wzburzenia. To jakiś dziwny stan.

- Czasami tak się zdarza. Rozmawiałem z wieloma kobietami,

które przechodziły przez to samo. Niektóre odbierały to bardzo emocjonalnie, inne przyjmowały obojętnie. To całkiem normalne. Najważniejsze, żeby nie zмагаć się we własnym zakresie. Niech pani zadzwoni do któregoś z tych specjalistów, dobrze?

- W porządku, zadzwonię.

Katrina miała na sobie luźną flanelową koszulę i szare spodnie dresowe. Na okrągłej twarzy nie malowały się żadne emocje, włosy w nieładzie opadały falami na czoło. Co kilka sekund odruchowo przeciągała delikatnie palcem po rozcięciu na szyi, jakby wierzyła, że blizna zniknie pod tym dotknięciem. Dłonie jej się wyraźnie trzęsły, dygotał nawet tatuaż w kształcie drutu kolczastego.

- Kiedy to się stało? - zapytał Stride.

- W ubiegłym miesiącu.

- Tutaj?

Skinęła głową.

- Jak on się tu dostał?

- Wszedł na górę schodami ewakuacyjnymi.

- Chciałbym, żeby technicy z dochodzeniówki przeszukali pani mieszkanie w poszukiwaniu jego śladów.

- Nie znajdą próbek do analizy DNA. Dokładnie posprzątałam.

- Mógł się zachować jakiś włos, odcisk palca, cokolwiek.

- Był w rękawiczkach, a na głowie miał kominiarkę. Proszę mi wierzyć, że nie zostawił żadnych dowodów. Chciałabym jak najszybciej wrócić do normalnego życia.

- Ma pani pojęcie, kto to mógł być?

- Nie. I nawet nie chcę tego wiedzieć.

Stride pochylił się i oparł łokcie na kolanach.

- Dlaczego nie chce pani złożyć oficjalnego meldunku?

- Żartuje pan? Skoro gwałt na takiej tyczce grochowej jak Tanjy na okrągło wraca w prasie i telewizji, to proszę sobie wyobrazić, jak dziennikarze potraktowaliby mnie. Już słyszę te pieprzne dowcipy krążące z ust do ust. „Słyszałeś, że nie jest nawet

pewne, czy uda się go oskarżyć o gwałt? Bo przecież seks z trzodą chlewną chyba nie jest przestępstwem”.

- Nie wierzę, żeby ktoś tak mówił.

- A ja jestem tego pewna.

- Powiedziała pani komukolwiek o tym, co się stało?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Mówiłam Soni z salonu odzieżowego.

- A nie Maggie?

- Nigdy w życiu.

- Dlaczego? Sama pani mówiła, że się przyjaźniłyście.

- Ale od pewnego czasu nie rozmawiałyśmy - odparła Katrina.

- Poza tym to policjantka.

Stride przypomniał sobie, co mówił Tony Wells. Napastnik celowo wybierał kobiety szczególnie wrażliwe w sprawach seksu.

- Jest coś jeszcze, prawda? - zapytał.

- Co pan ma na myśli?

- To, że ten facet nie dobiera sobie ofiar przypadkowo. Wybiera te kobiety, które mają coś do ukrycia.

- To są jeszcze inne ofiary?

- Owszem. I wszystkie dobrze pamiętają sprawę Tanjy, podobnie jak pani. Żadna nie złożyła meldunku, zachowały sprawę w tajemnicy.

Katrina wstała z fotelika. Podeszła do okna, wyjrzała przez szczelinę między zasłonami, po czym skrzyżowała ręce na pierśsiach i zapatrzyła się na Stride'a.

- Jeśli powiem to panu, cały świat się dowie.

- Niekoniecznie, ale nie chciałbym niczego obiecywać.

Lekko wydeła wargi.

- To, co robię w życiu osobistym, to tylko i wyłącznie moja prywatna sprawa.

- Rozumiem.

- Ma pan rację - odezwała się po dłuższej chwili. - Nie składam meldunku o napaści i gwałcie ze względu na pewne rzeczy, które musiałyby wyjść na światło dzienne. A to rzeczy wstydlive.

Stride czekał na dalszy ciąg.

- Byłam dziewczynką alfa - rzuciła Katrina.

- To znaczy?

Zawahała się i przysiadła ostrożnie w drugim końcu futonu.

- Nie jestem jeszcze pewna, czy powinnam o tym mówić. Skoro pan nie wie, co to oznacza, to na pewno nie słyszał pan też o klubie. Mogłabym narazić na kłopoty wiele osób.

- Katrino, została pani zgwałcona.

- Wiem o tym.

- Więc proszę mi wszystko powiedzieć. Jeśli to coś niezgodnego z prawem...

Pokręciła głową.

- Nie jest niezgodne z prawem. Przynajmniej tak mi się zdaje. Pewnie jest niemoralne. Należałam do potajemnego klubu erotycznego. Byłam dziewczynką alfa danego wieczoru.

Stride powędrował myślami do swego pobytu w Las Vegas, które w znacznym stopniu żyło z seksu. Reklamy dotyczące podstawowych usług w tym zakresie były rozklejane na taksówkach i słupach ogłoszeniowych. Niemniej Las Vegas tylko tym się różniło od innych miast, że nie skrywało swojej chuci. Nie wynalazło grzechu, a jedynie go importowało. Wszyscy klienci wraz ze swym popędem przybywali na pustynię z innych rejonów. Także z takich miast jak Duluth.

- Kto panią wciągnął do tego klubu?

- Sonia.

Stride'a ani trochę nie zaskoczyło to, że w takiej sprawie wypłynęło nazwisko Soni Bezac.

- Ona też do niego należy?

- Razem z Delmarem założyli ten klub. Spotkania odbywają się w ich domu, w pokoju na parterze zwanym świątynią.

- Ile osób jest w to zamieszanych?
- Trudno mi powiedzieć. Kiedy bywałam dziewczynką alfa, pojawiała się kilkanaście osób, siedmiu czy ośmiu mężczyzn i parę kobiet.
- Czym się zajmuje dziewczynka alfa?  
Katrina poruszyła się nerwowo.
- Musi pan zrozumieć, że wcale się tego nie wstydziłam. Robiłam to dlatego, że jestem napalona i lubię eksperymentować. Nie czekam na przygody łóżkowe. Tylko że dziwnie jest z kimś o tym rozmawiać.
- Ja pani nie oceniam.
- Tak? To się jeszcze okaże. W każdym spotkaniu jest inna dziewczynka alfa. Podstawowym celem spotkań w klubie jest uprawianie seksu z każdym, kto ma na to ochotę. Czasami zbierają się mężczyźni, którzy lubią to robić na oczach innych. Kiedy indziej żony, których mężowie chcą im się pokazać w kontaktach z innymi kobietami. Albo też pary małżeńskie równocześnie. Zdarzają się też pary, które po prostu lubią się przyglądać i albo same uprawiają seks w tym samym czasie albo się masturbują.
- Wygląda mi to na rozsądek chorób wenerycznych.
- Prezerwatywy są obowiązkowe. Bez tego nikt nie zostanie dopuszczony. Nawet pary małżeńskie, które współżyją tylko ze sobą podczas spotkań w klubie, muszą używać prezerwatyw.
- Nie mogę tylko zrozumieć, z jakiego powodu pani się w to zaangażowała - rzekł, uważnie dobierając słowa.
- Nadal mnie pan nie ocenia? Otóż to. Po prostu należę do osób lubiących częste zmiany partnerów. Już mówiłam, że większość społeczeństwa tego nie akceptuje, dlatego klub działa potajemnie. Nigdy nikomu nie polecałam udziału w tych spotkaniach i z tego, co wiem, nikt tego nie robił.
- Ale dla mnie ma to posmak odczłowieczenia, a nie erotyki.

- No cóż, to pański pogląd. Ja to uwielbiałam. Nigdy aż tak bardzo nie cieszyłam się z życia, jak w trakcie tych spotkań. Nie ma pan pojęcia, jak taka duża kobieta jak ja musi na co dzień walczyć ze stereotypami. A podczas tych spotkań pragnął mnie każdy mężczyzna, nie mówiąc już o paru kobietach. Nigdy nie czułam się aż tak pożądana.

Stride zapragnął poznać gołe fakty i jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

- Kiedy to było?

- W ubiegłym miesiącu, w grudniu.

- Jak często odbywają się klubowe spotkania?

- Nie wiem dokładnie. Chyba raz w miesiącu.

- I myśli pani, że gwałciciel wiedział o istnieniu klubu?

- Do cholery, włamał się tu nazajutrz po spotkaniu. Trudno to chyba uznać za zbieg okoliczności, prawda?

- Mógł to być ktoś, z kim uprawiała pani seks w czasie spotkania?

- Trudno powiedzieć. Chyba tak, chociaż wątpię w to.

- Kto tam jeszcze był?

- Nie wiem.

- Chce pani powiedzieć, że nie rozpoznała pani uczestników spotkania?

- Chcę powiedzieć, że wszyscy występują w maskach. To też nieodzowny element zabawy. Zasadą jest anonimowość.

- Zatem gdy bywała pani dziewczynką alfa, nigdy pani nie wiedziała, kto uczestniczy w tych spotkaniach?

- Nie. Oczywiście poza Sonią i Delmarem. - Wykrzywiła usta i pospiesznie przygryzła wargi, po czym wbiła wzrok w podłogę.

- O co chodzi?

- Owszem, poznałam jeszcze jednego uczestnika spotkań - przyznała po chwili.

- Kogo?



- Męża Maggie, Erica. Wyróżniał się wśród innych, zdradzały go długie blond włosy.

Stride przypomniał sobie rozmowę z Maggie. „Myślisz, że ja nie mam żadnych sekretów?”.

- Czy Maggie wiedziała o wizytach męża w klubie? - zapytał, chociaż już się domyślał, co odpowie Katrina.

- Tak, pewnie, że wiedziała.

- Jest pani tego pewna?

- Rozmawialiśmy o tym, nim zdecydowałam się do nich dołączyć.

Stride pokręcił głową. Nie chciało mu się w to wszystko wierzyć.

- I co wtedy powiedziała?

- Że powinnam robić to, czego pragnę. Od tamtej pory już się nie widziałyśmy. Dzwoniłam do niej po zabójstwie Erica, zostawiłam wiadomość, lecz nie oddzwoniła. Nawet jej się za bardzo nie dziwię.

- Chce pani przez to powiedzieć, że Maggie też należała do klubu? - zapytał Stride, któremu lęk w jednej chwili skaził smak w ustach, jakby łyknął skwaśniałego wina.

- Niech pan lepiej zapnie pasy, poruczniku. Maggie była dziewczynką alfa miesiąc przede mną.

## 29.

Serena nie lubiła prowadzić samochodu zimą po zmroku w Minnesocie.

Tymczasem dochodziła już jedenasta wieczorem, a autostrada na północ biegła prosto przez odludne pustkowia. Znajdowała się jeszcze godzinę drogi od Duluth, na odcinku, gdzie ludzkie siedzi- by były rozrzucone co kilka kilometrów. Po obu stronach drogi

niczym ciemne wieże wznosiły się ku górze strzeliste jodły, za którymi zalegała nieprzenikniona ciemność leśnej gęstwiny. Bała się, że lada chwila może przed samochód wyskoczyć sarna. Co parę kilometrów na poboczach białe kości tych zwierząt, a w światłach reflektorów na ośnieżonym pasie rozdzielającym jezdnie widać było ślady sarnich racic. Poza tym, miała wrażenie, że w ciemności czają się różne potwory śledzące jej trasę.

Odszukała w radiu stację nadającą muzykę country, ale sygnał to pojawiał się, to zanikał. Mimo to wysłuchiwała we fragmentach kilku piosenek Mirandy Lambert, Alana Jacksona i LeAnn Rimes, podśpiewując pod nosem znane teksty, żeby czuć się choć trochę mniej samotnie we wnętrzu auta. Muzyka country należała do tych rzeczy, które lubili oboje z Jonnym. Bo albo było się wielkim miłośnikiem tego gatunku, albo jego wrogiem. Większość ludzi pomrukiwała niechętnie, gdy puszczała z odtwarzacza nagrania Terri Clark albo opowiadała gościom, jak to wybrała się w sześciogodzinną podróż do Des Moines, żeby wysłuchać koncertu Sary Evans. Nawet nie próbowała uzasadniać swoich upodobań. Jeśli ktoś nie miał łez w oczach, słuchając *No Place That Far*, nie zrozumiałby żadnych argumentów.

Zadzwonił jej telefon komórkowy, który zostawiła na prawym siedzeniu.

- O rety! Czego słuchasz tym razem? - zapytała Maggie.

Serena zaśmiała się w głos i wyłączyła radio. Maggie, wzorem Tony'ego Wellsa, była fanką hard rocka i muzyki heavymetalowej.

- To Garth, ty ignorantko. Powiedz na niego jedno złe słowo, a będę musiała ogolić ci głowę.

- Jezu, wystarczy zrobić niewinną uwagę, a wy, wielbiciele country, już sięgacie po karabiny i spuszczacie psy z łańcucha. Gdzie jesteś?

- Jadę na północ trzydziestką piątką. Minęłam właśnie Finlayson.

- Uważaj na sarny.  
- Staram się.  
- Rozmawiałaś już ze Stride'em?  
- Dziś jeszcze nie. W ciągu dnia próbowałam się do niego dozwonić, ale włączała się tylko poczta głosowa.

- Chce, żebyśmy jutro spotkali się we trójkę - powiedziała Maggie. - Powiedział, że już wie, jak dopasować do siebie niektóre kawałki układanki.

- Nie mówił, czego się dowiedział?

- Owszem, mówił - odparła Maggie nieswoim głosem. - Zrobiłam coś głupiego. Powinam mu była sama o tym powiedzieć. Ale nie sądziłam, że to może mieć coś wspólnego z tym, co mi się przydarzyło. Wygląda jednak na to, że się myliłam.

Serena przez kilka sekund nie przerywała milczenia w nadziei, że usłyszy coś więcej. Nie doczekała się jednak.

- Nie chcesz mi o tym opowiedzieć?

- On to robi. Mnie na razie wystarczy, że przed nim wyszłam na idiotkę.

- Jak sobie życzysz, dziecino. Chcesz posłuchać, czego się dowiedziałam w Ordway?

- Jasne.

Opowiedziała jej o wizycie Erica w teatrze oraz niespodziewanej decyzji Helen Danning co do wyprowadzenia się z miasta zaraz po jego zabójstwie.

- Sprawdziłam nawet lokal, w którym, jak mówiłaś, Eric jadł kolację. Kelner zapamiętał Helen Danning. Obsługiwał ich razem, przy jednym stoliku.

- Nie słyszał przypadkiem, o czym rozmawiali?

- Nie, ale twierdził, że Helen nie była zadowolona. Wyszła z restauracji po pierwszym daniu.

- I zniknęła na dobre.

- Owszem - przyznała Serena. - Nigdzie nie zostawiła nowego

adresu. Do tego stopnia ugadałam dozorcę budynku, w którym mieszkała, że pozwolił mi zajrzeć do jej mieszkania. Zostawiła wszystkie meble, zabrała tylko to, co zdołała upchnąć w samochodzie. Zgarnęłam z jej kuchni filiżankę po kawie, żebyśmy mogli zdjąć odciski palców.

- Co zrobiłaś?

- Zgarnęłam filiżankę po kawie. A o co chodzi?

Maggie nie odzywała się przez parę sekund.

- Jesteś tam? - zapytała Serena.

- Tak, jestem. Musiałam się chwilę zastanowić, jakbym zapomniała o czymś niezwykle ważnym. Prawie już to miałam, ale z powrotem zapadło na dno pamięci. Możesz powtórzyć, czego się dowiedziałas o tym blogu?

- Wygląda na to, że Eric odnalazł Helen na podstawie jakichś jej wpisów do sieciowego blogu. Podobno w jego nazwie występowało słowo „dama”. Z niczym ci się nie kojarzy?

- Mnie z niczym, ale policja zabrała komputery Erica, więc Guppo może dysponować spisem stron sieciowych, które mój mąż odwiedzał. Sama spróbuję odszukać ten trop w sieci.

- Nie domyślasz się, co Helen może mieć wspólnego z waszą sprawą? - zapytała Serena.

- Coś mi się zdaje, że Eric powiedział jej coś, co ją śmiertelnie wystraszyło. I gdy dowiedziała się o jego śmierci, postanowiła zwiewać z miasta.

- A może to ona jemu coś powiedziała?

- Niewykluczone. Jutro o tym porozmawiamy. Jedź ostrożnie.

Wyłączyła telefon i na powrót znalazła się w kokonie wypełnionego ciszą samochodu. W tylnym lusterku dostrzegła światła drugiego auta, jadącego jakiś kilometr za nią. Poruszało się dokładnie z taką samą prędkością, jak ona, toteż przemknęło jej przez myśl, że musi to być towarzysz niedoli poruszający się jej tropem. Sama nieraz obierała taką taktykę podczas długich

nocnych podróży, ustawiała się w pewnej odległości za jadącym przed nią autem w nadziei, że uchroni ją to od zderzenia z dziką zwierzyną przebiegającą przez szosę. Jednakże chwilę później pomyślała z niechęcią, że na dłuższym odcinku będzie ich tylko dwoje na pustej autostradzie.

Kiedy znów zadzwonił telefon, aż podskoczyła. Doszła do wniosku, że albo Maggie o czymś zapomniała, albo w końcu odzywa się Jonny. Przeżyła jednak zaskoczenie.

- Witaj, Sereno.

Przez kilka sekund nie mogła rozpoznać głosu, który wzbudził w niej instynktowny bezzasadny strach. W końcu uświadomiła sobie, że to szantażysta, z którym spotkała się o północy na cmentarzu.

- Późno wracasz - dodał.

- Czego chcesz?

Uzmysłowiła sobie, że to on jedzie za nią.

- Dwa kilometry dalej jest parking. Zjedź z autostrady i zatrzymaj.

- Dlaczego?

- Mam coś dla ciebie. Coś, co cię bardzo zainteresuje.

- Co takiego?

- Zjedź na parking i zatrzymaj wóz.

Przerwał połączenie.

Musiała podjąć szybką decyzję, gdyż dojeżdżała już do zjazdu na parking. Zahamowała gwałtownie, szarpnęła kierownicą i skręciła między drzewa. Teren był zamknięty na okres zimowy, alejka dojazdowa zaśnieżona i śliska. Zostawiała za sobą głębokie koleiny. Z uporem wpatrywała się we wsteczne lusterko i bardzo ją zaskoczyło, gdy samochód minął ją i pojechał dalej autostradą.

Gdy tylko wysiadła z samochodu, zapadła się w piętnastocentymetrową warstwę sypkiego śniegu. Pochyliła się i zgasiała

światła, żeby nie stanowić tak łatwego celu na tym odludziu. Nie ufała szantażyście, dlatego postanowiła sięgnąć po broń. W kilku susach dopadła bagażnika, otworzyła go i wyciągnęła swojego glocka. Ciężar broni w rękę nieco ją uspokoił. Odeszła od samochodu i ruszyła przez zasypany szerokim łukiem, mierząc prosto przed siebie. Wysokie jodły lekko kołysały się na wietrze, ich gałęzie uginały się pod ciężarem śniegu. W ciemności majaczyły jak pozbawione twarzy upiory. Wraz z mocniejszym porywem wiatru zaszumiały złowieszczo i z góry posypał się na nią drobno-kryształiczny śnieg.

Parking tonął w ciemnościach. Alejkę dojazdową znaczyły koleiny kilku innych pojazdów, których kierowcy, tak samo jak ona, zlekceważyli tablicę informującą o zamknięciu i postanowili się tu załatwić albo przespać. Ale były to bez wyjątku stare koleiny. Serena stanęła na środku placu parkingowego i rozejrzała się po otaczającym ją lesie. Czuła się zarazem jak wystawiona na strzelnicę, ale i niewidoczna w ciemności. Kolejny poryw wiatru wywołał u niej dreszcz grozy. Gdzie ukrył się ten łobuz?

Doleciał ją sygnał telefonu komórkowego, który zostawiła w samochodzie. Pobieгла z powrotem.

- Gdzie jesteś? - rzuciła w desperacji.

- Niedaleko.

- Czyżbyś się nagle przestraszył?

Zaśmiała się krótko.

- Przecież wiem, że trzymasz w ręku pistolet.

Serena odwróciła się na pięcie i jeszcze raz powiodła wzrokiem po ścianie lasu. Usiłowała wypatrzeć między drzewami jakiś ruch, ale tylko czubki jodeł kołysały się na wietrze. Poczowała się zagubiona.

- Odjeżdżam - rzuciła do aparatu.

Obeszła maskę auta, wsiadła, zamknęła za sobą drzwi i uruchomiła silnik.

- Przecież mówiłem, że mam coś dla ciebie - odezwał się.
  - Co to jest?
  - Zajrzyj do schowka w desce rozdzielczej.
- Był w jej samochodzie!
- Co tam jest?
  - Tajemnica Dana - odparł. - Przekaż mu, że tym razem chcę sto tysięcy dolarów.
  - Chyba oszalałeś. Nic nie jest aż tyle warte.
  - Będiesz zdziwiona, do czego ludzie są gotowi, byle tylko ukryć swoje grzeszki.
  - Kiedy chcesz dostać te pieniądze?
  - Niedługo. Odezwę się.

Spojrzała na ekranik telefonu. Połączenie zostało przerwane.

Na dużym gazie przejechała na drugi koniec parkingu, żeby się nie zakopać w grubym śniegu. Pogrążona w ciemności autostrada wydała jej się miła i przytulna w porównaniu z gromadką pustych budynków, spod których odjechała. Wyprzedziła ją ciężarówka, toteż dodała gazu i przystosowała do niej prędkość swojego auta, by mieć przynajmniej takie towarzystwo na resztę podróży. A ponadto solidną osłonę przed ewentualnymi sarnami. Ale gdy spojrzała na ośnieżony pas rozdzielający jezdnie, zobaczyła na nim mnóstwo tropów sarnich raciczek, drobnych, lecz nieustępliwych, jak gdyby zostawionych specjalnie po to, by ją wystraszyć.

Odczekała cierpliwie, aż znajdzie się w mieście, kilometry od mrocznych leśnych gęstwin. Dopiero tu zatrzymała samochód w zatoczce i zajrzała do schowka w desce rozdzielczej. Było już po północy. Jej wzrok padł na cienką białą kopertę, której wcześniej tam nie było. Zapaliła lampkę pod sufitem i zajrzała do koperty. Wewnątrz znajdowało się zdjęcie.

Zostało zrobione w nocy. Skóra dwojga ukazanych osób połykiwała nienaturalnie. Chyba dlatego musiało minąć parę sekund,

nim Serena uświadomiła sobie, co przedstawia fotografia. Mimo to przyjrzała się uważnie długowłosej postaci o kawowej cerze, by się upewnić, że uchwycona z profilu dziewczyna to Tanja Powell. Była naga. Na odkrytym terenie. Ręce miała przywiązane do drucianej siatki ogrodzenia, a w ciemności za nią dało się rozróżnić prostokątne zarysy wagonów kolejowych. Dziewczyna płakała. Albo może tylko głośno jęczała. W każdym razie miała rozchyłone usta wykrzywione w dziwnym grymasie.

Za nią stał mężczyzna. Trzymał długi nóż przytknięty do jej gardła. Spodnie spuszczone do kostek odsłaniały jego rażąco białą pośladek. Nie ulegało wątpliwości, że są w trakcie stosunku. A owym mężczyzną był Dan Erickson.

## 30.

Serena zaparkowała wóz na Canal Park, w pobliżu mostu zwozonego. Do domu miała jeszcze pięć kilometrów, ale nie czuła się na siłach jechać tam od razu. Przez dłuższy czas siedziała jak skamieniała, wpatrując się w tę fotografię. Czuła się schwytaana w pułapkę. Nie ulegało wątpliwości, że szantażysta świetnie się bawi prowadzoną przez siebie grą. Mógł przecież dostarczyć to zdjęcie bezpośrednio Danowi, zostawiając ją w nieświadomości, ale widocznie zależało mu na wciągnięciu jej w tę historię.

Musiała zdecydować, co powiedzieć Jonny'emu. Jeśli zataił przed nim fakt istnienia tego zdjęcia, zwiększy ryzyko sabotażu dochodzenia w sprawie gwałtu i zabójstwa. Nie miała więc prawa chować go na dnie szuflady, by Jonny mógł udawać, że o niczym nie wie. Ale jeśli mu pokaże, nie zostanie mu nic innego, jak wykorzystać je w prowadzonym śledztwie. A to równa się końcowi kariery Dana.



Musiała wcześniej rozstrzygnąć, czy zdjęcie ukazuje gwałt dokonany na Tanji przez Dana, czy tylko scenę zbliżenia między perwersyjnymi kochankami. Niezależnie od tego zaczęła się zastanawiać, jak daleko Erickson był gotów się posunąć, by ukryć tę tajemnicę. Czy to on zamordował Tanję, by zamknąć jej usta? A jeśli tak, to co z tą sprawą mógł mieć wspólnego Eric?

Pozostawała jeszcze Helen Danning z Ordway Center. Fakt jej pospiesznego wyjazdu z miasta dzień po zabójstwie Erica trudno uznać za zbieg okoliczności.

Serena włożyła fotografię z powrotem do schowka w desce rozdzielczej. Postanowiła na razie nie angażować w to Jonny'ego, a najpierw spotkać się z Danem, żeby zadać mu kilka pytań.

Później wróciła myślami do kryjącego się przed nią mężczyzny, szantażysty, który wziął na cel prokuratora okręgowego. Sprawiał wrażenie, jakby znał wszystkie sekrety, przede wszystkim te, które ludzie chcieliby ukryć przed całym światem. Wiedział, za które sznurki pociągnąć, żeby wywołać pożądany niepokój w mieście. Kim był, skoro znał aż tak wiele szczegółów z prywatnego życia ludzi, wśród których się obracał?

Na parkingu powiedział przez telefon, że wie o pistolecie, który ona trzyma w ręku. Zatem prawdopodobnie ukrywał się gdzieś w pobliżu. Tyle że w okolicy nie było innego samochodu, a żadnym innym sposobem nie mógłby tak szybko znaleźć się w wyznaczonym przez siebie miejscu spotkania. Musiał więc czekać gdzieś w ukryciu, może na bliźniaczym parkingu po przeciwnej stronie autostrady, skąd niepostrzeżenie zakradł się bliżej, żeby mieć ją na oku.

Ale to oznaczało, że musiał wiedzieć, jak ona nadjeżdża. Musiał być pewien, gdzie się znajduje.

Tknięta nagłą myślą wysiadła z samochodu. Zbity śnieg w zatoczce był mokry i brudny, lecz mimo to klękła i zajrzała pod

podwozie. Nie dostrzegłszy niczego niezwykłego, wyciągnęła z bagażnika latarkę, położyła się na plecach i wsunęła pod auto. Błyskawicznie pobrudziła się starym czarnym olejem. Ale po kwadransie odnalazła niewielkie urządzenie przytwierdzone magnetycznie po wewnętrznej stronie nadkola. Oderwała je, wyczołgała się spod samochodu i przyjrzała mu się uważnie. Z rogu plastikowej obudowy sterczała połyskująca srebrzyście antenka. Od razu rozpoznała to urządzenie, gdyż sama używała takich w swojej pracy.

Był to lokalizator GPS. Dzięki niemu szantażysta wiedział o każdym jej kroku.

Weszła na chodnik, zbliżyła się do barierki mostu nad kanałem i cisnęła lokalizator w lekko falującą lodową wodę.

Jonny nie spał jeszcze, gdy weszła do domu. Siedział w fotelu przed kominkiem ze szklaneczką szkockiej whisky w dłoni. Rzadko sięgał po alkohol. Serena była w przeszłości alkoholiczką, toteż nie trzymali w domu zapasu trunków. Wiedziała o zakurzonej butelce obana stojącej na dnie szafki w kuchni, ale do tej pory tylko dwa razy widziała, żeby po nią sięgał. Pierwszy raz w rocznicę śmierci Cindy, a drugi, gdy dowiedział się od Maggie, że po raz trzeci poroniła.

Serena miała na sobie mokre i brudne ubranie. Obserwował ją uważnie, gdy zmywała smar z dłoni, jak też później, gdy rozebrała się do bielizny i wciągnęła przez głowę biały T-shirt. Usiadła na podłodze przy fotelu, przytuliła głowę do jego kolana i zapatrzyła się na płomień tańczący w kominku.

- Wszystko w porządku? - zapytał.
- Pewnie.
- Późno wróciłaś.
- Miałam drobne kłopoty z samochodem.
- Aha.

Było jasne, że jej nie wierzy.

- Co z tą sprawą, którą odłożyłaś na później? Możesz mi już powiedzieć coś więcej na temat tego szantażysty?

- Jeszcze nie - odparła. - Nie teraz.

- Wolałbym wiedzieć, w co się wpakował Dan.

- Naprawdę nie mogę jeszcze ci tego powiedzieć.

Umilkł, a ona przyjęła z zadowoleniem, że nie naciskał.

- Widziałaś się z Nicole? - zapytał po chwili.

- Tak. Miałaś rację. Tonący brzytwy się chyłta.

- Jak wygląda?

- Staro.

- Przykro mi to słyszeć. Opowiedziała mu o Helen Danning.

- Poproszę Guppo, żeby przejrzał komputerowe bazy danych - rzekł Stride. - Może trafi na ślad jakichś jej krewnych albo przyjaciół, którzy mogliby nam wskazać miejsce jej pobytu.

- Poza tym dzwoniła do mnie Maggie. Powiedziała, że odkryła jakiś jej sekret.

Pokiwał głową.

- Znalazłem kolejną ofiarę gwałtu.

Serena zadarła głowę i odgarnęła włosy do tyłu.

- Kogo?

- Katrinę Kuli. Prowadzi kawiarnię przy Superior, niedaleko salonu „Silk”.

- Coś ją łączy z Maggie?

- Och, tak, nawet dużo.

Wychylił resztkę whisky jednym haustem i zapadł w milczenie. Serena wstała, odwróciła się i usiadła mu na kolanach.

- O co chodzi? - zapytała.

- Maggie należała do tajemnego klubu erotycznego - wycodził, po czym z kamiennym wyrazem twarzy opowiedział jej o wszystkim ze szczegółami.

Serena usiadła z powrotem na podłodze i popatrzyła na niego oczyma rozszerzonymi ze zdumienia.

- Cholera - syknęła.

- To zupełnie inna Maggie niż ta, którą znałem - zapewnił Stride.

- Rozmawiałeś już z nią na ten temat?

- Jeszcze nie.

- Chyba powinieneś to zrobić.

- Najpierw chcę porozmawiać z Sonią i dowiedzieć się więcej o tym tak zwanym klubie erotycznym. Muszę wiedzieć, jak bardzo Tanjy była zaangażowana w jego działalność. I tak mogę się założyć, że funkcje dziewczynki alfa podczas klubowych spotkań są tym elementem wspólnym łączącym obie sprawy, którego szukaliśmy.

Zwróciła uwagę, że w jego głosie pobrzmiwa rozczarowanie i niedowierzanie.

- Od kiedy to próbujesz mnie wciągnąć w rozsądzanie twoich dochodzeń? Zawsze powtarzałeś, że nic cię nie obchodzi, co ludzie robią za zamkniętymi drzwiami w swoich domach.

- Ale tu chodzi o Maggie - odrzekł.

- Ach, rozumiem. Poczuleś się jak ojciec, który nagle odkrył, że jego ukochana córeczka już nie jest dziewicą.

- Nie żartuj.

- Przepraszam. Nie jestem zanedo oblatana w temacie seksu z nieznanymi, ale to, co Maggie robi ze swoim ciałem, to na pewno nie moja sprawa. A tym bardziej nie twoja.

- Wiem o tym.

Serena popatrzyła na niego spod zmarszczonych brwi.

- Na pewno? Przez ostatnie dziesięć lat starałeś się nie zauważać, że Maggie jest kobietą obdarzoną seksualnością. A tymczasem to osoba złożona, ładna, pociągająca, zestresowana, zabawna i zdesperowana. Czasem nawet nachodzą mnie obawy, że

obudzisz się któregoś dnia i uświadomisz to sobie, po czym dojdiesz do wniosku, że ona ci się bardziej podoba.

- Naprawdę nie musisz się martwić o moje uczucia do Maggie.

- Czyżby? - Zastanowiła się przez chwilę, jak dalece może być wobec niego szczerą. - Kiedy jesteśmy we trójkę, często czuję się tak, jakbym to ja, a nie ona, była piątym kołem u wozu.

Przyjął to ze zdumieniem.

- Nie miałem pojęcia, że tak to odbierasz.

- Kobiety potrafią być równocześnie znerwicowane i nieustępliwe, Jonny.

- Sądziłem, że się zaprzyjaźniłyście.

- Bo tak jest, tylko nie myśl, że z tego powodu przestałyśmy być rywalkami.

- O jakiej rywalizacji mówisz? - odparł. - To my jesteśmy razem. Koniec, kropka.

- Cieszę się, ale sprawy w życiu nigdy nie są aż tak proste, prawda?

- Do czego pijesz?

- Do tego, że chcąc rozwiązać tę sprawę, musisz popatrzeć na Maggie jak na kobietę, nie tylko jak na partnerkę. Tylko w ten sposób możesz pojąć prawdziwe znaczenie pewnych faktów. I nieważne, czy ci się to spodoba, czy nie, ale na pewno ujrzysz wszystko w zupełnie innym świetle.

- Na razie staram się tylko zrozumieć, jak ona mogła zrobić coś podobnego - mruknął.

Serena znowu wstała.

- Tylko Maggie może ci to wyjaśnić. Pamiętaj jednak, że czasami lepiej nie znać całej prawdy o przyjaciółach. - Odwróciła się i ruszyła do łóżka, zostawiwszy go samego w fotelu przed kominem.

## 31.

Stride siedział w swoim fordzie bronco przed domem Soni Bezac. Pochylał się w stronę otwartego okna, był w pieskim nastroju. Papierosa trzymał na zewnątrz i spoglądał na smuzkę dymu, którą wiatr unosił do tyłu. Dochodziła dziewiąta rano. Dom stał przy ulicy Normana Rockwella, w sąsiedztwie równie obszernych i bogatych posiadłości w stylu Tudorów. Teren wokół niego został obsadzony iglakami na tyle gęsto, że zapewniały tylko minimalną widoczność na sąsiednie podwórka. Na spadzistych dachach zalegał śnieg. Osiedle, oddalone zaledwie o kilometr od Hunters Park i uniwersytetu stanowego, stanowiło cichą enklawę kobiet, które wizyty na siłowni przepłatały ze spacerami ze swoimi golden retrieverami, oraz mężczyźn po całych dniach popijających brandy i udających, że są ojcami tychże kobiet.

Ciekawiło go, czy najbliżsi sąsiedzi zdawali sobie sprawę z istnienia tutaj klubu erotycznego. Nie bardzo w to wierzył. Ludzie z sąsiedztwa zapewne sądzili, że Sonia i Delmar wydają eleganckie przyjęcia za szczelnie zaciągniętymi zasłonami, więc co najwyżej mogli być oburzeni, zaciekawieni, podekscytowani, a przede wszystkim rozżaleni, że ich nie zaproszono.

Mąż Soni Delmar, który był urologiem, wyszedł przed dom, ubrany w szary garnitur i elegancki wełniany płaszcz. Był kilka centymetrów niższy od Soni, za to zdecydowanie grubszy. Wiatr natychmiast poderwał mu ku górze długi kosmyk włosów starannie zaczesany w poprzek wydatnej łysiny. Przyklepał go nerwowym ruchem i wsiadł za kierownicę nowiutkiego czarnego mercedesa sedana.

Badanie penisów było bardzo opłacalne.

Delmar z rykiem silnika wyjechał na ulicę i po chwili zniknął

za zakrętem. Stride zdusił papierosa w popielniczce, wysiadł z auta i ruszył przez podjazd. Drzwi frontowe otworzyły się ponownie i ukazała się w nich Sonia. Jej widok wzbudził w nim silną falę nostalgii. Na krótko wrócił myślami do czasów, gdy był młody i nabuzowany hormonami. Sonia, która przekroczyła czterdziestkę, wciąż była nadzwyczaj pociągająca. Rude włosy okalały jej głowę jakby poderwane trąbą powietrzną. Wysoka i zgrabna, w wysokich szpilkach, ostrożnie zeszła z ganku na wykładany cegłą podjazd. Płaszcz miała rozpięty, pod spodem nosiła żywozieloną jedwabną bluzkę oraz czarną krótką spódnicę.

W paru susach pokonał ulicę i stanął przed nią. Nie umknęło jego uwagi, że wyraźnie zwolniła, gdy go zobaczyła. Jej twarz rozpogodziła się na chwilę, lecz szybko zagościł na niej wyraz profesjonalnej obojętności, zapewne wskutek jego grobowej miny.

- Witam ponownie - zagadnęła z daleka.

- Muszę z tobą porozmawiać, Soniu. Możemy wejść do środka?

- Jestem już spóźniona. Muszę otworzyć sklep. Pewnie już słyszałeś, że teraz należy do mnie.

- Nie zajmę ci dużo czasu.

Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Może i oglądam za dużo telewizji, ale mam wrażenie, że wcale nie muszę z tobą rozmawiać, no nie? Mogę spokojnie wsiąść do samochodu i odjechać.

- Oczywiście. W takim razie porozmawiam z dziennikarzami.

- O czym?

Pochylił się ku niej i próbując ignorować intensywny zapach jaśminu, szepnął:

- O dziewczynkach alfa.

Sonia, i tak błada, w jednej chwili zbladła jeszcze bardziej.

- W porządku.

Otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Pospiesznie zrzuciła płaszcz i wskazała mu drogę do saloniku. Rozsiadł się na sofie w kolorze cytrynowym, o obiciu miękkim w dotyku, nieuginającej się pod jego ciężarem. Pokój był urządzony nowocześnie i kosztownie. Olejny obraz na ścianie w jego mniemaniu przedstawiał jedynie płataninę czerwonych i niebieskich zawijasów. Pod nim stał kawiarniany stolik ze szklanym blatem na chromowanej ramie. Za kominkiem jego uwagę przykuł metalowy posążek nagiej kobiety.

Sonia zrzuciła z nóg szpilki i usiadła w fotelu naprzeciwko. Nerwowo sięgnęła po paczkę papierosów leżącą na stoliku.

- Tu można palić, jeśli masz ochotę - powiedziała, po czym przypaliła papierosa i wydmuchnęła kłęb dymu we kierunku kratki wentylacyjnej pod sufitem.

- Już wypaliłem tego jednego przeznaczonego na dzisiejsze przedpołudnie - odrzekł.

- Cóż za siła woli - mruknęła, układając stopy na kanapie. Miała długie i zgrabne nogi. - Spotkania klubowe odbywają się na dole, jeśli cię to ciekawi.

- Nie bardzo.

- Więc o co chodzi? Chcielibyście z Sereną do nas dołączyć? Przyjmujemy was z otwartymi ramionami - powiedziała z szerokim uśmiechem.

- Dzięki, ale nie skorzystamy.

- Nie zapraszam przecież na sabat czarownic, na miłość boską. Nikomu nie dzieje się tu krzywda.

- Moim zdaniem, wasz klub stał się celem gwałciciela.

Uśmiech w jednej chwili zniknął z jej ust.

- To nie jest zabawne.

- Oczywiście, że nie. Chyba wiesz, co spotkało Katrinę, prawda?

- Owszem, tylko co to może mieć wspólnego z naszym klubem?



- Katrina została napadnięta nazajutrz po spotkaniu w klubie. Sądziś, że to zbieg okoliczności?

Sonia wymierzyła w niego dwa palce, między którymi trzymała papierosa.

- Znam każdego faceta, który u nas bywa. Nie mógł jej napaść żaden z nich. Dlatego muszę uznać to za zwykły zbieg okoliczności. Chyba że...

- Chyba że co?

- Katrina wymyśliła sobie ten gwałt. No, wiesz, tak samo jak Tanjy. Może miała wyrzuty sumienia z powodu swojego uczestnictwa w klubie? Takie rzeczy się zdarzają.

- Nie chodzi tylko o Katrinę - rzekł stanowczo Stride. - Inne dziewczynki alfa także zostały napadnięte.

Sonia na krótko zamknęła oczy.

- Sukinsyn... - mruknęła. - Kto jeszcze ucierpiał?

- Nie mogę powiedzieć.

- Jesteś pewien, że chodzi o dziewczęta z klubu?

- Bez dwóch zdań.

- Czy ta sprawa ujrzy światło dzienne?

- Zapewne tak.

- Cholera, cholera, cholera... - wycodziła, kręcąc głową. - Masz przynajmniej pojęcie, kto nam to robi?

- Postaraj się skupić na kobietach, które stały się obiektami ataków, Soniu.

- Tak, oczywiście, jasne. Po prostu nie mogę uwierzyć, że coś takiego spotkało nasz klub. Bardzo ostrożnie wybieramy gości...

- Porozmawiajmy o Tanjy - przerwał jej. - Ona też była dziewczynką alfa?

- Nie. Skierowałam do niej parę ostrożnie badającą grunt, ale nie okazała zainteresowania.

- Zatem nie była na stałe związana z klubem?

- Nie. Mam rozumieć, że naprawdę została zgwałcona? Bo

wiesz, to by oznaczało, że musi istnieć jakiś inny związek. Tanjy nie miała pojęcia o istnieniu klubu.

- Nie ciesz się za bardzo. Dwie inne z waszych dziewcząt alfa padły ofiarami gwałtu. To raczej trudno uznać za zbieg okoliczności - rzekł stanowczo. Po chwili dodał: - Opowiedz mi, jak to wszystko funkcjonuje. W jaki sposób pozyskujecie nowych członków? Jak często odbywają się spotkania? Co się na nich dzieje?

Nerwowo zdusiła papierosa w turkusowej popielnicy w kształcie skorupy małża.

- Nie jestem pewna, czy powinnam ujawniać jakiegokolwiek szczegóły naszej działalności.

- Zrozum, że każda kobieta biorąca udział w klubowych spotkaniach może być zagrożona. Nie wyłączając ciebie.

- Mimo wszystko chyba będzie lepiej, jeśli najpierw porozmawiam z adwokatem.

- Proszę bardzo, lecz wtedy na pewno wszystko się wyda - rzekł z naciskiem. - Chcesz, żebym wystąpił o oficjalny nakaz sądowy? Naprawdę chcesz, żeby szczegóły waszej działalności zostały ujawnione przed sądem? Dopiero zaczęliśmy gromadzić niezbędne informacje.

Sonia odchyliła się na oparcie fotela i popatrzyła w sufit. Szyję miała smukłą i gładką, jak łabędzica.

- Ale to, co powiem, zostanie między nami? - zapytała.

- Na razie tak.

- W porządku - rzuciła z wyraźnym ociąganiem. - Zatem mamy w klubie około dwudziestu członków. W większości są to pary małżeńskie, ale zdarzają się też osoby samotne. Nikt nie może wejść na spotkanie bez imiennego zaproszenia podpisanego przeze mnie albo Delmara. W dodatku nowi uczestnicy muszą przedstawić referencje. Dokładnie sprawdzamy historię każdego kandydata, zanim zostanie wpuszczony na spotkanie.

- Czy zdarzyło się, że musieliście kogoś wyprosić? Czy ktoś zachowywał się niestosownie?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Kiedyś trafiła nam się para, która odmówiła korzystania z przerwy podczas uprawiania seksu w trakcie klubowego spotkania. A co do tego jesteśmy bardzo, ale to bardzo rygorystyczni. Po raz drugi nie zaprosiliśmy tych ludzi. Kiedy indziej trafił nam się mężczyzna, który rwał się z pięściami do dziewczyny alfa. Dwaj inni uczestnicy spotkania natychmiast wyprowadzili go na ulicę.

- Jak się nazywał?

- Wilson Brunt. Nie sądzę, byś odszukał to nazwisko w waszej kartotece. Pół roku później został przeniesiony służbowo do innego stanu. Teraz pracuje, zdaje się, w Oregonie.

Stride zapisał jednak to nazwisko w notesie.

- Od jak dawna odbywają się spotkania klubowe?

- Mniej więcej od roku. To ja wpadłam na ten pomysł.

- Czemu mnie to nie dziwi?

- Daj spokój, Jonathanie. Ty nigdy nie bywasz znudzony? - Sonia szerokim gestem omiotła salon z taką miną, jakby brzydziła się mieszczańskim umeblowaniem. - Jesteśmy po czterdziestce. Starość puka do naszych drzwi. Myślisz, że nadal mam swoje naturalne rude włosy? Myślisz, że sprzęt Delmara natychmiast budzi się do życia, gdy tylko ściągnę ciuchy? Przeklęty zegar śmiertelników bezustannie odmierza nam czas. Niektórzy w kryzysie wieku średniego zadowolają się kupnem kabrioletu. Ja pragnę czegoś więcej.

Zignorował tę przemowę.

- Jak często się spotykacie?

- Zazwyczaj raz w miesiącu. Niekiedy częściej.

- Pobieracie jakieś opłaty?

- Nie!

- Co z narkotykami i innymi nielegalnymi środkami?  
- Nie wchodzi w rachubę. Pod żadnym pozorem. - Nerwowe ruchy rozbieganych oczu odpowiedziały mu, że to kłamstwo.

- Opowiedz mi o dziewczynkach alfa.

Wzruszyła ramionami.

- Ja byłam pierwsza. Jednego wieczoru zaliczyłam sześciu mężczyzn i trzy kobiety. Do dziś jest to rekordem.

- Gratulacje - mruknął obojętnym tonem.

Gdy ich spojrzenia się zetknęły, od razu się domyśliła, co naprawdę myśli, ale nie dała niczego po sobie poznać.

- Na początku rolę dziewcząt alfa odgrywały tylko żony członków klubu - wyjaśniła - ale później kilka razy dopuściliśmy do spotkań kobiety zainteresowane tą funkcją na jeden wieczór,

- Jak się dowiadywały o istnieniu klubu?

- Od stałych członków. Jesteśmy bardzo dyskretni. Zapraszamy tylko takie kobiety, które naszym zdaniem są seksualnie wyzwolone, a i w takim wypadku dokładnie je sprawdzamy. Nie ujawniamy żadnych szczegółów co do działalności klubu, dopóki kandydatka nie okaże zainteresowania. Dziewczyna alfa spoza grona stałych członków nie ma też szans ich poznać, spotkania odbywają się anonimowo.

- Masz na myśli maski?

Sonia zmarszczyła brwi.

- Wiesz i o tym?

Stride nie odpowiedział.

- Owszem, używamy masek. Tylko w niewielkim stopniu po to, żeby zachować anonimowość. Głównie dlatego, że wielu kobietom się to podoba. Traktują to jak dodatkowy bodziec, dodatkowy dreszczyk emocji, gdy nie widzą twarzy partnera.

- Jak przebiegają spotkania?

- Może do nas dołączysz, żeby przekonać się na własne oczy?  
- zaproponowała.

- Nie bądź taka cwana.

- Nawet nie próbuję. Byłbyś mile widziany. Pytałam Maggie, czy ciebie by to interesowało, ale odpowiedziała, że prędeż byłbyś gotów brzytwą przycinać sobie włoski w nosie. - Urwała nagle i uświadomiwszy sobie własną pomyłkę, syknęła: - Cholera. Nigdy nie wymieniamy żadnych nazwisk. Sama nie wiem...

- Mniejsza z tym. I tak wiem o wszystkim.

- Mój Boże... Czyżby coś się stało Maggie?

Stride przyjął to z kamienną twarzą.

- Cholera... Przepraszam - mruknęła. - Aż sama nie mogę w to uwierzyć. Po tym wieczorze, kiedy grała rolę dziewczyny alfa, nie pokazała się więcej. Myślałam, że źle przyjęła nowe doświadczenia.

- Skoro sama do tego nawiązałaś, opowiedz mi o uczestnictwie w klubie Maggie i Erica.

Sonia pokręciła głową.

- To pieprzony koszmar... - Kiedy wyłuskała z pudełka papierosa, wyraźnie zadygotał jej między palcami. - Eric był zaangażowany od początku. Pierwszą dziewczynką alfa spoza naszego grona była czeska sportsmenka, która przyjechała do Duluth w sprawie swojego sprzętu na olimpiadę.

- Czy Maggie także była zaangażowana od początku? - zapytał i podświadomie wstrzymał oddech, jak gdyby wcale nie chciał znać odpowiedzi.

- Nie. Uczestniczyła tylko w dwóch spotkaniach. Za pierwszym razem została razem z Erikiem za ścianą.

- Co to znaczy?

Zawahała się.

- Jedna ściana świątyni jest zrobiona z półprzepuszczalnych luster. Za nimi znajduje się niewielka sypialnia, z której można obserwować, co się dzieje w głównej sali. Eric chciał zademonstrować Maggie, jak przebiegają spotkania klubu.

- Zatem nikt nie wiedział, że oni tam są?
- Nikt poza mną. Później Eric namówił Maggie, żeby podczas następnego spotkania wcieliła się w dziewczynę alfa.
- Bardzo jestem ciekaw, jak to zrobił - bąknął Stride, bardziej do siebie niż do niej.
- Podejrzewam, że chciała skorzystać z okazji, żeby się odegrać za wszystkie romanse Erica. Tym razem to on mógł się tylko przyglądać.
- Daruj sobie szczegóły. Co się później stało?
- Pewnie się domyślasz, że ja też wtedy z nią byłam.
- Powiedziałem, żebyś darowała sobie szczegóły - rzucił ostrzej, podniesionym głosem.

Sonia uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Maggie nie pojawiła się na następnym spotkaniu, Eric przyjechał sam. Wtedy dziewczynką alfa była Katrina. Dla Erica było to ostatnie spotkanie. Powiedział mi później, że rezygnuje z członkostwa w klubie ze względu na Maggie.
- Kiedy ma się odbyć kolejne spotkanie?
- Jutro.

Nie pozostało mu więc dużo czasu. Ale zarazem ucieszyła go bliska sposobność wywabienia gwałciciela z jego kryjówki.

- Kto będzie dziewczynką alfa? - Sonia zawahała się, toteż dodał szybko: - Lepiej mów prawdę i nie próbuj kręcić. Mam wystarczająco dużo powodów, żeby wystąpić o nakaz zatrzymania.

- Nazywa się Kathy Lassiter. Jest członkiem zarządu kancelarii prawniczej z Saint Paul. Ma tu domek letniskowy na północnym wybrzeżu. Kilka razy uczestniczyła już w spotkaniach, ale nigdy w roli dziewczyny alfa.

- Słyszałaś kiedykolwiek nazwisko Helen Danning? Ona też była członkiem klubu? A może występowała jako dziewczyna alfa?

- Nie. Nie wiem, o kim mówisz.

- W porządku. Porozmawiajmy teraz o tym, jak informacje o klubie mogły się wydostać na zewnątrz. Jakim sposobem ktoś obcy mógł się dowiedzieć, która kobieta była dziewczyną alfa na spotkaniu klubu?

- Nie rozumiem, jak mogło do tego dojść - zaprotestowała Sonia. - Wszystkie dziewczęta spoza stałego grona podpisują nie tylko oświadczenie zwalniające nas od prawnej odpowiedzialności za jej czyny, ale także zobowiązanie do zachowania ścisłej tajemnicy.

- Chyba żartujesz.

- Nic podobnego. Musimy się zabezpieczać przed tym, że ktoś dopadną nagle wyrzuty sumienia i poda nas do sądu. Nie chcemy też stać się przedmiotem plotek krążących po mieście. Członkowie klubu podpisują podobne dokumenty, kiedy do nas przystępują. Muszą ponadto zaakceptować kodeks postępowania.

- Przy odrobinie szczęścia można by was oskarżyć za samo zbieranie takich dokumentów.

Uśmiechnęła się blado.

- No cóż, nie sądzę, by ktokolwiek chciał nas oskarżyć. Te papiery mają przede wszystkim unaocznic ludziom, jak poważnie traktujemy kwestie poufności oraz stosownego zachowania.

Stride o mało nie wybuchnął śmiechem.

- Nie wzięliście tylko pod uwagę, że wszyscy uczestnicy danego spotkania wiedzą, kto odgrywa rolę dziewczynki alfa.

- Niezupełnie. Nie podajemy przecież nikomu nazwiska kobiety pochodzącej spoza naszego grona. Jeśli ktoś je zna, to znaczy, że poznał dziewczynę poza klubem.

- Albo śledził ją w drodze do domu.

- Niewykluczone.

- Czy prowadzicie spis członków klubu uczestniczących w kolejnych spotkaniach?

Sonia skinęła głową.

- Oczywiście. Wszystkie dane są zapisane w komputerze. Nie chcemy mieć w klubie żadnych kłopotów prawnych, dlatego starannie gromadzimy wszelkie informacje osobowe, kopie kontraktów i podpisanych oświadczeń, rezultaty wywiadów i temu podobne. Mamy pełną dokumentację. Jak dotąd nikt nie próbował występować przeciwko nam, lecz gdyby do tego doszło, jesteśmy gotowi się bronić.

- Jak zabezpieczony jest ten komputer? Macie połączenie z siecią bezprzewodową?

- Chyba żartujesz. To nie wchodzi w rachubę.

- A tradycyjne łącze internetowe?

- To tak, ale jest dobrze chronione. Na moją prośbę „Byte Patrol” zainstalował mi rozbudowany program zabezpieczający. Podobno jest odporny na wszelkie ataki hackerskie. Możesz mi wierzyć, że nikt nie może wykraść żadnej informacji z naszego komputera.

- Pozostają więc członkowie klubu - orzekł Stride.

Sonia zmarszczyła brwi.

- Już mówiłam, że są szczegółowo prześwietlani.

- I tak będę musiał poznać ich nazwiska.

- Jasna cholera... Na pewno jest jakiś inny sposób...

- Nie. Muszę przesłuchać wszystkich po kolei.

- Mówiłeś, że napadnięte zostały dwie dziewczyny alfa. Nie na każdym spotkaniu mamy ten sam zestaw członków klubu. Przycho-  
dzą różni ludzie, zależnie od tego, czy mają czas. Umówmy się, że podam ci nazwiska mężczyzn, którzy uczestniczyli w obu spotkaniach z napadniętymi dziewczynami. To zawęzi krąg podejrzanych.

Stride przytaknął ruchem głowy.

- Na początek może być, ale i tak chcę mieć pełną listę. Nie tylko członków, ale także uczestników poszczególnych spotkań.



Oczywiście nie wyłączając dziewczynek alfa. Z wszystkimi będę musiał porozmawiać, bo trzeba ustalić, czy nikt inny nie został napadnięty. - Kiedy Sonia się zawahała, dodał: - Mówię absolutnie poważnie. Zgłoszę tę sprawę prokuraturze i powiadomię dziennikarzy, jeśli nie zostawisz mi wyboru.

Wstała z krzesła.

- To potrwa kilka minut - oznajmiła piskliwym głosem.

- Nie spieszę się.

Dziesięć minut później wróciła z kilkoma kartkami wydruku.

- To wszystko. Tylko błagam, bądź dyskretny. Delmar mnie zabije, gdy się o tym dowie.

- Niczego nie mogę obiecać, Soniu.

Pospiesznie odszukał spisy uczestników tych spotkań, w których role dziewczynek alfa odgrywały Maggie i Katrina. Wystarczyło mu parę sekund, by porównać nazwiska w obu spisach i ustalić, że poza mężem Soni Delmarem tylko czterej inni mężczyźni byli obecni w obu wypadkach.

Trzy nazwiska nic mu nie mówiły.

Czwartą osobą był dawny narzeczony Tanjy, Mitchell Brandt.

## 32.

Tym razem wchodząc po schodach do gmachu sądu, Serena nie miała już wrażenia, że jest obserwowana. Liczyła na to, że zniszczenie nadajnika GPS przynajmniej na pewien czas uwolni ją od szantażysty.

Zdjęcie, które jej podrzucił, wsadziła do koperty zaadresowanej do Dana Ericksona, zaznaczwszy, że jest to korespondencja prywatna i poufna. Wciąż nie była pewna, czy dobrze robi, utrzymując tę sprawę w tajemnicy przed Jonnym, uważała jednak, że

nie ma innego wyjścia. Nie była gotowa na zniszczenie osobistego życia Dana poprzez ujawnienie jego niezwykłych upodobań seksualnych. Cały problem polegał na tym, że Tanjy nie żyła. Zatem tego rodzaju zdjęcie mogło go wydzwignąć na sam szczyt listy podejrzanych, choćby tylko z tego powodu, że usiłował zataić jego istnienie. Mimo wszystko Dan był jej klientem, dobrze jej płacił. Zatem nie mogła go wydać, dopóki nie miała pewności, że brał czynny udział w przestępstwie kryminalnym.

Wkroczywszy do prokuratury, przekazała kopertę recepcjonistce, i powiedziała, że to z pewnością otworzy jej wstęp do biura Ericksona. Kiedy dziewczyna wróciła po minucie, od razu wskazała jej drogę do środka. Serena zamknęła za sobą drzwi gabinetu i zaczęła, aż stuknął zamek magnetyczny. Dan stał za swoim gigantycznym mahoniowym biurkiem, trzymając w ręku fotografię. Palce drugiej dłoni odruchowo zaciskał w pięść. Po jej wejściu zdjęcie razem z kopertą wepchnął do szczeliny niszczarki, która zaszumiała krótko i pocięła dowód rzeczowy na cienkie paski papieru. Zajrzał jeszcze do pojemnika, jakby chciał sprawdzić, że nic ze zdjęcia nie zostało, po czym wyprostował się i spojrzał na Serenę.

- Skąd, do kurwy nędzy, wytrzasnęłaś to zdjęcie?! Co chcesz osiągnąć w ten sposób?

Serena uniosła obie ręce.

- Szantaż to paskudny interes. Uprzedzałam, że może być tylko gorzej.

- On ci to dał?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Jak je zdobył?

- Pan to powinien wiedzieć lepiej ode mnie.

- To pieprzona katastrofa. Nie rozumiesz tego?! Katastrofa! Czego chce tym razem?

- Sto tysięcy dolarów.

- Sukinsyn! - Wymierzył w nią palec wskazujący. - Jesteście współnikami?! Czy może sama próbujesz mnie robić w konia?!

Serena podeszła do biurka i gwałtownym ruchem odtrąciła jego dłoń.

- Tylko mnie nie obrażaj. Masz szczęście, że nie pokazałam tego zdjęcia Jonny'emu, zanim tu przyszedłam. Ale i tak zamierzam mu opowiedzieć o wszystkim, chyba że zdołasz mnie skutecznie przekonać, że nie ma to nic wspólnego z zabójstwem Tanjy.

- Przecież to szaleństwo...

- Więc powiedz mi coś więcej o swoim związku z Tanjy. Czy to zdjęcie jest autentyczne? Naprawdę pieprzyłeś się z nią?

Dan wyprostował się i nerwowym ruchem przyglądał blond włosy.

- Owszem.

- I zgwałciłeś ją?

- Nie, na Boga. Nie zapominaj, że wymyśliła sobie cały ten gwałt. Tak tylko się zabawialiśmy. Pojechaliśmy tam któreś nocy i w parku robiliśmy sobie zdjęcia.

- Mam powtórzyć, jak nieodpowiedzialnym przejawem głupoty było takie zachowanie?

W jednej chwili poczerwieniał z wściekłości.

- Nie. Dobrze wiem, jakie podejmowałem ryzyko, ale Tanjy była tego warta.

Serena nie potrzebowała szczegółów.

- Jak się poznaliście?

- Spotkałem ją w salonie odzieżowym. Od razu zagrała między nami chemia.

- Lauren wiedziała o tym związku?

Dan prychnął pogardliwie.

- Nikt o nim nie wiedział.

- Poza jednym wyjątkiem. Mógł pan w ten sposób zniweczyć całą swoją karierę. Nadal nie jest bezpieczna...

- Właśnie dlatego zerwałem z nią. Ostatni raz widzieliśmy się parę miesięcy temu.

- Mimo wspaniałego seksu?

Dan odwrócił się na pięcie, podszedł do regału i otworzył dolne drzwiczki, za którymi znajdowała się niewielka lodówka. Wyjął z niej butelkę dzinu Bombay, nalał sobie trunku do przygotowanej szklaneczki wypełnionej kostkami lodu, wychylił jednym tchem, po czym wyciągnął butelkę w jej stronę. Odmówiła, kręcąc głową.

- Cały ten fałszywy gwałt był dla mnie prawdziwym koszmarem - odparł. - Nie mogłem sobie pozwolić na kontynuowanie naszej znajomości, zwłaszcza po tym, jak prasa zaczęła się rozpisywać o jej fantazjach erotycznych dotyczących gwałtu.

- Nie bał się pan, że Tanjy ujawni prawdę o waszym romansie po tym, jak pan ją rzucił?

- Owszem, trochę się bałem, ale ona stała się mało wiarygodna. Wyszedłem z założenia, że już nikt nie da wiary w jej słowa.

- Tyle że, jak widać, zachowała zdjęcia.

Dan pokręcił głową.

- Byłem w jej mieszkaniu. Miałem klucz. Wykasowałem wszystkie klatki z pamięci aparatu cyfrowego, jak również pliki z twardego dysku komputera.

- Do diabła, Dan, czyżbyś nie wiedział, jak łatwo jest odzyskać z twardego dysku wykasowane pliki?

- Tanjy na pewno nie miała o tym pojęcia. Była piękna i pociągająca, ale nie miała zielonego pojęcia o urządzeniach technicznych. Wszystko trzeba jej było pokazywać krok po kroku. Możesz mi wierzyć, że nie miała szans dotrzeć ponownie do tych fotografii.

- Ale ktoś to zrobił za nią.

Dan machnął ręką ze złością, aż wychlapał trochę dżinu z kryształowej szklaneczki.

- Nikt nie mógł wiedzieć o istnieniu tych zdjęć! Tylko ona i ja wiedzieliśmy, co się naprawdę zdarzyło tamtej nocy w parku.

Serena pokręciła głową.

- Nieprawda.

- Co chcesz zasugerować, do jasnej cholery?!

- Tanjy naprawdę została zgwałcona. Zdarzyło się to w Grassy Point Park, dokładnie w tym samym miejscu, które widać na zdjęciu. Myśli pan, że to tylko zbieg okoliczności?

- Niech to szlag trafi... - syknął. - Wymyśliła sobie całą tę historijkę. Nie było żadnego gwałtu.

- Jonny już wie o dwóch innych ofiarach tego samego gwałciela. Naszym zdaniem Eric pomagał Tanjy ustalić jego tożsamość. Właśnie z tego powodu oboje zginęli.

- Gwałt był wymysłem chorej wyobraźni Tanjy - powtórzył Erickson ze złością.

- Tanjy to panu powiedziała?

Zawahał się na chwilę.

- No, nie... Do końca przysięgała, że mówi prawdę.

- Więc trzeba było jej uwierzyć.

- Pragnąłem się tylko od niej uwolnić. Bałem się, że wiadomości o naszym romansie przeciekną do mediów.

Serena skinęła głową.

- Zatem zdaje pan sobie sprawę, że jeśli powiem Jonny'emu o pańskim romansie z Tanjy, od razu nabierze podejrzeń, że jest pan odpowiedzialny za oba morderstwa?

- Nikogo nie zamordowałem. I nikogo nie zgwałciłem, jeśli już o tym mowa.

- Gdzie pan był w poniedziałek wieczorem, kiedy Tanjy zniknęła? - zapytała Serena.

- W Saint Paul. Rozmawiałem z prokuratorem generalnym na temat mojej przeprowadzki do Waszyngtonu. A potem zostałem na noc.

- Gdzie?

- W hotelu Saint Paul.

- Zna pan jakąś Helen Danning?

- Nie.

- Była bileterką w Ordway Center, mieszczącym się na wprost hotelu, po drugiej stronie parku. Zniknęła bez śladu. Eric widział się z nią na krótko przed tym, nim został zastrzelony.

- Nie znam jej.

Serena spojrzała mu w oczy. Szybko odwrócił wzrok i dopił resztkę dżinu ze szklaneczki.

- I na pewno nie ma pan pojęcia, kto pana szantażuje?

- Chciałbym to wiedzieć. Skopałbym dupsko temu sukiny-nowi.

- Nie sądzę, aby był to ktoś, z kim chciałby pan mieć do czynienia, Dan. Kiedy po raz pierwszy się z panem skontaktował?

- W ubiegły wtorek.

- We wtorek? To znaczy tego dnia, kiedy Tanjy zniknęła. Nie sądzi pan, że to może mieć znaczenie?

- Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, że zaginęła.

- Ale wie pan, co to oznacza? Być może ten sam człowiek zgwałcił i zabił Tanjy, a następnie tak upozorował zdarzenia, żeby cię padł na pana.

- Mimo wszystko opinia publiczna nie może się o tym dowiedzieć - syknął.

- Sprawa i tak ujrzy światło dzienne, wcześniej czy później.

- Zamierzasz powiedzieć o tym Stride'owi?

Serena się zawahała. Musiała jeszcze ocenić wiarygodność swojego zleceniodawcy, co było mniej więcej równoznaczne

z próbą odgadnięcia, co kryje się w kieszeniach prestidigitatora.

- Jeszcze nie teraz.

Odetchnął z ulgą.

- Ale tylko do czasu, póki nie będę pewna, co jest grane - wtrąciła szybko. - Jak tylko zdobędę niepodważalne dowody, będę musiała powiedzieć Jonny'emu o wszystkim. Bo jeśli sprawa rzeczywiście ma na sumieniu gwałty i zabójstwa, trzeba go powstrzymać, nawet gdyby miało to oznaczać ujawnienie prawdy o pańskim romansie z Tanjy.

- Nie do wiary... - syknął.

- A jednak. Wpakował się pan w poważne kłopoty.

### 33.

Maggie skończyła wpisywać mejla na laptopie i jeszcze raz go przeczytała:

HD. Jeśli to ty, musimy porozmawiać. Chyba wiesz, co się stało z moim mężem po tym, jak wpadł na twój trop. Pewnie dlatego natychmiast wyjechałaś. Potrzebuję twojej pomocy. Proszę, skontaktuj się ze mną. M.

Kliknęła przyciskiem myszki polecenie „Send” i treść mejla zniknęła z ekranu. We własnym zakresie odnalazła blog, w którym umieszczała wpisy autorka posługująca się pseudonimem „Dama ze mnie”. Znaczna część wpisów została wykasowana, lecz Maggie udało się wytropić inny blog, na którym kobieta posługująca się tym samym pseudonimem wspominała wielokrotnie, że jako bileterka w Ordway Theater miała okazję oglądać przedstawienie musicalu *Nędznicy*. Zatem musiała to być Helen Danning. Przed ucieczką z miasta postarała się w miarę dokładnie zatrzeć swoje

ślady, kasując wszelkie wpisy na blogach i odebrane odpowiedzi, niemniej wciąż pozostał adres mejlowy, pod który można było spróbować wysłać wiadomość. Maggie nie miała pojęcia, czy ktokolwiek odbierze pocztę pod tym adresem, a nawet, jeśli wiadomość dotrze do Helen, to czy kobieta zdecyduje się odpowiedzieć.

Siedziała przed komputerem w swoich okularach bez oprawki i machała nogami pod fotelem. Z jednej strony klawiatury stała otwarta plastikowa butelka z dietetyczną colą, z drugiej opróżniona do połowy paczka ziemniaczanych chipsów o smaku paprykowo-serowym. Palce prawej ręki miała ubrudzone na czerwono i musiała je oblizywać, nim wcisnęła jakiś klawisz. Zaczęła od nowa przeglądać strony z rezultatami wyszukiwania w sieci nazwiska Helen Danning, lecz ani trochę nie zbliżyła się do wyjaśnienia, kim była ta kobieta i z jakiego powodu Eric zadał sobie tyle trudu, żeby ją odnaleźć.

Światła należące do Stride'a fordą bronco przesunęły się za oknami, gdy wjeżdżał na podjazd przed domem. Kilka minut później usłyszała stuk zamykanych drzwi, a następnie ciężkie kroki w kuchni.

- Tu jestem! - zawołała.

To był jego dom. Maggie miała własny klucz. Po śmierci Cindy często szukała tu schronienia, wpadała z pączkami i kawą albo płytami z wypożyczalni wideo. Czasami Stride przyłączał się do niej, czasami nie. Stało się to elementem łączącego ich luźnego związku. Przestała tu bywać, gdy po raz drugi się ożenił, ale kiedy razem z Sereną po powrocie z Las Vegas kupili sobie dom na mierzei, stopniowo wróciła do starych nawyków. Żadne z nich nie miało nic przeciwko temu. I tak większość spędzanego razem czasu poświęcali na dyskusje o prowadzonym aktualnie śledztwie, więc jej wizyty w tym domu tylko ułatwiały im zadanie.



Zdawała sobie sprawę, że przyjeżdża tu głównie z chęci ucieczki przed Erikiem. Jednakże, niezależnie od Sereny, chciała także być bliżej Stride'a.

Nawet nie podniosła głowy, kiedy wszedł do pokoju. Siedziała w jego fotelu.

- Chcesz chipsa? - zapytała, podnosząc z biurka torebkę.

- Nie, dzięki - odparł, a po chwili dodał: - Czy Abel wie, że tu jesteś?

- Nie. Dziś wieczorem pilnuje mnie Guppo. Obiecałam, że przywiozę mu torebkę tacos, gdy będę wracała, toteż chętnie odwrócił głowę.

- I w ten sposób zhańbił policyjną odznakę - syknął Stride.

- To prawda. Słyszałam, że Pete McKay stracił swój wóz patrolowy.

Stride skinął głową.

- Odebrał wezwanie z liceum. Gdy tam podjechał, usłyszał na tyłach wystrzały petard, a kiedy wrócił na ulicę, radiowozu nie było. Ktoś go sprytnie załatwił.

- Szczeniaki robią gliniarzom coraz sprytniejsze numery.

- Mnie to mówisz?

- Powinniśmy kupić McKayowi skuter wyposażony w syrenę.

- Przekażę mu twoją opinię.

Maggie z uśmiechem odebrała tę ich normalną pozorowaną sprzeczkę, choć zdawała sobie sprawę, że lada moment ów nastrój pryśnie. Stride przysiadł na ceglanej obmurówce kominka. Wciąż miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, od której załatywało dymem i spalenizną. Maggie domyśliła się szybko, czego powinna się po nim spodziewać.

- Czyżby czekał mnie kolejny wykład, tatuśku? - zapytała, po czym dodała teatralnym basem: - Jestem tobą bardzo rozczarowana, młoda damo.

- Nie wygłupiaj się, Mags.

- Przynajmniej wiesz wreszcie, jak twoja mała dziewczynka spędzała weekendy.

- Nie jestem w nastroju do żartów na ten temat.

Zdjęła z nosa okulary.

- Hej, to nadal ja, co nie? Jak zwykle drwię ze wszystkiego. I nie obchodzi mnie, co teraz o mnie myślisz, bo zajmują mnie szalone fantazje o odegraniu roli Jenny Jameson podczas klubowego spotkania.

Obrzucił ją dziwnym wzrokiem, aż odniosła wrażenie, że widzą się po raz pierwszy. W dodatku patrzył na nią ze śmiertelnie poważną miną.

- Tylko mi nie mów, że wystąpisz w blond peruce - odrzekł w końcu.

Zaśmiała się.

- I w staniku ze spiczastymi miseczkami, jak Madonna.

Uśmiechnął się na tyle, że odsłonił czubki białych zębów. Ulga, jaką poczuła, miała siłę fontanny.

- Pewnie chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłam.

- Nie jesteś mi winna żadnych wyjaśnień. To twoje życie prywatne.

- Ale i tak chciałbyś usłyszeć.

Wzruszył ramionami.

- Jasne, że chciałbym wiedzieć, dlaczego się na to zdecydowałaś. Nie będę udawał, że mnie to nie obchodzi, Mags. W końcu mówimy o tobie.

- Czyżbyś podejrzewał, że w ogóle nie mam prawa do seksu? Że nie mogę czerpać z niego przyjemności?

- Absolutnie nie o to mi chodziło.

- Więc wyrażaj się jaśniej. Przede mną nie musisz niczego owijać w bawełnę.

- Seks to jedno - odparł. - Mówimy jednak o kobietach, które rozkładają nogi przed nieznanymi. A do tego ukrywającymi twarze za złotymi maskami.

- I co z tego? Sądzisz, że czyni to ze mnie kurwę?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Więc co?

Sfrustrowany spuścił głowę.

- Po prostu brzydzę się myślą, że mogłaś zrobić coś takiego.

- Niby dlaczego?

- Bo zasługujesz na coś lepszego, nie sądzisz? Bo jesteś kimś wyjątkowym. Bo moim zdaniem żadna kobieta nie powinna się na to decydować, chyba że jakimś sposobem nienawidzi samej siebie, a wolałbym nie zaliczać cię do takiej kategorii.

Maggie zadarła głowę i popatrzyła w sufit, nie chcąc napotkać jego wzroku.

- Ostatnio faktycznie zaczęłam nienawidzić samej siebie,

- Mogłaś mi o tym powiedzieć.

- O rozpadzie mojego małżeństwa? O ciągłych zdradach mojego męża? O próbach ratowania naszego życia seksualnego? Myślałam, że jednak nie mogłam. Chyba że jesteś specjalnie przeszkolony, a świetnie wiem, że tak nie jest. Zatem przyjmij do wiadomości, że są sfery mojego życia prywatnego, którymi nigdy nie zamierzam się z tobą dzielić.

- Więc może w ogóle powinienem dać sobie spokój. W końcu to i tak nie moja sprawa.

- Masz rację, nie twoja. Ale skoro już wiesz o wszystkim, i tak ci powiem, bo w gruncie rzeczy niewiele się za tym kryje. Otóż czułam się pusta i szukałam czegoś, co mogłoby wypełnić tę pustkę. Ponadto miałam nadzieję, że to znowu nas zbliży z Erikiem, choć te nadzieje okazały się płonne. Poza tym, rzecz jasna, byłam zaciekawiona. Myślałam, że przynajmniej ten jeden raz w życiu mogę zaryzykować. Ale to był błąd, jeśli to właśnie chciałeś usłyszeć.

- Tego nie musisz mi mówić.

- Taka jest prawda.

Postanowił szybko zmienić temat, co odebrała z ulgą.

- Czy Serena już ci mówiła, że Katrina też padła ofiarą napaści? Następnego dnia po waszym ostatnim spotkaniu.

- Tak, słyszałam. Nie miałam o niczym pojęcia. Poczulałam się jak kretynka, bo nawet do niej nie zadzwoniłam.

- Ten facet jest cholernie sprytny. Przyjmuje z założenia, że kobieta biorąca udział w spotkaniu klubu erotycznego nie zgłosi napaści i gwałtu, żeby nie ujawnić wszystkiego opinii publicznej.

- Kiedy Sonia organizuje kolejne spotkanie?

- Jutro.

- Szlag by to...! - syknęła Maggie.

- W pełni się zgadzam. Musimy działać błyskawicznie.

Oboje odwrócili się jak na komendę, gdy niespodziewanie otworzyły się tylne drzwi. Do środka weszła Serena z wypakowaną szarą papierową torbą, którą postawiła na kuchennym blacie. Błyskawicznie zrzuciła z nóg pantofelki na wysokich obcasach i dołączyła do nich, usiadła po turecku na dywanie przed kominem.

Maggie zwróciła uwagę, że zajęła pozycję tak blisko Stride'a, że musieli się dotknąć przy najlżejszym poruszeniu.

- Jak leci? - zagadnęła.

Stride skinął głową bez słowa. Maggie wyczuła z jego strony nagłe ochłodzenie atmosfery, jak gdyby zakreślił w powietrzu niewidzialny krąg, w którym znalazł się tylko on z żoną. Dało jej to do myślenia.

- Coś mi umknęło? - zapytała Serena.

- Nie, po prostu kochaliśmy się namiętnie - odparła Maggie. - Teraz to już musztarda po obiedzie.

Ten żart natychmiast wydał jej się głupi. Kiepskie samopoczucie nasilił widok grymasu obrzydzenia na twarzy Sereny.

- Przepraszam, wyskoczyłam jak idiotka - powiedziała.

- Czego się spodziewać po dziewczynce alfa? - odparła półgłosem Serena.

To było bolesne. Maggie zdawała sobie jednak sprawę, że w pełni zasłużyła na taką reakcję.

Pchnęła paczkę chipsów w kierunku Sereny, która szybkim ruchem odgarnęła włosy do tyłu głowy, sięgnęła po chipsa i rozgryzła go z trzaskiem. Ich spojrzenia się spotkały. W jednej chwili lody stopniały, a zastąpiło je milczące porozumienie.

- Dowiedzieliście się czegoś więcej na temat Helen Danning? - zapytała Serena.

Maggie szybko opowiedziała o odkrytym przez siebie pustym blogu, jaki znalazła w sieci pod hasłem „Dama ze mnie”. A Stride wyciągnął z kieszonki na piersi jakąś zmiętą karteczkę.

- Tyle udało się ustalić Guppo - wyjaśnił. - Trzydziestoseściolatka, urodziła się na Florydzie i przeniósła do Minnesoty, kiedy miała dziesięć lat. Rozpoczęła studia uniwersyteckie, ale rzuciła je na początku lat dziewięćdziesiątych, po dwóch latach nauki, i już nigdy do nich nie wróciła. Od tamtej pory pracowała głównie jako sekretarka. Ma czystą kartotekę, nikt też nie wnosił przeciwko niej żadnych zarzutów o charakterze kryminalnym. Jeździ niebieską toyotą corollą o numerze rejestracyjnym NKU 167. Rozesłałem po całym stanie listy gończe za tym autem.

- A jej rodzice?

- Są na emeryturze, żyją w Arizonie. Nie udało mi się z nimi skontaktować. Poza tym ma jeszcze siostrę, która naucza angielskiego gdzieś w Azji Południowo-Wschodniej.

- Nie odkryłeś niczego, co mogłoby ją łączyć z ostatnimi wydarzeniami? - zapytała Serena.

Stride pokręcił głową.

- Niczego.

- Poprosiłam Guppa o przysługę, ciekawa jestem, czy znajdzie jakieś wykasowane linki prowadzące od tego blogu do innych stron sieciowych - powiedziała Maggie. - Może uda mu się trafić na coś, co by nam wyjaśniło, dlaczego Eric zainteresował się właśnie nią.

- Cofnijmy się w czasie - zaproponował Stride. - Wróćmy do początku tej serii zdarzeń. Otóż pierwszym wypadkiem, o ile nam wiadomo, był domniemany gwałt na Tanjy. Zgadza się? Doszło do niego na początku listopada, jeśli wierzyć jej zeznaniom. Rozmawiałem z kilkoma kobietami, które odgrywały rolę dziewcząt alfa podczas wcześniejszych spotkań klubu, i nic złego im się nie przytrafiło.

- Ja zostałam napadnięta jakieś trzy tygodnie po Tanjy - wtrąciła Maggie. - Pamiętam, że kłóciliśmy się z Erikiem na temat ewentualnego doniesienia na policję przez pierwsze dwa tygodnie grudnia. On nalegał, bym to zrobiła, ja się opierałam...

- Nie rozmawiałaś z Tanjy o tym, co cię spotkało? - zapytała Serena.

- Owszem. Eric uważał, że powinnam się z nią skontaktować, chociaż nie miałam na to ochoty. Później zaś zdecydował, że sam z nią porozmawia. Sprawdzałam w wykazie jego rozmów telefonicznych, zadzwonił do niej po raz pierwszy w sobotę w połowie grudnia. W ciągu następnych tygodni wydzwaniał jeszcze kilka razy.

- Dochodzimy więc do przekonania, że Eric jakimś sposobem wpadł na trop powiązania Tanjy z gwałticielem - wtrącił Stride.

Maggie przytaknęła ruchem głowy.

- Wiemy, że wypytywał Tony'ego o patologiczne cechy gwałticiela. Tamtego wieczoru, kiedy został zastrzelony, powiedział mu, że zamierza się z kimś spotkać. Dwa dni wcześniej rozmawiał z Tanjy, a ona po tym również została zamordowana. Podczas weekendu skontaktował się z Helen Danning, która po zabójstwie

Erica w panice uciekła z miasta.

- Nie rozumiem roli, jaką Helen Danning mogłaby odgrywać w tej układance - rzekł Stride. - Wiemy, że w mieście grasuje mężczyzna przejawiający agresję na tle seksualnym, który wziął na cel kobiety uczestniczące w spotkaniach klubu erotycznego. Teraz pojawiła się nowa dziewczynka alfa, Kathy Lassiter, która jutro wystawi się na odstrzał. Gdyby udało nam się schwytać gwałciiciela podążającego jej śladem, może zdołalibyśmy też powiązać go z wcześniejszymi zabójstwami.

- Tyle że Tanjy nie należała do klubu - wtrąciła Maggie.

- To prawda, ale członkiem jest Mitchell Brandt, jej były narzeczony. Eric zapewne to wiedział.

- Mitch? - zdziwiła się zaskoczona Maggie.

- Znasz go?

- Tak, trochę.

Nie powiedziała Stride'owi, że pamięta go ze spotkań klubu. W większości uczestniczący w nich mężczyźni byli niscy i brzuchaci, prawdopodobnie zażywali viagrę w ramach przygotowań do spotkania. Mitch się wyróżniał. Świetnie pamiętała żywe błyski w jego oczach, tajemniczy uśmiezek i silne ręce, których dotyk bywał nadzwyczaj delikatny. Zaraz jednak poczuła się nieswojo, jak gdyby Stride czytał w jej myślach.

- Nie twierdę, że Mitch ma z tym coś wspólnego - rzekł - ale jest elementem łączącym Tanjy z klubem.

- W jego aktach nic nie ma? - zapytała Serena.

- W każdym razie nic ciekawego. Dzwoniłem do Komisji Bezpieczeństwa Obrotu Giełdowego, żeby sprawdzić, czy nie było na niego skarg klientów, ale tam nawet za bardzo nikt nie chciał ze mną rozmawiać.

- Więc co zamierzasz dalej? - zacięła się Maggie.

- Będziemy obserwować klub. Sonia zaproponowała, że może odwołać jutrzejsze spotkanie, ale uznałem, że nie o to chodzi.

Mamy szansę przyskrzynić tego faceta. Po spotkaniu pojedziemy śladem dziewczyny alfa, w nadziei, że i tym razem weźmie ją na cel.

- Zakładając, że ta kobieta zgodzi się wystąpić w roli przynęty - podsunęła Serena.

- Porozmawiam z nią.

- A co z Ablem? - zapytała Maggie. - Nie możemy zorganizować takiej akcji inwigilacyjnej, będąc samemu na ekranach radaru. Trzeba go wciągnąć do działania.

Stride pokiwał głową.

- Tak, najwyższa pora podjąć próbę przeciągnięcia Abła na naszą stronę.

- Jest coś jeszcze - dodała Serena. - Nie sądzicie, że przydałby się nam ktoś uczestniczący w spotkaniu klubu?

W pokoju zapadła grobowa cisza.

- Mówisz poważnie? - wybąkał wreszcie Stride.

- Jak najbardziej. Trzeba by ocenić reakcję członków klubu na nową dziewczynę alfa. Jeśli to Mitchell Brandt jest naszym obiektem, chciałabym zobaczyć zawczasu, jak się zachowuje.

Stride pokręcił głową.

- Nie mogę wysłać policjanta na tego typu spotkanie.

- I nie mogę to być ja - wtrąciła szybko Maggie. - Teraz, kiedy jestem podejrzana.

- W porządku - rzekła Serena. - Wezmę to na siebie.

- Wykluczone - zaprotestował Stride.

- Daj spokój, Jonny. Przecież nie wejdę na salę główną. Sam mówiłeś, że jest tam ściana z półprzepuszczalnych luster.

Maggie zmarszczyła brwi.

- Zgadza się.

- I tak mi się ten pomysł nie podoba - syknął.

- Będę za ścianą sama. Niczego nie ryzykujemy.

- Niczego? Nie wiemy przecież, kim jest ten człowiek i co go



łączy z klubem. Może być w dowolnym miejscu.

- Może i tak, ale będziemy mieć nad nim przewagę - powiedziała Serena. - On nie będzie wiedział, że zastawiliśmy na niego pułapkę. Powinniśmy przynajmniej wyprzedzić go o krok.

*On nie będzie wiedział, że zastawiliśmy na niego pułapkę.*

Kilometr dalej siedział w zaparkowanej oszronionej furgonetce i nadstawiał ucha.

Szyby od środka całkiem zaparowały. W ciemności, na skraju lasu porastającego cypel mierzei, samochód był prawie niewidoczny. Porywisty wiatr nacierał na niego od strony jeziora, co kilka sekund wóz kołysał się na resorach, a blaszane ściany aż jęczały pod naporem. Przypomniały mu się te chwile, kiedy siedział skuty na tylnym siedzeniu wozu patrolowego, a huragan zbliżał się błyskawicznie. Wtedy był jeszcze więźniem.

Nasłuchując szczegółów planu zastawienia na niego pułapki w klubie, uśmiechał się szeroko. Jutro wieczorem zamierzał bowiem uwolnić wszelkie demony, jakie w sobie zgromadził. Jutro wieczorem to Serena miała wpaść w zastawioną przez niego pułapkę.

## 34.

Nazajutrz wczesnym rankiem Stride siedział w ciszy swojego gabinetu w budynku ratusza. Reszta pomieszczeń wydziału dochodzeniowego tonęła jeszcze w ciemności, gdy on już sączył kawę i przekładał papiery. W pewnej chwili usłyszał ciche kaszlenie. Podniósł głowę i popatrzył na stojącego w drzwiach Abła Teitschera. Starszy detektyw miał na sobie brązowy garnitur i brudne czarne buty, ręce trzymał w kieszeniach. Jego poryta zmarszczkami i spalona słońcem twarz przypominała starą mapę

Dzikiego Zachodu z wijącymi się rzekami i krętymi drogami.

- Odebrałem wiadomość, że chcesz się ze mną zobaczyć - rzekł.

- Zgadza się. Siadaj, Ablu.

Teitscher zamknął drzwi i usiadł na krześle stojącym na wprost biurka inspektora, daleko wyciągając przed siebie długie patykowate bocianie nogi.

- Czemu szcysz mi do basenu?

Stride zignorował tę zaczepkę.

- Owszem, można i tak to nazwać.

- Nie zamierzam cię kryć, poruczniku. Jeśli stracisz przez to robotę, nie miej do mnie pretensji.

- Zgoda.

Teitscher się zaczerwienił.

- Ścinasz zakręty i myślisz, że nikt cię nie podkabljuje? Gdybym ja tak samo olewał ewidentny konflikt interesów, już dawno przypłaciłbym to własnym dupkiem.

- Możliwe.

Teitscher pochylił się w stronę biurka.

- Ale najbardziej wkurza mnie to, że nie okazujesz mi ani grama szacunku.

- Źle to wszystko odbierasz, Abel.

- Źle? Kopiesz pode mną dołki, sabotujesz moją robotę, w ten sposób narażasz całe przekłete dochodzenie. Tak samo byś postępował, gdyby prowadził je ktoś inny?

- Posłuchaj, Abel. Tu nie chodzi o ciebie, tylko o tę sprawę. Zamierzasz wysłuchać, co mam do powiedzenia, czy dalej będziesz chrzanił głupoty?

Teitscher wzruszył ramionami. Zdjął okulary, przetarł szkła czubkiem krawata i rzucił:

- Słucham.

- Wiem, że dowody przeciwko Maggie są silne. Odwaliłeś

kawał dobrej roboty, składając tę sprawę w sensowną całość, i do tej pory nikt ci nawet nie podziękował. Tak to już jest w tej robocie. Ale chcę ci powiedzieć, jako śledczemu i koledze, że istnieje drugi, równie wiarygodny motyw zabójstwa Erica, niemający nic wspólnego z Maggie. - Abel otworzył już usta, żeby zaoponować, lecz powstrzymał go, unosząc rękę. - Wcale nie zamierzam cię prosić, żebyś mi uwierzył. Pragnę tylko, byś zachował otwartą głowę.

- Mówisz jak obrońca na sali sądowej - rzucił Teitscher.

- Po prostu mnie wysłuchaj.

Tamten machnął ręką, dając w ten sposób znak, żeby mówić dalej. Stride przedstawił mu całą historię, wyluszczaając wszystko, co udało mu się do tej pory stwierdzić. Niczego nie zataił. Powiedział o gwałcie na Maggie, o klubie erotycznym, dziewczynkach alfa, o Helen Danning. Wyjawił, czego się spodziewa na podstawie poznanych faktów, akcentując to, że właśnie seria gwałtów w mieście mogła stać się przyczyną śmierci Tanjy i Erica.

Kiedy skończył, popatrzył w oczy Ablowi, który ewidentnie starał się połączyć usłyszane rewelacje ze znanymi sobie faktami.

- Klub erotyczny? - zapytał po chwili niepewnie.

- Zgadza się.

- Potwierdziłeś już tę informację? Masz dowody?

- Mam nazwiska członków klubu, daty spotkań, kopie podpisanych zobowiązań do zachowania tajemnicy. Na tej liście są niemal sami przedstawiciele tutejszej socjety.

Teitscher w uśmiechu obnażył poźółkłe siekacze.

- Jak brzmi to stare powiedzenie? Bogacze są inni? W tym świetle to brzmi jak żart. Takie dochody, a oni pakują się w najgorsze szambo.

- W pełni się z tobą zgadzam, ale to niczego nie zmienia - odparł Stride.

- Więc po co opowiedziałeś mi o tym wszystkim? Mogłeś przecież poczekać, aż uda ci się na własną rękę rozwiązać sprawę. Wyszedłbym wtedy na idiotę.

- Potrzebna mi twoja pomoc.

Teitscher zmarszczył brwi.

- Widziałbym to zdecydowanie inaczej.

- Następne spotkanie klubu ma się odbyć dzisiaj - wyjaśnił Stride. - Chcę cię prosić o pomoc w zorganizowaniu grupy obserwacyjnej. Musimy wiedzieć, kto na nie przyjdzie i kto wyjdzie. Poza tym konieczna jest całodobowa obserwacja nowej dziewczynki alfa, Kathy Lassiter. Jeśli dobrze to rozegramy, ona może nas doprowadzić do gwałciiciela. Chcę cię prosić, byś objął osobiście nadzór nad zespołem obserwacyjnym.

- Co będziemy konkretnie robić?

- Najpierw muszę porozmawiać z tą Lassiter i przekonać ją, żeby podjęła ryzyko ze względu na okazję schwywania bandyty.

Teitscher z kwaśną miną podrapał się po brodzie.

- Nie przekonałeś mnie jeszcze co do niewinności Maggie.

- Rozumiem.

- Ale byłbym tępym krawężnikiem, gdybym zlekceważył taką okazję. Chcę udowodnić, że jestem dobrym gliniarzem, niezależnie od tego, co wszyscy o mnie myślicie.

- Ja wiem o tym, że jesteś dobry.

Teitscher wstał z krzesła.

- W porządku, puszcę w ruch maszynkę do zorganizowania grupy obserwacyjnej.

- Dzięki, Abel. Myślę, że szczegóły dotyczące istnienia tego klubu erotycznego oraz działalności gwałciiciela powinny na razie zostać między nami.

- Zamierzasz to wykorzystać przeciwko mnie?

- Nie, chcę tylko, byśmy nie zdradzili się przedwcześnie. Im więcej ludzi będzie znało szczegóły akcji, tym łatwiej o jakiś przeciek.

- W porządku. Rozumiem.

Stride odprowadził wzrokiem wychodzącego Teitschera. Cieszył się z zawartego zawieszenia broni, które jednocześnie otwierało mu szerszy dostęp do toczącego się śledztwa. Ale była to jedyna rzecz optymistyczna. Cała reszta napawała go głębokim niepokojem, czuł się jak skoczek gorączkowo usiłujący rozplatać linki spadochronu, zerkający na przybliżającą się szybko ziemię. Gdzieś w głębi ducha pragnął, żeby Kathy Lassiter wyciągnęła wtyczkę z kontaktu, odwołała swój udział w spotkaniu, a tym samym uniemożliwiła Serenie obserwację zabawy przez półprzezpuszczalne lustro. Martwiło go niebezpieczeństwo, na jakie obie miały się narazić.

Zaskoczył go dzwonek telefonu. Było jeszcze bardzo wcześnie. Odczytał z ekraniku, że nieznany rozmówca dzwoni z rejonu o kierunkowym 312, a więc z terenu Chicago.

- Słucham, Stride.

- Wcześnie jest pan na komendzie, poruczniku. To mi się podobają.

- Kto mówi? - zapytał ostro.

- Nazywam się Philip Proutz i pracuję w Komisji Bezpieczeństwa Obrotu Giełdowego, w chicagowskiej centrali na Środkowy Zachód. Zajmuję się dochodzeniami w sprawach nieprawidłowości pracy maklerów.

- Tak, rozumiem - odparł sztywno Stride.

Tamten musiał wyczuć jego rezerwę, gdyż rzekł:

- Jeśli chce pan potwierdzić moją tożsamość, proszę zajrzeć na naszą stronę sieciową, odczytać z niej numer telefonu i oddzwonić do mnie przez centralę.

- Niech się pan nie gniewa, panie Proutz, ale chyba rzeczywiście tak zrobię.

Po kilku minutach usłyszał w słuchawce ten sam głos.

- W porządku. Zatem czym mogę panu służyć, panie Proutz? - zapytał.

- Kontaktował się pan wczoraj z naszym biurem, poruczniku, w sprawie brokera z Duluth, niejakiego Mitchella Brandta. Chciałbym poznać przyczyny pańskiego zainteresowania tym człowiekiem.

- Przykro mi, ale nie mogę na razie o tym mówić - odparł inspektor.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że jeśli ma to coś wspólnego z poufnymi działaniami pana Brandta, będziemy zmuszeni przekazać sprawę służbom federalnym? To nasza jurysdykcja.

Stride się zawahał.

- Prowadzone przez nas śledztwo nie ma nic wspólnego z działalnością zawodową Mitchella Brandta.

- Aha - mruknął najwyraźniej zaskoczony Proutz. - Czy znana jest panu firma „Infloron Medical”?

- Nigdy o niej nie słyszałem. Teraz to pan wzbudza moje zainteresowanie, panie Proutz.

- Rozumiem. Myślałem, że oszczędzimy sobie wzajemnie czasu, jeśli pracujemy nad tą samą sprawą, tylko z różnych stanowisk. Otóż „Infloron Medical” to spółka publiczna z siedzibą w „Bliźniaczych Miastach”, która wytwarza lek o nazwie Zerax wspomagający regenerację tkanek u ludzi z rozległymi poparzeniami. Ostatnio specyfik ten zyskał przychylną opinię Urzędu do spraw Żywności i Leków.

- Nie rozumiem powiązań - wtrącił Stride.

- Po uzyskaniu przez zerax minionej jesieni akceptacji komisji wartość akcji „Infloronu” zwiększyła się ponad dwukrotnie. Celem naszego dochodzenia stało się kilka zagadkowych nabytków dużych pakietów akcji tej firmy krótko przed ogłoszeniem decyzji. Naszym zdaniem, Mitchell Brandt mógł być potajemnym inicjatorem tych zakupów bazujących na nielegalnym rozpowszechnieniu poufnych informacji.

## 35.

Serena stała przy oknie gabinetu Tony'ego wychodzącym na brązowy zagajnik za domem. Patrzyła na liczne ślady sarnich raciczek odcisnięte w śniegu. Były wszędzie, zostawione jak gdyby specjalnie dla niej.

- Masz stąd piękny widok, Tony - mruknęła, nie oglądając się do tyłu.

Psychoterapeuta siedział w obitym skórą fotelu przy sofie, sączył drobnymi łyżkami kawę i czekał, aż ona przestanie nerwowo dreptać po całym gabinecie. Nie zachęcał jej do mówienia. Miał na sobie brązowy garnitur, wypolerowane do połysku brązowe buty i dobrany do nich krawat.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, że zgodziłeś się mnie przyjąć w tak ekspresowym tempie - powiedziała.

- Mówiłaś, że masz bardzo ważną sprawę.

Serena skinęła głową. Doszła do wniosku, że jeśli wystarczająco długo postoi przy oknie, na pewno zobaczy jakąś sarnę przebiegającą między drzewami. Zdarzało się to już wcześniej. Widziała tu nie tylko sarny, ale także oposa, zające, a raz nawet lisa. Rudy drapieżnik z puszystym ogonem okazał się dużo mniejszy niż sądziła.

Odwróciła się w końcu, podeszła do sofy i usiadła. Nerwowo zaczęła odgarniać włosy do tyłu. Tony wciąż milczał.

- Co by się stało, gdybyś wybrał jakiś inny kolor ubrania niż brązowy? - zapytała.

- Głowa by mi pękła.

Zaśmiała się krótko.

- Pewnie wiesz, że Maggie często żartuje na ten temat.

- Owszem, zaczęła drwić z moich nawyków ubraniowych dobre dziesięć lat temu.

- Czyżby miały na celu uspokojenie twoich pacjentów?  
- Moich pacjentów? - zdziwił się Tony. - Nie. Chodzi o mój spokój ducha. Brązowy to kolor mojej zbroi. Nawiasem mówiąc, to także tajemnica handlowa, więc z łaski swojej nie mów o tym nikomu.

- Nawet Maggie?

- Zwłaszcza jej.

Serena zabębniła palcami o poręcz sofy.

- Muszę dziś wieczorem zrobić coś, co napawa mnie niepokojem - przyznała po chwili.

- Rozumiem.

- Chciałabym usłyszeć twoją radę, jak sobie z tym poradzić.

- Dobrze.

Nigdy jej nie ponaglał, co niekiedy doprowadzało ją do szału, zwłaszcza wtedy, gdy zależało jej na uzyskaniu konkretnych i szczegółowych rad, jak powinna radzić sobie z brzemieniem, które dźwigała na własnych barkach. Zdawała sobie sprawę, że to głupie podejście. Ale w końcu chciała mieć jakieś wymierne korzyści z tych sesji terapeutycznych.

- Najpierw porozmawiajmy o czym innym - zaproponowała. - O Ericu.

Nie odpowiedział. Kiedy podniósł filiżankę z kawą do ust i przechylił ją wysoko, ponad jej krawędzią widoczne były tylko jego duże oczy jak u ogara.

- Nie wspominał o swoim spotkaniu z Helen Danning?

- Nie.

- A może Helen Danning była kiedyś twoją pacjentką?

- Nie.

- No cóż, najprostsze mamy już za sobą - oznajmiła. - Zauważyłeś, że nie jestem taka podekscytowana, jak na początku?

Znowu nie odpowiedział.

- Czy nie powinienesz mnie wypytywać i naciskać, żeby uzyskać jak najwięcej informacji?



- Niby jak? Miałby ci wstrzyknąć serum prawdy?

- Tak, wiem. - Serena westchnęła głośno. - No, dobra, sama ci powiem o tym, co może już słyszałeś od innych pacjentów. Zdaję sobie sprawę, że nie przyznasz się do tego, nawet gdybyś o wszystkim już wiedział. Otóż w naszym mieście działa klub erotyczny. Jest takie miejsce, gdzie ludzie samotni i pary spotykają się regularnie, żeby uprawiać seks ze sobą nawzajem oraz z kobietami występującymi jako „ochotniczki”.

- Rozumiem.

- Mam obserwować spotkanie w tym klubie dziś wieczorem dla dobra prowadzonego dochodzenia. Nie jestem członkinią tego klubu, będę jedynie bierną obserwatorką spotkania.

- I jak się na to zapatrujesz?

- Nerwowo - odparła. - I to dużo bardziej, niż byłabym gotowa przed kimkolwiek się do tego przyznać. Boję się, że mogę nie wytrzymać. Nie wiem, czy na widok starszego faceta uprawiającego seks z młodą nieznajomą nie najdą mnie wspomnienia z własnych kontaktów z Niebieskim Psem.

- Nie dają ci spokoju? - zapytał.

- Chwilami.

- Zdarzyło ci się już stracić nad sobą panowanie?

- Nie. Jeszcze daję sobie radę.

- Więc na jakiej podstawie się obawiasz, że możesz je stracić dziś wieczorem?

- Bo to będzie dużo bardziej jednoznaczna sytuacja. Nie tylko wrażenie psychiczne, od którego łatwo się uwolnić. Ci ludzie będą się zabawiać na moich oczach.

- Zdaje się, że już rozumiem - rzeki Tony. - Znów czujesz się jak piętnastolatka, nie masz żadnej kontroli nad swoim losem, nie masz żadnego wyboru. Czujesz się bezradna i zagubiona. Zgadza się?

Serena uniosła wzrok do nieba.

- Nic podobnego.

- Więc nie czujesz się jak piętnastolatka? Możesz w jakimś stopniu kontrolować swoje życie?

- Czasami potrafisz być strasznie upierdliwy, Tony.

- Domyślam się, że ludzie przychodzą na spotkania tego klubu, gdyż sądzą, że zdołają się erotycznie rozładować. Dla ciebie nie będzie to przygoda erotyczna?

- Nieszczególnie. Ale jestem ciekawa, jak to jest.

- I co?

- Dlatego też mam trochę poczucia winy z tego powodu.

- Więc co właściwie nie daje ci spokoju? Twoje zdenerwowanie czy poczucie winy?

- Sama nie wiem. W końcu to prawie to samo.

Terapeuta skinął głową.

- Mogę ci dać pigułki, które całkowicie uwolnią cię od wszelkich uczuć i emocji związanych z tym nietypowym zadaniem.

Spojrzała na niego.

- Co to za pigułki?

- W gruncie rzeczy wszystko jedno. Jakie byś wolała? Aspirynę? A może witaminy?

- Bardzo śmieszne.

Wzruszył ramionami.

- Sądząc po tym, co mówisz, czujesz się dokładnie tak, jak należałoby się spodziewać w podobnej sytuacji. Nic na to nie poradzę, że te odczucia ci nie pasują. Jedyнным problemem pozostaje to, jak sobie z nimi poradzisz i czy zdołasz nad nimi zapanować, czy też im ulegniesz. Zdaję sobie sprawę, że jako piętnastolatka nie miałaś większych szans, żeby zapanować nad tymi uczuciami. Na szczęście...

- Nie jestem już piętnastolatką - wpadła mu w słowo.

Tony rozłożył szeroko ręce.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - podjęła Serena. - Że nie będzie łatwo.

- Nigdy nie twierdziłem, że to proste.

- W dawnych kiepskich czasach najczęściej uciekałam. Wydzieliłam takie miejsce w moich myślach, które nazwałam pokojem nicości. Zamykałam się w nim i niczego nie czułam. W ten sposób radziłam sobie z problemami.

- Ale?

- Ale po jakimś czasie utknęłam w nim. Nie mogłam się wydostać. Miałam wrażenie, jakbym spędzała całe życie w tym pustym pokoju. Dopiero gdy poznałam Jonny'ego, zdołałam się z niego wydostać i oto teraz, co przeraża mnie bardziej niż cokolwiek innego, stoję przed perspektywą powrotu do tego pokoju.

Tony pochylił się w jej stronę i oparł łokcie na kolanach.

- Zawsze możesz uciec od tego, kim jesteś, Sereno, ale wcześniej czy później będziesz znowu musiała stawić czoło swojej przeszłości. I dopiero wówczas przyjdzie dla ciebie czas na decyzję, czy możesz w końcu ostatecznie wziąć z nią rozbrat.

Stride jechał autostradą biegnącą wzdłuż północnego brzegu jeziora, zdającą się utrzymywać je w ryzach na odcinku od Duluth do Two Harbors. Dzień był wspaniały, w górze czyste błękitne niebo tworzyło sklepienie jak w gigantycznej katedrze. Trochę już zapomniał, jak wygląda słońce, w każdym razie nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zmusiło go podczas jazdy do włożenia ciemnych okularów. Jego blask kładł się na wodzie szeroką roziskrzoną smugą. Do tego panował spokój, ruch na drodze był niewielki. Gdyby nie ujemna temperatura, można by odnieść wrażenie, że to letni dzień. Tymczasem po wschodzie słońca mróz chyba jeszcze przybrał na sile.

Odnalazł domek letniskowy Kathy Lassiter jakieś piętnaście kilometrów na północ od miasta. Miał dobre kilkadziesiąt lat, był duży i solidny, piętrowy, z dużymi oknami wychodzącymi na

jezioro. Pokrywała go warstwa świeżej szaroniebieskiej farby połyskującej w słońcu. Rozległa, wieloakrowa działka była porośnięta lasem, wyróżniał się jedynie duży prostokąt niemal dziewiczego śniegu, pośrodku którego stał dom. Zaparkował na rozjeżdżonym błotnistym podjeździe za audi należącym do gospodyni. Zanim zdążył wysiąść, drzwi się otworzyły i na ganek wyszła kobieta w kasztanowo-srebrzystym elastycznym kostiumie do joggingu oraz fluorescencyjnie jaskrawych adidasach. Ciemno-blond włosy miała zebrane w koński ogon.

- Pani Lassiter? - zawołał.

Zeskoczyła na podjazd i podbiegła do niego.

- Czym mogę służyć?

Przedstawił się. Na jej twarzy odmalował się wyraz lekkiego zaskoczenia. Poprosiła go o okazanie legitymacji służbowej, a przyjrząwszy się dokładnie odznace, zapytała:

- O co chodzi? To sprawa natury prawnej?

Przypomniał sobie, że ona jest współniczką dużej kancelarii prawnej z Minneapolis.

- Nie, ale bardzo pilna. Czy możemy porozmawiać w domu?

Pokręciła głową.

- To pora mojego joggingu. Muszę się porozciągać. Proponuję, żeby przeszedł pan ze mną na drugą stronę autostrady i wyluszczył mi po drodze, o co chodzi.

Przeszli przez szosę na niewielki leśny parking nad samym jeziorem. Duży stół piknikowy z drewnianymi ławami do połowy zasypał śnieg, za nim lazurowe fale z uporem nacierały na oblodzoną kamienistą plażę. Zmrożony śnieg zaskrzyphiał im pod stopami. Gałęzie otaczających ich wyniosłych sosen zwieszały się nieruchomo w stojącym powietrzu.

Lassiter podniosła wysoko lewą nogę, oparła piętę na brzegu stołu i zaczęła ćwiczyć skłony, prawie dotykając czołem kolana. Po chwili zacisnęła dłonie na łydce, obróciła głowę w bok i utkwiała

w inspektorze spojrzenie inteligentnych piwnych oczu. Przekroczyła już czterdziestkę i była bez makijażu, przez co uwidaczniały się jej mocno zaróżowione policzki i zaczerwienione rozdęte skrzydełka nosa.

- Więc o co chodzi, poruczniku? - zagadnęła zniecierpliwiona. Postanowił od razu przejść do rzeczy.

- O dzisiejsze spotkanie w klubie erotycznym.

Wzruszyła ramionami, zanim wykonała kolejny skłon.

- Tak? I co?

- Jeśli się nie mylę, ma pani odgrywać rolę tak zwanej dziewczynki alfa.

- To już nie pańska sprawa, jasne? - Stała wyprostowana i zaczęła ćwiczyć obroty w jedną i w drugą stronę. - To nie jest żadne wykroczenie. Od kiedy to staliście się policją strzegącą moralności?

- Nie chodzi o moralność. Dwie dziewczyny alfa zostały napadnięte po ich... występach w tym klubie.

Lassiter przerwała ćwiczenia i skrzyżowała ręce na piersiach. Oddychała spokojnie i miarowo.

- Jest pan pewien?

- Tak.

Wróciła do przerwanych ćwiczeń, ale przygryzła wargi w zamysleniu.

- Sugeruje pan, że powinnam zrezygnować?

- Ani trochę bym się nie dziwił, gdyby pani to zrobiła.

- Ale chodzi panu po głowie coś innego, prawda? - podchwyciła.

- Owszem. Gdyby spotkanie zostało odwołane, stracilibyśmy okazję schwytania sprawcy. Niewykluczone, że zacząłby szukać innych ofiar.

- Innymi słowy, ma pan nadzieję, że tym razem ruszy za mną.

- Dostanie pani ochronę. Obejmiemy panią całodobową obserwacją.

- To nie będzie takie łatwe. Dwa razy w tygodniu podróżuję między Duluth a „Bliźniaczymi Miastami”. Moja kancelaria ma siedzibę w Minneapolis.

- Zajmuje się pani obsługą prawną firm, zgadza się?

- Tak. Zwłaszcza przepisami federalnymi dla tworzących się przedsiębiorstw.

- Praca niemal na okrągło, za to dobrze płatna.

- Płatna całkiem nieźle, ale jak ktoś chce się naprawdę wzbogacić, nie powinien brać honorariów według stawek godzinowych - odparła.

Zerknął na duży i kosztowny dom letniskowy po drugiej stronie szosy.

- Czteryście tysięcy rocznie to już nie taki duży przychód jak kiedyś, co nie?

- Jeśli już to pana interesuje, to rzeczywiście stracił na wartości. Proszę sobie porównać, ile dzisiaj wyciągają rozchwytywani radcy prawni, zatrudniani na zlecenia przez rady nadzorcze powstających przedsiębiorstw. Skądinąd wiem, że prawnicy nie budzą specjalnej sympatii u gliniarzy pobierających państwowe pensje.

- Proszę się nie martwić, i tak bym się z panią nie zamienił na stanowiska. W każdym razie pani częste podróże nie stanowią większego problemu. Blisko współpracujemy z policją z „Bliźniaczych Miast”, a nasza drogówka może zapewnić pani ochronę w nieoznakowanych wozach patrolowych przez całą drogę.

- Czy ten facet już kogoś zamordował? - zaciekawiła się Lassiter.

Stride zmarszczył brwi.

- Podejrzewamy, że może być zamieszany w dwa zabójstwa mające na celu ukrycie jego tożsamości. Do tej pory nie zamordował

jeszcze żadnej dziewczyny alfa, ale nie chcę pani oszukiwać, to zadanie ryzykowne i niebezpieczne. W pełni zrozumiem, jeśli postanowi pani się z tego wycofać.

- A pańskim zdaniem będę bezpieczna, jeśli odwołam swój udział w dzisiejszym spotkaniu?

- Trudno powiedzieć. Nie znamy tożsamości tego mężczyzny, nie wiemy, skąd czerpie informacje. Może już poznał pani nazwisko.

- Więc mogę się stać jego celem, gdy wezmę udział w spotkaniu, ale też, gdy z niego zrezygnuję.

- Niestety, tak.

Lassiter wskoczyła na ławkę i przysiadła na wolnym od śniegu brzegu stołu.

- Jestem rozczarowana, poruczniku. Wielkie nadzieje wiązałam z tym dzisiejszym wieczorem. Klubowe spotkania zawsze traktowałam jako dawkę niewinnego grzechu. Kiedy poświęca się prawie cały czas na wypełnianie formularzy podatkowych i troskę o stan prawny spółek w rodzaju „Sarbanes-Oxley”, trzeba zrezygnować z życia towarzyskiego, nie mówiąc już o seksualnym. Jestem rozwiedziona, mój syn studiuje w college'u. Proszę mi wierzyć, że napalona prawniczka po czterdziestce ma w tym zakresie naprawdę niewielki wybór.

- Czy to znaczy, że jednak chce się pani wycofać?

Pokręciła głową.

- Nie, wezmę udział w spotkaniu. Tyle że nie będzie ono już takie samo, na jakie się zapowiadało. Proszę mnie jeszcze zapewnić, że w środku nie będzie żadnych ukrytych kamer i przebieg spotkania nie zostanie sfilmowany. Wolałabym uniknąć niespodzianki w rodzaju pojawienia się tych nagrań w Internecie, ponieważ jakiś gliniarz postanowił zarobić na boku parę groszy i sprzedać któremuś portalowi zdjęcia z mojego pornograficznego debiutu.

- Nie będzie kamer.

- To dobrze. Chciałabym także poznać szczegóły waszej całodobowej obserwacji. Każdy element musi zyskać moją akceptację. Zgoda?

- Oczywiście. Przyślę do pani detektywa o nazwisku Teitscher, Abel Teitscher. Z nim omówi pani szczegóły. Ze swej strony także proszę o zachowanie wszystkiego w tajemnicy.

Lassiter się zawahała.

- Będzie z tym jakiś kłopot? - zapytał.

- Nie, skądże znowu. Chodzi tylko o to, że znam ludzi należących do klubu. Są niegroźni.

- Sprawca napadów wcale nie musi być stałym członkiem klubu - odparł. - Nie wiemy, kto komu przekazuje informacje. Są dziesiątki dróg, którymi mogą wyciekać tajemnice.

- Owszem, to prawda - przyznała.

Wstała, zeskoczyła z ławki, wróciła truchtem na pobocze szosy i nie zwalniając, skręciła na północ.

## 36.

Stride siedział wpatrzony w pogrążoną w półmroku ulicę ciągnącą się za przydymioną szybą cadillaca, którego pożyczył od adwokata mieszkającego po sąsiedzku na mierzei. Korzystał z jego auta czasami, gdy musiał prowadzić obserwację, a nie chciał, by samochód wyróżniał się spośród innych parkujących w danej okolicy. Teitscher siedział obok niego, sztywny, jakby kij połknął, aż strzechą siwych włosów dotykał podsufitki samochodu. Zdawał się w ogóle nie mrugać. Tylko co kilka minut palcem wskazującym przeczesywał wąsy. Była to jedyna oznaka jego zdenerwowania.

Stride także się denerwował. Po raz kolejny uzmysłowił sobie, że czym innym jest układanie planów stałej obserwacji, wpinanie



w mapę kolorowych znaczników oznaczających wozy patrolowe i ustalanie ewentualnych dróg ucieczki poszukiwanego, a zupełnie czym innym siedzenie w aucie przed obserwowanym lokalem, w otoczeniu głębokich cieni, w których mogłaby się ukryć cała armia zbirów. W komendzie łatwo się ustalało granice terenu otoczonego kordonem, chociaż nie było pewności, czy uciekinier i tak się nie wymknie. Ale tu, w terenie, nie dało się ogarnąć całego obszaru ani być we wszystkich punktach kontrolnych równocześnie.

Do spotkania pozostała jeszcze godzina.

W czasie pobytu Kathy Lassiter na spotkaniu w jej domu letniskowym służbę miał objąć policjant z sekcji patrolowej, a gliniarze w drugim radiowozie mieli oko na drogę między siedzibą klubu a jej domem. Przez kilka następnych dni nieoznakowany wóz z wydziału dochodzeniowego z dwoma śledczymi miał przez całą dobę pozostawać w obrębie pięćdziesięciu metrów od domu letniskowego Lassiter. Dodatkowo zainstalowano w nim system alarmowy, który powinien zaalarmować oba posterunki w wypadku naruszenia przez jakiegokolwiek intruza granic strefy strzeżonej. Zatem gdyby znalazł się ktoś usiłujący włamać się do ekskluzywnego domu letniskowego, patrol na obu posterunkach powinny zostać zaalarmowane w ciągu pół minuty.

Tutaj, pod klubem, na okalających teren ulicach, czuwały załogi paru wozów patrolowych, nie mówiąc już o policjantach przemierzających ów obszar pieszo w regularnych odstępach czasu. Jeśli gwałcieciel nie należał do stałych członków klubu, istniała spora szansa, że zbliży się do budynku, chcąc zachować kontrolę nad pojawieniem się i późniejszym wyjazdem nowej dziewczynki alfa.

Stali kilkadziesiąt metrów od domu Soni Bezac. Kilka okolicznych posesji nadal zdobiły sznury świątecznych lampek choinkowych, znaczących linie ich dachów. A na frontowych podwórzach stały roztopiające się bałwany, które sprawiały wrażenie oszukanych

i zawiedzionych. Posiadłość Soni Bezac trudno było nazwać przytulną, kiedy miało się świadomość, że niedługo spora grupa mężczyzn i kobiet będzie tu uprawiała seks z nieznanymi sobie partnerami, nie mówiąc już o gwałcieliu, którego poczynania burzyły krew w żyłach lokalnej społeczności. Mimo woli w myślach Stride'a pojawiał się obraz pustej nocą wiejskiej drogi, po której pod oświetlone okna farmy podjeżdżał samochód, a z niego samotny mężczyzna obserwował z lubością intymne życie ludzi, którym mógł jedynie zazdrościć. Ale było to tylko złudzenie. Ludzie mieszkający w tutejszych gospodarstwach niewiele różnili się od statystycznych mieszkańców innych okolic, wśród których mężczyźni pili, ich starzejący się rodzice z wolna konali, a dzieci próbowały wymyślić nowy sposób samobójstwa z powodu zawodu miłosego. Jedyne romantyczne efekty ich życia codziennego pozostawały w jego wyobraźni.

Miał wielką ochotę zapalić, ale nie mógł sobie na to pozwolić w samochodzie. Dlatego tylko przebierał palcami na kierownicy. Nie mógł się też uwolnić od uczucia lęku, a w zasadzie od wrażenia, że przeoczyli coś nadzwyczaj istotnego.

- Co jeszcze powiedział ci komisarz w sprawie domniemanej intrygi handlu akcjami? - zagadnął niespodziewanie Teitscher.

- Odebrali anonimowy donos, ale nie zdołali ustalić powiązań między Mitchellem Brandtem a którymkolwiek z członków rady nadzorczej „Infloron Medical” bądź Urzędu do spraw Żywności i Leków. Nie zdołano do tej pory ustalić, czy istnieje jakikolwiek związek między skokiem wartości akcji spółki a poufnymi informacjami dotyczącymi jej obrotów giełdowych.

- Zdaję sobie sprawę, jak długa droga dzieli poufne informacje służbowe od karnego oskarżenia o gwałt.

Stride pokiwał głową.

Niespodziewanie zadzwonił jego telefon komórkowy. Rozbrzmiała melodia *Spieszę się, ale nie wiem czemu*. Rzeczywiście, tego wieczoru działał jak w gorączce, gotów rzucić się do akcji. Podświadomie miał ochotę uniknąć oczywistego końca tej bajki.

A ten koniec był nierozłącznie związany z Sereną.

- Właśnie parkuję za rogiem - powiedziała.
- Możesz się jeszcze wycofać - przypomniał jej.
- Przecież potrzebujesz kogoś w środku, Jonny.
- Tak, to prawda.
- Może podpiszę zobowiązanie, żeby być następną dziewczyną alfa?
- Sonia byłaby szczęśliwa. Uważaj na siebie, dobrze?
- Jasne.

Przerwała połączenie. Minutę później zobaczył we wstecznym lusterku, jak wychodzi zza rogu. Minęła cadillaca, nawet nie spojrzawszy w jego kierunku. Miała na sobie pikowany bezrękawnik, czarne dzinsy i szpilki. Ręce trzymała w kieszeniach. Sprawiała wrażenie rozluźnionej, on jednak dobrze wiedział, że uważnym wzrokiem wodzi po oknach mijanych budynków i zagłada w mroczne przestrzenie między nimi.

Skręciła na podjazd posesji Bezaków, weszła na ganek, naciśnęła dzwonek i rozejrzała się po sąsiednich domach. Drzwi się otworzyły i w smudze światła stanęła Sonia.

Chwilę później Serena zniknęła w środku.

Sonia zaprosiła ją do środka z uśmiechem zakłopotania na ustach. Kiedy Serena weszła, ona wyjrzała w ciemność i szybko popatrzyła na boki, zanim się cofnęła i zamknęła drzwi. Dom był elegancko urządzone, światło w holu zostało przygaszone. Sonia miała na sobie jedwabny szlafrok z chińskim wzorem, różowy w duże kwiaty, przewiązany paskiem w talii. A na nogach szpilki. Obie

były prawie równe wzrostem, obie tak samo wysokie.

- Nie lubię szpicli - oznajmiła lodowato gospodyni.

- Nikt się nie dowie, kim jestem.

- Nie wierzę, by którykolwiek z moich gości miał się okazać gwałcicielem.

- Powiedz to Maggie albo Katrinie - rzuciła ostro Serena. - Możesz uważać się za szczęściarę, że nie wybrał ciebie.

Sonia się zaczerwieniła.

- Zaprowadzę cię na dół.

Przez rozległą kuchnię z jadalnią przeszły do tylnych schodów prowadzących do pralni i spiżarni. Nie było tu nawet podłogi, tylko posadzka z lanego cementu, a w powietrzu unosił się zapach kurzu. Sonia przekreśliła klucz w zamku wąskich drzwi, które wyglądały na wejście do schowka na szczotki, lecz oczom Sereny ukazało się wnętrze niewielkiej, lecz gustownie urządzonej sypialni. Ściany były oklejone złotą tapetą z bordowym wzorem przenikających się nawzajem kwadratów. Obszerne małżeńskie łoże zdobione jedwabiami z koronkową kryzą wyglądało jak przeniesione z wystawy sztuki zdobniczej. Za nim pod ścianą stał kredensik z lustrem, biureczko oraz niewielka szafa ubraniowa.

Przeciwległa ściana sypialni przypominała panoramiczne okno wychodzące na rozległe, wykończone pluszem rozległe pomieszczenie oświetlone świecami. To była klubowa świątynia.

Serena zapatrzyła się na sąsiedni pokój i poczuła się jak wystawiona na odstrzał.

- Nikt stamtąd nie może zobaczyć, co się tu dzieje, prawda? Nikt nie będzie wiedział, że tu jestem?

- Nie. Większość członków klubu nawet nie wie o istnieniu tego pokoju. Można by rzec, że to nasz salon dla VIP-ów.

- Czy w tamtym pokoju są zainstalowane mikrofony?

Sonia skinęła głową.

- Tak, będziesz tu wszystko słyszała.

Serena dostrzegła swoje niewyraźne odbicie w półprzepuszczalnym lustrze i mruknęła:

- Nienawidzę podglądactwa.

- Spróbuj. Pewnie będziesz zaskoczona.

- To mało prawdopodobne.

- Jesteś bardzo atrakcyjnym szpiclem - powiedziała Sonia. - Jonathan ma doskonały gust.

Nie odpowiedziała.

- Czy mówił ci, co nas kiedyś łączyło?

- Owszem, mówił.

Oczyrna wyobraźni Serena ujrziała scenę sprzed trzydziestu lat, kiedy to wstawiony nastoletni Jonny kochał się z tą kobietą w samochodzie. Ona, Serena, była wtedy jeszcze dzieckiem i wiodła szczęśliwe beztrudne życie w Phoenix, zanim odszedł jej ojciec, a matka uzależniła się od kokainy. I zanim w jej życiu pojawił się Niebieski Pies.

- Jest bardzo wrażliwym mężczyzną - zauważyła Sonia.

- I dlatego jest taki dobry w tym, co robi.

- Pewnie już słyszałaś, że rozwiązują klub. To ma być nasze ostatnie spotkanie.

- Naprawdę?

- Ryzyko stało się zbyt duże.

Serena uświadomiła sobie, że chodzi o ryzyko zburzenia ich reputacji w lokalnej społeczności, a nie zagrożenie związane z atakami na dziewczęta alfa, czyli ryzyko ujawnienia natury odbywających się tu spotkań.

- Członkowie klubu już o tym wiedzą?

- Nie. Doszłam do wniosku, że byłoby wam nie na rękę, gdybym ich uprzedziła.

- To prawda.

Sonia obrzuciła ją taksującym wzrokiem.

- Szkoda, że nie chcesz w pełni uczestniczyć w naszym spotkaniu. Może jeszcze zmienisz zdanie i dołączysz później.

- Nie, dziękuję.

- Rozgość się tutaj. Nikt nie będzie wiedział, co tu robisz. Gdybyś nabrała ochoty, w szufladzie kredensiku znajdziesz wibrator.

- Takie rzeczy mnie nie ruszają, Soniu.

- Nie? Zmieniłabyś zdanie, gdybyś założyła maskę. To wszystko odmienia.

Z szuflady komódki wyjęła złotą maskę o wydłużonych otworach na oczy ocienionych jak u kota bardzo długimi brwiami. Szybko rozciągnęła gumkę i wsunęła maskę na głowę, opuściła ją na twarz i kilkoma zręcznymi ruchami ukryła opaskę pod włosami.

Serena zerknęła w bok, na ich wspólne odbicie w lustrze: rude włosy i czarne włosy. Ukryta za maską Sonia stała się nagle osobą nieznaną, kimś całkiem innym.

Kiedy delikatnie objęła ją w pasie, Serena nabrała obaw, że chce ją pocałować.

- Na pewno nie chcesz pójść tam ze mną? - zapytała Sonia.

- Dzięki. Pas.

- Nikt się o tym nie dowie. Nie powiem ani słowa Jonathano-  
wi, jeśli sobie tego zażyczysz.

- Naprawdę nie jestem zainteresowana, Soniu.

- Czyżby? Kobiety bywają najlepszymi kochankami. Mogę się założyć, że potwierdziłabyś tę opinię.

Serena pochyliła się ku niej i z szerokim uśmiechem szepnęła jej do ucha:

- Odpieprz się ode mnie, dobra?

Sonia zmarszczyła brwi. Po chwili także uśmiechnęła się sztucznie, jakby nałożyła na usta świeżą warstwę szminki, ale w jej oczach widocznych w wycięciach maski rozblęły ogniki

wściekłości. Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z pokoju, zostawiając Serenę samą w ukrytej sypialni.

## 37.

Maggie bardzo zależało na wyrzuceniu z pamięci wspomnień z klubowego spotkania, ale żadna metoda nie skutkowałą. Zwłaszcza tego wieczoru. Ilekroć spoglądała na zegarek, wiedziała, że kolejne spotkanie ciągle trwa. Serena była w środku, w ukrytej sypialni, a Kathy Lassiter leżała pośrodku łóżka, tak samo jak ona w listopadzie. Doskonale pamiętała tamten wieczór. Obszerną „świątynię” wypełniał półmrok, nieduże okna pod sufitem były nie tylko zaklejone taśmą izolacyjną, ale też zaciągnięte zasłonkami. Pamiętała dotyk grubej wełnianej wykładziny pod bosymi stopami i lekki ruch powietrza wpadającego przez kratkę systemu klimatyzacyjnego. Salę wypełniał blask kilkunastu świec palących się w szklanych miseczkach. Intensywna woń parafiny mieszała się w powietrzu ze złożoną mieszanką aromatyzującą, w której wybijały się zapachy imbiru, zielonej herbaty, szaławii, bzu oraz soczystej pomarańczy. Z ukrytych głośników płynęła cicha nastrojowa muzyka. Słysząc w niej było szum oceanicznych fal, dźwięki harfy oraz śpiew ptaków. Pod ścianą stały wiklinowe foteliki, na stole czekały otwarte butelki shirazu, w kryształowych kieliszkach odbijały się skry rozmigotanych płomyków świec. Miękkie pluszowe wykładziny. Rozmaite przybory erotyczne. Prezerwatywy w kolorowych opakowaniach piętrzące się w salaterce niczym landrynki. Stonowane akty rozwieszane na ścianach.

Wielkie koliste łoże pośrodku sali było okryte sięgającą podłogi czerwoną jedwabną kapą, która wspaniale chłodziła rozgrzaną skórę. Mogła się nacieszyć tym wspaniałym otoczeniem całe

dziesięć minut, nim dołączyli do niej pozostali uczestnicy spotkania. Dziewczyna alfa zawsze miała pierwszeństwo, jak orzekła Sonia. I mogła robić wszystko, na co jej przyszła ochota. Pić wino. Słuchać muzyki. Spać. Masturbować się. Ale Maggie tylko zwinęła się w kłębek na jedwabnej kapie i rozmyślała o tym, żeby uciec stąd jak najdalej.

Zgodziła się, żeby Eric wciągnął ją do tego świata, gdyż potwarzał, że bardzo mu na tym zależy. Prosił, żeby zrobiła to dla niego, żeby pozwoliła mu zaobserwować, jak zachowuje się w takich sytuacjach. Z innymi ludźmi. Nie mógł się uwolnić od tej fantazji. Teraz, z perspektywy czasu, nie mogła uwierzyć, że się na to zgodziła. Na każde wspomnienie tamtych chwil czerwieniła się z upokorzenia.

Mężczyźni i kobiety w szlafrokach wkraczali do pokoju z dumnie zadartymi brodami. Poczowała się nagle tak, jakby na plaży uświadomiła sobie, że pod skąpym kostiumem kąpielowym wszyscy wyglądają w przybliżeniu tak samo. Modele i modelki zarabiali grube pieniądze właśnie dlatego, że osób o ich budowie ciała spotykało się niezwykle rzadko. Spotkanie w klubie erotycznym przypominało więc paradę wydatnych brzusków, cellulitu, obwisłych piersi i podwójnych podbródków. Co prawda i wśród członków zdarzały się piękne ciała, ale statystycznie przy tej ilości goliźny efekt był odpychający i budzący obrzydzenie. Wtedy po raz kolejny zdała sobie w duchu pytanie, co właściwie robi w tym gronie i dlaczego uznała, że będzie to sposób na ponowne zbliżenie się do Erica. A chwilę później uznała, że to i tak nie ma większego znaczenia.

Przez większość czasu miała więc oczy zamknięte. Gromadziła oderwane wspomnienia miękkich warg i słodko pachnącego oddechu jakiejś kobiety, zapachu czosnku i zimnego dotyku mężczyzny, postękiwania i kwaśnej woni potu, później jęków rozkoszy, nie wpływających jednak z jej gardła. Kiedy w pewnym



momencie otworzyła oczy, spostrzegła Erica stojącego w cieniu, sztywno wyprostowanego, z palcami zaciśniętymi wokół nabrzmiałego członka. Szybko zacisnęła z powrotem powieki i skupiła się na odczuciach dotyku szorstkich palców oraz ciepłych języków pozostawiających na jej ciele wilgotne ślady jak po przejściu ślimaka. Wydawało się jej, że mężczyźni uprawiający z nią seks zmieniają się wyjątkowo szybko.

Przyszło jej do głowy, że powinna udawać, że w czasie przejazdu górską kolejką w tym wesołym miasteczku osiągnęła właśnie najwyższy punkt trasy, ale byłoby to kłamstwo. Owszem, ekscytowały ją przejazdy przez niektóre wzniesienia i doliny. Zauważyła, że Sonia jest zdumiewająco odkrywczą. Podobnie jak Mitchell Brandt. Doznała kilku chwil, w których stało się dla niej obojętne, co się dzieje wokół niej, gdyż na plan pierwszy wyszły jej własne doznania. Były wystarczające do tego, żeby szybko wspiąć się na szczyty, ale zaraz następował gwałtowny powrót. Nie dawało jej spokoju poczucie winy, od którego nie potrafiła się uwolnić. W pewnym zakresie bowiem rozkoszowała się tą zabawą.

Był to jeden z powodów, dla których nie zameldowała o gwałcie, jaki zdarzył jej się kilka tygodni później. Wcześniej Serena opowiadała jej ze szczegółami o przesłuchaniach prowadzonych przez mężczyzn, którzy w żadnej mierze nie znali się na rzeczy. „Naprawdę nie odczuwałaś satysfakcji podczas kontaktów z Niebieskim Psem?”. Gdyby zgłosiła napad z gwałtem, musiałaby też ujawnić fakt istnienia klubu erotycznego, zatem ludzie zaczęliby plotkować o orgii, w której wzięła udział tamtego wieczoru, i w stosunku do niej ktoś w końcu także zacząłby się zastanawiać, czy na pewno nie czuła żadnej satysfakcji, gdy była gwałcona? W końcu jak gdyby sama prosiła się o ten gwałt.

- Pieprz się, Eriku - mruknęła teraz pod nosem.

Była zła, że wspomnienia z tamtego wieczoru nie chciały zniknąć z jej pamięci. Podświadomie nie potrafiła rozdzielić udziału w klubowym spotkaniu od gwałtu, a za jedno i drugie obwiniała właśnie męża. W tym świetle nawet się cieszyła, że on nie żyje, a może żałowała, że to nie ona pociągnęła za spust rewolweru.

Miała wielką ochotę wrócić do służby patrolowej w mieście, wyrwać się wreszcie z samotności w domu, która tylko prowokowała rozpamiętywanie kolejnych błędów. Wyobrażała sobie, że zamiast Abła Teitschera to ona siedzi w aucie razem ze Stride'em. Chciała uczestniczyć w akcji, w nadziei, że zdoła wytropić tego łajdaka i dobrze się przyjrzeć jego twarzy. Pragnęła się dowiedzieć, co i jakim sposobem Eric odszukał w sieci.

I kim była Helen Danning.

Na myśl o tajemniczej bileterce zerknęła na swój telefon komórkowy leżący na kawiarnianym stoliku. Czerwona lampka rytmicznie mrugała. Przyszedł jakiś mejl.

Ostatnio nie otrzymywała żadnej poczty elektronicznej. Od czasu, gdy podejrzenie o morderstwo zawisło nad jej głową niczym burzowa chmura, była niemalże istotą pozbawioną osobowości.

Opanowawszy dreszcz emocji, wyprostowała się, przesunęła na brzeg kanapy, wyjęła aparat z futerału i zerknęła na skrzynkę odbiorczą. Tak, miała jedną nieodebraną wiadomość. W adresie zwrotnym widniały słowa: Dama ze mnie.

Otworzyła wiadomość i odczytała jedno zdanie: „Przestań mnie szukać. HD”.

## 38.

Serena obserwowała Mitchella Brandta z rosnącym przeświadczeniem, że coś z nim jest nie w porządku. Pod skórą rytmicznie grały

mu mięśnie ud i klatki piersiowej. Nerwowo zaciskał i rozwierał pięści. Maską uniemożliwiała dostrzeżenie wyrazu jego oczu, ale sztywno uniesiona głowa świadczyła, że ani na chwilę nie spuścił wzroku z Kathy Lassiter, mimo że w pokoju były inne nagie kobiety, które masturbowały się, korzystały z wibratorów czy też uprawiały seks z mężczyznami na grubej miękkiej wykładzinie otaczającej centralne łóżce. Wpatrywał się w dziewczynę alfa z takim napięciem, jakby poza nimi w „świątyni” nie było nikogo więcej.

Niemal całym ciałem odbierała emanujące od niego złe wibracje. Sprawiał wrażenie wyścigowego rumaka, parsającego i ryjącego kopytami ziemię w niecierpliwym oczekiwaniu na otwarcie bramki startowej. Lassiter, chociaż tonęła w objęciach innego mężczyzny, także nie spuszczała wzroku ze stojącego dwa metry od niej Brandta. Nie ulegało wątpliwości, że powstała między nimi jakaś elektryzująca i zarazem przerażająca więź.

Nagość ludzi znajdujących się za ścianą całkowicie utraciła w oczach Sereny atrakcyjność. Tylko na samym początku, mimo ukrycia w drugim pokoju, odczuwała własną seksualność, ale dość szybko stała się jedynie biernym obserwatorem, a lekka ekscytacja przerodziła się w nudę. Nadmiar wrażeń seksualnych powodował, że przestały być podniecające, odbierała je tak, jakby znalazła się na planie niskobudżetowego filmu pornograficznego.

Dopiero kiedy przed półprzepuszczalnym lustrem na wprost niej stanął nagi mężczyzna, oderwała wzrok od Brandta. Odruchowo cofnęła się o krok i wstrzymała oddech. Mężczyzna był po czterdziestce, wysoki i kościsty, z kępą zmierzwionych siwiejących włosów na piersi. Kiedy wciągnął brzuch i zacisnął palce na członku, ledwie opanowała chęć zamknięcia oczu.

Chwilę później obok mężczyzny stanęła Sonia. Jej blada skóra połyskiwała od kropelek potu. To ona pierwsza uprawiała seks z

Kathy Lassiter, od tamtej pory miała jeszcze kontakt z dwoma mężczyznami, a ostatnio jako trzecia dołączyła do kochającej się pary małżeńskiej. Teraz sprawiała wrażenie zadyszanej, skrajnie wycieńczonej. Od początku spotkania dużo piła. Zresztą żaden z uczestników nie żałował sobie alkoholu.

- Wyobraź sobie, że ktoś siedzi po drugiej stronie lustra i teraz nas obserwuje - odezwała się Sonia do mężczyzny.

Serena dostrzegła ledwie zauważalny ironiczny uśmieszek, jaki wykwitł na jej wargach.

- To byłoby coś, do diabła - odparł półgłosem.

- Więc zróbmy przedstawienie - zaproponowała gospodyni.

Położyła mu dłonie na ramionach i pociągnęła go w dół. Nie potrzebował innej zachęty, żeby szybko ułożyć się na wznak na grubej wykładzinie. Sonia pospiesznie usiadła na nim okraciem i popatrzyła wprost na Serenę ukrytą za ścianą. Dla efektu jęknęła głośno i pochyliła się ku przodowi, aż jej twarz wykrzywiona grymasem rozkoszy znalazła się tuż przed powierzchnią lustra.

Serena pokręciła głową.

- Żałosna suka - szepnęła. Miała wielką ochotę załomotać pięściami w lustro, żeby dać wszystkim znać, że jest świadkiem ich poczynañ.

Oderwała wzrok od pary zmagającej się tuż przed nią. Za plecami Soni rozgrywał się inny dramat, który Serenie mniej się podobał.

Kathy Lassiter leżała teraz na łóżku sama, unosiła się na łokciach. Atletycznie zbudowany Mitchell Brandt zbliżył się i stanął nad nią, ale jak gdyby się zawahał i nie wszedł do łóżka. Po chwili Lassiter przekręciła się, na czworakach podpełzła po zmiętej pościeli do krawędzi łóżka i zaczęła z nim uprawiać seks oralny. Brandt w ogóle nie zareagował. Jego bierność skłoniła kobietę do wzmoczenia wysiłków, lecz efekt był taki, jakby miała przed sobą

kamienny posąg. Kiedy powoli spuścił głowę i popatrzył na Lassiter z góry, dziwny wyraz widocznej, dolnej części jego twarzy sprawił, że Serenie żołądek podszedł do gardła.

Co on wyrabiał, do diabła?

Brandt wziął kobietę za ramiona i odsunął od siebie, po czym pchnął ją oburącz tak silnie, że fiknęła koziołka i wylądowała w drugim końcu łóżka z głową zwieszoną poza jego krawędź i szeroko rozrzuconymi nogami. Maską mu się przekrzywiła i Serena w końcu dostrzegła wyraz oczu, rozbieganych, w których tliły się iskry lęku i niepewności. Brandt wszedł na łóżko i zaczął na czworakach zbliżać się do dziewczyny alfa. Ta uniosła się na łokciach i na jego widok próbowała się cofnąć.

Serena zrobiła już dwa kroki w stronę drzwi, niepewna, czy to, co widzi, nadal jest zwykłą klubową rozrywką.

Zaledwie centymetry dzieliły ją od Soni podskakującej rytmicznie po drugiej stronie półprzepuszczalnego lustra. Inni obecni w sali obserwowali tylko ją. Nikt nie zwracał uwagi na Brandta i Lassiter.

On tymczasem skoczył przed siebie niczym dziki kocur i złapał kobietę za ręce w przegubach. Szarpnął ją ku górze, aż głowa poleciała jej do tyłu. Gwałtownym ruchem zerwał z twarzy maskę i cisnął na podłogę. Szybkim ruchem złapał dziewczynę wpół, podniósł jak piórko z pościeli i przyciągnął do siebie. Wtuliwszy twarz w jej szyję, zaczął coś szeptać do ucha. Lassiter energicznie pokręciła głową i próbowała się uwolnić z jego objęć, ale przycisnął ją mocniej, znowu w żelaznym uchwycie unieruchamiając ręce. A kiedy otworzyła usta, żeby zaprotestować, zamknął je brutalnym pocałunkiem.

Serena wciąż się wahała. Kiedy jednak zobaczyła, jak Lassiter się wiję, chcąc uwolnić się z rąk Brandta, nabrała przekonania, że

na pewno nie jest to już element gry erotycznej ani też produkt jej wyobraźni. Nie mogła dopuścić, żeby stało się coś złego.

- Dość! - krzyknęła.

Do ludzi w „świętyni” dotarł jej stłumiony okrzyk, zaczęli się lekliwie rozglądać, zaskoczeni. Tylko Brandt nie zareagował.

Serena wypadła z ukrytej sypialni i pobięła do kuchni, przeskakując po dwa schodki naraz. W dwóch susach pokonała główny hol i znalazła wejście do piwnicy. Na dole schodów znajdowały się masywne dębowe drzwi prowadzące do „świętyni”. Naparła na nie ramieniem, otworzyły się gwałtownie, omal nie wypadając z zawiasów. Wpadła do sali wypełnionej wonią kadzideł.

Kilkanaście nagich osób z okrzykami zaskoczenia próbowało się przed nią ukryć, kilku mężczyzn rzuciło się plackiem na podłogę. Sonia spojrzała na nią z grymasem wściekłości na twarzy.

Serena popatrzyła na Brandta, który zdołał powalić Lassiter na wznak i przygniótł ją do łóżka całym ciężarem. Jej płytki urywany oddech świadczył wyraźnie, że nawet nie może nabrać powietrza. On tymczasem wciąż szeptał jej do ucha, aż z wrażenia przewróciła oczami. Próbowała jeszcze zaprotestować, lecz znowu zamknął jej usta pocałunkiem.

- Złaz z niej w tej chwili! - krzyknęła Serena, podbiegając do łóżka.

Chwyciła Brandta za ramię, lecz okazał się dla niej za ciężki. Wzięła więc solidny zamach i pięścią grzmotnęła go na odlew w skroń, wbijając knykcie głęboko w skórę. Ryknął z bólu i stoczył się z Lassiter, która błyskawicznie podciągnęła kolana pod brodę. On jednak tylko potrząsnął głową i znowu sięgnął do niej, toteż Serena otwartą dłoń wymierzyła mu ogłuszający cios w czoło. Głowa odskoczyła mu na plecy i głos zamarł w gardle. Poleciał do tyłu, stracił równowagę na śliskich jedwabiach i zwałił się z łóżka na podłogę.

Lassiter przekręciła się i wyskoczyła z pościeli. Brandt podniósł się i zrobił kilka niepewnych kroków na chwiejnych nogach. Pozostali członkowie klubu patrzyli na niego jak sparaliżowani, kuląc się na podłodze pod ścianami. Serena zmierzyła Brandta surowym wzrokiem i przesunęła się tak, by przegrodzić mu drogę do Lassiter. Popatrzył na nią mętym wzrokiem, po czym z wściekłą miną powiódł spojrzeniem po członkach klubu, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z ich obecności.

- Pieprzę was wszystkich - syknął.

Energicznym krokiem ruszył do wyjścia. Jeden ze starszych mężczyzn usiłował zagrozić mu drogę, lecz odepchnął go tak silnie, że tamten poleciał na kawiarniany stolik i roztrzaskał go. Otwarte butelki posypały się na wykładzinę, zaczęło się z nich wylewać wino. Szkarłatny shiraz popłynął krwawym strumieniem, roztrzaskało się w nim kilka kryształowych kieliszków. Brandt złapał za klamkę i gwałtownym ruchem zatrzaskał za sobą dębowe drzwi „świętyni”.

- Nic ci się nie stało? - zapytała Serena Lassiter.

- Nie, nic - odparła, zerkając na nią spode łba. - Kim jesteś, do jasnej cholery?

- Przyjaciółką porucznika Stride'a.

- I po co się wtrącałaś?

Serena cofnęła się o krok.

- Słucham?

- Trzeba było się trzymać od tego z daleka - syknęła Lassiter.

- Przecież on cię zaatakował - odparła Serena. - Mógł cię zabić.

- Co ty możesz o tym wiedzieć?

Podeszła do nich Sonia. Była biała jak ściana, jej spojrzenie ciskało gromy wściekłości.

- Jak śmiałaś?! - warknęła groźnie. - Wynoś się stąd, do diabła!

Serena zlekceważyła ją.

- Co on ci powiedział? - zapytała Lassiter.

- Nic.

- Widziałam, jak ci szeptał do ucha.

- Nic mi nie powiedział - wycodziła Lassiter.

Serena pochyliła się ku niej i dodała półgłosem:

- W każdej chwili mogę tu wezwać policję.

- Po co? - Prawniczka pokręciła głową. - Muszę stąd wyjść. I to jak najszybciej.

- Pomogę ci.

- Nie potrzebuję żadnej pomocy.

- Na pewno nie chcesz, żebym wezwała karetkę? - podjęła Serena.

- Nie. Chcę się tylko stąd wydostać! I to już!

Lassiter przepchnęła się przez osłupiałych członków klubu i szarpnięciem otworzyła drzwi „świętyni”.

- Zaczekaj! On może być nadal w domu! - zawołała jeszcze Serena, lecz tamta nawet się nie obejrzała.

- Na pewno uciekł - rzuciła przez ramię. - I już nigdy tu nie wróci.

## 39.

- To Mitchell Brandt - powiedział Stride. Odstawił kubeczek z kawą na deskę rozdzielczą cadillaca i pochylił się nad kierownicą, żeby lepiej widzieć przez przyciemnioną szybę.

- Dziwnie mu się spieszy - zauważył Teitscher.

Brandt zatrzasnął za sobą drzwi domu Soni Bezac, zeskoczył z ganku i truchtem pokonał podjazd, aż fruwały za nim poły rozpiętego płaszcza. Miał na sobie czarne dżinsy i wypuszczoną na wierzch, zapiętą tylko na jeden guzik sportową koszulę, rozchełstaną pod szyją, odsłaniającą nagi tors. Na oślep wybiegł na jezdnię i aż



musiał uskoczyć przed nadjeżdżającym samochodem, którego kierowca nacisnął klakson. Dał nura w cień po drugiej stronie i wsunął się za kierownicę ciemnego porsche'a.

- To mi się nie podoba - mruknął Stride.

- Zgarniamy go?

- Nie. Ciekaw jestem, dokąd pojedzie.

Teitscher wezwał przez radio Guppa czuwającego za rogiem w beżowym chevrolecie caprice.

- Brandt odjeżdża. A raczej ucieka. Miej go na oku. Tylko postaraj się, żeby cię nie zauważył.

Porsche z rykiem silnika odbiło od krawężnika i po chwili zniknęło za zakrętem wąskiej ulicy opadającej dość stromo w kierunku jeziora. Po chwili minął ich Chevrolet, który także przyspieszył i skręcił w tę samą uliczkę.

- Chcesz tam wejść? - zapytał Teitscher.

- Jeszcze nie teraz.

Piętnaście minut upłynęło w spokoju. Później reszta członków klubu zaczęła się wysypywać na ulicę pojedynczo i dwójkami, próbując kryć twarze za postawionymi kołnierzami. Uformowała się z nich swoista procesja. Jedne po drugich zapalały się reflektory aut, które odjeżdżały szybko, jak gdyby w panice.

Serena wyszła jako jedna z ostatnich i energicznym krokiem pokonała krótki podjazd. Bezrękawnik miała rozpięty, a na jej twarzy malował się wyraz zatroskania. Odprowadziła wzrokiem ostatnich uczestników spotkania, po czym wcisnęła głowę w ramiona, przebiegła przez jezdnię i wśliznęła się na tylne siedzenie cadillaca. Rozsiadła się wygodnie, odchyliła głowę do tyłu i ze świstem wypuściła powietrze, jak gdyby wcześniej wstrzymywała oddech.

- Co tam się stało, do cholery? - zapytał Stride.

Wyprostowała się, oparła łokcie o oparcie przedniego fotela i powiedziała:

- Brandtowi odbiło.
- Co takiego?
- Na oczach wszystkich rzucił się na Kathy Lassiter.
- Nikt nie próbował go powstrzymać? Serena pokręciła głową.
- Owszem, ja. Lassiter oznajmiła, że nic się nie stało, ale Brandt zachowywał się jak wariat. Kiedy wpadłam do sali, wyskoczył z niej jak oparzony.
- Widzieliśmy. Guppo pojechał za nim.
- Teitscher wciąż spoglądał na frontowe drzwi domu Soni Bezac.
- Co spowodowało, że wpadł w szal?
- Nie wiem. Od samego początku był podminowany. Nawet na chwilę nie spuszczał z oczu Lassiter.
- A co z tobą? - wtrącił Stride. - Nic ci się nie stało?
- Nie, nic. Ale wiesz, co należy robić, jak jesteś zdenerwowany? No to wyobraź sobie, że wszyscy w sali są nadzy, a ty im każesz zachować spokój. Nic z tego. Czują się nie tylko nadzy, ale naprawdę obnażeni.
- Stride mimo woli zachichotał.
- Zboczeńcy - syknął Teitscher.
- Myślisz, że właśnie Brandt jest tym, którego szukamy? - zapytał Stride. - Mógł napadać na inne kobiety?
- Nie wiem. Ale nie sądzę, żeby to był przypadek. Miałam wrażenie, że kieruje nim jakaś zapiekła uraza do Lassiter.
- Do czegoś między nimi doszło?
- Serena pokręciła głową.
- Nie, do niczego, i o to właśnie chodzi. Od chwili, kiedy wszedł do „świątyni”, był nastawiony przeciwko niej. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi. Kierował się jakimiś pobudkami osobistymi.
- Osobistymi? Mam rozumieć, że znali się wcześniej?
- Na to wygląda.

Teitscher zerknął na inspektora.

- Co wiesz o tej Lassiter?

- Nie za dużo - przyznał Stride, odczuwając złość na samego siebie.

- Jest prawniczką, zgadza się? - wtrąciła Serena. - Więc może jej kancelaria ma na swojej stronie internetowej jej życiorys.

Stride chwycił laptopa, uruchomił przeszukiwanie sieci i po chwili wszedł na główną stronę kancelarii. Przeszedł do biografii wspólników i po chwili na ekranie wyświetlił się uzupełniony fotografią życiorys Lassiter zawierający krótkie omówienie jej dotychczasowej praktyki oraz najważniejsze osiągnięcia. Przebiegł wzrokiem tekst i po chwili zaklął pod nosem, zatrzasnął wieko komputera.

- Kathy Lassiter pracuje na zlecenie jako doradca prawny firmy „Infloron Medical”.

- Myślisz, że to ona przed czasem zdradziła Brandtowi wynik opinii Urzędu do spraw Żywności i Leków? - zapytała Serena. - A on wykorzystał te informacje do zorganizowania spekulacji giełdowych?

- Być może. Z drugiej strony to ona mogła go podkablować giełdowej Komisji Bezpieczeństwa. Proutz z Chicago mówił, że podjęli dochodzenie na podstawie anonimowego zgłoszenia.

Teitscher zmarszczył brwi.

- I co zamierzasz zrobić w tej sytuacji?

- Zgarnąć Brandta - orzekł Stride. - Napadł na nią. Możemy to wykorzystać, żeby go przetrzymać w areszcie.

- Powinniśmy się jednak upewnić, że sieć ochrony Lassiter jest szczelna - powiedziała Serena. - Brandt może za nią pojechać, a jeśli to nie on jest poszukiwanym przez was gwałcicielem, będziecie już mieć dwóch łotrów mających ją na celowniku.

Teitscher po raz kolejny obejrzał się na drzwi frontowe domu Soni.

- Chyba jednak mamy kłopot.
- Jaki kłopot? - zdziwił się Stride.
- Lassiter nie wyszła ze spotkania.

Serena pochyliła się jeszcze niżej między przednimi fotelami.

- O czym wy mówicie? Powinna być przecież w pierwszej grupie, która wyszła na ulicę.

- Przyglądałem się uważnie - odparł Teitscher, kręcąc głową. - Lassiter na pewno w niej nie było.

## 40.

Sonia błyskawicznie otworzyła drzwi. Jej rude włosy, potargane i zmierzwiłone, wyglądały jak płatanina śpiących czerwonych węży oplatanych wokół głowy. Miała na sobie jedwabny szlafrok luźno przewiązany w pasie. Pachniała seksem.

- Czego tu jeszcze chcecie? Mało złego narobiliście?
- Gdzie jest Kathy Lassiter? - zapytał ostro Stride. Wzruszyła ramionami.
- Sami powinniście wiedzieć. To wy nas szpiegujecie.

- Nadal musi być w środku - dodał Teitscher. Głębokie bruzdy na jego czole wyjątkowo się wygładziły, a rozbiegane oczka z wyraźną pogardą ześlizgiwały się ku wierzchołkowi długiego trójkąta nagiej skóry odsłoniętej między połami szlafroka.

Sonia obrzuciła go wyzywającym spojrzeniem.

- Myślicie, że ją przywiązałam do łóżka czy co? Przykro mi, detektywie, ale już dawno wyszła.

- Możemy sprawdzić dom? - odezwała się Serena.

Sonia pogardliwie wydeła wargi i potrząsnawszy głową, syknęła:

- Możecie najwyżej sterceć tu dalej i marznąć, jeśli tak się wam podoba.

- Soniu! - ofuknęła ją Stride.

- Och, mam to gdzieś. Proszę bardzo. - Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła ich do środka.

Oprócz intensywnej woni perfum i potu Stride wyczuł w jej oddechu odór alkoholu. Wyraźnie chwiała się na nogach. Nawet luźny jedwabny szlafrok nie ukrywał jej nabrzmiałych sutków.

- Sprawdź na górze - rzuciła Serena.

Teitscher zatrzymał się na środku holu i w zakłopotaniu przestąpił z nogi na nogę, jakby się bał, że naniesie tu błota. Wybawił go od tego sygnał telefonu. Stride przyglądał się uważnie, jak czoło detektywa chmurzy się coraz bardziej w miarę wysłuchiwania wiadomości. W końcu Abel bez słowa wyłączył aparat i zaciśnął pięści.

- Dzwonił Guppo - powiedział. - Brandt przeskoczył skrzyżowanie na czerwonym świetle, a on utknął między innymi pojazdami i stracił go z oczu.

- Cholera - syknęła Stride. Sprawy wymykały się spod kontroli. Kiedy Teitscher wskazał kciukiem przez ramię frontowe drzwi, skinął głową i rzekł: - Tak, idź. Zaalarmuj patrole z Duluth i Superior. Powiadom też drogówkę, na wypadek, gdyby pojawił się na autostradzie biegnącej na południe.

Sierżant skinął głową i wyszedł.

Stride zajrzał do tonącego w półmroku saloniku. Nikogo tam nie było.

Sonia stanęła tuż za nim.

- Mówiłam, że już dawno wyszła.

- Ale nie odleciała, prawda? - rzucił ze złością.

Wyminął ją i ruszył w drugi koniec domu. Ale w żadnych z pokojów na parterze, do których zaglądał, nie było nawet śladu Lassiter.

- Gdzie jest Delmar? - zapytał w końcu.
- Śpi - odparła gospodyni.
- Sam?

Sonia prychnęła pogardliwie.

- Być może Serena postanowiła go obudzić. Podejrzewam, że z nią nie potrzebowałby nawet viagry.

Stride poczuł, że jego cierpliwość kończy się nagle, pęka jak stary wyliniały dywan powycierany od zbyt częstego chodzenia po nim.

- Zaprowadź mnie do piwnicy.
- Tam zabawa już się skończyła.
- Chcę zobaczyć ten wasz klub.

Wzruszyła ramionami i poprowadziła go przez hol do schodów, które kończyły się masywnymi dębowymi drzwiami na dole. Nie były zamknięte. Z dumnie zadartą brodą wkroczyła do „świętyni”. Stride wciągnął w nozdrza aromat kadzidełka mieszający się z zapachem stearyny z palących się świec. Odwrócił się, wymacał na ścianie kontakt i po chwili salę zalało jaskrawe światło jarzeniówek.

Zamrugął szybko, a Sonia osłoniła dłonią oczy. Jednym spojrzeniem ogarnął duże pomieszczenie, czując, jak niepokój zaczyna go ścisnąć w dołku. Pościel na wielkim okrągłym łóżku była zmięta. Na podłodze wały się opakowania po prezerwatywach. W kącie ciemniały plamy rozlanego wina, wały się okruchy potłuczonego szkła. W powietrzu unosił się wyczuwalny zapach potu. Oczyma wyobraźni ujrzał Maggie leżącą na tym wielkim łożu i poczuł rosnącą irracjonalną wściekłość.

Wystarczył jeden rzut oka, żeby się przekonać, że nikogo nie ma. Kiedy się odwrócił, Sonia zarzuciła mu ręce na szyję, splotła palce na karku i przyciągnęła jego głowę do siebie, jakby chciała, żeby dobrze poczuł jej zapach.

- Pocałuj mnie - szepnęła. - Bardzo mi na tym zależy.

Wyprostował się i uwolnił z jej objęć.

- Wystarczająco się dziś nacałowałaś.

Zalotnie przekrzywiła głowę.

- Och, nie, nic podobnego. Kochałam się wiele razy, ale z nikim się nie całowałam. A pamiętam, że ty wspaniale całujesz.

- Dość tego, Soniu! Gdzie jest Kathy Lassiter?

- Nie wiem.

- Kłamiesz.

Wzruszyła ramionami.

- Pocałuj mnie, to wtedy może powiem ci prawdę.

Złapał ją za ramiona i ścisnął wyraźnie mocniej, niż powinien.

- No, dalej, uderz mnie - wyjęczała. - Dobrze wiem, jak tego pragniesz.

Błyskawicznie cofnął ręce, jak gdyby się poparzył.

- To nie jest zabawa, Soniu. Być może zagraża jej poważne niebezpieczeństwo. Co byś zrobiła, do diabła, gdyby nie było tu Sereny? Wszyscy przyglądalibyście się biernie, jak Brandt ją gwałci?

- Zaszło nieporozumienie. To była zwykła gra erotyczna, która tylko trochę wymknęła się spod kontroli. Tak mi przynajmniej powiedziała Kathy.

- Kiedy?

- Po wszystkim.

- A więc rozmawiałaś z nią - wycedził Stride. - Zatem wiesz, co się dzieje. Gadaj natychmiast, gdzie ona jest.

Sonia zlekceważyła go. Rozwiązała pasek szlafroka i zsunęła go z ramion, aż spadł na ziemię. Stała przed nim zupełnie naga.

- Jeszcze pamiętasz?

Owszem, nie zapomniał. Miał w pamięci każdy szczegół jej ciała włącznie z pieprzykiem na lewej piersi i ukośną blizną na brzuchu pozostałą po wycięciu wyrostka robaczkowego. Teraz jednak odepchnął od siebie te wspomnienia.

- Powiedz mi, gdzie jest Kathy Lassiter, albo zaciągnę cię z gołym tyłkiem do śródmieścia i wpakuję do aresztu. Musisz mi pomóc, Soniu. To nie są żarty.

Podniósł z podłogi szlafrok i zarzucił jej na ramiona. Zebrała poły pod brodą i ukryła w nich twarz.

- Idziemy na górę - powiedział. - Ubierz się.

Chwyliła oba rękawy i przewiązała je sobie w pasie, pozostawiając odsłonięte piersi. Chwyliła go za pasek spodni i błyskawicznie osunęła się przed nim na kolana. Odsunął się na krok i zajrzał w jej mętne oczy.

- Czym tyś się tak zaprawiła?

Zachichotała.

- Odrobiną coli dietetycznej i puszką normalnej, słodzonej - szepnęła.

- Jasna cholera. Ile prochów wzięłaś? Nie trzeba cię odwieźć do szpitala?

Lubieżnie wysunęła język.

- Daj spokój, Jonathanie. Z uwagi na stare dzieje, dobra? Ja jestem wilgotna, a ty sztywny, więc co nas jeszcze powstrzymuje, do diabła?

Mimowolnie zacisnął pięści. Brzydził się tą kobietą odstawiającą żalosne przedstawienie, pożałował, że miał z nią cokolwiek wspólnego w przeszłości. Splótł ręce za plecami, obawiając się, że nie zapanuje nad sobą i uderzy ją tak mocno, że Sonia zwali się na podłogę.

- Nie warto, Jonny.

Odrócił się i popatrzył na Serenę stojącą na schodach. Z niewiarygodnym spokojem pokręciła głową.

Zaklął pod nosem, wyminął ją i pobiegł na górę. Ze szczytu schodów popatrzył, jak Serena klęka przed Sonią, która zdążyła jeszcze odprowadzić go pogardliwym spojrzeniem, zanim zamknęła oczy i przysiadła na piętach.

- Gdzie jest Kathy Lassiter? - zapytała miękko Serena.



- Już mówiłam, że tu jej nie ma. - Gospodyni otworzyła oczy i pogroziła Stride'owi palcem. - Pożyczyła mój samochód. Nie chciała, żebyście ją śledzili.

- Dokąd pojechała, do cholery?! - warknął groźnie.

- Na spotkanie z Mitchellem Brandtem. Powiedziała, że musi go powstrzymać, zanim wszystko zepsuje.

## 41.

Serena przez dłuższy czas siedziała w lodowatej ciszy wypełniającej samochód, nie uruchamiając silnika. Kiedy wciągnęła głęboko powietrze, skrzywiła się lekko. Przez zapach skórzanych obić przebijała się nieprzyjemna woń starej ryby. Zrzuciła to na karb wędzonego łososia, którego kupiła w ubiegłym tygodniu w sklepie rybnym. Opuściła szybę, w nadziei, że zapach szybko się ulotni, ale jak gdyby przykleił jej się wewnątrz nosa i zadomowił tam na dobre. Za to do środka wpadł poryw mroźnego wiatru, który sypnął jej w twarz obłoczkiem drobnych kryształków śniegu.

Jonny odjechał. Alarm związany z poszukiwaniem Mitchella Brandta i Kathy Lassiter zelektryzował całe miasto, lecz ona nie brała udziału w tej akcji. Tym bardziej czuła się sfrustrowana. Przy takich okazjach żałowała, że odeszła z policji, gdyż czuła się odizolowana od podniecającego przyływu adrenaliny, który zaledwie się zaczynał. Odprowadziła tylko wzrokiem jego samochód odjeżdżający od krawężnika i znikający za zakrętem. Nienawidziła takich chwil.

Martwiła się też o Jonny'ego. Poruszał się w gąszczu kłamstw i tajemnic, a jej poczucie winy nasilała świadomość, że część tych kłamstw jest jej autorstwa. Po raz kolejny musiała się zastanowić, czy na pewno nie popełnia strasznego błędu, nie mówiąc mu wszystkiego.

Czy mężczyzna kryjący się w głębokim cieniu był tylko szantażystą?

A może był prawdziwym drapieżnikiem, którego złe intencje sięgały znacznie głębiej? Kimś zdolnym do gwałtu. I do morderstwa.

Kimś, kto śledził każdy jej krok.

Niepokojem napawał ją powrót denerwującego przecucia, że jest obserwowana. Nie miała pojęcia, gdzie on się kryje, czuła jednak jego bliską obecność i miała wrażenie, że jej czas się kończy. Wszystkie te odczucia jeszcze się nasilały, gdy uświadamiała sobie, że patrzy na wyludnione ulice. Policjanci byli zajęci przydzielonymi zadaniami, była zdana wyłącznie na siebie. Czyżby jemu o to właśnie chodziło?

Aż podskoczyła w fotelu, gdy zadzwonił jej telefon komórkowy. To na pewno on, przemknęło jej przez myśl.

Ale dzwonił Dan Erickson.

- Chce dostać pieniądze jeszcze dzisiaj - oznajmił. - Już zebrałem gotówkę.

- Chyba jednak powinniśmy włączyć w to policję - odparła zachowawczo.

- Zatrudniłem cię dlatego, że byłaś śledczą w wydziale zabójstw - rzucił ostro Dan, wyraźnie rozzłoszczony. - Powiedziałaś, że dasz sobie radę z tym facetem. A teraz chcesz mnie przekonać, bym zrezygnował z dalszej kariery i ujawnił opinii publicznej, że jestem szantażowany?

- Nadal nie wiemy, z kim mamy do czynienia.

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę się jak najszybciej od niego uwolnić. Obiecał, że nie będzie miał więcej żądań. Podobno wyjeżdża z miasta.

- Powiedział tak tylko, żeby zamydlić panu oczy - odparła.

- Chyba mnie nie słuchasz. Załatwimy tę sprawę po mojemu. Jeśli ten facet zwierzy w swoim otoczeniu policję, moje zdjęcie

z Tanjy znajdzie się w gazetach. Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

- Jak najbardziej.
- W takim razie przyjeżdżaj tu zaraz po pieniądze.
- Gdzie mam mu je przekazać?
- Powiedział, że da ci znać.
- To mi się nie podoba.
- Nic mnie to nie obchodzi - warknął Dan i przerwał połączenie.

nie.

Serena cisnęła aparat na sąsiedni fotel i kurczowo zacisnęła palce na zimnej jak lód kierownicy. Dan miał rację. Wykonywała zlecenie, zatem nie mogła traktować tej sprawy osobiście. Miała do zrobienia konkretną robotę. Przekazać pieniądze szantażyście. Tak samo jak poprzednio.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, żeby uruchomić silnik. I serce podeszło jej do gardła.

Ogłuszający ryk wstrząsnął jej autem niczym eksplozja bomby. Z głośników popłynął dudniący rap o takim natężeniu, że aż wtuliła głowę w ramiona i instynktownie zasłoniła uszy. Dopiero po chwili sięgnęła do gałki radia i przekręciła ją z takim impetem, że plastikowa nasadka trzasnęła i spadła na podłogę.

Zapanowała jednak cisza. Wzięła głębszy oddech.

Dotarło do niej, że on musiał być w jej aucie.

Poczuła się tak, jakby cała armia mrówek ruszyła w górę jej pleców pod ubraniem. Wstrząsnął nią dreszcz grozy, aż pospiesznie zatarła dłonie. Kiedy spostrzegła, że szyba jest opuszczona, błyskawicznie zamknęła okno, po czym rozejrzała się uważnie dookoła, chcąc sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Ale wewnątrz auta wyglądało tak samo jak zwykle.

On po prostu bawił się z nią w kotka i myszkę.

„Tu nie chodzi o ciebie”.

Ruszyła przed siebie ulicą, zerkając we wsteczne lusterko, ale nikt jej nie śledził. On się tu włamał z konkretnego powodu. Jej wzrok padł na skrytkę w desce rozdzielczej i nawet bez otwierania jej domyśliła się, że zostawił tam dla niej wiadomość. Po raz kolejny. Zaczynała już nawet myśleć tak, jak on.

Kilkadziesiąt metrów dalej zjechała do krawężnika i zajrzała do skrytki. Leżała tam następna biała koperta, a w niej wiadomość napisana czerwonym atramentem: „Pod mostem zwodzonym. Przywieź pieniądze. O pierwszej”.

## 42.

Stride wziął na siebie rejon Parku Lincolna, rozległego kwadratu zieleni sięgającego od autostrady w górę zboczy, słynącego jako ulubione miejsce spotkań rozmaitych opryszków i handlarzy narkotykami. Nawet zimowe mrozy nie odstraszały sprzedających i kupujących. Objechawszy cały park dookoła, przystąpił do patrolowania wąskich i krętych uliczek sąsiadujących z nim osiedli.

W czasie jazdy nie wypuszczał z ręki telefonu komórkowego. Najpierw połączył się z detektywem czuwającym wewnątrz pustego domu letniskowego Kathy Lassiter, od którego dowiedział się, że prawniczka tam nie wróciła. Później nawiązał łączność z oddziałem strzegącym terenu wokół domu i okolicznych lasów, lecz po raz kolejny dowiedział się, że nikt nawet z daleka nie spostrzegł wozu Mitchella Brandta. Następnie zadzwonił do dowódcy zespołu obserwacyjnego rozmieszczonego wokół apartamentu Brandta i uzyskał analogiczną odpowiedź. Poza tym był w stałym kontakcie z komendami drogówki z Duluth i Superior, których patrole polowały na porsche'a Brandta oraz mercedesa Soni Bezac, ale i te nie miały jak dotąd o czym meldować.

Wreszcie zadzwonił telefon.

- Mówi Philip Proutz z Komisji Bezpieczeństwa Obrotu Giełdowego, poruczniku. Przekazano mi, że próbował się pan ze mną skontaktować.

- To prawda - rzekł Stride. - Mamy tu akcję w toku i chętnie skorzystałbym z pewnych informacji.

- Chodzi o Mitchella Brandta?

- Tak, ale obecnie bardziej interesuje mnie inna postać, a mianowicie niejaka Kathy Lassiter.

Przez chwilę na linii panowała cisza.

- Dlaczego nie uprzedził mnie pan o waszej akcji?

- Zakładam, że wie pan doskonale, kim jest Lassiter.

- Owszem.

- Kieruje na zlecenie grupą radców prawnych działających dla „Infloron Medical”, zgadza się? Zatem powinna być wśród pierwszych, którzy dowiedzieli się o decyzji Urzędu do spraw Żywności i Leków.

- Oczywiście - mruknął w zamyśleniu Proutz. - Tylko proszę mi nie mówić, że jest w jakiś sposób związana z Mitchellem Brandtem.

- Niestety, jest. Oboje należeli do stałych członków tajnego klubu erotycznego w Duluth.

- Klubu erotycznego? - powtórzył z niedowierzaniem Proutz.

- Czy Lassiter mogła się dowiedzieć o waszym śledztwie w sprawie nieprawidłowości w sprzedaży akcji „Infloronu”? Albo o tym, że przyglądacie się działalności Brandta?

- Raczej nie, skoro do tej pory nie wiedzieliśmy, gdzie znajdowało się źródło przecieku. Zazwyczaj nie alarmujemy ani zarządu firmy, ani radców prawnych, dopóki nie zbierzemy wystarczającego materiału dowodowego.

- Zatem nie braliście pod uwagę Lassiter jako źródła poufnych informacji odnoszących się do decyzji Urzędu do spraw Żywności i Leków?

- W żadnej mierze. Chyba nawet nie ma jej na naszej liście osób przesłuchiwanym. Może pan myśleć o prawnikach jak najgorzej, poruczniku, ale naprawdę niezbyt często się zdarza, aby radcy z zewnętrznej firmy konsultingowej osobiście angażowali się w tego rodzaju przestępczą działalność. Niemniej, przyjrzymy się dokładniej poczynaniom zarówno pani Lassiter, jak jej kancelarii, może być pan tego pewien.

Stride'owi przemknęło przez myśl, że pewnie nie będzie im tak łatwo znaleźć oczywistego powiązania, dopóki nie uzyskają dostępu do listy członków klubu erotycznego Soni.

- Czy to możliwe, żeby właśnie Lassiter była waszą anonimową informatorką? - zapytał.

- Jeśli tak, to nie sama do nas dzwoniła, gdyż rozmówca, który zwrócił naszą uwagę na transakcje Mitchella Brandta, był mężczyzną.

Stride zaczął gorączkowo rozmyślać, kto jeszcze mógł wpaść na trop powiązań między Brandtem, Lassiter a spółką „Infloron Medical”. Zapewne każdy członek klubu mógł znać ich oboje, tyle że trudno było sobie wyobrazić, by ktokolwiek z nich potrafił skojarzyć tę parę z nielegalnym handlem akcjami, o którym nawet nie pojawiła się jeszcze żadna wzmianka w gazetach.

- Ja wyłożyłem swoje karty na stół, czemu nie miałby pan teraz wyłożyć swoich, poruczniku? - powiedział Proutz. - Co się tam dzieje?

- Oboje Brandt i Lassiter zniknęli.

- Sądzi pan, że postanowili razem uciec?

- Tego nie wiem. Bardziej martwi mnie bezpieczeństwo Lassiter. Brandt napadł ją dziś wieczorem. Czy to możliwe, żeby dostał cynk o waszym dochodzeniu przeciwko niemu?

- To mało prawdopodobne. Moi ludzie doskonale rozumieją, co znaczy poufność w naszej pracy. Może parę z ust puścił ktoś po waszej stronie, poruczniku?

Pospiesznie przeliczył w myślach. On. Serena. Maggie. Teitscher. Nikt inny nie wiedział.

- To bardzo mało prawdopodobne - odparł. - Proszę mi coś wyjaśnić. Czy bardzo trudno byłoby wam złożyć w całość oskarżenie przeciwko Brandtowi o nielegalne wykorzystanie poufnych informacji, gdyby Lassiter zaginęła?

- Byłoby to możliwe, ale bardzo trudne - przyznał Proutz. - Wszystko zależy od tego, jak dokładnie ta para zatarła po sobie ślady. Bez dowodów w kwestii źródła informacji trudno będzie udowodnić, że Brandt znał poufne dane przed przystąpieniem do kupowania akcji. Zazwyczaj napuszczamy na siebie takich konspiratorów, próbując się z nimi indywidualnie dogadywać.

A to oznaczało, że Brandt miał ważny motyw, by Lassiter już nigdy więcej nie pokazała się publicznie.

- Będę informował na bieżąco, panie Proutz.

- Byłbym wdzięczny.

Stride przerwał połączenie, lecz natychmiast rozległ się sygnał telefonu. Dzwonił Teitscher.

- Jesteś gdzieś w pobliżu Parku Engera? - zapytał.

Stride jechał akurat na północ Lincoln Park Drive. Oba parki stykały się na wąskim odcinku w pobliżu estakady wiodącej na autostradę numer 53.

- Będę tam za pięć minut - odparł. - Co się stało?

- Dostaliśmy z centrali wezwanie od jakiegoś motocyklisty.

Podobno słyszał kobiece krzyki w okolicy wieży Engera.

## 43.

W głębokim śniegu na poboczu wąskiej i krętej uliczki biegnącej u podstawy wzgórza Parku Engera stały dwa samochody. Z przodu porsche Brandta, a za nim mercedes należący do Soni Bezac.

Stride zaparkował swojego forda za tamtymi dwoma samochodami, blokując im wyjazd. Otworzył schowek w desce rozdzielczej, wyjął służbowego rugera i wysiadł. Na niebie księżyc w kształcie wąskiego przecinka to znikał za chmurami, to znów się pojawiał ponad pięciopiętrową wieżą z niebieskawo-szarego piaskowca, wznoszącą się na szczycie wzgórza. Wyczuwał, że nad zachodnim zboczem muszą górować wielkie nawisy śniegowe. Poniżej, z głębokich dolin odciętych od wiatru, dolatywały jakieś odgłosy ludzkiej aktywności, były jednak na tyle rozproszone, że nie zdołał nawet określić kierunku, z którego pochodziły.

Park Engera obejmował najwyższe wzniesienie w okolicy, piękne i pozornie radosne, którego on jednak nienawidził. Po drugiej stronie ulicy ciągnęło się pofałdowane pole golfowe, teraz pokryte śniegiem i pocięte biegowymi trasami narciarskimi. Ale z punktu widzenia Stride'a w Parku Engera nigdy nie zapadała zima. Zawsze widział go w sierpniowej szacie sprzed dziesięciu lat, zatopionego w fali gorącego i parnego powietrza, które nasuwało myśl, że cały stan lada chwila się stopi i spłynie z nurtem Missisipi do równie parnych i gorących rejonów nad zatoką. Tamtego lata nawet o drugiej nad ranem, gdy wkraczał z Maggie w alejkę na szczycie, miał koszulę mokrą od potu. A wtedy u ich stóp spoczywały zwłoki ciemnoskórej, pokrytej tatuażami, poszlachtowanej bezimiennej dziewczyny. Ilekroć na nią spoglądał, ogarniała go wściekłość, która tylko nasilała się wraz z upływem czasu, kiedy to postępy śledztwa zastygały bez ruchu niczym powierzchnia jeziora. Niezależnie od upływu lat i bez względu na porę roku wciąż miał przed oczyma leżące tu zwłoki dziewczyny, których obecność chyba na zawsze w jego pojęciu odmieniła charakter tego parku.

Obrzucił uważnym spojrzeniem pole golfowe, nadstawiając ucha. Brandt i Lassiter nie mogli się zapuścić w tamtym kierunku. Wyciągnął z kieszeni latarkę i w jej świetle zaczął się uważnie



przyglądać powłoce śniegowej wokół obu aut stojących niemal zderzak w zderzak. Ślady stóp zdawały się relacjonować zdarzenia. Brandt długim, niespokojnym krokiem okrążył bagażnik porsche'a, podczas gdy Lassiter stanęła przy drzwiach od strony kierownicy wozu Soni. Wywiązała się walka, o czym świadczył krąg udeptanego śniegu. Na jego skraju widniał wydłużony ślad o rozpostartych ramionach, znaczący miejsce, w którym jedno z nich zostało powalone na ziemię, a kilka szkarłatnych plamek wielkości wiśni było dowodem, że w wyniku starcia połała się krew.

Dalej wydłużone drobne kobiece ślady prowadziły sprintem pod górę, za nimi ciągnęły się większe i cięższe tropy Brandta. Stride wyciągnął broń z kabury i szybko ruszył wzdłuż nich w kierunku wieży na szczycie. Świeże ślady stóp w wielu miejscach przecinały się ze starszymi koleinami pojazdów terenowych o grubych oponach, toteż wyjął latarkę, żeby w jej świetle nie zgubić śladów stóp. Po obu stronach ścieżki ciągnął się gąszcz młodych drzewek. Górą biegła linia wysokiego napięcia, a trzaski towarzyszące drobnym wyładowaniom w wilgotnym powietrzu skojarzyły mu się ze skwierczeniem boczku na rozgrzanej patelni.

Gdzieś z góry doleciał kobiecy okrzyk:

- Nie!

A chwilę później:

- Przestań! Pomocy!

Stride zboczył ze ścieżki i ruszył najkrótszą drogą prowadzącą na szczyt wzniesienia. Sypki śnieg sięgał mu prawie do kolan, poza tym musiał odgarniać nisko zwisające pod ciężarem śniegu gałęzie jodeł, które chłostały go po rękach i torsie odkrytym skórzaną kurtką. Leśna gęstwina przyprawiała o klaustrofobię. Widział przed sobą jedynie płataninę gałęzi przesłaniających widok, a słyszał głównie szelest gałęzi ocierających się o jego ubranie i własne ciężkie dyszenie. Upłynęło dobre pięć minut uporczywego pokonywania stromizny, potem dziesięć. Nie mógł jednak

przyspieszyć. Kiedy w końcu wy dostał się z lasu na niewielką polankę, aż przystanął na czworakach, żeby złapać oddech. I potrząsnął głową, żałując zarazem, że tak niedawno wypalił ostatniego papierosa.

Dostrzegł przed sobą u podstawy wieży dwie poruszające się szybko sylwetki. Wciąż były dość daleko od niego.

- Ratunku! - krzyknęła kobieta.

Stride wymierzył prosto nad siebie i pociągnął za spust. Huk wystrzału rozbrzmiał zdumiewająco głośno, a w dodatku odpowiedziało mu zwielokrotnione echo powracające falami po odbiciu od zboczy sąsiednich wzgórz. Zauważył, że wyższa z dwóch sylwetek zastygła bez ruchu. Podniósł się, mając zamiar pobiec dalej.

Chwilę później trafił na ubitą ścieżkę i przyspieszył kroku, lawirując między kępami drzew w drodze na szczyt. Co i rusz ślizgał się na utartym szlaku, bolały go nogi w kolanach, a w piersi odzywał się rytmiczny ból dudniącego w oszalałym rytmie serca, ale z każdym krokiem był coraz bliżej kamiennej wieży na wzgórzu. Złowił czyjeś ciężkie stąpania po lewej, lecz gdy poświecił latarką w tamtą stronę, dostrzegł tylko zarys płowej sylwetki koziołka i jaskrawy błysk jego białego lusterka, nim zwierzak zniknął bez śladu w leśnym gąszczu. Kilkanaście metrów dalej tak niespodziewanie wypadł na płaski grunt, że aż nogi się pod nim ugięły.

Przystanął na chwilę, żeby złapać oddech i uwolnić się od dotkliwego szumu w głowie, po czym wyszedł spośród drzew. Granitowy monolit dźwigał się przed nim dobre dwadzieścia metrów w niebo, a blask księżyca rozjaśniał pstrokaty kamień, zapełniając zarazem ciemne prostokąty okien głębokim cieniem. Za krawędzią wzniesienia widać było plamę miejskich świateł otaczających czarną toń jeziora. Obrócił się dookoła, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność zalegającą w leśnym gąszczu otaczającym

parkową polanę. Nie spostrzegł jednak niczego poza bezlistnymi szkieletami drzew, stołami piknikowymi, paleniskami zwieńczonymi przez śniegowe czapy, wypalonymi kręgami po ogniskach oraz licznymi tropami saren, jak też śladami ludzkich stóp. Brandt i Lassiter nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Zaczął nasłuchiwać w nadziei, że usłyszy ich kroki, ale wokół panowała martwa cisza. Lassiter przestała krzyczeć. Albo się gdzieś ukryła, albo milczała, chociażby z tego powodu, że Brandt zakrywał jej usta, jeśli jeszcze była przy życiu.

Ze wspomnień Stride'a wypłynęły sceny związane z odkryciem zwłok z Parku Engera, a raczej samego korpusu, bezgłowego i pozbawionego kończyn. Tamta dziewczyna także zamilkła na zawsze.

- Nie bądź głupi, Brandt! - zawołał.

Wiatr poniósł jego głos, który błyskawicznie zamarł między drzewami. Podeszedł bliżej wieży i musnął palcami lodowaty kamień. Po chwili zgasił latarkę i odczekał parę sekund, żeby oczy przywykły do ciemności. Wreszcie ruszył powolnym krokiem wokół wieży, odwracając się plecami do niej i mierząc z pistoletu w zwartą ścianę lasu. Przy każdym załamaniu ośmiokątnej budowli przystawał i zerkał ostrożnie za róg, nim ruszył dalej.

Daleko w dole rozległo się wycie syren zbliżających się wozów policyjnych. Brandt także musiał je słyszeć.

Stride omal nie potknął się o skulone ciało Kathy Lassiter leżącej tuż pod murem po północnej stronie wieży. Rozsypane ciemnoblond włosy całkowicie zasłaniały jej twarz, ale wypływające spod nich trzy strumyki świeżej krwi ściekały za uchem aż na policzek.

Kłęknął i przycisnął dwa palce do ciepłej jeszcze szyi kobiety pod linią jej brody. Była ogłuszona, ale żyła. Kiedy przekreślił ją na wznak, wzdygnęła się i głośno jęknęła. Chwilę później poruszyła rękoma, zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy.

Najwyraźniej go nie rozpoznała, gdyż krzyknęła ze strachu i w panice zaczęła go okładać pięściami po piersi. Złapał ją za nadgarstki, pragnąc uspokoić.

- Już wszystko dobrze, wszystko w porządku.

- Ale...

Za późno uświadomił sobie, że ona nie patrzy mu w twarz, lecz ponad jego ramieniem.

Jakiś cienki zimny pasek zacisnął się na jego szyi, odcinając dopływ powietrza. Coś szarpnęło go do tyłu, a skórzany rzemień wbił mu się głęboko w skórę, boleśnie zaciskając na krtani. Pistolet wysunął mu się z ręki i wpadł w śnieżną zaspę. Kiedy otworzył szeroko usta, żeby zaczerpnąć oddechu, nie zdołał wciągnąć do płuc ani odrobiny powietrza. W przypiływie paniki serce podeszło mu do gardła. Sięgnął oburącz do szyi, próbując wepchnąć choć jeden palec pod zaciśnięty pasek, ale Brandt trzymał go z całą siłą. Stride poczuł pod paznokciami krew wypływającą z przeciętej skóry na krtani. Jakaś część jego jaźni oddzieliła się od reszty, przyjmując rolę biernego obserwatora własnego końca, a wraz z nią całkowicie zanikło poczucie bólu. Wydało mu się to dziwne. Dlaczego nic nie czuł?

Wymacał pod stopą solidniejsze oparcie, toteż odbił się i rzucił do tyłu, trafiając głową w pierś Brandta. Zwalili się na ziemię z takim impetem, że Stride poczuł ból w plecach. Ale równocześnie zelżał ucisk paska na jego szyi, jak gdyby napastnik wypuścił z rąk jeden jego koniec. Nabrawszy błyskawicznie powietrza, chwycił rzemień i odrzucił go szarpnięciem w śnieg. Leżący pod nim Brandt zaklął pod nosem i przekręcił się błyskawicznie, ładując na nim. Poderwał się na nogi, chcąc się rzucić do ucieczki, ale Stride zdążył go złapać za kostkę, toteż zwałił się jak długi twarzą w śnieg.

Był szybki. Zanim Stride zdążył sięgnąć po kajdanki, wykręcając mu prawą rękę na plecy, Brandt wykręcił się jak piskorz i

zrzucił go z siebie. Siła uderzenia była tak wielka, że Stride'a na chwilę zamroczyło. Udało mu się jednak chwycić połą płaszcza maklera, zanim ten dźwignął się na kolana.

Jaskrawy błysk i huk wystrzału zaskoczył ich obu. Blisko, dużo za blisko, pocisk zarył się w ziemię, wzbijając w powietrze obłok śniegowego pyłu. Obaj z głowami wciśniętymi w ramiona rozplaszczyli się na śniegu. Kiedy Stride odważył się w końcu zerknąć w bok, spostrzegł Kathy Lassiter stojącą na chwiejnych nogach i ściskającą w roztrzęsionych rękach jego służbową broń. Z przerażeniem popatrzył na roztańczony wylot lufy. W tej samej chwili bluznął z niej jęzor ognia, ogłuszający huk o mało nie porozrywał mu bębenków, a tuż przy twarzy przemknęła struga gorącego powietrza ciągnącą się za kolejnym pociskiem, który z metalicznym brzękiem zrykoszetował o żelazną nogę stołu piknikowego. Parę centymetrów w bok, a trafiłaby go prosto w oko.

- Nie strzelaj! - krzyknął.

Sądził, że kobieta usiłuje wycelować w Brandta, lecz nagle przyszło mu do głowy, że wcale nie musi to być prawdą.

Wystrzeliła znowu. Tym razem za słabo trzymała kolbę i kula poleciała w niebo. Zrobiła niepewnie dwa kroki, ale zaraz oczy jej się zamknęły, a rewolwer wysunął z palców. Opadła na kolana, po czym wolno upadła twarzą w śnieg. Obficie krwawiła z rany na głowie.

Brandt się poderwał i rzucił do ucieczki, ledwie utrzymując równowagę na wydeptanym śniegu. Stride sunął za nim, ale nie dosięgnął jego płaszcza i zwałił się w zaspę. Plując śniegiem, ruszył w pościg, ale Brandt miał nad nim przewagę nie tylko dziesięciu metrów, ale i dziesięciu lat, toteż dystans między nimi stale się powiększał. Po chwili makler skoczył w bok, między drzewa, i pomknął w dół stromego zbocza na łeb na szyję. Syreny policyjnych radiowozów rozbrzmiewały już bardzo głośno, po paru sekundach dwa auta ukazały się na śliskiej i krętej alejce dojazdowej

prowadzącej do podnóża wieży. Na ich widok Brandt zmienił kierunek i pognął trawersem, byle dalej od wozów patrolowych, które zatrzymały się kilkanaście metrów poniżej. Gęstwina na zboczu stała się omal nie do przebycia. Stride uniósł przed twarzą obie ręce, by się uchronić przed zderzeniami z gałązkami boleśnie raniącymi skórę, ale zarazem nie stracić z oczu uciekiniera.

Kiedy Brandt wypadł z zarośli na szeroką ścieżkę i jeszcze przyspieszył, inspektor pomyślał, że teraz już na pewno go straci. Tamten jednak chwilę później wywinął kozła w powietrzu i na próżno usiłując odzyskać równowagę na śliskim gruncie, poleciał głową w zaspę. Stride zauważył wystający na ścieżce kamień, o który makler się potknął, toteż przeskoczył go i rzucił się na Brandta, nim ten zdołał stanąć na nogi. Wbił obydwie kolana w szeroki kark uciekiniera, który po paru próbach ostatecznie się poddał, rozrzucając szeroko ręce i nogi. Stride najpierw zdzielił go w skroń kantem dłoni - uczynił to mocno, dużo mocniej niż było trzeba - a dopiero później uchwycił mokre od śniegu ręce maklera i pospiesznie skuł je kajdankami. Na końcu wyciągnął pasek ze swoich dżinsów i na wszelki wypadek skrępował nim jeszcze w kostkach nogi Brandta.

Kiedy chwycił go pod ramię i przekręcił twarzą do góry, ujrzał na niej grymas wściekłości, tak skrajnej, że aż trudno mu było w pierwszej chwili rozpoznać skrzywionego maklera. Przemknęło mu przez myśl, że w tej sprawie wszyscy występują w maskach.

## 44.

Stride wsunął się na tylne miejsce wozu patrolowego. Jego silne postanowienie, że rzuca palenie, rozwiało się w nicość, zanim jeszcze dotarł na brzeg parku, toteż teraz szybko opuścił szybę, zapalił i wydmuchnął kłęb dymu na zewnątrz. Był przemoczony i

zmarznięty, bolało go całe ciało. Delikatnie obmacał nabrzmiałą pręgę na szyi po cienkim pasku, którym Brandt chciał go udusić. Wyglądała teraz jak gruby czerwony tatuaż. Makler siedział obok na tylnym siedzeniu auta, skuty, zamknięty w sobie i wyglądał przez okno na dwór.

Ludzie aresztowani po raz pierwszy z reguły zachowywali się podobnie. Uświadamiali sobie z bólem, że oto stracili wolność.

Czerwony migacz karetki rozjaśniał wnętrze radiowozu niczym lampa stroboskopowa. Wszędzie dokoła pełno było wozów policyjnych, gliniarze kręcili się po całej okolicy. Stride zaciągnął się po raz drugi, a dym w zamyśleniu wydmuchnął przed siebie. Brandt zakasłał.

- Lassiter wyjdzie z tego - powiedział inspektor.

Po twarzy maklera przemknął krótki grymas. Nie odezwał się jednak.

- Jednej rzeczy nie rozumiem, Mitch. Jesteś rozchwytywanym brokerem, zgarniasz... Ile? Kilkaset tysięcy rocznie? W tym mieście to prawdziwa fortuna. Dlaczego to wszystko zaprzepaszczasz?

Brandt nadal milczał.

Stride westchnął i odchylił się na oparcie.

- Lassiter powiedziała mi, że trudno się dorobić, pracując za stawkę godzinową, mogę więc przypuszczać, że zgarniała dwa razy więcej od ciebie. W takiej sytuacji pewnie nigdy nie ma się dość, no nie?

Spojrzał na Brandta, wypatrując na jego twarzy jakiejś reakcji, ale ten siedział zaszępiiony, wędrując myślami gdzieś daleko.

- Czyżby chodziło o dreszczyk emocji związany z ucieczką i pościgiem? - odezwał się znowu Stride. - Specjalnie chcieliście sprawdzić, jak daleko zdołacie nawiać? - Kiedy Brandt dalej nie odpowiadał, ciągnął: - Nie ma sprawy, nie musisz się do mnie odzywać. Ściągniesz sobie dobrego adwokata i zaczniesz z nim

kombinować nad wiarygodnym tłumaczeniem. Tylko do tej pory ciąży na tobie zarzut napaści i próby zabójstwa, a to oznacza, że stracisz najbliższe sześć do dziewięciu lat życia. A będziemy jeszcze musieli się tobą podzielić z federalnymi, którzy chcą cię wpakować do więzienia za przekręty z zakupami akcji „Infloron Medical”.

Brandt gwałtownie obejrzał się w jego kierunku. Stride pokiwał głową.

- Owszem, wiemy już o nielegalnym wykorzystaniu poufnych informacji. Działaleś w zмовie z Lassiter. Komisja Bezpieczeństwa Obrotu Giełdowego zdążyła was rozpracować, ale to dla ciebie żadna nowość, prawda? To dlatego próbowałeś się dzisiaj zemścić na Lassiter. - Stride pstryknięciem posłał niedopałek za okno. - Ale Komisja będzie musiała zaczekać w kolejce. Jak tylko uda nam się poszerzyć zarzuty o wielokrotne gwałty, twoje machlojki finansowe będą przy nich wyglądały jak ściąganie na egzaminie. A wtedy będziemy już rozmawiać o dwudziestu pięciu latach albo nawet dożywociu. To kiepska perspektywa.

Brandt, chyba na brzmienie słowa „gwałt”, postanowił w końcu się odezwać.

- O czym pan mówi, do jasnej cholery?

- Nie udawaj głupiego, Mitch.

- Nigdy nikogo nie zgwałciłem.

- Nie? Tylko tak się zabawiałeś podczas spotkania w domu Soni? - Dostrzegł wahanie maklera, toteż szybko dodał: - Owszem, wiemy też o klubie i znamy przebieg dzisiejszego spotkania.

- Nie możecie tego potraktować jak gwałt.

- A co z innymi kobietami?

- Jakimi innymi?



- Dziewczynkami alfa - rzucił inspektor.  
- Niby co z nimi? Mają ochotę, to same zgłaszają się na ochotnika do klubu. Żeby uprawiać seks. Nikt tam nikogo nie gwałci.

Stride wzruszył ramionami.

- A Tanjy?

- Co Tanjy?

- Odgrywałeś gwałt na niej w parku Grassy Point, a kiedy cię rzuciła, została brutalnie zgwałcona w tym samym miejscu. Chcesz mi wmówić, że to zbieg okoliczności? Jakoś dziwnie historie różnych gwałtów koncentrują się wokół ciebie, nieprawda, Mitch?

- Tanjy wymyśliła sobie ten gwałt - odparł Brandt z naciskiem.  
Stride pokręcił głową.

- Nieprawda. Czy nie to cię właśnie podniecało, że mogłeś ją zaskoczyć, mając pewność, że gdy ujawnisz opinii publicznej tajemnicę jej fantazji, nikt jej nie uwierzy? Co się wtedy stało? Uznałeś, że podoba ci się poczucie władzy, jakie zyskujesz w takich chwilach? A kiedy sprawa gwałtu na Tanjy przycichła, uświadomiłeś sobie, że inne dziewczęta alfa powinny zrobić wszystko, byle tylko zachować w sekrecie swoje upodobania? Nawet mimo tego, że je zgwałciłeś?

- To jakieś wariactwo. Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan gada, do cholery!

- Mówię o tych dwóch dziewczynkach alfa, które zostały napadnięte krótko po spotkaniach w klubie, mniej więcej w takich okolicznościach, w jakich dzisiaj rzuciłeś się na Kathy Lassiter. Może jeszcze nie zdajesz sobie sprawy, ale traktuję to dochodzenie bardzo personalnie.

Brandt szarpnął się, zapomniawszy o kajdankach.

- Niemożliwe.

- Ale teraz to już będzie łatwa sprawa, Mitch. Mamy dziesiątki świadków twojej napaści na Kathy Lassiter. Jako jeden z

nielicznych mężczyzn byłeś na wszystkich spotkaniach klubowych, po których dziewczęta alfa zostały zgwałcone. Jesteś dobrze zbudowany i wysportowany. A sam mi mówiłeś, że odgrywałeś z Tanjy sceny gwałtu za każdym razem, ilekroć szliście do łóżka. Tak samo postąpiłeś w stosunku do innych kobiet.

- Kurwa mać!... To wprost niewiarygodne! - Brandt tak mocno huknął bokiem głowy w okno radiowozu, że aż otworzyła się zasklepiona rana i krew pociekła mu po czole, zbierając się grubymi kroplami w brwiach. Na szybie auta została szeroka szkarłatna smuga. Stride wyciągnął z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych, rozprostował kilka, zmiął w dużą kulę i pochylił się, żeby zatamować więźniowi krwotok. Błyskawicznie przesiąkły krwią.

- Spotkania klubowe otaczała ścisła tajemnica, Mitch - ciągnął. - Nikt poza stałymi bywalcami nie wiedział, kim są dziewczynki alfa. Jak odbiorą to przysięgli? Naprawdę sądzisz, że dadzą się przekonać, że gwałcicielem jest ktoś inny, na przykład Delmar Bezac? Byłeś najmocniejszym ogierem w tym stadzie. - Pochylił się do ucha Brandta i szepnął: - Eric Sorenson cię rozszyfrował, no nie? Przyjechał do ciebie i oskarżył o zgwałcenie jego żony. Dlatego musiałeś zamknąć mu usta. A potem tak samo Tanjy...

Pochylał się tak blisko, że czuł kwaśny odór potu Brandta. Z zakrwawionym czołem i brodą pokrytą dwudniowym zarostem makler wyglądał na pirata.

- Co wy możecie wiedzieć? - bąknął. - W ogóle nie macie pojęcia, co się wyrabia w tym mieście.

- Więc może mi to wyjaśnisz?

- Zostałem wrobiony. Tak samo, jak Maggie.

- No pewnie.

- Niech pan posłucha. Niezależnie od tego, co powie Lassiter, to był jej pomysł. Poznaliśmy się w klubie. To ona podsunęła mi pomysł zakupu akcji „Infloron Medical”, wiedząc już o aprobacie

Urzędu do spraw Żywności i Leków. Więc gdy się dowiedziałem, że potajemnie negocjuje z Komisją Bezpieczeństwa, żeby mnie obarczyć wyłączną winą za ten przekręt, straciłem panowanie nad sobą.

Stride pokręcił głową.

- Mylisz się, Mitch. Komisja Bezpieczeństwa Obrotu Gieldowego nic nie wiedziała o roli Kathy Lassiter. Tylko ciebie trzymali pod lupą, jej nikt nie sprawdzał. Dostali na ciebie namiar od anonimowego informatora.

Wpatrywał się w oczy maklera, których wyraz zmieniał się jak ubarwienie kamaleona.

- Kłamiesz - warknął.

- Nie, ktoś cię wystawił na odstrzał.

- Jasna cholera... - warknął Brandt z sykiem powietrza wypuszczanego przez zaciśnięte zęby.

- Coś mi się zdaje, że wiesz, kto to zrobił.

Makler zamknął oczy.

- Pieprzę to. Muszę porozmawiać ze swoim adwokatem. Mam kartę przetargową, ale muszę sprawdzić, ile jest warta, zanim zdecyduję się powiedzieć choćby jeszcze jedno słowo.

- Co to za karta przetargowa? - zaciekał się Stride.

- Ścigacie gwałciciela, zgadza się?

Inspektor zauważył, że krew znów zaczyna spływać spod przesiąkniętych nią chusteczek, toteż mocniej docisnął prowizoryczny tampon. Brandt aż szarpnął się do tyłu z bólu.

- Może nie wyraziłem się dostatecznie jasno, lecz ten gwałciciel może mieć także na sumieniu śmierć dwojga osób. Na razie ty jesteś głównym podejrzanym, lecz jeśli masz czyste sumienie, lepiej powiedz wszystko, co wiesz, żebyśmy mogli go jak najszybciej złapać.

- Ale chcę mieć coś w zamian za swój udział w jego schwytaniu. Musimy wcześniej dobić targu.

- Jasne. Mogę ci zaproponować tablicę pamiątkową w głównym

holu ratusza. Kto to jest?

- Nie wiem.

- W takim razie nie masz żadnej karty przetargowej.

- Niech pan posłucha. Nic o nim nie wiem, ale to na pewno ten człowiek, którego szukacie.

Stride nie odpowiedział.

- Zapłaciłem mu - dodał Brandt. - Zawarliśmy umowę, a on teraz chce mnie zrobić do końca życia. Na pewno traktuje to jak cholernie dobrą zabawę.

- Zdradzisz wreszcie, o kim mówisz?

- Już mówiłem, że nic o nim nie wiem - powtórzył makler z naciskiem. - Powiedział pan, że tylko ja wiedziałem, kim są dziewczyny alfa, ale to nieprawda. On także zna je wszystkie.

- Kto?

- Ten sukinsyn, który mnie szantażuje.

Stride zgniótł mocniej chusteczki i rzucił je na podłogę auta, po czym odsunął się od więźnia. Z jego pamięci wypłynął głos Sereiny, tylko jedno wypowiedziane przez nią słowo, kiedy już zasypiał, zmęczony żarliwym seksem. Tylko tym jednym słowem scharakteryzowała swoje zlecenie: *Szantaż*.

- Wciąż krwawię - zaprotestował Brandt.

- Nic ci nie będzie. Mów dalej.

- Ten facet wie o wszystkim. Nie mam pojęcia, skąd się dowiedział. Skontaktował się ze mną parę miesięcy temu i powiedział wystarczająco dużo, żeby mnie przekonać, że wie wszystko o wykorzystaniu poufnych informacji do wykupu akcji „Inflorunu”. Sypał datami, rozmiarami pakietów, cenami. Wyssał mnie jak pijawka.

- A co z dziewczynami alfa?

- O nich też wiedział. Żartował na temat mojego spotkania z Lassiter w klubie. Dopytywał się, jak to jest z dziewczynami alfa. Podawał nazwiska. A wczoraj wieczorem znów do mnie zadzwonił. Wiedział, że podczas dzisiejszego spotkania to Lassiter będzie

dziewczyną alfa, i powiedział, że to właśnie ona za moimi plecami nawiązała współpracę z Komisją Bezpieczeństwa. Poradził, że-  
bym lepiej się nią zajął. Ale wygląda na to, że sam anonimowo powiadomił Komisję.

- Może próbowałeś go uciszyć? - podchwycił Stride.

- Nie! Ten sukinsyn po prostu sam postanowił mnie zrobić.

Inspektor wysiadł z radiowozu i zatrzasnął drzwi. Popatrzył na rysującą się na tle nieba kamienną wieżę na szczycie wzgórza i pomyślał o dziewczynie z parku Engera, a następnie o Maggie i Serenie. I o gwałcie, morderstwie, szantażu. Usiłował to wszystko poukładać sobie w głowie, ale bardzo mu się nie spodobał kierunek, w którym prowadziły wstępne wnioski.

Mitchell Brandt był szantażowany. Jeśli prawidłowo odgadł sugestię Sereny, Dan Erickson także był szantażowany. Przez kogoś, kto ponadto wiedział o istnieniu klubu erotycznego oraz dziewczynkach alfa. Zatem to on stawał się głównym podejrzanym o dokonanie serii gwałtów oraz zabicie Erica i Tanjy.

Na chwilę ogarnęła go złość, kiedy pomyślał, że Serena wie dużo więcej o tej sprawie, ale nic nie chciała mu powiedzieć.

Po miesiącach działania w ukryciu szantażysta najwyraźniej doszedł do wniosku, że jego czas się kończy. Policja wiedziała już o gwałtach. Było tylko kwestią czasu, kiedy Stride złoży w całość wszystkie elementy układanki.

To oznaczało, że Dan Erickson stoi na drodze nadciągającego huraganu. Podobnie jak Serena.

## 45.

Serena zaparkowała na pustym placu pod biegnącą stopniowo coraz wyżej estakadą mostu Błatnika przerzuconego przez zatokę Superior do Wisconsin. Gigantyczne betonowe podpory w kształcie

litery Y wyglądały stąd jak szereg żołnierzy wychodzących z miasta i maszerujących wprost do wody. Ilekroć jakiś samochód wjeżdżał na most, jego stalowa podstawa rezonowała niczym werbel, a ku ziemi dolatywał wzmocniony przez echo dudniący huk. Kiedy wysiadła z samochodu, popatrzyła na skutny lodem basen portowy po prawej stronie. Po przeciwnej stronie drogi zawracającej pod estakadą w kierunku miasta ciągnęły się tonące w mroku place portowego terminalu przeładunkowego. To właśnie wzdłuż nich koncentrowała się w ciągu cieplejszych miesięcy przemysłowa aktywność miasta, kiedy to dziesiątki barek do przewozu rudy zapelniało bądź opróżniało swoje ładownie. Teraz port sprawiał wrażenie opuszczonego, skutny lodem oczekiwał wiosennych roztopów.

Zaczął padać śnieg, jego płatki w smugach świateł pod mostem przypominały strumienie meteorytów. Zamrugła szybko, gdy śniegowe drobiny wpadły jej do oczu. W jednej ręce trzymała glocka, a w drugiej wypakowane studolarowymi banknotami, oklejone taśmą samoprzylepną pudełko po butach. Rozejrzała się jeszcze raz. Na drodze, na placu parkingowym, na zamarzniętej tafli basenu portowego oraz placach ciągnących się między nabrzeżami a torami kolejowymi nikogo nie było. Gdzie się ukrył tym razem?

Buty na wysokim obcasie zapadały się w piętnastocentymetrowej warstwie mokrego śniegu, toteż szybko przemoczyła nogi i zmarzła. Nie miała czasu, żeby się przebrać po otrzymaniu wiadomości, zdążyła tylko wpaść do Dana po okup i od razu ruszyła autostradą w kierunku portu. Teraz mogła tylko żałować, że nie wozila ze sobą w samochodzie butów na zmianę. Wypatrzyła obszar pod filarem mostu, gdzie śnieg był trochę udeptany, i postanowiła tam zaczekać. Mimo wszystko ogarniało ją zniecierpliwienie. Zaczęła przytupywać w miejscu, gdyż było jej coraz bardziej zimno.

Dostrzegła masywną dwunastokołową ciężarówkę z naczepą

wjeżdżającą na most i chwilę później betonowa konstrukcja nad jej głową zadygotała, a zanim fale wstrząsów przeniosły się nad jezioro, huk rezonującej estakady wywołał w niej silny dreszcz, jakby szósty zmysł podpowiedział jej, że cała konstrukcja lada chwila runie na głowę.

Zadzwonił telefon komórkowy, odstawiła więc pudełko po butach na ziemię, żeby móc lewą ręką wyjąć z kieszeni aparat.

- Gdzie jesteś? - zapytał Stride.

Rozejrzała się podejrzliwie po pustym placu. Śnieg sypał coraz mocniej, ograniczając widoczność.

- Wykonuję zadanie. Nie mogę teraz rozmawiać.

- Ma to związek z szantażem Dana?

Zawahała się.

- Tak.

- Wynoś się stamtąd, do diabła - rzucił szybko. - Brandt także był szantażowany. Ten facet wie wszystko o klubie erotycznym i dziewczynkach alfa. Niewykluczone, że to właśnie jego szukamy.

- W takim razie mamy teraz szansę go schwytać.

- Nie zrobisz tego sama.

- Przez dziesięć lat pracowałam w policji. Potrafię się zatroszczyć o własne bezpieczeństwo.

- Szkoda, że mi nie powiedziałaś, na czym polega zadanie, które wykonujesz dla Dana.

- Nie mogłam. Wiesz o tym.

- Więc gdzie teraz jesteś, do diabła?

Przemknęło jej przez myśl, żeby nie odpowiadać, rozumiała jednak, że byłby to jedynie przejaw bezsensownego uporu.

- Na Rices Point, pod mostem.

- Jasna cholera! Do końca postradałaś zmysły?!

- To on wybrał to miejsce.

- Spieprzaj stamtąd, i to już. Niewykluczone, że obrał ciebie na cel.

- Jemu zależy tylko na pudełku po butach wypakowanym banknotami. Niczego innego nie pragnie.

- Wysyłam do ciebie patrol.

- Nie rób tego - odparła z naciskiem. - Tylko go odstraszysz.

- W takim razie przyjadę sam.

W aparacie rozległo się ciche piśnienie. Ktoś inny chciał z nią rozmawiać. Łatwo było się domyślić kto.

- Nie rób tego Jonny. Jeszcze nie teraz. Daj mi pół godziny. Jeśli w tym czasie nie zadzwonię, wysłesz patrolę.

Przerwała połączenie, zanim zdążył odpowiedzieć. Lewie przełączyła się na drugiego rozmówcę i usłyszała głos szantażysty, uświadomiła sobie nagle, że wydaje jej się znajomy. Nie mogła skojarzyć, gdzie go już słyszała, zaliczyła go więc szybko do tego gatunku wspomnień, które same muszą wypłynąć z głębin pamięci i nie należy ich poganiać. Była pewna tylko tego, że owo wspomnienie wiąże się z czymś mrocznym, zatem kolejny dreszcz, który ją przeszył, był wynikiem nagłego lęku i nie miał nic wspólnego z drganiami mostu.

- Dobrze się dzisiaj bawiłaś? - zapytał.

Zbyła to milczeniem.

- Próbowałem wyobrazić sobie ciebie w środku - dodał. - Rozebrałaś się do naga, jak wszyscy?

- Odpieprz się.

- Widok grupowego seksu nie sprawił, że powilgotniałaś? A może nawet zabawiałaś się sama ze sobą?

- Odjeżdżam - ucięła Serena. - Z twoją forszą.

- Nigdzie nie odjeżdżasz. Zostajesz tam, gdzie jesteś.

- No to patrz. - Schyliła się szybko po pudełko, mając nadzieję, że i tym razem ją obserwuje. Wstrzymała się jednak na chwilę, ciekawa, jak on zareaguje.

- Opowiedz mi, jak to jest - rzekł.

- Wygląda na to, że świetnie wiesz.

- Nie chciałabyś być dziewczyną alfa?



- Nie, dziękuję.

- Kiepsko - mruknął. - Może bawiłabyś się równie dobrze, jak twoja przyjaciółka Maggie. Albo Katrina. Bo one były dziewczynkami alfa.

Implikacje tego, co usłyszała, sprawiły, że serce podeszło jej do gardła. Nie odpowiedziała, tylko mocniej zacisnęła palce na kolbie pistoletu.

- Zaczynasz się mnie bać - rzekł.

- Dlaczego miałabym się bać?

- Już wiesz, co im zrobiłem.

Stała jak wmurowana, przemarznięta, wręcz nieświadoma tego, że pada na nią śnieg.

- Tak.

- To samo zrobię tobie. Chciałem tylko, żebyś z góry o tym wiedziała.

- Ty łajdaku...

- To zresztą nie wszystko, Sereno. Jest tego dużo więcej.

Przerwała połączenie. Ruszyła na chwiejnych nogach, ale potknęła się i upadła. Szybko wstała i ruszyła biegiem do samochodu. Raz i drugi zerknęła przez ramię, ale przez rozwiane włosy niewiele widziała, toteż przystanęła, obróciła się na pięcie i zaczęła gorączkowo się rozglądać, żeby mieć pewność, że go zobaczy, jeśli będzie próbował na nią napaść. Gdy most znowu się zatrzęsł pod ciężarem jakiegoś pojazdu, mimowolnie krzyknęła i przygryzła język, aby się uciszyć. Poczowała w ustach smak krwi. Sypiący coraz gęściej śnieg zdawał się podążać za nią niczym rój pszczół wylatujących z ula.

Gdy przyspieszyła kroku, pudełko po butach wysunęło jej się z dłoni i potoczyło w bok. Zaklęła pod nosem, skoczyła za nim i schyliła się, żeby je podnieść, a kiedy się wyprostowała, zalał ją oślepiający strumień światła nakierowanego na nią z ruchomego szperacza. Krótco zawyła i zaraz ucichła policyjna syrena. Mimo oślepiającego blasku dostrzegła czerwony migacz na dachu wozu

patrolowego policji miejskiej i chyba po raz pierwszy w życiu pomyślała z wdzięcznością, że Jonny jej nie posłuchał.

Wręcz sparaliżowana smugą jaskrawego światła, poczuła się jak sarna na autostradzie. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że w jednym ręku ściska pistolet, a w drugim pudełko po butach wypakowane gotówką.

Gliniarze od razu zwrócili na to uwagę. Przez megafon padło rzucone z silnym południowym akcentem polecenie:

- Rzuć broń!

Wykonała je.

- Odłóż też pudełko.

Zrobiła i to.

- Połóż się na ziemi i rozłóż szeroko ręce, tak, żeby były cały czas widoczne.

Wyrzuciła ramiona w górę, przyklękła na oba kolana, po czym szeroko zaparła się dłońmi w głębokim śniegu i padła płaciek na ziemię. Wykręciła głowę, żeby dojrzeć policjanta, ale światło szperacza skutecznie ją oslepiło. Usłyszała trzask drzwi radiowozu, a chwilę później policjant zawołał już bez megafonu:

- Nie ruszaj się!

Leżała bez ruchu, niemalże wstrzymując oddech.

- Wszystko w porządku, panie władzo - zaczęła, gdy policjant zrobił parę kroków w jej stronę. - Nazywam się Serena Dial i jestem partnerką porucznika Stride'a.

- Cisza!

Najwyraźniej był rozwścieczony, lecz spoza złości przebijał strach. Postanowiła więc nie odzywać się więcej, żeby nie denerwować go bardziej. W jaskrawym blasku dostrzegła jedynie postać o mocnych nogach, trzymającą w ręku przy biodrze wycelowany w nią rewolwer. Policjant zaszedł ją z tyłu. Leżała bez ruchu, jakby obwąchiwał ją groźny niedźwiedź, wobec którego postanowiła udawać trupa. Podniósł ze śniegu jej pistolet, wypiął z niego magazynek i wsunął go do kieszeni.

Aż się skrzywiła, gdy kolaniem przycisnął ją do ziemi między łopatkami. Gwałtownie chwycił ją za prawą rękę i wykręcił do tyłu, po czym zatrzaskał na niej pierwszą obręcz kajdanek. Chwilę później przyciągnął drugą rękę i skutecznie ją skrępował. Kiedy złapał ją za kołnierz kurtki, poczuła zapach bijący od jego palców.

- Wstawaj!

Do tej pory nie sięgnął po broń. Serena dźwignęła się na kolana, a gdy pociągnął ją dalej, stanęła na nogi, starając się nie wykonywać żadnych gwałtowniejszych ruchów.

- Co masz w pudełku? - zapytał.

- Pieniądze. Może lepiej zadzwoń do Stride'a. On wie, co się tu dzieje.

- Wsiadaj do wozu!

Uderzył ją kantem dłoni w tył głowy, przez co poleciała do przodu. W drodze do radiowozu podniósł z ziemi pudełko. Idąc parę kroków przed nim, wsłuchiwała się w natrętny przekaz szóstego zmysłu, który podsuwał jej dziwne słowo:

Ryba.

Rzeczywiście w jej nozdrzach smród psujących się ryb wyparł zapach świeżo spadłego śniegu. Minęła jednak chwila, nim uświadomiła sobie, że jest to zapach bijący od policjanta, pozostały na skórze jej karku, gdy chwycił ją za kołnierz. Jego dłonie śmierdziały psującą się rybą.

Ten sam smród poczuła we wnętrzu swojego auta, gdy wsiadła do niego po zakończeniu klubowego spotkania.

Dokładnie ten sam.

Jej umysł opanowały gorączkowe myśli, które zaczęły kłębić się z takim impetem, że w jednej chwili wzięły górę nad poczuciem ulgi, i to z taką łatwością, z jaką wiatr rozwiewa popiół wygasłego ogniska. Początkowo uważała, że to dziwne, że Jonny zlekceważył jej prośbę i mimo wszystko przysłał pod most wóz

patrolowy. Ale zaraz uderzyło ją, że patrol dotarł na miejsce zdecydowanie za szybko. I przypomniała sobie uwagę, jaką usłyszała z ust Jonny'ego poprzedniego dnia:

„Pete'owi McKayowi skradziono wczoraj radiowóz, kiedy został wezwany na interwencję w szkole średniej”.

Popełniła karygodny błąd. Szantażysta specjalnie mówił z obcym akcentem. Na miejscu wcale nie zjawiał się wóz patrolowy. To był on. Uprzedził przecież, że zależy mu właśnie na niej, a ona dopuściła do tego, żeby przejął nad nią kontrolę, rozbroił ją i skulił jej ręce kajdankami.

Nie obejrzała się i nie zwolniła kroku, ale wiedziała już, że w ciągu najbliższych paru sekund musi coś zrobić. Wiedziała, że gdy wsładzie do radiowozu, znajdzie się w pułapce. W górze po barierkach estakady prześliznęły się światła kolejnej ciężarówki wyjeżdżającej z miasta, skojarzyła więc, że za moment stalowa konstrukcja mostu zatrząśnie się z hukiem pod jej ciężarem. Jak tygrysyca spięła się do skoku.

Kiedy przeszła mostu zadygotały z hukiem, idący za nią mężczyzna odruchowo zadarł głowę do góry. Usłyszała szelest jego nylonowej kurtki, gdy instynktownie odwrócił głowę, żeby spojrzeć przez ramię. Skoczyła przed siebie, dzikim galopem przez śnieg, byle dalej od niego, w kierunku ogrodzenia placu przeładunkowego i wysokich chaszczki okalających terminal portowy. Błyskawicznie oprzytomniał i rzucił się za nią, ale była szybka. Już po pierwszych krokach szpilki zsunęły jej się ze stóp, toteż jeszcze przyspieszyła, mimo rąk skutych z tyłu kajdankami, próbując utrzymać równowagę na śliskim terenie. Ani razu się nie obejrzała, odnotowała jednak głucho jęknienie, z jakim zwałił się na ziemię. Wypadła na ulicę, w paru susach przeskoczyła na drugą stronę i dała nura w wysokie zarośla, sięgające jej prawie do szyi. Po chwili zaryzykowała rzut oka do tyłu, lecz nigdzie nie było go widać.

Przedzierając się przez zasy py jak gdyby przez rwącą głęboką wodę, szybko straciła siły i chyba tylko serce walące jak młotem powstrzymało ją od błyskawicznego zamarznięcia na śmierć. Dała nura pod zwieszoną nisko linią telefoniczną i skoczyła za betonową podporę mostu, już od lat obłożoną z tynku, obsypaną u podstawy taką masą cementowego gruzu, jakby to była strefa intensywnych bombardowań z czasu niedawno zakończonej wojny. Znow pojawił się parę metrów za nią, przez szelest roztrzączanych chaszcy sły szała jego donośny chrapliwy oddech. Jakies sto metrów dalej wypadła na otwartą przestrzeń i znalazła się pośrodku zasypanej śniegiem kolejowej bocznic y rozładunkowej, z której tory prowadziły zygzakiem w głąb terenów portowych. Na szynach stały zardzewiałe drezyny, całkiem bezużyteczne o tej porze roku. Wysiłek związany z intensywnym biegiem bez możliwości wymachiwania ramionami okazał się ponad jej siły. Kiedy tylko skręciła wzdłuż torów do portu, potknęła się o zasypaną śniegiem bryłę lodu. Poleciała głową w dół, aż coś ostrego i twardego wbiło jej się w skórę na policzku. Straciła bezcenne sekundy na mozolne podnoszenie się i stawanie twarzą do nadciągającego przeciwnika, a kiedy go dostrzegła, wyglądał jak złowrózby cień, który wyskoczył ku niej z ośniezonych zarośli, błyskawicznie zmniejszając dzielący ich dystans.

Nie miała pojęcia, ile minęło czasu, modliła się jednak, by Jonny zjawił się jak najszybciej pod mostem w asyście obiecanych wozów patrolowych.

Udeptana ścieżka prowadziła w głąb zamarzniętego portu, Serena znalazła się więc w otoczeniu uspionych gigantów. Maszynne żurawie dźwigały się w niebo, wielkie żelazne haki pod nimi wiszące na linach przypominały wisielców. Znalazła się w otoczeniu ośniezonych stert piasku, rozdrobnionego złomu oraz brył takonitu, a ponad wybetonowanym nabrzeżem zamajaczyły bunkry z prefabrykatów wznoszące się na trzydzieści pięter. Dała

nura w ten gigantyczny, wypełniony ciszą labirynt, gdzie jedynym odgłosem mącącem ciszę były grzmoty nadciągającej burzy. Zatrzymała się i nadstawiła ucha, wytężając wzrok, lecz prześladowca rozplynął się gdzieś we mgle wiszącej nad portem i zniknął jej z oczu. Mógł być w dowolnym miejscu.

Uzmysłowiła sobie, że ma kłopoty z chodzeniem. Zostawiała za sobą krwawe ślady, chociaż nie odczuwała bólu, gdy biegła. Za to całą jej twarz pokrywały gęsto świeże przecięcia i otarcia, a na wargi wciąż występowała świeża krew. Kajdanki zdarły jej skórę na nadgarstkach do krwi, nie mogła też poruszyć ręką ani nogą. W miejscu, gdzie się zatrzymała, skarpa opadała stromizną świeżo usypanej ziemi, zaczęła się więc po niej zsuwać, niezbyt zadowolona, że ma ograniczoną widoczność, mając jednak nadzieję, że on nie zdoła jej przegonić w drodze na dół. Wcisnęła głowę w ramiona, próbując się skulić przed jego spojrzeniem, lecz zachwiała się, zakotłowała mocno na boki i runęła w zaspę. Gęsty, padający śnieg tylko przyspieszał tworzenie się kryjówek. W pewnym momencie pośliznęła się na oblodzonym gruncie skrytym pod zaspami. Śnieg wciąż padał, tworząc białą zasłonę.

Śnieżyca jeszcze przybierała na sile, otaczała ją ze wszystkich stron. Serena próbowała jeszcze podnieść głowę, żeby zorientować się w swoim położeniu, ale zabrakło jej sił. Mogła już tylko leżeć w zaspie, pełna nadziei, że wielcy tego świata zapewnią jej ochronę.

Jej telefon komórkowy znów zaczął dzwonić. Zdradliwie głośno. Ręce miała skrępowane, toteż mogła jedynie nasłuchiwać, jak dzwonek tworzy coś w rodzaju boi kierunkowej dla prześladowcy. Docierały do niej odgłosy powolnych, ciężkich stąpań w śniegu, wkrótce zamajaczył nad nią jego cień, ale jej było już wszystko jedno. Zaśmiał się gardłowo, spoglądając na nią z góry, po czym znowu chwycił ją za kołnierz i dźwignął na nogi. Trzymał rewolwer zwrócony lufą w bok, nie spodziewał się dalszego oporu z jej strony.

- Pora na mały rewanż - syknął.

Machnął jej bronią przed oczyma, patrzyła w wylot lufy i nie wiadomo skąd oślepił ją jaskrawopomarańczowy rozbłysk płomieni zdających się do cna wypalać jej wzrok.

Część trzecia

# WRAŻLIWE MIEJSCA



## 46.

Po drugiej lampce shiraza Helen Danning zakręciło się w głowie. Zazwyczaj unikała alkoholu, lecz kilka dni spędzonych pod dachem Evelyn napełniło ją fałszywym poczuciem bezpieczeństwa. Siedziała w poobijanym fotelu i mruzczała do płynącej z głośników piosenki *Damn Yankees*. Widziała prawie każde przedstawienie z Ordway, w którym Jerry Lewis występował jako diabeł. Znakomicie spisywał się w tej roli.

Paznokcie u rąk zdążyła już opilać na kształt idealnych półkuli i teraz oparła stopy na brzegu podnóżka, żeby zrobić to samo z paznokciami u nóg. Miała niemalże obsesję na punkcie lakierów do paznokci, szminek i środków do pielęgnacji włosów. Wszystko musiało być czyste, zadbane i na swoim miejscu. Wcześniej starannie wyprasowała ubrania, nie wyłączając bielizny i skarpetek, które wydawały jej się sztywne po wyjęciu z suszarki. Nie znosiła, gdy choć jeden brudny talerz zostawał na blacie kuchennym czy też w zlewie, nawet jeśli Evelyn nie była aż tak chętna do zmywania. Miała wrażenie, że jej przyjaciółka lubiła pewien poziom bałaganu, chociaż nie skarżyła się ani słowem, gdy Helen obsesyjnie doprowadzała jej dom do porządku.

Evelyn nieudolnie zawyla do akordu odtwarzanego przez chór z płyty, po czym przyklęknęła na jedno kolano i z szeroko rozpostartymi ramionami pochyliła się w głąb salonu.

Helen zaśmiała się w głos.

- To mi się właśnie podoba - rzekła Evelyn. - Twój śmiech. Zwłaszcza gdy się zataczasz.

- Wino trochę uderzyło mi do głowy - przyznała Helen.

- To dobrze.

Evelyn sięgnęła do szafki w holu i wyjęła elastyczny kostium oklejony pasami fluorescencyjnej taśmy samoprzylepnej. Pospiesznie go włożyła.

- Wybierasz się na jogging? - zapytała Helen. - Już późno.

- Tak, wiem. Trochę zmitrężyłam przy swoim najnowszym majstersztyku - odparła Evelyn, próbując szczyścić smugę farby z policzka.

- Trochę tu ślisko.

Na oknach od zewnątrz osiadał padający śnieg. Evelyn wzruszyła ramionami.

- Przywykłam do tego. W każdym razie to tylko chwilowe załamanie pogody. Front odsuwa się na północ, w Duluth znów zrobi się nudno.

- Zjadłabym coś - odparła Helen.

- To nie potrwa długo, później zjemy obiad. - Evelyn westchnęła głośno, spoglądając na swojego golden retrievera, który donośnie ujadał przed domem. - Ten przeklęty pies gotów jest obszczekiwać każdą sarnę, jaka pojawi się w okolicy. Edgar! Spuść Bambi! Chyba pamiętasz, że pewnego dnia zastałam go nos w nos z łosiem, który spoglądał na niego takim wzrokiem, jakby miał do czynienia z głupim kundlem!

Evelyn, w samych skarpetkach, klapnęła ciężko na kanapę, odsuwając na bok nogi Helen, po czym wyprostowała się i wkładając tenisówki, obrzuciła przyjaciółkę podejrzliwym wzrokiem.

- Mam rozumieć, że odpisałaś tej kobiecie, która przysłała ci mejla? Żonie Erica?

Helen zmarszczyła brwi.

- Dałam jej do zrozumienia, żeby zostawiła mnie w spokoju.  
- I myślisz, że to wystarczy?  
- To policjantka. A ja nie chcę mieć nic wspólnego z policją.  
- Ale to także kobieta, której mąż został zamordowany. Nie-  
wykluczone, że mogłabyś jej pomóc. Nie sądzisz, że powinnaś to  
zrobić?

- Nie chcę być znowu wciągnięta w tę sprawę.
- I tak już jesteś wciągnięta.
- Co masz na myśli?

Evelyn sięgnęła do kieszeni spodni dresowych i wyjęła skrawek papieru, po czym wręczyła go Helen. Był na nim zapisany numer telefonu zaczynający się od kierunkowego 218.

- Ktoś zadzwonił do mnie dzisiaj do sklepu - powiedziała. -  
Podobno we współpracy z policją z Duluth.

Helen uniosła brwi.

- Och, mój Boże...
- Szukają cię, skarbie.
- Mam nadzieję, że nic im nie powiedziałaś, co nie?
- Oczywiście, że nie, ale ten policjant wiedział, że jesteśmy  
serdecznymi przyjaciółkami. Zostawił mi swój numer i poprosił,  
bym ci przekazała, że chce z tobą rozmawiać.

Helen wyprostowała się nagle.

- Muszę iść.

Evelyn błyskawicznie położyła jej dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, dziewczyno. Zastanów się dobrze. Może jednak  
oddzwonisz i z nim porozmawiasz? To ci w niczym nie zaszkodzi,  
prawda? Wiem, że z czasów studiów w college'u masz złe do-  
świadczenia w kontaktach z policją, ale to jest zupełnie inna sytu-  
acja.

- Mam tylko ochotę się od tego uwolnić, Evelyn. Pragnę żyć  
własnym życiem i nic poza tym. Nie zyczę sobie, by ktokolwiek w  
nie ingerował, rozumiesz?

- Ale na to chyba za późno - oznajmiła Evelyn. - Prawdopodobnie jesteś jedyną osobą, która może im pomóc w schwytaniu sprawcy.

- Zależy mi tylko na tym, żeby o wszystkim zapomnieć.

- Rozumiem. Ale napij się jeszcze wina i przemyśl to sobie na nowo, dobra? Wrócimy do tematu przy kolacji.

- Możliwe, że nie wrócę nawet na kolację.

- Chcesz ominąć moje spaghetti ze szpinakiem i pulpetami beźmięsnymi? Będziesz załowała.

- Już się boję.

- Nie masz czego. Przecież ci tłumaczyłam, że u mnie jesteś bezpieczna, jasne? Dlatego zaczekaj w spokoju, wrócę za parę minut.

- Nie mogłabyś przynajmniej dzisiaj wyjątkowo zrezygnować z joggingu? - zapytała Helen.

- Codziennie mam ochotę z niego zrezygnować, ale zdaję sobie sprawę, że wtedy nigdy bym do niego nie wróciła. Niedługo wrócę. - Podbiegła do frontowych drzwi, przed którymi wciąż ujadła golden retriever. - Edgar! Przecież ty nawet nie lubisz sarniny, głupku!

Kiedy wybiegła na ulicę, Helen wyłączyła odtwarzacz. Nalała sobie drugą lampkę wina i postawiła ją na brzegu regału z książkami. Z podniecenia nie mogła wysiedzieć w fotelu, poderwała się na nogi i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. Włączyła pilotem telewizor i z rękoma opartymi na biodrach popatrzyła na kilka scen starego serialu, nie słuchając nawet tekstów płynących z odbiornika. Po chwili wyłączyła telewizor.

Pomyślała o Ericu Sorensonie, tym atrakcyjnym olbrzymie z długimi blond włosami. Kiedy po raz pierwszy zaczepił ją w teatrze, nie ufała mu i nawet nie chciała słuchać, co ma jej do powiedzenia. Dopiero gdy wyznał szczerze, co spotkało jego żonę, zgodziła się porozmawiać z nim przy kolacji po przedstawieniu.

I to był błąd. Nie chciała być wplątana w tę sprawę. Od czasu osiągnięcia pełnoletności za wszelką cenę unikała jakiegokolwiek przemocy, toteż ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, był powrót owej brutalności do jej życia.

Niemniej trzy dni później zelektryzowała ją wiadomość powtarzana we wszystkich mediach. Mężczyzna, który wówczas siedział razem z nią przy stoliku, zginął. Został zamordowany. A główną podejrzaną stała się jego żona.

Kobieta, która teraz przysłała mejla na prowadzony przez nią blog: „Potrzebuję twojej pomocy”.

Helen nie chciała nikomu pomagać. Nie chciała być wciągana w żadne przestępstwo. Od wielu lat żyła w rozgraniczeniu od świata, specjalnie dbała o nieskalaną czystość swego bytu, każdego wieczoru zagłębiając się w artystyczne głębie wystawianych musicali. Zależało jej tylko na tym, żeby nikt nie ingerował w jej życie, żeby czuła się bezpieczna, zapomniana przez wszystkich. Jednakże Evelyn miała rację. To wszystko było już za późno. Znalazła się w samym centrum wydarzeń, niezależnie od tego, czy jej się to podobało, czy nie.

Podniosła kieliszek z winem i opróżniła go jednym haustem, po czym usiadła z powrotem w fotelu, zamknęła oczy i wsłuchała się w końcówkę utworu *Damn Yankees*. Przesłuchała go aż do końca, w którym dobrzy ludzie przechytrzali diabła i odzyskiwali zawłaszczoną duszę człowieka. Kiedy piosenka dobiegła końca, Helen zamyśliła się, czy coś podobnego mogłoby się przytrafić w rzeczywistości. Zadała sobie pytanie, czy diabła naprawdę da się przechytrzyć, czy też ostatecznie to on zawsze musi zwyciężyć.

Jeszcze raz popatrzyła na skrawek papieru z zapisanym numerem telefonu.

„Zawiadom policję”. Niby brzmiało to prosto, tyle że Evelyn nie miała najmniejszego pojęcia, o co ją prosi. Bo i co ona w ten sposób osiągnie? Nie dysponowała żadnymi dowodami

przestępstwa. Z jej punktu widzenia żona Erica miała wystarczające powody, żeby go zabić. Zatem, w gruncie rzeczy, co ciekawego miała powiedzieć policji.

Podniosła słuchawkę, przez parę sekund trzymała ją w górze, jakby szacowała jej ciężar, po czym odłożyła na widełki. Stres zapierał jej oddech w gardle. Gdyby policjant się odezwał, pewnie nie zdołałaby wydusić z siebie ani jednego słowa. Nie miała zresztą pojęcia, co niby miała powiedzieć. W gardle jej zaschło. Odwróciła się od telefonu i obrzuciła uważnym spojrzeniem rozległy pokój. Nie była nic winna Ericowi. A tym bardziej jego żonie. Jedynie wobec samej siebie miała pewien dług wdzięczności.

A więc zrób to sama, pomyślała.

Obróciła się z powrotem do telefonu, podniosła słuchawkę i pospieszenie wybrała numer, jakby się obawiała, że lada chwila może zmienić zdanie. Wstrzymała oddech, nasłuchując przeciągłego sygnału na linii. Wreszcie ktoś odebrał.

- Słucham.

Zaskoczenie na chwilę odebrało jej mowę.

- Och... czy to komenda policji w Duluth? - odezwała się w końcu.

- Nie, pomyłka.

- Ale czy pod tym numerem nie mieszka policjant?

- Nie, pomyliła się pani.

- Przepraszam - wydukała.

Nacisnęła widełki, po czym błyskawicznie wystukała na klawiaturze numer, który jednocześnie powtarzała pod nosem, spoglądając do notatnika Evelyn. Sygnał rozbrzmiał kilkakrotnie.

- Halo - odezwał się ten sam głos.

Tym razem nawet się nie odezwała. Myśli przemykały jej w głowie w szaleńczym tempie, a serce łomotało, jakby chciało się wyrwać z piersi.

- Kto mówi? - zapytał głośniej mężczyzna.

Nadal się nie odzywała, toteż zaklął pod nosem i przerwał połączenie. W ucho zaklął ją krótki urywany sygnał.

Powoli odłożyła słuchawkę. Czuła, że całe jej ciało pokrywa się potem, a żołądek podchodzi jej do gardła. Na rękach miała gęsią skórkę.

Gdyby była przy niej Evelyn, powiedziałyby: „Trzymaj się, skarbie. Najwidoczniej źle zapisałam numer”.

Jednakże Evelyn nie popełniłaby aż tak prostego błędu.

Gdzie teraz była? Powinna już wrócić. Nigdy nie biegła dłużej niż pół godziny o tak późnej porze. Kiedy Helen spojrzała na zegar nad kominkiem, uświadomiła sobie, że godzina minęła jej na słuchaniu muzyki.

„Trzymaj się, skarbie. Będę trochę później”.

Może skreśliła nogę w kostce? A może natknęła się na potrącone zwierzę przy autostradzie i próbowała je ratować? Wiecznie postępowała w ten sposób.

Cofnęła się w zamyśleniu, póki wyciągniętą ręką nie natrafiła na północną ścianę domu, a tam zatrzymała się i popatrzyła w głąb tonącego w ciemności korytarza prowadzącego do sypialni. W zdenerwowaniu przygryzła górną wargę i mocno wbiła w nią zęby.

Pies już nie szczekał. Dlaczego?

Może sarna odeszła. A może Edgar zasnął.

Upiłaś się, pomyślała. I ogarnia cię paranoja.

Sunąc dłonią po ścianie, ruszyła w stronę werandy na tyłach domu wychodzącej na rzekę. Kiedy dotarła do fotelika, w którym wcześniej siedziała, sięgnęła przez niego i zgasila lampkę, przez co salonik pogrążył się w ciemności. Okrążyła wiklinowy komplet mebli ogrodowych i poszła dalej, póki nie oparła się dłonią o zimne grube szkło drzwi werandy, przez które popatrzyła na dwór. Gdzieś tam, w mroku nocy, za ogrodem, poniżej płaczącej

wierzby sięgającej najniższymi gałązkami ziemi, płynęła Missisipi. To przez nią w zasięgu wzroku nie było widać ani jednego światła. W jej sercu odżyła niechęć do ciemności i otwartej przestrzeni, z którą szło w parze umiłowanie do miejsc zatłoczonych i jasno oświetlonych.

Musisz uciekać. I to już!

On tu jest!

Helen gwałtownie otworzyła drzwi prowadzące na werandę, owiało ją mroźne powietrze. Obludzone deski werandy były śliskie, omal nie upadła, pokonując zaledwie dwa kroki do zejścia na zmrożoną trawę, która zatrzeszczała pod jej ciężarem.

Jej samochód stał zaledwie kilka metrów dalej, pod starą szopą Evelyn.

Wystarczyło tylko wsiąść do niego i przejechać z jednego miejsca w drugie.

Wystarczyło wskoczyć za kierownicę i wyprowadzić wóz na szosę. Mogłaby zadzwonić do Evelyn z telefonu komórkowego. Przyjaciółka byłaby wtedy zupełnie bezpieczna we własnym domu, a pewnie także zadowolona z jej wyjazdu. Bo przecież nic jej się tu nie stało. Helen tylko w wyobraźni widziała gęstniejącą wokół siebie groźną mgłę i wyczuwała bliską obecność szatana.

Mogłaby pojechać do Duluth, odszukać żonę Erica i ostatecznie zakończyć tę bezsensowną ucieczkę.

Dzieliło ją od tego tylko dwadzieścia metrów otwartej przestrzeni, dwadzieścia metrów zatopionych w mroku nocy, do miejsca, gdzie stał jej samochód. Pokonawszy ten dystans, byłaby znów wolna.

Przypomniała sobie, że w odtwarzaczu samochodowym ma płytę ze ścieżką dźwiękową *Show Boat* i aż uśmiechnęła się na myśl, że mogłaby w czasie jazdy posłuchać tej muzyki. Ruszając biegiem w stronę auta, przywołała z pamięci Murzyna wykonującego



piosenkę *Ol' Man River*. Zaraz jednak przypomniała sobie paniczny lęk przed śmiercią, gdy czyjeś palce zacisnęły się na jej szyi.

## 47.

Dan Erickson trzymał w ręku kryształową szklaneczkę z dżinem i był ubrany w czarne spodnie oraz sportową koszulę, poluzowany krawat zwisał nisko na piersi. Włosy miał zmierzwiłone. Kiedy przed swoimi drzwiami o północy ujrzał Stride'a, skrzywił się i zmarszczył brwi, a w jego oczach pojawiły się błyski wściekłości. Inspektor błyskawicznie przytknął obie dłonie do jego piersi i pchnął go do tyłu, aż prokurator potknął się o próg i łapiąc równowagę, szeroko rozrzucił ręce, wypuszczając przy tym ciężką szklaneczkę z trunkiem, która huknęła o podłogę i potoczyła się aż pod ścianę.

- Co cię napadło?! - warknął Dan.

- On ją porwał, ty arogancki głupi sukinsynu! - wrzasnęła Stride. - Porwał Serenę! A ja nawet nie wiem, kto to jest!

Prokurator nerwowo odgarnął włosy z oczu.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Lepiej nie udawaj głupiego. Nawet o tym nie myśl. Ktoś cię złapał za jaja i ścisnął, na tyle mocno, że chcąc złapać oddech, wynajęłeś Serenę, żeby cię z tego wyciągnęła.

- Ona ci to powiedziała?

- A co, mam ci przedstawić nagranie waszej rozmowy? Najwyższa pora zagrać w otwarte karty, Dan. I nic mnie nie obchodzi, czy w tej partii wszystko stracisz. Bo wcześniej będziesz musiał mi powiedzieć, co jest grane.

- Niczego nie będę musiał ci powiedzieć.

Stride pokręcił głową.

- Może Lauren i ma w żyłach krew o konsystencji styczniowych

roztopów, ale nie ty. Nie wierzę, że tobie chodzi tylko o władzę i forszę.

- Wynika z tego, że jestem bardziej prostacki niż sądziłem.

- Owszem, może i jesteś - przyznał Stride. - Ale głównie mnie to obchodzi. Próbuję dać ci do zrozumienia, że takie życie, jakie dotąd prowadziłeś, dobiegło końca, w ten czy inny sposób. Wszystko wyjdzie na jaw. Możesz już teraz powiedzieć mi prawdę i pomóc ratować Serenie życie, bo inaczej dziennikarze od jutra nie dadzą ci spokoju. Wybieraj.

Dan oparł się plecami o ścianę i wypuścił powietrze z sykiem przebitej opony. Po chwili się wyprostował i zawrócił w głąb domu, a Stride ruszył za nim. Orzechowe drzwi prowadziły do tonącego w półmroku gabinetu, rozjaśnianego tylko poświatą monitora stojącego na biurku. Prokurator rozsiadł się wygodnie w fotelu i z szeroko rozrzuconymi nogami oraz rękoma zapatrzył się w sufit. Na ścianie za jego plecami wisiało duże zdjęcie przedstawiające jego w towarzystwie Lauren, na którym oboje uśmiechali się tak samo podejrzliwie, jak bogacze w świątku złodziei.

- Przykro mi z powodu Sereny.

- To niczego nie zmienia - rzucił ostro Stride.

Dan wyprostował się nagle.

- Czy wiesz, czemu tak dobrze idzie mi wsadzanie ludzi do więzienia? Bo potrafię śledzić sposób rozumowania przestępców. Dobrze wiem, jak to jest, gdy się realizuje upragniony cel, nie myśląc ani przez chwilę o konsekwencjach. W takich sytuacjach jestem jak gwałcony nastolatek, któremu daleko jest do myśli o zabezpieczeniu.

- Marnujesz tylko mój czas, Dan.

- Bo chcę, żebyś mnie zrozumiał, jasne? Tyle że nie potrafisz tego zrozumieć. Jesteś zanadto zdyscyplinowany, Stride. Zawsze musisz być pod kontrolą.

- To ostatnia rzecz, od której zaraz się wyzwolę.

- No cóż, chyba nigdy w życiu nie dopuściłeś, żeby prowadziła cię jakaś kobieta, ciągnąc za kutasa, prawda? A właśnie tak wygląda całe moje życie.

Stride usłyszał szmer za plecami i obejrzał się. W mętym blasku wpadającym przez otwarte drzwi stała Lauren, przysłuchując się tej rozmowie. Ich spojrzenia się zetknęły i uzmysłowił sobie, że jeszcze nigdy nie widział w niczyich oczach tak intensywnych lodowatych błysków. Weszła do gabinetu z rękoma wbitymi w kieszenie wytartych jasnoniebieskich dżinsów. Miała na sobie granatową flanelową koszulę wypuszczoną na spodnie, z rozpiętymi dwoma górnymi guzikami, oraz skórzane pantofle.

- Co tu się dzieje? - zapytała.

Dan spojrzał na nią i Stride dostrzegł w jego wzroku wszelkie objawy wieloletniej niemocy i pozostawania pod pantoflem.

- To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Nie? A słyszałam, że mówiłeś coś o kutasie, Dan. Ten temat zawsze jest mi bliski.

- Ale zabawne.

- Wcale nie chciałam cię zabawiać - odparła Lauren. - Co znów nabroiłeś?

Nie odpowiedział, toteż Lauren obrzuciła Stride'a pytającym wzrokiem.

- Ktoś go szantażował - wyjaśnił inspektor. - Najął Serenę do roli pośrednika, ale szantażysta dziś wieczorem ją porwał.

- Och, mój Boże...

- Ten facet daje do zrozumienia, że zaminował za sobą wszystkie ścieżki, Dan - ciągnął Stride. - Mitchell Brandt też był szantażowany i płacił za to, żeby jego machlojki finansowe nie ujrzały światła dziennego, ale gość i tak zdecydował się puścić go w trąbę. Ty jesteś następny. Jeszcze tego nie pojmujesz, Dan? Twój numerek już został wylosowany. A ten facet jest zdolny do wszystkiego. Wisi mu, gdy jest zmuszony wzbogacić listę swych

osiągnięć o gwałt albo morderstwo.

- Ile musiałeś mu zapłacić? - syknęła Lauren do męża.

Ten jednak nie odpowiedział.

- No?! Ile?!

- Sto dziesięć tysięcy.

- Ty idioto! - warknęła.

- Co on ma na ciebie? - zapytał Stride.

Dan zawahał się i nieśmiało zerknął na Lauren.

- Gadaj! - rzuciła. - Oboje chcemy znać prawdę.

Prokurator wzruszył ramionami.

- To wszystko przez Tanjy.

- Zgwałciłeś ją? - zapytał ostro Stride. - A potem zabiłeś? O to właśnie chodzi?

- Nie! Mieliśmy tylko romans.

Inspektor pokręcił głową.

- I to było warte aż tyle pieniędzy?

- Przecież wiesz, jakiego rodzaju fantazje miała Tanjy. Robiliśmy rzeczy, których nikt by nie zrozumiał. A on miał zdjęcia. Zrujnowałby moją karierę, gdyby ukazały się w prasie.

- I dlatego zabiłeś Tanjy, żeby zamknąć jej usta? - rzucił Stride.

- Nic z tych rzeczy. Nie miałem z tym nic wspólnego.

Lauren patrzyła na męża z miną jak gdyby wykutą z granitu.

- Ale zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? I tak cała ta historia trafi do gazet. - Obejrzała się na Stride'a. - Mam rację?

Przytaknął ruchem głowy.

- Zatem możesz zapomnieć o ciepłej posadce w Waszyngtonie - powiedziała. - Jesteśmy skompromitowani.

- Ta sprawa nigdy nie miała ujrzeć światła dziennego - zaprotestował Dan.

- Za kogo ty się uważasz? Za Johna Kennedy'ego? Billa Clintona? Myślisz, że wszystko ci wolno i wszystko ujdzie ci na

sucho? Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś mi coś takiego. To koniec, Dan. Rozumiesz? Właśnie cisnąłeś całe swoje życie w błoto.

- Przepraszam... - wydukał.

- Warto było? - rzuciła ostro Lauren. - Czy ona warta była tego?

Dan wbił w nią przenikliwe spojrzenie, a Stride zamyślił się nad tym, czy to na pewno pierwszy raz, kiedy jest zmuszony brutalnie otworzyć Lauren oczy na prawdę.

- Tak, była warta.

Lauren zbliżyła się w dwóch susach i walnęła go na odlew tak, że uderzenie w twarz zabrzmiało w obszernym pomieszczeniu jak wystrzał z karabinu. To był policzek pożegnany. Oznaczający koniec wszystkiego. Lauren i Dan przekroczyli niewidzialną granicę. Odwróciła się i z dumnie uniesioną głową wymaszerowała z pokoju. Pięć sekund później frontowe drzwi trzasnęły z takim hukiem, że aż cały dom zatrzęsł się w posadach.

- Musimy znaleźć tego człowieka - powtórzył Stride. - Trzeba go zidentyfikować.

- Nie mam pojęcia, kto to jest.

- W takim razie posiedzimy razem i spróbujemy dociec, jak udało mu się zniszczyć ci życie, jak udało mu się zniszczyć życie Mitchella Brandta i jakim cudem dowiedział się o prowadzonym przez Sonię cholernym klubie erotycznym. Tylko mi nie mów, że nic nie wiesz o istnieniu klubu.

- Zgadza się, wiem - przyznał prokurator. - Posłuchaj, Stride, nie chciałem ci o tym mówić, ale jest coś jeszcze. Nie sądzę, by to nam pomogło odszukać tego łajdaka, ale chyba powinieneś o tym wiedzieć.

- Słucham.

- Ten gość ma obsesję na punkcie Sereny. Przejawiał ją od samego początku.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Stride poczuł, jak coś nagle

ścisnęło go za gardło.

- Nie przypadkiem wynająłem Serenę, by pełniła funkcję pośrednika. Był to podstawowy warunek, jaki postawił. Część okupu. Wydaje mi się, że gdy tylko nawiązał kontakt, wcale nie chciał pieniędzy. Zależało mu wyłącznie na Serenie.

## 48.

Stride specjalnie przeciągnął milczenie, by cisza nabrała groźnego charakteru, a powietrze przesycało się wrogością niczym dymem wpadającym przez otwory wentylacyjne. Z napięciem spoglądali na siebie nawzajem. W ciszy słychać było szum wentylatora komputera na biurku gospodarza. Zza okien doleciał wciekły ryk pracującego na wysokich obrotach silnika drogiego sedana, którego Lauren wyprowadziła z garażu i wyjeżdżała właśnie na ulicę.

- Nie miałem pojęcia, że może się zdarzyć coś takiego - odezwał się w końcu Dan.

- Jestem pewien, że dzwonki alarmowe w twojej głowie terkotały jak oszalałe, tylko nie zwracałeś na nie uwagi. Myślałeś wyłącznie o ratowaniu własnego tyłka.

Prokurator wzruszył ramionami.

- W porządku. Może faktycznie tak było.

- Jeśli cokolwiek stanie się Serenie, zniszczę cię.

- To będziesz musiał wziąć numerek do kolejki.

- Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Posłuchaj, naprawdę nie sądziłem, że dojdzie do czegoś takiego. Wiesz równie dobrze jak ja, że szantażyści rzadko bywają agresywni. W gruncie rzeczy to najgorsi tchórze. Prawdę mówiąc, myślałem, że on ma także coś na Serenę, więc najwyżej będziemy uwikłani w to razem. Była nowa w mieście i nie wiedziałem jeszcze za dobrze, kim jest.

Stride nie za bardzo w to wierzył, ale nie miało to większego znaczenia. Opanowując wściekłość, zapytał:

- Na pewno nic ci nie podpowiada, kim może być ten facet?
- Mówiłem już, że nie mam pojęcia.
- Może coś więcej wie Serena?
- Jeśli tak, to nic mi nie powiedziała.
- Jak on się z tobą skontaktował?
- Pierwszy raz po prostu zadzwonił - odparł Dan. - Pod mój domowy numer.
- Kiedy?
- W miniony wtorek.
- I co powiedział?
- Że wie o moim romansie z Tanjy.
- Czego zażądał?
- Dziesięciu tysięcy dolarów. Zagroził, że jak nie dostanie, poinformuję o tym związku prasę i Lauren.
- Nie zdradził, z jakiego powodu zależy mu na wciągnięciu w to Sereny?
- Nie, powiedział tylko, że dobrze wie, że nie będę chciał odwalać tej brudnej roboty osobiście, więc zaproponuje mi kogoś do roli pośrednika. Nie wyjaśnił, skąd ją zna, ani dlaczego zależy mu właśnie na niej.
- A skąd się dowiedział o twoim romansie z Tanjy?
- Nie mam pojęcia.
- I co było dalej?
- Zapłaciłem mu, to wszystko. Serena przekazała okup. Ale kilka dni później przysłał jej niedwuznaczne zdjęcie przedstawiające mnie z Tanjy w parku Grassy Point. I tym razem zażądał dużo więcej.
- Jak zdobył to zdjęcie?
- Nie wiem. Próbowałem to wyjaśnić Serenie. Tanjy ciągle robiła nam zdjęcia, ale wykasowałem wszystkie z jej komputera.

Nie wierzę, by ten gość wcześniej zyskał do nich dostęp.

- Na pewno kopie zdjęć nie były przechowywane gdzie indziej? Nie miałeś ich na swoim komputerze?

- Nie. Tanjy posługiwała się aparatem cyfrowym, ale nie umiała nawet zgrać fotografii na komputer. Na jej prośbę robiłem to za nią. O ile mi wiadomo, nikomu się nimi nie chwaliła. Nie wierzę, by mogła je komukolwiek pokazywać. Wykasowałem je z dysku twardego jeszcze w listopadzie, jak tylko wyniknęła sprawa gwałtu na niej, zanim ostatecznie z nią zerwałem.

- Ale mogła je zaraz potem odzyskać.

- Tanjy? Ona potrzebowała instrukcji, żeby w ogóle włączyć komputer.

- W każdym razie ktoś je odzyskał po wykasowaniu. Chyba że szantażysta wpadł na ich trop, zanim je wykasowałeś.

- Więc czemu miałby tyle zwlekać z żadaniami okupu?

Stride pokiwał głową. Nie wszystko jeszcze do niego trafiło, ale miał przeczucie, że jest bardzo blisko jakiegoś istotnego wniosku. Wynikało stąd, że szantażysta musiał mieć swobodny dostęp do komputera Tanjy.

- A jeśli ten facet to hacker? - podsunął. - Mógł przechwytywać pocztę elektroniczną czy nawet włamywać się w trakcie połączeń z Internetem, nie mówiąc już o przechwytywaniu transmisji podczas łączy bezprzewodowych z siecią.

Szybko podsumował w myślach wszystko, co szantażysta musiał wiedzieć, i aż serce zabiło mu mocniej. Mitchell Brandt i jego potajemny handel zwyżkującymi akcjami. Daty, transakcje, sumy, jak sam powiedział. No i klub erotyczny Soni, która trzymała szczegółowe dane osobowe członków w swoim komputerze. Dochodziły do tego zdjęcia Tanjy z Danem, które dziewczyna zgrywała z aparatu na domowy komputer.



- Nie ma mowy, żeby ten gość mógł z zewnątrz zyskać dostęp do komputera Tanjy - wtrącił Dan. - Musiałby się włamać do jej mieszkania.

Stride przypomniał sobie swoją pierwszą wizytę w mieszkaniu Tanjy i od razu skojarzył chłopaka, który po całych dniach ją szpiegował z okna swojej sypialni w budynku po drugiej stronie ulicy. Jak on się nazywał, do cholery? Doug? Duke? Skoro on bez trudu otworzył okno i dostał się do środka, ile razy mógł to robić ten chłopak? A jeśli to właśnie on włączył stojący w pokoju komputer i natknął się w nim na złotą żyłę?

Stride'a początkowo ogarnęło podniecenie, ale szybko zarzucił tę myśl. Nawet jeśli chłopak był jakoś powiązany z Tanjy, nie wyjaśniało to, skąd mógłby znać sekrety Mitchella Brandta czy Soni Bezac.

Zamyślił się nad tym, co przed paroma sekundami usłyszał od Dana.

- Skąd ta pewność, że facet nie włamał się do komputera z sieci?

- Bo osobiście dopilnowałem, żeby zainstalowano jej najnowsze i najlepszego firewalla - odparł prokurator. - Wiedziałem, jakiego rodzaju zapisy trzyma na twardym dysku, dlatego wolałem mieć pewność, że nikt niepowołany nie będzie miał do nich dostępu.

- Mówiłeś jednak, że kiepsko radziła sobie z obsługą komputera.

- Pewnie, ciągle wzywała techników z Byte Patrol. To oni skonfigurowali jej program zabezpieczający.

Stride zmarszczył brwi. Odniósł wrażenie, jakby wszystko dookoła zamarło.

- Byte Patrol? - zapytał. - To ci technicy, którzy jeżdżą czerwonymi furgonetkami, prawda? I noszą czerwone koszule?

- Zgadza się. Dość często można ich zobaczyć na mieście.

Inspektor w myślach zaczął kojarzyć kolejne fakty, które wyłaniały się z jego pamięci jak gdyby przy wtórze brzęku monet spadających na blaszaną tackę jednorękiego bandyty, gdy w jednym rzędzie ustawiły się trzy wisienki oznaczające główną wygraną.

Przypomniał sobie, że gdy był w sypialni Tanjy, zobaczył przy jej komputerze fosforyzujący czerwony folder.

Później, kiedy w salonie Soni wysłuchiwał jej relacji dotyczącej nowoczesnego zabezpieczenia antywłamaniowego w komputerze, dowiedział się, że zostało ono zainstalowane przez Byte Patrol.

Kiedy rozmowa z Mitchellem Brandtem zeszła na temat wykorzystywanego przez maklera oprogramowania, usłyszał, że zostało ono specjalnie dobrane przez Byte Patrol.

A w salonie „Silk” natknął się na Sonię strofującą technika w czerwonej koszuli, olbrzyma o posturze niedźwiedzia, który masywnymi paluchami z wprawą przebierał po klawiaturze. Stride usiłował sobie przypomnieć, jak on wyglądał, ale pamiętał tylko, że gdy ich spojrzenia się zetknęły, po twarzy tamtego przemknął mimowolny ironiczny uśmiezek.

Musiał doskonale wiedzieć, kim on jest. I świetnie się bawił ze zrobionego przez siebie kawału. To on był tajemniczym szantażystą, znającym wszelkie tajemnice zapisane na twardych dyskach komputerów. To on pociągał za sznurki, grożąc ujawnieniem najbrudniejszych sekretów miasta. To on także zgwałcił Maggie.

Z pamięci Stride'a wypłynęło także pytanie, z jakim Eric zwrócił się do Tony'ego Wellsa. „Po czym można poznać, że ktoś ma skłonności do agresji na tle seksualnym?”.

To właśnie na spotkanie z tym człowiekiem Eric wyruszył owego tragicznego wieczoru.

I to ten człowiek porwał teraz Serenę.

## 49.

To ból uświadomił Serenie, że się ocknęła. Miała wrażenie, że ktoś roztrzaskał jej czaszkę jak skorupkę jajka. Przy najlżejszym poruszeniu głową kark przeszywał jej nieznosny ból, od którego dreszcz wstrząsał całym jej ciałem. Kiedy otworzyła oczy, ujrzała przed nimi tylko nieprzeniknioną czerń, wyczuła jednak, że świat wiruje wokół niej. Próbowała poruszyć rękami, ale te miała skrępowane. Podobnie jak nogi. Była unieruchomiona, niczym motyl na szpilce w gablocie kolekcjonera. Leżała na jakimś tanim wołokowym materacu, który drapał ją w skórę. Śmierdziało od niego stęchlizną i krwią. W powietrzu wisiał smród rybich bebechów, skór, ikry. Próbowała wydobyć z siebie głos, coś powiedzieć, krzyknąć, jęknąć, ale była zakneblowana, co uświadomiła sobie, gdy poczuła na języku dotyk mokrej bawełnianej tkaniny. Z gardła wydobył jej się tylko żaloszny pisk.

Tymczasem za ścianą szalała gwałtowna burza, hałaśliwa i złowieszcza. Blaszane ściany baraku podzwaniały pod naporem porywistych uderzeń wichury. Rozlegał się głośny syk, jak gdyby tysiąca żmij, który towarzyszył śnieżycy. Gdziekolwiek się znajdowała, czuła się tak, jakby była na dworze, gdyż nic jej tu nie chroniło przed wiatrem i mrozem przedostającym się przez ściany. Lodowate powietrze, jakie odczuwała na całym ciele, świadczyło wyraźnie, że została rozebrana do naga. Miała gęsią skórę. Mimowolnie podwijała palce u nóg, a dłonie zaciskała w pięści. Kropla wilgoci spadła na nią z sufitu i potoczyła się po bocznej stronie uda, znacząc swój ślad lodowatym dotykiem.

Aż przekłęła w duchu, że była tak naiwna. Że nie powiedziała o niczym Jonny'emu. Że nie pozwoliła, by ją chronił. Tak oto została więźniem i nie mogła się oszukiwać co do szans na ratunek,

zdawała sobie sprawę, że jest w bardzo złej sytuacji. Na tyle złej, że nawet sam Bóg niewiele mógł jej pomóc. I tak samo złej, z jakiej już kiedyś się wyzwoliła.

On był tutaj razem z nią. Co kilka sekund rozlegało się trzeszczenie rozeschniętych elementów drewnianego krzesła, kiedy się poruszał. I nawet nie widząc go, czuła na sobie jego wzrok. Chciała, żeby coś powiedział. Pragnęła, żeby już zaczął i jak najszybciej zakończył to, co zaplanował, ale mijały długie minuty, a on celowo trzymał ją w izolacji knebla i przepaski na oczach, jakby wiedział, że nie ma nic gorszego niż oczekiwanie. Dlatego czuła się jak mała dziewczynka stojąca w kolejce do karkołomnej kolejki górskiej i próbująca opanować strach skręcający wewnętrznosci.

Wmawiała sobie, że to nie ma znaczenia. To tylko cierpienie. Dawno temu nauczyła się, jak zamykać swój umysł i odgraniczać go od bodźców zewnętrznych na czas cierpienia, jak unikać wszelkich wrażeń i nie czuć absolutnie niczego. Ani bólu. Ani wściekłości. Ani tęsknoty. Próbowwała sobie przypomnieć, jak to wówczas robiła, jak mogłaby znowu wejść na tę samą ścieżkę i odnaleźć tamto zapomniane miejsce. Ale napotkała podświadomy opór, jakby jej psychika nawet teraz nie chciała do tego wracać. Jednakże nicość była torturą samą z siebie i mocno kojarzyła jej się z tamtą wolną od wrażeń przestrzenią, w której spędziła mnóstwo czasu, nim w końcu znalazła drogę fizycznej ucieczki.

Raz i drugi szarpnęła się w więzach, ale łóżko, do którego była przywiązana, tylko zakołysało się i zatrzęsło, co nasunęło jej myśl, że niepotrzebnie marnuje energię. Zaśmiał się nagle i był to pierwszy realny odgłos, jaki do niej dotarł. Chwilę później usłyszała, że wstaje. Poczowała bijący od niego zapach. Odruchowo próbowała się cofnąć, ale nie było dla niej ucieczki. Pochylił się nad nią. Jego oddech musnął jej twarz. Przekręciła głowę, ale złapał ją za szczękę, zacisnął na brodzie stalowy uścisk palców i wykręcił jej głowę z powrotem do siebie.

- Bardzo długo na to czekałem - powiedział.

Wciąż na próżno usiłowała zidentyfikować jego głos oraz echa przerażenia, jakie w niej budził. Skupiła się na odgłosach burzy, wyobrażając sobie śnieżną zaspę narastającą za ścianą baraku i zastanawiając się, czy wiatr da radę ją rozwiać.

Poczuła na skórze dotyk czegoś zimnego i ostrego, najpierw na szyi, gdzie wolnym ruchem zatoczył koło wokół jej krtani. Uświadomiła sobie nagle, że to czubek noża. Przyciskał go na tyle mocno, żeby się krzywiła, za lekko jednak, by rozciąć skórę. Czubek wędrował po jej nagim ciele jak zaciekawione zwierzątko. Okrążył piersi, potem wdrapał się na nie kolejno i tak samo okrążył sutki, lekko naciskając każdy w samym środku. Te uklucia były już bolesne, zresztą odczuła po nich ciepłą wilgoć wypływających kropelek krwi.

Mimowolnie lży pociekły jej po twarzy.

Czubek przesunął się niżej, okrążył pępek i powędrował wzdłuż górnej części uda, jak gdyby trasował jej kości, aż do kostek, po czy zawrócił, tak samo przemierzył drugą nogę, wreszcie skierował się do łona. Napastnik obrócił nóż i jego płaską częścią przesunął po włosach łonowych. Spięta do granic wytrzymałości, gorączkowo poszukiwała wejścia do znanej sobie przestrzeni nicości, ale prowadzący do niej szlak zaginął w jej pamięci i nie potrafiła odnaleźć go na nowo.

- Powiniennem podpisać swoje dzieło - rzekł. - W ten sposób, kiedy Stride cię wreszcie odnajdzie, nie będzie miał problemów z identyfikacją.

Szarpnęła energicznie głową w przód i w tył, nie zważając na dotkliwy ból pod czaszką, a następnie wyprężyła całe ciało, napi-nając więzy. Następny jęk zamarł w jej gardle, nie mogąc się przedostać przez ciasno zwiniętą szmatę knebla. On czekał spokojnie, aż ona opadnie z sił i padnie z powrotem na materac, oszo-łomiona, z trudem wciągając nosem powietrze.

Położył wielką masywną dłoń na jej brzuchu i pchnął krótko, ale to wystarczyło, żeby wyprzeć całe powietrze z jej płuc. Następnie ścisnął fałd skóry między palcami i naprężył go, jakby rozprostowywał zgniecione płótno.

- Nie! - wrzasnęła, ale z jej gardła wydobył się zaledwie stłumiony jęk, zagłuszony przez ryk zamieci szalejącej na dworze. Słowa protestu, pokory i błagania o łaskę musiały na razie pozostać w jej umyśle.

Czubek noża gładko wszedł w jej ciało i zaczął się z wolna przesuwac, jak gdyby rozdzielał poszczególne tkanki. Popłynęła krew. Łajdak zaczął wycinać napis na jej ciele.

Gdzieś w trakcie tej karni straciła przytomność. A kiedy się ocknęła, jej brzuch był wyziębiony i rozogniony zarazem, przemarznięty i rozpalony do granic wytrzymałości. Krew zdążyła się zestalić, zamarzła, pokrywając jej skórę niczym stężały lukier. Za ścianą burza nadal szalała. Docierały do niej te same zapachy i odgłosy, chociaż coś się zmieniło. Dopiero po paru sekundach uprzytomniła sobie, że zniknął knebel z jej ust. Mogła poruszać szczęką i nabierać zatęchłego powietrza szeroko rozwartymi ustami.

Wrzasnęła na całe gardło, co pozwoliło jej odkryć, że znajdują się w niezbyt dużym pomieszczeniu, gdyż jej głos odbił się od ścian nie echem, a jedynie zadziwiająco głośnym i piskliwym pogłosem. Oczywiście należało wziąć jeszcze poprawkę na nieustanny huk szalejącej na dworze zamieci. Wrzasnęła po raz drugi, potem następny, i krzyczała tak, dopóki nie poczuła ucisku w zaschniętym gardle, a gdy w końcu zamilkła, uświadomiła sobie, że nie przyniosło to żadnego efektu. Nikt nie rzucił jej się na pomoc. Śnieżycy było absolutnie wszystko jedno.

- Możesz krzyczeć do woli, i tak nikt cię nie usłyszy - powiedział.

Nie zareagowała.

- Najdalej metr od drzwi nie słyhać żadnych dźwięków rozlegających się w środku. A możesz mi wierzyć, że nie chciałabyś teraz wyjść na dwór. Nie przetrwałabyś w tych warunkach nawet pół minuty.

Ale w jej pojęciu byłoby to pół minuty raj, trzydzieści sekund wolności, po których można by spokojnie zasnąć bez dalszych cierpień.

- Czego chcesz ode mnie? - zapytała.

- Tylko na tobie mi zależało od samego początku - odparł.

- Dlaczego?

- Jeszcze się nie domyślasz?

Coś w jego sposobie mówienia podsunęło jej myśl, że faktycznie mogła nie być przypadkową ofiarą zbrodni. Zatem rzeczywiście jemu chodziło tylko o nią. Rozgrywał swojej osobiste porachunki.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Chyba powinnaś już wiedzieć.

Miał rację. Wiedziała. Wystarczyło, że się skupiła, a natychmiast uprzytomniła sobie, co w jego głosie jest tak bardzo znajomego, co wzbudza w niej przerażające wspomnienia. Pospiesznie sięgnęła do nich, lecz niewiele nazwisk figurowało w jej pamięci. Składała to na karb specyfiki służby w policji, która sprawiała, że nazwiska przeciwników błyskawicznie odchodziły w niepamięć. W większości nie miały dla niej żadnego znaczenia, bo w końcu niewielu przestępców obchodziło, czy w kajdanki zakuje ich zgrabna i pociągająca dziewczyna, czy otłuszczona weteranka pod pięćdziesiątkę. Jednakże z punktu widzenia kobiety, a zwłaszcza zgrabnej i pociągającej, do tego pochodzącej z Las Vegas, przeszłość nie zawsze należała do rzeczy, o których można było swobodnie zapomnieć.

Miała pecha.

Tak samo kiedyś, jak i teraz. Straszno go pecha. W postaci Tommy'ego Lucka.

To właśnie on pociął swoją narzeczoną czubkiem noża. To on miał w mieszkaniu całą ścianę zawieszoną jej zdjęciami, których większość była poniszczona - brakowało wyciętych oczu lub podbrzuszy, w poprzek szyi ciągnęły się rozcięcia, wiele miejsc było zachlapanych czerwoną farbą, jeszcze więcej nosiło ślady nakłuc szpikulcem do lodu. Boże, dlaczego całkiem wyrzuciła z pamięci tamtą sprawę? Wyrok zapadł dwadzieścia lat temu, ale przecież im więcej chwymano przestępców, tym wcześniej starszych wypuszczano na wolność.

W ten sposób musiał wyjść i on. I ponownie zjawił się w jej życiu. Tommy Luck. Powinna była przed laty zrobić to, co tak długo nie dawało jej spokoju, od chwili jego pierwszego wyjścia na przepustkę. Podążyć jego tropem i zabić go. Wykasować go ostatecznie z rejestrów tego świata, oszczędzając zarazem cierpienie tym wszystkim, którzy stanęli mu na drodze. Maggie. Tanjy. Eri-cowi. I wszystkim pozostałym.

Popełniła błąd. Powinna go była zastrzelić bez namysłu, kiedy tylko nadarzyła się ku temu okazja.

- Wiesz już, prawda? - zapytał.

Nie odpowiedziała.

- Chcę, żebyś mnie widziała przy tym, co teraz nastąpi. Chcę, żebyś patrzyła mi prosto w oczy. Przykleję ci powieki do brwi taśmą samoprzylepną, jeśli mnie do tego zmusisz. W każdym razie będziesz patrzyła na to, co teraz zrobię.

Znów poczuła na skórze dotknięcie noża, tym razem na twarzy, rysującego jej skórę na policzku, dopóki nie przeciął opaski zasłaniającej oczy. Nie zdołała się powstrzymać i otworzyła je, chociaż w głębi ducha coś jej podpowiadało, żeby tego nie robić. Przestrożenie rozświetlała tylko samotna żarówka zwieszająca się spod



sufitu, ale po dłuższym przebywaniu w całkowitych ciemnościach poczuła się tak oślepiona, że zamruwała szybko i spuściła głowę. Stał nad nią, olbrzymi i silny, odcinając ją od źródła światła, jak gdyby padł na nią cień diabła.

## 50.

Wyważyli drzwi jego mieszkania o drugiej nad ranem, mimo że Stride był już pewien, że w środku nikogo nie ma. Nie mylił się.

Przedstawiał się jako William Deed, ludzie, którzy zdążyli go lepiej poznać, nazywali go Billym. Zarówno Mitchell Brandt, jak i Sonia Bezac potwierdzili, że Billy Deed należał do techników firmy Byte Patrol, którzy coś robili na ich komputerach, a właściciel serwisu, który teraz zasiadł przed komputerem w mieszkaniu Deeda, szybko potwierdził, że to właśnie on zajmował się ustawianiem konfiguracji i instalacją firewalla na zlecenie Tanjy Powell.

W stanowym rejestrze skazanych nie figurował William Deed, a numer jego ubezpieczenia społecznego widniejący na wniosku o zatrudnienie był wzięty z sufitu.

Stride oburącz przeczesał palcami swoje kręcone włosy, usiłując zachować spokój, lecz poziom adrenaliny w jego krwi był tak wysoki, jakby wypił duszkiem kilka filiżanek bardzo mocnej kawy. Serce waliło mu jak młotem, chwilami jeszcze przyspieszało na chwilę. Wysokiemu poziomowi adrenaliny towarzyszyło uczucie nieustannego skurczu żołądka, z którego kwasy systematycznie wyżerały mu drogę do gardła. Nie mógł już nawet myśleć o Serenie. Gdyby pogrążył się w tych myślach, pewnie by zwariował. Dlatego koncentrował się na rozważaniach dotyczących Williama Deeda i o sposobach jego odnalezienia.

Z sypialni Deeda wyszedł Max Guppo. Był to zaniedbany, wający sto pięćdziesiąt kilogramów pięćdziesięcioletni detektyw, słynący chyba z najgorszej pożyczki zakrywającej łysinę na całym Środkowym Zachodzie, mający jednak w wydziale Stride'a największe doświadczenie w zbieraniu materiału dowodowego. Współpracowali ściśle od chwili, gdy Stride wstąpił do służby w policji kryminalnej. Nikt w wydziale nie chciał prowadzić obserwacji razem z Guppo, ale nikt też nie podawał w wątpliwość jego mistrzostwa w zbieraniu odcisków palców, rysowaniu map miejsca przestępstwa czy też przeszukiwaniu komputerowych baz danych, w czym nie ustępował technikom z Byte Patrol.

- Bardzo dużo odcisków - oznajmił teraz Stride'owi. Na jego górnej wardze perliły się grube krople potu. - Pozbierałem tylko najwyraźniejsze. Jadę teraz do komendy, żeby je zeskanować i porównać z zapisami baz danych.

- Skontaktuj się z oficerem dyżurnym komendy z Saint Paul, niech ściągną tam kogoś z sekcji komputerowej i rozpoczną poszukiwania we własnym zakresie. Jeśli nie znajdziecie takich odcisków w stanowej bazie danych, prześlij skany służbom federalnym i poproś o pilne sprawdzenia.

- Już tak zrobiłem - odparł Guppo. - Obudziłem kumpla, który pracuje w laboratorium komputerowym komendy stanowej. Jest już w drodze do śródmieścia. Obiecał, że sam zajmie się przeszukiwaniem.

- Jesteś niezastąpiony.

- Niech się pan nie martwi, inspektorze, będzie pan miał wyniki najdalej za godzinę, nawet gdybym musiał wyciągnąć z łóżka dyżurnego agenta służb federalnych.

Guppo odwrócił się i wyszedł z mieszkania, stąpając tak, że aż podłoga zatrzęsała się pod jego ciężarem. Stride zdawał sobie sprawę, że nie tylko Guppo, ale i reszta jego kolegów pracuje tej nocy w nadgodzinach. Wszyscy byli gotowi wykonać każdy jego

rozkaz, a tym bardziej w takiej, osobistej sprawie. Przynajmniej o lojalność swoich podwładnych nie musiał się martwić.

Kilka minut później w mieszkaniu zjawił się Teitscher, oczy miał zaczerwienione i podkrążone, ledwie wypatrzył Stride'a stojącego przy oknie. Był cały zaśniewany.

- Masz coś? - zwrócił się do niego inspektor, lecz wystarczył mu rzut oka na twarz Abla, żeby zyskać przeświadczenie, że nie ma co oczekiwać dobrych wiadomości. Serce znowu zabiło mu mocniej.

Tymczasem Teitscher wykrzywił usta tak, że wąsy smętnie zwisły ku ziemi.

- Odnaleźliśmy wóz patrolowy Pete'a McKaya na parkingu w śródmieściu.

- Sprawdziliście go dokładnie?

- Tak. Proszę zrozumieć, poruczniku, że nie mogę tego dłużej trzymać w tajemnicy. Na skrzyni furgonetki znaleźliśmy ślady krwi. Ale to nie są jakieś znaczące ślady. Nikt się tam nie wykrwawiał, jasne?

Stride miał wielką ochotę na papierosa. Ze zdenerwowania trzęsły mu się ręce. Po raz kolejny nakazał sobie w duchu, żeby nie myśleć o Serenie i nie zastanawiać się nad tym, co jej się mogło stać. Powinien teraz myśleć wyłącznie o Deedzie. Powinien starać się normalnie prowadzić dochodzenie.

- Sugerujesz, że przesiadł się do innego samochodu? - zapytał.

- Tak. A to by wskazywało także, że Serena jeszcze żyje.

Teitscher nie musiał nic więcej wyjaśniać, Stride świetnie wiedział, co ma na myśli. Gdyby Serena zginęła, Deed zostawiłby jej zwłoki w bagażniku porzuconego samochodu.

- Pod estakadą nie ma żadnych kamer drogówki? - zapytał.

- Nie, ale facet jeździł wcześniej oddaną mu do użytku

czerwoną furgonetką firmy Byte Patrol. Jeszcze jej nie odnaleźliśmy, ale wiadomości o poszukiwaniach tego wozy zostały jako pilne rozesłane do wszystkich służb miejskich. Patrole na autostradzie mają oko na wszystkie trasy wiodące na południe, to znaczy na szosy numer trzydzieści pięć, sześćdziesiąt jeden i sto sześćdziesiąt dziewięć, na wypadek, gdyby jednak postanowił wyruszyć do „Bliźniaczych Miast”. Powiadomiłem też graniczne służby kanadyjskie.

- A co z trasą do Wisconsin?

- Trzydziestka piątka do Wisconsin też jest pod obserwacją. Szef wydziału K-2 oddelegował swoich ludzi z dyżuru, żeby pilnowali wyjazdu z miasta. W dodatku powiadomiłem media. Wiem, że do czasu emisji porannych programów za bardzo nie ma na co liczyć, ale zaalarmowanie opinii publicznej może się nam przydać jutro. Helikoptery wystartują, jak tylko ucichnie śnieżycy.

Stride nie mógł się pozbyć wrażenia, że jutro będzie już za późno.

- Prawdopodobnie dysponuje drugim samochodem - rzekł.

- Wszystko na to wskazuje.

Inspektor krzyknął na właściciela serwisu, który ukradkiem przeglądał zawartość twardego dysku komputera Deeda. Craig miał najwyżej trzydziestkę, był ubrany w szare spodnie od dresu i czerwoną bawełnianą bluzę, na nogach miał rozdeptane pantofle. Sprawiał wrażenie, jakby spał na stojąco. Wysoki i szczupły, odznaczał się gęstą plerazą rudych włosów i skołtunioną brodą.

- Hej! - zawołał Stride. - Nie wiesz, czy Deed ma drugi samochód? Nie widziałeś go nigdy za kierownicą innego auta poza waszą furgonetką?

Craig potarł zaczerwienione oczy.

- Nie, prawie stale trzymał furgonetkę pod domem.

- Najciemniej pod latarnią - mruknął Teitscher. - Te czerwone furgonetki aż tak rzucają się w oczy, że nikt nie zwraca na nie większej uwagi.

- Więc może jednak dopisze nam szczęście, jeśli jej jeszcze nie porzucił - odrzekł Stride. - Informuj mnie na bieżąco. Dzwoni co pół godziny.

- W porządku. Nie chciałbym, poruczniku, żebyś odebrał to jak rzucanie kłód pod nogi z mojej strony, ale mam złe przeczucia.

- Dzięki, Abel.

- Nie chcę też przyznać jeszcze, że się myliłem co do Maggie, ale muszę powiedzieć, że ta sprawa wydaje się dużo bardziej złożona, niż sądziłem.

- Postępowałeś tak, jak zapewne i ja bym postąpił na twoim miejscu - rzekł pocieszająco inspektor.

- Maggie dzwoniła i pytała, czy nie mogłaby się na coś przydać w tym dochodzeniu. Nie wiem, czy słusznie zdecydowałem, ale się zgodziłem.

Stride wzruszył ramionami.

- I tak by się do niego włączyła.

- Wiem.

- Lepiej być ostrożnym, Abel, bo ludzie zaczną gadać, że mięczak z ciebie.

- To prawda. Pewnie i tak będą gadać.

Kiedy Teitscher wyszedł, Stride wrócił do przerwanych oględzin mieszkania Deeda, starając się rozgryźć tego człowieka. Wynajął lokal w obskurnym wieżowcu otoczonym przez podejrzane lombardy oraz sklepy z żelastwem i bronią blisko południowego końca Superior Street. Z okna na piątym piętrze rozciągał się widok na gąszcz wiaduktów i estakad rozjazdów autostrady, które w tym miejscu łączyły ją z centrum miasta. Lokal był tani, zapewniający anonimowość i łatwość błyskawicznej ucieczki.

W środku jednak trudno było znaleźć cokolwiek świadczącego o charakterze lokatora. Korzystał głównie z posiłków na wynos, żywił się pieczonymi kurczętami, meksykańskimi tacos, frytkami z pastą guacamole czy mrożonymi gotowymi daniami sprzedawanymi na aluminiowych tackach. Kuchnia cuchnęła rybami. Mieszkanie było już umeblowane i Deed prawie nie dodał niczego od siebie, jeśli nie liczyć nowoczesnego komputera. Nigdzie nie było ani czasopism, ani zestawień operacji bankowych, ani nawet paragonów. Musieli się zadowolić pobieżnym opisem mężczyzny, wysokiego, barczystego, mocno zbudowanego, około czterdziestki, z prostymi czarnymi włosami spadającymi na kark, czarnymi oczami i haczykowatym nosem. Chodził w dżinsach i flanelowych koszulach, jeśli, rzecz jasna, nie wykonywał zleceń, paradując w czerwonym T-shircie z firmowym logo Byte Patrol.

Coś w tym mieszkaniu nie dawało Stride'owi spokoju, ale wciąż kryło się przed jego wzrokiem jak statek we mgle. Im bardziej próbował się skupić na wskazaniach szóstego zmysłu, tym bardziej owo wrażenie robiło się ulotne, jak gdyby tylko wyobrażenia płatała mu figla. Utwierdzał się więc w przekonaniu, że nie ma tu niczego ciekawego i szkoda czasu na dalsze poszukiwania.

Wyciągnął spod kuchennego stołu krzesło i usiadł obok właściciela serwisu Craiga, który od czasu do czasu wystukiwał coś na klawiaturze i wbijał spojrzenie szklistych oczu w ekran.

- Co znalazłeś? - zapytał Stride.

- Wystarczająco dużo, żeby szybko wyeliminować mnie z rynku - odparł informatyk. - Ten sukinsyn porobił sekretne wejścia do systemów i poinstalował programy szpiegowskie w każdym komputerze, do jakiego się dotknął, pracując w naszej firmie.

- To znaczy?

- To znaczy, że mógł przez Internet uzyskać dostęp do tych

maszyn, niepostrzeżenie wejść do systemu i dowolnie buszować w zapisach na twardym dysku czy śledzić każde naciśnięcie klawisza przez użytkownika. Wiedział o wszystkim.

- Potrzebne mi będą nazwiska.

- Tak, pewnie. Zaraz wydrukuję pełną listę. A jutro wszyscy podadzą mnie do sądu.

- Coś jeszcze? - zapytał Stride.

- A czego jeszcze mam szukać?

- Czegokolwiek, co pomogłoby nam odnaleźć tego człowieka. Dokąd jeździł? Gdzie robił zakupy? Czym się zajmował w wolnym czasie? Musiał sobie przygotować jakąś kryjówkę.

- To, co znalazłem, raczej wam nie pomoże. To głównie pornografia. Nawiasem mówiąc, obrzydliwa, pełna przemocy.

- A co z lokalnymi portalami? Chodzi mi o ludzi, miejsca i firmy z rejonu Duluth. Blogi, strony portalu MySpace, tego typu rzeczy.

- Niczego takiego nie zauważyłem.

- Nie otwierał ani razu blogu o nazwie „Dama ze mnie”? Nie wzmiankował nigdzie o niejakiej Helen Danning?

Craig przez kilka sekund wpisywał coś na klawiaturze.

- Niczego takiego nie ma.

- Nie ma też śladów operacji finansowych w bankach sieciowych?

- Nie. - Craig ziewnął szeroko.

- Zatrzymuję cię tutaj? - zapytał Stride.

- Jest trzecia nad ranem, człowieku. Zazwyczaj o tej porze śpię.

- Owszem, ale dzisiaj sytuacja jest nadzwyczajna. Wcześniej wyciągnąłem w środku nocy z łóżka sędzinę, żeby podpisała nakaz rewizji, więc możesz się domyślić, jacy ludzie są na mnie wściekli. Serdecznie żałuję, że musiałem i ciebie wyciągnąć z łóżka z powodu tego sukinsyna, którego zatrudniłeś, a który

porwał kobietę i być może do tego czasu już ją zgwałcił i zamordował. Więc bądź uprzejmy jeszcze się skupić i znaleźć mi coś wartościowego.

- Tak jest... W porządku... Przepraszam... - Przygarbiony Craig z powrotem pochylił się nad klawiaturą.

Zadzwonił telefon komórkowy Stride'a, a melodia sygnału zabrzmiała w jego uszach jak szyderstwo. Rzeczywiście się spieszył, ale tym razem dobrze wiedział dlaczego. Wstał, podszedł do okna i uniósł aparat do ucha.

- W bazach stanowych nic nie ma - oznajmił Guppo. - Gość nie jest tutejszy.

- A co z federalnymi?

- Jeszcze sprawdzają. Obiecali nadać sprawie najwyższy priorytet.

- Dzięki. - Przerwał połączenie.

Usiadł okrakiem na odwróconym krześle i po raz kolejny powiódł wzrokiem po całym pokoju. Cóż takiego nie dawało mu spokoju, do diabła? Na pewno było tu coś, zapewne coś zupełnie oczywistego, co nie pasowało do reszty, a co stale mu umykało. Wstał i jeszcze raz zaczął przerzucać w koszu na śmieci puste opakowania umazane resztkami żywności. Folia po plasterkowanym bekonie. Pojemnik po jajach i ich skorupki. Zatluszczony arkusz papieru z naklejką po mielonej wołowinie pochodzący z pobliskiego sklepu całodobowego. Już wysłał tam jednego ze swoich ludzi, żeby porozmawiał z pracownikami, może któryś przypomni sobie coś szczególnego związanego z Deedem. Dokąd poszedł albo dokąd pojechał, czy był z kimś...

Nadal coś nie dawało mu spokoju.

- Hej, poruczniku - zawołał Craig. - Chyba powinien pan to zobaczyć.

Stride podszedł do stołu i zajrzał informatykowi przez ramię.



- Co to jest?
- Zdjęcia. Całe mnóstwo. Większość przedstawia tę samą kobietę.

Craig przesunął myszką i kliknął jedną z maleńkich ikonek. W oknie wyświetliły się ustawione ciasno obok siebie miniaturki fotografii.

- Mogę zapuścić ich wyświetlanie jako pokaz slajdów - zaproponował Craig.

- Proszę.

Ledwie pierwsze zdjęcie wypełniło cały ekran, serce podeszło Stride'owi do gardła. To była Serena. Rozpoznał centrum Saint Paul, okolice parku Rice'a niedaleko Ordway Center. Na ekranie pojawiło się drugie zdjęcie, także przedstawiające Serenę. Tym razem przed gmachem sądu w Duluth. Zmusił się, żeby w spokoju przejrzeć cały zestaw. Prawie na wszystkich była Serena, a zbiór liczył ponad sześćdziesiąt fotografii. Zostały zrobione potajemnie, często z dużej odległości. Niektóre w sąsiedztwie ich domu, na plaży czy wręcz przez okno.

Ten facet od dłuższego czasu planował porwanie Sereny.

Stride poprosił o cofnięcie do zestawu miniatur i wskazał palcem fotografię pośrodku okna, będącą ledwie zaciemnionym prostokątem bieli.

- A to co?

- Błąd - wyjaśnił Craig. - Prawdopodobnie migawka aparatu została zwolniona przypadkowo.

- Powiększ je.

Craig przywołał zdjęcia na cały ekran, a Stride pochylił się niżej, wyciągając wzrok. Jaskrawa plama bieli pośrodku była zapewne efektem zadziałania lampy błyskowej, ale na jej obrzeżach dały się wyróżnić zagadkowe brązowe plamy rozłożone pomiędzy ciemniejszymi falistymi liniami.

- Co to może być? - zapytał.

Craig także przyjrzał się dokładnie.

- Trudno powiedzieć.

- Moim zdanie to powierzchnia drewna.

- Jak na to chyba zbyt regularna.

- A boazeria? Na przykład tania, z sosnowych listewek. - Rozejrzał się błyskawicznie po pokoju. Tutaj nigdzie nie było boazerii. Wybiegł, zajrzał do sypialni, potem do łazienki, ale tam też nie znalazł niczego, co by przypominało powierzchnię ukazaną na zdjęciu.

- Nie wykładacie skrzyń swoich furgonetek boazerią? - zwrócił się do Craiga.

Ten pokręcił głową.

- Więc gdzie mógł zrobić to zdjęcie? - rzucił w desperacji Stride, bardziej sam do siebie, jakby głośno myślał. Nie mógł się uwolnić od myśli, że właśnie w pomieszczeniu wyłożonym taką boazerią znajdowała się teraz Serena. To musiała być kryjówka Deeda.

Kiedy gorączkowo przerzucał w myślach spis miejsc, gdzie mogła być taka boazeria, znowu zadzwonił Guppo.

- Lepiej powiedz, że go zidentyfikowaliście - rzucił inspektor.

- Owszem, ale jest pewien problem.

- Jaki.

- Odciski pasują idealnie - rzekł Guppo. - Figurują w bazach danych Arizony, Teksasu i Alabamy. Handel narkotykami, zabójstwa, wymuszenia, jak również dwa zarzuty o gwałt, tyle że dochodzenia zostały wstrzymane ze względu na śmierć pokrzywdzonych.

- Wygląda na naszego faceta - orzekł Stride. - Co to za problem?

- Taki, że gość nie żyje.

- Możesz powtórzyć?

- Według rejestrów z Alabamy facet nie żyje. Był świadkiem koronnym w sprawie o handel narkotykami i dwoje policjantów odwoziło go po rozprawie do więzienia federalnego w Holman, kiedy dopadł ich huragan. Wszyscy troje zginęli.

- Mówisz, że zginęli w huraganie? - powtórzył Stride, wciąż mając nadzieję, że Guppo się myli.

- Tak.

Nagle uzmysłowił sobie, co mu nie dawało spokoju. Wszystko sobie przypomniał. Był na miejscu z Sereną w Alabamie, kiedy odebrała telefon od komendanta miejscowej policji. Wciąż pamiętał wyraz ulgi na jej twarzy, kiedy odebrała tę wiadomość. Poczula się wreszcie wolna. Wyzwolona.

- Po burzy odnaleziono zwłoki obojga policjantów - ciągnął Guppo - jak również doszczętnie zniszczony samochód. Nie było w nim jednak żadnych śladów walki. Dlatego uznano, że więzień też zginął, tylko powódź zmyła zwłoki do morza.

Wniosek był logiczny, ale niezgodny z prawdą. Powódź wcale nie zmyła go do morza. Zdołał jakoś ujsć z życiem i zwiął na północ, przyciągany jak przez urządzenie samonaprowadzające. Stride świetnie pamiętał, jak Serena opisywała tego człowieka, który doszczętnie zrujnował jej młodość. Błyskotliwy, lecz bezwzględny, sympatyczny, lecz mściwy. Ani chybi krwiożerczy pająk, który uwielbia zabawić się ze swoją zdobyczą, zanim ją ostatecznie pożre. Handlarz narkotykami. Szantażysta. Gwałciciel. Zabójca.

- Jak on się nazywał? - zapytał inspektor, chociaż zdążył już sobie przypomnieć.

- Wybieraj do woli - odrzekł Guppo. - William Deed, Billy Deed, Henry albo Billy „Pies” Ketcher, ewentualnie „Niebieski Pies”.

## 51.

Pomyliła się. Bardzo się pomyliła. To nie Tommy Luck stał nad nią. Nie był to nikt związany z jej policyjną służbą w Las Vegas. Ktoś znacznie gorszy. Upiór z odległej przeszłości, z jej dzieciństwa. Upiór z piekła rodem.

- Ty nie żyjesz... - szepnęła.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Owszem, jestem teraz niewidzialnym duchem. Nie istnieję.

- Dostałam wiadomość z komendy w Alabamie - rzekła z naciśkiem, chociaż klóciło się to z tym, co miała teraz przed oczami. - Powiedzieli, że zginąłeś w tropikalnej burzy.

- Nie wiesz nawet, jak działa wymiar sprawiedliwości tam, na południu. Trzymają ludzi tak stłoczonych w celach, że gdy zrobi się jednego mniej, mają tylko powód do świętowania. Na pewno szybko doszli do wniosku, że huragan wyrządził im jedynie przyśługę.

Z pamięci Sereny wypłynęły natrętne wspomnienia. Obrazy, które dawno temu zamknęła w najdalszym zakamarku umysłu, nagle wyrwały się na wolność niczym szczury z uszkodzonej klatki. W wyobraźni znów ujrzała siebie w mieszkaniu Niebieskiego Psa w Phoenix. Miała wtedy piętnaście lat. Latem nastąpiły nieznośne upały, skóra obrzmiała jej do tego stopnia, że zaczynała krwawić przy najlżejszym zadrapaniu. Zuchwałe karaluchy gapiły się na nią ze ścian pokoju. Podobnie jak jej matka, która sama upodobniła się do karalucha, bo coraz częściej chodziła z oczami przekrwionymi i powiększonymi od kokainy. Wielkie czarne oczy Niebieskiego Psa zawsze były klarowne. Sam nie używał narkotyków, tylko je sprzedawał. Zawsze uśmiechał się szeroko, ilekroć wchodził do jej pokoju. I wbijał się w nią bez pardonu niczym gwóźdź. Ten sam uśmiech widniał teraz na jego twarzy.

Domyślił się, że wróciły jej wspomnienia.

- Nieźle nam było razem, no nie? - powiedział.

- Pieprz się.

- Mówiąc szczerze, to element mojego planu. Przez ostatnie dziesięć lat bez przerwy myślałem o tobie. Myśl o tym, że kiedyś zyskam okazję, żeby ci się odplacić, była chyba jedyną rzeczą, która trzymała mnie przy życiu.

- Całym swoim życiem musiałam zapłacić cenę za to, co mi zrobiłeś - odparła Serena. - Ja tylko wyrównałam rachunki.

- Może i tak, ale powinnaś była w końcu odpuścić, a nie robiłaś tego - syknął. - Zaczęłaś mnie prześladować.

Miał rację. Przypomniała sobie tamto lato sprzed dziesięciu lat. Musiała pojechać do Phoenix, żeby zebrać informacje w sprawie prowadzonej przez policję z Vegas. Zaledwie się tam znalazła, wspomnienia z okresu dojrzewania powróciły ze zdwojoną siłą, tak natrętne, że ocknęła się po trzech dniach upojenia alkoholowego w jakiejś norze na południowych obrzeżach miasta, w tanim motelu przy lotnisku, u boku nieznanego mężczyzny. I tam karaluchy łąziły po ścianach. Po powrocie zgłosiła się do psychoterapeuty, który uznał, że to skutek nieuregulowanych stosunków z matką i Niebieskim Psem. Poczula się tak, jakby za sto dolarów usłyszała przestrożę, że zmoknie, jeśli wyjdzie z domu w czasie deszczu. Ten sam terapeuta zapytał później, czy kiedykolwiek przeżywała orgazm, gdy Niebieski Pies ją gwałcił. Cholerny łobuz.

Dlatego też ułożyła sobie własną terapię. Wzięła miesięczny urlop i wyruszyła tropem Niebieskiego Psa z Arizony przez Teksas do Alabamy, gdzie go odnalazła. Stosował nadal swoje stare sztuczki - handlował crackiem, prowadził rozległy oszukańczy biznes w Birmingham, no i sypiał z czarną dziewczyną, która mogła mieć najwyżej szesnaście lat. Skontaktowała się z policją z Alabamy, która na jej prośbę podjęła obserwację Niebieskiego

Psa. I udało jej się zarejestrować na taśmie wideo, jak ten likwiduje jednego ze swych odbiorców, który zatrzymywał część towaru dla siebie. Niebieski Pies załatwił go strzałem w tył głowy, co wyraźnie zarejestrowała kamera, zanim policjanci zdążyli wybiec z samochodów, z których prowadzili obserwację.

Serena podjęła trop. Był już starszy, wyraźnie to było widać po zmarszczkach na twarzy czy pasmach siwizny w długich włosach. Ale poza tym niewiele się różnił od prześladowcy, którego doskonale pamiętała. Wysoki, prawie dwa metry wzrostu, masywnie zbudowany jak niedźwiedź grizzly. Pod względem charakteru też niewiele się zmienił. Nadal pałał żądzą kontrolowania całego świata, pragnął, by wszystkie kobiety padały przed nim na kolana, by stale mógł udowodniać, że jest sprytniejszy i twardszy od każdego rywala.

To były jedyne elementy, które teraz mogła wykorzystać na swoją korzyść. Dobrze go znała, potrafiła prześledzić sposób jego rozumowania. Nie był dla niej obcym człowiekiem.

Na początek postanowiła podciąć mu skrzydła. Zmusić do mówienia. Zdawała sobie sprawę, że pewnie pół miasta zostało już postawione na nogi w związku z jej zniknięciem, a Jonny zaczął systematycznie przetrząsać wszelkie zakamarki Duluth. Powinna więc starać się maksymalnie zyskać na czasie, bo wówczas rosły jej szanse na ujęcie z tego z życiem. Musiała być jednak realistką. Wiedziała, że według wszelkich zasad prawdopodobieństwa zginie.

- Gdzie jesteście? - zapytała.

Domyślała się, że stosunkowo niewielkie pomieszczenie oświetlone słabą gołą żarówką zwieszającą się z sufitu to jakiś barak. Powiodła wzrokiem po taniej boazerii, obitym zlewie, miniaturowej lodówce i stercie pustych butelek po piwie. Pomieszczenie miało jakieś dwa i pół metra szerokości i cztery długości. W przeciwległej ścianie znajdowały się dwa okna, ale szyby były

zaklejone szarą taśmą samoprzylepną, a w drzwiach po lewej romboidalne okienko także zaklejono taśmą. Pod naporem gwałtownych porywów wiatru cały barak dygotał w posadach.

- Masz jeszcze nadzieję, że ktoś cię tu odnajdzie? Nie licznato.

Strzelił oczami na lewo i prawo. Widok jej nagiego ciała sprawiał, że był podniecony. Przysunął się z krzesłem do łóżka, pochylił nad nim i znów zaczął wodzić czubkiem noża po jej skórze. Przeszył ją dreszcz. Była wychłodzona, ale złościła się głównie z tego powodu, że od zimna sutki jej stwardniały, a to wywołało szeroki lubieżny uśmiech na jego twarzy. Trącił je teraz czubkiem noża, po czym pochylił się i zlizął z nich kropelki krwi.

Zajmij go rozmową, nakazała sobie w duchu Serena.

- Jeśli to sprawa tylko między nami, to po co wciągałeś w nią aż tyle osób?

Niebieski Pies wzruszył ramionami.

- O kogo ci chodzi? O takich kutasów jak Dan Erickson albo Mitch Brandt? Już ci mówiłem, że tacy ludzie niczym nie różnią się ode mnie. Wszyscy mają swoje sekrety.

- Jak poznałeś ich tajemnice?

Próbowała oszacować, jak jest przywiązana do łóżka. Leżała wyciągnięta na niskim tapczanie, materac od podłogi dzieliło najwyższej trzydzieści centymetrów. Nogi miała szeroko rozstawione, wysunięte za brzegi materaca i przytwierdzone taśmą samoprzylepną do żelaznej ramy łóżka. Szacowała, że znajduje się w dwóch trzecich jego długości. Jej ręce też zwieszały się w dół po obu stronach materaca, a kiedy szarpnęła nimi ku górze, stwierdziła, że jest przywiązana jakimiś pasami tkaniny, a nie taśmą samoprzylepną. Lekko rozciągliwy materiał, jak gdyby pochodzący z bawełnianego T-shirta, owijał się ciasno wokół jej nadgarstków i był mocno zasupłany, a drugi jego koniec prowadził zapewne do

nózek żelaznej ramy w wezglowiu, znajdujących się około dwudziestu centymetrów od jej dłoni. Miała odrobinę swobody w poruszaniu rękoma. Kiedy wyciągnęła palce maksymalnie w dół, mogła dotknąć podłogi, lodowatej w dotyku, a więc zapewne też blaszanej.

- W Holman siedziałem razem z jednym młodym hackerem - wyjaśnił. - Całkiem rąbnięty kutas. Zapuszkowali go za molestowanie małych chłopców.

Powiedział to bez śladu ironii w głosie.

- Ktoś taki w pace nie wytrzyma długo bez specjalnej ochrony - dodał po chwili. - I to ja się zatroszczyłem, żeby nic złego mu się nie stało.

- Ładny mi anioł stróż - mruknęła.

Zaśmiał się.

- A co, i tak pewnie skończył jako powszechnie wykorzystywana ciota, więc mogłem go ochraniać, żeby ssał tylko mojego fiuta.

- Nie wiedziałam, że zostałeś pedziem.

Jego uśmiech zniknął w jednej chwili. Obrócił w dłoni nóż i dziabnął ją w prawe ramię, aż ostrze zagłębiło się na parę centymetrów w głąb ciała. Krzyknęła i szarpnęła się, aż zaskrzypiała rama tapczanu. Wyciągnął nóż i otarł z niego krew o krawędź materaca. Sereną wstrząsały fale powracającego bólu.

- Lepiej naucz się grzeczności, bo inaczej czeka cię bardzo długa noc.

- A jak będę grzeczna, to będzie inaczej?

- No nie, masz rację. Ale może być jeszcze dłuższa.

Serena zamknęła oczy. Po raz drugi wyciągnęła lewą rękę i położyła dłoń na podłodze. Łóżko się lekko przechyliło. Gorączkowo pomacała w promieniu kilkadziesiątu centymetrów w nadziei, że trafi na coś ostrego, czym można by rozciąć krępującą ją



tkaninę, ale wyczula pod palcami tylko jakieś okruchy, nie licząc plam zimnej wody skapującej z sufitu.

- I co ten chłopak zrobił? - zapytała, mając na uwadze, że musi zajmować go rozmową.

- Nauczył mnie wszystkiego, co wiedział o komputerach. Pojąłem, że z tej wiedzy można wyciągnąć dużo więcej forsy, niż z ulicznego handlu. Bo prawdziwie duże pieniądze kryją się w tym, co ludzie chcieliby ukryć.

- Czyli w szantażu.

- Właśnie. Przyjechałem tu i zacząłem mieć na ciebie oko. Ale trzeba było jeszcze jakoś zarobić na życie. Nie spieszyło mi się. Znalazłem inne sposoby na spuszczenie z siebie pary.

- Więc czemu porwałeś mnie teraz?

- Bo nadeszła pora, żeby wynosić się z miasta - przyznał. - Gliniarze są już niebezpiecznie blisko. A między nami pozostały niedokończone sprawy.

Poza zasięgiem jego wzroku Serena maksymalnie naciągnęła więzy lewej ręki i sięgnęła palcami pod łóżko. Musnęła jakiś metalowy przedmiot, ale tym samym tylko odsunęła go jeszcze dalej.

Niebieski Pies sięgnął za plecy i wyciągnął zza paska rewolwer, małego i lekkiego smitha & wessona, w jego masywnej dłoni sprawiającego wrażenie dziecięcej zabawki. Błyskawicznie przemknęło jej przez myśl - mały i łatwy do ukrycia, pięciopalcowy. Zaraz jednak skojarzyła, że zapewne dożyje tego, by móc policzyc cztery późniejsze strzały.

- Długo się zastanawiałem, jak to zrobić - powiedział. Przytknął lufę rewolweru do jej prawego kolana. - Wiesz, jak to jest, gdy dostaje się kulkę dokładnie w to miejsce? Człowiek ma ochotę umrzeć. No więc wymyśliłem, żeby najpierw przestrzelić ci oba kolana, a dopiero potem przelecieć.

Serena znów szarpnęła się w więzach, mając nadzieję, że jeszcze trochę przesunie łóżko.

- Ale później pomyślałem, że nie poczujesz mnie w sobie, jeśli tak postąpię. A przecież nie chcę, żebyś cierpiała do tego stopnia, by nie móc sobie przypomnieć, jak to jest ze mną.

Z kolei przytknął jej broń do czoła. Lufa rewolweru była ciepła, gdyż trzymał ją wetkniętą za spodnie.

- Myślałem też, czy nie zmusić cię, żebyś mi possała.

- Jeśli cokolwiek wsadzisz mi w usta, będziesz mógł się z tym pożegnać - ostrzegła.

Niebieski Pies zachichotał.

- No właśnie, jestem człowiekiem praktycznym.

- I tak nie ujdiesz stąd z życiem.

- To się jeszcze okaże. Myślisz, że nadal jesteśmy na ziemi? Zaraz ci pokażę, jak bardzo się mylisz.

Cofnął rewolwer od jej głowy, obrócił lufą ku górze i bez wahania nacisnął spust. Serena odniosła wrażenie, jakby grzmot przetoczył się jej pod czaszką. Z góry posypał się kurz i drobiny farby, a chwilę później z dziury wybitej przez kulę pociekł jej na piersi jednostajny strumyk wody lodowatej jak w górskim potoku. Jeszcze przez jakiś czas echo wystrzału dudniło jej w uszach, a głowę przeszywał tak dotkliwy ból, jakby przytknięto jej do obu skroni końcówki kabla elektrycznego.

Na zewnątrz nie było żadnej reakcji. Żaden odgłos nie przebił się przez monotony ryk zamieci. Serenę przeszył dreszcz, gdyż cieknąca z dachu woda przemoczyła materac wokół niej.

- Widzisz? Jesteśmy tylko we dwoje.

Wstał z krzesła i podniósł z podłogi krawat, którym pomachał jej przed nosem - szeroki, w ukośne czarne i żółte pasy.

- Paskudny, no nie? Znalazłem go na tej opuszczonej farmie, na której ukrywałem się w czasie huraganu.

Owinął go jej wokół szyi i zaczął powoli naciągać końce. Po chwili rozpiął spodnie.

- Pamiętasz jeszcze tego gościa?

Serena zdała sobie sprawę, że czas ucieka. Po raz kolejny naciągnęła więzy, usiłując dosięgnąć leżący na podłodze metalowy przedmiot, ale znów bez rezultatu. Nie wiedziała nawet, co to jest i czy przyda się do rozcięcia tkaniny, którą była przywiązana do ramy łóżka.

Niebieski Pies wdrapał się na materac w nogach tapczanu, aż ten zaskrzypiał głośno pod ciężarem dwóch osób. Łóżko znowu przesunęło się odrobinę. Kiedy zwałił się na nią całym ciężarem, koszula na piersiach od razu mu przemokła od wody stojącej na brzuchu Sereny. Ponownie złapał końce krawata dwiema rękoma i zaczął je ciągnąć w przeciwne strony, zaciskając pętlę na jej szyi. Poczowała, jak nieudolnie próbuje w nią wepchnąć swego członka.

- Z przyjemnością popatrzę ci przy tym w oczy - powiedział.

Na dnie klepsydry zbierało się coraz więcej piasku.

Znowu położyła dłoń na podłodze i sięgnęła pod łóżko. Tym razem trafiła palcem na drobny metalowy przedmiot, który się obrócił pod jej naciskiem i wbił w skórę.

To był haczyk od wędkii. Ostry jak diabli.

## 52.

Maggie krążącą samochodem po ulicach Duluth stopniowo ogarniała coraz większa desperacja, która dodatkowo nasilała pogoda. Wycieraczki pracujące z pełną szybkością zgarniały śnieg, ale zamieć była tak intensywna, że w snopach świateł reflektorów widać było jedynie kłębiącą się masę białych kryształków. Wyteżyła wzrok, żeby w ogóle rozpoznać przed sobą drogę, podczas gdy wóz ślizgał się i buksował na świeżym śniegu. Fosforyzujący zegar w desce rozdzielczej jej chevroleta avalanche wskazywał,

że dochodzi czwarta nad ranem. Zostało jeszcze parę godzin do wschodu słońca, ale nawet za dnia nie było co liczyć na dobrą widoczność ze względu na silne zachmurzenie. Zamięć wciąż trwała, pokrywając miasto trzydziestocentymetrową warstwą śniegu i nacierając na zabudowania silnymi porywami wiatru nadciągającego znad kanadyjskiej tundry. O tej porze nie było nikogo na ulicach miasta, właśnie z powodu trwającej burzy. Samochody przy krawężnikach stały zakopane w zaspach, pokryte grubymi śniegowymi czapami. Kiedy więc wypatrzyła furgonetkę pasującą do opisu kształtem i wielkością, musiała zatrzymać wóz, wysiąść i zgarnąć z niej ręką śnieg, by się przekonać, że nie jest to brakujące auto firmy Byte Patrol.

Kiedy przejeżdżała Fourth Street wzdłuż południowego krańca Portland Square, zauważyła światło w oknach domu po drugiej stronie skweru i uświadomiła sobie, że świeci się w mieszkaniu Katriny na pierwszym piętrze. Wyglądało na to, że pozapalała wszystkie światła w mieszkaniu. Powód był dla Maggie jasny. Przez kilka tygodni po napaści ona też budziła się w środku nocy, zapalała światła, po czym przesiadywała w kuchni, trzymając służbowy rewolwer w zasięgu ręki. Wiedziała, że to irracjonalne zachowanie, ale strach był silniejszy.

Skręciła w lewo, dotarła na północny koniec placu i zaparkowała niedaleko domu Katriny. Kiedy wysiadła, wiatr omal nie zwałił jej z nóg. Nisko pochylona przemknęła chodnikiem i pośpiesznie dała nura we wnękę przed drzwiami budynku. Nacisnęła dzwonek.

Z głośniczka domofonu popłynął chrapliwy głos Katriny:

- Kto tam?
- Maggie.
- Och, cześć. Wejdz, proszę.

Wbiegła po schodach, zostawiając na nich mokre ślady butów. Gdy tylko dotarła na podest piętra, Katrina otworzyła drzwi

mieszkania. Miała na sobie tylko obszerny T-shirt sięgający do połowy długości uda, spod niego wystawały gołe nogi.

- Przepraszam, że wpadam o tej porze - zaczęła Maggie.
- I tak nie spałam.
- No właśnie, dlatego zadzwoniłam.

Katrina skinęła głową.

- Oglądałam telewizję. Słyszałam, co się stało z twoją przyjaciółką Sereną. Kiepsko to wygląda.

- To prawda.
- Czy to ten sam facet, który...
- Sądzymy, że tak.
- Chcesz wejść?
- Tak, na parę minut.

Za progiem Maggie zdjęła płaszcz i powiesiła przy drzwiach. Na wieszaku zostawiła też kapelusz i rękawiczki. Topniejący śnieg skapywał z nich na dywan. Katrina zapaliła gazowy kominek, toteż w mieszkaniu było dość ciepło, mimo to Maggie usiadła bliżej piecyka, żeby się rozgrzać. Katrina klapnęła ciężko naprzeciwko niej i przez jakiś czas spoglądały na siebie w milczeniu.

- Powinnam cię chyba przeprosić - odezwała się w końcu Maggie.

- Za co?
  - Że nie zameldowałam o tym, co się stało. Może schwytałibyśmy wcześniej tego łajdaka, gdybym zgłosiła gwałt.
  - To nie twoja wina.
  - Jak się czujesz?
  - Jak pusty karton po mleku, z którego ktoś wylał wszystko do ostatniej kropli.
  - To przejdzie.
  - Czulaś się tak samo?
- Maggie pokręciła głową.

- Ja wychodziłam z siebie. Bez przerwy ryczałam.
- Powiedz mi coś. Czy uprawiałaś seks od czasu napaści?  
Zaprzeczyła ruchem głowy.
- Ja też nie. Na samą myśl o seksie robi mi się niedobrze. Mam wrazenie, jakby ten sukinsyn pozbawił mnie wszelkiej przyjemności z seksu.
- Weź na wstrzymanie. - Maggie skrzywiła się, walcząc z poczuciem winy. - Naprawdę powinnam była wtedy zameldować...
- Daj spokój - ucięła Katrina. - Nikomu nie jesteś nic winna, wyłącznie samej sobie.
- Stride tego nie rozumie.
- Bo to facet. Poza tym, on tego nie przeżył. Nie możesz uzależniać swojego życia od tego, co on myśli.
- Wcale tego nie robię.
- Nie? A to coś nowego.
- To moja linka zabezpieczająca. Już ci to mówiłam. Kiedy moje stosunki z Erikiem się pogorszyły, znów podświadomie zbliżyłam się do Stride'a. Nie musi się niczego obawiać z mojej strony, gdyż dobrze wiem, że nie jest mną zainteresowany.
- Nie bądź tego taka pewna.
- Przestań. Z jego punktu widzenia jestem smarkulą. Zresztą nie miałabym szans rywalizować z kimś takim jak Serena.
- Zatem witaj w realnym świecie - odrzekła Katrina. - Po co tu naprawdę przyszłaś?
- Sama nie wiem.
- Nie chrzań. Wiesz doskonale.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Tylko tyle, że co najmniej od dwóch lat pragniesz w zasadzie tylko jednego. I to wcale nie Stride'a ani Erica.
- Dziecka - szepnęła Maggie.
- Bingo.

- To już pozostanie w sferze marzeń. Trzy podejścia i wypadam z gry.

- A niby skąd to wiesz?

Maggie pokręciła głową.

- Nic z tego. Nie zamierzam wsiadać jeszcze raz do tej kolejki górskiej. Znów miałabym rozbudzić w sobie nadzieje wraz z przyływem hormonów, żeby potem po raz czwarty czuć się tak, że tylko kłaść się do trumny? Nie, dziękuję. Poza tym chwilowo brak mi drugiej strony równania. Straciłam męża.

- Mąż to coś w rodzaju dodatkowego towaru gratis.

- Za wcześniej o tym myśleć - skwitowała Maggie.

- Mogłabyś pomyśleć o adopcji.

- Tak, jasne. Samotna emigrantka z Chin, a do tego policjantka podejrzana o zabójstwo męża. Na pewno od razu wyląduję z przodu kolejki oczekujących.

- W każdym razie zastanów się nad tym.

- Dobrze, zastanowię się.

Prawdę mówiąc, już się nad tym zastanawiała. Poczyła nawet pierwsze rozpoznawcze kroki w tym kierunku.

- Chcesz się czegoś napić? - zapytała Katrina.

- Opróżniłabym całą flaszkę, dlatego podziękuję.

- Pracujesz?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Owszem, chociaż nieoficjalnie. Większość ludzi jest na mieście i uczestniczy w poszukiwaniach tego sukinsyna. Ale jak dotąd nie wiemy nawet, na co zwracać uwagę.

- Cóż, mam nadzieję, że go złapiecie. Z mojego punktu widzenia można by darować sobie rozprawę sądową i od razu posadzić go na krześle elektrycznym. Już teraz mogłabym powiedzieć, gdzie najlepiej byłoby przymocować mu elektrody.

- Masz rację.

- Przeżywałaś koszmary senne? - zapytała Katrina.

Maggie skinęła głową.

- Mam je do dzisiaj.

- Ja też. Wszystko wraca w mojej pamięci, ale czuję się tak, jakbym oglądała to na filmie, rozumiesz? Jakby przydarzyło się to komuś innemu.

- Mnie udało się prawie całkiem wyeliminować wspomnienia - przyznała Maggie. - Wcześniej pamiętałam wszystko w najdrobniejszych szczegółach, ale odgradziłam się od tych wspomnień wysokim murem.

- Szczęściara - mruknęła Katrina. - Myślę sobie, że nigdy nie powinnam była się godzić na wystąpienie w roli dziewczyny alfa. Tym bardziej że wiedziałam, jak ty to przeżyłaś.

- Każda odbiera to inaczej. Nie zamierzałam ci przecież dyktować, co masz robić.

- Owszem, ale mogłam wyczytać prawdę w twoich oczach. Powinnam się była domyślić, jaka to przykra sytuacja. Zmierzam do tego, że nigdy bym nie przypuszczała, że spotkam się tam z Erikiem, rozumiesz? Do cholery, nawet nie umiem powiedzieć, co sobie wyobrażałam. Byłam głupia.

Maggie zmarszczyła brwi.

- A ja nigdy nie podejrzewałam, że będziesz przechodziła przez to samo, co ja. Szczególnie później. Kiedy mnie się to zdarzyło, nawet przez chwilę nie kojarzyłam napaści z udziałem w spotkaniu klubu. Czuję się tak, jakbym pozwoliła ci wymalować tarczę strzelniczą na swojej piersi.

- Wielką tarczę - dodała Katrina.

- I tak wiesz, o co mi chodzi.

- Wiesz co? Najgorsze nawet nie jest to, że zostałam zmuszona do seksu i że moja gęba wyglądała jak porcja tęczy lodów owocowych. Na dobre straciłam apetyt na rybę z frytkami. - Zaśmiała się ironicznie.

- Niby z jakiego powodu? - zdziwiła się Maggie.



- Nie domyślasz się? Nie mogę nawet przejść obok stoiska rybnego w supermarkecie. Smród ryb sprawia, że natychmiast odzywają wspomnienia. Maggie aż rozdziawiła usta.

- Nie skojarzyłam tego.

Zaskoczona Katrina popatrzyła na nią spod uniesionych brwi.

- Chcesz powiedzieć, że po tym, co się stało, nadal możesz jeść ryby?

- Prawdę mówiąc, nie... Masz rację. Od paru tygodni nie wzięłam ryby do ust. Ale co to ma wspólnego...

- Rety, naprawdę skutecznie odgrodziłaś się murem od wspomnień. Twój zysk. Nie powinnam była w ogóle o tym wspominać. Ale prawda jest taka, że łapy tego faceta śmierdziały rybą. Mimo że był w rękawiczkach. Bił od niego ten przykry, dotkliwy, kwaśny smród, jakby dopiero co wyszedł spod wody. Koszmar.

Wspomnienia tym razem nawet nie zapukały do drzwi świadomości Maggie. Kopniakiem wywaliły zamek, roztrzaskały drzwi i wdarły się do jej umysłu z takim impetem, że zaparło jej dech w piersi. Błyskawicznie uniosła ręce do ust i zacisnęła powieki. Poczula nagle wokół siebie ten rybi smród, jakby po raz kolejny padła ofiarą napaści.

- Och, mój Boże...

- Cholera. Przepraszam.

Maggie kurczowo zacisnęła pięści.

- Wszystko w porządku, nic się nie stało. Ale to bardzo ważna informacja. Przypominasz sobie coś jeszcze?

- Nie. Tylko to wrażenie spotkania z „Karolciem Tuńczykiem”.

Maggie pospiesznie sięgnęła do kieszeni po telefon komórkowy i wybrała numer Stride'a. Odebrał już po pierwszym sygnale.

- Ryba - rzuciła krótko.

- Słucham?
- Ryba. Ręce tego faceta śmierdziały rybą. Jestem właśnie u Katriny, to ona przypomniała mi, jak ten facet śmierdział. To na pewno coś znaczy. Może zajmował się wędzeniem ryb albo pracował w przetwórni.
- Na linii panowała cisza.
- Jesteś tam? - zapytała Maggie.
- Boazeria na ścianach - rzucił Stride.
- Nie rozumiem.
- Miał w komputerze zdjęcie zrobione w pomieszczeniu wyłożonym tanią sosnową boazerią, na przykład we wnętrzu wozu kempingowego. A w lodówce rzeczywiście zostawił rybę. Całą, zawiniętą w folię, a więc nie ze sklepu. Musiał ją sam złowić.
- Jest w domku wędkarskim - orzekła Maggie.
- Masz rację. Wszystko na to wskazuje. Wyjechał na łód, na jezioro.
- Tylko na które?
- Zwłoki Tanji wypłynęły w Hell's Lake. Możemy zakładać, że zepchnął ciało pod łód we własnym domku wędkarskim.
- Gdzie jesteście?
- Sprawdzamy hale magazynowe przy lotnisku. Mogę wyjechać na jezioro za dziesięć minut.
- Będę tuż za tobą.

## 53.

Serena wbiła znaleziony haczyk w pasek tkaniny, którym była przywiązana do ramy łóżka. Wszedł jak w masło. Kiedy szarpnęła go w dół, materiał rozpruł się aż do końca. Niebieski Pies usłyszał trzask, zastygł na chwilę, po czym rzucił się w stronę jej ręki. Ale

jej wystarczyło tylko mocniej szarpnąć i uwolnić się z więzów, nim zwałił się na nią swoim ciężarem. Błyskawicznie sięgnęła do paska jego spodni na plecach, wymacała rewolwer i zacisnęła palce na kolbie. Został wetknięty odwrotnie, toteż przez chwilę nie mogła się zorientować w jego położeniu, zdołała go jednak obrócić i trafiła palcem na język spustowy.

Była praworęczna, czuła się więc nieswojo, zmuszona wykonywać wszystkie czynności lewą dłonią, udało jej się jednak odciągnąć kciukiem kurek i od razu nacisnąć spust. Trzymała rewolwer wymierzony w pośladek swego prześladowcy, lecz nim zdążyła strzelić, on już był w ruchu. Mimo to ryknął z bólu, przekreślił się na łóżku i zwałił ciężko na podłogę, po czym gorączkowo oddalił się od niej na czworakach. Strzeliła drugi raz, ale chybiła i kula tylko wybiła szybę w jednym z okien w tylnej ścianie baraku. Posypało się tłuczone szkło. W powietrzu rozszedł się śwąd rozgrzanego metalu i prochowego dymu.

Niebieski Pies zaczął robić uniki pod ścianą, przyciskając rękę do zranionego boku. Spod jego palców pociekła mu na biodro cienka strużka krwi. Serena wodziła za nim lufą rewolweru, ale na razie nie strzelała. Zostały jej tylko dwa pociski, a nie była pewna swojej celności, zmuszona do trzymania broni w lewym ręku.

- Dobra jesteś - powiedział.

- Jeśli zaraz stąd wyjdiesz, obiecuję, że nie będę strzelała - odparła. - Tylko wynoś się stąd, do jasnej cholery!

- Nie licz na to.

W głowie jej łomotało. To miejsce, w które dostała cios kolbą rewolweru, piekło, jak przypalane żelazem, aż od czasu do czasu na krótko świat rozmywał jej się przed oczyma. Miała ochotę zacisnąć powieki, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Poczowała na skórze prawego ramienia coś ciepłego i mokrego. Uświadomiła

sobie, że krwawi z rany zadanej nożem. O ile mogła dostrzec, jej brzuch pokrywała istna mozaika przecinających się krwistych linii, a ilekroć się poruszała, całą dolną część tułowia przeszywał ostry ból.

Od nieustannego wymachiwania rewolwerem w lewo i w prawo aż zakręciło jej się w głowie. Nie mogła dłużej trzymać go na muszce i świetnie o tym wiedział. Tylko czekał, aż straci przytomność.

- Rzuć broń, a obiecuję, że załatwię cię szybko - powiedział.

- Pieprz się. Podejdź tylko, a przekonasz się, że wpakuję ci kulkę w łeb.

- Wykrwawiasz się - przypomniał.

- Ty też.

Idąc za jego wzrokiem, dostrzegła leżący na półce w połowie długości baraczkę swój pistolet wraz z zapasowym magazynkiem.

- A spróbuj po niego sięgnąć - ostrzegła. Nie miała bowiem wątpliwości, że przy półce by go trafiła.

Schylił się i podniósł z podłogi butelkę piwa. Jeszcze pełną, zakapslowaną. Trzymając za szyjkę, zaczął nią wywijać młynka jak lassem. Po chwili piana z sykiem zaczęła się sączyć spod kapsla. Serena zacisnęła mocniej palce na kolbie rewolweru i wymierzyła, zdając sobie sprawę, jaki jest cel jego poczynań. Niebieski Pies w paru skokach skierował się w przeciwną stronę, po czym niespodziewanie rzucił butelkę nad tapczan. Szkło trzasnęło dokładnie kilkadziesiąt centymetrów nad jej głową, odłamki zagrzechotały o blaszaną ścianę za łóżkiem i posypały się na nią lawiną wraz ze strumieniami spienionego piwa. Odruchowo przekręciła głowę i zamknęła oczy. Tylko na sekundę. Ale to i tak było za długo. Usłyszała bowiem, jak on skacze w stronę półki.

Nie miała wyjścia. Musiała strzelić. Rewolwer szarpnął jej się

w dłoni, a płomień z lufy omiół jej nagie ciało. Nie trafiła Niebieskiego Psa, ale zmusiła go do wyciągnięcia się plackiem na podłodze, nim dobiegł do półki. Zdawał sobie sprawę, że nie ma co próbować po raz drugi, toteż odczołgał się szybko poza zasięg jej wzroku. Jak karaluch czmychnął z powrotem w drugi koniec baraku. Zmusiła się do tego, żeby trzymać oczy szeroko otwarte, mimo zalewającego je piwa, które ściekało po twarzy. Trochę dostało jej się też do ust, toteż z ochotą rozprowdziła je językiem po podniebieniu.

Było marki Sam Adams. Dobra rzecz.

Zanim on doczołgał się do tylnej ściany baraku, zwróciła uwagę, że porusza się już wolniej. Nie mógł cały czas być spięty do granic możliwości, ale i ona nie mogła go w nieskończoność obserwować. Wcześniej czy później któreś z nich musiało się zmęczyć.

- Jeden nabój - oznajmił głośno. - Pozostał ci tylko jeden nabój.

- Więcej mi nie trzeba.

Wiedziała jednak, że wszystko przemawia przeciwko niej. Rozejrzała się gorączkowo w poszukiwaniu nowej broni i spostrzegła nóż myśliwski, którym ją wcześniej torturował, leżący na podłodze blisko krawędzi tapczanu. Gdyby tylko udało jej się oswobodzić prawą rękę, z pewnością by go dosięgnęła. Pamiętała, gdzie pod sobą szukać haczyka od wędki. Łatwo byłoby nim przeciąć także drugi pas tkaniny. Jednakże w tym celu musiałyby odłożyć rewolwer. A to nie wchodziło w rachubę.

Uśmiechnął się, widząc jej dylemat.

- Twój czas się kończy.

- Sam nie wyglądasz najlepiej.

Oba te zdania padły swobodnym tonem, jakby starzy przyjaciele rozmawiali o dawnych dobrych czasach.

- Jeszcze w Phoenix często wyczuwałem, kiedy ci się ze mną podoba. Mężczyzna potrafi to wyczuć.

- Tak, jasne. Już widzę, co wyczuwałeś, głupi łobuzie.
- Bo są kobiety, które bardzo trudno rozpalic. Jak Tanjy.
- Tanjy rozpalala się tylko własnymi fantazjami. Gwarantuję, że brzydziła się każdego twojego dotknięcia.
- Zresztą nie chodziło o to, żeby było jej dobrze. Miała to być forma kary.

- Co takiego?

Wziął ją przez zaskoczenie. Skoczył w stronę półki, ale po dwóch krokach zawrócił i dał nura przez całą szerokość baraczkę, wyciągając przed siebie ręce. Zanim zdążyła strzelić, dosięgnął kontaktu, nacisnął go, padł plackiem na podłogę i odtoczył się do tyłu.

Światło zgasło. Serena oślepa do tego stopnia, że nie widziała nawet trzymanego przed sobą rewolweru. Nadstawiła więc uszu, pragnąc ocenić, gdzie on jest.

Na zewnątrz wciąż wylał zamieć, porywy wiatru wdzierały się do środka nie tylko przez dziurę w dachu, ale także między pasami taśmy samoprzylepnej w szybie wybitej przez kulę. Spod sufitu wciąż kapala lodowata woda, która zbierała jej się wokół pępka. Wbiła spojrzenie w ciemność, usiłując przypomnieć sobie wszelkie szczegóły wnętrza, by łatwiej móc odgadnąć, gdzie on jest i skąd może ją zaatakować. Nastawiła się nawet na najdrobniejsze skrzyknięcie blaszanej podłogi pod jego ciężarem, ale w środku panowała cisza, tylko zza ścian dolatywał jednostajny huk wiatru. Na pewno gdzieś się przycisnął. I czekał bez ruchu.

Miała tylko jedną kulę.

Podjęła ryzyko. Doszła do wniosku, że skoro ona nie widzi jego, on także nie może widzieć jej. Delikatnie położyła rewolwer na piersi i sięgnęła lewą ręką pod łóżko po haczyk. Ale kiedy zajęczały blaszane ściany pod naporem uderzenia wiatru, od którego zatrzęsł się cały baraczkę, błyskawicznie zacisnęła z powrotem palce na kolbie i wymierzyła na oślepa przed siebie. Miała

wrażenie, że on się skrada, by zbliżyć się do niej. Nie miała czasu. Podjęła kolejną próbę wymacania haczyka, ale zrozumiała, że musiał polecieć gdzieś dalej, kiedy ona mocowała się z Niebieskim Psem. Zostawiwszy rewolwer na piersi, sięgnęła lewą ręką jak najdalej pod łóżko i w końcu go dotknęła. Błyskawicznie zaciśnęła na nim palce, po czym cicho zsunęła rewolwer na materac, żeby przypadkiem sam nie spadł, i przekręcając się ostrożnie na bok, wyciągnęła lewą rękę w drugą stronę, żeby dosięgnąć tkaniny zawiązanej wokół jej prawego nadgarstka.

Łóżko zaskrzypiało. W nadziei, że on nie domyśli się, co ona robi, przekręciła się jeszcze bardziej, ale wiązanie prawej ręki znajdowało się dalej, niż przypuszczała. Aż do bólu napięła wszystkie mięśnie. Z rozcięcia na prawym ramieniu promieniowały fale bardziej żaru niż bólu. Odłamki szkła ze stłuczonej butelki piwa wbijały jej się w skórę i z brzękiem spadały na podłogę. W głowie jej się zakręciło, a w otaczającej ją ciemności świat jak gdyby przekręcił się do góry nogami.

Tuż przy tapczanie rozległy się jego dwa szybkie kroki. Zanim zdążyła sięgnąć po rewolwer, usłyszała, jak on odskakuje. Chwilę później rozległ się złowieszczy szmer magazynka wsuwanego do kolby jej pistoletu.

Z głębin mroku nocy doleciał jego głos:

- Już wiesz, co zdobyłem?

Musiała działać szybko. Przekręciła się ponownie, do granic możliwości wyciągając lewą rękę. Palce dygotały jej tak, że o mało nie upuściła zbawionego haczyka. Trzymała go samymi paznokciami, jednocześnie do maksimum przyciągając ku górze prawą rękę. Nie miała pojęcia, jak daleko on jest od niej, chociaż w tym momencie nie stanowiło to większej różnicy. Mimo wysiłków, nie zdołała się wyswobodzić z więzów.

Niebieski Pies strzelił. Huk wstrząsnął całym blaszanym barackiem. Pocisk przeleciał najwyżej dwadzieścia centymetrów

nad jej głową. Jej twarz owionęła smuga gorącego powietrza. Ze ściany za tapczanem poleciały w powietrze kawałki roztrzaskanej blachy. Pospiesznie zacisnęła palce na kolbie rewolweru i wymierzyła mniej więcej w tym kierunku, gdzie przed chwilą bluznął ogień z lufy. Ale równocześnie usłyszała jego szybkie kroki.

- Ja mam pod dostatkiem naboju - powiedział.

Strzelił po raz drugi i znowu skoczył w bok, nim zdążyła wypalić w kierunku rozbłysku. Tym razem pocisk zahaczył o jej biodro, nim zarył się w ścianę. Aż jęknęła mimowolnie, odniósłszy wrażenie, że całą jej lewą nogę ogarnęły płomienie, a uczucie parzenia rozeszło się po całym ciele. On dokładnie wiedział, gdzie ona jest. Nie mogła przemieszczać.

Zapadła nagle cisza zdawała się ogłuszająca. Serena wyteżyła wszystkie zmysły, zaciskając palce na kolbie rewolweru.

Szybko, jeden za drugim, oddał trzy strzały, wypełniając ciasną przestrzeń prawie ciągłym hukiem. Z góry posypały się na nią odłamki blachy i kryształki śniegu. Nim uzmysłowiła sobie, że on strzela w powietrze, chcąc odciągnąć jej uwagę, zdołał już pokonać dzielący ich krótki dystans. Jak meteor przemykający po niebie wynurzył się z niebytu po jej prawej stronie. Natarł ramieniem na jej lewą rękę, pozbawiając ją w ten sposób wszelkich złudzeń, gdyż rewolwer wysunął jej się z palców i z brzękiem spadł gdzieś z tyłu na podłogę. Niebieski Pies po raz kolejny zwałił się na nią całym ciężarem, dodatkowo wbijając odłamki szkła w jej skórę. Poczula na twarzy jego oddech, a chwilę później przytknął jej pistolet do skroni.

- Przegrałaś.

Nie zamierzała płakać z tego powodu.

- Pieprz się.

Błyskawicznie obmacała lewą ręką podłogę, mając nadzieję, że rewolwer wylądował w jej zasięgu, ale go nie znalazła. Omal nie krzyknęła z frustracji, gdyż nie mogła się uwolnić od myśli, że



gdzieś tam, na pewno niezbyt daleko, znajdował się w komorze nabój, którym mogłaby rozłupać czaszkę tego sadysty i w ten sposób odpłacić mu za wszystkie upokorzenia oraz męki, jakie przeżyła z jego powodu. Odgrodziłaby się w ten sposób od wszystkich bolesnych wspomnień i sennych koszmarów. Ale on miał rację. Przegrała.

Rzeczywistość była nie do zniesienia, toteż na nowo zapragnęła odnaleźć w swoim umyśle drogę do tego zamkniętego pokoju, w którym przed laty szukała ucieczki. Miała wrażenie, że lada moment zwariuje. Jego ciężar i zapach... Powracający falami ból... Nudności... Wychłodzenie, ukłucia odłamków szkła i metalu... Nieprzenikniona ciemność, jakby znajdowali się gdzieś w próżni, z dala od wszystkiego...

Bum! Bum! Bum!

Głuche łomotanie cofnęło ją znad krawędzi świadomości. Przez chwilę miała obawy, że to tylko łomot jej serca, ale huki rozległy się ponownie, jakby ktoś walił młotem w ścianę baraczkę. Dolatywały z rzeczywistości, w której pojawiły się niespodzianie. Niebieski Pies, wyraźnie zaskoczony, warknął coś i zsunął się z niej.

Ktoś dobijał się do drzwi. Na myśl przychodziła jej tylko jedna osoba. Jonny. Tylko on mógł po nią przyjść.

Usłyszała, jak Niebieski Pies podkrada się do drzwi. Blacha podłogi ugięła się pod jego ciężarem. Zdawała sobie sprawę, że w dłoni trzyma gotów do strzału pistolet. Stał. Na dłużej zapadła cisza, lecz chwilę później znów rozległo się łomotanie. Ktoś z całej siły walił pięścią w drzwi blaszanego baraczkę.

Z zewnątrz doleciał okrzyk:

- Billy! Otwórz!

Serce jej zamarło. To nie był Jonny. Skądś znała ten głos, ale teraz dolatywał stłumiony i zniekształcony przez zawroty głowy. Na pewno nie był to policjant. Nikt nie przybył jej na ratunek.

Nie widziała Niebieskiego Psa, ale wyczuła szóstym zmysłem, jak rozluźnił się i szeroko uśmiechnął na brzmienie tego głosu. Odsunął zasuwkę i pchnął drzwi. Noc na zewnątrz była jaśniejsza niż mrok panujący w środku. Przed jej oczyma ukazał się trójkąt bladej szarawej poświaty, a na jego tle zarysowała się ostro ludzka sylwetka. Poryw wiatru pchnął do środka baraczkę garść zmrożonego śniegu.

Niebieski Pies wydał z siebie jakiś głos, ale nie zdążył uformować go w artykułowane słowa.

Na dworze bluznął jęzor pomarańczowego płomienia. Huk wystrzału z dubeltówki był tak ogłuszający, że na jakiś czas uciszył nawet ryk zamieci. Powietrze wypełnił śwąd przypominający smród spalonego tostu. Serena poczuła na twarzy ciepłe rozbryzgi. Uświadomiła sobie, że tym razem to nie topniejący śnieg, lecz drobiny krwi Niebieskiego Psa.

## 54.

Stride pognał z rykiem silnika alejką przeciwpożarową wijącą się przez las w kierunku Hell's Lake. Koła jego forda bronco buksowały w miękkim śniegu. Po obu stronach ciągnął się brzoźowy zagajnik, nad którym kołysały się na wietrze czubki wyniosłych sosen, przez co jazda alejką sprawiała wrażenie podróży mrocznym tunelem.

Wiedział, że jest blisko jeziora, lecz mimo to zaskoczyło go, gdy wypadł spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń, jakby minął rozwarte szeroko drzwi ciemnego kościoła. Niebo przypominało wiszące nisko, złowieszczo szare sklepienie, z którego falami spadały na ziemię uderzenia zamieci. Samochód zeskokczył ze zmrożonej bitej drogi na powierzchnię lodu skuwającego jezioro, zostawiając w tyle bezpieczne schronienie pod drzewami. Wiatr uderzający w porywach z prędkością osiemdziesięciu kilometrów

na godzinęomal nie wywrócił samochodu. Tu, na otwartej przestrzeni, zamieć przypominała gigantycznego upiora, kobietę w białej sukni sięgającą nieba i zawodzącą z rozpaczy po umarłych.

Skupisko domków wędkarskich wyloniło się w snopach światła reflektorów niczym upiorne miasteczko. Aż musiał zwolnić, żeby nie zderzyć się z którymś z nich. Były różnorodnych kształtów i rozmiarów, jedne mniejsze od kontenera na śmieci, drugie większe od przyczepy kampingowej, zapewne tak urządzone, że kilka osób mogło w nich mieszkać przez dłuższy czas, jeśli chciały się całkiem odgradzić od świata. Tej nocy nigdzie nie paliło się światło. Kilkakrotnie okrążył całe skupisko, wypatrując zaparkowanych samochodów, ale nie dostrzegł ani jednego. Nikt nie chciał zostać tu uwięziony na czas zamieci wobec groźby wyczerpania zapasów gazu do piecyka czy wybicia okna przez poryw silnego wiatru. Sam czuł się samotny i zagubiony w tym otaczającym go groźnym świecie.

Jezioro miało kształt ameby rozpląszczonej pod szkiełkiem mikroskopowym, której macki rozdzielały wydłużone cyple zalesionego ładu wrzynającego się w głąb wodnej toni. W niej płynęły na tyle intensywne nurty, że łód skuwający główną część jeziora, cienki i kruchy, odstraszał nawet przypadkowych łazików. Rozciągało się na wiele kilometrów i spod skupiska domków wędkarskich widać było tylko niewielką jego część, a teraz, podczas zamieci, widok na środek jeziora całkowicie przesłaniał niesiony wiatrem śnieg. Stąd też Stride odnosił wrażenie, jakby musiał się czołgać po lodzie i na siłę ciągnąć swoje auto w kierunku kolejnej większej zasy oznaczającej zasypany śniegiem domek.

Zadzwonił jego telefon.

- Jestem już na jeziorze - powiedział do Maggie. - Wjechałem na łód od południowego zachodu drogą przeciwpożarową prowadzącą przez las.

- Ja zbliżam się od wschodu - odparła. - Skieruję się wzdłuż brzegu i spróbuję cię odnaleźć.

- Tu jest prawdziwy koszmar. Bardzo uważaj na strefy cienkiego lodu.

- Ty też. Wezwałeś już kawalerię?

- Tak. Co najmniej sześć wozów patrolowych kieruje się na jezioro.

- Nie masz niczego więcej, co pozwoliłoby zawęzić obszar poszukiwań? - zapytała.

- Zwłoki Tanji wypłynęły przy południowym brzegu, można więc podejrzewać, że i on gdzieś tam się ukrywa.

- Będę w kontakcie.

Rzucił aparat na prawy fotel i skierował wóz przez odkrytą przestrzeń ku końcowi najbliższego półwyspu, za którym znajdowała się kolejna osada domków wędkarskich. Przez pewien czas jechał na ślepo przez śnieżyce, lecz gdy wiatr ucichł na krótko, kilkaset metrów przed sobą dostrzegł początek następnej grupy domków. Skierował się w ich stronę z tym większym zapalem, że w mroku nocy dostrzegł samotny żółtawy prostokąt oświetlonego okna. Tutaj ktoś był.

Światło sączyło się z okna dużej przyczepy mieszkalnej zaparkowanej nieco na uboczu i przypominającej wyrzuconego na mieliznę wieloryba. Stride zatrzymał wóz obok przyczepy i wysiadł, dobywając broni z kabury. W ciągu paru sekund zamieć zmieniła go w śniegowego bałwana, pokrywając grubą warstwą białego i mokrego puchu zarówno ubranie, jak i odkrytą głowę. Brodząc w głębokich zaspach, dotarł do drzwi przyczepy i załomotał w nie pięścią. Ze środka nie doleciał jednak żaden odgłos, który mógłby się przebić przez zawrodozenie wiatru.

Załomotał jeszcze głośniej i krzyknął:

- Policja!

Po kilku sekundach drzwi zaczęły się powoli otwierać. Nakerował rewolwer w poszerzającą się szparę, ale zaraz go opuścił, ujrawszy starszego mężczyznę wyglądającego na dwór ze strachem w oczach i zdumieniem malującym się na twarzy. Miał na sobie grubą flanelową czerwoną koszulę, powyciągane dżinsy i wyliniałe kapcie. Rozczochrane siwe włosy opadały na czoło.

- Kim pan jest, do cholery? - warknął mężczyzna.

- Jestem z policji, proszę pana - wrzasnął Stride, starając się przekrzyczeć ryk wiatru.

- I tak nie zejdę z jeziora.

- Mogę wejść na minutę?

- Jak mi pan pokaże swoją odznakę.

- Trwa zamieć, proszę pana. Nie mógłby pan trochę wyluzować?

- No dobra, włącz pan. Bo mi tylko śniegu nasypie przez otwarte drzwi.

Mężczyzna cofnął się w głąb przyczepy i Stride wbiegł po blaszanych schodkach. Wewnątrz panował bałagan, wszędzie wałały się opakowania po daniach garmazeryjnych, puszki po piwie i sprzęt wędkarski. Na półeczce w roku stał turystyczny czarnobiały telewizorek, na którym odtwarzany był stary film z lat pięćdziesiątych pocięty zygzakowatymi białymi liniami. Nawet tu było tak zimno, że z ust wydobywały się gęste obłoczki pary.

Staruszek miał najwyżej sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu.

- Nie zejdę z jeziora - powtórzył buńczucznie. - Nic mnie nie obchodzi zamieć. Widziałem w swoim życiu już gorsze zamiecie.

- Nie przyjechałem tu, żeby zabrać pana z lodu, choć to szalony pomysł, żeby przetrwać w tych warunkach choćby tę jedną noc.

- A więc jestem szalony. I co z tego? Czego pan chce?

- Usiłuję odnaleźć mężczyznę, który prawdopodobnie ma własny domek wędkarski na tym jeziorze. To olbrzym, prawie dwa metry wzrostu, barczysty jak zawodowy obrońca futbolowy. Nosi długie ciemne włosy.

Staruszek pokiwał głową, głośno prychnął, po czym zaczął kałać, jakby kłęb wełny utkwiał mu w gardle.

- Owszem, widziałem go. Taki typ od razu wpada człowiekowi w oko.

Stride odetchnął z ulgą.

- Gdzie go pan widział? Ma swój domek gdzieś w pobliżu?

- Tego nie wiem. Raczej nie wędkuje w tej części jeziora. Widywałem jego czerwoną furgonetkę zmierzającą po lodzie ku cyplowi tego półwyspu ciągnącego się na północnym wschodzie.

- Ale jeszcze na południowym krańcu jeziora? - upewnił się Stride.

- No tak, na to wygląda. Kto chciałby tu przyjeżdżać, gdyby miał domek przy północnym końcu jeziora? Wzdłuż brzegu to kawał drogi, a przez jezioro nikt się nie odważy jechać, chyba że lubi pływać w przeręblach. - Zachichotał.

- Dzięki - odrzekł inspektor. - Proszę na siebie uważać.

- Nie zamierzam jeszcze umierać w tak młodym wieku.

Gdy tylko zasiadł znowu za kierownicą swojego forda, zadzwonił pod numer alarmowy centrali policyjnej, podał swoją pozycję według wskazań odbiornika GPS, określił cel dalszych poszukiwań i poprosił o wsparcie wszystkich możliwych patroli. Uzyskawszy od operatora potwierdzenie przyjęcia komunikatu, rzucił z powrotem aparat na prawy fotel i zapatrzył się na jezioro. Szybko wyjechał ze skupiska domków wędkarskich w tej zatoce i przyspieszył na otwartej przestrzeni. Spod kół jego auta tryskały na boki strumienie sypkiego śniegu, jak gdyby pędził ślizgaczem po morskich falach. Przez jakiś czas trzymał się ciemnego zarysu łądu na wschodzie, ale wkrótce nawałnica odcięła go i od tego

widoku, ograniczając jego świat do kilkunastometrowej przestrzeni w promieniu światła reflektorów auta. Mimo wszystko wciskał pedał gazu prawie do podłogi, aż koła buksowały na ośnieżonym lodzie, a całym autem wstrząsały niemal spazmatyczne drgawki. Jechał zdecydowanie za szybko.

I w końcu stracił panowanie nad kierownicą. Wóz wpadł w poślizg. Zaczął się obracać w majestatycznym piruecie i przechylać na boki, gdy koła trafiały na jakieś przeszkody, groząc tym, że lada moment się przewróci. Stride mimo woli przypomniał sobie, jak kiedyś żeglował ukosem pod silny wiatr, ledwie mogąc utrzymać jacht w pionie. Ale w końcu samochód opadł na cztery koła, wytracił impet, przestał się obracać i stanął. Stride ponownie wcisnął pedał gazu. Silnik zakrzuszył się, z poślizgiem rozorał śnieżną zaspę i pomknął dalej.

Ale Stride całkiem stracił orientację. Nic nie widział przez sypiący gęsty śnieg, nie miał nawet pojęcia, w jakim kierunku jedzie. Opuścił szybę i wytknął głowę na zewnątrz, ale kryształki śniegu niesione silnym wiatrem wbiły mu się w twarz jak setki ostrych szpilek.

Zza szyby auta nie sposób było odróżnić skutego lodem jeziora, zachmurzonego nieba i lasu na brzegu. Miał nadzieję, że wypatrzy ciemny zarys kolejnego półwyspu wrzynającego się ze wschodu w wodną toń. Nawet skierował wóz w tamtą stronę, ale czuł się dezorientowany przez wszechobecną srebrzystą kurtynę sypiącego śniegu. Ciemny pas na horyzoncie, który uznał za brzeg jeziora, po chwili zniknął mu z oczu, jak gdyby od samego początku był tylko złudzeniem.

W końcu doszedł do wniosku, że zanadto oddalił się od lądu i był zdecydowanie za blisko otwartej części jeziora. Mogła o tym świadczyć wyraźna zmiana odgłosu dobywającego się spod kół. Uprzytomnił sobie, że nie ma już pod sobą pewnej, co najmniej

półmetrowej pokrywy lodowej. Pod kołami jego forda coraz częściej rozlegały się złowieszcze trzaski, a samochodem dziwnie bujało na boki. Postanowił zahamować i zawrócić, żeby wynieść się dalej od podejrzanego rejonu. Był niemal pewien, że wjechał na cienki lód, jakby miał zamiar jeździć po wodzie. Lecz gdy tylko zwolnił i zakręcił kierownicą, pierwsze poważniejsze trzaśnięcia pod kołami auta rozległo się jak wystrzał z karabinu.

Lód pod nim pękał.

Samochód zapadał się w wodę.

Impet przechyłu pchnął Stride'a na kierownicę. Cały przód forda zadygotał i pochylił się jeszcze bardziej. Inspektor błyskawicznie odpiął pas bezpieczeństwa, otworzył drzwi i dał nura na zewnątrz. Huknął ramieniem o lód i odtoczył się w bok. Słyszając dalsze trzaski pękającego lodu, szybko dźwignął się i na czworakach zaczął odpełzać od tonącego samochodu. Na szeroko rozstawionych rękach i nogach gramolił się przez sypki śnieg, by znaleźć bezpieczny grunt na grubszej powłoce lodowej. Dopiero teraz zauważył przed sobą szereg czerwonych chorągiewek oznaczających granicę bezpiecznej pokrywy lodowej, które jednakże były wcześniej całkiem niewidoczne w gęstej śnieżycy.

Wreszcie podniósł się, uznawszy, że znalazł się na wystarczająco grubym lodzie, który nie załamie się pod jego ciężarem.

Dwadzieścia metrów dalej jego dziesięcioletni ford bronco właśnie zapadał się pod lód, razem z całą swoją przeszłością, ale także i z telefonem komórkowym. Od miejsca, gdzie tonął, rozchodziły się pajęczynowato czarne linie pęknięć pokrywy lodowej. Ledwie przednie koła zanurzyły się w wodzie, ta wytrysnęła niczym uwolniony morski potwór i błyskawicznie otoczyła całe auto, które zakołysało się jeszcze na boki jak gdyby w ostatnich konwulsjach przegranej walki i zaczęło tonąć przy wtórze syku



pary, gdy gorący silnik zetknął się z wodą. Po paru sekundach zniknęło Stride'owi z oczu. Jeszcze tył auta wynurzył się pionowo nad powierzchnię, przechylił się na bok i z pluskiem zniknął między nieregularnymi płytami kry pływającymi w miejscu zdarzenia.

Zamieć nie ustawała.

Stride znalazł się sam gdzieś na środku zdradliwego jeziora.

## 55.

Niebieski Pies zrobił chwiejnie dwa kroki do tyłu, póki nie oparł się plecami o przeciwległą ścianę. Zwalił przy tym zawieszone na niej metalowe półki, dziesiątki drobiazgów posypały się wokół niego na podłogę. Przybysz wbiegł po schodkach do środka i zatrzasnął za sobą drzwi baraczkę. Znow zapanowała tak głęboka ciemność, że Serena odniosła wrażenie, jakby ponownie miała przepaskę na oczach. Zaraz jednak zapaliła się żarówka wisząca pod sufitem, a jej mętny blask sprawił, że oślepią szybko zamknęła oczy i odwróciła głowę.

Kiedy otworzyła je ponownie i zamrugła szybko, ujrzała Lauren Erickson z dubeltówką przytkniętą do ramienia, wycelowaną w głowę Niebieskiego Psa. Ciężki karabin w jej drobnych rękach sprawiał wrażenie armaty, niemniej trzymała go pewnie, mierząc w jeden punkt.

Tylko rzuciła przelotne spojrzenie w stronę Sereny. Na jej ustach bez przerwy malował się wyraz wściekłości przemieszanej z poczuciem winy bądź żalu. Z powrotem wbiła wzrok w Niebieskiego Psa, który zagryzał zęby, trzymając się ręką za zranione ramię, przypominające krwawą miazgę przemieszanych odłamków kości i tkanek.

- Ty głupi sukinsynu! - warknęła Lauren. - Dostałeś forszę.

Mogłeś wyjechać z miasta. Wszystko wróciłoby do normy i byłby spokój.

- Tu nie chodziło o forszę. - Ruchem głowy wskazał Serenę. - Mamy ze sobą nieuregulowane porachunki.

- Lauren, uwolnij mnie - odezwała się Serena na tyle spokojnym i pewnym głosem, na ile było ją stać.

Niebieski Pies wymierzył oskarżycielsko paluch w twarz nowo przybyłej.

- Ani mi się waź. Jeśli puścisz ją wolno, wszystko wyjdzie na jaw.

- Nic mnie nie obchodzi, co masz na sumieniu, Lauren - odrzekła szybko Serena. - Tylko spójrz na mnie. Popatrz tutaj! Czy chciałaś się kiedykolwiek znaleźć na moim miejscu?!

Lauren szybkim spojrzeniem ogarnęła więzy mocujące Serenę do ramy łóżka, jej nagość, ślady krwi na skórze.

- Przykro mi, że zostałam w to wplątana - powiedziała.

- To nie jest warte żadnych poświęceń, Lauren - odparła Serena. - Naprawdę nie ma znaczenia, co przeskrobałaś. Wszystko da się jeszcze naprawić.

Tamta pokręciła głową.

- Już dawno jest na to za późno.

Zrobiła krok do przodu i przytknęła wylot lufy dubeltówki do czoła Niebieskiego Psa.

- Lauren, nie rób tego - powiedziała z naciskiem Serena. - Nie warto. Jeśli go zabijesz, nie będzie już dla ciebie drogi odwrotu. Lepiej zadzwoń na policję. Tylko on jest na razie poszukiwany. Będiesz mogła się układać z prokuratorem.

Lauren cofnęła się o pół kroku.

Piersią Niebieskiego Psa wstrząsnął śmiech.

- Układać się z prokuratorem? Myślisz, że to w ogóle możliwe? Zwłaszcza po tym, jak zabiłaś Tanjy?

Serena zacisnęła powieki i w myślach zakłęła.

- Zamknij się! - syknęła Lauren.

- Nie chcesz, żeby Serena się dowiedziała, jaka z ciebie zimnokrwista suka? - Niebieski Pies zwrócił się z szerokim uśmiechem w stronę Sereny. - Powiedziałem Lauren wszystko o romanсах Dana. Wszystko o dzikich fantazjach Tanjy na temat gwałtu. Wszystko o zwariowanych rzeczach, które robili razem. Pokazałem jej nawet zdjęcia. Chciałem od niej forsy za milczenie, jednakże Lauren wpadła na lepszy pomysł.

- Zamknij się! - warknęła ponownie Lauren.

- Zapłaciła mi za to, żeby nawet wzmianka o wyczynach jej męża nie dostała się do gazet, a potem zdecydowała się zapłacić jeszcze więcej za realizację jej planu.

Serena dostrzegła w oczach Lauren błyski przerażenia. Błaznane ściany baraczkę zatrzęsły się pod kolejnym uderzeniem nawałnicy. Odniosła wrażenie, że nagle zrobiło się jeszcze zimniej.

- Jakiego planu? - zapytała, mimo że zaczynała już kojarzyć ze sobą ewidentne fakty.

- Zgwałcenia Tanjy Powell - odparł Niebieski Pies. - Nie zależało jej na tym, żeby jej mąż po prostu zerwał z kochanką. Chciała całkiem zniszczyć tę sukę. I tak też zrobiłem.

- Mój Boże... - jęknęła Serena.

- To była pokręcona drobna kurewka - wycodziła Lauren.

- Zgadza się, tyle że Dan nie mógł zapomnieć o urokach jej wilgotnej nienasyconej cipki, co nie? Dlatego postanowiłaś załatwić tę sprawę. - Niebieski Pies uśmiechnął się jeszcze szerzej. - I wszystko byłoby cacy, gdyby Tanjy nie zadzwoniła z wiadomością, że wie, kto ją zgwałcił. To cię śmiertelnie przeraziło, prawda? Bo gdyby Tanjy faktycznie wiedziała, kim jestem, mogłaby także odkryć, na czyje zlecenie działałem.

- Dosyć! - wrzasnęła Lauren.

- Ty jednak miałaś gotowy plan awaryjny, prawda? Mogę się założyć, że gdy poświeciłaś latarką na tył jej głowy, przeżyłaś chyba cholerny największy orgazm swojego życia, no nie?

Lauren traciła panowanie nad sobą, trzęsa się coraz mocniej, ogarniała ją furia. Karabin dygotał w jej rękach. Nie zwróciła uwagi, że Niebieski Pies przesuwa prawą rękę po podłodze, macając na oślep za sobą. Serena krzyknęła ostrzegawczo, lecz tamta nie zrozumiała, a w tej samej chwili on wyciągnął zza pleców pistolet. Uśmiechnął się szeroko i strzelił. Za chwilę strzelił drugi raz. Potem trzeci. Dopiero ostatnia kula trafiła Lauren w nasadę kształtnej szyi i przebiła się przez obojczyk, czemu towarzyszył wyraźnie słyszalny trzask.

Niebieski Pies podniósł się ociężale z podłogi, z lewą ręką zwieszającą się bezwładnie wzdłuż ciała. Lauren odwróciła się na pięcie, jakby chciała uciec, ale zaplątała się we własne nogi i omal nie upadła. Zbliżył się szybko, objął ją ramieniem pod brodą i bez wysiłku podniósł, stawiając z powrotem na nogi. Zwisła w jego uścisku jak szmaciana lalka. Zaraz jednak uniosła dubeltówkę, pragnąc się uwolnić. Oczy wyszły jej z orbit, ale z szeroko rozwartych ust nie wydobył się żaden dźwięk. Niebieski Pies ścisnął ją jeszcze mocniej, zamierzając wydusić z niej życie.

Lauren trzymała palec na spuście karabinu. Mimowolnie zaczęła go opuszczać, aż Serena uświadomiła sobie nagle, że wylot lufy jest nakierowany prosto w jej pierś. Skuliła się, usiłując zejść z linii strzału, ale wciąż była przywiązana, nie mogła się ruszyć z łóżka. Z rosnącym przerażeniem spoglądała na palec Lauren zaciskający się w przedśmiertnym spazmie na języku spustowym, który zaczął się odchylać do tyłu. Wstrzymała oddech, ale nie zamknęła oczu. Dubeltówka obróciła się nagle w kierunku sufitu, potem drzwi, podskakując w rytm spazmatycznych drgawek konającej kobiety. Kiedy Niebieski Pies szarpnął ją do tyłu, Lauren pociągnęła dubeltówkę za sobą, lufa skierowała się w przeciwną stronę ścianę baraczku. Chwilę później huknął wystrzał. Silny odrzut pchnął oboje do tyłu i Lauren wyśliznęła się ze stalowego uścisku

bandyty. Huk wstrząsnął całym baraczkiem, aż łóżko podskoczyło na blaszanej podłodze.

Kula wybiła wielką dziurę w blaszanej ścianie.

I z metalicznym rezonującym brzękiem, niczym głos rozstrojonego fortepianu, zaryła się w umieszczonej na zewnątrz baraczkę butlę z gazem.

Stride próbował cokolwiek wypatrzeć, osłaniając od śniegu oczy dłońmi w rękawiczkach, ale nawet własne dłonie słabo widział. Wyglądał niczym yeti pokryty grubą warstwą śniegu, brnąc w zaspach pokrywających zamrożone jezioro i zmagając się z silnym wiatrem, który przenikał przez ubranie.

Szary długi szal owinął ciasno wokół głowy i uszu, a jego końcem zasłonił sobie usta i brodę. Ale na nim też osiadał marznący śnieg. Na rzesach zaczynały się tworzyć sople. Skórzana kurtka zrobiła się sztywna, jakby była z dykty. Zatrzymał się i nadstawił uszu, ale zewsząd dolatywał jedynie huk szalejącej zamieci, wiatru wyjącego niczym upiór wieszczący czyjąś śmierć. Mimowolnie zaczął się zastanawiać, na kogo dzisiaj przyjdzie kolej, na Serenę, na niego czy może na nich oboje.

Spod przymrużonych powiek powiódł spojrzeniem po horyzoncie. Jakiś czas temu wydawało mu się, że między falami śnieżyicy dostrzeżga zalesiony brzeg jeziora, ale szybko stracił orientację i znowu miał wrażenie, że kręci się w kółko. Ślady, jakie zostawiał w sypkim puchu, nikięły w ciągu paru sekund. To tylko nasilało złudzenie, że drepcze bez przerwy wokół jednego punktu, jak gdyby poruszał się po spiętej w pętlę wstędze Möbiusa nie mającej początku ani końca.

Dlatego też omal nie wpadł na ścianę domku wędkarskiego, zauważył go dopiero w ostatniej chwili. A gdy zamieć znów na chwilę przycichła, spostrzegł, że znajduje się w samym środku skupiska podobnych domków zajmującego środek półkolistej

zatoki i oddalonego zaledwie o kilkadziesiąt metrów od lasu na brzegu jeziora.

Zaczął się rozglądać za jakimś przejawem życia, ale wkoło było całkiem ciemno. Przyszło mu na myśl, że Maggie powinna już wyjechać na łód, może znajdowała się gdzieś blisko, tyle że nie mogła się z nim skontaktować, nawet jeśli bez przerwy dzwoniła na jego komórkę. Bo jego telefon był już na dnie jeziora.

Niespodziewanie huk pioruna przetoczył się nad nim jak fala uderzeniowa. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że to nie grzmot, tylko odgłos wystrzału. Odwrócił się pospiesznie, próbując ustalić kierunek, z którego doleciał. Wypatrywał też samochodów na lodzie, lecz między domkami zalegały jedynie sterty syckiego śniegu.

Chwilę później w odległości stu metrów jeden z domków wyleciał w powietrze. Dokoła zrobiło się tak jasno, jak w dzień, a grzyb płomieni strzelił na pięćdziesiąt metrów w górę.

Stride rzucił się biegiem w tamtym kierunku.

## 56.

Wnętrze baraczku zmieniło się w ogniste piekło.

Serena odniosła wrażenie, jakby razem z łóżkiem została wystrzelona na orbitę i spadła z niej z powrotem na ziemię. Eksplozja rozerwała barak na dwie części, blaszane poszycie pękło z odrażającym zgrzytem dartej metalu. Okna w tylnej ścianie wpadły z impetem do środka, a za nimi niczym z nozdrzy smoka bluznęły dwa strumienie ognia. Na szarej powierzchni metalu błyskawicznie pojawiły się wielkie czarne plamy, które mnożyły się, powiększały i zlewały ze sobą.

Fala uderzeniowa wyrwała Lauren z uścisku Niebieskiego Psa. Bezużyteczny już karabin z łoskotem spadł na podłogę, a kobietę

rzuciło na drzwi i razem z nimi wyrwało na dwór, gdzie zniknęła z przeraźliwym krzykiem. On, którego impet eksplozji trafił w plecy, wylądował na czworakach. Gwałtownie potrząsnął głową, chcąc się zapewne uwolnić od szumu w uszach, aż długie włosy opadły mu na twarz, upodobniając go do charta afgańskiego. Podniósł się i stanął na chwiejnych nogach, oświetlony od tyłu feerią szalejących płomieni. Szttywno wyprostowany niemal sięgał głową niskiego dachu. Lewa ręka wciąż zwisała bezwładnie wzdłuż ciała, ale w drugiej ciągle ścisnął pistolet Sereny.

Uniósł go i wymierzył w jej głowę. W jego ciemnej sylwetce odcinały się białka oczu i zęby wyszczerzone w szerokim uśmiechu. Dopiero gdy jakieś rozgrzane śmieci spadły na odkrytą ranę, przestał się uśmiechać i syknął z bólu.

- Chcesz, żebym zakończył to szybko? - zapytał.

- Pieprz się.

Płomienie zbliżyły się do jego pleców.

- Śmierć w ogniu to niezbyt przyjemny koniec - ostrzegł. W głębi ducha nawet pragnęła, żeby pociągnął za spust.

- W takim razie do zobaczenia w piekle - powiedział. Odwrócił się i wyskoczył na dwór.

Została sama w ognistej pułapce. Duszący w gardle dym i smród topionego metalu nasilały wrażenie, jakby właśnie znalazła się w piekle. Już nie było jej zimno, omiatały ją fale nieznośnego żaru. Tylna ściana baraczkę już prawie cała stała w ogniu, płomienie lizały drewniane ramy pozostałych ścian, zbliżając się do niej nieuchronnie. Nie było już czym oddychać. Lewą dłonią zasłoniła nos i usta, ale i tak nad głową rozrastał się coraz ciemniejszy kłęb dymu. Zakrztusiła się i oczy jej wyschły.

Z całej siły szarpnęła się w prawo. Tapezan podskoczył trochę, ale opadł z powrotem. Spróbowała jeszcze raz, mając nadzieję, że zdoła go przewrócić do góry nogami, żeby, zapierając się

oburącz o podłogę, znaleźć jakiś punkt podparcia, co umożliwi jej wyczołganie się za drzwi pod osłoną grubego materaca. Ale ciężka rama uniosła się z jednej strony tylko na parę centymetrów i znowu stanęła na nóżkach. Serena spróbowała więc ją przepchnąć, zaparłszy się lewą pięścią o ścianę, lecz nie zdołała jej ruszyć nawet o milimetr.

Baraczek zadygotał. Jego drugi koniec stojący w płomieniach pochylił się wyraźnie i rozległ się donośny syk, jakby znajdowało się tam gniazdo węży. Uświadomiło jej to, że znajduje się w resztkach domku wędkarskiego na zamrzniętym jeziorze. Złowieszczy syk oraz kłęby pary, jakie pojawiły się chwilę później, świadczyły wyraźnie, że szalejący żywioł zdołał już w tamtym miejscu roztopić pokrywę lodową. Baraczek zaczynał tonąć. Przechylająca się konstrukcja musiała ją pociągnąć pod wodę, jeśli wcześniej materaca nie ogarną płomienie.

Wraz z zatonięciem butli gazowej jęzory płomieni wpadające do środka przez wybite okna wyraźnie zmalowały, ale ogień i tak ogarniał już pozostałe części schronienia, przemieszczał się po warstwie izolacji oraz drewnianych ramach, zbliżając się coraz bardziej do łóżka. Trzaskały jakieś butelki. Błyskawicznie zajęła się drewniana futryna drzwi, płonęła, potrzaskując, a wyrzucane przez nią iskry wypaliły kilka dziur w materacu. Te, które spadły na jej odsłoniętą skórę, wgrzyły się w nią niczym wygłodniałe szcury. Mimowolnie krzyknęła z bólu. Rzeczywiście czekał ją tragiczny koniec, oznaczający powolne spopielenie tkanek aż do kości, póki nie pogrążą się w odmętach jeziora.

W przypiływie desperacji zaparła się lewą dłonią o podłogę, mając wciąż nadzieję, że zdoła przewrócić tapczan, nim ogarną go płomienie. Kiedy jej palce natrafiły na jakiś zimny metalowy przedmiot, uzmysłowiła sobie, że musi to być rewolwer, który zsunął się z łóżka podczas jej daremnych prób przekręcenia go do



góry nogami. Zacisnęła palce na kolbie, podniosła go i zapatrzyła się w mroczny wylot lufy.

Pozostała tylko jedna kula.

W przyływie desperacji uznała za kiepski dowcip to, że udało jej się wymacać broń właśnie teraz, kiedy stała się dla niej bezużyteczna.

Poza jednym celem.

Popatrzyła na płomienie zbliżające się do niej niczym pierwsze szeregi zdyscyplinowanej armii. Ich blask tańczył na suficie, a wokół łózka spadały iskry rozgrzanego w ogniu metalu. Skwierczały i kreśliły w powietrzu jaskrawe spirale. U jej stóp wypaliły materac do tego stopnia, że miała wrażenie, jakby stąpała po rozżarzonych węglach.

Dym gęstniał coraz bardziej, wirował nad głową, wpychał się do ust i oczu. Bezskutecznie próbowała zaczerpnąć powietrza, którego wokół niej już nie było, tylko popiół i trujące opary, przed oczami nie pozostało nic poza oślepiającymi jęzorami ognia, w uszach dominował ryk pożaru trawiącego zapadający się baraczek, a nozdrza kłuł swąd jej poparzonego ciała.

Niemniej wciąż miała w ręku rewolwer. A w bębunku jeden pocisk, którego nie wolno jej było zmarnować.

Ten jeden pocisk wystarczył, żeby otworzyć drogę ucieczki z tego piekła, pełnego bólu, płomieni i toksycznych wyciewów.

Ten jeden pocisk mógł jej pomóc odnaleźć drogę do sali zapomnienia zagubionej w najdalszych zakamarkach jej duszy, gdzie znajdowała schronienie w młodości, czyniąc z niej swój dom na wieczność.

Bez namysłu wetknęła lufę rewolweru w usta.

Stride biegiem zbliżył się do płonącego domku od zachodu. Połowa konstrukcji stała już w płomieniach i chyliła się ku dołowi,

gdzie roztopiona powłoka lodowa była chętna do zamknięcia się ponad nią. Już z daleka uderzyła go fala nieznośnego żaru. Miał wcześniej do czynienia ze skutkami eksplozji butli gazowych, których następstwem był gwałtowny pożar trawiący wszystko, zarówno drewno, metal, szkło, jak i ludzkie tkanki, pozostawiający po sobie niewiele ponad prostokąt wypalonej do cna i długo jeszcze dymiącej ziemi. Taki pożar zazwyczaj trwał bardzo krótko, zaledwie kilka minut.

Kiedy wypadł z za rogu domku, ujrzał przed sobą ośnieżonego sedana z otwartymi na oścież drzwiami kierowcy, a za nim jeszcze bardziej ośnieżony prostokątny zarys furgonetki stojącej jakieś dwadzieścia metrów od wyważonych eksplozją drzwi domku. Kiedy poryw wiatru zgarnął śnieg z drzwi furgonetki, dostrzegł na nich wyraźnie znak firmowy agencji Byte Patrol. Przedstawiał karykaturę komputerowego maniaka w policyjnym mundurze, pochylonego nad laptopem z wielkim śrubokrętem w dłoni. Odniósł wrażenie, jakby ów znaczek był kpinią wymierzoną dokładnie w niego.

W drzwiach płonącego domku pojawił się człowiek, który, kulejąc, pobiegł w stronę furgonetki. Był wysoki i barczysty. Na jego widok Stride zawołał:

- Stój!

Mężczyzna zatrzymał się i obrócił w jego kierunku. To był Niebieski Pies. W jego oczach pojawiły się złowieszcze błyski, gdy rozpoznał Stride'a z niewielkiej odległości.

- Gdzie ona jest?! - krzyknął inspektor.

Tamten wskazał kciukiem przez ramię płonący domek i uśmiechnął się szeroko. Stride ruszył biegiem ku wejściu, futryna wyważonych drzwi paliła się już trzaskającym płomieniem. Kątem oka dostrzegł, jak bandyta unosi prawą rękę, i zareagował instynktownie, rzucił się na ziemię i przetoczył przez ramię. Dwa pociski, wystrzelone szybko jeden za drugim, rozorały lód tuż za

nim. Stride, zanim znieruchomiał w najbliższej zaspie, wyciągnął spod pazuchy broń i odpowiedział ogniem, ale jego kule trafiły w obudowę skrzyni furgonetki. Kiedy Niebieski Pies się odwrócił i szarpnięciem otworzył drzwi auta, Stride znowu pociągnął za spust i strzelił czterokrotnie raz za razem. Któryś z pocisków przemknął tuż nad głową bandyty i roztrzaskał na tysiące odłamków przednią szybę furgonetki. Niebieski Pies wtulił głowę w ramiona i dał nura w zamieć, żeby pod osłoną czerwonego samochodu pognać biegiem w stronę zalesionego brzegu jeziora.

Stride w jednej chwili zrezygnował z pościgu. Skoczył na nogi, dopadł płonącego domku, załomotał pięściami w jego blaszaną ścianę i zawołała:

- Serena!

Żar płomieni zmusił go do cofnięcia się o parę kroków. Pod stopami zapluskala brudna woda z pokrywy lodowej jeziora topniejącej wskutek pożaru. Dalsza część domku wędkarskiego była już wyraźnie przechylona, jakby lada moment miała zatonać.

- Serena!

Opadł na kolana, ochlapał sobie głowę lodowatą wodą, a po chwili padł plackiem na lód i wytarzał się w niej cały, pragnąc przemoczyć ubranie. W takiej chwili najmniej martwiła go perspektywa wychłodzenia, chciał tylko opóźnić chwilę, gdy płomień zaczął się przegryzać przez jego ubrania. Zadygotał na lodowatym wietrze, ale żar bijący od pożaru szybko zrekompensował ten efekt, za to wycie wiatru do spółki z hukiem płomieni rozbrzmiały w jego uszach jak zawodzenie upiora.

Popatrzył prosto w gardziel ognistego potwora.

Szykował się już do skoku w płonąca gardziel, gdy doleciał go przerażający trzask, od którego serce podeszło mu do gardła. Ponad zawodzenie wiatru i huk szalejącej pożogi przebił się charakterystyczny odgłos wystrzału małokalibrowego rewolweru.

## 57.

Maggie skręciła w stronę łuny pożaru.

Gdy tylko wyjechała z za cypla półwyspu, ujrzała domek węgierski palący się niczym pochodnia albo wielki znicz rozpalony ku czci boga zamieci. Blask płomieni rozświetlał całą zatoczkę. Fantastycznie podświetlał kłęby niesionego wiatrem śniegu, skupisko innych domków jak gdyby tulących się ku sobie na czas zamieci oraz szereg brzoź na brzegu stojących niczym pierwsza linia gapiów. Kiedy tylko wyjechała z za ostatnich domków i wykręciła ku środkowi skupiska, dostrzegła przed wejściem płonącego baraczkę ciemny zarys człowieka. Z daleka rozpoznała Stride'a.

Szykował się, by skoczyć w środek pożogi, a wysokość płomieni strzelających z domku sugerowała jednoznacznie, że musi to być skok samobójczy. Błyskawicznie nacisnęła klakson, chcąc go powstrzymać, lecz nawet jeśli usłyszał trąbienie, całkowicie je zignorował.

- Nie! - krzyknęła i huknęła pięścią w kierownicę samochodu.

Z odległości pięćdziesięciu metrów zobaczyła, jak Stride w trzech susach pokonuje przestrzeń dzielącą go od wejścia do domku, daje nura w płomienie i znika jej z oczu.

Dopiero w ostatniej chwili zauważyła nadbiegającego Niebieskiego Psa. Nie słyszała też wystrzału. Niespodziewanie pocisk wybił dziurę w przedniej szybie i zarył się w gąbce zagłówka, przeleciawszy tak blisko jej głowy, że gdy uniosła rękę, żeby zasłonić ucho, poczuła na palcach krew. Na szczęście szyba wytrzymała, powstała w niej tylko idealnie kolistą dziurą otoczoną pajęczyną białych pęknięć. Mimo to Maggie instynktownie zakręciła kierownicą i nacisnęła hamulec, przez co wóz wpadł w poślizg i zaczął się obracać wokół własnej osi.

Kiedy w końcu znieruchomiał, huknął drugi strzał. Kula trafiła w przeciwległy koniec szyby, która ostatecznie się poddała i rozprysnęła na setki odłamków. Dopiero wtedy Maggie dostrzegła mężczyznę pędzącego wielkimi susami w jej kierunku z uniesioną sztywno prawą ręką. Od razu się domyśliła, czego chce. Uciekał, a więc zależało mu tylko na samochodzie, a nie na niej. Szarpnięciem wyrwała kluczyki ze stacyjki, dała nura pod osłonę maski rozdzielczej, otworzyła prawe drzwi i wyskoczyła z auta.

Wylądowała płasko na lodzie i natychmiast przekręciła się tak, żeby między kołami zobaczyć ledwie widoczne w zamieci nogi zbliżającego się Niebieskiego Psa. Teraz już skradał się do samochodu, krok po kroku, z odległości jakichś piętnastu metrów od drzwi po stronie kierowcy.

W pierwszej chwili przyszło jej na myśl, żeby rzucić się do ucieczki, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Nie mogła uciekać przed tym człowiekiem. Zwłaszcza po tym, co jej zrobił.

Potrzebowała jakiejś broni. Kieszenie miała puste, a jedynym przedmiotem leżącym w skrytce pod deską rozdzielczą był ciśnieniomierz do kół. Za to w bagażniku miała alarmową policyjną krótkofalówkę, dwudziestokilowy worek z piaskiem, apteczkę, długie kable do podłączenia zewnętrznego akumulatora, linkę holowniczą oraz łopatę. Niestety, była to szeroka plastikowa szufla przeznaczona do odgarniania śniegu i nie nadawała się do pozabawienia przytomności silnego agresywnego mężczyzny.

Ale niczym innym nie dysponowała.

Postanowiła zalefować.

- Stój, bo będę strzelać! - krzyknęła. A gdy zastygł bez ruchu, starając się najwyraźniej umiejscowić źródło stłumionego okrzyku, wrzasnęła głośniejsz: - Jeszcze jeden krok, a odstrzelę ci łeb!

Na dłużej zapadła cisza, którą przerwało kilka szybko następujących po sobie wystrzałów. Posypało się szkło z pozostałych okien samochodu, jego odłamki naznaczyły czarnymi plamami warstwę świeżego śniegu.

- Gdybyś była uzbrojona, już bym nie żył! - odkrzyknął.

Maggie przeczłogała się pospiesznie do tylnych drzwi auta. Licząc na to, że on nie zauważy słabego światełka w bagażniku, otworzyła go pospiesznie, sięgnęła na oślep i wyciągnęła na łód ciężki worek z piaskiem, bacząc, żeby nie zakołysać samochodem.

Znowu rozciągnęła się plackiem na lodzie i popatrzyła między kołami. Stał w odległości sześciu metrów. Zakłęła pod nosem, po czym ostrożnie opuściła klapę bagażnika i ciągnąc za sobą worek z piaskiem, doczołgała się do otwartych prawych przednich drzwi. Ostrożnie wślizgnęła się do środka tuż nad podłogą i wsunęła z powrotem kluczyk do stacyjki. Kiedy się wycofała, ułożyła worek z piaskiem pod prawym kołem. Miała nadzieję, że ryk szalejącej zamieci skutecznie zagłuszył jej poczynania.

Pospiesznie wycofała się i zza tylnego koła popatrzyła, jak on skrada się do auta. Obracał się to w lewo, wodząc lufą pistoletu wzdłuż maski chevroleta, to znów w prawo, mierząc przy jego tylnym zderzaku. Nisko schylona, cofnęła się jeszcze bardziej, żeby zostać poza zasięgiem jego wzroku. Dostrzegła pod podwoziem, że kopniakiem zatrzaskał drzwi od strony kierowcy i posłał szybko trzy kule w łód tuż pod ich krawędzią. Jeden z pocisków zrykoszetował i z metalicznym brzękiem odbił się od tylnego zderzaka. Maggie pomodliła się szybko, żeby tylko nie zauważył worka z piaskiem leżącego pod przednim prawym kołem samochodu.

Wahał się jeszcze. Najwyraźniej chciał sprawdzić, gdzie ona jest. Zapewne gdzieś z tyłu auta. Pozostawało jednak pytanie, czy warto tracić czas na jej tropienie, skoro przy tak kiepskiej

widoczności mogła go wodzić za nos prawie w nieskończoność. Cofnął się w dwóch szybkich krokach do krawędzi maski auta, zaraz jednak wrócił pod drzwi kierowcy i znowu znieruchomiał.

Z oddali doleciał jakże miły dla jej uszu odgłos syren policyjnych. I to wielu.

Niebieski Pies gwałtownie otworzył drzwi, usiadł za kierownicą i zatrzasnął je za sobą. Gdy tylko uruchomił silnik, Maggie poderwała się z lodu i ruszyła biegiem do drzwi. Zdawała sobie sprawę, że on musi ją dostrzec we wstecznym lusterku, ale to jej nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, zależało jej, żeby działał w pośpiechu. Rzeczywiście gwałtownie wcisnął pedał gazu i wóz skoczył do przodu.

Ale dwa metry dalej zatrzymał się równie gwałtownie, gdy tylne koło zagrzebało się w worku z piaskiem. Tymczasem Maggie zdążyła dopaść drzwi od strony kierowcy. Otworzyła je błyskawicznie, złapała bandytę za włosy i szarpnięciem kilkakrotnie grzmotnęła jego głową o ramę auta. Jęknął głucho i bezwolnie wypadł ze środka na lód. Rozejrzała się gwałtownie w poszukiwaniu pistoletu, lecz ten leżał na podłodze tuż pod prawymi drzwiami, gdzie wylądował najwyraźniej po tym, jak auto stanęło niespodziewanie, zakopawszy się w worku z piaskiem.

Niewiele się namyślając, skoczyła na leżącego na lodzie przeciwnika, a dostrzegłszy jego rozległą ranę na ramieniu od postrzału z dubeltówki, zaczęła raz za razem okładać to miejsce pięścią, dopóki nie zawył głośno z bólu. Wtedy wetknęła mu oba kciuki w oczy. Kiedy na oślep sięgnął prawą ręką ku górze, błyskawicznie chwyciła go za dłoń, zacisnęła palce na nadgarstku i kciukiem nacisnęła jego palec wskazujący, aż rozległ się przeraźliwy trzask. Z gardła bandyty doleciał zduszony charkot.

- Zupełnie inaczej niż ostatnim razem, no nie, ty kupo gówna?  
- syknęła mu do ucha.

Zamknął oczy, lecz mimo to wołała nie ryzykować. Sięgnęła lewą ręką za plecy i z całej siły wbiła mu pięść w podbrzusze. Nie poruszył się. I nie otworzył oczu. Ale jego ciałem wstrząsnęły spazmy i zaczął wymiotować. Aż się zakrzuszył wymiocinami. Był wielki i ciężki, lecz Maggie zdołała go szybko obrócić na brzuch, nie chcąc, żeby się udusił.

Pospiesznie wyciągnęła skórzany pasek z dzinsów i skrepowała nim ręce Niebieskiego Psa. Następnie wstała, po raz drugi sięgnęła do bagażnika i linką holowniczą skrepowała nogi bandyty.

Dopiero wtedy sięgnęła po pistolet leżący pod prawymi drzwiami chevroleta i wsunęła go do kieszeni.

Powierzchnią zamrożonego jeziora wstrząsnął głośny trzask. Obejrzała się i aż skrzywiła z przerażenia. Cały domek wędkarski stał w płomieniach. Jego ściany osuwały się i zapadały pod lód.

## 58.

Serena usłyszała okrzyk Jonny'ego i zdała sobie sprawę, że dobiega z bliska, z drugiej strony stojącej w ogniu ściany. Błyskawicznie zmieniła zamiar. Postanowiła bronić się do samego końca zarówno przed płomieniami, jak i tonią jeziora. Uświadomiła też sobie, że jest inny sposób na wykorzystanie ostatniego naboju tkwiącego w bębunku rewolweru, bez zastanowienia sięgnęła lewą ręką najdalej, jak tylko mogła, równocześnie unosząc prawą rękę maksymalnie ku górze, i pociągnęła za spust. Pocisk rozszarpał tkaninę. Prawy nadgarstek zapiekł ją od oparzenia drobinami palącego się prochu, lecz gdy szarpnęła ręką raz i drugi, zdołała wreszcie rozerwać więzy i uwolnić prawą rękę. Teraz obie miała wolne.



W głowie jej się kręciło, a dym wirujący w ciasnej przestrzeni sprawiał, że nie było tu czym oddychać. Zapała się oburącz o ramię tapczanu i usiadła na materacu. Fala nieżnośnego żaru uderzyła ją w twarz. Pochyliła się nisko i sięgnąwszy oburącz do kostki lewej nogi, zaczęła gorączkowo szarpać taśmę samoprzylepną, którą była skrępowana. Z całej siły zaciskała powieki, gdyż straszliwy żar uniemożliwiał otworzenie oczu. Poczowała, że na nowo otwierają się świeże rany na brzuchu i ramieniu, z którego krew zaczęła skapywać na udo. Taśma samoprzylepna trzymała tak mocno, jakby przyrosła do nogi. Niebieski Pies zakleił ją ciasno, i to w kilku warstwach, bo nie ustąpiła, gdy chciała ją przeciąć paznokciem. Aż nie mogła uwierzyć, że tak blisko uwolnienia wciąż była unieruchomiona na łóżku.

W końcu zabrakło jej tchu. Kiedy otworzyła usta, do gardła wdarła się fala czarnej żrącej trucizny. Serena poddała się i opadła z powrotem na wznak w nadziei, że u wezglowia tapczanu zwróconego ku tylnej części domku wędkarskiego zostało jeszcze trochę powietrza nadającego się do oddychania. Ale tam również dominował już dym. Usłyszała własne charczenie i dziwny świst w płucach. Poczowała się tak, jakby stała obok i przyglądała się bezsilnie czyjejs ostatecznej walce o haust powietrza. Uświadomiła sobie, że pozostało jej zaledwie kilka sekund przytomności.

Mając wolne obie ręce, zacisnęła dłonie na ramie tapczanu i po raz kolejny szarpnęła się w bok. Tym razem ciężki sprzęt podskoczył dobre dwadzieścia centymetrów, zanim opadł z powrotem na podłogę. Dobywając z siebie resztek sił, podjęła ostatnią próbę i wreszcie poczuła, jak tapczan staje dęba i przechyla się powoli na bok. Wylądowała na brzuchu, przygnieciona jego ciężarem. I poczuła się jak kawał mięsa rzucony na rozpalony ruszt grilla. Ale rozwartymi spazmatycznie ustami zdołała zaczerpnąć odrobinę chłodnego powietrza.

Zaparła się dłońmi o podłogę, chcąc się dźwignąć na czworakach, kiedy uświadomiła sobie, że ma pod sobą klapę zapewniającą wędkarzom dostęp do powierzchni lodu. Pospieszenie wymacała na jej obrzeżu zasuwkę, pociągnęła ją, a gdy klapa opadła, omal nie krzyknęła z radości, gdy silny wiatr pchnął jej w twarz haust mroźnego powietrza znad pokrywy lodowej jeziora. Omal się nim nie zakrztusiła, usiłując błyskawicznie odkasłać resztki gryzącego w gardle dymu. Po kilku oddechach poczuła, jak wracają jej siły.

Ale płomień otaczały ją ze wszystkich stron niczym wygodniałe wilki. Wrażenie narastającego ciepła na plecach podsunęło złowieszczą myśl, że materac stanął w ogniu. Przemknęło jej przez głowę, że uratowała się od spalenia żywcem tylko po to, żeby teraz zginąć w jeszcze gorszych okolicznościach.

Kiedy baraczką po raz kolejny silnie wstrząsnęło, usłyszała okrzyk dolatujący zaledwie z odległości paru metrów.

- Serena!

To wołał Jonny. Ze środka.

Stride w dwóch susach wpadł do płonącego domku i zerwał coś ze ściany. Syk sprężonego powietrza, a zaraz potem silny strumień piany natychmiast stłumił płomień w najbliższym sąsiedztwie łóżka. Stride nie przestał jednak dusić ognia, dopóki nie opróżnił gaśnicy. Udało mu się wytworzyć chwilową przestrzeń bezpieczeństwa wokół niej.

Rzucił się na taśmę krępującą jej nogi. Serena dostrzegła przed sobą myśliwski nóż Niebieskiego Psa. Sięgnęła po niego, uniosła nad głowę i zawołała:

- Jonny! Weź to! Szybko!

Wyrwał jej nóż. Poczuła, że błyskawicznie rozciął zwoje taśmy i uwolnił ją z więzów. Po kilku sekundach odzyskała swobodę. Błyskawicznie odrzucił z niej ciężką ramę łóżka i kopący się materac. Próbowwała się obrócić w jego kierunku, ale zabrakło jej

sił. Nogi miała jak z waty. Krążenie bardzo powoli wracało w zdrętwiałych kończynach.

- Możesz iść? - zapytał.

- Nie - wychrypiała.

Kucnął przed nią.

- Obejmij mnie wpół. I trzymaj mocno.

Objęła go kurczowo i przywarła twarzą do jego piersi, czując z ulgą, jak dźwiga się z klęczek. Chwiejnym krokiem zaczął się cofać, ciągnąc ją za sobą.

- Tylko nie puszczaj - ostrzegł. Ale chwilę później syknął:

- Cholera!

W tej samej chwili pół sufitu baraczku zważyło się w dół, a przed nimi wyrosła zbita ściana płomieni. Domek ponownie się zatrząsł i jak płonący statek zanurzył się bardziej pod wodę. Po podłodze rozlała się mętna kałuża ze stopionej pokrywy lodowej. Para wodna przemieszała się z dymem. Nie mieli już drogi odwrotu.

Stride przyklęknął i ostrożnie opuścił ją na rozgrzaną podłogę. Serena pospiesznie wsunęła głowę w otwartą pokrywę podłogi. Pod baraczkiem wciąż było trochę nadającego się do oddychania powietrza, jednakże lód roztapiał się szybko, powiększała się kałuża mętnej wody, lada chwila cały domek mógł zatonać. Kiedy uniosła głowę, zobaczyła, że Jonny obwiązał sobie głowę zmoczonym wodą szalikiem i z furią kopie blaszaną ścianę w tylnej części domku. Ta jednak trzymała się mocno. Z góry posypały się na niego iskry, ubranie zajęło się płomieniem.

Dostrzegł leżący w kącie świder do wiercenia przerębli napędzany małym silniczkiem gazowym. Pociągnął za sznur, ale motor tylko się zakrztusił. Domek znów zadygotał, tonął coraz szybciej. Ponad ich głowami szalało morze płomieni. Szarpnął po raz drugi i trzeci, aż w końcu silnik zaterkotał miarowo.

Stride bez namysłu obrócił go wiertłem do ściany i napał z całych sił. Darta blacha zawyla przeraźliwie, ale ostrze przebiło się przez nią. Wyszarpnął świder i natarł na ścianę kawałek dalej. W końcu pochylił się niżej i wywiercił trzecią dziurę przy samej podłodze, między dwiema górnymi. Gdy i tu się przebił, zaczął przesuwac świder w górę i w dół, dopóki nie ponacinał ściany między dziurami, znacząc w ten sposób otwór średnicy około metra.

Odrzucił świder i kilkoma kopnięciami odłamał resztki blaszanego poszycia. Kiedy do środka wpadł strumień świeżego powietrza, płomienie strzeliły ze zdwojoną mocą, błyskawicznie zbliżając się do nich. Nie musiał mówić Serenie, co ma robić. Zacisnęła kurczowo palce na pasku jego spodni, a on wypełznął na czworakach przez otwór, wlokąc ją za sobą. Nawet gdy wylądował już w mętnej wodzie za domkiem, pełznął dalej, dopóki ona nie wyczołgała się za nim przez dziurę na lód. Rozpłaszczyła się w kałuży mającej dwadzieścia centymetrów głębokości, na której dnie jednak była jeszcze solidna warstwa lodu.

Stride cofnął się pospiesznie, złapał ją pod rękę i odciągnął od płonącego baraczkę. Kiedy lodowata woda ochłodziła jej oparzenia, poczuła bijący od siebie fetor spalenizny. Miała ochotę zostać w tej kałuży, ale on odciągał ją coraz dalej. Następnie zdjął skórzaną kurtkę, opatulił ją i ponownie zarzucił jej rękę na swoje ramiona.

Po minucie płomienie strzeliły na zewnątrz przez wycięty przez niego otwór w ścianie. Resztki sufitu zawałyły się z hukiem, a po nich ściany runęły w to miejsce, gdzie oboje jeszcze przed chwilą się znajdowali. Ogień strzelił wysoko w niebo, trawiąc pozostałości domku wędkarskiego, zarówno drewniane, jak i metalowe, póki nie została z niego tylko rozpalona do czerwoności sterta.

Serena nie mogła utrzymać się na nogach, a wyczuwała, że

Jonny także jest u kresu sił. Dostrzegła jednak nadciągającą pomoc. Maggie biegła ku nim, szeroko wymachując rękoma. Kilkadziesiąt metrów za nią widać było światła kilku wozów patrolowych podjeżdżających do miejsca zdarzenia.

Jonny również zauważył posiłki i ciężko osunął się na kolana, niezdolny do zrobienia choćby jednego kroku więcej. Czula, że każdy mięsień jego ciała dygocze tak jak ona z zimna. Zaczęła więc w kółko powtarzać szeptem, że to już koniec, że niedługo nadejdzie pomoc z kocami i zastrzykami morfiny. A w głębi ducha modliła się, żeby nie było to złudzenie optyczne.

Nie tylko oni zauważyli nadciągające wozy patrolowe.

Nieopodal zawarczał silnik przypominającego zaspę leksusa stojącego za czerwoną furgonetką Niebieskiego Psa. Wycieraczki zgarnęły śnieg z przedniej szyby i wóz ruszył gwałtownie, z poślizgiem, oddalając się od nich, nadjeżdżającej policji i płonącego domku, zmierzając w kierunku wylotu zatoczki i cypla najbliższego półwyspu. Po chwili zniknął im z oczu w śnieżycy.

- Kto to był, do diabła? - mruknął Jonny.

Serena nie odpowiedziała. Była już nieprzytomna. Przestała nawet dygotać, gdyż w malignie wydało się jej, że jest w ciepłym i bezpiecznym miejscu.

## 59.

Lauren popędziła w białym obłoku śniegu, niewidoczna, ale zarazem oślepiąca zamiecią skrywającą całe jezioro, które wydało jej się olbrzymie jak bezbrzeżny ocean. Koła leksusa złapały przy czepność, toteż łatwo rozpędziła wóz do prędkości stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, mknąc po gładkiej tafli lodu. Niemal miała wrażenie, że leci w chmurach.

Nie łudziła się jednak wizją ucieczki. Była konająca. Miała świadomość, że wraz z dużą utratą krwi straciła szanse na przeżycie. Serce waliło jej jak młotem, a szkarłatny strumień wciąż ściekał po błękitnej bluzce i zbierał się w kałuże na skórzanej tapicerce samochodu. Pomyślała, że Dan będzie z tego powodu wściekły. Mógł jej wybaczyć wiele rzeczy, ale stojąc nad jej grobem, z pewnością będzie pytał w myślach, dlaczego nie umarła w śnieżnej zaspie, oszczędzając w ten sposób eleganckie wnętrze auta. Taki już był. Dla niego miłość ograniczała się do seksu, bo jego prawdziwą miłością były pieniądze.

Jej było już wszystko jedno, gdzie wyzionie ducha. Najbardziej denerwowało ją to, że nikt nie zrozumie. Bo przecież nie chodziło jej ani o pieniądze, ani o władzę czy ujawnienie tajemnicy. Nie walnęła ciężką latarką Tanjy w głowę dlatego, że bała się, że prawda wyjdzie na jaw. Zrobiła to tylko z tego powodu, że Dan naprawdę się zakochał w tej dziewczynie.

Zapomniała o wszystkich innych jego wcześniejszych romanсах, bo ostatecznie i tak był do niej przywiązany, całkowicie od niej zależny. Jeśli chodził do łóżka z jakąś ślicznotką mającą złudzenia, że zdoła zająć jej miejsce, niewiele ją to obchodziło. Zawsze chciała tylko wiedzieć o zdradzie. Seks nigdy nie był na pierwszym miejscu jej zainteresowań, dlatego pozwalała mężowi spełniać swoje zachcianki. Bo tylko ona go naprawdę kochała i tylko ona potrafiła go wykreować. Ich partnerski stosunek był dużo ważniejszy od innych spraw.

Dopóki nie pojawiła się Tanjy.

Ta piękna zбочzona dziwka, która ich ostatecznie zniszczyła.

Nie potrafiła zrozumieć, jak Tanjy ze swoimi chorymi fantazjami erotycznymi zdołała aż tak podziałać na Dana, że ten całkowicie zapomniał o żonie i o tym, ile jej zawdzięcza. Ludzie nazywali ją „Królową Śniegu” i żartowali z jej lodowatej

obojętności, z jaką wszystkich traktowała, ale nie mieli racji. Kiedy ten odrażający szantażysta, olbrzymi Billy Deed, pokazał jej, co naprawdę łączy Tanjy i Dana, dostała obsesji na jej punkcie. Zapragnęła ją zetrzeć z powierzchni ziemi. Zmazać każdy jej ślad.

Nie chodziło tylko o zdjęcia, chociaż nie mogła uwierzyć, że Dan był aż tak nieostrożny. Każda z tych fotografii mogła przewrócić ich świat do góry nogami, zniszczyć wszystko. Ale na tym nie koniec. Niebieski Pies zdobył też mej le. I te chyba jeszcze bardziej ją przeraziły i rozwścieczyły. Dan w kółko powtarzał Tanjy, jak bardzo ją kocha, jak bardzo ona go podnieca, jak nie może przestać o niej myśleć.

W końcu spotkał się z adwokatem, żeby porozmawiać o rozwodzie.

Tak było. Sprawdziła wykazy jego rozmów telefonicznych i terminy spotkań. W tajemnicy przed nią odwiedził specjalistę od rozwodów z Saint Paul. Chciał się rozwieść! Rzucić kogoś takiego jak ona, komu wszystko zawdzięczał, zarówno bogactwo, jak i karierę, dla porąbanej idiotki w rodzaju Tanjy Powell! Na to Lauren nie mogła mu już pozwolić.

Dlatego uznała, że skoro Tanjy jest aż tak bardzo zafascynowana gwałtem, powinna wreszcie spróbować, jak on smakuje w rzeczywistości.

Z całkowitą obojętnością przyglądała się jej cierpieniom w parku, gdy została nago przywiązana do siatki ogrodzenia. Jak też później, gdy stała się pośmiewiskiem mediów, a Dan ostatecznie z nią zerwał. Wtedy Lauren triumfowała. Bo odzyskała kontrolę nad otaczającym ją światem. Pomnożyła wysiłki, że znaleźć mężowi lukratywne zajęcie z dala od Duluth, a więc również z dala od Tanjy Powell.

I wszystko znów zaczęło się idealnie układać, dopóki Tanjy nie zadzwoniła tamtego wieczoru. Błagała o sposobność rozmowy z Danem. Zaklinała się, że wie, kto ją zgwałcił.

Lauren i to przyjęła w spokoju, mimo że znalazła się na rozstaniu. Nie mogła dopuścić, żeby prawda wyszła na jaw, ani też pozwolić, by ta dziwka odzyskała swą magiczną kontrolę nad Danem. Powiedziała więc Tanjy, że jej mąż jest w domku wędkarskim na jeziorze. Była pewna, że dziewczyna od razu tam pojedzie, żeby się z nim rozmówić i podjąć ostatnią próbę omotania go. Ale to Lauren miała na nią czekać w domku.

Żeby się jej pozbyć. Nie tylko zamknąć usta, ale raz na zawsze wybić mężowi z głowy tego typu znajomości. Nie miała wątpliwości, że jest do tego zdolna.

Tanjy. Ta młoda i naiwna idiotka. Ironia polegała na tym, że się pomyliła. Ale gdy ujrzała z tyłu Billy'ego Deeda w firmowej czerwonej furgonetce firmy Byte Patrol, było już za późno.

Zresztą Lauren powiedziała jej to wprost.

- To byłam ja, ty porąbana suko.

Kiedy zaś Tanjy odwróciła się, żeby uciec, ona włożyła w ten jeden cios całą swoją wściekłość. I wystarczył tylko ten jeden. Tamta zwała się jak kłoda, już martwa. Czy było to zabójstwo z zimną krwią? Nic podobnego. Krew kipiała jej w żyłach.

Ale zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę. Tak powtarzał jej ojciec. A on wiedział wszystko o drogach na skróty i paktach z samym diabłem. Sprawiedliwość miała swoje nieodgadnione sposoby na wyrównanie bilansu.

Jak właśnie teraz.

Przynajmniej nie czuła bólu. Nic już nie czuła. Lekarze zapewne by orzekli, że to wskutek nagłego wzrostu poziomu endorfin jej ciało przygotowało się na śmierć, niemniej odbierała ten niespodziewany przypływ spokoju jako szczególnie błogi.

I nadal nic nie czuła, gdy leksus minął zaznaczoną chorągiewkami granicę niebezpiecznie cienkiego lodu na jeziorze, gdy ten się pod nim załamał, wóz stanął dęba, eksplodowała poduszka powietrzna, a zalany silnik ucichł. Nie czuła absolutnie nic.



Jak przez mgłę tylko odnotowała, że biała powłoka poduszki powietrznej zrobiła się purpurowa, jak gdyby została obłana czerwonym winem.

Lexus z wolna pogrążył się w wodzie. Był niemal dźwiękoszczelny, toteż Lauren nie słyszała trzaskającego wokół niej lodu. Kiedy wokół jej stóp zawirowała lodowato zimna woda, uzmysłowiła sobie, że powinna otworzyć drzwi auta, ale impulsy nerwowe z jej mózgu nie docierały już do kończyn. Skojarzyła tylko, że zwłoki Tanji wypłynęły z głębin jeziora, a ona teraz się w nim zanurzała. Trwało wyrównywanie bilansu. Jedno ciało zastępowało inne.

Spoglądała obojętnie na wodę sięgającą jej do pasa, potem do piersi i do szyi. Zaczęła się w niej unosić. Samochód zanurzył się całkowicie, straciła z pola widzenia powierzchnię jeziora, zamieć i sypiący śnieg, pozostały tylko mokre lodowate ręce diabła wyciągające się po nią. I tylko jej płuca się zbuntowały, jakby nie chciały ginąć razem z resztą ciała, ale w końcu i one nieuchronnie ustąpiły. Szeroko rozwartymi ustami Lauren próbowała jeszcze zaczerpnąć powietrza, ale zewsząd otaczała ją woda.

Przemknęło jej przez myśl, że do rana lód zamknie się ponad wybitą przez auto dziurą i pewnie nikt nigdy się nie dowie, jaki spotkał ją los. Zostanie uznana za zaginioną.

Biedny Dan. Musiał się pogodzić ze stratą samochodu.

Część czwarta

DAMA ZE MNIE

## 60.

Więzienni lekarze kazali czekać policji trzy dni na możliwość przesłuchania Niebieskiego Psa. Stride spędził jeden dzień w szpitalu z powodu groźnego wyziębienia oraz drobnych poparzeń. Serena miała zostać pod opieką specjalistów dużo dłużej, pewnie nawet kilka tygodni, aż do czasu ustąpienia objawów zatrucia czadem i zagojenia się groźniejszych poparzeń, głównie na nogach. Konieczne były przeszczepy skóry nie tylko w paru najsilniej poparzonych miejscach, ale także na brzuchu pociętym nożem. Za to zdecydowanie za wcześnie było mówić o możliwych długofalowych skutkach zezadzenia. Mimo wszystko miała szczęście. Nie tylko dlatego, że uszła z życiem, ale też odniosła niezbyt groźne obrażenia.

Stride przed wejściem do sali popatrzył na Niebieskiego Psa przez prostokątne okienko w drzwiach, czując, jak nieposkromiona nienawiść burzy mu krew w żyłach.

Teitscher, który stał tuż obok, zauważył tę reakcję i rzekł:

- Traktujesz to zbyt osobiście. Nie powinienes tam wchodzić.
- Chcę przy tym być - odparł z naciskiem.

Pchnął szybko drzwi i zanim Teitscher zdążył zaprotestować, wszedł do sali, pomalowanej na szaro, cuchnącej środkami dezynfekującymi. Łóżko było zasłane mocno wybieloną pościelą.

Teitscher z rękoma skrzyżowanymi na piersi zajął miejsce z boku, zerkając nieufnie z góry na Niebieskiego Psa. Stride oparł się ramieniem o ścianę i wsadził ręce do kieszeni.

Bandyta leżał sztywno wyciągnięty, z nogami przypiętymi do ramy łóżka. Sztywno wyprostowaną trzymał też prawą rękę gęsto pokrytą tatuażami. Lewą trzeba było mu amputować zaraz po przywiezieniu znad jeziora. Wielkokalibrowa kula z dubeltówki poczyniła zbyt duże spustoszenia, by dało się ją jeszcze uratować. Przez kroplówkę wciąż podawano mu morfinę i antybiotyki. Stracił również długie włosy i teraz miał na głowie krótką czarną szczecinę przetykaną na skroniach siwizną. Brodę pokrywał mu gęsty zarost, a cera w świetle jarzeniówek sprawiała wrażenie trupio bladej. Leżał z odsłoniętymi szerokimi barami, przykryty jedynie do pasa.

- Cześć! - rzucił Stride. - Obudź się, palancie.

Niebieski Pies otworzył przekrwione oczy i błyskawicznie obrzucił wrogim spojrzeniem obu stojących nad nim policjantów. Poruszył się nerwowo, szarpnął w więzach, ale musiał go przeszyć ostry ból, gdyż się skrzywił. Szybko przeniósł wzrok na grubo obandażowany kikut z lewej strony klatki piersiowej.

- Boli, no nie? - zapytał Stride. - To dobrze.

- Pierdol się.

Teitscher wyciągnął z kieszeni cyfrowy dyktafon, włączył go i położył na stoliku przy łóżku.

- Nagramy przebieg tej rozmowy. Nazywam się Abel Teitscher i jestem detektywem, a to porucznik Jonathan Stride z komendy policji w Duluth.

- Dobrze wiem, kim jesteście - odparł Niebieski Pies, wbijając wzrok w inspektora. - Żałuję, że udało ci się wytaszczyć tę sukę z domku wędkarskiego. Nie miałem okazji usłyszeć jej dzikich wrzasków, gdyby ogień się do niej dostał.

Teitscher zlekceważył tę zaczepkę.

- Odczytano ci twoje prawa podczas aresztowania. Czy chcesz, żebym odczytał je ponownie?

- Znam swoje prawa.

- Chcesz adwokata?

- Po co? Adwokat w niczym mi nie pomoże.

- Zechcesz dobrowolnie składać zeznania?

- A co będę z tego miał?

Sierżant wzruszył ramionami.

- Już się kontaktowaliśmy z policją w Alabamie. Nie mogą się doczekać twojego powrotu do Holman. Czekają tam proces o zabójstwo dwojga policjantów w czasie huraganu, a potem niechybnie zastrzyk w celi śmierci. Oczywiście trzeba go będzie zrobić w prawą rękę.

- Pieprz się - warknął Niebieski Pies.

- Mówię ci tylko, jak się przedstawia twoja sytuacja. Zanim jednak wrócisz na to zadupie na południu, gdzie wyprawiają cię na tamten świat, będziesz musiał przejść rozprawy w tutejszym sądzie. Chcemy cię postawić przed ławą przysięgłych za zabójstwa, gwałty, napady, szantaż, oszustwa i Bóg jeden wie, co jeszcze.

- Więc może wcale nie będę musiał wracać do Alabamy - podchwycił bandyta. - Może postanowicie jednak zatrzymać mnie u siebie.

Teitscher pokręcił głową.

- Chciałbyś pozostać w Minnesocie, gdzie nie obowiązuje kara śmierci? I gdzie nie pakuje się po dwudziestu więźniów do jednej celi? Przykro mi, ale szczerze mówiąc, nikt się zanadto nie pali, żeby cię tu dłużej trzymać. Niemniej procedury mogą potrwać dłużej lub krócej. Możesz wylądować z powrotem w Holman już za kilka miesięcy, ale równie dobrze proces może się przeciągnąć do roku albo nawet dłużej, zanim odeślemy cię na południe. Niewykluczone nawet, że z powodu twojego stanu zdrowia trzeba cię będzie umieścić w oddzielnej celi. Więc gdzie chciałbyś spędzić

najbliższy rok? W Minnesocie czy Alabamie?

Niebieski Pies skrzywił się z niesmakiem.

- W porządku. Więc czego ode mnie chcecie?

- Opowiedz nam o Lauren Erickson i Tanjy Powell.

- A konkretnie?

- To ty zgwałciłeś Tanjy? - zapytał wprost sierżant.

- Tak, ja. Ale był to pomysł Lauren.

- Mógłbym się założyć, że sam jej go podsunąłeś.

- Nieprawda. Tanjy mnie gównem obchodziła. Zależało mi tylko na forsie. Wiedziałem, że Lauren dobrze zapłaci za to, żeby zdjęcia Dana z Tanjy nie ukazały się w prasie. To właśnie ona nakreśliła całą sprawę i to ona poleciła mi zgwałcić Tanjy.

- Dlaczego? - zapytał Teitscher.

- Chciała ją ukarać. Zemścić się. Nazwijcie to sobie, jak chcecie. W każdym razie moje zdjęcia doprowadziły Lauren do szaleństwa.

- A co poszło nie tak?

- Wszystko przebiegło zgodnie z planem Lauren. Dopiero przed kilkoma tygodniami Tanjy zadzwoniła do niej z wiadomością, że już wie, kto ją zgwałcił. Lauren obleciał strach i zawiadomiła o tym mnie.

- I co wtedy zrobiłeś?

- Lauren wyznaczyła spotkanie w ich domku wędkarskim. Obie już tam były, gdy dotarłem na miejsce. Jak Tanjy zobaczyła, że podjeżdżam... Pewnie spodziewała się zobaczyć Dana, no nie? No więc na mój widok próbowała się rzucić do ucieczki, ale Lauren zdzieliła ją naprawdę mocno. Bardzo mocno. I dziewczyna zwała się na podłogę jak worek cementu. Zapakowaliśmy ją do bagażnika i wywieźliśmy na środek jeziora.

- A co z Maggie i Katriną? - wtrącił Stride spod ściany. - To ty je napadłeś.

- Tak, ja.  
- I to też był pomysł Lauren?  
- Nie, nic o tym nie wiedziała. Dowiedziała się dopiero później.

- To dlaczego zgwałciłeś je obie? - rzucił inspektor.  
- A czemu miałbym tego nie robić, do cholery? Po zabawie z Tanjy przypomniałem sobie, jaki to daje czad. Do diabła, miałem wrażenie, jakbym w myślach dymał Serenę, czego nie mogłem się już doczekać.

Stride w jednej chwili pożałował, że na Hell's Lake nie strzelał celniej, bo inaczej to bydłę zwane Niebieskim Psem byłoby już martwe.

- Poza tym nie miałem się czego obawiać - ciągnął tamten. - Wiedziałem już wszystko o klubie erotycznym z zapisów w komputerze Soni. Doszedłem do wniosku, że dziewczynki alfa zrobią wszystko, żeby w mediach nie potraktowali ich tak samo, jak wcześniej Tanjy. I miałem rację.

- A co z Erikiem Sorensonem? - zapytał Teitscher.

- Niby co z nim?

- Ściągałeś także zapisy z jego komputera?

- Nie.

- Więc to Tanjy ci o nim powiedziała?

- Nie.

- To jak on się dowiedział prawdy o tobie? Jak mógł odkryć, że to ty zgwałciłeś Tanjy i Maggie?

- Nie mógł.

Słowa Niebieskiego Psa zabrzmiały w sali niczym wystrzał.

- Co takiego?

- Mówię, że nic o mnie nie wiedział.

Teitscher i Stride wymienili znaczące spojrzenia. Stride nie mógł zapanować nad płataniną nieskładnych myśli.

- Twierdzisz zatem, że nie miałeś nic wspólnego z zabójstwem Erica Sorensona? - powtórzył sierżant.

- Dowiedziałem się o jego śmierci z dziennika telewizyjnego.
- Czy wiesz, kto go zabił?
- Myślałem, że stuknęła go żona, jak mówili w telewizji - odparł Niebieski Pies, zachichotał i zwrócił się do Stride'a: - Może jej się spodobało, jak byliśmy razem w łóżku, i wymyśliła, że mąż już jej nie pasuje.
- Eric był mężem Maggie, którą zgwałciłeś. Dowiedział się, że to ty, i tamtego wieczoru próbował się z tobą policzyć.
- Nawet bym nie poznał tego całego Erica na ulicy, gdybym chciał mu napluć w gębę - odrzekł bandyta z naciskiem. - Nie wierzycie mi? Sprawdźcie moje alibi.
- Jakie alibi? - zaciekał się Teitscher.
- Tamtej nocy pracowałem, kierownik zlecił mi instalację systemu w pewnej firmie w Hermantown. Zapytajcie go o to.
- Przecież sam powiedziałeś, że Tanjy odkryła, kto ją zgwałcił
- dodał Stride.  
Niebieski Pies uśmiechnął się szeroko.
- Myliła się.
- Słucham?
- Lauren powiedziała mi wszystko, gdy wpychaliśmy jej ciało do przerębla. Tanjy podejrzewała kogoś innego. Zabawne, no nie? Popęłniła pieprzony idiotyczny błąd, który kosztował ją życie.
- Kogo podejrzewała o dokonanie gwałtu?
- Tego Lauren mi nie powiedziała.
- Stride nerwowo przeciągnął palcami po włosach. Zeznania Niebieskiego Psa wywracały wszystko do góry nogami. Już myślał, że śledztwo jest zakończone, gdy nagle się okazało, że na pytania, od których wszystko się zaczęło, nadal nie ma odpowiedzi. Kto zabił Erica? I z jakiego powodu?
- Czy kiedykolwiek spotkałeś niejaką Helen Danning? - zapytał.



Bandyta pokręcił głową.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- I nie natrafiłeś ani w sieci, ani w żadnym z komputerów, do których się włamałeś, na blog „Dama ze mnie”?

- Nie.

- Jeśli nas okłamujesz w tej sprawie, odeślemy cię do Holman najbliższym samolotem.

- Mówię prawdę - odrzekł Niebieski Pies.

Stride przywołał ruchem ręki Teitschera i obaj skierowali się do wyjścia.

- Myślisz, że naprawdę nie przyłożył ręki do śmierci Erica? - zapytał sierżant, gdy tylko znaleźli się na korytarzu.

Stride chciał zaprzeczyć, ale nie potrafił okłamywać samego siebie.

- Sądzę, że nie podawałby nam alibi, gdyby było zmyślane.

- Chyba rozumiesz, co to oznacza? - mruknął sierżant.

- Maggie tego nie zrobiła - powtórzył z naciskiem Stride.

- Więc kto?

- Skoro to Lauren zabiła Tanjy, może zastrzeliła również Erica.

Teitscher pokręcił głową.

- Niemożliwe. Tamtego wieczoru była w Waszyngtonie. Już sprawdzałem.

- Więc może on jednak kłamie. Maggie nieźle go poturbowała na jeziorze. Może postanowił się na niej zemścić, obwiniając o zabójstwo.

- Dobrze wiesz, że to naciągana teoria - odparł Teitscher. - Zrozum, wcale się nie upieram, że zrobiła to Maggie, choć uważam, że nadal wiele przemawia za jej winą. Ale i tak pozostanie na wolności, uwolniona od zarzutów. W tej sytuacji nie byłoby sensu wnosić przeciwko niej oskarżenia. Rodzi się tyle uzasadnionych wątpliwości, że Archie Gale by nas rozjechał w ciągu pięciu minut.

- Lecz dalej pozostanie cień nad jej głową, jeśli nie ustalimy, kto naprawdę zamordował Erica.

- Każdy z nas ma jakiś cień nad głową.

- Facet twierdzi, że Tanjy się pomyliła. Tymczasem Eric, tak samo jak ona, podejrzewał kogoś innego o dokonanie gwałtów. Ktokolwiek to był, to z pewnością on zastrzelił Erica.

Teitscher znowu pokręcił głową.

- To się nie trzyma kupy, poruczniku. Jeśli Eric też się mylił, to czemu ten podejrzany miałby go zabijać? Jeśli oskarżę cię o zbrodnię, której nie popełniłeś, na pewno nie zaczniesz z tego powodu planować mojego zabójstwa?

To prawda, pomyślał Stride. Wynikało stąd, że nadal coś mu jeszcze umykało.

Strażnik otworzył drzwi na końcu korytarza i wypadł zza nich Max Guppo, który ruszył truchtem w ich stronę. Guppo nigdy nie biegał, toteż gdy w końcu stanął przed nimi, był zlany potem i dyszał ciężko jak długodystansowiec na mecie. Pochylił się i z takim świstem wciągnął powietrze, że obaj śledczy odruchowo cofnęli się krok.

- Jasna cholera, Guppo... - zaczął Teitscher. Stride, tłumiąc ironiczny uśmiezek, zapytał szybko:

- Co się stało, Max?

Guppo jeszcze przez parę sekund ze świstem spazmatycznie łapał oddech. Wreszcie poluzował krawat pod szyją i ciągnąc za koniec paska opinającego wydatne brzuszysko, wydukał:

- Znowu rozpętało się piekło.

- Z jakiego powodu?

- Są kolejne zwłoki - wychrypiał. - W parku Engera... Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie znaleźliśmy tamtą dziewczynę dziesięć lat temu.

## 61.

Stride nie mógł w to uwierzyć. Miał wrażenie, że przeżywa déjà vu.

Ofiara leżała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przed dekadą odnaleziono zmasakrowane zwłoki niezidentyfikowanej dotąd czarnej nastolatki. Spędził tutaj tyle godzin, że mógł z zamkniętymi oczyma wskazać najsilniej zarośnięte chaszczami miejsca wśród drzew rosnących wzdłuż alejki czy podać liczbę kroków dzielących ten punkt od najbliższej drogi dojazdowej. Ciało leżało na wznak, z rękoma i nogami szeroko rozrzuconymi jak na słynnym rysunku da Vinci. Spoczywało w zagłębieniu niewidocznym z ulicy, zasłoniętym także przed wzrokiem golfistów kręcących się po sąsiednim trawiastym polu. Wtedy zwłoki, które od dziesięciu lat prześladowały go w snach, zostały odkryte w sierpniu tylko z tego powodu, że pewnemu lekarzowi w trakcie uderzenia piłki przekreślił się rękach kij.

- Natknęło się na nią dwóch narciarzy trenujących biegi przełajowe - wyjaśnił Guppo. Stali po kolana w śniegu, a sierżant spoglądał w stronę nasypu autostrady z taką miną, jakby miał obawy, że nie zdoła się na nie wdrapać. Było wczesne popołudnie. Śnieżyca ustała i zza chmur wyjrzało słońce, ale jego słaby blask ani trochę nie grzał.

Stride pokiwał głową. Wargi miał przesuszone i spierzchnięte.

- Wiadomo już, jak długo zwłoki tu leżą?

- Są zamrożone na kamień, niełatwo będzie cokolwiek ustalić - odparł Guppo. - Ale jeden z narciarzy twierdzi, że biegł tą samą trasą przedwczoraj i na pewno zwłok nie było.

- Jest pewien, że biegł dokładnie tą samą trasą?

Sierżant przytaknął ruchem głowy.

- Zeznał, że to jego ulubiona trasa biegowa.
- Została zabita tutaj, w parku? - odezwał się Teitscher.
- Nie. Nigdzie nie ma śladów krwi.

Stride zapatrzył się na zwłoki, a raczej na to, co z nich zostało. Tak samo, jak w wypadku dziewczyny sprzed dziesięciu lat, sprawca odciął zabitej głowę i dłoń. Na pozostałym kikucie szyi widać było rozległe otarcia sugerujące, że ofiara była duszona sznurem. Na nagich zwłokach wyróżniały się jeszcze otarcia w okolicy krocza. Zatem nawet takie szczegóły pozwalały wiązać to zabójstwo z wcześniejszym.

Występowało jednak kilka drobnych różnic. Wtedy było lato, a teraz zima. Tamta ofiara była czarna, a ta biała. Poprzednia dziewczyna mogła mieć najwyżej siedemnaście lat, natomiast po stanie skóry tej kobiety łatwo było oszacować jej wiek mniej więcej na czterdziestkę.

- Tym razem nie liczcie na wyniki analizy DNA - dodał Guppo.

Inspektor pokiwał głową. Od początku miał przeczucie, że sprawca jest nazbyt sprytny, aby i tym razem zostawić swoją wizytówkę.

- Co jeszcze ustaliliście?

- Niewiele. Sekcją zwłok ma się zająć Violet z działu medycyny sądowej. Już czeka w furgonetce. Badamy jeszcze okolicę, lecz jak już powiedziałem, wszystko wskazuje na to, że morderca tylko podrzucił tu zwłoki.

- A co ze śladami butów? Musiał się tu jakoś dostać.

Sierzant wskazał wąską ścieżynkę udeptanego śniegu prowadzącą od nasypu.

- Wygląda na to, że po prostu ją tu dowłókł. Znaleźliśmy ślady krwi i pojedyncze włosy na całym tym odcinku od szosy. Podejrzewam, że miał ze sobą łopate, którą potem poprzerzucał zdeptany śnieg. W dodatku wczoraj i dziś napadało jeszcze około trzech centymetrów śniegu.

- I nie ma żadnych śladów opon?

- Na szosie ich nie znaleźliśmy.

Teitscher zadarł głowę, gdy rozległ się charakterystyczny terkot nadlatującego helikoptera.

- Kto, do cholery, dał cynk dziennikarzom?! Zaraz się zacznie przekłety cyrk.

- Nie patrz na mnie - rzucił ostro Guppo. - Jeden z narciarzy od razu zadzwonił do żony, która, jak na złość, jest sekretarką w redakcji kanału KBJR. To oni pierwsi podali wiadomość o znalezieniu zwłok, inne stacje zaraz ją podchwyciły. Już tu walą reporterzy z „Bliźniaczych Miast”. Wszyscy węższą seryjnego zabójcę. I wszyscy się dopytują o tamte zwłoki sprzed lat oraz ewentualne powiązania między obiema sprawami.

- To prędzej sprawka jakiegoś naśladowcy, który postanowił zagrać nam na nosie - rzucił Teitscher.

Guppo wzruszył ramionami.

- Co nie zmienia faktu, że wszyscy podchodzą do tego tak, jakby zwietrzyli intrygę do następnej powieści Johna Sandforda.

- Na pewno nie możemy niczego przesądzać - oznajmił Stride. - Upłynęło mnóstwo czasu między obydwojma zabójstwami i na tym etapie trudno oceniać, czy to sprawka tego samego mordercy. A jeśli nawet mamy do czynienia z naśladowcą, to czym jest tak samo nieprzyjemna.

- Znaleźliście cokolwiek, co by pomogło zidentyfikować tę kobietę? - zapytał Teitscher. - Nie wpłynęły ostatnio żadne meldunki o zaginionych osobach dające się skojarzyć z tą sprawą?

- Nie. Jediną prawdopodobną ofiarą mogłaby być Lauren Erickson.

Stride pokręcił głową.

- To nie ona. Jest za wysoka.

Według niego zwłoki Lauren spoczywały gdzieś na dnie jeziora Hell's Lake i mogły zostać odnalezione najwcześniej na wiosnę.

Zadzwoił jego telefon komórkowy. Odszedł kilka kroków w głębszy śnieg i podniósł go do ucha.

- Oglądałam dziennik telewizyjny - odezwała się Maggie. - Właśnie jesteś na ekranie w transmisji na żywo. Wiesz o tym?

- Cudownie.

- Zauważyłam nawet, że masz coś zielonego między przednimi zębami.

- Bardzo śmieszne.

- Lepiej mi powiedz, że przedstawiają sprawę w niewłaściwym świetle, że to nie jest powtórka ze słynnego zabójstwa w parku Engera.

- Okoliczności są dokładnie takie same, Mags, różnią się jedynie w drobnych szczegółach.

- Cholera...

Stride mimo woli przypomniał sobie, jak tamtego sierpniowego wieczoru sprzed dziesięciu laty stał dokładnie w tym miejscu obok Maggie. Wtedy współpracowali blisko dopiero od roku. Maggie była młodą i błyskotliwą śledczą, wykluwającą się dopiero ze skorupki, wciąż bardziej dziewczyną niż dojrzałą kobietą.

- Przesłuchiwaliście już Niebieskiego Psa? - zapytała.

- Tak.

- To on go zabił?

- Bardzo bym chciał, żeby tak było.

- To co wam powiedział?

- Że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Erica.

- Wierzysz mu?

- Niestety, muszę. Ma alibi.

- Zatem nadal jestem podejrzana?

- Nie wygłupiaj się, nikt już nie zamierza cię ścigać, Mags. Nawet Abel zrezygnował z oskarżenia cię o zabójstwo.

- Ale tylko z tego powodu, że nie miałby szans udowodnić oskarżenia, a nie dlatego, że jestem niewinna, prawda?

Stride nie odpowiedział.

- A więc zgadłam. Zatem moja sytuacja wciąż jest niewesoła, szefie. Sam świetnie to wiesz. Nie będę mogła wrócić do służby, jeśli wszyscy będą mnie nadal podejrzewać o zabicie męża.

- Dochodzenia jeszcze nie zamknięto, Mags.

- Nie? Skoro Abel dalej myśli, że to ja zabiłam, tyle że nie może mi niczego udowodnić, to przecież nie będzie chciał dłużej przykładać ręki do tego śledztwa.

- Daj mi trochę czasu.

- Ale ja chcę wracać do roboty - odrzekła z naciskiem, z kiegoś skrywanym zniecierpliwieniem. - Chcę być teraz razem z tobą na miejscu zbrodni. Zasługuję na to, żeby uczestniczyć w tym dochodzeniu.

- Tak, wiem.

Westchnęła ciężko.

- Przepraszam. Wiem, że to nie twoja wina. Masz pilną robotę. W takim razie pojedę odwiedzić Serenę, dobrze?

- Będę wdzięczny.

- Ona pewnie też ogląda cię w telewizji, więc może przesłałbyś jej tą drogą uśmiech?

- Do widzenia, Mags.

Przerwał połączenie i dołączył do Guppo i Teitschera, którzy czekali, stojąc w odległości paru metrów od siebie. Nie znosili się nawzajem. Guppo należał do tych, którzy najgłośniejsz protestowali podczas krótkiej kadencji Teitschera na stanowisku szefa wydziału dochodzeniowego, o czym ten doskonale wiedział. Nie bez znaczenia był również fakt, że Guppo od dawna łączyła zażyła znajomość ze Stride'em.

- Chciałbym przejrzeć całą teczkę z tamtego dochodzenia w sprawie dziewczyny z parku Engera - oznajmił. - Gdzie ona teraz jest?

Teitscher zaczerwienił się lekko.

- Podejrzewam, że u mnie.

- Po co ją wyciągnąłeś z archiwum?

- Po nic konkretnego. Wiesz, jak to jest ze starymi sprawami, poruczniku. Co kilka miesięcy wraca się do papierów i sprawdza, czy na pewno nie przyjdzie do głowy żadna nowa myśl. Tyle że nie miałem specjalnie czasu, żeby zająć się sprawą sprzed dziesięciu lat.

- Zwłaszcza że ofiarą była czarna nastolatka, co nie? - wtrącił pospiesznie Guppo.

- To nigdy nie miało dla mnie znaczenia - warknął Teitscher. - Nie zamierzam wysłuchiwać podobnych bzdur.

Stride uniósł obie ręce.

- Zamknijcie się obaj, dobrze? Nie pora ani miejsce na takie dyskusje.

- Nie chodzi o to, czy ofiara była czarna, czy biała - ciągnął Teitscher, wymierzywszy oskarżycielsko paluch w Guppo. - A tylko o to, że sprawa jest od dawna zamknięta.

- Masz rację - uciął Stride. - Tę sprawę zamknęliśmy i nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej. Dlatego teraz się uspokójcie i zajmijcie swoją robotą. Kto ostatni miał do czynienia z tamtym dochodzeniem?

- Poza tobą i Maggie? - zapytał Guppo. - Chyba Nicole.

Stride popatrzył na niego zdumionym wzrokiem.

- Nicole?

- Jasne. Jak tylko wróciła do służby po strzelaninie na moście, sam przydzieliłeś jej kilka zamkniętych spraw, żeby nie włączać jej do bieżących dochodzeń. Wśród nich znalazła się sprawa dziewczyny z parku Engera.



- Nie przypominam sobie, bym w aktach widział choć jedną notatkę Nicole - wtrącił Teitscher.

- Zaskoczony? - sparował Guppo. - Nicole zawsze miała kilkumiesięczne zaległości w papierkowej robocie.

- Ale skoro przyglądała się tej sprawie, powinniśmy sprawdzić, czy nie odkryła czegoś, co umknęło naszej uwagi - odrzekł inspektor. - Abel, chciałbym, żebyś z nią porozmawiał.

Teitscher tak mocno zmarszczył czoło, że uwidocznił się na nim istny labirynt głębokich bruzd.

- Chcesz się mnie pozbyć?

- Nie. Zajmij się tym już jutro. Musimy ostro zakasać rękawy.

- Przecież to było sześć lat temu. Co ona może pamiętać, do cholery?

- Nie dowiemy się tego, dopóki z nią nie porozmawiasz.

- Jestem ostatnią osobą, z którą ona chciałaby gadać - odrzekł sierżant. - Lepiej wyślij Guppo. On trzymał sztamę z Nicole, jakby należeli do tego samego gangu.

- Guppo będzie mi potrzebny do pracy z materiałem dowodowym. Masz się tym zająć, Abel, bez dalszych dyskusji.

Teitscher z niedowierzaniem pokręcił głową.

- To już się we łbie nie mieści - mruknął.

Odwrócił się na pięcie i ruszył ścieżką, ledwie widoczną w głębokim śniegu, w stronę nasypu Hank Jensen Road. Szedł zamaszystym, jak gdyby gniewnym krokiem, a poły jego płaszcza powiewające na wietrze nasilały wrażenie, że lada chwila poderwie się do lotu.

- Sporo bym zapłacił, żeby być świadkiem jego rozmowy z Nicole - wtrącił Guppo.

Stride się uśmiechnął.

- Ja też.

Obejrżeli się na miejsce znalezienia zwłok, skąd energicznie machała im ręką lekarka prowadząca oględziny.

- Hej, detektywi!

Violet Gabor, niska i pulchna, krótko po trzydziestce, nosiła czapeczkę baseballową obróconą daszkiem do tyłu. Pochylała się nad ciałem z lupą nakierowaną na kostkę nogi zabitej.

- Znalazłam coś - dodała.

Stride podszedł i klęknął przy niej, nie bacząc na to, że spodnie na kolanach szybko mu zamokną od śniegu. Zmrużył powieki i popatrzył na miejsce wskazywane przez lekarke.

- Nic nie widzę. O co chodzi?

- Starzejesz się, chłopie - mruknęła.

- Jestem dobrze zamarynowany.

- Marynuje się mięso na pieczeń - odparła. - A ty już się na pieczeń nie nadajesz. Mówię o tatuażu, maleńkim, na tylnej części kostki.

Dopiero teraz go zauważył. Tatuaż rzeczywiście był miniaturowy, dopiero z bliska można było dostrzec ciąg liter wypisanych staromodnym krojem, jakiego prędkiej by się spodziewał na zabytkowym pergaminie. Z większej odległości był prawie niewidoczny, albo raczej niedostrzegalny, jeśli się nie wiedziało, czego wypatrywać.

- Co to za litery?

- Jeśli się nie mylę, „DZM” - powiedziała Violet. - Tylko nie pytaj, co to może znaczyć.

- „DZM”? Jesteś pewna?

- Tak. Co prawda wytatuowane czerwonym tuszem, do tego niezbyt czytelnym krojem liter, ale jestem pewna, że się nie pomyliłam. Czy ten skrót z czymś ci się kojarzy?

- Owszem. - Stride podniósł się na nogi i otrzepał śnieg z kolan. A po chwili dodał półgłosem: - Do diabła...

Odniosł wrażenie, jakby miał swój udział w zabójstwie tej kobiety, do którego przyczynił się, pytając o nią. Jak również przez to, że nie odnalazł jej wcześniej, wystawiając ją, bez jakiegokolwiek

ochrony, na cel zabójcy. I uratować mogło go jedynie to, że morderca tym razem popełnił kardynalny błąd. Nie zwrócił uwagi na ten tatuaż. Może nawet nie wiedział, że zdradza on sekretną tożsamość ofiary.

Ale Stride mógł już zidentyfikować okaleczone zwłoki leżące w śniegu. I był pewien, że kobieta nie przypadkiem padła ofiarą mordercy. Jej śmierć była ściśle powiązana z zabójstwem Erica.

DZM.

„Dama ze mnie”.

Ofiarą była Helen Danning.

## 62.

Maggie zastała Serenę leżącą w szpitalnym łóżku, zapatrzoną w ekran telewizora umieszczonego wysoko pod sufitem. Na jej widok sięgnęła po pilota, wyłączyła odbiornik i powitała ją nieśmiałym uśmiechem. Ramię miała grubo zabandażowane. Przezroczystymi plastikowymi rurkami biegnącymi zza uszu do łącznika umieszczonego pod nosem płynął tlen. Czarne włosy miała gładko zaczesane i zebrane z tyłu głowy. Była do piersi zakryta kołdrą, lecz na widocznych odsłoniętych fragmentach ramion ciemniały krwistoczarne oparzeliny. Serena pochwyciła spojrzenie Maggie i powiedziała:

- Te są najmniej groźne.

- Wiem. - Maggie przysunęła sobie krzesło bliżej łóżka i usiadła. W zakłopotaniu przygryzła górną wargę, mocno wbijając w nią zęby. W pokoju panował nieprzyjemny zaduch. Zerknęła podejrzliwie na bursztynowy płyn w zbiorniczku kroplówki, a potem na akwarelę przedstawiającą Canal Park zawieszoną pośrodku jasnobłękitnej ściany. - Nie wiem, co powiedzieć. Wszystko brzmi

tak głupio... Jak się czujesz? Wszystko w porządku?... Chyba rozumiesz, co mam na myśli?

Serena popatrzyła na różowe pudełko, które Maggie trzymała na kolanach.

- To dla mnie?

Maggie spojrzała w dół.

- Tak, pewnie. Omal nie zapomniałam. Przyniosłam ci pączki. Masz ochotę? Kupiłam tradycyjne, okrągłe z dziurką i z nadzieniem kremowym, takie, co strzelają budyniem, gdy wbijasz w nie zęby.

Serena zaśmiała się krótko, co przypląciła atakiem bólu.

- Chętnie zjem tradycyjnego, jeśli łaska.

- Chcesz, żebym cię karmiła?

- Nie, lewą rękę mam w niezłym stanie. Dam sobie radę.

Maggie otworzyła pudełko, rozdawszy paznokciem taśmę samoprzylepną, i podała jej pączka. Serena łakomie rozprawiła się z nim w trzech kęsach i otarła cukier z warg. Maggie wzięła dla siebie angielskiego w czekoladzie, po czym zamknęła pudełko i postawiła je na stoliku.

- Nie dają ci morfiny? - zapytała.

- Prosiłam, żeby ją odłączyli.

- Dlaczego? Oparzenia są cholernie bolesne.

- Dołączyli elektroniczny zawór sterowany pilotem, więc mogę sama zaaplikować sobie dawkę, jeśli uznam, że tego potrzebuję. Znasz mnie. Łatwo popadam w uzależnienia. Nie chcę stąd wyjść z głodem środków przeciwbólowych.

- Ale musisz jakoś pokonać ból.

- Kiedy zaczyna mnie piec tak, że mam ochotę poodrąbywać sobie nogi, wzywam pielęgniarkę i ona daje mi dawkę morfiny.

- Kiedy dostałaś ostatnią?

- Aż nazbyt dawno temu.

- Lepiej nie rób z siebie męczennicy.

Serena spojrzała na przycisk wzywający pielęgniarkę, zwieszający się na kablu tuż przy jej prawej ręce, ale nie sięgnęła po niego.

- Oglądałam wiadomości - powiedziała. - Już wiem o kolejnej dziewczynie z parku Engera.

- Stride uważa, że to zwłoki Helen Danning.

Serena zmarszczyła brwi.

- I wiąże tę sprawę z zabójstwem Erica?

- Na to wygląda.

- Powinnaś się cieszyć.

Maggie wruszyła ramionami, skubnęła kawałek pączka, włożyła go do ust i oblizała czekoladę z palców.

- Będę się cieszyła, gdy przestanę mnie podejrzewać o zabójstwo. Zresztą ścinanie głów nie jest w moim stylu. Za dużo krwi. Wolę kulkę w łeb. Szybko i czysto.

- Nieźle - mruknęła Serena.

- Niedobrze mi się robi na myśl, że trzeba będzie wrócić do sprawy tamtej dziewczyny z parku Engera. Długi czas grzebałam się w tych aktach.

- Wszyscy miewamy tego typu sprawy.

Maggie nie trzeba było tego tłumaczyć, ale dla niej sprawa dziewczyny z parku Engera miała inny charakter. W samym fakcie porzucenia zwłok młodej czarnej dziewczyny w wysokiej mokrej trawie było coś, co ścisnęło ją za serce, tym bardziej że nawet nie były to już zwłoki, a jedynie okaleczone ciało zostawione w odludnym miejscu, żeby tam zgniło. Brzydziła się tym aktem skrajnego pohańbienia, który zakończył pasmo udreki, gwałtów i śmierci. Głęboko żałowała, że nie zdołała zidentyfikować dziewczyny, żeby chociaż w ten sposób oddać jej sprawiedliwość i przywrócić do świata ludzi. Poza tym nie mogła powiedzieć Serenie, że właśnie w trakcie tamtego dochodzenia poczuła coś więcej do Stride'a, uświadomiwszy sobie, że bliska współpraca z nim to

nie tylko rozwiązywanie zagadek kryminalnych, ale także wspólne przeżycia, a zwłaszcza cierpienia wobec własnej niemocy.

- Dzięki, że złapałaś Niebieskiego Psa - odezwała się Serena. - Nie jestem pewna, czy teraz wytrzymałabym w łóżku, gdybym wciąż się bała, że on pozostaje na wolności.

- Też miałam z nim rachunki do wyrównania - przypomniała jej Maggie. - W każdym razie nie musimy się już go obawiać.

- Właśnie za to chciałam ci podziękować.

- Mam nadzieję, że nawet w Alabamie potrafią utrzymać za kratkami jednorękiego mordercę.

Serena odwróciła głowę i zapatrzyła się w dal.

- Czy on... - zaczęła nieśmiało Maggie, a po chwili dodała: - Nie musisz mi się zwierzać.

- Nie miał okazji - odparła stanowczo Serena.

- To dobra wiadomość. Przynajmniej z tym problemem nie będziesz musiała się zmagać.

Serena przygryzła wargę.

- Jasne.

- Na pewno wszystko w porządku?

- Chciałabym, żeby to wszystko już się skończyło. A przede wszystkim chciałabym stąd wyjść.

- Nie wypisuj się na siłę. Musisz dojść do siebie. Musisz mieć pewność, że nie grożą ci żadne powikłania.

- Zgadza się. To samo wszyscy mi powtarzają.

Maggie popatrzyła ze zdziwieniem na wyginające się ku dołowi usta przyjaciółki, dygotanie jej brody, łzy napływające do oczu, w których nagle zagościł strach.

- Hej - mruknęła, pochyliła się nad łóżkiem i pogłaskała ją po głowie.

- Przepraszam - szepnęła Serena. - Ale naprawdę mi ciężko, rozumiesz?

- Całkowicie.

- Powinam być wdzięczna. Leżę w szpitalu i wracam do zdrowia. Ale kiedy złapie mnie kaszel, mam wrażenie, jakby płuca wciąż mi się paliły, a wtedy nachodzą mnie obawy, czy kiedykolwiek jeszcze zdołam odetchnąć pełną piersią. Nie wiem, czy będę jeszcze mogła biegać. Do cholery, nie mam nawet pewności, czy dam radę normalnie chodzić.

Łzy pociekły jej po twarzy. Maggie aż rozzłościła się na siebie z powodu własnej bezradności.

- No i obejrzałam się w lustrze - dodała Serena. - Lekarze mi to odradzali, ale nie wytrzymałam. Mój Boże, Maggie... Mój Boże...

- Czemu się zadręczasz?

- Wiem, że to głupie i szczeniackie, ale nie chcę, żeby Jonny mnie taką oglądał. W takim stanie...

- Wyzdrowiejesz. Wyjdiesz z tego.

Serena pokręciła głową.

- Przecież wiesz, że nie tylko twoje ciało potrzebuje czasu - szepnęła Maggie. - Psychika także. Przypomnij sobie, co mi tłumaczyłaś. Miałaś rację. Musiałam wyjść ze stanu negacji. Nadal potrzebuję fachowej pomocy, a ty tym bardziej. Jutro zamierzam się spotkać z Tonym. Powinnaś zrobić to samo. A ilekroć zatęsknisz za bratnią duszą, będę do twojej dyspozycji. Stride też. Powinnaś to wiedzieć.

- Ale to takie bolesne - odparła Serena. - Takie bolesne... Kiedy o tym pomyślę, ból staje się nie do zniesienia. Mam wrażenie, że będzie mi dokuczał do końca życia.

Maggie chwyciła sygnalizator i wcisnęła guzik. Serena nie zaprotestowała. Zapatrzyła się w sufit ze spazmatycznie rozwartymi ustami. Napięła wszystkie mięśnie, a jej nogi pod kołdrą nerwowo zadrgały. Długie i smukłe palce odruchowo zacisnęły się w pięści.

- Już nic nigdy nie będzie takie samo - wymamrotała. - Nic już nie będzie w porządku.

- Cicho. Nic więcej nie mów.

- Poproś Jonny'ego, żeby tu nie przychodził. Powiedz mu, że nie chcę go widzieć.

Do sali weszła pielęgniarka. Trzymała już w ręku pilota od elektronicznej aparatury dawkującej morfinę. Dobrze wiedziała, czego Serenie potrzeba, wiedziała też, że musi się pospieszyć. Maggie popatrzyła, jak reguluje pokrętko zaworu kroplówki. Działanie narkotyku dało się zaobserwować prawie od razu. Oczy Sereny zaszyły mgłą, rozluźniła mięśnie i wyciągnęła się na łóżku z wyraźną ulgą. Raz i drugi poruszyła jeszcze ustami, lecz nie płynął z nich żaden dźwięk.

Pielęgniarka została w pokoju, dopóki Serena nie zapadła w sen, uwolniona od bólu.

- W jakim ona jest naprawdę stanie? - zapytała cicho Maggie.

- Teraz przechodzi najgorsze stadium - wyjaśniła pielęgniarka.

- Silny ból wzmacnia wrażliwość. Ale proszę się nie martwić, oparzenia już zaczynają się goić. Płuca też się oczyszczają, wydajność oddechu wraca do normy. Nawet by pani nie uwierzyła, jak bardzo jej stan się poprawił przez tych kilka dni.

Przynajmniej stan fizyczny, skwitowała w myślach Maggie.

Kiedy Stride przyjechał do szpitala, światła na oddziale były już pogaszone. Właśnie minęła północ. We wszystkich pokojach, które mijał po drodze, paliły się najwyżej słabe nocne lampki, nieliczni krewni czuwający przy najbliższych sączyli kawę z kubeczków. W korytarzu unosiła się intensywna woń środka odkażającego stosowanego do mycia podłóg. Na oddziale oprócz dorosłych leżały także dzieci. Niektórzy pacjenci wracali do zdrowia, stan innych się pogarszał. Między żywymi byli umierający. Ta odwieczna walka przypominała mu, że Serena dojdzie do siebie, niemniej w tym samym szpitalu Cindy przegrała zmagania



z nowotworem. Ilekroć tu przyjeżdżał i zagłębiał się w korytarze, dopadały go tak silne wspomnienia, że ledwie mógł je znieść.

Wszedł do pokoju Sereny i stanął w nogach łóżka, spoglądając, jak jej pierś unosi się i opada rytmicznie w rytm spokojnego snu. Mimowolnie zachował się tak samo, jak przed laty czynił to prawie codziennie - zdjął skórzaną kurtkę, powiesił ją na poręczu krzesła, usiadł i w półmroku zapatrzył się na śpiącą kobietę swego życia. Wówczas z dnia na dzień Cindy czuła się coraz gorzej i przy każdej wizycie na jej widok odnosił wrażenie, jakby krwiożerczy szczur wygryzał mu kolejny kawałek serca. Nie mógł pogodzić się z myślą, że leżąca w łóżku konająca kobieta jeszcze niedawno była jego piękną, energiczną żoną, że wcześniej jako siedemnastolatka pewnego cudownego lata na zawsze odmieniła jego życie.

Odeszła za szybko. Tak mało z życiowych planów zdążyli wspólnie zrealizować.

Teraz nie mógł uwierzyć, że dostał drugą szansę. Aż uczynił to, czego nie robił od lat. Odmówił w myślach modlitwę. Wtedy także się modlił, ale Bóg nie wysłuchał jego próśb. Dlatego odszedł od wiary, tłumacząc sobie, że jakiegokolwiek modły nie mają większego sensu. Ale teraz wszystko się zmieniło. W jego życiu pojawiła się ta kobieta i żeby ją uratować, dosłownie poszedł w ogień. I był wdzięczny Bogu, że zdołał uratować jej życie. Tęsknił za chwilą, kiedy ona odzyska siły.

Niemalże mimowolnie pochylił się i delikatnie musnął palcami leżącą na pościeli dłoń Sereny. Nie chciał jej budzić, lecz ku swemu zaskoczeniu poczuł, że jej palce zaciskają się na jego rękę. Po chwili zamrugła ospale, jak gdyby powieki miała z ołowiu. Była półprzytomna, znieczulona morfiną. Kiedy go ujrzała, rozpogodziła się natychmiast, aż musiał siłą powstrzymywać napływające mu do oczu łzy. Cindy zrobiła taką samą minę, nawet tuż przed

śmiercią, na jego widok rozświetlała się jak choinka ozdobiona lampkami na Boże Narodzenie.

Serena wymamrotała coś, czego nie zrozumiał. Chwilę później powtórzyła, z wysiłkiem, cedząc słowa:

- Nie mogłam tam być.

Pochylił się nad łóżkiem, wciąż nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

- Słucham?

- Próbowałam - dodała bełkotliwie. - Ale nie mogłam.

Uśmiechnął się, jakby dotarło do niego, co próbuje mu przekazać.

- Przez ciebie - dokończyła.

- Nic nie mów- odparł szeptem. - Śpij.

- I nadal jestem tutaj - bąknęła, zamknąwszy oczy.

Obserwował ją jeszcze przez chwilę, ale i jego powieki zrobiły się jak z ołowiu, zamknął więc oczy i zapadł w drzemkę, a we śnie wróciły wspomnienia z wakacji spędzonych przed laty na mierzei.

## 63.

Abel Teitscher siedział podenerwowany w sali prywatnych spotkań więzienia dla kobiet w Shakopee. Oburącz ścisnął styropianowy kubek i spoglądał na czarną parującą kawę, której nawet nie spróbował. Miał na sobie odprasowany szary garnitur klasycznego kroju, który zapewne wkładałby do kościoła, gdyby był wierzący. Swoją tencz starannie złożył i powiesił na oparciu sąsiedniego krzesła. Czarne buty błyszczały od pasty. Nabrał zwyczaju odświętnego ubierania się na wizyty w aresztach i więzieniach, jak gdyby uważał garnitur i krawat za przedłużenie krat oddzielających go od skazanych.

Nie widział Nicole Castro od sześciu lat, od chwili, kiedy po ogłoszeniu wyroku została wyprowadzona z sali posiedzeń sądu okręgu Saint Louis. Wtedy, tuż przed wyjściem, spiorunowała go wzrokiem z taką miną, jakby byli sobie całkiem obcy. Pewnie dlatego nie czuł teraz ani śladu ciekawości, jak ona wygląda, w zasadzie pragnął jedynie na dobre o niej zapomnieć. Nie czuł potrzeby widzenia się z nią, jechał tu jak na stracenie, ale gotów był niemal ze zmiętym kapeluszem w rękach prosić ją o wszelkie użyteczne informacje. Domyślał się, jakiej reakcji po niej oczekiwać.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem i strażnik wprowadził ją do środka. Nie podniósł wzroku, ale poczuł na sobie jej spojrzenie i wydało mu się, że duszne powietrze w sali nagle zrobiło się lodowate. Nie splunęła i nie zaczęła krzyczeć, tylko odwróciła się do strażnika i powiedziała:

- Zabierz mnie stąd, do jasnej cholery.

- Bądź uprzejma - odparł klawisz basem, którym odbił się gromkim echem w niewielkim pomieszczeniu. Ledwie się mieścił w wąskim przejściu.

- Nie chcę z nim rozmawiać. Zabierz mnie stąd.

- To oficer śledczy, więc bądź grzeczna, posadź dupę na krzesło i wysłuchaj spokojnie, co ma do powiedzenia.

Nicole wysunęła krzesło spod dużego drewnianego stołu i ciężko na nie klapnęła. Obrzuciła Abła takim wzrokiem, jakby zobaczyła wielkiego obrzydliwego pajaka siedzącego w leśnych zaroślach. Ten nadal nie podnosił wzroku znad kawy w kubeczku. Strażnik wycofał się na korytarz i zamknął drzwi na zasuwkę. W sali zaległa grobowa cisza, siedzieli tak przez dobre dwie albo trzy minuty, nie odzywając się do siebie. Od niej emanowała wręcz namacalna pogarda, która tylko działała mu na nerwy, więc on też miał ochotę natychmiast stąd wyjść.

- Wyglądasz jak stary dziad - odezwała się w końcu Nicole. -

Mam nadzieję, że stoisz nad grobem albo coś w tym rodzaju.

Abel powoli uniósł wzrok znad smolistej powierzchni kawy i popatrzył na Nicole. Ona też już nie była tą młodą policjantką, którą pamiętał.

- I kto to mówi? - bąknął.

- Słyszałam, że się rozwiodłeś. Zostałeś swoją żoną bzykającą się z jakimś ogierkiem.

- Dobrze słyszałaś.

- Więc jak teraz żyjesz? Siadasz na tej starej wygniezionej kanapie i po całych wieczorach gapisz się na swojego fiuta?

Abel z obrzydzeniem pomyślał, że ma rację.

- Biegam.

- Poważnie? Nawet się nie dziwię, w końcu masz po co biegać. Nadrabiaj zaległości. Słyszałam plotki, że dałeś dupy jako szef wydziału. Ludzie tak cię znienawidzili, że zmusili Stride'a do powrotu pod groźbą masowego buntu.

Wzruszył ramionami.

- Skończyłaś?

- Jeszcze nawet nie zaczęłam.

- Możesz mnie obwiniać, o co tylko chcesz, ale to nie ja wpakowałam cię za kratki. Spieprzyłaś sprawę, Nicole. Nie dało się już nic poradzić.

- Tak, pewnie, jakby twoja pomoc była cokolwiek warta. W końcu pomogłeś mi uziemić na dwadzieścia lat. Przez ciebie mój syn musi dorastać z dala od matki.

- To nie ja zabiłem tych ludzi, tylko ty.

- Dobrze wiesz, że to nieprawda.

Abel pokręcił głową. Słyszał tę samą piosnkę już przed laty.

- Daj spokój.

- Tylko mi tu nie kręć głową, dobra? Zwłaszcza po tym, jak się postarałeś na miejscu zbrodni, żeby znalazły się dowody mojej winy.

- Naprawdę nie potrafisz wykombinować niczego innego? Naprawdę myślisz, że cię wkopałem? Miałem nadzieję, że po sześciu latach spróbujesz innej wymówki.

- Pieprz się. Wracam do celi.

Wstała i załomotała pięścią w drzwi. Chwilę później za okienkiem pojawiła się nalana twarz barczystego strażnika. Zignorował Nicole i popatrzył na Abla, ten zaś pokręcił głową. Drzwi pozostały zamknięte. Nicole zakląła i z furią wróciła na krzesło, po czym skrzyżowała ręce na piersi.

- Więc czego ode mnie chcesz, do jasnej cholery? - warknęła. - Po co tu przyjechałeś?

- Przyjechałem, bo Stride mnie poprosił, żebym z tobą porozmawiał.

- Czyżby? O czym?

- O sprawie dziewczyny z parku Engera.

Zaskoczona, przekrzywiła głowę na ramię.

- Że co?

- Dobrze słyszałaś.

- Oczekujecie mojej pomocy w śledztwie? To jakiś żart?

- Chcielibyśmy wiedzieć, czy nie odkryłaś czegoś ciekawego, kiedy przeglądałaś akta podczas weryfikacji zamkniętych dochodzeń. W teczce nie ma żadnej twojej notatki.

- No cóż, nigdy nie pałałam miłością do papierkowej roboty.

- Od tamtej pory teczka leży na moim biurku i tylko zbiera kurz.

- Nigdy mnie nie pytałeś o moje zdanie. Nikt się tym nie interesował. Przez sześć lat nikt nie zadał mi ani jednego pytania w tej sprawie. A przecież wyrobiłam sobie własną opinię.

Nicole zawsze pozowała na superglinę, tyle że większość jej teorii okazywała się niewiele warta.

- Więc pytam teraz - burknął.

- Tak, tylko niby dlaczego miałabym ci cokolwiek powiedzieć? Sam przejrzyj te papierzyska. Gwoli ścisłości, już nie służę w policji.

- Została zamordowana inna kobieta, a jej zwłoki porzucono w parku - rzekł.

Nicole nie odpowiedziała. Zwrócił uwagę, że pod stołem nerwowo podryguje nogą.

- W takim samym stanie? To znaczy z odciętą głową i dłońmi? Przytaknął.

- Cholera. Też taka młoda?

- Nie, sporo starsza. Podejrzewamy, że to niejaka Helen Danning. Zetknęłaś się kiedykolwiek z tym nazwiskiem?

Nicole pokręciła głową. Całkiem opanowana.

- Nie.

- To jaką opinię sobie wyrobiłaś?

- Myślicie, że to sprawka tego samego zabójcy? Po tylu latach przerwy?

- Może i tego samego, a może naśladowcy. Tak czy inaczej, próbujemy ustalić, czy istnieją jakieś powiązania między obydwoma przypadkami. Bardzo byś nam pomogła, gdybyś powiedziała, co wiesz - wyrzucił z siebie jednym tchem, obawiając się, że inaczej te słowa nie przejdą mu przez gardło.

- Dlaczego Stride przysłał właśnie ciebie?

- Nie prosiłem się o to.

- Pewnie. Ale właśnie ciebie wybrał na dziewicę, z której postanowił złożyć mi ofiarę. Czyżby myślał, że jak da mi szansę do wyżycia się na tobie, chętnie powiem wszystko, co wiem?

- Coś w tym rodzaju. Zresztą formalnie stara sprawa jest teraz w mojej gestii.

- „Formalnie” oznacza, że nie zamierzasz nawet kiwnąć palcem.

- Owszem, nie mylisz się. Nie mam czasu zajmować się dochodzeniami, które donikąd nie prowadzą, bo każdego dnia lądują na moim biurku teczki ze świeżymi sprawami.

- Mam rozumieć, takimi, w których ofiary są białe.

- Przestałaś wreszcie obrzucać mnie tym gównem. Już to przerabialiśmy. Udało ci się nawet przekonać Guppo, że jestem cholernym rasistą, chociaż dobrze wiesz, że to nieprawda.

- No jasne. I pewnie bardzo cię zaskoczyło, gdy twoja czarna partnerka została aresztowana pod zarzutem morderstwa. Te kolorowe jabłka zawsze spadają blisko jabłoni, no nie?

- Zrozum, że straciłem serce do ciebie nie dlatego, że jesteś czarna, ale dlatego, że okazałaś się winna zabójstwa.

- W twojej parafii to dokładnie to samo, Abel. Możesz postawić między tymi przyczynami znak równości.

- Więc jak, zamierzasz mi pomóc, czy tylko niepotrzebnie marnuję swój czas?

- Na jakiej podstawie sądzisz, że po sześciu latach jeszcze cokolwiek pamiętam z tamtej sprawy?

On powiedział to samo Stride'owi, ale teraz, patrząc w oczy Nicole, nabrał pewności, że niczego nie zapomniała. Pamiętała wszystko ze szczegółami. Bo w głębi serca nadal czuta się policjantką.

- Bo masz syna - odparł - i na pewno byś nie chciała, żeby skończył jak tamta dziewczyna z parku.

Jej złość prysła jak bańka mydlana.

- Zgadza się.

- Jak się miewa twój chłopak? - zapytał półgłosem.

- Jest daleko. Bardzo daleko. Ale to dobrze. Poszedł do college'u na tym cholernym południu.

- Miło mi to słyszeć.

Nicole zapatrzyła się na swoje dłonie, jakby należały do kogoś innego.

- Aerosmith - rzuciła. - Taką wyrobiłam sobie opinię.

- Nie rozumiem.
- Dziewczyna z parku Engera miała kupę tatuaży, emblematów z gier wideo i symboli zespołów heavymetalowych. Pamiętasz?
- Stride i Maggie sprawdzali ten trop. Rozmawiali nawet z muzykami z tych zespołów. To ślepa uliczka.
- Nicole skwitowała to uśmiechem.
- Owszem, tyle że wtedy nie było jeszcze całego tego sieciowego gówna, no nie? Blogów, czatów i innych bzdur. Kiedy ja dostałam sprawę, miałam już okazję spędzić wiele godzin na czatach i różnych forach fanów tych zespołów. Bon Jovi, Barenaked Ladies, Aerosmith. Wymyśliłam, że skoro dziewczyna była ich wielką miłośniczką, ktoś z tych forów dyskusyjnych może pamiętać fankę, która nagle przestała się pojawiać na koncertach latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku.
- Ale to jak szukanie igły w stogu siana. Nastolatki wciąż zmieniają upodobania, słuchają raz takiej, raz innej muzyki.
- Przecież nie miałam specjalnie nic innego do roboty, no nie?
- I trafiłaś na jakiś ślad?
- Pochyliła się nad stołem. Ogarnęło ją podniecenie, jakby nagle zapomniała, gdzie się znajduje.
- Pewna dziewczyna z Chicago powiedziała mi, że zaprzyjaźniła się z pewną czarną, z którą jeździła z jednego koncertu na drugi podczas tournée Dziewięć Życ grupy Aerosmith latem dziewięćdziesiątego siódmego roku. Ta czarna miała na imię Tena.
- A jak się nazywała dziewczyna z Chicago?
- Nie chciała mi podać nawet swojego imienia. A gdy zdradziłam jej, że jestem policjantką i szukam mordercy, przestraszyła się, rozłączyła i nie dała więcej znaku życia.
- To wszystko?



- Powiedziała jeszcze, że była umówiona na spotkanie z Teeną przed koncertem w Chicago, ale ta się nie pojawiła.

Abel zmarszczył brwi.

- To nie jest zbyt zachęcający trop.

- Może i nie, ale weź pod uwagę, że ta dziewczyna po raz ostatni widziała Teenę na koncercie w Kansas City dwudziestego szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. I widziała, jak tamta po koncercie wsiada do samochodu z jakimś starszym białym mężczyzną. Od tamtej pory już jej więcej nie spotkała.

- Dwudziestego szóstego sierpnia? - Abel zaczął dostrzegać zbieżność dat.

- Właśnie. A dwa dni później znaleziono zwłoki w parku Engera. Rozumiem, że to jeszcze o niczym nie świadczy, ale to i tak dużo ważniejszy trop niż wszystkie pozostałe. Miałam zamiar wybrać się do Kansas City, żeby porozmawiać ze sprzedawcami biletów z tamtego okresu, popytać ich o Teenę, ewentualnie o jakiegoś miłośnika zespołu pochodzącego z Duluth albo okolicy. Zamierzałam też zacząć tropić uczestników tamtego koncertu, mając nadzieję, że ktoś zapamiętał czarnoskórą fankę bądź też mężczyznę, z którym odjechała.

- Koszmarna robota.

- Tak, to prawda, ale jak już powiedziałam, nie miałam nic innego do roboty, a bardzo chciałam się wykazać przed niektórymi.

Abel odchylił się na oparcie krzesła.

- Więc dlaczego zrezygnowałaś z tych planów?

Nicole zmierzyła go surowym wzrokiem spod zmarszczonych brwi i wskazując szerokim gestem otaczające ich ściany, odparła:

- Bo nagle co innego zważyło mi się na głowę. Nie zauważyłaś?

- Przepraszam.

- Twierdzą jednak, że ta właśnie Teena jest naszą dziewczyną z parku Engera. Ten facet, który zabrał ją po koncercie, zapewne ją zgwałcił, potem zamordował, a zwłoki podrzucił w parku w Duluth.

- Szkoda, że nie powiedziałaś tego wszystkiego już wtedy - mruknął Teitscher.

- Już mówiłam, że musiałam się niespodziewanie zająć własnymi problemami.

- Nie jestem tylko pewien, jak to wszystko wiąże się z zabójstwem Helen Danning.

- Może ona też była fanką zespołu Aerosmith.

Abel pokręcił głową.

- Pracowała jako bileterka w centrum wystawiającym musicale z Broadwayu. Nie sądzę, żeby słuchała także muzyki hardrockowej.

- W każdym razie powinniście dokładnie sprawdzić okoliczności tej nowej zbrodni - powiedziała Nicole. - Możliwe, że te dwie sprawy w ogóle się ze sobą nie wiążą. Ale zrób mi przysługę, dobrze? Nie spuść tego wszystkiego z wodą w kiblu. Niewykluczone, że w Kansas City można trafić na pewniejszy ślad. A może uda się jeszcze odszukać tę dziewczynę z Chicago.

- Pewnie, spędzam tyle czasu na czatach miłośników heavy metalu, że od razu na nią trafię - mruknął.

- Tacy ludzie pozostają wierni swoim idolom do końca życia. Jeśli dziewczyna w dziewięćdziesiątym siódmym jeździła za zespołem po trasie koncertowej, to powinna być jego fanką do dzisiaj.

- Jak wpadłaś na jej trop sześć lat temu?

- Porozmawiałam z moim psychoterapeutą - odparła Nicole.

Abel zapatrzył się na nią wytrzeszczonymi oczami.

- Słucham?

- Znasz przecież Tony'ego Wellsa, no nie? On też jest wiernym

fanem zespołu Aerosmith. Podał mi całą listę stron sieciowych. Dzięki temu natrafiłam na tę dziewczynę z Chicago.

- Faktycznie, widywałeś się z Tonym - rzekł w zamyśleniu.

- No wiesz, miałam trochę różnych problemów. Wiedziałeś o nich.

To pewnie ślepa uliczka, uznał w duchu Abel. Fałszywy trop. Tony Wells przyjmował w swoim gabinecie połowę gliniarzy z komendy miejskiej. To była jego praca.

Tyle że stał się teraz jedynym punktem zaczepienia. Jak na człowieka, który nie ufa niczemu, czego nie da się dotknąć czy powąchać, poczuł nadspodziewanie silny przyptyw wiary. Bo ujrzał w myślach całość obrazu. Kiedy znów ujrzał przed sobą Nicole, ogarnął go również żal, tak głęboki, że wręcz bezdenny, jak studnia, w której nigdy nie słyhać plusku kamienia wpadającego do wody.

- Powiedziałaś Tony'emu, do czego potrzebne ci te informacje? - zapytał.

- Początkowo nie. Powiedziałam mu dopiero później, gdy już wpadłam na trop Teeny.

- Pamiętasz dokładnie, co mu powiedziałaś?

Nicole obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem spod mocno nachmurzonych brwi.

- To samo, co teraz tobie. Że wydaje mi się, iż odkryłam coś, co może być przełomowe dla rozwikłania sprawy dziewczyny z parku Engera. Chyba pamiętasz, że był naszym konsultantem w tamtej sprawie. Sporządził profil psychologiczny zabójcy.

- Tak, pamiętam - mruknął Abel.

- Poruczniku, musisz to zobaczyć! - zawołał Guppo.

Stride pchnął aluminiowe uszko, otwierając czerwoną puszkę coca-coli. Gaz uleciał z głośnym sykiem.

- Już idę.

Minęła siódma wieczorem, a oni wciąż pracowali w podziemiach ratusza. Palila się tylko połowa jarzeniówek pod sufitem. Guppo siedział za przepierzeniem sprawiającym wrażenie zrobionego z szarego kartonu, na wprost trzech monitorów włączonych komputerów. Tylko jeden z nich stanowił służbowe wyposażenie wydziału dochodzeniowego policji, dwa pozostałe zostały zabrane z domu Erica i z jego biura.

Stride stanął w wejściu do boksu i popatrzył z góry na Guppo, który zdawał się wypływać z ciasnego fotelika na kółkach. Wolał nie zbliżać się bardziej. Sierżant pogryzał frytki z ostrym sosem salsa i pastą guacamole, co dla niego było substytutem śmiertelnej broni.

- Znalazłeś coś? - zapytał.

- No pewnie.

Stride potarł szczypiące oczy i popatrzył, jak Guppo krótkimi i grubymi palcami z wprawą naciska klawisze rozbudowanego laptopa, którego zabezpieczyli w siedzibie firmy Erica. Mimo intensywnych aromatów dolatujących od przekąski sierżanta w powietrzu dawał się wyczuć zapach piwnicznej stęchlizny, z którym doskonale się komponowało przyćmione oświetlenie sali.

- Zaprogramowałem poszukiwanie hasła „Dama ze mnie” - wyjaśnił Guppo. - Ale rezultaty okazały się bardziej niż mierne. Autorka wykasowała swój blog, nie mogłem odnaleźć nawet żadnych archiwalnych zapisów, które by się do niego odnosiły. Ale przypomniałem sobie tatuaż na jej nodze i wróciłem do historii sieciowych stron odwiedzanych przez Erica w poszukiwaniu skrótu „DZM”.

- I co?

- Proszę bardzo - rzucił sierżant, powiększając na cały ekran okienko wpisu do blogu.

- To strona Helen? - zapytał szybko inspektor.

Guppo pokręcił głową i wrzucił do ust garść frytek.

- Nie, to strona organizacji pomagającej ofiarom gwałtu ze Środkowego Zachodu - wyjaśnił bełkotliwie, plując na wszystkie strony kawałkami przeżutych frytek. - Trzeba znać hasło, żeby się na nią dostać.

- Więc jak zdobyłeś do niej dostęp?

- Eric zapisał hasło dostępu na swoim komputerze.

- A jak on zyskał dostęp do tej strony?

- Wygląda na to, że opłacił wpisowe. Członkowie rodzin ofiar także mogą dołączać do tej społeczności sieciowej. Wpisał się jako „Pływak”. Na tej podstawie łatwo było znaleźć na twardym dysku hasło dostępu.

- I co odkryłeś na tej stronie?

- Trop pochodzący sprzed półtora roku. Pewna studentka z college'u została zgwałcona na randce w akademiku Uniwersytetu Stanowego Minnesoty i zdecydowała się opisać ten wypadek w sieci. Na jej blogu pojawił się wpis kobiety, która postanowiła przytoczyć historię swojego gwałtu z początku lat dziewięćdziesiątych.

- I to ona wystąpiła jako DZM?

Guppo skinął głową.

- Zgadza się. To była Helen Danning.

- Co napisała? - zaciekawiał się Stride.

- Sam zobacz.

Stride przecisnął się obok Guppo, udając, że nie zwraca uwagi na bijący od niego intensywny zapach cebuli, czosnku i papryki. Pochylił się i przeczytał tekst wyświetlony na ekranie:

Taki sam gwałt na randce przydarzył mi się na studiach na początku lat 90. Umówiłam się ze studentem ostatniego roku i zdecydowanie za wiele wypłam. Wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, nie widziałam w tym niczego podejrzanego,

dopiero dużo, dużo później uzmysłowiłam sobie, że musiał mi coś dosypać do drinka. Dziewczeta, uważajcie na tego rodzaju świństwa. Są brutale, którzy wykorzystują to bez skrupulów. A ten gość, z którym się spotkałam, chyba chciał mnie zabić, ale dzięki Bogu w parku zaczęli nas patrol strażnicy miejskiej. Na policji się dowiedziałam, że to moja wina, bo za dużo wypiałam. Nikt nawet nie zamierzał wnieść oskarżenia przeciwko temu bydlakowi. DZM.

- Daty idealnie pasują - zauważył Stride - nie sądzę jednak, by na tej podstawie Eric zdołał zidentyfikować sprawcę.

- Bo to nie wszystko - dodał Guppo. - To dopiero początek całego ciągu zdarzeń. Helen pisała dalej o rzuceniu studiów, o podejmowanych przez nią dorywczych pracach. O tym, że nigdy nie doszła do siebie po tamtej napaści. Wreszcie dziewczyna prowadząca blog zapytała ją o pomoc prawną. I spójrz na to.

Przerzucił kilka innych wpisów, wreszcie kolejny powiększył na cały ekran.

Pomoc prawna??? Jeszcze czego! Najbardziej pieprzne jest to, że ten łajdak, który mi to zrobił, prowadzi teraz świetnie prosperujący biznes fachowych porad dla ofiar gwałtu!!! Założył własny gabinet psychoterapeutyczny w Duluth! DZM.

- Jasna cholera - syknął Stride. - Abel miał rację co do Tony'ego, który przez te wszystkie lata doradzał nam w sprawach patologii o podłożu seksualnym.

- Rzeczywiście jest ekspertem - zauważył z goryczą Guppo.

- Damy radę udowodnić, że Eric to widział?

- Bez problemów. - Sierżant powiększył kolejne okno z wpisem:

DZM. Wydaje mi się, że ten facet wciąż jest aktywny. Sądzę, że zgwałcił moją żonę. Jak on się nazywa? Pływak.

- Co na to odpowiedziała Helen? - zaciekawił się Stride. Guppo pokręcił głową.

- Nie było już odpowiedzi. Od tamtej pory DZM nie napisała ani słowa.

- Dlatego Eric postanowił ją odszukać - mruknął inspektor.

Nagle wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować.

## 64.

Tony ani trochę się nie zmienił.

Maggie nie widziała go prawie dwa miesiące, ale on prowadził ustabilizowany tryb życia, niezależny od upływu czasu. Kiedy weszła, jak zwykle siedział w swoim głębokim skórzanym fotelu, pochylony nad notatkami, z fałdami podbródka wypływającymi spod zarostu, jakby miał wole. I jak zawsze w jednym ręku trzymał kubek z kawą, a w drugim srebrzysty długopis marki Cross, który nerwowo obracał w palcach. Podniósł na nią oczy zamglone, jak u zaspanego psa, i tylko po ruchu starannie przystrzyżonych brwi można było dostrzec jakąkolwiek reakcję na jej widok. Twarz bez wyrazu, jakby nie rzutowała na nią żadna osobowość. Bo był wiecznym obserwatorem. Skrytym za maską.

Pozostał również Aerosmith.

Muzyka tego zespołu wyróżniała Tony'ego spośród tysięcy innych ludzi. Ilekroć zjawiała się na umówione spotkanie, w gabinecie witały ją dźwięki heavymetalowych nagrań i zazwyczaj kilka początkowych minut sesji poświęcali na dyskusję o muzyce i

zespołach. Raz mówili o Mötley Crue, kiedy indziej o Guns n' Roses. Najczęściej jednak o Aerosmith. Zdawała sobie sprawę, że to sposób na rozluźnienie, dzięki któremu łatwiej było wywołać wilki kryjące się w lesie jej umysłu. Tego dnia z kolumn płynął ostatni głośny singiel grupy, *Jaded*, ale brzmienie tego utworu wzbudziło w niej nostalgię, jak gdyby Tony zamierzał się wybrać na wycieczkę w głąb jej pamięci. Było w nim coś o wczorajszym dziecku, o rzeczach straconych, które już nigdy nie wrócą.

Wyłączył muzykę, gdy tylko usiadła na kanapie, i w pokoju zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Było już ciemno i panoramiczne okno za jego plecami, wychodzące na las, wyglądało jak ciemne lustro, przez co gabinet przypominał koniec cywilizowanego świata. Wydawało się, że przekroczenie granicy dywanu pod oknem musi oznaczać rzucenie się w bezdenną otchłań czarnej dziury.

Maggie próbowała się usadowić wygodnie, ale nie sięgała stopami podłogi, przez co czuła się jak nastolatka. Tony nawet nie podniósł wzroku znad papierów. Spojrzał na nią dopiero wtedy, gdy przemówiła. Wcześniej jednak siedział ze spuszczoną głową, zapatrzony w swój kubek, którym od czasu do czasu potrzasał, jakby miał podejrzenia, że wśród fusów ukryła się jeszcze jakaś drobina mogąca dodać naparowi aromatu, jeśli tylko wywabi ją na powierzchnię.

- Dawno się nie widzieliśmy - zaczęła Maggie.

Tony podniósł kubek do ust i pociągnął łyżeczek kawy.

- Owszem.

Dopiero wtedy raczył na nią spojrzeć, ale wciąż trzymał kubek przed sobą, jakby mierzył do niej znad jego krawędzi.

- Słyszałeś już o najnowszych wydarzeniach? - zapytała.

Skinął głową. Blask lampy spod sufitu zatańczył na jego wysokim czole.

- Co z Sereną?



- Wyjdzie z tego, ale będzie potrzebowała pomocy.
- To zrozumiałe.

Nie ponaglał jej, o nic nie pytał. Jak się miewasz? Co czujesz? Co ci chodzi po głowie? Czasami przez długie minuty ich sesji panowało milczenie. Najczęściej tylko obserwował ją znad krawędzi kubka, przez co czuła się jak szczur laboratoryjny.

- Powinam była przyjść do ciebie zaraz po tym, jak zostałam zgwałcona - powiedziała Maggie.

- Więc dlaczego nie przyszłaś?

- Myślałam, że jeśli nikomu o tym nie powiem, szybciej zapomnę, zablokuję to zdarzenie w pamięci. Mam w tym pewną wprawę.

- Ale niewystarczającą?

- Zgadza się - przyznała. - Chyba nikt nie jest aż tak dobry.

- Słyszałem, że schwytałaś gwałciiciela.

- Tak.

- I to też nie pomogło?

- Sądziłam, że poskutkuje, ale, szczerze mówiąc, nie zadziałało. W każdym razie za słabo. Nie zrozum mnie źle, bardzo się cieszę, że ten porąbaniec wypadł z obiegu. Ale skutek jest taki, jakbym podpaliła własny dom, a później stłumiła ogień.

- Jasne. Więc co zamierzasz robić, żeby to naprawić?

- Nie rozumiem.

- Nie da się cofnąć tego, co się zdarzyło. Co się stało, to się nie odstanie.

- Miałam nadzieję, że wystarczy, gdy zmyję podłogi, rozczulając się w trakcie nad sobą - wyjaśniła Maggie. - A potem kupię dużą paczkę chrupek i pooglądam jakieś seriale.

Nawet się nie uśmiechnął.

- Ściśle rzecz biorąc, zastanawiam się nad adopcją - powiedziała cicho, zachodząc w głowę, czemu poruszyła właśnie ten

temat. Zapewne dlatego, że starych nawyków nie tak łatwo się pozbyć.

- Aha.

- Co: aha?

- Nic. Mów dalej.

- Myślisz, że na to za wcześnie?

- Dlaczego tak uważasz? - zdziwił się.

- Bo byłoby miło zyskać jakąś odpowiedź, przynajmniej raz na jakiś czas, za te pieniądze, jakie ci płacę.

- Jak doszłaś do tej decyzji? - zapytał.

- Jeszcze nie podjęłam decyzji, dopiero się zastanawiam. Mam wrażenie, jakby właśnie tego mi w życiu brakowało. Bycia matką. Bo wszystko, co złe, zaczęło się dopiero po tym, jak poroniłam. Nagle cały wszechświat zwałił mi się na głowę.

- Więc sądzisz, że gdybyś została matką, gwiazdy wróciłyby na swoje miejsca w konstelacjach?

- Coś w tym rodzaju.

- Mówisz tak, jakbyś oczekiwała ode mnie wyrazów aprobaty bądź dezaprobaty.

- I tak jest.

- Dlaczego ode mnie?

- Niespecjalnie od ciebie - odparła, może trochę za szybko. - Wydaje mi się, że oczekuję aprobaty od samej siebie.

- I co?

- Jeszcze nie jestem gotowa, żeby ją wyrazić.

- Z jakiego powodu?

- Bo wciąż nie znalazłam swojej drogi do wolności.

Zmarszczył brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Maggie westchnęła ciężko.

- Nigdy nie przyglądałaś się pająkowi na firance? Przeciska się przez ciasny otwór, ale w pomieszczeniu czuje się uwięziony, zaczyna więc krążyć dookoła, usiłując odnaleźć tenże otwór,

przez który mógłby wrócić na dwór. Potrafi to robić przez wiele dni. Rodzi się więc pytanie, czy zdoła odnaleźć drogę do wolności, dopóki nie zdechnie z głodu.

- A gdzie jest twój ciasny otwór w firance, Maggie?

- Czy to nie oczywiste? Eric został zabity.

Tony przestał nagle obracać w palcach długopis i znieruchomiał z kubkiem uniesionym do ust. Ich spojrzenia się zetknęły.

- Rozumiem.

- Muszę odkryć, kto to zrobił. Nie posunę się dalej, jeśli nie rozwiążę tej zagadki.

- Myślałem, że zabójcą jest ten gwałciciel, zbiegły więzień.

Maggie pokręciła głową.

- On ma alibi.

- Ale z pewnością nikt już nie podejrzewa ciebie.

- Niestety, mnóstwo ludzi. Nie mogą mi niczego udowodnić, ale na zawsze pozostanie nade mną cień. A nie można służyć w policji, gdy jest się podejrzanym o morderstwo.

Tony przygryzł górną wargę, aż zniknęła pod wąsami.

- Oboje dobrze wiemy, że niektóre sprawy zabójstw pozostają niewyjaśnione i nie ma w tym niczyjej winy. Nie możesz brać wszystkiego na siebie.

- Nie, ale to jest moja rzeka, Tony. Albo ją przekroczę, albo na zawsze ugrzęznę tu, gdzie teraz jestem. Jeśli uda mi się dostać na drugi brzeg, będę mogła dalej normalnie żyć. W innym wypadku grozi mi utonięcie.

- Czyżbyś podejrzewała, że mogę ci pomóc?

- Byłeś ostatnim człowiekiem, który tamtego wieczoru widział Erica żywego.

- Ale już powiedziałem wszystko, co wiem.

- Bądź tak miły i powiedz to jeszcze raz.

Pociągnął łyk kawy z kubka i spojrzał jej prosto w oczy.

- Eric wyznał mi, że zostałeś zgwałcona. Wydawało mu się,

że wie, kto tego dokonał. Prosił mnie o radę, jak rozpoznać, czy się nie myli. Chciał wiedzieć, jakie zadawać pytania, żeby określić, czy ktoś ma skłonności do agresji na tle seksualnym.

- Ale nie wymienił żadnego nazwiska?

- Nie. Nie powiedział, kogo podejrzewa.

- Wiem, że nie rozmawiał z Niebieskim Psem - powiedziała. -

To znaczy, że o napaść na mnie podejrzewał kogoś innego, ale się mylił. Problem polega na tym, że wciąż jestem przeświadczona, że zginął z ręki właśnie tej osoby, którą podejrzewał. Idiotyczny wniosek, prawda?

Tony zmarszczył brwi.

- Jeśli się mylił, to jaki powód miał podejrzewany przez niego człowiek, żeby go zabić?

- Może miał co innego do ukrycia.

Te słowa przemknęły przez pokój niczym niesione wiatrem poźółkłe jesienne liście, które nie chcą spaść na ziemię.

- Znamy się od dawna, Tony - powiedziała miękko Maggie. - Od czasu dochodzenia w sprawie dziewczyny z parku Engera.

- Tak, to prawda.

Przypomniała sobie nagle, jacy młodzi wtedy byli. Całe dni spędzali we trójkę, ona, Stride i Tony. Razem przeglądali materiał dowodowy, szukali charakterystycznych elementów, chcąc stworzyć portret psychologiczny zabójcy. To zadanie spoczywało na Tonym. „Macie do czynienia z seryjnym zabójcą, orzekł wtedy. Na pewno popełni drugą podobną zbrodnię. To mężczyzna, prawdopodobnie żonaty, zapewne po czterdziestce. Ma nastoletnią córkę, którą molestuje seksualnie. Albo przynajmniej fantazjuje o jej molestowaniu. Nie wierzę, by obcięcie zwłokom głowy oraz dłoni miało służyć utrudnieniu identyfikacji ofiary. To efekt jego rozgoryczenia i poczucia winy. Musiał jakoś wymazać tę dziewczynę ze swojego życia”.

Portret psychologiczny wydawał się logiczny i spójny, tyle że nie przyniósł im żadnej korzyści.

- Sprawa dziewczyny z parku Engera znowu stała się w mediach tematem numer jeden - dodała.

- Tak, wiem.

- Co ci podpowiada szósty zmysł, Tony? Czy to możliwe, że byśmy mieli do czynienia z tym samym zabójcą?

- Po dziesięciu latach? To bardzo długa przerwa między morderstwami.

- Ale się zdarza. Chodzi mi o to, że seryjni mordercy niekiedy czekają w uśpieniu aż tak długo.

Tony wzruszył ramionami.

- Owszem. To zależy tylko od tego, czy znajdują jakiś inny sposób na wyładowanie swoich patologicznych dążeń. Coś, co zapewnia im takie samo poczucie władzy, a później ulgi.

- W jaki sposób gwałcieł i morderca może wyładowywać swoje patologiczne dążenia? - zapytała. - Takie rzeczy zawsze mnie ciekawiły.

Tony wstał i podszedł do mahoniowego barku, na którym stał ekspres do kawy, po czym napełnił kubek. Jego wydatny brzuch zabawnie kołysał się przy każdym ruchu. Upił nieco i skrzywił się z obrzydzeniem. Kawa w dzbanku była zimna. Odszedł i stanął przed panoramicznym oknem, w ciemnej powierzchni wyraźnie odbiła się jego sylwetka otoczona nieprzeniknioną czernią.

- Jest na to wiele sposobów - odrzekł. - To zależy od indywidualnych potrzeb. Człowiek agresywny musiałby znaleźć substytut dla swojego nienormalnego zachowania, który zaspokajałby jego potrzebę dominowania i kontrolowania rzeczywistości. Na przykład BTK, zabójca z Wichity, został liderem wiernych w swojej parafii. Status społeczny, jaki dzięki temu zyskał, pozwolił mu na wiele lat zapomnieć o żądzy mordy.

- Moim zdanie to za łatwe.

- Nieprawda, to wcale nie jest łatwe. Miej na uwadze, że większość seryjnych zabójców chciałaby kontrolować swoją agresję. Mówimy o ludziach, którzy toczą nieustanną walkę między dobrem a złem, marząc o zdobyciu czegoś, co pozwoli im panować nad odruchami aż do śmierci. Większość szybko się poddaje. Tylko nielicznym szczęściarzom udaje się zagnać potwora do klatki.

- A co powiesz na rodzaj wiecznego obserwatora? - podsunęła Maggie. - No wiesz, człowieka mającego do czynienia ze sprawami o gwałt albo pracującego z ofiarami gwałtów bądź coś w tym rodzaju. Czy to mogłoby mu wystarczyć?

Tony popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

- Chyba tak.

- Chociażby gliniarz zajmujący się takimi dochodzeniami.

- To całkiem prawdopodobne.

- Albo człowiek współpracujący z policją. Jemu też mogłoby to wystarczyć, prawda?

- Jak już powiedziałem, wszystko jest możliwe.

Maggie skinęła głową.

- Pamiętasz Nicole Castro, prawda?

Zawrócił i usiadł z powrotem w swoim fotelu za biurkiem.

Usadowił się wygodnie i odparł:

- Tak.

- Nawet nie wiedziałam, że z nią też miałeś sesje.

- Pracuję z wieloma policjantami, ale nie mogę mówić o swoich pacjentach.

- Tak, wiem, tajemnica zawodowa.

Pociągnął łyk kawy.

- Dziś wieczorem przyszedł do mnie Stride - ciągnęła. - Abel Teitscher był w Saint Paul i rozmawiał z Nicole o sprawie dziewczyny z parku Engera.

- Poważnie?

- Okazuje się, że Nicole odkryła coś, co mogło stać się przełomem w śledztwie, tyle że została aresztowana. Powiedziała, że właśnie ty bardzo jej pomogłeś.

- Ja? Nie pamiętam.

- Twierdzi, że wskazałeś jej właściwy kierunek, jakbyś powiedział wprost: idź tą drogą. Naprawdę nie pamiętasz? Chodziło o zespół Aerosmith? Zabawne, prawda?

- Nie rozumiem.

- No więc pomogłeś jej dotrzeć do forów dyskusyjnych fanów zespołu Aerosmith i pewnie nawet się nie domyślasz, że ona nabrała przeświadczenia, że na jednym z tych forów znalazła trop prowadzący do identyfikacji dziewczyny z parku Engera. Jej zdaniem to dziewczyna, która nieopatrznie zgadała się z przyszłym zabójcą na koncercie grupy Aerosmith w Kansas City latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego. Kilka dni później znaleźliśmy w parku właśnie jej zwłoki. Nicole wnioskuje stąd, że zabójca także musiał być na tym koncercie.

- Coś mi się zdaje, że to wielki stóg siana, w którym chcecie szukać igły - odparł Tony.

Maggie uniosła wzrok do nieba.

- No tak, to jasne jak słońce. Jednakże Nicole była pełna optymizmu. Takie koncerty to istny cyrk, prawda? Przyjeżdżają na nie dziesiątki tysięcy fanów. Ale tego chyba nie musisz ci tłumaczyć.

- Nie musisz.

Maggie obejrzała się, zmrużyła oczy i powiodła wzrokiem po szeregach oprawionych dyplomów wiszących na ścianie za kanapą.

- Muszę sobie zrobić okulary - mruknęła. - Coraz gorzej widzę. Jeśli się nie mylę, studiowałaś na Uniwersytecie Stanowym Minnesoty, prawda? I to w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych?

- Zgadza się. Tam skończyłem studia i tam robiłem dyplom magisterski z psychologii.

- Zatem pewnie bywaliśmy w kampusie w tym samym czasie, tyle że nie mieliśmy okazji się poznać.

- Przecież to niemal odrębne miasto.

- To prawda. Mieszkają tam tysiące studentów, a człowiek ma okazję poznać zaledwie garstkę. No i nie zwraca się uwagi na krążące wśród nich plotki, jak choćby opowieść Helen Danning. Studiowała na uniwerku w tym samym czasie co my, tyle że zawałiła naukę, poszła do pracy i już nie wróciła na studia. Kiepsko jej się ułożyło.

- Kim jest ta Helen Danning? - zapytał obojętnym tonem.

- Tą drugą dziewczyną z parku Engera, której zwłoki odnaleziono wczoraj.

Tony poskubał brodę i na krótko zamknął oczy. Kiedy je ponownie otworzył, Maggie patrzyła na niego uważnie przenikliwym, lodowatym wzrokiem. Wyglądała, jakby szeptała do niego, jakby chciała mu przekazać prawdę i zachęcić do czegoś. Można było odnieść wrażenie, że zrodziła się między nimi niewidzialna więź podobna do połyskliwej linki łączącej dwa styropianowe kubeczki z kawą, wzdłuż której wędruje jej szept.

- Nie słyszałem, żebyście zidentyfikowali zwłoki - odezwał się Tony.

- Bo ta informacja nie została jeszcze ujawniona. Ale nie ma wątpliwości. Zabójca popełnił olbrzymi błąd. Przeoczył maleńki tatuaż za kostką na nodze ofiary.

- Naprawdę?

- Wytatuowane są tylko trzy litery, DZM. Helen prowadziła w sieci blog pod nazwą „Dama ze mnie”. Właśnie przez ten blog Eric odnalazł ją w Ordway Center w Saint Paul.

- Eric?

- Zgadza się. Tuż przed śmiercią wybrał się na spotkanie z Helen Danning. A następnego dnia ona zniknęła. Jak widzisz, nie



znamy jeszcze wszystkich elementów układanki, sądzimy jednak, że Eric odnalazł ją na podstawie relacji z brutalnego gwałtu, którego padła ofiarą podczas studiów na uniwersytecie.

Tony wzruszył ramionami.

- Niby dlaczego Eric postanowił rozmawiać z nią na ten temat?

- To bardzo istotne pytanie, prawda? Co skłoniło Erica do przekonania, że niejaka Helen Danning, która została zgwałcona podczas studiów na uniwersytecie, może mieć cokolwiek wspólnego ze mną, skoro padłam ofiarą gwałtu piętnaście lat później?

- Zakładam, że zaraz mi to wyjaśnisz.

Maggie sięgnęła do wewnętrznej kieszeni żakietu i wyjęła złożoną kartkę.

- Oto fragmenty wpisów na tym blogu, które Stride'owi i mnie wydały się szczególnie interesujące - powiedziała. - Helen napisała: *Najbardziej pieprzne jest to, że ten łajdak, który mi to zrobił, prowadzi teraz świetnie prosperujący biznes fachowych porad dla ofiar gwałtu! Założył własny gabinet psychoterapeutyczny w Duluth!*

Tony zapatrzył się w połyskliwy blat swojego biurka, jakby miał przed oczami lustro.

- Zatem sprostuj mi, jeśli się pomylę, Tony - wycodziła Maggie. - Eric próbował odkryć, kto napadł na mnie i na Tanjy, w efekcie trafił na sieciowy blog przeznaczony dla ofiar gwałtu. Kiedy zobaczył, co napisała Helen, zareagował tak, jakby go raził piorun, gdyż doskonale wiedział, że mnie i Tanjy łączy jedna rzecz. Osoba naszego psychoterapeuty. Tak więc Eric wybrał się na spotkanie z Helen Danning, żeby uzyskać potwierdzenie, kogo miała na myśli, to znaczy kim jest dokładnie ten psychoterapeuta z Duluth, który zgwałcił ją w czasie studiów. Jednakże domyślał się już, co od niej usłyszy. Oczywiście Helen wskazała na ciebie,

Tony. Tylko dlatego Eric przyjechał na rozmowę z tobą tamtego wieczoru, kiedy został zabity. Wcale nie próbował się dowiedzieć, po czym wśród zwykłych ludzi rozpoznać ewentualnego gwałci-ciel. Nie powiedział ci, że zamierza spotkać się z kimś jeszcze po wyjściu z tego gabinetu. Zjawił się u ciebie, bo to ciebie chciał oskarżyć o zgwałcenie mnie i Tanjy.

Tony podniósł wzrok znad biurka.

- Cały problem z tą historią polega na tym, że to nie ja cię zgwałciłem, Maggie. Nie zgwałciłem też Tanjy. Nawet gdyby Eric podejrzewał mnie o coś tak śmiesznego, dlaczego miałbym się tym przejmować? Jestem niewinny.

- Jasne. Wcale nie twierdzą, że jesteś winny gwałtów na mnie i Tanjy. Tylko co z twoim DNA?

- O co ci chodzi?

- Mam na myśli dziewczynę z parku Engera. Teenę. Tę, którą poznałeś na koncercie zespołu Aerosmith w Kansas City. Tę, którą zgwałciłeś i zabiłeś, a zwłoki poszlachtowałeś. Zostawiłeś w niej swoje nasienie, Tony. Wtedy o tym nie pomyślałeś, prawda? Ale gdybyśmy teraz przeprowadzili badanie porównawcze DNA, od razu zdołalibyśmy cię powiązać ze sprawą dziewczyny z parku Engera. Właśnie dlatego zabiłeś Erica. Żeby mieć pewność, że nadal nic ci nie grozi.

- Daj spokój, Maggie. Naprawdę znam procedury - mruknął Tony. - Dobrze wiem, co byłoby potrzebne sędziemu, żeby wyraził zgodę na pobranie próbki do analizy porównawczej DNA. Płatki i pomówienia, jakie przed chwilą przedstawiłaś, to zdecydowanie za mało.

Maggie, jakby mierząc z rewolweru, wymierzyła oskarżycielsko palec wskazujący w jego prawą dłoń, w której trzymał kubek z kawą.

- Jednakże Eric o to nie dbał. Na własną rękę zdobył próbkę. O mało nie zapomniałam o tym kubku po kawie. Kiedy wróciłam do

domu tamtego wieczoru, gdy został zastrzelony, byłam pijana. Eric zostawił mi kartkę z wiadomością, położył ją na szafce pod kubkiem z fusami po kawie. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi. Ten cholerny kubek zniknął, a ja to przeoczyłam. Nie kojarzyłam tego faktu aż do dziś, dopóki nie zobaczyłam ciebie z tym kubkiem w dłoni. Zwykle sączyłeś kawę, więc myślałeś, że tego nie zauważę. Eric zabrał ci ten kubek tamtego wieczoru, prawda? Chciał mi go przekazać, żebym go oddała do analizy twojego DNA. Dlatego musiałeś po niego przyjechać.

Tony zaśmiał się krótko. Dziwnie zabrzmiał ów rechot w ustach człowieka, który nigdy się nawet nie uśmiechał. Popatrzył na kubek i pokręcił głową, jakby usłyszał najzabawniejszy dowcip świata, po czym gwałtownie cisnął nim przez całą długość pokoju. Kubek przekręcił się w powietrzu i kawa poleciała na dywan, znacząc drogę szeregiem ciemnych plam. Kubek odbił się od podłogi, podskoczył i obrócił, a następnie zatrzymał pod przeciwległą ścianą.

Tymczasem Tony wyciągnął środkową szufladę biurka.

- Nie radzę - odezwała się Maggie, domyślając się, po co chce sięgnąć.

Ale on i tak wyjął z szuflady czarnego glocka i zacisnął palce na kolbie.

- Lepiej spójrz na obraz z kamery - powiedziała.

Zerknął na monitor, na którym zawsze wyświetlało się okienko z obrazem przekazywanym z poczekalni. Stał tam Stride z rewolwerem w ręku i gapił się w obiektyw, jak gdyby wiedział, że Tony spogląda teraz na ekran, usiłując podjąć decyzję, czy rzucić się do ucieczki.

- I na drzwi - dodała.

Tony obejrzał się błyskawicznie na szklane drzwi prowadzące na patio, za którym znajdował się brzoźowy zagajnik. Stał tam Abel Teitscher, wysoki i ogorzały, spoglądający na terapeutę

drapieżnym wzrokiem. On także trzymał w ręku rewolwer.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnęła Maggie. - Cały teren jest otoczony. Nie wymkniesz się stąd. Więc lepiej odłóż broń i poddaj się.

Ale Tony wciąż trzymał w ręku glocka, jakby ważył go w dłoni, oceniając jego solidność i pewność.

- Chyba wiesz, że chciałem i ciebie zabić, Maggie. Tamtej nocy. Rozmyśliłem się w ostatniej chwili.

- Wykorzystałeś tylko mój rewolwer do zabicia mojego męża, żeby zwalić winę na mnie - rzuciła ostro.

- Nie udawaj, że tak bardzo ci go żal. Wcale go nie kochałaś.

- Gówno cię to obchodzi.

- Kiedy już zastrzeliłem Erica, nie mogłem ryzykować powtórnej wizyty w sypialni na piętrze - wyjaśnił. - Może to zabrzmiało ironicznie, ale życie uratował ci fakt, że wcześniej wykopałaś męża z małżeńskiego łóżka.

- A co z Nicole? - zapytała Maggie. - Ją także wrobiłeś w zabójstwo męża, prawda?

Tony wsunął palec wskazujący pod osłonę języka spustowego pistoletu.

- Owszem. Na kolejnej sesji opowiedziała mi ze szczegółami, jak wpadła na trop tej dziewczyny, która zniknęła po koncercie w Kansas City. Oslupiałem. Zdałem sobie sprawę, że jeśli dalej będzie rozpytywać, w końcu wpadnie na mój ślad.

- To dlaczego jej nie zabiłeś?

- Gdyby to ona zginęła, ludzie by się zastanawiali, dlaczego, a tak wylądowała w więzieniu za zabójstwo męża, co nikogo specjalnie nie zdziwiło. Dobrze znałem Nicole. Nigdy niczego nie notowała. Wszystko zapisywała w pamięci, tak jak daty i godziny naszych spotkań, bo w ogóle nie korzystała z terminarza czy kalendarzyka.

- Tak więc zastrzeliłeś jej męża razem z kochanką, a następnie podrzuciłeś dowody obciążające właśnie ją.

- Na kanapie po jej wizycie zawsze zostawały włosy. Miałem ułatwione zadanie. Cała sprawa przycichła na parę lat, do czasu, aż Eric zaczął węszyć wokół mnie. O mało nie wpadł w szal. Oskarżał mnie o gwałt na tobie i na Tanjy, wykrzykiwał, jakim to jestem potworem, bo pewnie zgwałciłem jeszcze mnóstwo innych kobiet w przeszłości. Możesz sobie wyobrazić, co to był za horror? Przez tyle lat udawało mi się zachować tajemnicę, trzymać moje upiory w dobrze zamkniętej skrzyni. A tu nagle ten głupiec postanowił mnie oskarżyć o coś, czego nie zrobiłem.

- Co się wtedy stało?

- Pojechałem pod wasz dom i zaczekałem, aż będziecie oboje. Miałas rację. Przede wszystkim chciałem odzyskać swój kubek po kawie.

- Po co czekałeś na mój powrót?

- Bo tym razem planowałem podwójne zabójstwo. Chciałem to zrobić tak, żebyś ty znalazła się na pierwszym planie, a nie Eric. Ale, jak już mówiłem, nie zastałem was razem w łóżku. Ten plan, który tak świetnie się sprawdził z Nicole, tym razem nie miał szans powodzenia.

- A co z Helen Danning?

Tony wzruszył ramionami.

- Dodatek gratis.

- Ty łajdaku.

- Gdyby ktokolwiek ją odnalazł, stałbym się natychmiast głównym podejrzanym. Dlatego musiała zniknąć. I wiesz co? Pozbyłem się jej z prawdziwą przyjemnością. Z rozkoszą przestałem tłumić w sobie pragnienia, żeby po latach ponownie zrobić to samo. Odebrałem to wręcz jak największy życiowy sukces, mogąc podrzucić drugie zwłoki w to samo miejsce w parku Engera. Jak gdybym chciał zaświecić tym w oczy Stride'owi, tobie i całemu

światu. Wykrzyzczyć: „Wróciłem, kochani! Wróciłem!”. Tłumaczyłem Serenie, że dla każdego nadchodzi taki czas, że musi stanąć oko w oko ze swoją przeszłością i zdecydować, kim naprawdę jest. Ja wiem, kim jestem, Maggie.

Aż się wzdrygnęła. Wstała z kanapy i powiedziała:

- Chodźmy, Tony.

- Nie. Nigdzie nie zamierzam iść.

- Nie masz innego wyjścia - powiedziała z naciskiem, zwracając w stronę biurka.

- Owszem, mam. Zawsze miałem to na uwadze. Wiedziałem, że któregoś dnia potwór znów się obudzi i będę musiał się z nim uporać. Oszukiwałem się myślą, że zdołam ciągnąć to w nieskończoność.

- Tony... - zaczęła ostrzegawczo.

- W porządku, Maggie. Jestem psychiatrą. Wiem, jak to działa. Znasz tajemnicę skutecznego samobójstwa? To szybkość. Każde zawahanie jest wrogiem. Jeśli wetkniesz lufę pistoletu w usta i zaczniesz się zastanawiać, nigdy nie pociągniesz za spust. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, którzy siadali na tej kanapie i mówili mi to wprost. Faktem jest, że trzeba natychmiast bez wahania pociągnąć za spust, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie.

- Odłóż broń.

- Chcę, żebyś coś zapamiętała, Maggie.

Nie spuszczała wzroku z pistoletu. Stała niemalże przyczajona do skoku, z mięśniami napiętymi jak lina nośna mostu wiszącego. W myślach pospiesznie szacowała odległość, swoją sprawność i skoczność.

- Wszyscy gliniarze, tacy jak ty czy Stride, myślą, że potrafią rozpoznać ludzkiego potwora - ciągnął Tony. - Ty też jesteś zdania, że gdy spojrzysz komuś prosto w oczy, będziesz mogła zobaczyć, co on ma w sercu. Ale prawda jest taka, że nigdy się tego

nie dowiesz. Nie ma na to sposobu. Wszyscy występujemy w maskach.

Maggie skoczyła. Głośno krzyknęła, robiąc dwa susy i rzucając się na biurko z rękoma wyciągniętymi niczym szponiaste łapy spadającego ku ziemi jastrzębia, mierząc palcami w kierunku pistoletu. Ale była zdecydowanie za wolna. Tony błyskawicznie wetknął sobie w usta czarną lufę glocka i pociągnął za spust. Nie zawahał się nawet przez ułamek sekundy. Był już martwy, zanim ona wylądowała brzuchem na biurku. Huk wystrzału rozbrzmiał jej echem w jej głowie, jakby ktoś wrzucił marmurową kulę do blaszanej miski. Poleciała z impetem do przodu i wpadła na Tony'ego. Oboje zwalili się na podłogę w przewróconym fotelu. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że twarz i ubranie ma zbryzgane krwią, szarą tkanką mózgową i odłamkami kości.

Stride kopniakiem wyważył drzwi gabinetu i wpadł do środka. Teitscher zrobił to samo od strony patio. Obaj wymierzili z rewolwerów w stronę biurka.

- Nic mi nie jest! - krzyknęła Maggie. Błyskawicznie poderwała się z trupa terapeuty i skoczyła na nogi, spluwając krwią i ocierając twarz przedramieniem. Zachwiała się, ale szybko złapała równowagę i nie mogąc powstrzymać łez cisnących się do oczu, powtórzyła: - Nic mi nie jest.

Miała wrażenie, że razem z tym mężczyzną wyciągniętym na podłodze przepadło dziesięć lat jej życia. Usłyszała, że Stride coś mówi, ale nie mogła rozróżnić słów. W jej uszach wciąż pulsowało donośne echo wystrzału, zagłuszając wszystko. Przed jej oczyma stanął widok Erica wyciągniętego na sofie, krwi spływającej z rany w jego głowie i zbierającej się w kałużę na podłodze. Nie znajdowała w sobie ani śladu współczucia. Kiedy wreszcie podniosła wzrok i zapatrzyła się na dziwne refleksy tańczące na ciemnym szkle panoramicznego okna, wydało jej się, że widzi w oddali

na skraju lasu dziewczynę z parku Engera, ale jeszcze nie okaleczoną, tylko żywą, tańczącą z radości. Podskakiwała w rytm piosenki zespołu Aerosmith. Pomyślała, że tak właśnie to powinno wyglądać i zapewne tak by wyglądało, gdyby inaczej potoczyły się losy. Tamta dziewczyna prawdopodobnie nie zwróciłaby na nią uwagi.

Poczuła na ramieniu dłoń Stride'a.

- Nic mi nie jest - powtórzyła.

## 65.

Abel Teitscher wyłowił krewetkę z kałuży czerwonego sosu na zatłuszczonej papierowej tace. Była gumowata, z zewnątrz spieczona prawie na węgiel, ale gdy ją rozgryzł, poczuł na języku znajomy, słodkawo-kwaśny smak. Nabrał na widelec porcję smażonego ryżu, przełknął go i popił łykiem zielonej herbaty. Odchylił się na oparcie swojej starej, powygniatanej kanapy i popatrzył na małe stadko nowych cytrynowych neonów, które rozciąły toń jego akwarium niczym jaskrawe niebieskie rozbłyski.

Z głośników wieży płynęła cicho piosenka Sinatry.

Ten poniedziałek niczym się nie różnił od innych poniedziałków, nie różnił się też od wtorków albo czwartków. Wizyta w „Potsticker Palace”. Stare przeboje. Cichy bulgot napowietrzanej wody w akwarium. „Tato, musisz częściej wychodzić”, powiedziała jego córka, gdy zadzwoniła z San Diego, ale łatwo tak mówić, gdy się mieszkało w Kalifornii.

Niemniej, miała rację. Doskwierała mu samotność. Nie było jeszcze na tyle ciepło, żeby miasto zalała fala wiosennej przestępczości, nie musiał więc spędzać wieczorów w swoim boksie w budynku ratusza. Niekiedy znosił to o wiele lepiej niż samotne pobyty w domu.



Zaskoczył go dzwonek u drzwi. Wykręcił się na kanapie i wyrzwał przez okno saloniku. W mętnym blasku latarni dostrzegł na podejździe brudnego forda taurusa, którego nie rozpoznał. Wstał, uświadamiając sobie, że jest ubrany w wymiętą białą koszulę wypuszczoną z szarych, workowatych, za dużych na niego spodni od dresu. Przez ubiegły rok schudł parę kilogramów, ale nie zawracał sobie głowy kupnem nowych ubrań. Spodnie tylko ściągał mocniej paskiem.

Otworzył drzwi.

- Cześć, Abel - odezwała się radośnie Nicole Castro.

Przez kilka sekund spoglądali na siebie badawczo w milczeniu, aż poczuł się głupio i nabrał podejrzeń, że ma na brodzie ten czerwony chiński sos z krewetek. Nerwowym ruchem otarł usta.

- Cześć - bąknął.

- Mogę wejść? Nie bój się, nie zamierzam cię zabić.

- Ale śmieszne.

Otworzył szerzej drzwi i Nicole sprężystym krokiem wmaszerowała do salonu. Była w džinsach i bawełnianej bluzie z emblematem klubu Minnesota Vikings, na nogach miała nowiutkie białe buty biegowe marki Nike. Szarosiwe włosy nadal były po więziennemu krótko ostrzyżone. Ręce trzymała w kieszeniach. Sprawiała wrażenie równie zakłopotanej jak on.

- Słyszałem, że cię wypuścili - rzekł. - Bardzo się cieszę.

- Właśnie. Jestem wreszcie wolna jak ptak.

Stała na środku pokoju i przygryzła dolną wargę.

- Chcesz trochę chińskich krewetek? - zapytał.

- Nie, dzięki. Wyglądają jak rzygowiny po przeżarciu wiśniami.

- Na szczęście tylko tak wyglądają, ja już przywykłem do takiego żarcia.

- Jasne.

Przeciągnął palcami po swoich siwych włosach, nie bardzo wiedząc, od czego zacząć.

- Posłuchaj, Nicole, bardzo mi przykro. Nie wiem, co jeszcze mógłbym ci powiedzieć. Nie wierzyłem ci i na tym polegał mój błąd.

- Prawdę powiedziawszy, to ja chciałam cię przeprosić.

- Niby za co, do diabła?

- Za to, że przez tyle lat podejrzewałam cię o to, że mnie wrobiłeś.

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił - odparł stanowczo.

- No tak, teraz to wiem. Ale potrzebowałam kogoś, na kogo mogłabym zwalić winę. A ty byłeś pierwszym i najłatwiejszym celem.

Abel usiadł z powrotem na kanapie i ułożył dłonie na kolanach.

- Nie łąpałem całego obrazu. Za bardzo skupiłem się na materiale dowodowym i to przesądziło sprawę. Bo według dowodów byłaś winna i tak też wtedy myślałem. To samo zdarzyło się teraz z Maggie.

- W końcu nie ty jeden myślałeś w ten sposób.

- Nie chcesz usiąść? - zapytał.

Nicole pokręciła głową.

- Nie mogę zostać dłużej. Jadę na południe. Mój syn jest u matki, w Knoxville. Przeprowadzam się do niej.

- I wstąpisz tam do policji?

- Nie, to już nie dla mnie. Nie ma o czym mówić. Nie mogłabym już nikogo posłać do więzienia. Rozumiesz, prawda? Naprawdę nie mogłabym tego zrobić. Bo nie zniosłabym świadomości, że mogę być w błędzie. Mama prowadzi restaurację, pewnie zatrudnię się u niej.

- Co to za restauracja? Chińska?

Nicole zachichotała.

- A to dobre. Już zapomniałam, że potrafisz żartować.

- Ja chyba też.

Rozejrzała się po pokoju i zmarszczyła brwi.

- Co ty tu jeszcze robisz, do cholery, Abel? Chyba najwyższa pora, żebyś wrócił do normalnego życia? Ta suka, z którą się ożeniłeś, już dawno stąd zniknęła, więc co cię tu jeszcze trzyma?

Skrzywił się, ale jednocześnie pomyślał, że ona ma rację. Do stał od żony solidnego kopniaka w brzuch, ale nie musiał już tu siedzieć, udając, że wciąż nie może złapać oddechu.

- Wylądowałem w rowie na poboczu i utknąłem tu na tak długo, aż chyba doszedłem do wniosku, że nawet mi się tu podoba - odparł.

- Lepiej idź na śniadanie z darmowymi naleśnikami w swojej parafii i wybierz sobie jakąś panienkę.

Abel prychnął pogardliwie.

- Ostatni raz byłem na randce jakieś czterdzieści lat temu.

- Nie mówię o randkach, tylko o znalezieniu sobie kogoś.

Uśmiechnęła się. Zęby miała mocno zażółcone. Była o dziesięć lat młodsza, ale wyglądała na jego rówieśniczkę. Poczul się za to odpowiedzialny.

- Nie uwierzysz, ale brakuje mi ciebie u boku jako partnera - powiedział.

- To dlatego, że nikt poza mną nie umiał sobie radzić z twoim głównym.

Przytaknął ruchem głowy.

- Co do tego masz absolutną rację.

- Co byś powiedział na wywalenie tego chińskiego szajsu i pójście ze mną na obiad do jakiegoś eleganckiego lokalu? Pożegnajmy obiad, zanim wyjadę z miasta. Dla uczczenia dawnych czasów.

- Ale ja stawiam - odparł szybko.

- Pewnie że ty stawiasz.

Maggie podniosła do ust butelkę importowanego lagera i jednym haustem dopiła resztkę piwa, po czym rzuciła butelkę na piasek obok innych pustych.

- Wiecie, za co byłabym gotowa nawet słono zapłacić? - spytała.

Stride i Serena popatrzyli na nią. Na ich twarzach zafalowały żółtawe odblaski palącego się ogniska.

- Za co? - podchwycił Stride.

Maggie zachichotała.

- Za to, żeby móc zobaczyć twoją minę, gdy twój ukochany bronco szedł na dno jeziora.

Serena zaśmiała się w głos.

- Hej - zaprotestował. - To wcale nie jest zabawne.

Obie równocześnie ryknęły tak gromkim śmiechem, że aż musiały nawzajem objąć się w pół, żeby nie poprzewracać się na piach.

- Żartujesz? - odezwała się Maggie. - Aż nie chce mi się wierzyć, że nie skoczyłeś za nim pod lód.

- To był solidny stary wóz.

- Raczej kupa złomu na kółkach, Jonny - wtrąciła Serena. - Wydaje mi się, że miał na liczniku z sześćset tysięcy kilometrów.

- Dopiero sto siedemdziesiąt pięć - odparł z urazą w głosie. Dopił swoje piwo, odrzucił butelkę i sięgnął po kielbaskę, która przypiekała się na szpikulcu, a skapujące z niej krople tłuszczu skwierczały na rozżarzonych polanach. Podmuchał na nią, ostrożnie odgryzł kawałek i westchnął. - Kurde, jaka dobra.

Minęła północ. Siedzieli we trójkę na plaży za domem Stride'a już od paru godzin, dorzucając do ognia, patrząc na gwiazdy i wsłuchując się w plusk fal omywających brzeg zaledwie kilka metrów dalej. Marcowa noc była chłodna, na piasku ciągnęły się

jeszcze pasma poczerniałego śniegu. Ale zima wyraźnie łagodniała, dotąd ciemnoszare niebo coraz częściej odzyskiwało błękitny kolor. W powietrzu czuć już było nadchodzącą wiosnę. O tej porze roku każdy mieszkaniec Minnesoty dobrze wiedział, że choć nie uwolnił się całkiem od groźby nawrotów mrozu skuwającego lodem jezioro, to jednak czas działa na jego korzyść.

- Jeszcze ci nie pokazywałam mojej nowej sztuczki - zwróciła się Serena do Maggie.

- Dawaj.

Serena wyprostowała się i zaczęła powoli wciągać nosem powietrze, aż całkowicie napełniła nim płuca. Przez wiele tygodni nie mogła zaczerpnąć głębszego oddechu, żeby nie wywołać ataku kaszlu. Teraz mogła już wstrzymać oddech nie na piętnaście, a na czterdzieści pięć sekund.

- To cudowne, skarbie - powiedziała Maggie. - A jak twoje nogi?

Serena zerknęła na Stride'a, zanim odpowiedziała. To był najbardziej drażliwy temat. Stride nie mógł pogodzić się z myślą, że Serena, która, jego zdaniem, dorównuje mu wytrzymałością, teraz wybucha płaczem, ilekroć pomyśli o swoim wyglądzie. Powtarzał jej raz za razem, że musi się zdobyć na cierpliwość, a poza tym jej wygląd nie ma dla niego aż tak wielkiego znaczenia. To jednak nie przynosiło rezultatów. Dla niej wygląd był teraz najważniejszy.

- Tego lata jeszcze nie wystąpię na pokazie najnowszych kostiumów kąpielowych - odparła wyraźnie spiętym głosem.

Stride pomyślał, że ów cienki lód, na którym się znalazła, lada moment załamie się pod jej ciężarem, ale ona tylko wzięła głęboki oddech i dodała: - W każdym razie jest coraz lepiej. Po ostatniej operacji na kilka dni wróciły silne bóle, ale potem zniknęły. Przynajmniej uwolniłam się od wrazenia, że mam nogi pokryte skórą aligatora.

Poprzedniego dnia dość dużo czasu spędziła przed lustrem, co jej się nie zdarzało od czasu wypadków na jeziorze.

- A co z tobą? - zapytała.

- O mnie się nie martw - odparła szybko Maggie, unosząc obie ręce nad głowę. - Idzie wiosna, moja ulubiona pora roku. Łód na jeziorze puszcza, ruszają rzeki, więc i wszystkie trupy zaczynają wypływać na brzeg. Czuję się jak buszujący w zbożu.

- Krótko mówiąc, cieszysz się z powrotu do służby - rzekł Stride. - Bo na razie jesteś po prostu wstawiona.

- Owszem, jestem lekko wstawiona. I cieszę się z powrotu do służby. A poza tym jestem tak bogata, że mogłabym od ręki kupić was oboje, więc bądźcie dla mnie mili.

- Powinniśmy wiedzieć, ile teraz wynosi twój majątek? - zagadnęła Serena.

- Nie. W żadnym wypadku. Tylko się nie uskarżajcie, bo przecież zafundowałam kiełbaski.

- Tak, ale ja zafundowałam piwo - odparł Stride. - A ty opróżniłaś już pięć butelek.

Maggie zaśmiała się w głos, jakby chciała całemu światu zademonstrować, że znów jest radosna i wolna od trosk.

- To chyba też efekt odwilży - zauważył tajemniczym półgłosem Stride.

On również był wstawiony, tyle że w takim stanie robił się marzycielski. Przez cały dzień borykał się ze złymi wiadomościami i teraz napięcie z niego uchodziło. Nigdy nie potrafił całkowicie wyluzować. Dla niego miało to związek z mieszkaniem na mierzei, nad wielkim i groźnym jeziorem. Długie letnie dni były tu cudowne, wiosną wiały orzeźwiające wiatry, jesień kusiała całą paletą spadających kolorowych liści, a zimą każdej nocy od nowa bezlistne gałęzie drzew okrywały się błyszczącą powłoką lodu. Każda urokliwa chwila wydawała się niepowtarzalna, ale za każdą tak

samo krył się cień jeziora, które zabierało żywych i rzadko zwracało ich ciała, najczęściej przypominało mglistą warownię samego szatana, zawsze gotowego, by zaatakować zniecka. Od tej świadomości nie można się było uwolnić.

Serena, która przez cały wieczór piła tylko wodę mineralną, od razu zwróciła uwagę na smętne tony w jego głosie.

- Co się stało?

- Tony zostawił wizytówkę - odparł.

- O rety... - syknęła Maggie. - Jaką wizytówkę?

- Dzwonili z komendy policji w Hassman - odparł. - Kiedy w tym tygodniu stopniały śniegi na poboczu autostrady, znaleźli zwłoki kobiety.

Maggie i Serena przyjęły to w milczeniu. Znad toni jeziora doleciał ich silniejszy poryw wiatru.

- Wiedzą już, kim była zamordowana? - odezwała się w końcu Serena.

- Chyba tak. To prawdopodobnie niejaka Evelyn Kozlak z Little Falls, która zaginęła kilka tygodni temu. Była najlepszą przyjaciółką Helen Danning, jej koleżanką ze studiów. To za jej pośrednictwem Tony wytropił Helen. Znał je obie z czasów studiów.

- Cholera - mruknęła Maggie, a po chwili dodała: - Wiesz, co mnie najbardziej wkurza? Że naprawdę go lubiłam. Trudno mi się było pogodzić z tym, kim był w rzeczywistości.

- Mnie również - wtrąciła Serena. - W końcu wszystkim nam pomagał.

- Przede wszystkim same sobie pomogliście - rzekł Stride. - On tylko przypadkiem siedział z wami w jednym pokoju.

- Najbardziej żał mi Helen - powiedziała Maggie. - Nie miała nic wspólnego z całą tą sprawą. Chciała tylko spokojnie żyć. Tymczasem nieświadomie wciągnęła nawet przyjaciółkę w sam środek huraganu. Serce mi się ściska, gdy o tym pomyślę.

- Nie służymy w wydziale prewencji - przypomniał jej Stride.
- Sprzątam tylko brudy.

Maggie wstała i otrzepała spodnie z piasku.

- I tym oto miłym akcentem, chłopcy i dziewczęta, pożegnam was, żeby wrócić do domu i przespać parę godzin. A wy możecie sobie we własnym łóżku robić, co wam się żywnie podoba.

- Nie powinnaś prowadzić w takim stanie - ostrzegła Serena. - Lepiej prześpij się w naszej sypialni gościnnej.

- Dzięki, ale już za dużo ostatnio narozrabiałam. Mam własny dom. Przynajmniej do czasu, aż sprzedam to cuchnące mauzoleum i znajdę sobie coś bardziej zacisznego. Poza tym, wcale nie jestem tak wstawiona, jak można by sądzić. Po prostu rozmowa o trupach ostatecznie mnie dobiła. Nie martwcie się, pojedę wolniutko.

- Odprowadzę cię - zaproponował Stride.

Gdy tylko wyszli poza krąg blasku ogniska, poczuł resztki zimowego mrozu wkradające się pod ubranie. Maggie zdawała się nie zwracać na to uwagi. Niosła swój czerwony żakiet przerzucony przez ramię, górne dwa guziki różowej bluzki były rozpięte. Stride zapalił latarkę i skierował strumień światła na ścieżkę prowadzącą przez las. Minęli jego posesję ze stojącym na podjeździe czarnym, zabłoconym, używanym fordem expedition i po paru sekundach wyszli na Minnesota Avenue. Ulica biegnąca przez mierzeję był pusta. Przy krawężniku stał tylko należący do Maggie nowiutki, jaskrawo-żółty Chevrolet avalanche.

- Cieszę się, że wróciłaś, Mags - powiedział, kiedy stanęli przy samochodzie. Miał wielką ochotę na papierosa, ale znowu rzucił palenie, łudząc się, że tym razem już na dobre. Serena nie znosiła teraz dymu.

- Dzięki.

- Nie potrzebujesz teraz pieniędzy - rzekł. - Co cię więc pchnęło, żeby wrócić do tej parszywej roboty?



Wzruszyła ramionami.

- Przywykłam.

- Podjęłaś już ostateczną decyzję w sprawie adopcji dziecka?

- Wciąż nad tym myślę - odparła. - Muszę najpierw poskładać swoje życie do kupy, potem zobaczymy. Nie wszystko naraz.

- To będzie bardzo szczęśliwy dzieciak.

Maggie wspięła się na palce, powiodła dłonią po jego kręconych włosach, a następnie przyciągnęła jego głowę i pocałowała go. Wargi miała delikatne, ciepłe i wilgotne. Objął ją i przytulił. Pocałowała go. Po chwili uprzytomnił sobie, że ten pocałunek trwa zdecydowanie za długo. Ale był to taki rodzaj pocałunku, jakiego nigdy by się nie spodziewał z jej strony.

Odsunęła się od niego i uśmiechnęła tajemniczo.

- Nie obraż się, ale postanowiłam przestać się w tobie podkochiwać.

- W porządku. Gdyby to jeszcze było takie proste...

- Mam inne ważniejsze sprawy na głowie, a ty jesteś zakochany w Serenie. Ale miło było się przekonać, że i ja mogę mieć swoje parę sekund. - Obrzuciła go typowym dla siebie, ironicznym i wkurzającym spojrzeniem, którego nie znosił tak samo od dziesięciu lat. - Mówię o tych paru sekundach, na które sobie w pełni zasłużyłam.

- Owszem, zasłużyłaś - przyznał z ociąganiem.

- Odejdź, gdy zapragną dostać więcej. To moje motto.

- Zatem zjeżdżaj.

- Do jutra, szefie.

Wyjęła z kieszeni kluczyki i podrzucając je w dłoni, obeszła maskę auta. Usłyszał ze zdumieniem, że cicho przy tym pogwizduje. Kiedy odjechała, został jeszcze przez pewien czas przy krawężniku, zdezorientowany, gdyż wciąż czuł na wargach ciepły dotyk jej ust, a w powietrzu zapach jej perfum.

Kiedy w końcu wrócił ośnieżoną ścieżką przez las nad jezioro i usiadł przy ognisku obok Sereny, bał się pierwszy odezwać. Dopadło go poczucie winy.

Serena spojrzała na niego i tłumiąc uśmiech, szybko przeniosła wzrok na jezioro.

- A więc w końcu cię pocałowała, prawda? - zapytała po chwili.

- Stałaś się jasnowidzem?

- Nie. Ten odcień szminki ci nie pasuje.

Zaklął pod nosem i szybko wytarł usta.

- Przepraszam.

- Nic się nie stało.

Przez chwilę spoglądali na roztańczone płomienie. Żywiczne sosnowe drwa strzelały i syczały w ogniu.

- Ale dla ścisłości - podjęła Serena - jeśli zrobisz to jeszcze raz, będę zmuszona zabić was oboje.

- Nie martw się, ty jesteś moją dziewczynką alfa.

- Lepiej o tym nie zapominaj.

Przesunęła się na piasku i obróciła tak, że ich nogi się stykały. Objął ją w pole i zaczął delikatnie wodzić palcami po jej biodrze, na tyle lekko, żeby nie urazić poparzonej skóry pod cienką tkaniną spodni od dresu. Nie zaprotestowała. Nie wzdrygnęła się odruchowo z bólu, jak to bywało do tej pory. Kiedy spojrzał na nią, uśmiechała się lekko, z zamkniętymi oczami.

- Nie boli? - zapytał.

- Nie. To bardzo przyjemne.

Siedzieli jeszcze przez pewien czas w milczeniu, a gdy ognisko się dopaliło i została tylko kupka żarzącego się na bursztynowo popiołu, przysypali ją kilkoma garściami brudnego śniegu i poszli w górę trawiastego zbocza wydmy do domu.

## PODZIĘKOWANIA

Większa część tej powieści powstała w wynajętym domku letnikowym na mierzei Park Point w Duluth, podejrzanie podobnym do domu należącego do Stride'a i Sereny. Sami możecie tam zamieszkać, ewentualnie obejrzyć dom na stronie [www.cottageonthepoint.com](http://www.cottageonthepoint.com). Serdeczne dzięki dla Pat Burns za jej gościnność.

Jak poprzednio mam dług wdzięczności wobec wielu osób, które uczyniły wiele dla przyspieszenia mojej kariery i po raz kolejny zamieniły mój maszynopis w powieść: moim agentom, Alemu Gunnowi, Deborze Schneider i Dianie Mackay; moim redaktorkom, Jennifer Weis oraz Marion Donaldson; jak też mojej żonie, Marcii (wobec której mój dług wdzięczności jest nieporównanie większy).

Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym nie wspomniał o innych ludziach z tej gałęzi przemysłu, którzy okazali się wspaniałymi przyjaciółmi i pomocnikami: Peterze Newsomie, Kimie McArthurze, Beth Goehring, Carole Baron, Markusie Wilhelmie, Sally Richardson, Garym Jansenie, Silva Sese, Iris Graedler, Matthew Shearze, Carrie Hamilton-Jones, Kate Cooper, Carol Jackson, Gunilli Sondell, Genevieve Waldmann, Franku van de Stadt oraz wielu innych kolegach redaktorach i wydawcach ze Stanów Zjednoczonych i innych krajów.

Przez ostatnie trzy lata nawiązałem bliższe znajomości z wieloma księgarzami oraz miłośnikami literatury. Dziękuję wszystkim za entuzjastyczne słowa poparcia. Specjalne podziękowania należą się Gailowi F., Ericowi S., Paulowi P., Shelly G., Jean N., Ronowi F., Bonnie B., Mike'owi O, i Jimowi H.

Na koniec mogę wyrazić nadzieję, że wszyscy zainteresowani odwiedzą moją stronę w witrynie [www.bfreemanbooks.com](http://www.bfreemanbooks.com) i dalej będą przysyłać mi maile pod adres [brian@bfreemanbooks.com](mailto:brian@bfreemanbooks.com). Jedną z największych przyjemności dla autora książek jest możliwość prowadzenia dyskusji z czytelnikami.

Dziękuję, Mamo i Tato. Dzięki Wam jest to możliwe.